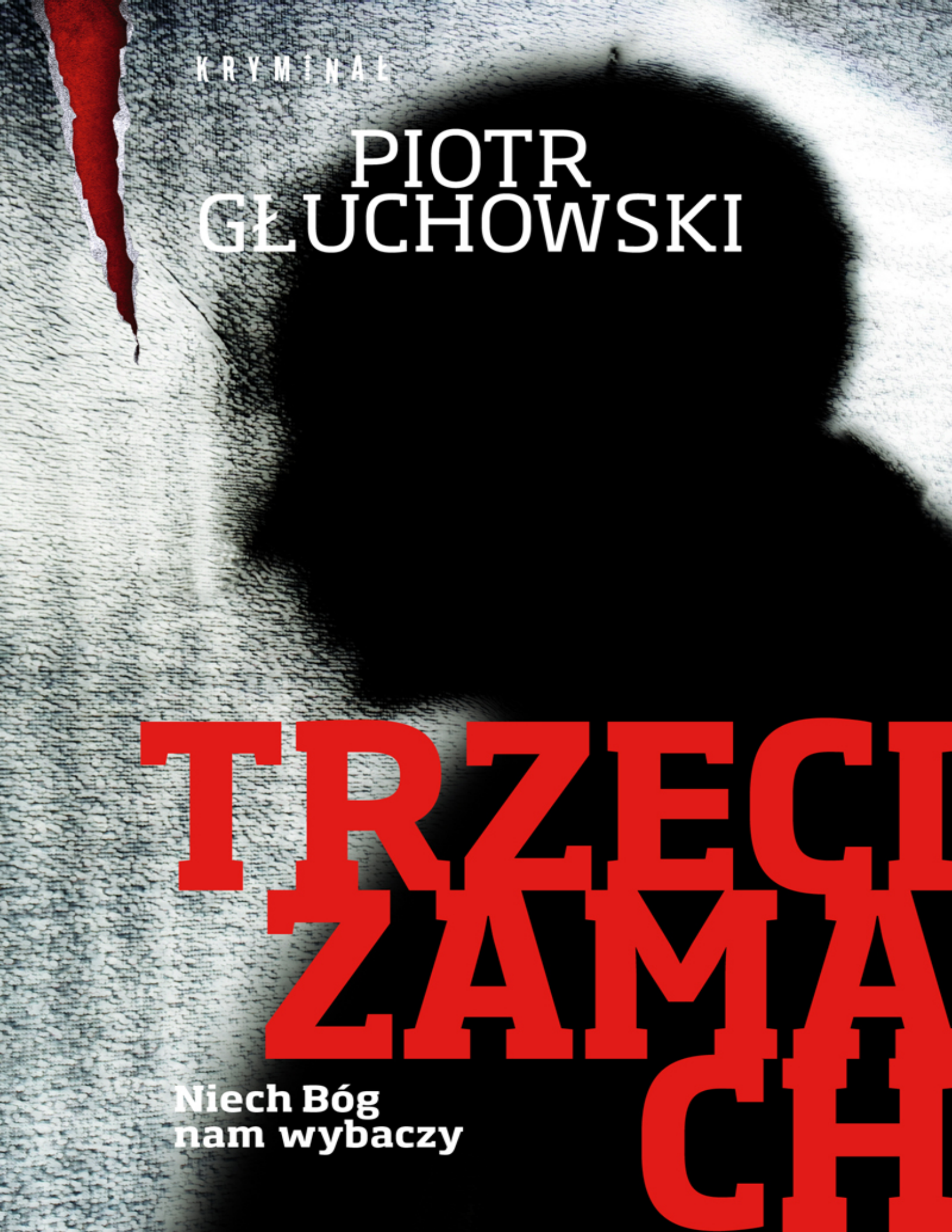
KRYMINAŁ
PIOTR GŁUCHOWSKI
TRZECI ZAMACH
Niech Bóg nam wybaczy

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Piotr Głuchowski

Trzeci zamach

WARSZAWA 2014

REDAKCJA: Dariusz Żukowski

KOREKTA: Jacek Bławdziewicz

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Aleksandra Jasińska

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Elena Yakusheva/shutterstock

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Elżbieta Wastkowska

REDAKTOR NACZELNY: Paweł Goźliński

PRODUCENCI WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU: Katarzyna Kubicka

© copyright by AGORA SA 2014
© copyright by Piotr Głuchowski 2014

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN: 978-832-681-593-5 (epub)
ISBN: 978-832-681-594-2 (mobi)

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

Spis treści

***

Trzeci zamach

Część I. Udarnik

Część II. Neptun

Część III. Dowód

Polecamy

„Centrum chce wszystkich informacji, jakie mamy o papieżu. Wszystkiego, co pozwoli się do niego zbliżyć. Fizycznie!" – gdy depesza tej treści nadeszła do warszawskiej placówki sowieckiego wywiadu, jej szef był w szoku. W języku służb „zbliżenie fizyczne" oznaczało bowiem przygotowanie likwidacji.

Mirosław Maciorowski, *Papieże i agenci*
„Ale Historia" (dodatek „Gazety Wyborczej"), 30 września 2013 r.

Oprócz przytoczonej już depeszy do szefa sowieckich służb w Warszawie, w której zawarto eufemizm o „fizycznym zbliżeniu" do Jana Pawła II, jest jeszcze rozkaz wydany (...) przez sekretariat Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (...). Jego najistotniejszy fragment: „Wykorzystać wszystkie dostępne możliwości, by zapobiec nowemu kierunkowi w polityce zapoczątkowanemu przez polskiego papieża, a w razie konieczności sięgnąć po środki wykraczające poza dezinformację i dyskredytację".

John O. Koehler, *Chodzi o papieża. Szpiedzy w Watykanie*, Znak, Kraków 2008.

TRZECI ZAMACH

Wystający spod betonowej szaty zadarty w górę but ma sześć metrów długości i opiera się na śliskim postumencie ze skalnych odłamków i otoczaków, których zwożenie w to miejsce zajęło ponad miesiąc. Głazy spojono cementem, a pokrywająca je z pięciu stron granitowa okładzina sama waży dwieście ton.

Gargantuiczny pantofel z gładkiego betonu ozdobiony jest rytym herbem świętego: trzy korony, dwa klucze i angielska tarcza. Wszystko razem – podstawa, uniesiona stopa i siedemdziesięciometrowy monument powyżej – mieni się we wstającym słońcu kolorami beżu, kości słoniowej i perły. Gdy ktoś popatrzy z bliska – a w tym momencie wpatruje się w to miejsce kilkanaście par oczu – zauważy też inne kolory. Krwawe rozbryzgi na czubku buta mają barwę przypalonej żywicy.

Poniżej miejsca, w którym czaszka spadającego mężczyzny uderzyła o koniec betonowego półbuta i pękła, ślady zakrzepłej tkanki układają się w poprzerywane smugi. To tędy zsuwało się okaleczone i martwe już ciało. Najgorsze jest jednak to, co widać jeszcze niżej.

Upadający wedle jakiejś niepojętej trajektorii człowiek pozostawił głowę wciśniętą pomiędzy cementową podeszwę buta giganta a granitową platformę. Zdekapitowany korpus, oderwany od czaszki własnym impetem, spadł jeszcze trzy metry w dół, w śnieg. Owłosione i blade nogi trupa są bose, a pięty – żółte i brzydko popękane. Buty leżą dużo dalej. Obwąchuje je chudy, kulawy kundel.

– To ten dziennikarz? – policyjny technik rzuca pytanie w kierunku dwóch facetów z wydziału kryminalnego, ale żaden mu nie odpowiada.

Stojący obok strażak żegna się ostentacyjnie: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

CZĘŚĆ I

UDARNIK

1.

Sobota, 19 października, wczesne popołudnie.
29 dni przed tragedią w Białołęce

W płytkiej Wiśle przy piaszczystej ostrodze długiej wyspy gonią się i ochlapują dwaj chłopcy. Przyjechali rowerami z ojcem, który postanowił wykorzystać, jak mówił, „być może ostatni ładny weekend jesieni".

Przez pierwsze pół godziny, pedałując wzdłuż Starówki, a potem przez most łączący prawo- i lewobrzeżną część Torunia, obaj dąsali się straszliwie. Czternastoletni Krzysio wolałby dalej surfować po Fejsie, a młodszy o dwa lata Jaś – tępić z pomocą miecza rzesze wirtualnych orków, berserkerów i najgorsze bydło w ostatniej grze z serii Universe of Magic – czarne gryfy. Niestety, weekendowy tatuś miał od rana inny pomysł na życie.

– Pojedziemy rowerami na wyspę pod mostem i pokażę wam miejsce, w którym Mała Wisełka wpada do dużej – zarządził. A potem, gdy już przedarli się przez zarośnięte wędkarskie ścieżki, pozwolił im zdjąć spodnie, wejść na chwilę do rzeki i poczuć na stopach, jak mieszają się dwa nurty.

Teraz obaj synowie – zaopatrzeni w solidne patyki – rozgrzewają zmarznięte nogi, podskakując w pozach szermierzy. Krzysztof, choć starszy, w kolejnych starciach ulega bratu. Janek opanował jakiś niesamowity ruch – trzymając broń poziomo na wysokości brzucha, markuje skośne uderzenie z bekhendu, a gdy brat się zastawia swoim kawałkiem kija, Jaśkowy badyl zmienia kierunek, tnąc z dołu w górę – prosto przez twarz. I trzeba mu przyznać, że potrafi zatrzymać uderzenie dosłownie centymetr przed nosem starszego brata.

Żebyś miał, chłopie, więcej kasy i przestrzeni w głowie, mógłbyś ich gdzieś posłać na prawdziwą szermierkę... Ojciec głęboko wciąga dym. W paczce zostało jeszcze dwanaście pall malli. Chowa je do lewej kieszeni zbyt luźnych dżinsów, gdy w prawej dzwoni komórka. Nieznany numer.

– Pan redaktor Pruski?

– Taaa...

– Wydawnictwo Ventura. Z tej strony Rogalska. Monika Rogalska. Jestem asystentką kolegium. – Zdecydowany ton zdradza dziewczynę, która postanowiła zrobić karierę w dużym mieście. Pewno chodzi do pracy w garsonce i w drodze do biura wypija kawę na wynos. – Pan redaktor współpracował z moją poprzedniczką. Pan pamięta, tak?

Współpracował... to nie jest właściwe określenie. Kilka lat temu te kutwy z Poznania zamówiły u niego wywiad rzekę z gwiazdeczką telewizyjnego reality show Karoliną Koon. Zgodził się na tę chałturę, bo rozpaczliwie potrzebował kasy. Nadal zresztą potrzebuje. Wtedy, w pośpiechu, nie doczytał treści umowy. A Karolina Koon, choć była faworytką w debilnej produkcji Polsatu, nie weszła do finałowego programu. W związku z czym

wielkopolscy wydawcy podziękowali za gotowy tekst książki, nawet go nie czytając. A teraz mają czelność dzwonić w sobotę.

– Nie mam najlepszych wspomnień po naszej dawnej współpracy, a teraz jestem zajęty z dziećmi. – Pruski przysiada na wysuszonym konarze drzewa, który ugrzązł na brzegu trzy metry od wody zapewne w czasie wiosennej powodzi. Martwe drewno trzeszczy pod ciężarem dziewięćdziesięciu kilogramów.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, dlatego proszę tylko o chwileczkę cierpliwości, aby mnie pan posłuchał – głos dziewczyny w słuchawce unosi się, zdradzając albo udając przejęcie.

– Niech pani raczej posłucha mnie. Odwaliłem dla was kiedyś kawał dobrej i – jak się okazało – nikomu niepotrzebnej roboty. Nie zamierzam drugi raz wchodzić do tej samej, nomen omen, rzeki. Oszukaliście mnie.

– Więc pan się nie...

– Nie mam ochoty.

– To ja daję redaktora naczelnego, wiceprezesa.

– Hę?

– Waldemar Murka z tej strony – cichy męski głos zastępuje ofensywny sopran asystentki. Robert od razu rozpoznaje nieznoszący sprzeciwu ton człowieka, z którym los zetknął go przeszło trzy lata temu przy pierwszym podejściu do księgi żywota panny Koon. Murka był wtedy niżej w hierarchii wydawnictwa, ale już wówczas miał maniery i prezencję godną premiera średniego państwa w Afryce. – Chcemy wydać pańską *Karolinę Koon bez tajemnic* – teraz, natychmiast, gdy tylko zdąży pan odświeżyć tekst. Czyli zaktualizować. Dopisać ostatni okres życia. W formie wywiadu albo epilogu. Jak pan zechce. Zaliczkę przyślemy w poniedziałek. Pan nie umówił się jeszcze z nikim na wykorzystanie tamtego tekstu?

– Dlaczego miałbym...?

– Dlaczego...? – Murka jest chyba zdziwiony zdziwieniem rozmówcy. – Panie kolego, przepraszam, że zapytam, ale pan jest na jakimś urlopie, tak?

– Coś w tym rodzaju.

– Panie kolego... ja znam szczegóły tamtego nieporozumienia z wydaniem książki i chcę pana przeprosić w imieniu całego kolegium wydawniczego. Teraz mamy nowego właściciela z kapitałem zagranicznym i w ogóle dużo się u nas pozmieniało. W ciągu dwóch godzin wyślemy panu mailem gotową umowę i rachunek. Jeśli pan szybko odeśle, to dziesięć tysięcy zaliczki na konto przelejemy w poniedziałek. Drugie tyle po wszystkim. I zrobimy razem fantastyczną, poczytną książkę, która przyniesie zyski nam obu. Czy pan się zgadza?

– Krzysio, nie popychaj go do wody! Przepraszam... pan mówił o zyskach...

– Czyli możemy na pana liczyć?

Robert kończy papierosa i zagrzebuje niedopałek w piachu. Przeczesuje palcami zmierzwione włosy. Myśl, człowieku... myśl intensywnie o pieniądzach. Tego ci trzeba.

– Możecie, jeżeli zapłacicie piętnaście tysięcy zaliczki i tyle samo w dniu oddania tekstu, a jeszcze przed lekturą.

Waldemar Murka po dłuższej ciszy orzeka chłodno, że musi się skonsultować z prezesem.

– Oddzwonimy do pana, kolego.

Nad Starym Miastem po drugiej stronie Wisły suną chmury. Oddzwonią albo i nie.

* *

Dwie godziny później w mieszkaniu matki jego synów Robert sprawdza, co mogło tak podniecić niedoszłych – i być może przyszłych – wydawców.

Pokój Krzysia i Jasia, w którym siedzi, jest zagracony do granic możliwości. Laptop – kupiony starszemu synowi na trzynaste urodziny tani egzemplarz – ma zakurzony ekran, a połowa klawiszy klei się od zaschniętego kakao. Obydwaj mali bałaganiarze w niewielkiej kuchni ciasnego mieszkania pomagają mamie produkować placki. Słychać głośno grające radio, czuć zapach ciasta. Naleśniki i dżem śliwkowy tym razem zastąpią tradycyjną sobotnią pizzę, bo tato musiał się zaraz po wycieczce dobrać do internetu.

„Jest nikła szansa, że jak coś szybko zrobię, to wpadnie mi parę tysięcy, a na pizzę pójdziemy jutro" – chłopcy przyjęli to tłumaczenie ze zrozumieniem. Od kiedy warszawski dwumiesięcznik „Rynek Sztuki", podstawowe miejsce pracy Roberta, stał się kwartalnikiem, i odkąd stołeczna Wyższa Szkoła Dziennikarstwa – jego drugie źródło zarobku – zaczęła opóźniać wypłaty, temat pieniędzy jest bez przerwy na tapecie. Mimo poświęceń ojca, który w każdy poniedziałek o świcie rusza w drogę i jedzie przeszło dwieście kilometrów do pracy w stolicy, spadek poziomu życia rodziny zdaje się niepohamowany. W dodatku – po odliczeniu kosztów – wychodzi na to, że Robert zarabia niewiele więcej od pani tego mieszkania, która ma tutaj, w Toruniu, spokojną i pewną posadę. A nie to wariactwo co on.

Na stronie TVN 24 zapowiedź załamania pogody obok tytułu *Budowniczy papieskiego pomnika giganta w objęciach skandalistki*. I link do strony „Faktu". A tam – na czerwonym tle – *Medialny magnat ks. Franciszek Kosma Drozd w gorącej sytuacji z Karoliną Koon*. Plus ekskluzywne zdjęcie na tle morza i lazurowego nieba – rzeczywiście *hot*.

Pierwszy plan: rozedrgane promienie – zapewne wpadające przez dach z palmowych liści – oświetlają łysiejącą czaszkę tęgiego mężczyzny o intrygującej mrocznej twarzy okolonej czarną brodą. Ksiądz, ubrany w luźną beżową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, siedzi przy drewnianym stole z blatem z plecionki i zaskoczony patrzy w obiektyw. Gruba ręka o krótkich palcach trzyma wysoką szklankę z jakimś miodowym płynem i słomką. W ustach Franciszka Kosmy widać żółte zęby. Najwyraźniej coś mówi. Może chce zaprotestować przeciwko fotografowaniu znienacka? Nikt się pewnie nie będzie nad tym zastanawiał, bo nie to jest istotą całej sceny. Za siedzącym kapłanem stoi, a raczej pochyla się nad nim, ubrana jedynie w turkusowe, niewiarygodnie skąpe bikini czarnowłosa seksbomba: Karolina Koon. Jej strój nie jest nawet kostiumem kąpielowym. To zestaw kilku splątanych cienkich tasiemek nie tyle osłaniający, ile raczej podkreślający słodkie krzywizny opalonego na ciemną miedź i doskonałego w każdym calu ciała. Dwa razy powiększane piersi, o których swego czasu opowiadała Robertowi dokładnie, uroczo się rozchylają, gdy je opiera na spiczastej łysinie wieńczącej czaszkę duchownego. Natarte oliwką ramiona ozdobione są złotymi bransoletkami, a długie, szczupłe palce obu dłoni delikatnie muskają ramiona siedzącego. Cała twarz dziewczyny – rozchylone w wieloznacznym uśmiechu pełne usta, zmrużone oczy przykryte sztucznymi rzęsami i wysoko wzniesione brwi – wszystko to jest manifestacją erotycznej ekstazy i szczerego zadowolenia.

Tekst pod fotosem ma raptem kilkanaście wierszy. Fotoreporterowi „Faktu” udało się uchwycić na plaży Fuerteventury zaskakującą parę. Przed państwem doskonale znany kontrowersyjny ksiądz, budowniczy największego na świecie pomnika polskiego papieża, a zarazem właściciel katolickiej Telewizji Horeb,

wydawnictwa książkowego Arka, dwóch portali internetowych oraz dobrze się zapowiadającej sieci Kina Familijne Bez Seksu i Przemocy. Osoba, którą widać za nim, to nikt inny jak Karolina „Żyletka" Koon, niedoszła finalistka programu *Kochaj, ale rzuć*, twarz kampanii prezerwatyw SucceSex, ostatnio pozostająca w związku partnerskim z polsko-niemiecką aktorką filmów hard porno Denerys Love.

„Czyżby obfitujące w skandale pożycie »Żyletki« z Denerys dobiegło końca? Czyżby panna Love, posiadaczka Rekordu Seksualnego Niemiec, nie była w stanie dostarczyć partnerce wystarczająco mocnych wrażeń? Może dopiero relacja z katolickim księdzem-biznesmenem okazała się tym, czego piękna Karolina bezskutecznie szukała w ramionach innej kobiety?". Autor tabloidu ukrywający poetyckie zacięcie pod skromnym trzyliterowym skrótem PCG powinien pisać przemówienia rządzącym.

Szybki przelot przez główne portale upewnia Roberta, że redaktor naczelny Ventury wykazał się przytomnością umysłu, wyciągając z szuflady jego stary wywiad rzekę. Seksowna „Żyletka", pół Polka, pół Wietnamka, niegdyś gwiazda szklanego ekranu, a ostatnio raczej żałosna dostarczycielka skandalików dla najniższego segmentu barwnych czasopism... ta drobna spryciara znowu jest w grze! Ustawiając się za wielebnym Franciszkiem Kosmą Drozdem – bo to na milę pachnie jednostronną ustawką – zaliczyła lepszy strzał, niż gdyby „dała się nakryć" w sypialni prezydenta... Romans, nieważne, czy prawdziwy, z najsłynniejszym polskim duchownym, „człowiekiem pomnikiem", pogromcą wszelkiej rozwiązłości, chodzącym wzorcem katolickiego konserwatyzmu – to jej zapewni popularność na przynajmniej dwa tygodnie. Przy sprawnym prowadzeniu kampanii – a wygląda na to, że Karolina znalazła się w rękach fachowców – będzie z tego emocji na miesiąc. Już widać,

że wszyscy ewidentnie chwycili temat. Nie tylko Plotki i Pudelki, ale także Onet i Wirtualna Polska ostro jadą z Drozdem i Karoliną. Ktoś wyjaśnia źródłosłów nazwy pustynnej wyspy: Fuerteventura to po francusku „mocna przygoda". Pasuje. Są już pierwsze komentarze publicystów, na razie w tonie pytającym: „Czy ojciec Franciszek oszalał?", „A może to najgrubsza ze wszystkich dotychczasowych prowokacji tabloidu?". Ktoś pisze, że Karolina ma większe piersi niż ostatnio, kiedy pozowała do rozbieranej sesji z koleżanką Denerys i owczarkiem niemieckim. Serwis Majteczki.pl sugeruje, że panna Koon zaokrągliła się wskutek ciąży. Może zaszła z księdzem Drozdem? „To niewykluczony efekt współżycia. Przecież Telewizja Horeb piętnuje wszelkie formy antykoncepcji".

Jajcarze z Majteczek zdążyli już wyprodukować kilkustronicowy tekst *Kuszenie „świętego" Franciszka*. Ilustrują go obrazem zakonnika otoczonego przez nagie nimfy z tamburynami w dłoniach. Robert, z zawodu nauczyciel plastyki, przypomina sobie, że obraz przedstawia świętego Hieronima, a nie Franciszka, i namalował go bodajże Siemiradzki. Fachowo odmalowane golasy mają okrąglutkie piersi, zaś kuszony nieszczęśnik w średnim wieku – czarną brodę. Jak Drozd. I o to chodzi!

Chyba rzeczywiście kroi się dłuższa historia. Nawet witryna Gazeta.pl nie oparła się smakowitej okazji. Stawiają sensację dopiero na trzecim miejscu, ale jednak wysoko i ze zdjęciem.

Tylko w obu portalach wielebnego Drozda – patriotycznym i religijnym – ani słowa. Pewnie wstrzymują się z przekazem do czasu, aż ustalą linię obrony.

Kiedy pani tego mieszkania – Kamila – woła Roberta, by zabrał się z chłopcami do rozstawiania talerzy pod naleśniki, portal „Faktu" wrzuca nowy nagłówek. Zapowiadają „ekskluzywny" wywiad w poniedziałkowym wydaniu gazety. Ukaże się pod tytułem:

Karolina Koon szczerze o księdzu Droździe. Celebrytka odpowie na wszystkie dręczące naród pytania. Dobre sobie...

– Robert, idziesz tu do nas czy nie?!

– Już, w tej chwili!

– Coś taki wesolutki?

Ona stoi w wąskim przejściu z kuchni do pokoju, w jednej ręce trzyma talerz z naleśnikami, w drugiej karton soku jabłkowego z Tesco. Bez tradycyjnych szpilek jest niewiele wyższa od Krzysia, ufarbowane na ciemny bursztyn włosy związała sobie w kok na czubku głowy, lecz dwa pasma zdołały się wymknąć i teraz uroczo opadają na policzek. Robert trąca nosem wysokie, blade czoło, na którym błyszczą słone kropelki.

– Uwielbiam smak twojej skóry i twoich cycuszków... chciałem powiedzieć placuszków.

Odbiera talerz, wącha zawartość. Jasio chichocze, Krzysio robi zdegustowaną minę z cyklu „ojciec, nie ośmieszaj się". Kamila sprawia wrażenie, jak gdyby chciała go ofuknąć, ale w końcu siadają zgodnie przy stole.

– Ci goście z Poznania, co mi kiedyś nie zapłacili... pamiętasz... opowiadałem ci, że pisałem dla nich biografię tej skośnookiej cycatej z Polsatu...

– Pamiętam.

– Są gotowi zapłacić, jeśli szybko zaktualizuję im tamten tekst. Tylko nie wiem, czy ja tego chcę.

– Ile dają?

– Dziesięć tysięcy na początek. Ale zaśpiewałem trzydzieści w sumie. Na odczepnego.

– I odczepili się? – Pani domu zamiera z widelcem w dłoni.

– Nie wiem. Może oddzwonią. A może nie.

– Robert... czy ty sobie zdajesz sprawę, ile my mamy niepopłaconych rachunków? Idzie zima, chłopcy nie mają kurtek ani rękawiczek. Janek wyrósł już z butów...

– Ja też wyrosłem. – Krzysztof, z ustami w podkówkę, unosi dwa palce, jakby się zgłaszał do odpowiedzi. Robert już dawno zauważył, że gdy rodzice rozmawiają o pieniądzach na utrzymanie, dzieci robią się grzeczniejsze niż zwykle.

– Słyszałam w Trójce o Droździe i „Żyletce"... – Kamila wraca do jedzenia. Jest zbyt doświadczoną dziewczynką, by okazywać przedwczesną ekscytację, ale trzydzieści tysięcy to kasa, jakiej nie widzieli od paru lat. – Nawet tak pomyślałam, słuchając, że skoro masz o niej gotową książkę, to teraz pewnie ktoś się zgłosi... Przeprosili cię chociaż za tamto?

– Nie zależy mi na tym, żeby przepraszali. Po prostu nie wierzę tym ludziom za grosz. I staram się wyciągać wnioski z dawnych porażek. Spławili mnie wtedy jednym listem. Teraz może być identycznie.

– Tata! On mi nie chce podać dżemu! – Rozmowa o pieniądzach się kończy i cierpliwość dziecięca także.

– Możesz chyba poczekać... pedale!

– Krzysiek, jak ty mówisz na niego?!

– No, patrz, mama, ile sobie nawalił na placek. Specjalnie żeby dla mnie zabrakło! Gejuch.

– Robert, nie uśmiechaj się jak nienormalny, tylko powiedz im coś! – Gdy Kamila marszczy wyskubane brwi, na czole pojawia jej się głęboka pionowa zmarszczka.

– Coś!

– I to ma być śmieszne?!

– Miśki moje... przestańcie robić chlew, bardzo was proszę. Jak mi przyślą pieniądze, kupię wam drugiego lapa i każdy będzie miał

wreszcie swojego, tak jak chcieliście. Pasuje?!

– Ale ten nowy dla mnie!

– Taaa... sra-mnie! Tata powiedz, że nowy mój będzie! Wystarczy chyba, że wszystkie ubrania mam po tym geju.

Robert już międli w ustach grubszą wiązankę, ale tylko parska śmiechem i niechcący wypluwa na środek stołu lepki kawałek naleśnika. A potem myśli sobie, że po pierwsze, jego dzieci faktycznie są odziane jak pensjonariusze najgorszej ochronki w mieście, a po drugie – za wcześnie złożył im obietnicę zakupów. Kasa jest jeszcze daleko. Może nie będzie jej wcale. Murka jakoś nie oddzwania. Niewykluczone, że szuka innego autora, który po prostu przerobi tekst, a jemu nie zapłacą grosza. To by było w ich stylu.

Powinieneś się, człeku, zgodzić na cholerne dwadzieścia tysięcy w dwóch ratach.

2.

Niedziela, 20 października, późne popołudnie.
28 dni przed tragedią w Białołęce

Od samego rana nad miastem wiszą ciężarne, grafitowe chmury, a powietrze poprzetykane jest prądami tak zimnymi, że czuje się nadchodzącą zimę. O czwartej szarość dnia przechodzi w przygnębiający antracyt. Po powrocie z osiedlowej pizzerii Kamila ściągnęła wysokie obcasy i padła na sfatygowaną, porwaną kanapę, aby zrobić to, co najrozsądniejsze – uciąć sobie drzemkę. Opchani najtańszą margheritą Krzysio i Jasio zasiedli na podłodze dużego pokoju nad zestawem dwucentymetrowych figurek rycerzy. Ustawiają pole bitwy razem z Brajanem, młodszym koleżką

z parteru, synem tak zwanej Chudej Lucyny, kobiety sprzątającej klatkę schodową i mieszkania bogatszych lokatorów.

Robert zaprosił Brajana i na pizzę, i na wieczorną gościnę. Miły, rudowłosy brzdąc pojawił się u nich już kilka razy i po każdej kolejnej wizycie coraz bardziej przypada redaktorowi do gustu. Jego chłopcy są wygadani i skorzy do kłótni, a Brajanek – małomówny i zgodny. Krzysia i Jasia wszystko szybko nudzi, a synka Chudej kręci każda, najbanalniejsza nawet zabawa: może być stary samochodzik, mogą być karty z piłkarzami albo i kieszonkowy wskaźnik laserowy za dwa złote. Jeżeli Krzyś i Jasio mają się kiedykolwiek nauczyć cieszenia się życiem, to prędzej złapią pozytywnego bakcyla od tego chłopaczka niż od tatusia i mamusi, to pewne.

Poznań dzwoni w tej samej chwili, w której za oknem włączają się latarnie. Robert przez dłuższą chwilę nie odbiera. Nie daj, człowieku, poznać po sobie, że czekałeś. Że od rana o tym myślałeś. Bądź spokojny. Jeszcze dwie sekundy wyczekaj... już!

– Taaa...?

– Z tej strony jeszcze raz Rogalska. Monika Rogalska. Mam wspaniałe wiadomości, panie redaktorze.

Czterdzieści minut później w skrzynce mailowej pojawia się umowa – trzydzieści tysięcy będzie wypłacone w dwóch transzach, zgodnie z życzeniem autora. Jest i rachunek na pierwszą połowę. Pruski przebiega wzrokiem tekst. To, czego szuka, zaznaczono wytłuszczonym drukiem. Zaliczka płatna w dniu dwudziestym pierwszym października, drugie tyle nie później niż w dniu oddania tekstu. Autor oświadcza, że posiada wszelkie i wyłączne prawa do utworu literackiego zwanego dalej „Utworem”...

Kamila posapuje w półśnie. Będzie zadowolona. Dzieci będą zadowolone. Ty też będziesz zadowolony, człowiecze. Praca czyni

lepszym. Do dzieła!

Zamknięty w dziecięcym pokoju i już całkowicie skupiony na zadaniu zaczyna przekopywać internetowe doniesienia na temat ostatnich, nieznanych mu bliżej czterech lat łajdackiego żywota Karoliny Koon.

Już po kwadransie widzi, że wpadł w pętlę.

Wyników jest niby pełno, ale to ciągle te same, po wielokroć przekopiowane teksty. Właściwie trzy krótkie notatki sklecone z banalnych wypocin plus jedna dłuższa rozmowa towarzysząca rozbieranej sesji dla magazynu „Bicz" – z koleżanką, pieskiem i gumowym fiutem.

Czarnowłosa i czarnobrewa Karolina wygląda na zdjęciach jak azjatycka Barbie rozmiarów kobiety. Niewiarygodnie długie nogi wbiła w smoliście czarne buty na platformach – jej jedyne w tej chwili ubranie. Pod szyją demona seksu błyszczy znak rozpoznawczy: złota żyletka na cienkim łańcuszku.

Koleżanka panny Koon – jasnowłosa Denerys Love – prezentuje się podobnie, tyle że wszystko, prócz wielkiej czupryny złotych loków, ma w odcieniach różu. Fuksjowa szminka na wydatnych, podpompowanych ustach, fiołkowe pończochy do pół uda, eozynowe sandały rzymianki, malinowe stringi z rozcięciem w kroku.

Pytanie magazynu „Bicz" do Karoliny: „Opowiedz nam, jak działa na Ciebie Denerys".

Odpowiedź: „Działa na mnie jak płachta na byka...".

Cała reszta tekstu, zakończonego płomiennym apelem „Żyletki" i Denerys o legalizację małżeństw lesbijskich, przedstawia zbliżoną wartość. Gówno, z którego nic się nie da ukręcić. Nie wiadomo, czy one mieszkają razem, czy osobno. W Polsce czy może w Niemczech?

Nie wiadomo, kiedy rozmowa została przeprowadzona, nie ma w ogóle żadnych faktów, których można by się złapać.

Googlowanie panny Love daje równie mizerne rezultaty. Wszystkie tropy prowadzą na stronę z krótkim filmem o miłości, gdzie bohaterka w stalowym bikini i ostrym makijażu klęczy u stóp pięciu lub sześciu nagich facetów w czarnych kominiarkach. Robert przypomina sobie, że ma za ścianą małych chłopców, z których każdy może za moment wejść. Zamyka witrynę, a potem usuwa jej adres z historii wyszukiwań. „Bicze" i tym podobne badziewie to nie są źródła, w których można natrafić na informacje, jakich szuka. Trzeba albo poczekać, aż Koon wróci z Fuerteventury, i ustawić się w ogonku czekających na wywiad – albo poprosić o pomoc Maję. Jeżeli ktokolwiek spośród osób, które Robert poznał w życiu, jest w stanie wycisnąć z internetu dość wiadomości o „Żyletce", by zmajstrować z tego chociaż dwadzieścia stron zakończenia dzieła *Karolina Koon bez tajemnic* – tą osobą jest właśnie Maja Szalawska. Królowa ekspresowego riserczu. Mistrzyni w składaniu najtrudniejszych do spasowania puzzli. Cesarzowa globalnej sieci, która o mało nie zapłaciła kiedyś życiem za swe uzdolnienia.

„Mam szybką robotę w necie. Trzeba ustalić szczegóły ostatnich trzech lat życia Karoliny Koon. Tej z Polsatu i ostatnio z »Faktu«". Wysyła SMS-a, a potem przechodzi do kuchni, starając się nie obudzić śpiącej pani domu ani nie ściągać na siebie uwagi pochłoniętych grą malców. Z obtłuczonej szafki nad zlewozmywakiem wyciąga herbatę, choć wolałby wódkę.

* *

Córka byłego ministra i konsula Konstantego Szalawskiego siedzi w jadalni wielkiego domu ojca w Piasecznie i ogląda tabletkę nasenną. Za chwilę połknie to zielonkawe ziarenko i tak skończy się

kolejny dzień, w którym nie zrobiła niczego pożytecznego. Pastylka rohypnolu – kupionego przez internet i dawno przeterminowanego, lecz wciąż działającego – czeka cierpliwie między kryształową szklanką wypełnioną perrierem Paul & Joe a płaskim telefonem, który doskonale łączy swą właścicielkę z siecią, ale ostatnio prawie wcale nie łączy jej z ludźmi. Purpurowy samsung galaxy S4 ma nadpękniętą szybkę i ta skaza jest jednym z dwóch elementów niepasujących do idealnego wnętrza ojcowskiej rezydencji pełnej oryginalnych obrazów, ręcznie wykonanych mebli i egzotycznych roślin. Drugim niedoskonałym elementem jest ona sama. Była studentka, była narzeczona, była bohaterka, partnerka, kochanka, niedowarzona prawniczka, której stuknęło niedawno ćwierć wieku. Nie ma dzieci, nie ma znajomych, nie ma swojego mieszkania, nie ma pracy ani pomysłu na siebie. Fakt, że mężczyźni oglądają się za nią na ulicy, nie zmienia niczego, tak samo jak tona przeczytanych w książkach mądrości. Jej ostatni chłopak, młody dyplomata, powiedział przed rozstaniem, że jest „genialną idiotką" – i mógł mieć rację.

Plum-plum. Nowa wiadomość.

Robert!

W pierwszej chwili chce czytać od razu, lecz w drugiej – powstrzymuje ruch palca. Trwaj, chwilo. Wydzielaj się, dopamino. Robert w niedzielny wieczór. Robert w Warszawie? A może w drodze? Robert po raz wtóry? Robert po raz który? Robert, Robert, Robert...

Po dramatycznej przygodzie na zamarzniętych rozlewiskach Wisły – o mało nie zakończonej śmiercią ich obojga – widziała się z nim może trzy, cztery razy. To się nawet da policzyć. Pierwsze spotkanie po wyjściu ze szpitala odbyło się w kawiarni na Saskiej Kępie. Była wczesna wiosna i wyglądało na to, że nieuchronnie czeka ich coś

romantycznego. Drugie spotkanie: klubowy koncert fandango. Kołysali się przytuleni, on z ustami w jej włosach. Potem długa rozmowa przy opustoszałym barze. Opowiedział jej o Iwonie Tomaszewskiej, swojej toruńskiej partnerce, która opuściła go dla innego, również żonatego mężczyzny. Tamtej nocy dowiedziała się o redaktorku, jak go zaczęła pieszczotliwie nazywać, także różnych innych ciekawych szczegółów. Choćby tego, że jest bezdomny – tak jak i ona. Zamieszkały jedną nogą u byłej żony, z którą i jest razem, i nie jest, a drugą nogą – w warszawskiej redakcji „Rynku Sztuki" jako sublokator swego pracodawcy.

Na trzecie spotkanie zajęty swoimi sprawami redaktorek kazał jej długo czekać. Zbyt długo. I wtedy właśnie pojawił się Jarosław, a ona zrobiła głupi, dziewczyński błąd. Czy dała się uwieść dlatego, że Jarek był fizycznie podobny do Pawła, jej pierwszego prawdziwego, idealnego ukochanego? Genialna idiotka...

Dłużej nie poczeka. Otwiera wiadomość rozpoczynającą się słowami „mam szybką robotę w necie". Czyta dwa razy. Pragnie coś zaśpiewać, gdy odpisuje: „Robota to jest to, czego właśnie szukam, redaktorku. Zadzwoń, jak możesz :)".

3.

Poniedziałek, 21 października, poranek i przedpołudnie.
27 dni przed tragedią w Białołęce

Mimo siąpiącego w ciemności deszczu Robert otwiera okno samochodu. Wyciąga z paczki pall malla i włącza tanią zapalniczkę. Płomyk strzela za czwartym naciśnięciem. Zamierzał zapalić dopiero za Lipnem, ale wiadomości radiowe o szóstej trochę go

podekscytowały. Jeszcze smaczniejszy okazał się następujący po serwisie przegląd prasy. Zaczęli od „Faktu" i omówienia rewelacji Karoliny: „Tak, jestem na Fuerteventurze, pogoda jest doskonała, prawie trzydzieści stopni, słonko grzeje. Tak, spotkałam się z księdzem Franciszkiem w hotelu Riu Palace przy Wielkiej Wydmie Corralejo. Tak, to prawda, że mój związek z Denerys przeżywa ostatnio kryzys. Owszem, był to jeden z powodów mojego wyjazdu z kraju. Rzeczywiście, uznałam, że po okresie współżycia z miss Love przyda mi się odmiana. Tak, mam na myśli ojca Drozda, ale nie mogę i nie chcę zdradzać żadnych intymności. To sprawy między mną a Frankiem".

Teraz już Franek... Dobre sobie! Karolinka, która nie tak dawno ze szczegółami opowiadała redaktorom magazynu „Bicz", jak pakuje w dupsko swej partnerki półmetrowy wibrator, teraz nagle nie może zdradzić „intymności". I kto jej w ogóle podsunął taki trudny wyraz? Zresztą, nieważne. Ważne, że maszyna już się kręci. Kolejne wiadomości odsłuchane między Sierpcem a Drobinem rozpoczynają się co prawda od przedwyborczych sondaży i kłopotów z prawidłowym naliczaniem składek ZUS, lecz zrobili ten rozbieg chyba tylko dla przyzwoitości, bo gdy czytająca dziewczyna kończy raport społeczno-ubezpieczeniowy, aby przejść do Karoliny i kapłana, jej beznamiętny dotąd głos się ożywia. Na początku radiosłuchacze dowiadują się, że katolicki ksiądz i perwersyjna kochanka baraszkowali na Wyspie Mocnej Przygody w jednym z najdroższych hoteli, bo takim jest właśnie ultranowoczesny, położony nad samym oceanem Riu Palace. Potem spikerka czyta smaczne fragmenty oświadczenia zarządu fundacji Angelus Dei, formalnego właściciela Telewizji Horeb, wydawnictwa książek i sieci grzecznych kin dla pobożnych rodzin.

Robert przeczytał całe to obwieszczenie już wczoraj na stronie dla patriotów, ale nie nudzi się, słuchając jeszcze raz. W związku z nieobecnością w kraju szanownego Drozda zarząd oświadcza w jego imieniu, co następuje: „Nie istnieje żaden, najmniejszy nawet związek między Prezesem Fundacji ojcem Kosmą Franciszkiem Drozdem i panią Koon. Ksiądz Prezes nigdy nie spotykał się z tą osobą, nigdy z nią nie rozmawiał, o jej istnieniu dowiedział się z mediów w dniu wczorajszym. Wszelkie pseudoinformacje na temat ich rzekomego wspólnego urlopu są kolejnym atakiem na władze Fundacji, Telewizję Horeb, wydawnictwo Arka i księdza prezesa osobiście. Metody stosowane przez niektóre polskojęzyczne media przypominają najgorsze zbrodnie komunistycznego totalitaryzmu...".

I tak dalej, w typowym dla Horeba stylu.

Wjeżdżając w mokrym, chmurnym przedświcie na dwupasmówkę za Płońskiem, Robert zastanawia się, w jakim celu – jeśli nie na erotyczny urlop z Karoliną – wielebny wybrał się do odległego o prawie cztery tysiące kilometrów od Warszawy Riu Palace. To, że sprytna dziewczyna nie jest żadną jego kochanką, a tylko podeszła od tyłu zaraz po tym, gdy paparazzi dał znak, że jest gotów, wydaje się więcej niż prawdopodobne. Goście z fundacji Angelus Dei nie są idiotami. Skoro zaprzeczają znajomości, muszą mieć pewność, że kolejny numer „Faktu" nie zaskoczy czytelników następnymi zdjęciami, na przykład obojga w hotelowym basenie.

Ale dlaczego Drozd po prostu nie powie, że poleciał tam na konferencję katolickich kiniarzy, wydawców literatury konfesyjnej albo cokolwiek tym stylu? Czemu nie zapewni, że zbierał wśród bogatych turystów datki na nowe przedsięwzięcia... i nikomu nic do tego?

Oto jest pytanie.

Zamyślony o mało nie przegapia ostrzegawczego mrugnięcia światłami ze strony jadącego po przeciwległym pasie sportowego auta. Hamuje gwałtownie, łyse opony wysłużonego subaru ślizgają się na mokrym asfalcie, ABS chrupie uspokajająco. Tuż za zakrętem policjanci namierzają ofiary z uchylonego okna srebrzystego passata. Robert przejeżdża obok z siedemdziesiątką na liczniku i zadowoloną miną. Dobry nastrój opuszcza go pięćdziesiąt kilometrów dalej. Sznur wjeżdżających do Warszawy nieruchomieje przed Młocinami. Do świateł przy McDonaldzie jeszcze co najmniej dwa kilometry, do rozpoczęcia zajęć w szkole dziennikarskiej – trochę ponad pół godziny. Właściwie nie ma już szans, by zdążył.

Dziewięćdziesiąt minut i cztery papierosy później okazuje się, że rozpaczliwe, chwilami wściekłe manewry na zakorkowanej Wisłostradzie nie były do niczego potrzebne. Dopiero teraz są powody do złości.

* *

Wyższa Szkoła Dziennikarstwa – jego żywicielka – zajmuje wysoki parter szarego bloku przy ulicy Chełmskiej. Pobliska wytwórnia filmów dokumentalnych – gdy była jeszcze państwowa – trzymała tu stare taśmy. Potem brzydki, wiecznie brudny budynek opanowali studenci i wykładowcy. Najpierw zajęli go w całości, lecz z czasem – i niszczącym pochodem niżu demograficznego – szkółka musiała się ograniczyć do dwóch kondygnacji, a od zeszłego roku – do jednej.

Nieopróżniony od tygodnia śmietnik przed gmachem – to już bywało. Ale wybita szyba w drzwiach wejściowych? Omijając błotnistą kałużę i wchodząc po sześciu wyszczerbionych schodach, Robert ma już nie przeczucie, lecz pewność, że jest źle. W długim

mrocznym korytarzu ledwo kilka osób. Chrzęści niesprzątnięte szkło. Portiera brak. Szatnia – pusta. Brodaty, krótko ostrzyżony trzydziestolatek przechodzi w poprzek nieoświetlonego holu, wygadując coś do telefonu. To chyba chłopak prowadzący ćwiczenia z montażu telewizyjnego i, zdaje się, dojeżdżający z Przasnysza. Mówi prędko, połyka wyrazy. Nim wchłonie go ciemny koniec pomieszczenia, Robert chwyta kilka przekleństw.

Idzie w stronę sali numer dwanaście, gdzie od godziny powinna czekać jego poniedziałkowa grupa. Ukryte w czarnej wnęce drzwi są otwarte, lecz w środku – nikogo. Na sfatygowanych ławkach sprowadzonych przed laty z jakiejś podstawówki leżą odwrócone przez sprzątaczkę krzesła, ale podłoga nie jest wyczyszczona. Przeciwnie: pod ścianą leży przewrócony kubeł, a wokół – rozsypana zawartość. Na parapecie – jeszcze mokry parasol.

Na korytarzu staje twarzą w twarz z pulchną szatynką w długim przeciwdeszczowym płaszczu i kaloszach w kwiaty.

– To pan jednak przyjechał, panie redaktorze? – Martyna, może Marlena, w każdym razie nieformalna szefowa jednej z trzech grup, z którymi prowadzi – a raczej prowadził – tu zajęcia, zatrzymuje się tak blisko niego, że czuje jej ciężkie perfumy. W rozwichrzone i wilgotne włosy dziewczyny zaplątał się liść.

– A dlaczego miałbym nie przyjeżdżać?

– Administracyjni ogłosili już w weekend, że nie otworzą szkoły, dopóki nie wpłyną pensje za kwiecień i maj. Ja byłam o dziewiątej trzydzieści, więc tylko słyszałam, co się działo rano. Przyjechał pan kanclerz i kazał jednemu chłopakowi wybijać szybę. Jak weszli, wtedy się okazało, że prądu nie można włączyć. I koniec.

– Wasza grupa...?

– Już poszli. Ja się wróciłam po parasol. Pan kanclerz mówił, że będą telefonowali i przyjdą do wszystkich maile. Ale na razie,

do końca tygodnia, jest przerwa.

– Czyli sobie poodpoczywamy. – Robert próbuje uśmiechnąć się do studentki.

Dziewczyna wzrusza ramionami. W jej płaszczu dzwoni komórka.

– Do zobaczenia.

Ma ochotę jak najprędzej stąd wyjść. Już jasne, dlaczego w tym roku rektorat zarządził opłatę czesnego z góry, i to koniecznie do piętnastego października. Nie będzie żadnych „telefonów i maili za tydzień". Czterdziestosiedmioletni redaktor Pruski, który przetrwał upadek niejednego pracodawcy, czuje, że to koniec.

Brodaty specjalista od montażu też najwyraźniej jest pozbawiony złudzeń. Skończył już rozmowę telefoniczną i teraz stoi w połowie zewnętrznych schodów, paląc papierosa. Siąpiący z ołowianego nieba kapuśniaczek jakoś mu nie przeszkadza.

– Nieźle nas, kurwa-twa, załatwili – mruczy niby do siebie, ale na tyle głośno, że Robert odbiera to jako zaproszenie do wspólnego ponarzekania. Wyciąga pall malle. Przez dziesięć minut rozmawiają o tym, że to się musiało tak skończyć. Właściwie kolega z Przasnysza mówi sam. Ma ochotę gwałtownie się otworzyć. Jest byłym kamerzystą małomiasteczkowej telewizji, która zwinęła żagle przed dwoma laty. Dwoje dzieci, a żona właśnie w trzeciej ciąży. Planowali przeprowadzkę do Warszawy.

– Ale teraz chuj, dupa. – Brodaty wysysa papierosa do ostatka i pstryka niedopałkiem prosto w rozbite drzwi szkoły. – Nagarnęli pieniążki, nie zobaczysz, kurwa-twa, pana rektora więcej w życiu. Ani pana kanclerza.

– Trzymaj się. – Robert wyciąga rękę, ściska mokrą dłoń montażysty i zostawia go samego z kłopotami. Idzie do kiosku po gazety, a potem do narożnego bistro, by zjeść kanapkę, wypić

kawę, a przede wszystkim – zadzwonić do Majki i poprosić o przyspieszenie spotkania w kawiarni galerii handlowej Sadyba.

Ustalają nową godzinę – dwunastą. Tak samo jak wtedy, gdy poszli zjeść gryczanego, wiosennego naleśnika na rogu Francuskiej i Obrońców, a wszystko wydawało się jeszcze możliwe. Tylko że on, głupi, zamiast zająć się dziewczyną, biegał od jednej błahej sprawy do drugiej. Nie poszedł za ciosem.

Na usprawiedliwienie może sobie policzyć to, że miał wówczas zakręty na uczelni, wyprowadzkę od Iwony i kłopoty w redakcji. A kiedy wreszcie znalazł czas, by przejechać się z Majką na odkładaną od miesięcy rowerową wycieczkę wzdłuż linii otwockiej, okazało się, że jest za późno.

Był ciepły początek listopada, a oni podziwiali z siodełek drewniane domy w stylu świdermajer. Potem rozpakowali niewielkie plecaki i jedli na dworcu kozi ser z pomidorami. Maja wypiła sama pół butelki cienkiego, zalatującego perfumami rieslinga i opowiedziała mu o niejakim Jarosławie, dwudziestopięcioletnim rówieśniku, który jest przystojny, dowcipny, zna sześć języków i ma „bardzo poważne" zamiary względem niej. Młody kawaler o słowiańskim imieniu dostał – na razie niską – posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wkrótce spodziewa się awansu i skierowania na placówkę. Już nawet słyszał, dokąd go wezmą – najpewniej będzie to Pekin. Jechać z nim czy nie jechać? Oto jest pytanie, które Majka zadała swemu niedoszłemu kochankowi.

W ciągu kilku minut w pięknych okolicznościach przyrody – i niepowtarzalnych – redaktor Pruski z pozycji potencjalnego partnera seksualnego został grzecznie przesunięty na pole Wujek Dobra Rada. Odstawiony i sponiewierany duchowo na złość sobie zalecił Majce jak najszybsze wprowadzenie się

do nowowilanowskiego apartamentu początkującego dyplomaty, a potem wspólny lot za chiński mur.

Przez kolejne sześć miesięcy rzadko do siebie dzwonili, częściej ona posyłała SMS-a: „co słychać?". Rzeczywiście wprowadziła się do Jarosława poligloty, ale nie wyleciała z nim do Chin. Ich „bardzo poważny" związek nie przetrwał dziesięciu miesięcy. On opuścił ojczyznę, a ona wróciła do Piaseczna, do rezydencji swego obrzydliwie zamożnego, ustosunkowanego i samotnego taty. Postanowiła dokończyć studia prawnicze i poszukać pracy, ale zdaje się, że na postanowieniu sprawa ugrzęzła.

„Od śmierci Pawła czuję się opuszczona i nie potrafię niczego doprowadzić do końca" – napisała Robertowi w jednym z nocnych SMS-ów, wspominając swą pierwszą wielką miłość. „Nawet mi już nie żal rozstania z Jarkiem. Jestem maksymalnie beznadziejna".

Odpisał jej: „Na pewno wkrótce kogoś fajnego poznasz", i zaraz po tym, jak nacisnął „Wyślij", zawstydziła go własna smarkateria. Majka odpowiedziała zalotnie: „A może z braku lepszych oferentów poznam jeszcze bliżej ciebie". On się odwdzięczył jakimś wybitnie świńskim bon motem i niemalże zerwana na wieki znajomość natychmiast odzyskała dawny czar.

Dwa tygodnie temu – tuż po rozpoczęciu roku akademickiego – zaliczyli wspólną wizytę w tajskiej jadłodajni przy Marszałkowskiej, a potem spacer, w trakcie którego nastąpiło tak zwane oczyszczenie przedpola. Maja przyznała, że znowu odłożyła wznowienie studiów, opowiedziała też – z dużą dozą samokrytycyzmu – dlaczego nie dała rady utrzymać relacji z Jarosławem. Najkrócej rzecz biorąc: nie czuła do młodego dyplomaty nawet połowy tego, co wcześniej do Pawła.

Robert naszkicował – starając się, by zabrzmiało to żartobliwie – własną sytuację osobistą. Tu, w Warszawie przy Francuskiej, wciąż mieszka sam. Korzysta z części willi właściciela „Rynku Sztuki",

który przez większość roku jest za granicą. W Toruniu też bez większych rewelacji – w weekendy nocuje w ciasnym mieszkaniu z matką swoich dzieci i synami. Maja nie zapytała, co ma na myśli, mówiąc „nocuje", a on celowo nie wyjaśnił. Sam miałby problemy z jasnym wyłożeniem skomplikowanej relacji z Kamilą.

* *

Gdy parkuje auto przed rozłożystym blaszakiem galerii handlowej zwanym dumnie Sadyba Best Mall, jest jedenasta pięćdziesiąt. W kafejce na pierwszym piętrze zamawia herbatę. W oczekiwaniu na Majkę trzy razy sprawdza w telefonie, czy nie przyszedł SMS z informacją o przelanych z Poznania pieniądzach. Na razie nic nie ma. Popijając czarnego liptona za prawie dziesięć złotych, kończy lekturę dzisiejszych artykułów o Koon i Droździe. Można je z grubsza podzielić na dwa rodzaje: te, w których autorzy bezkrytycznie – albo cynicznie – przyjmują romans księdza z „Żyletą" za pewnik, oraz takie, gdzie wspomina się o możliwej prowokacji tabloidu względem duchownego. „Wyborcza" donosi, że dziś wieczór ksiądz ląduje na Okęciu i może coś wyjaśni osobiście.

– Dzień dobry, redaktorku.

– Oooo... cholera! To ty?

Maja zawsze wydawała mu się pięknością, ale dotychczas jej urok był raczej taki... młodzieżowy i owocowy. Zgrabny tyłeczek w opiętych, spranych dżinsach, na stopach baleriny albo adidasy, wydekoltowane bluzki odsłaniające szczupłe i piegowate ramiona, do tego zadarty nosek Panny Mądralińskiej. A teraz stoi przed nim dojrzała bogini seksu. Wysokie szpilki – wyraźnie wyrób z górnej półki – krótka i prosta spódnica, na tym lakierowany trencz w kolorze kości słoniowej. I tylko te same, nieziemsko jasne oczy

mówią wesoło: oczywiście, że to jestem ja – twoja przyjaciółka Majka. Tyle że odstrzeliłam się na spotkanie. Doceń.

Zamawiają po kawie i owsiane ciastka. Ona wyciąga z torebki tablet. Gdy schyla głowę, rozpuszczone blond włosy, pofalowane i mokre, kładą się na długiej szyi, którą kiedyś przebił pocisk. On widział tamtą kulę w locie. A dziś nie widzi nawet blizny na skórze. Maja opowiadała, że ojciec opłacił najlepszego chirurga.

Robert przechodzi do rzeczy.

– Przede wszystkim gołe fakty. Cztery lata temu Koon mieszkała jeszcze tu blisko, w Zielonce. Tam z nią robiłem cholerny wywiad. Kręcił się przy niej pedałkowaty kamerzysta, młody ćpunek, proponował mi amfę. Miałem nawet jego telefon, ale po tym, jak Karolinkę wypierdolili z Polsatu, wywaliłem wszystkie notatki. Dalej jest luka aż do tekstu z „Superaka" z września zeszłego roku, gdzie mamy właściwie tylko podpis pod zdjęciem: „Żyleta" i ta blondyna od pornosów, Denerys Love, są partnerkami i chcą wziąć lesbijski ślub w Holandii, Hiszpanii albo Kalifornii. Ewidentny bzdet, żadnych danych, tyle tylko wydedukowałem, że sobie cycki kolejny raz powiększyła.

– Przedtem pracowała dla Ero-Gero Medizinalbedarf. – Maja przesuwa palcem po ekranie.

– Dla kogo?

– Niemieccy producenci kondomów.

– Skąd wiesz?

– Dzisiaj wygooglałam.

– A mnie to jakoś nie wyskoczyło.

– Może masz gorszą wersję Google'a. – Majka uśmiecha się tak ślicznie, że Robertowi rośnie puls. – Denerys też im dawała twarz, czy raczej pupę. Ero-Gero to nie są zwyczajne kondomy. To wyroby dla sado-maso. Patrz tutaj.

Na ekranie tabletu widać stojącą w rozkroku różowiutką Denerys, a obok – Murzynkę zakneblowaną kulką na skórzanym pasku. Pomiędzy obiema paniami – reklamowany, najeżony kolcami produkt.

– Termodynamiczna sonda wibracyjna – Maja tłumaczy niemiecki podpis. – Podoba ci się?

– Marzę, by sobie gdzieś wsadzić.

– Jedyne trzydzieści sześć euro plus koszt wysyłki. Możemy chyba założyć, że Koon i Denerys poznały się w Niemczech na sesjach fotograficznych dla Ero-Gero. Jeszcze to ogarnę. I znajdę prawdziwe nazwisko tej Love. Na razie wiem, że ma na imię Sławomira i pochodzi z Łabiszyna, gdziekolwiek to jest.

– Okej. Czyli dziewczęta poznały się w Rajchu.

– Potem obie zjechały do Polski. To zdjęcie z „Superaka", jak mówisz, jest podpisane agencją RTMX Studio, sesja była robiona w Warszawie, już do nich dzwoniłam, czy mogą mi sprzedać fotkę. Kiedy ustalę nazwisko fotografa, dowiemy się więcej.

Rozmawiają jeszcze przez kwadrans o kolejnych szczegółach czekającej ich pracy, po czym Robert – kręcąc w dłoniach niezapalonego papierosa – przechodzi do drażliwego punktu.

– Za cały risercz mogę ci odpalić, powiedzmy, pięć tysięcy. I musiałabyś zmieścić w tym swoje koszty.

– Robert... – Majka kiwa nań zgiętym palcem wskazującym. On pochyla się ku niej nad filiżankami i resztkami ciastek, a ona dotyka kciukiem jego czoła. – Jestem ci winna dużo więcej niż tę robótkę. Zrobimy to szybko i sprawnie, skończysz pisanie, a później zabierzesz mnie znowu na jakiś koncert albo na rowery. I to będzie moja zapłata. W porządku?

– Na rowery już trochę za zimno.

– Wymyślisz coś innego. Byle nie po pół roku.

4.

Poniedziałek, 21 października, wieczór

Jego baza na Saskiej Kępie – Pruski stara się nie nazywać tego lokum „mieszkaniem” – to schowana wśród starych drzew kwadratowa willa z półokrągłym wykuszem jadalni, wielkim tarasem i mnóstwem zakamarków w środku. Jej właściciel, siedemdziesięcioletni Szymon Galper – założyciel „Rynku Sztuki”, z zamiłowania marszand, z zawodu operujący na dwóch kontynentach kamienicznik – ulokował tu redakcję pisma z redaktorem naczelnym w pakiecie. Pruski zajmuje część piętra złożoną z dwudziestometrowego pokoju, łazienki oraz łączącego je korytarza wychodzącego na mały balkon. Obok dwie sale redakcyjne, a dalej puste przez większą część roku apartamenty gospodarza: biblioteka, sypialnia i dobrze wyposażona salka do ćwiczeń fizycznych, z której Galper pozwolił Robertowi korzystać, lecz ten nie korzysta. Poza tym są tu jeszcze cztery dodatkowe pokoje gościnne. Kiedy jeszcze wydawali obecny kwartalnik w cyklu dwumiesięcznym i trzeba się było mocno spinać, by wykończyć na czas przeszło sto bogato ilustrowanych kolumn, bywało, iż czteroosobowa redakcja pracowała po czterdzieści godzin bez przerwy. Wtedy nie tylko Robert zostawał tu na noc.

W gościnnym sypiał ich grafik-fotoedytor, a zarazem sprzedawca reklam – Miłosz. Ten dwudziestopięcioletni, pająkowaty i wiecznie rozczochrany rysownik z napoczętą Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku od przyjazdu do Warszawy zdążył już zaliczyć pół tuzina redakcji. Zaczął od „Newsweeka”, na koniec zredukowali go z „Gościa Niedzielnego” z etatu tak zwanego dilera reklam.

Rzadziej nocowała na Francuskiej Ania, korektorka i zarazem asystentka od wszelkich poruczeń. Dziewczyna o ciele dwunastolatki – choć w rzeczywistości rok starsza od Miłosza – oraz pociesznie zbuntowanej duszy. Miłośniczka i opiekunka kilku kotów dachowców.

Nigdy – niestety – nie zostawała na Francuskiej Weronika Pery, prawa ręka naczelnego, redaktorka i główna podpora całego ich zespołu. Atrakcyjna, imponująco wysportowana rozwódka wracała każdej nocy do córki, choćby kończyli pracę o czwartej nad ranem.

Teraz, wczesnym wieczorem, są w wielkim domu tylko we dwoje.

Ona na górze kończy przerabianie trzech kiepsko napisanych, lecz ciekawych tekstów, które w najbliższym numerze „Rynku" utworzą blok poświęcony ukrytym symbolom religijnym i erotycznym we wściekle drożejących od dekady martwych naturach dwójki siedemnastowiecznych Holendrów: Jorga Pietera Claesza i Willema Hoeddemy.

On, na dole, ogląda przy jedzeniu telewizję. Dojeżdżająca z Sochaczewa pani Leokadia, kucharka, którą hojny Galper dobrze opłaca również pod swoją nieobecność, zostawiła w jadalni na parterze zimną kolację – sałatkę warzywną, kanapki z rybą i pasztetem oraz swojski koktajl z jesiennych malin. Wszystko jest pyszne, jednak Pruski nie delektuje się smakami. Szybko przeżuwa kęsy, sprawdzając co chwila swą starą nokię w oczekiwaniu na SMS-a z banku. Kątem oka śledzi bezpośrednią transmisję TVN 24 z Okęcia.

Drozd wciąż się nie objawił w hali przylotów, ale już jest gorąco, bo samolot z Wysp Kanaryjskich wylądował przed półgodziną. Podekscytowani dziennikarze miotają się pomiędzy filarami hali i gromadami podróżnych. Reporterka w oczekiwaniu na księdza przepytuje z mikrofonem w dłoni przypadkowe osoby, co sądzą

o obyczajowym skandalu z udziałem kontrowersyjnego kapłana od pomnika. Wygłaszane opinie są diametralnie różne, lecz zawsze skrajne. Szanowny ksiądz budowniczy budzi w narodzie niesłychanie silne emocje.

Pan w średnim wieku z czarnym neseserem i w eleganckim płaszczu mówi o spisku ateistów. Bezbożnicy boją się, że gdy ojciec Drozd ukończy budowę monumentu świętego Jana Pawła II, naród powstanie z letargu...

– ...i przepędzi sodomitów, bluźnierców, gorszycieli!

Kolejna odpytana – starsza kobieta z fioletowym tapirem na głowie i w grubym płaszczu z koca – wygląda z pozoru na wierną fankę Telewizji Horeb. A jednak, ku zaskoczeniu Roberta, babina popisuje się nader gwałtowną antyklerykalną oracją. Oczywiście, że Drozd ma tę całą Koon za kochanicę. Oni wszyscy albo molestują dzieci, albo są ukrytymi pedziami, albo mają kochanki.

– Im który bogatszy, tym młodsza jego zdzira! Ja się pani redaktor zapytam: dlaczego wydawnictwo i telewizja pana Drozda – bo dla mnie to jest pan, a nie żaden ksiądz, pan biznesmen i tyle! – dlaczego nie płaci podatków?

– A skąd pani wie, że nie płaci?

– Przecież to wszyscy wiedzą. I jeszcze ten papież w Białołęce! Siedemdziesiąt metrów, żeby go było widać aż z Ursusa! Winda w środku. Przecież to jest jakaś melago... megomania! Od czterech lat nie ma skończenia metra, za to będziemy miały figurę wyższą niż ten drugi Jezus, ten brzydki, ten z Peru! I najwyższy czas, żeby telewizja wasza zainteresowała się tym, co robi nasz pan biskup z Koszalina, pijak i pedofil.

Starsza pani ma chyba jeszcze wiele do powiedzenia, bo bierze głęboki wdech, ale dziennikarka rzuca tylko krótkie „dziękuję”.

Obraz z kamery skacze, słychać podniesione głosy – w rozsuwanych drzwiach hali odbioru bagażu pojawia się gwiazda wieczoru, a może i tygodnia: Franciszek Kosma Drozd z ochroniarzem.

– Tutaj, proszę ojca!

– Co łączy księdza z panią Karoliną Koon?!

– Jak ksiądz skomentuje słowa tej kobiety o waszym związku?!

– Proszę się odwrócić!

Goryl ojca Franciszka – siwowłosy drągal o wydatnej szczęce – wyciąga wolne ramię, by odgrodzić chlebodawcę od szpaleru dyktafonów, smartfonów i obiektywów. Już się wydaje, że szanowny kapłan wyminie dziennikarską brać, nie wypowiadając ani słowa, ale tym razem jest inaczej. Osłaniany ręką ochroniarza wybiera na chybił trafił jedną z kamer i patrząc prosto w jej oko, mówi głośno, wolno, ze swym charakterystycznym śląskim akcentem:

– Osoba, o którą mnie pytacie, jest mi całkiem nieznana. To niby-sensacyjne wydarzenie jest prowokacją wrogów Telewizji Horeb i dzieł, co przy niej wyrosły. Oświadczam wam wszystkim, że ta... ta pani podeszła ukradkiem do mojego stolika, przy którym piłem lemoniadę. Ukradkiem i bez pytania, bez słowa. W tym samym czasie zjawił się od drugiej strony nieproszony mężczyzna z aparatem fotograficznym. Wyraźnie i od razu powiedziałem mu, że nie życzę sobie żadnego fotografowania. Ale on i tak zrobił swoje. Fotografował, za co mu zapłacono. Judaszowymi srebrnikami. Tak! Judaszowymi! Bo to są właśnie te wasze, zbójeckie metody! Metody ubeckie. Kompromaty! Żeby osaczyć człowieka, zagonić i zniszczyć. Szwadrony śmierci, szwadrony... oto, czym jesteście! Dziękuję i z Panem Bogiem.

Ojciec Franciszek krzywi pulchne usta w wymuszonym uśmiechu. Widać, że jest zmęczony. Spuszcza wzrok, garbi plecy, odwraca się

tyłem i próbuje odejść, ale mimo wysiłków goryla przestrzeń między napierającymi dziennikarzami a ścianą hali maleje.

– Gdzie jest teraz pani Karolina? Wracaliście jednym samolotem?

– Więc to niby-przypadek, że mieszkaliście w najlepszym hotelu?!

– Hotel Riu to jest hotel bardzo skromny i jeden z tańszych. – Ksiądz prezes mówi to jakby do siebie, na tyle cicho, że skierowane weń mikrofony ledwo rejestrują. – A ja tam nie mieszkałem ani godziny, co beblają te błazny!

Robert gdzieś czytał, że ojca Drozda najbardziej bolą podejrzenia, iż pieniądze z datków zbieranych na Telewizję Horeb służą mu do zażywania luksusów.

– Same kłamstwa! – Ksiądz rzuca jeszcze jedno spojrzenie w stronę obiektywów i prostuje plecy. – Wszystko przeciw człowiekowi. Jesteście jak Jeźdźcy Apokalipsy! Cywilizacja śmierci, cywilizacja przeciw narodowi... Szkoda zabuczeć... Patrzcie na siebie. Niejeden chodzi pewnie do kościoła. I co robicie?! Niszczycie wszystko. Niszczycie!!

– Tędy, proszę ojca! Zostaw go!! Wezwać policję!! – nowe krzyki dochodzą gdzieś spoza kadru i początkowo nie za bardzo widać, co się dzieje. Po chwili jednak operator kamery, najwyraźniej trzymając obiektyw wysoko nad głową, kieruje go w stronę zamieszania. Elegancki podróżny z neseserem i jeszcze jakiś mężczyzna postanowili własnymi piersiami zasłonić księdza przed dziennikarską tłuszczą. Schwyceni za ręce spychają reporterów na bok, a potem – we trzech, z ochroniarzem Drozda – torują kapłanowi drogę do wyjścia i na postój taksówek.

– Twoi koledzy po fachu osaczają biedaka jak psy – Weronika pewnie weszła do jadalni już wcześniej, ale Robert tego nie zauważył. – Teraz to już przegięli. Żeby przechodnie musieli bronić człowieka przed dziennikarzami... Coś strasznego.

– Wstyd mi, Wera, za wszystkich przedstawicieli mego dawnego zawodu... – Pruski jedną ręką odsuwa krzesło stojące obok swojego, drugą przyciąga półmisek – ...ale w medialnym biznesie trzeba mieć grubą skórę i Drozd ją ma. Poradzi sobie. Mam ci nałożyć sałatki?

– Nałóż... – Jej ton jest ciepły i znużony. – Skończyłam z holenderskimi symbolami. Kontrasty światła i ciemności jako wyraz napięcia erotycznego... To się będzie dobrze czytało, tylko że zdjęcia do tekstów są piekielnie drogie. Jakieś półtora tysiąca.

– Trudno. Niech Miłosz zapłaci. Jeśli zrobimy cover...

– Zrobimy. Seks i umieranie to dobra mieszanka... – Weronika sięga po kanapkę z łososiem i koprem. – Śmierdzące śledzie jako *vanitas*...

Podnosi się z siedzenia, by nalać sobie herbaty z termosu stojącego na środku stołu. Krótka bluzka z surowego lnu unosi się nad cudownie wypukłymi pośladkami, odsłaniając wąską talię.

– Słuchaj, Wera... – Robert chrząka i przenosi spojrzenie na wciąż milczącą nokię, a potem na swoje pocięte bruzdami dłonie. – Jeszcze ci nie powiedziałem jednej ciekawostki... Właściwie to mam dwie wieści: dobrą i złą.

– Od dobrej proszę.

– Chyba oddam ci wreszcie kasę. Całe cztery tysie. Może nawet już jutro. Czekam na przelew.

– Czekanie na przelew to jest naturalny stan współczesnego człowieka pracy – Weronika uśmiecha się wyrozumiale. Tak się pewnie śmieje do swojej córeczki. Mimo nadciągającej czterdziestki oraz nielekkiego życia jest ciągle piękna i tchnie mądrym optymizmem. Ciało sportsmenki, a w środku – złote serce. Pruski już nieraz przekonał się o bezinteresownej życzliwości koleżanki – nie tylko wtedy, gdy pożyczał pieniądze.

Odkasłuje, a ona patrzy nań uważnie z uniesionymi brwiami.

– Teraz niedobrą wiadomość proszę.

– Przelew należy mi się dlatego, że podpisałem i dzisiaj pchnąłem ekspresem umowę z takimi, co mi kiedyś dawno zlecili książkę, ale potem mnie wydymali. Teraz się sami pchają, bo wiesz, czyja to była biografia?

– Franciszka Drozda.

– Blisko, Wera, blisko! Karoliny Koon.

– Żartujesz?!

– Poważnie. Zrobiłem kiedyś długi i wzruszający wywiad z tą wariatką. O tacie z Wietnamu, co pod koniec komuny sprzedawał tu, na Pradze, przemycone z Azji ciuchy, breloczki i kolorowe zegarki. Pieniędzy na tym nie zrobił, ale zrobił dziecko dziewczynie z miasteczka Pionki. Czyli mamie Karolinki, która roznosiła po Różycu gorące kiełbasy z musztardą. I nadziała się kiedyś na twardą kiełbasę skośnookiego jebaki, ale szczęśliwego zakończenia nie było. Tatuś pożeglował dalej na Zachód, mamusia wróciła do rodzinnej dziury. Do Pionek. Tam wychowała się przyszła gwiazda telewizji Polsat.

– Prawdziwa epopeja.

– Trochę z paździerza. Historia o domu bez kranów i niedobrych chłopakach, co tylko chleją wino, wąchają butapren i wykorzystują biedne nastolatki, których nie ma kto wziąć w obronę. O wyrywaniu się do wielkiej Warszawy. Pamiętasz? Miała wygrać ten szoł, w którym pary uwodziły się na zmianę.

– *Kochaj, ale rzuć*.

– No właśnie.

– Straszne to było...

– Oglądałaś?

– Oczywiście. – Weronika uśmiecha się promiennie. – Wszystkich zaskoczyło, że „Żyletka” nie wygrała.

– Ja byłem zdruzgotany. Miałem dostać sześć tysięcy za wywiad, nie dostałem nic. No to teraz pocisnąłem i zażyczyłem sobie trzydzieści za lifting końcówki. I oni się – o dziwo – zgodzili.

– Autorowi *Wampira* łaski nie zrobili.

– No właśnie, kurczę. Trzeba się szanować.

– Tylko gdzie tu jest zła wiadomość?

– Będę musiał cisnąć przez dwa tygodnie ten tekst, czyli większość roboty z numerem spadłaby, niestety, na ciebie i na Anię. Tych Holendrów ci jeszcze wyszlifuję do końca, ale już reszta...

– Nie przejmuj się za bardzo. Drukarnię mamy ustawioną na siódmego, to jeszcze kupa czasu. Po drugie, jak cię znam, i tak skończysz szybciej.

– Też mam taką nadzieję. Wleję ci trochę koktajlu. Jest pyszny.

Leżąca na stole nokia pika, błyska i pokazuje kopertę z gwiazdką dokładnie w chwili, gdy on odstawia dzbanek. Przyszedł SMS. Czyżby bank?

„Przelew przychodzący: kwota 12 750. Na rachunek ...879605. Data 21.10. Dostępne saldo: 12 984,10 zł".

– Taaak! Kurwa, taaak!! – Robert uderza pięścią w stół, aż talerze podskakują. Weronika zanosi się perlistym śmiechem. Przepijają do siebie koktajlem z malin.

5.

Wtorek, 22 października, poranek i przedpołudnie.
26 dni przed tragedią w Białołęce

Budzi się, jak zwykle, lekko przestraszony. Śniło mu się, że zapił. W pierwszej chwili, wpatrzony w ciemny sufit, zastanawia się, czy

jest jeszcze w Toruniu u Kamili, czy już na Saskiej Kępie. Oczy wychwytują w mroku ciemniejszy od otoczenia zarys starej lampy w kształcie połówki cebuli – a więc Warszawa. Wódczany ciąg był tylko snem. Ale już nowy strach podnosi łeb: zaspałeś na zajęcia w szkole! Siada gwałtownie w wymiętej pościeli i w tej sekundzie przypomina sobie jednocześnie rozbitą szybę w drzwiach na Chełmskiej i rozmowę z nieszczęsnym brodaczem od montażu. Szkoły na razie nie ma – nie wiadomo, kiedy będzie.

Oddychaj głęboko, chłopie. Obejrzyj sobie raz jeszcze SMS-a z informacją o przelewie. To ci dobrze zrobi.

Sięga po leżącą pod łóżkiem komórkę, ogląda wiadomość. Dziś będzie wielki dzień oddawania długów.

Za oknem w półmroku siąpi deszcz. Odkładając mycie na później, idzie boso w kierunku małego balkonu. W samych majtkach i naciągniętej pospiesznie wiatrówce z kapturem zapala na wietrze pierwszego papierosa. Platany w ogrodzie Szymona Galpera gubią ostatnie liście.

Dwadzieścia minut później wykąpany i ogolony siada w jadalni. Pani Leokadia jeszcze nie przyjechała, ale wczorajsze kanapki i koktajl wciąż nadają się do konsumpcji. Jedząc, stuka w klawisze sfatygowanego della. Robi przelew na konto Kamili. Potem skacze przez kilka portali: Onet, TVN 24, Gazeta.pl... Oho! Coś się dzieje w naszej sprawie. Otwiera stronę Telewizji Horeb i ogląda retransmisję właśnie zakończonych porannych wiadomości, jak zawsze rozpoczętych inwokacją „Dzień dobry i szczęść Boże".

Piętnastominutowy serwis prawie w całości poświęcony jest spotkaniu księdza prezesa z Karoliną Koon. Po rozwleczonym do niemożliwości wprowadzeniu spikerki na ekranie pojawia się – zapewne po raz pierwszy w katolickiej telewizji – Denerys Love. Zapięta pod szyję czarna koszula z długim rękawem zasłania tatuaże,

burza loków tym razem została ujarzmiona dzięki zawiązaniu wielkiego koka. Robertowi wydaje się, że dopiero w takim przebraniu – i w długiej, marszczonej sukni – Sławomira z Łabiszyna jest naprawdę pociągająca. Twórcy pornosów mogliby się uczyć od stylistów Horeba.

„Aktorka filmów dla dorosłych", jak głosi podpis, siedzi sztywno wyprostowana na krześle i drewnianym głosem odpowiada na pytania dziennikarza, co chwila zerkając przy tym w lewo poza kadr. Pewnie ktoś dla niej trzyma tablicę z odpowiedziami.

– Ani ja, ani Karola nie miałyśmy od roku stałej pracy...

– I wtedy pojawiła się propozycja od brukowego dziennika „Fakt", czy mam rację?

– Tak było.

– Proszę nam o tym dokładnie opowiedzieć.

– Formalnie do nas zadzwonili, na Karoli telefon, i zaproponowali sesję.

– Gdzie zaproponowali?

– Formalnie na wyspie tej...

– Fuerteventurze.

– Miałam, miałyśmy z Karolą pojechać po równo na obie. Ja i ona, i fotograf, i formalnie wszystko: stylistka, wizażystka, ochrona nawet miała być dla nas, i mieli być też hiszpańscy modele, co robią dla „Playboya". Ale mnie oszukali. Oszukali! Kupili bilet tylko dla Karoli, bo powiedzieli, że się budżet nie pomieścił.

– Nie było jednak żadnej sesji na miejscu, na wyspie, prawda?

– Oszukali mnie...

Cięcie. Na wizję wraca spikerka.

– Zamiast obiecanej przez brukowiec „Fakt" sesji zdjęciowej, o której państwo przed chwilą słyszeli, celebrytka i gwiazdka polskojęzycznych tabloidów Karolina Koon wzięła udział

w agresywnej prowokacji wymierzonej w księdza prezesa Franciszka Drozda. Prowokacji, jak już obecnie wiemy, opłaconej przez redakcję brukowego pisma, którego niemieccy właściciele słyną z upubliczniania niesprawdzonych, wyssanych z palca informacji. Tak było i tym razem. A jak bywało wcześniej? Zobaczmy.

Przez kolejne cztery minuty Robert ogląda minireportaż filmowy wspominający najgłośniejsze wpadki „Faktu". Od historii jeziora pełnego wódki i wieloryba płynącego Wisłą, poprzez narodziny dziecka z łona posła transwestyty, aż po „sensację" z ubiegłego miesiąca: pani minister edukacji miała sobie zrekonstruować błonę dziewiczą u chirurga w Tunezji. Informacja okazała się nieścisła. Nie w Tunezji, tylko w Chorwacji, nie zrekonstruowała, ale zgubiła, i nie błonę, lecz paszport.

Po retrospekcji Horeb wraca do obecnych grzeszków wydawnictwa Springer. Przed kamerą, na tle pompatycznego frontonu redakcji księdza Drozda, stoi mężczyzna w malachitowym garniturze i ze złotą muchą pod tłustą szyją. Adwokat, mecenas, doktor jakiś tam... Robert nie zdążył doczytać. Prawnik tłumaczy widzom, dlaczego fotografowanie księdza pijącego lemoniadę jest nielegalne. Po jego naszpikowanym fachową terminologią wywodzie prezenterka stacji odczytuje przydługie oświadczenie samego wielebnego prezesa. Komunikat pełen jest barwnych i mocnych określeń, takich jak „posłanie Lucyfera", „antycywilizacja śmierci" czy „propaganda pogardy". Dalej Robert słucha już tylko ścieżki dźwiękowej. Otwiera na ekranie drugie okno – z witryną „Faktu".

Już zawiesili oświadczenie redakcji. Szybcy są. Na początku serwują mętny wstęp, w trzecim akapicie przechodzą do rzeczy: „Karolina Koon (28 l.) faktycznie współpracowała ze studiem

fotograficznym realizującym zlecenia między innymi dla wydawcy »Faktu« i tym razem także przygotowywała się do pleneru fotograficznego. Jej spotkanie z ks. Franciszkiem Drozdem (55 l.) nie mogło jednak być i nie było z góry zaplanowane przez firmę współpracującą z naszą redakcją, co sugeruje pewna telewizja...".

Dalej tekst jest szyty na okrągło i przegadany. Dusigrosze z „Faktu" nieopatrznie zaoszczędzili na obiecanym już bilecie lotniczym i hotelu dla Denerys Love. Nie przypuszczali, że reporterzy Horeba odnajdą rozżaloną królową kondomów. Ciekawe, ile bogobojni katolicy zapłacili rozpustnej Denerys za wywiad. Tak czy owak – jest dobrze. Młyn wokół Karoliny się kręci.

Pruski przez chwilę ma ochotę zatelefonować do Majki i zapytać, jak idzie risercz, ale dochodzi do wniosku, że lepiej będzie jej nie przeszkadzać. Na pewno robi swoje, a całą historię ubiegłotygodniowego zamieszania w hotelu Riu Palace on może bez problemu spisać sobie sam jeszcze dziś.

* *

Przed obiadem – Leokadia zapowiedziała kurczaka w jabłkach z jeżynami – Robert dwa razy próbuje dodzwonić się do „Żyletki" Koon. Długi sygnał i koniec. Nie włącza się nawet skrzynka. Kiedy podnosi telefon, aby spróbować po raz trzeci, na wyświetlaczu pojawia się „Profesor Duszan Ostapowicz". Jego dotychczasowy szef na Chełmskiej.

– Witam, magistrze. – Głos osiemdziesięcioletniego, uroczego dziadunia jest nie do pomylenia z żadnym innym na planecie. – Jak mniemam, jest już panu wiadome, co się przydarzyło naszym pryncypałom?

– Właściwie nie za bardzo, panie profesorze, poza tym, że pan kanclerz rozpuścił studentów po domach. Słyszałem, że tylko czasowo... ale mam jak najgorsze przeczucia.

– I słusznie, słusznie... Powiem panu szczerze, że zatelefonowałem do pana po stosunkowo długim wahaniu. Ta rozmowa powinna się odbyć w cztery oczy... jednak w związku z wiadomą sytuacją musiałem zmienić plany i jestem już na lotnisku. Zaraz będziemy odlatywali do Krakowa.

Przez moment profesor nic nie mówi, Robert czeka.

– Powiem w ten sposób: pan mnie nigdy nie zawiódł i czuję się w obowiązku powiadomić pana, że nasi pracodawcy, nasi byli pracodawcy... o czym sam dowiedziałem się stosunkowo niedawno... pokryli środkami uczelni pewne inne swoje zobowiązania... wcześniejsze i niezwiązane z naszą szkołą. Krótko mówiąc: dam panu dobrą radę. Niech pan nie liczy na powrót i jak najprędzej szuka innej pracy, zanim brzydki zapach się rozejdzie. Prowadzę aktualnie pewne zajęcia w Tarnowie. Wiem, że pan już i bez tego do Warszawy dojeżdża z daleka, lecz gdyby pan się zdecydował, to przecież są samoloty do Krakowa... Chociaż to oczywiście koszty. Ja rozumiem. Ale byłbym rad, mogąc z panem nadal współpracować. Na przykład od drugiego semestru.

– Bardzo dziękuję za troskę. – Robertowi robi się przyjemnie. Wcześniej Ostapowicz nie był taki skłonny do pochwał. – Przemyślę sobie ten Tarnów. Na razie mam co robić, ale kto wie... Jeszcze raz panu bardzo dziękuję. Sądzi pan, że na wypłaty zaległych poborów zupełnie nie ma co liczyć?

– Sądzę, że wyegzekwowanie należności będzie więcej niż trudne. Przykro mi, jeśli pana rozczarowałem.

– Nie, nie... niech się pan profesor nie martwi. Moje złe przeczucia graniczyły z pewnością. Już to przetrawiłem.

– Życzę panu powodzenia.

Stary wykładowca kończy połączenie, a Robert czuje, że młynek w brzuchu znowu szybko się obraca. Z samego „Rynku Sztuki" rachunków nie popłaci, to jasne. Z pieniędzy za „Żyletkę" po oddaniu największych tylko długów zostanie może pięć tysięcy. Jak dobrze pójdzie. Po świętach będzie znowu pożyczał.

Otwiera długo i z niepokojem oczekiwany e-mail z tabelą wyników sprzedaży „Rynku" w poszczególnych strefach kolportażu. Tu też nie ma dobrych wiadomości.

Nokia znowu odzywa się dźwiękami gitar AC/DC.

Tym razem Monika Rogalska, Poznań. Pyta, „czy pieniążki dotarły".

– Tak? To świetnie. Mam dla pana jeszcze jedną, bardzo ważną informację. – W słuchawce słychać chrząknięcie. – Kolegium wydawnicze zadecydowało dzisiaj na posiedzeniu, że to jednak będzie, powinna być... wspólna, podwójna biografia pani Koon i księdza Drozda.

– Słucham? – Dopiero w tym momencie Pruski odrywa wzrok – i umysł – od spadających wyników sprzedaży kwartalnika. – Może pani powtórzyć?

– Chcemy od pana podwójnej biografii. Koon – Drozd. To świetny pomysł. I już go przedyskutowano.

– Bzdura.

– Panie redaktorze... dostaliśmy podpisaną przez pana umowę. Punkt szósty, paragraf dwunasty.

– Może mi pani przeczytać? Nie mam tego akurat przy sobie. – Do wirującego bąka w trzewiach dochodzi mrowienie na plecach. Oczywiście, ty łachu jeden, znowu nie przeczytałeś umowy. Tylko kwota cię interesowała. Jesteś palantem! Ostatnie słowa musiał chyba wypowiedzieć na głos, bo asystentka Monika pyta, czy

dobrze zrozumiała. Przez chwilę rozmowa robi się nieprzyjemna. Rogalska matowym głosem odczytuje zapisy umowy:

„...wydawca zastrzega sobie prawo do modyfikacji treści zamówienia dotyczącego Utworu do czasu siedmiu dni przed upływem terminu wymienionego w punkcie drugim, paragraf drugi".

– Panie Robercie... – bezbarwny, korporacyjny ton dziewczyny ociepla się niespodziewanie – ...porozmawiajmy szczerze, przecież pan jest doświadczonym autorem... Pan, gdy się zastanowi, sam przyzna rację, że taka podwójna biografia to jest coś dużo lepszego. Pomysł całkiem nowatorski i na czasie. Redaktor naczelny, wiceprezes Murka osobiście wymyślił. Istnieje przecież niebezpieczeństwo, że zainteresowanie publiczne panią Koon z czasem wygaśnie. Ksiądz Drozd to co innego, tak? To jest na polskiej scenie trwały gracz. On budzi skrajne uczucia w czytelnikach. Ja tylko powtarzam słowa wiceprezesa. Niech pan pomyśli także w ten sposób, że biografia obojga bohaterów zabezpiecza nam perspektywy...

– ...sprzedaży.

– ...na której nam wszystkim zależy, tak?

– Pani Moniko... – Pruski próbuje przymilnym tonem przedrzeźnić rozmówczynię na tyle delikatnie, aby to było wyczuwalne, ale nie za nadto obraźliwe. – Bądźmy więc ze sobą szczerzy do końca. Jeżeli się nie zgodzę na tę propozycję, to wtedy co?

– Poszukamy kogoś innego na pana miejsce. A pan, zgodnie z punktem dziewiętnastym, paragraf piąty, jest zobowiązany zwrócić zaliczkę powiększoną o... Chyba pan to akurat przeczytał?

Ona już wie, że nie przeczytałeś. Jesteś, chłopie, idiotą. Myślisz, że możesz komuś fiknąć? Straciłeś w tym tygodniu jedną posadę,

kwartalnik zjechał o dwadzieścia cztery procent rok do roku, a za chwilę stracisz resztę pieniędzy, jak będziesz niegrzeczny.

– Pani sobie zdaje sprawę z tego, że to nie jest dwa razy więcej pracy, ale co najmniej dziesięć razy tyle?

– Powiedzmy... trzy razy więcej. Część poświęcona księdzu Drozdowi nie musi być tak rozbudowana jak historia „Żyletki". Dla nas jest ważne, żeby na okładce byli oboje.

– Kupiliście prawa do tego zdjęcia?

– Nie jestem upoważniona, ale zapewniam, że dział graficzny nie próżnuje.

– Niech pani słucha, bo tym razem to ja wiem lepiej, co mówię. Biografię „Żyletki" mam w osiemdziesięciu procentach gotową. A historia Drozda to jest długi, skomplikowany i poważny temat. Tu nie wystarczy internetowe badanie i jedna rozmowa. Trzeba się pospotykać z wieloma ludźmi.

– Może pan zatrudnić kogoś do pomocy. Przecież zaliczka dotarła. Dajemy wolną rękę. To też jest w umowie.

– Dziękuję, na pewno kogoś znajdę. – Robert bierze głęboki oddech. Otwiera pstryknięciem leżącą przed nim paczkę pall malli, wyciąga jednego, lecz go nie zapala. Wkłada za ucho. – Dobra... pomówmy w takim razie o pieniądzach.

Asystentka kolegium, jak się wydaje, także nabiera powietrza. Ciekawe, do jakiej kwoty pozwolili jej ustąpić. Atakuj, człowieku. Masz jakąś szansę.

– Pani mówi, że to jest trzy razy więcej pracy, ja mówię, że dziesięć. Stańmy na pięciu. Mnożymy moją dotychczasową stawkę przez pięć i wydłużamy termin o...

– Nie możemy pomnożyć ani przez pięć, ani nawet przez trzy. Niech pan nie patrzy przez pryzmat pracy, tylko arytmetyki sprzedaży, tak? Kolegium już to przeanalizowało w porozumieniu

z działem dystrybucji. Ja nie mam od redaktora Murki żadnych uprawnień, aby się z panem targować. Nasza nowa propozycja: wzrost stawki o trzydzieści trzy procent. I to jest sztywne.

Sama jesteś sztywna, korporacyjna cipo.

– Czy pani...

– Niech pan posłucha redaktorze, tak? – W tonie Rogalskiej brzęczy spiż. – Pan ma obecnie do wyboru zarobić dodatkowe dziesięć tysięcy brutto albo oddać nam to, co pan dostał, i jeszcze...

Pruski jest bliski rozłączenia rozmowy, lecz tylko odkłada telefon na blat i wplata obie dłonie w czuprynę. Gwałtownie przegina się do tyłu, a potem wyrywa dwie kępy włosów. Złamany papieros spada na podłogę.

Kurwa mać! Robią cię przecież jak chłopca.

Przez uchylone drzwi redakcyjnej salki słyszy stukanie obcasów. To Weronika. Przyszła dziś później, bo jej chorująca córeczka Lena odgrywała w przedszkolnym przedstawieniu główną rolę „Księżniczka na ziarnku grochu". Wera wczoraj mówiła o tym coś śmiesznego.

Spokój przychodzi w jednej chwili. Przykłada aparat do ucha. Poznanianka kończy jakąś kwestię, ale to bez znaczenia.

– Dobrze, już dobrze, pani Moniko – mówi wolno, a głos ma bardziej ochrypły niż zwykle. – Zrobimy podwójną biografię za czterdzieści tysięcy brutto, tak jak sobie państwo życzycie. Ponieważ jednak będę musiał zatrudnić, zgodnie z pani sugestią, wykwalifikowaną siłę roboczą, jestem zmuszony poprosić o kolejne piętnaście tysięcy już teraz. A reszta – po pracy. I proszę zapisać w umowie jakieś uczciwe tantiemy. Dwadzieścia procent od egzemplarza to chyba nie jest dla pana Murki za dużo?

– Będę musiała skonsultować z wiceprezesem, redaktorem naczelnym. – Ton asystentki zdradza zadowolenie, że rozmowa

zmierza wreszcie do finału. – Niczego nie obiecuję, tak?

6.

Wtorek, 22 października, wieczór

Jest już prawie ciemno, gdy Weronika opuszcza redakcję, by jechać do córki. Zimny deszcz, który od rana siąpił raz mocniej, raz słabiej, teraz leje poważnie. Kałuża przed willą Galpera rośnie z każdą godziną. Jej brunatną powierzchnię pokrywają widoczne w świetle latarni czarnosrebrzyste bąble. Pojedyncze, podwójne i potrójne. To podobno oznaka, że będzie długo padać.

Robert, paląc pall malla w uchylonym oknie, odprowadza koleżankę wzrokiem. Podoba mu się sposób, w jaki Wera przeskakuje przez wodę w wysokich butach. Z tej odległości – i z tyłu – można by jej dać osiemnaście lat. Tymczasem ma ponad dwa razy tyle, a jeśli chodzi o ilość kłopotów na głowie – też niewiele ustępuje Pruskiemu. Czteroletnia Lenka Pery, która tak pięknie wypadła dzisiaj w porannym przedszkolnym przedstawieniu, ma niesprawne oko, a do tego jedna ręka nie rośnie jej samodzielnie. Lekarze co kilkanaście miesięcy łamią dziecku trzy kości, rozciągają, wstawiają śruby, a gdy wszystko zarośnie tkanką, trzeba zaczynać od początku. Weronika boryka się z całym tym kramem bez niczyjej pomocy. Nie ma w Warszawie żadnej rodziny. Swoje dotychczasowe życie wraz z ojcem Leny zostawiła w Puławach. Skończone podwójne studia – historia sztuki i filologia polska w Lublinie – zapewniły jej po przyjeździe do stolicy kolejno takie posady, jak: opiekunka staruszki, bileterka i dziewczyna do sprzątania ze stolików w klubokawiarni przy ulicy Walecznych,

niedaleko stąd. W tym ostatnim miejscu poznała Szymona Galpera. Dystyngowany starszy pan popijał najdroższe wino, zagryzając plastrami młodego pecorino. Dał szalony napiwek, a następnego dnia w tym samym miejscu zaproponował Weronice pracę. Jak opowiadała później Robertowi, początkowo wzięła Szymona za podstarzałego podrywacza-sponsora. Ale tydzień później pochylała się już nad kolejnymi wersjami zerowymi nowego pisma o handlu sztuką.

Leżąca na stole komórka, wygrywając *Highway to Hell*, wyświetla imię: „Kamila".

– Co tam? W porządku? Widzę po stanie konta, że wreszcie wpłaciłeś pieniądze.

– Taaa... Też jestem z siebie dumny. Cieszysz się?

– Jak cholerka. Wreszcie zapłacę chłopakom zaległy angielski i oddam mamie Brajana...

– Pożyczyłaś od sprzątaczki?!

– Oburzony? Na podręczniki pożyczyłam. Krzysio mnie też pytał, czybyśmy mu wreszcie nie kupili pod choinkę solidnej komórki.

– Kup mu od razu. I jeszcze... – Robert wie, że za chwilę powie niepotrzebne zdanie, ale gryzie się w język za późno – ...może byś tak kupiła coś miłego sobie?

– Sobie to bym najchętniej podniosła cycki, ale aż tak dużo nie przysłałeś.

– Nie trać nadziei. Negocjuję grubszą kwotę z tymi lujami z Poznania, tylko...

– Tylko co?

– Będę musiał pozapieprzać przez kilka tygodni na ostro, bo rozszerzyli mi temat. Także pewnie w ten weekend do was nie przyjadę.

– A ty pamiętasz, że obiecałeś Jasiowi pojechać na zawody wędkarskie?

– Hę...?

– W piątek, pierwszego, ruszacie. Chcę dzisiaj wysłać kaskę za was obu, póki jeszcze mam z czego zapłacić.

– Nie, no... płać, oczywiście. Na wędki pojedziemy, choćby gówna z nieba leciały. Do końca miesiąca z najgorszym powinienem się obrobić. Zatrudniłem fachową pomoc.

– Kogo? – W głosie Kamili pojawia się ton wzmożonej czujności.

– Maję Szalawską.

Oddech w słuchawce.

– Mmmm... bohater i jego muza... Ciekawe, w jakiej formie jej wynagrodzisz.

– Bardzo śmieszne. To może ty mi risercz zrobisz? Wynagrodzę ci w łóżku oczywiście.

– Nie przeceniaj się. Poza tym ja nie mam czasu na erotyczne fantazje, bo mi zostawiłeś dwoje dzieci pod opieką.

– A ja tutaj, kurwa, siedzę, bo lubię, wiesz?! To zawsze było moje marzenie, żeby mieszkać kątem u pracodawcy i prać sobie skarpety w jego umywalce.

– Ja ciebie tam nie wypychałam.

Kłócą się jeszcze przez chwilę. Kamila w połowie chłodnego pożegnania rozłącza rozmowę, a Robert czuje, że musi się przejść. Albo napić.

W drzwiach wyjściowych wpada na przemoczoną Annę. Korektorka do siedemnastej uczy dzieci w szkole.

– Teksty już w katalogu – mówi do niej, pospiesznie upychając zmierzwione włosy pod kapturem bluzy. – I poczęstuj się koniecznie kurczakiem na zimno.

– Będziesz dziś jeszcze? – Anna zdejmuje z podgolonej głowy coś, co wygląda jak wielka, nasiąknięta wodą skarpeta w kolorze feldgrau.

– Będę najdalej za godzinę. Wszystko obgadamy. Na razie czytaj to, co mamy.

Macha ręką, jakby jej salutował, i robi dwa szybkie, długie kroki, by przeskoczyć kałużę. Na chodniku skręca w stronę placu Przymierza. Mija otwartą jeszcze składnicę win ze skrzynkami wystawionymi na chodnik, przyjemnie i ciepło oświetloną piwiarnię, dalej trattorię z wyszynkiem. Baner zachęcający do wejścia przedstawia talerz pełen sałatki, butelkę szampana i dwa kieliszki.

Dlaczego ty, człowieku, z każdą kobietą możesz normalnie porozmawiać – z Anią, z Weroniką czy z Majką – tylko akurat nie z tą jedną, z którą masz dwoje dzieci? Dlaczego co trzecia rozmowa musi się skończyć chlewiszczem?

Może dlatego, że nie jesteśmy ani do końca małżeństwem, ani parą kochanków, ani wspólnikami w uzupełnianiu stanu konta, tylko wszystkim po trochu – i niczym. Może dlatego, że nie potrafimy żyć razem, ale osobno też nie za bardzo, co się już okazało w praktyce. A może jest jeszcze gorzej i oboje jedynie się oszukujemy, zakładając milcząco, że coś między nami zostało.

Lipy i brzozy wzdłuż Francuskiej straciły większość liści. Teraz mokre, nieforemne strzępy pływają na powierzchni płytkich kałuż. Robert idzie przed siebie coraz szybciej, na Paryskiej zaczyna truchtać. Stara się nie myśleć o niczym poza oddychaniem. Pod wiaduktem już świszcze mu w płucach, lecz tylko przyspiesza. Nieomal wpada na pędzącego ścieżką rowerzystę. Na rondzie u zbiegu Brukselskiej i Wersalskiej czuje, że w trampkach chlupoce

deszczówka. Dżinsy też ma kompletnie przemoczone. Zaczyna kasłać. Coś na dnie płuc odrywa się nieprzyjemnie.

Wracając, zwalnia. Staje przy bankomacie i wypłaca tysiąc złotych, które chowa do sfatygowanego portfela, a portfel do tylnej kieszeni.

Zarobiłeś, chłopie, niezłą kasę i mógłbyś sobie coś miłego kupić, ale jedynej rzeczy, na którą masz ochotę, kupić ci nie wolno. Więc możesz sobie ponosić banknoty na dupie. W czynnym całą dobę kiosku monopolowym przed willą Galpera prosi o miętowe papierosy, gumę do żucia i aspirynę.

Czterdzieści minut później, po zmianie mokrych ciuchów, podchodzi do biurka, przy którym Ania czyta ramki z didaskaliami do tekstów o latających cenach Holendrów.

* *

Korektorka siedzi boso, w grubych rajstopach i krótkiej sukience. Prawą stopę podłożyła na krześle pod lewe udo. Jej ogolona, kształtna głowa przedzielona jest w połowie wciąż jeszcze mokrym, wąskim warkoczykiem, który zaczyna się na czubku czaszki, a kończy poniżej karku zgrabnym pędzelkiem.

– Dotąd myślałam, że ostryga otwarta na podobieństwo cipki symbolizuje wyłącznie kobietę – mówi, nie odrywając wzroku od ekranu i przesuwając tekst. Paznokcie ma krótkie i pomalowane na czarno. Na talerzu obok klawiatury leży resztka zimnego kurczaka i chleb. Roberta zawsze denerwował u Ani zwyczaj przenoszenia jedzenia z parteru do pokojów redakcji.

– I to się jak najbardziej zgadza... poza tym, że mężczyznę ostryga symbolizuje również, ale wtedy, gdy jest zamknięta.

Robert uruchamia kliknięciem swój laptop.

– Właśnie to czytam. Ha, ha! Słaba i delikatna dusza w twardym pancerzu zbroi. Mocno naciągane. Poza tym brakuje informacji, kto taką mądrość wymyślił.

– Sama koncepcja jest pewnie wcześniejsza, ale zapisał ją po raz pierwszy, jeśli się nie mylę, niejaki Abraham Willem Hermans. Kabalista, spec od numerologii, magii staroirańskiej i innych fajnych rzeczy. Obaj nasi mistrzowie, Claesz i Hoeddema, zaczytywali się w książkach Abrahama. Choć, prawdę mówiąc, większość nie była nawet książkami, tylko takimi ówczesnymi ulotkami na tańszym papierze. Do dzisiaj prawie nic z tego nie zostało. A szkoda, bo miał bardzo ciekawe pomysły. Pisał między innymi, że Bóg zrodził trzech synów: Jezusa, Adama i Szatana. Claesz to nawet namalował w postaci trójramiennego świecznika. Biała świeca płonąca to oczywiście Chrystus, czarna i wygasła to Lucyfer, a ta trzecia...

Pruski przerywa miniwykład na widok głównej wiadomości w portalu Gazeta.pl.

„NOWE! Ogłoszony i nagle wycofany komunikat księdza Drozda.

Około godziny 15 internetowy serwis TV Horeb zamieścił oświadczenie rzecznika zarządu fundacji Angelus Dei w sprawie domniemanej znajomości ks. Franciszka Kosmy Drozda z celebrytką Karoliną »Żyletką« Koon. W komunikacie można było przeczytać m.in:

»W dniach 19–21 października Ksiądz Prezes przebywał na terenie Wysp Kanaryjskich w związku z obowiązkami powierzonymi mu przez Zarząd Fundacji (...).

Wyjazd Księdza Prezesa Franciszka Drozda miał na celu tylko i jedynie zabezpieczenie dalszej realizacji Dzieł podjętych przez naszą Fundację. Nie po raz pierwszy kontynuacja Dzieł tych napotyka trudności ze strony sił przeciwnych idei powszechnej ewangelizacji i samemu Kościołowi katolickiemu. Obecny atak

przekroczył jednak śmiałością i perfidią wszystkie dotychczasowe (...)«.

O godzinie 16.05 powyższy komunikat został zdjęty ze strony internetowej księdza. Ekonom fundacji ks. Janusz Goniec poproszony przez nas o wyjaśnienie zagadki i określenie obecnego stanowiska Angelus Dei odmówił rozmowy z naszym reporterem...".

Pruski czyta szybko różne warianty tej samej wiadomości, otwierając w kolejnych oknach portale lewaków, konserwatystów i niepokornych patriotów. Instynkt mówi mu, że dopiero teraz coś się dzieje. Komunikat nadany, a potem zdjęty. Różnica poglądów i zmiana zdania w takim monolicie jak Horeb? To się nie zdarzyło, odkąd wielebny nadał pierwszą audycję z Białołęki. Wniosek: cwaniacy z „Faktu" przez kompletny przypadek przyłapali gościa w bardzo nieodpowiednim miejscu i jeszcze gorszym czasie – ale nie ma to nic wspólnego z „Żyletką" Koon.

„Zabezpieczenie dalszej realizacji Dzieł". Dobre sobie. Czyli o co idzie? Jakieś tajne spotkanie z wysłannikiem rządu w sprawie rozszerzenia koncesji dla Angelus Dei? Daleko od kamer zwaśnione strony ustalają warunki zawieszenia broni i powstrzymania się Horeba od krytyki aktualnej linii politycznej? Niewykluczone. Ale ktoś złośliwie donosi redakcji brukowca o miłym spotkaniu i wszystko przybiera nieoczekiwany obrót... Chytrusy z Poznania albo mają psi węch, albo coś wiedzieli, albo to czysty przypadek. Tak czy inaczej, chłopie, niepotrzebnie stawałeś okoniem i dobrze, żeś ustąpił. Niech żyje podwójna biografia! Jesteś wygrany. Trzeba jak najprędzej domknąć życiorys Karolinki i brać się za historię księdza. I koniecznie podpisać nową umowę.

Właściwie dlaczego oni jeszcze nie dzwonią?!

– Robert?! – Głos korektorki jest lekko zniecierpliwiony, jakby mówiła do niego już po raz któryś.

– Przepraszam, zaczytałem się.

– Znalazłam dość przyzwoitą notatkę o Abrahamie Willemie Hermansie. Dopisać do ramki?

– Dopisz koniecznie. Nie pomiń, że był kabalistą, to działa na wyobraźnię. Niech Miłosz zamówi w agencji facjatę.

Robert przymyka ekran della i przechodzi do pokoju obok, by zadzwonić do Majki. Rozmawiają przyciszonymi głosami jak para spiskowców.

Wizyta Drozda na wyspie ma drugie dno – to pewne. Prawdopodobny wariant: zakulisowe spotkania z kimś reprezentującym rząd. Rozmowy o rozszerzeniu koncesji Horeba. Tylko w zamian za co?

Majka podejrzewa prostsze rozwiązanie. „Zabezpieczenie dalszej realizacji Dzieł podjętych przez Fundację" oznacza jej zdaniem wycieczkę po pieniądze. Jest przecież ogólnie wiadome, że Drozd uprawia turystykę biznesową – zbiera kasę od Polonusów na całym świecie i nie tylko od nich. Trzeba zbadać największych darczyńców Angelus Dei ze szczególnym uwzględnieniem tych posiadających wakacyjne rezydencje na Kanarach.

– Ale wyjazdy urzędników Rady Radiofonii i Telewizji też przejrzę. Teraz słuchaj, co ustaliłam w sprawie „Żyletki"...

Tutaj fakty są następujące: jej koleżanka Sławomira Kurzajka vel Denerys Love jest córką kominiarza z Łabiszyna pod Bydgoszczą. Obie z „Żyletką" mieszkały krótko w Dortmundzie, potem Love załatwiła koleżance pracę w międzynarodowej agencji modelek. Nie kołysały się jednak na wybiegach, tylko obsługiwały starszych i bogatych panów od Czarnogóry po Ibizę. Potem było coraz gorzej. Chyba się opatrzyły sponsorom. Przez ostatnie miesiące Denerys tańczyła na kolanach klientów w sieciowym klubie go-go w Warszawie. A Koon zaczęła udzielać się na telefon.

– Mieszkały razem, dopóki nie zadzwonili do nich kolesie z „Faktu”. I to cała historia. Resztę szczegółów będziesz dostawał w plikach. Ponazywam ci wszystkie według dat. Łatwiej ogarniesz. Za godzinę przyślę pierwszą paczkę. Dalsze w miarę uzupełniania. Do rana się wyrobię.

– Jesteś cudowna.

– Stęskniłam się maksymalnie za sensownym zajęciem. Nawet sama nie wiedziałam, że aż tak. I chcę jak najszybciej wziąć na warsztat Drozda.

– Musimy się spotkać i pogadać o kasie dla ciebie. Nie mogę żerować na twym entuzjazmie...

– Pa!

* *

Wydawnictwo Ventura nie ma już najwyraźniej ochoty rozmawiać z niesfornym autorem, bo do końca dnia nikt nie dzwoni. O wpół do dziesiątej wieczorem przychodzi zwięzły SMS.

„W imieniu wiceprezesa i redaktora naczelnego Waldemara Murki informuję, że jest zgoda na honorarium 40 tys. brutto powiększone o 2 zł od każdego egz. powyżej 5 tys. sprzedanych. Planowany pierwszy nakład wynosi 25 tys. egz. Proszę o potwierdzenie zgody, umowa i rachunek na dodatkową kwotę zaliczki zostaną wysłane niezwłocznie. Monika Rogalska”.

Robert odpowiada szablonowym „OK”. Wraca do czytania plików przygotowanych przez Majkę. Risercz jest na najwyższym poziomie. Wszystko chronologicznie ustawione – nic, tylko ściągać do edytora i pisać czysty tekst. Jak dalej będzie tak dobrze, w dwa dni „Żyletka” zostanie skończona i pozostanie tylko ksiądz Drozd.

Otwiera stary wywiad rzekę z Karoliną i czekając na załadowanie szablonów, usiłuje sobie przypomnieć, co takiego obiecał zrobić

jeszcze przed północą.

Oddać pozostałym ludziom kasę! Przebiega w myślach rządek głównych wierzycieli.

Irek z toruńskiego Radia Krzywa Wieża – trzy tysiące. Ale on o tej porze już śpi, po szóstej rano musi odczytać wiadomości i przepytać porannych nudziarzy z tego, co słychać w tak zwanym regionie.

Kolejny ziomal, Damian, właściciel knajpy Purpurowy Kot – cztery tysiące. Ten nie śpi na pewno. Raczej niedawno wstał. Robert wybiera numer.

– Robuś?! Jak miiiłooo! – kolega przekrzykuje muzykę i inne hałasy.

– Co robisz, chłopie?

– Kupę!

– Bardzo śmieszne.

– Kupę ciekawych rzeczy! Jesteś w Toruniu?! Bo supertercet dziś u mnie zatańczy! Dwie lesby i Murzyn. Prawdziwy! Gościnne występy słynnej grupy z Gdyni. Pasuje ci?!

– Teraz się mówi „czarnoskóry"!

– Chyba w Warszawie. Jesteś tutaj czy nie jesteś? – Damian mówi już ciszej, najwyraźniej zmienił pomieszczenie.

– Nie jestem. I szybko nie będę. Ale mam lepszą wiadomość. Wyślij mi SMS-em jakieś swoje konto, przeleję ci dzisiaj zaległości.

– *You made my day. Maaan*! – Damian przeciąga ostatnie słowo, jakby sam urodził się czarnoskóry, a przecież jedyne, co ma czarnego, to podniebienie. – Daj tylko chwilę, muszę zadzwonić do księgowej, sprawdzić, gdzie mi tam jeszcze komornik nie siedzi.

– Jest tak niedobrze?

– Gorzej! Ja temu miastu daję rozrywkę na najwyższym europejskim poziomie, a ludzie co?! Pierdolona kultura kebaba, grilla i telewizora. Taniec artystyczny to dla nich chuj. Zjechałem

wejściówki do zera, drink dla tancerki głupie pięćdziesiąt, a pół sali mam puste. – W tle jego narzekań słychać teraz jakiś dziwny odgłos przypominający przelewanie się wody.

– Co ty tam robisz?

– Sikam.

– To bądź łaskaw trzymać komórkę w czystej ręce, póki się nie rozłączę, okej?

– Za kwadrans wyślę ci numer konta. Zrób przelew, zanim zaśniesz, to rannym eliksirem poleci.

– Masz jak w banku. Ucałuj ode mnie swoje lesbijki.

7.

Środa, 23 października, noc i wczesny poranek.
25 dni przed tragedią w Białołęce

W wielkim, pustym domu w Piasecznie Maja robi rundę po pokojach, by przez chwilę odpocząć od pracy. Idzie do kuchni, napełnia wodą z filtra dziewiętnastowieczny porcelanowy imbryk z drewnianą rączką i sitkiem. Przechodzi do salonu. Zaczyna zwilżać rośliny. Odkąd domowy automat załączył ogrzewanie, powietrze w całej willi zrobiło się suche. Jej mama, gdy jeszcze mieszkała tu z papciem, wypełniła wszystkie szesnaście pomieszczeń kilkoma dziesiątkami kwitnących okazów – cennych i wymagających troski. Gdy się wyprowadzała do swego austriackiego kochanka, kazała tragarzom zabrać tylko ulubioną dwumetrową medinillę, resztę zostawiła papie. Ten z kolei polecił ogrodnikowi, by poprzenosił wszystko do oranżerii przy pokoju kominkowym. Dzięki temu

sprzątającej dom Ukraince Liliannie łatwiej obrobić cały ten ogród za jednym zamachem.

Godzinę przed północą wraca do ojcowskiego gabinetu i otwartego alienware'a. Laptop za niemal dwadzieścia tysięcy złotych papa kupił jej, gdy po śmierci swego chłopaka Pawła ponownie wprowadziła się do Piaseczna. Jakby na przekór tragedii ojciec tak się ucieszył... Wróciły wspólne śniadania, spacery po lasach w kierunku Chojnowa i Orzeszyna, pogawędki o konkursach poetyckich w dawnym Azerbejdżanie albo o wielkich żaglowcach. O zamordowanym Pawle z początku nie rozmawiali. Podobnie jak o Robercie Pruskim. Konstanty Szalawski – człowiek nauki, polityki i dyplomacji – robił wszystko, by ukochana córeczka doszła do siebie. Starał się podręcznikowo. Po paru miesiącach zdradził się nieopatrznie, że w tajemnicy przed Mają bierze coś w rodzaju korepetycji u psychologa – oczywiście profesora i celebryty. Szanowany i utytułowany specjalista, prezes rozlicznych stowarzyszeń w swej branży, podpowiadał byłemu konsulowi, jak postępować z delikatnym jajkiem.

A przecież Maja żadnym jajkiem nie jest. Co najwyżej bywa zagubiona. Miała szczeniackie życiowe rozterki, dopóki nie poznała Pawła. Potem – przy nim – wiedziała już, czego chce. Chciała jego męskości i jego serca. I wszystko było na swoim miejscu. Gdyby nie te skurwysyny na ruskich usługach, może byłby ślub, dziecko i wszystkie elementy składające się na tak zwane życie zwykłych ludzi. Miłość i seks, praca i pieniądze, przyjaciółki i koleżanki, robienie zakupów, pchanie wózka, książki, filmy i zdrowe zmęczenie. Zamiast tego przyszła szara maź. Bezsenność, tabletki, huśtawki nastroju i serie zmieniających się planów. Nieszczęśliwie zakończony romans z niedoszłym dyplomatą Jarkiem. A teraz znowu Robert na horyzoncie. Lekko przekwitły heros bohatersko

zwalczający skutki swoich błędów. Mądry koleś. Jeszcze niedawno chętny, potem po swojemu, cichcem, obrażony. Jej krótki związek z Jarosławem sprawił, że Pruski schował się – przynajmniej do połowy – w skorupę. To jest właśnie ten męski świat. Jemu wolno w Toruniu mieć żonę – czy tam byłą żonę... – i kto wie, ile jeszcze panienek. A ona powinna czekać w gotowości, aż pan redaktor się zdecyduje. Bo przecież uratował jej życie.

Samiec, konserwatysta, cynik, niechluj i ogólnie ktoś, kogo Maja Szalawska chce spróbować. Już nie jest podlotkiem i ma swoje rosnące potrzeby.

Na początek sprawdza, czy Karolina Koon nie przyleciała przypadkiem z Fuerteventury. Wygląda na to, że jeszcze nie. Wraca więc do segregacji ostatnich danych na temat obu królowych seksu – „Żyletki" i Denerys. Zegar w pokoju kominkowym bije dwa razy, obwieszczając godzinę wpół do drugiej, kiedy ona z ulgą pakuje posegregowany i opisany urobek do pliku, by wysłać Robertowi. Kwadrans przed drugą dzwoni papcio z Nowego Jorku.

Jak zawsze, gdy jest daleko, pyta o wszelkie możliwe szczegóły. Czy dzisiaj jadła, czy była na powietrzu, czy w domu nie jest za zimno i czy odebrała bilety do filharmonii na trzydziestego listopada. Później mówi jeszcze coś o kończącej się konferencji, której akurat jest gościem – Maja nie próbuje nawet zrozumieć, nad czym debatowali wielcy tego świata. Wreszcie papa wygłasza sakramentalne: „Uważam, córcia, że już powinnaś iść spać".

– Tam u was jest przecież druga w nocy.

– Jeszcze nie ma.

– Córcia, ty musisz dbać o siebie. Co o tym mówiliśmy?

Majka ma nagłą ochotę zakończyć tę wymianę zdań. Nie powiedziała ojcu o ponownym spotkaniu z Robertem, gdy dzwonił wczoraj, i nie zamierza mówić dziś. Po pożegnaniu nie wraca, jak

obiecała, do łóżka. Teraz, kiedy przebiła się przez barwne, lecz w sumie trywialne wydarzenia z udziałem duetu Love – Koon, nareszcie może się zabrać do czegoś coś faktycznie interesującego. Do Drozda.

Zaczyna od przeczesania dostępnych w sieci sprawozdań finansowych Angelus Dei. Potem informacje o sponsorach fundacji. Polacy, Polonusi, Kanadyjczycy, Amerykanie, Brazylijczycy, Szwajcarzy, Niemcy... Kilka bardzo znanych nazwisk. Jest operowa diwa, Polka mieszkająca na stałe w Szwajcarii, uwieczniona na własnym fanpage'u w roli Violetty Valery z *Traviaty*. Jest aktor znany z popularnych w ubiegłej dekadzie filmów akcji, a ostatnio – z reklam zachęcających do inwestowania w obligacje. Jest były bokser o międzynarodowej sławie, który ze swego nawrócenia na wiarę w Boga uczynił długi, tabloidowy cykl i jeszcze przy tym sprzedał autobiografię. Jest i kompozytor muzyki poważnej, Kanadyjczyk polskiego pochodzenia znany głównie jako twórca ścieżki dźwiękowej do ostatniego hollywoodzkiego blockbustera o kosmitach. Temu na pewno pieniędzy nie brakuje: wpłacił na fundację sto dwadzieścia tysięcy dolarów.

Kolejne linki się mnożą, strony wyrastają jedna z drugiej i nawet nieprzyzwoicie kosztowny alienware z najnowszym procesorem Intela zaczyna zwalniać od tego wszystkiego. Jest już po czwartej nad ranem, gdy Maja orientuje się, że siedemdziesiąty drugi darczyńca – a sprawdza tylko tych, którzy wpłacili powyżej pięciu tysięcy euro – nie jest osobą z krwi i kości, choć na taką wygląda. Mario Muriz jest dziwną instytucją.

Pozornie żadna sensacja. Lista sponsorów zawiera jeszcze kilkanaście innych przedsiębiorstw-mecenasów wspierających dzieła ojca Drozda. Wszystkie jednak odróżniają się na pierwszy rzut oka od osób fizycznych. Spółka Akcyjna, Company, Gesellschaft,

Limited Partnership i tak dalej. A Mario Muriz jest fundacją czy też organizacją pozarządową, w każdym razie czymś celowo niedookreślonym i zaopatrzonym w ludzkie imię z nazwiskiem. W dodatku ma niedziałającą stronę internetową. Administrator witryny bardzo grzecznie, lecz zdawkowo przeprasza po hiszpańsku za chwilowe utrudnienia. Majka ustala widok witryny przed miesiącem, rokiem i dwoma laty. Nie działała od założenia. To także nie musi nic znaczyć, ale przeczucie jest silne.

Schodzi do kuchni, aby zaparzyć herbatę w samowarze. Czuje, że sen dzisiaj nie nadejdzie. Zaczyna się nawet martwić, czy jutro na spotkaniu z Robertem nie będzie wyglądała paskudnie po zarwanej nocy. Może powinna jednak zmusić się do zaśnięcia? Miała już nie brać rohypnolu. Obiecała papie z tym skończyć. Ale papy nie ma. Dom jest pusty, a za oknem szumi padający w ciemności rzęsisty deszcz.

8.

Środa, 23 października, poranek i przedpołudnie

Stojąc nago przed zaparowanym lustrem w najmniejszej z trzech łazienek należących do Szymona Galpera, Robert stwierdza, że znowu urósł mu brzuch. Po raz pierwszy pojawił się, gdy Pruski jeszcze mieszkał z Kamilą. Powiększył się po rozwodzie, kiedy wegetował sam w wynajętym mieszkaniu. Później, żyjąc z Iwoną, zrzucił kilka kilogramów, bo trzeba się było starać przy młodszej partnerce. Teraz – także za sprawą kuchni pani Leokadii – bęben nabrzmiał do tego stopnia, że luźny sweter już go nie ukryje.

Opanowuje cię, chłopie, abnegacja starego kawalera. Nie ścielisz łóżka, zarost przycinasz raz na miesiąc, podkoszulki zmieniasz rzadko... Z drugiej strony jego stary kumpel Ireneusz jeszcze w akademiku powiadał, że mężczyzna musi mieć czyste majtki i świeże skarpetki, a resztę – pies trącał. Tego się trzymajmy! Z tym że właśnie majtek z Torunia nie zabrał. W umywalce za pomocą mydła do rąk pierze teraz wczorajsze. Potem wykręca je i wiesza na stylowej słuchawce od prysznica.

Wysmakowane, kosztowne detale willi pracodawcy plus poutykane między nimi byle jakie bambetle lokatora – zabawny zestaw. Biwak włóczykija w salonach.

Ósma rano. Weroniki, Ani i Miłosza nie będzie jeszcze przez dwie godziny – można popracować na łóżku, a potem się coś zje, kiedy zaczną hałasować. Jeszcze jeden papieros na czczo – i do laptopa.

Nowej umowy od poznaniaków wciąż nie ma. Są za to pliki od Majki. Karolina Koon w Niemczech i w Polsce. Zrzut strony, na której „ekskluzywna i znana z mediów dama do towarzystwa" oferuje spotkania intymne. Oferuje je co prawda incognito, ale biodra na zdjęciu bez wątpienia należą do „Żyletki".

Wszystko, czego potrzeba – jest. Dzielna Maja. Niezawodna. Gdyby tak jeszcze pociągnąć Karolinkę za język – godzina rozmowy, góra dwie powinny wystarczyć, by wyśpiewała, co zaszło na Fuerteventurze – można by skończyć jej część i brać się za księdza.

Robi na kartce plan „epilogu", potem kasuje cztery ostatnie akapity starego wywiadu rzeki i zaczyna dodawać nowe rozdziały. Będzie prosto i na temat. W połowie trzeciej zapisanej strony słyszy wchodzące do redakcyjnego pokoju dziewczyny. Ania rozmawia z Weroniką o korku na zalanej deszczem Wisłostradzie. Odcinek

Toruńskiej jest nieprzejezdny, strażacy wypompowują wodę, autobusy nie kursują.

Trzeba się trochę przewietrzyć. Kupić jakąś bieliznę, a może nawet odwiedzić z nagła Drozda w Białołęce? Gdyby tak jeszcze dziś wbić się do wielebnego z głupia frant... Niech będzie pochwalony, jestem autorem biografii księdza, żadnym tam dziennikarzem... polityką się nie zajmuję, „Wyborczej" nie czytam, może moglibyśmy porozmawiać o kilku sprawach jak Polak z Polakiem?

Po półgodzinie – i zjedzonym na stojąco śniadaniu – siedzi już w aucie.

Nie ma wiatru, deszcz leje pionowo, niedawno remontowane ulice – już pofałdowane – toną w kałużach. Całą szerokością alei Zielenieckiej płynie wartki strumień. Przy skrzyżowaniu z Targową ludzie tłoczą się pod wiatami przystanków. Zwalnia, by nikogo nie ochlapać. Chyba rzeczywiście coś złego się stało z autobusami, bo żadnego nie widać. Przed Różycem i pasażem Wileńskim staje na wolnym kawałku chodnika. W blaszanej budzie opatrzonej od roku banerem „Wyprzedaż z powodu likwidacji sklepu" kupuje bokserki w kwiaty i cztery pary skarpet. Dzisiaj w cenie trzech.

* *

Imperium telewizyjno-wydawnicze Franciszka Kosmy Drozda rozciąga się na skraju miasta za Kanałem Żerańskim. Jadąc Płochocińską, Pruski dostrzega po raz pierwszy to, o czym tyle razy słyszał i czytał. Po lewej ręce, ponad przesuwającymi się zaoranymi polami, szarymi okapami opuszczonych magazynów, ponad parkanami z blachy i wypielęgnowanymi żywopłotami pseudodworków, ponad zwałami gruzu, zdziczałymi uprawami porzeczek i zalanymi wodą kontenerami na śmieci, ponad tym całym bałaganem pojawia się betonowy i nieruchomy Jan Paweł

II. Jeszcze bezgłowy, ale już przeszło sześćdziesięciometrowy, przypomina wielką literę „T”.

Dzieło życia wielebnego Drozda. Wotum Ofiarowania na Trzecie Tysiąclecie. Lub, jak to określają lewacy i libertyni, monument ku chwale arogancji i złego smaku.

Tak czy inaczej – nowy symbol stolicy.

Robert przypomina sobie niedawną, całkiem serio toczoną debatę w sieci pod hasłem: „Czy serce Polski przeniosło się już do Białołęki, czy nadal bije w Licheniu?”. Po jednej stronie rozmodleni, po drugiej – rozbawieni. W środku – przepaść. Nikt tak człowieka nie wkurwia jak rodak. Bo są w ojczyźnie rachunki krzywd... Właśnie! Tak trzeba powiedzieć Drozdowi. „Każdy widzi, że księdza krzywdzą. Przecież ta cała robota »Faktu« to grubymi nićmi szyta prowokacja. Ja mogę księdzu powiedzieć sporo o Karolinie Koon. Wymieńmy się informacjami...”.

Nie, chłopie... to nie brzmi dobrze. Drozd nie będzie z tobą handlował informacjami, choćby dlatego, że jest czujny i nieufny. Po pierwsze, zacznie węszyć podstęp, po drugie, fakt, że ktoś pisze jego biografię, nie przypadnie mu do gustu, bo ma swoich własnych biografów w razie potrzeby.

Musisz wymyślić inną sztuczkę.

Po kilku zakrętach dziurawa droga, a właściwie ciek wody i błota, przechodzi gwałtownie w nową, gładką jezdnię wśród drzew, najpewniej zbudowaną przez księdza. Otoczony ramionami dźwigów papież – bezgłowy korpus w ornacie – ogromnieje z każdą sekundą. Można już rozróżnić poszczególne fałdy szaty. Otaczający ulicę las ustępuje wielkiej polanie. Na soczyście zielonym i równo przyciętym trawniku stoją rzędy precyzyjnie i zarazem jakoś głupkowato wystrzyżonych iglaków: kule, stożki albo cylindry. Za nimi wysoki na trzy metry stalowy płot zakończony kolcami

i kamerami, a w głębi – szeroka, przeszło stumetrowa elewacja gmachu telewizji i wydawnictwa. Trzy segmenty – niższy w centrum i dwa wyższe po bokach – zwieńczone są grafitowym dachem z rzędem wielkich anten satelitarnych. Pod talerzami prócz apartamentów Drozda mieszczą się tutaj – o czym Robert czytał – studia telewizyjne, drukarnia, sklep z książkami, magazyny, zaplecze biurowe i tak dalej. Podobno jest też sala gimnastyczna i pięćdziesięciometrowy basen. Ale może to tylko kolejna złośliwa plotka rozpowszechniona przez „polskojęzyczne media".

Stadionowe reflektory na masztach oświetlają szeroki, wyłożony marmurem podjazd. Świecą, chociaż to środek dnia. W dziwnej mieszaninie naturalnej jesiennej szarości i sztucznego blasku łukowych lamp widać bezładnie zaparkowane samochody z nazwami stacji telewizyjnych oraz kręcących się między nimi ludzi w kapturach. Przechodzą niespiesznie z auta do auta, dzwonią, nudzą się w oczekiwaniu na jakikolwiek ruch wielebnego. Robert powoli okrąża całe to zgromadzenie. Droga wokół siedziby księdza jest przystrojona niskimi latarniami w kształcie pochylonych tulipanów. Wzdłuż gładkiej jezdni ciągnie się ścieżka rowerowa, rzędy ławek i pustych koszy na śmieci również stylizowanych na kwietne kielichy. Gust ojca Franciszka. W cieplejsze dni z okazji świąt religijnych, a także w coroczne urodziny telewizji cały ten teren zapełnia się pielgrzymami zjeżdżającymi ze wszystkich zakątków ojczyzny, żeby popatrzeć na budowę pomnika tysiąclecia. Albo wejść do największej księgarni wydawnictwa Arka i kupić zbożną lekturę. Lub nawet – co daj Boże – uścisnąć dłoń samemu księdzu prezesowi.

Dziś najwyraźniej nie ma ani święta, ani rocznicy. Biegnąca po okręgu droga jest prawie pusta. Pruski jedzie wolno, uchyla szybę, podziwia pomnik. Szerokość u podstawy porównywalna

z wieżowcem. Rozpiętość między dłońmi rozłożonych rąk – o ile pamięta – blisko sześćdziesiąt metrów. Osiem metrów ma mierzyć sama głowa.

Zagapiony Robert o mało nie wjeżdża prawym kołem w ławkę. Hamuje, zawraca najwolniej, jak się da. Patrzy. Czekać na pojawienie się księdza razem z całym dziennikarskim stadem czy dać sobie spokój? Dzwonienie do furty w tych okolicznościach nie ma najmniejszego sensu. Dziś Telewizja Horeb jest jak najdosłowniej oblężoną twierdzą.

Ktoś wyjeżdża z podziemnego garażu w bocznej części gmachu. Potężny stary mercedes. Wśród czekających dziennikarzy – ruchawka. Coś się zaczyna dziać także po drugiej stronie ogrodzenia. Z przeszklonego głównego wyjścia wybiega czterech ochroniarzy w ciemnych uniformach. Czapki z daszkami, skórkowe rękawice bez palców, dyndające przy pasie pałki, radiotelefony przypięte do ramion. Brakuje im tylko pancerfaustów. Stają w równym rzędzie za trzymetrowej wysokości ażurową bramą, która powoli przesuwa się w lewo. Wysłannicy mediów nawet nie próbują forsować otwartego wjazdu. Mercedes wypada na drogę, przyspieszając, błyskają flesze, operatorzy przesuwają obiektywy w ślad za limuzyną, pada kilka okrzyków i przez grupę przetacza się jęk zawodu. Głośne komentarze, ktoś klnie. Mimo uchylonej szyby Pruski nie jest w stanie rozróżnić, co mówią, ale sens całej sceny jest jasny. To nie był Drozd, a w każdym razie nie dało się go sfotografować ani nakręcić.

Domyka okno, zjeżdża z asfaltu, parkuje na skraju polany, przy drodze dojazdowej, ale pod samą linią drzew, których pnie zasłaniają go teraz przed dziennikarską bracią. Ksiądz jest w środku. To raczej pewne.

Dzwoni telefon. Na wyświetlaczu: „Majka”.

– Trafiłam na coś maksymalnie ciekawego – zaczyna bez wstępów. – Nietypowy sponsor Horeba. Niejaki Topaz.

– Powtórz.

– Topaz. Tak jak kamień szlachetny. Fuerteventura jednak była wycieczką po kasę. – Akcent pada na słowo „była". – Słuchasz mnie? Chyba rzeczywiście będziesz musiał mi płacić...

– Słucham cię całym ciałem. I zapłacę.

– Spotkajmy się w mieście wieczorem. Mam małą rzecz do załatwienia w centrum, zdzwonimy się jeszcze w sprawie miejsca.

Robert przez chwilę trzyma cichy już telefon przy uchu, patrząc na deszcz ściekający po przedniej szybie subaru. Włącza radio. Zalany dworzec w Gdańsku, pociągi nie kursują, podtopienia na drodze numer siedem i na krajowej jedynce. W Kotlinie Kłodzkiej leje już czterdzieści osiem godzin bez przerwy. Woda przykryła wioski pomiędzy miejscowościami Szalejów Dolny i Jaszkowa Dolna. Strażacy transportują żywność pontonami, helikoptery ewakuują mieszkańców, miejscowy sztab kryzysowy o coś apeluje.

Pruski czeka. Wyjmuje z kieszeni sfatygowany portfel, kładzie przed sobą pięćdziesięciozłotowy banknot. Opiera skroń o zagłówek. Przez dwadzieścia minut mijają go: śmieciarka, opuszczający polanę wóz transmisyjny Polsatu, później jadący z powrotem do księżowskiego garażu mercedes. Dość długo droga dojazdowa jest pusta. Czwarte auto z kolei – wolno jadąca od strony Warszawy furgonetka z reklamą wody mineralnej – ma stłuczone jedno światło z przodu.

Robert wyskakuje na drogę, machając obiema rękami.

– Chuj cię nie boli?! – Szofer z papierosem w ustach, nie więcej niż trzydziestoletni, ale już łysy od czoła, najpierw hamuje, a potem

wrzeszczy przez uchylone drzwi. – Spierdalaj mi stąd, ale...

Nie kończy. Niebieska pięćdziesiątka w dłoni wysokiego faceta o zmierzwionych włosach może oznaczać coś wartego uwagi.

– Wieziesz wodę do telewizji? – Głos podstarzałego hipisa jest ochrypły jak u menela, ale łysy od razu się orientuje, że to jakiś dziennikarz – cwana gapa. Wczoraj też robił kurs do Horeba, głupi nie jest.

– Taaak... wiozę.

– I sam ją wnosisz?

– A co myślisz, kurwa, że mam murzyna?

– Pownoszę za ciebie. I pięć dych dam.

– Dasz stówę.

Robert wskakuje do szoferki. Strasznie tu śmierdzi tanimi fajkami. Nie zamknął subaru. Trudno. Wręcza pięćdziesiąt złotych i przeciąga obiema rękoma po zmoczonej twarzy. – Pięć dyszek za nic to dla ciebie mało? Nie bądź za chytry. Papież na ciebie patrzy...

Facet od wody mineralnej naciska hamulec.

– Nie patrzy, bo nie ma jeszcze oczu. Stówa.

– Dobra już, dobra, cholera! Jedźże... Wodę masz w bańkach czy w zgrzewkach?

– W bańkach.

Pruski wyciąga kolejne pięćdziesiąt złotych. Podjeżdżają do gmachu od tyłu. Dostawca wód kilka razy trąbi, trzech ochroniarzy podchodzi do bramy. Dwóch mniejszych w czapkach i wygniecionych uniformach, jeden – wyższy od tamtych o głowę – w płaszczu z kapturem i z psem na smyczy. Tylna furta jest otwierana ręcznie. Gość w pelerynie przekręca klucz w ciężkim zamku i uchyla stalowe skrzydło, drugi z ekipy okrąża furgon, trzeci bez pytania chwyta za klamkę i szeroko otwiera drzwi od strony kierowcy. Zagląda do kabiny.

– Więcej was matka nie miała?

– Ja dziś nie noszę, nowy jest do noszenia. – Łysy wyrzuca w połowie wypalonego papierosa na mokrą kostkę podjazdu.

– Tu się nie śmieci. Mam ci kazać podnieść?!

– Możesz se jeszcze dopalić, jak nie zgasł – Kierowca szarpnięciem wyrywa klamkę z ręki ochroniarza i zatrzaskuje drzwi. – Gorsze te kurwy od policji – dodaje już do Roberta, wjeżdżając autem na zadaszoną rampę. – Pierdolonemu łachudrze się wydaje, że jest z efbiaja.

Chwilę później układają bańki z wodą na dwukołowych wózkach. Jeszcze parę minut i łysiejący dostawca wraca do bramy już tylko w pojedynkę. Z trójki ochroniarzy przy uchylonej furcie został jeden – ci w czapkach gdzieś się schowali przed deszczem.

– Gdzie ten drugi...? – drągal w kapturze wskazuje palcem na puste siedzenie obok kierowcy.

– Tam jest. – Szofer wskazuje kciukiem pakę za sobą i nie dając wysokiemu czasu do namysłu, przejeżdża obok.

* *

Plan Roberta jest prosty: śpieszyć się. Ochrona zaraz zauważy, że w samochodzie brakuje pasażera. Albo włączą alarm, albo zechcą to załatwić po cichu i rozbiegną się po budynku. Tak czy siak, ma tylko sekundy. Może minutę. Akurat tyle, by iść prosto do gabinetu księdza prezesa – gdziekolwiek to jest – a potem improwizować.

Za sto złotych prócz transportu Robert wytargował jeszcze kilka kopii starych faktur na łososiowych i pistacjowych blankietach. Z długopisem w ustach, papierami w lewej ręce i telefonem w prawej, idzie szybko wąskim korytarzem bez okien. Najważniejsze to sprawiać wrażenie człowieka spieszącego

w konkretnym celu. Na razie nie ma wokoło nikogo. Mija pozamykane drzwi i ściany wyłożone ciemną boazerią do wysokości ramienia. Półmrok rozświetlają małe przyścienne lampki o kloszach w kształcie kwietnych kielichów. Dwa stopnie w dół – korytarz robi się szerszy, jaśniejszy i wyższy. Ze strony, w którą podąża, sączy się dzienne światło. Terakota pod stopami ustępuje wzorzystej, miękkiej wykładzinie. Nad boazerią po obu stronach widnieją teraz rzędy fatalnie namalowanych olejnych obrazów w złotych ramach stylizowanych na późne rokoko – portrety duchownych i świętych, w większości nieudane kopie najbardziej popularnych motywów i autorów od El Greca do Per Kraffta i biskupa Krasickiego. W rozwidleniu korytarza półtorametrowa figura z pastorałem. Święty Stanisław, Święty Mikołaj albo papież – ta twarz może należeć do każdego. Utrącony fragment zdradza technikę: gips pomalowany na mosiądz.

Dwaj młodzi ludzie nadchodzą z prawej. Robert skręca w lewo. Mijane okno ukazuje dźwigi na placu budowy i fragment pomnika. A więc kierunek jest dobry. Służbowe apartamenty szefa – logicznie – powinny być w środkowym skrzydle.

Portrety hierarchów i męczenników ustępują miejsca czarno – białym fotogramom. Na zdjęciach – tak jak na płótnach – sami niemłodzi faceci. Pod portretami przykręcono tabliczki z imionami i nazwiskami. Tu i ówdzie dodane tytuły: doktor, inżynier, profesor, minister, konsul, mecenas, generał. Jest nawet baron i jakiś don. Przed kilkoma portretami palą się na czerwono elektryczne wieczne lampki. Parę polskich nazwisk jest Robertowi znanych. Sponsorzy Drozda – aktualni oraz ci, którzy już odeszli do Pana. Nazwiska „Topaz” nie widać.

Gabinet musi być blisko – i jest.

Po prawej widać szerokie schody w dół i w górę – tymi drugimi schodzi akurat kobieta w okularach. Po lewej – półkolista lada recepcji. Front ozdobiony szerokim na trzy metry i zgrabnie podświetlonym logotypem Horeba z Chrystusowym obliczem wpisanym w złotą literę „o". Blat zastawiony kwiatami. Dwa duże ekrany monitorów, pomiędzy nimi ładna twarz sekretarki z grzywką opadającą na prawy policzek. Za jej królestwem dwoje drzwi. Te bliżej są podwójne, dalsze – pojedyncze. Entliczek, pentliczek. Robert wybiera większe.

– A pan którędy... to nie jest... halo! Proszę pana!!

Złota klamka wystaje z szyldu ozdobionego rzeźbionymi girlandami. Za progiem jasnozielony dywan w łagodne, kwietne wzory i powiew cieplejszego powietrza. Drozd siedzący w fotelu na końcu długiego stołu gwałtownym ruchem zamyka skrzydło laptopa. Słabe światło z ozdobionego witrażem okna pada na jego charakterystyczną łysinę przywodzącą na myśl końcówkę cytryny. Pruski robi trzy kroki do przodu, rejestruje blask żaru kominka w tylnej ścianie i zmieniające się co sekunda obrazy na ekranach po lewej. Podgląd do studia telewizyjnego, widok bramy wjazdowej i coś jeszcze.

Podchodzi bliżej księdza, dziewczyna z sekretariatu wbiega za nim, ale nie krzyczy. Drozd, wyprostowany na siedzeniu, przeciąga dłonią po czarnej brodzie. Jego szeroka, nieco orientalna twarz – gęste brwi, duży nos, grube usta – zdradza raczej wyczerpanie niż wrogość.

– A on się skąd tu zaplątał?

– Niech ksiądz nie wzywa ochrony, proszę. Wyjdę sam, jeśli będzie trzeba. Chciałem coś księdzu powiedzieć.

– Najsampierw powie, kto go przysłał.

– Sam się przysłałem.

– Nieprawda. Nagrywa?

– Nie... – Pruski kładzie telefon na czarnym stole przed księdzem. Niepotrzebne już kopie faktur wtyka do tylnej kieszeni spodni razem z długopisem. Drozd podnosi i chwilę waży nokię w owłosionej dłoni o tępo zakończonych palcach.

– Na razie zawołaj Mariana tylko i niech czeka pod drzwiami – mówi do sekretarki. – I nie zamykaj! A ty mnie tutaj nie cygań. – Spojrzenie czarnych oczu księdza przenosi się na intruza. – Masz drugi mobil w kieszeni albo kamerę...

Zdjęcie kurtki, swetra, a potem wywalenie na stół zawartości bocznych kieszeni dżinsów – długopisu, zapalniczki, kluczy i paru innych drobiazgów – zajmuje Pruskiemu mniej niż ćwierć minuty. Wie doskonale, że wszystko rozstrzyga się teraz. Za chwilę przyjdzie Marian. Musisz się, chłopie, zachować jak młody psiak. Położyć na plecach, pokazać miękki brzuszek i szczere intencje.

– Nie mam nic do ukrycia. Nie jestem dziennikarzem. Jestem autorem książki. Piszę księdza biografię.

– Jakiego księdza? Niby moją?!

– Tak.

– A kto ci, miglancu, dał zgodę?

– Na to nie trzeba mieć zgody, ale przyszedłem księdza lojalnie poinformować...

– I ja ci mam uwierzyć?

– A co w tym dziwnego? Wszyscy się przecież księdzem interesują. – Robert, z obiema rękami grzecznie spuszczonymi wzdłuż ciała, wskazuje głową ekrany na ścianie. Na jednym z większych widać wciąż czekających pod bramą dziennikarzy.

– A tyś okazję zarobić wyniuchał?

– Tak.

Brzuszek i szczere intencje.

– No to ci powiem, że nie zarobisz. Drozd wstaje z fotela i sapie. Jest niższy od swego gościa o przynajmniej dwadzieścia centymetrów, lecz cięższy, o szerszych ramionach i grubszych udach. Rzuca mu nokię na skłębione pod nogami ubranie i mocno kłuje wyprostowanym palcem w brzuch. – Zabieraj mi swoje bambetle, ale to już. I jazda stąd! Ja nie pozwolę!! – Zmiana nastroju jest gwałtowna, choć chyba kontrolowana. – Najpierw na mnie komuniści zasadzki robili, a teraz cięgiem wy, nowi! Co ty mnie będziesz tu mamił, że lojalnie... Jaka lojalność?! Jaka moralność wasza? Skąd to się bierze w człowieku?! Marian!!

Do gabinetu wchodzi dryblas o końskiej szczęce i posiwiałych włosach. Modelowy ochroniarz z amerykańskiego filmu, tylko mu garnituru brakuje. Na górze co prawda ma marynarkę, ale na dole już tylko spodnie od dresu i buty do joggingu.

Pod okiem goryla Robert zakłada wiatrówkę najwolniej, jak tylko można.

– Ja wiem, że Karolina Koon to prowokacja. – Zapinając suwak, udaje, że zamek się zaciął. – Ksiądz poleciał na wyspy zbierać pieniądze na inne swoje dzieła, prawda? Przecież wystarczy powiedzieć prawdę.

– Ty mi o prawdzie, synek, opowiadać będziesz?! Wstydź się! Te same knyfy co komuniści. Zasadzki, jakie bezpieka robiła. Żeby człowieka podejść i ocyganić, omamić...

Pruski robi najżałośniejszą ze wszystkich swych min. Prawie zapłakaną.

– Więc jednak nie do Topaza, tylko na intymne spotkanie? Niechże mnie ksiądz nie zasmuca...

– Paaan Topaz... – kapłan akcentuje i rozciąga tego „pana" jak może – ...jest człowiekiem, którym ty sobie gęby nie wycieraj, pieronie! On próbuje odkupić, próbuje pomóc, pomaga... A wam coś

tłumaczyć to jak do studni wołać. Do domu wracaj. Z Panem Bogiem. A prędko!

Franciszek Kosma macha ręką przed twarzą, jakby tym ruchem unieważniał wizytę, rzekomo szczere zamiary gościa i całą jego postać.

– Gdyby ksiądz zmienił zdanie, napiszę numer telefonu. – Robert wyciąga długopis, pochyla się nad blatem biurka i wypisuje swój numer na skrawku różowej faktury. – Nie mam wizytówek, przykro mi. Może jak sprzedam dobrze księdza biografię, polecę zrobić jakieś ładne.

– Niczego nie sprzedasz, nygusie.

Ksiądz już nie jest dobroduszny. Nie odbiera wręczonego mu świstka z dziewięcioma cyframi. Papierek upada na dywan. Siwy kładzie ciężką rękę na ramieniu Roberta i ciągnie do wyjścia. Drozd pokazuje niezapowiedzianemu gościowi plecy. Koniec audiencji.

9.

Środa 23 października, popołudnie i wczesny wieczór

Wracając na Francuską, Pruski głośno klnie i bije dłońmi o wierzch kierownicy. Przypala jednego papierosa od drugiego. Sapie, gwiżdże jak czajnik, znowu klnie. Usiłuje zakrzyczeć własne myśli, by nie odtwarzać swoich ostatnich chwil w Białołęce. A jednak obrazy sprzed kwadransa same się wyświetlają. Skurwysyn ochroniarz, wyprowadzając go przez furtkę, na pożegnanie kopnął w dupę, tak że pan redaktor podskoczył jak skarcony gówniarz. I to na oczach całej licznie zgromadzonej medialnej gawiedzi. W tym, co gorsza, kilku niezłych babek. Szedł

w stronę auta pomiędzy dziennikarkami we wrogiej ciszy, a z tyłu dobiegały go śmiechy. „Wlazłeś, nieznany nam bliżej cwaniaczku z bliżej nieznanej gazety, jakąś dziurką? To cię odnaleźli i wykopali. Dobrze ci tak!".

Niby nic dramatycznego nie zaszło, ale... kwaśno w ustach. Kurwa mać... wielebny księże... to ma być miłość bliźniego?! Tak się traktuje ciężko pracującego Polaka, ojca dzieciom, który miał piątkę z lekcji religii i nawet był bierzmowany?! No, nie mam po prostu innego wyjścia, jak się za ciebie zabrać na ostro, ty dziadzie!

Myśl, chłopie, myśl intensywnie. Tylko już nie o kopniaku w dupę, lecz o tym, o co tu biega!

Po pierwsze: sponsor Topaz próbujący coś „odkupić" i „pomóc".

Odkupić datkami jakieś dawne winy? Drozd poleciał na Kanary spowiadać? Bzdura... Pojechał po szmal, tak jak twierdzi Majka.

Jedno drugiego nie wyklucza.

I jeszcze te „zasadzki robione przez komunistów i bezpiekę"... Wiedza Roberta na temat najdawniejszej przeszłości wielebnego jest dosyć skromna, jednak dotychczas Franciszek Kosma nigdzie nie przedstawiał siebie jako prześladowanego przez reżim PRL. Nie kreował się ani na dysydenta, ani nawet na niepokornego w stanie wojennym. W kraju, w którym bohaterskich ekslegionistów przybywa z upływem lat, ksiądz prezes nie pielęgnuje kombatanctwa. Nie wyciąga też starych grzeszków tym, którzy stali po niewłaściwej stronie. Nie lustruje, nie wypomina przeszłości. Patrzy wyżej. Twórca Horeba to charyzmatyk, władca dusz i *enfant terrible* polskiego Kościoła zachowujący równy odstęp od wszystkich ośrodków władzy z Episkopatem i Przymierzem Prawicy włącznie. Próżno szukać go w pierwszych rzędach foteli na bogoojczyźnianych jarmarkach i podniosłych uroczystościach ku pamięci. Nie odwiedza Pałacu Prezydenckiego, nie celebruje

rocznic nadejścia demokracji, nie składa podpisów pod aktami strzelistymi, nawet tymi generowanymi po prawej stronie. Oczywiście bliżej mu do patriotów niż do całej reszty, ale jeżeli zawiera sojusze, to tylko doraźne. Budowa medialnego konsorcjum – a teraz drapiącego chmury monumentu – wymaga elastyczności.

Od czasu do czasu Drozd zachowuje się zaskakująco. Robert przypomina sobie teraz, że dwa lata temu leciwy arcybiskup – wiceprzewodniczący Prezydium Konferencji Episkopatu – pozwolił sobie na publiczną rozmowę z prezeską partii wolnościowców, niejaką Żarnowską, zadeklarowaną ateistką, a do tego osobą żyjącą w związku partnerskim z jeszcze gorszą od siebie brzydulą. Prawoskrętne media zatrzęsły się z oburzenia: jak katolicki hierarcha może choćby przywitać się z sodomitką? A co dopiero dyskutować publicznie... I tylko Telewizja Horeb – z urzędu wroga Żarnowskiej i Ruchowi dla Wolności – wzięła arcypasterza w obronę. Dziennikarze Drozda agresywnie przejechali się wtedy po kolegach z patriotycznych mediów. A ci odpowiedzieli serią tekstów o niefajnych sponsorach Angelus Dei.

W pokoju na Francuskiej bez trudu odnajduje teksty z tamtego okresu. Pochylony nad laptopem, na wciąż niepościelonym łóżku, czyta uważnie publikacje sprzed dwudziestu miesięcy. Autor bloga zawieszonego przy witrynie Zawszewolna.pl, jeden z ostrzej krytykujących postawę Horeba w tak zwanej sprawie arcybiskupa, napisał tak:

„Przegląd politycznej przeszłości największych darczyńców fundacji Angelus Dei zaczniemy od Stanisława Kojca, dziś obywatela szwajcarskiego, w latach siedemdziesiątych kierownika zakładu kryminalistyki komendy wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej...”.

Dalej bloger lustruje kolejnego mecenasa fundacji, niegdyś szefa Głównego Urzędu Kontroli Prasy i posła na komunistyczny Sejm. Po cenzorze przychodzi czas na dyrektora centrali handlu zagranicznego i zarazem partyjnego prominenta, niejakiego Bryłę. Autor linkuje przy tekście filmik z fragmentem dawnej kroniki filmowej. Towarzysz Bryła otwiera nową siedzibę swej instytucji. Gdy oko kamery spoczywa na jego nalanej twarzy i rozlazłej szyi, Robert przypomina sobie czarno-biały fotogram widziany przed kilkoma godzinami na korytarzu w Białołęce.

Wielebny ma rzeczywiście ciekawych mecenasów i o tym trzeba będzie napisać. Bo to się układa. Kasa w zamian za odpust zupełny. Stara szkoła. Panowie o brudnych życiorysach wydają pieniądze, wielebny przykręca tabliczki na ścianie: oto darczyńca złoty, srebrny, miedziany. Gdy postawią wspólnie największy pomnik, wkręcą te wszystkie plakiety – jak czytał – w specjalną marmurową tablicę z tyłu ośmiometrowej głowy i pójdą razem do nieba.

Nokia rozbrzmiewa dźwiękami gitar. Dzwoni Jasio.

– Tata... ale pojedziesz ze mną na zawody?

– Jakie?

– Wędkarskie.

– Pewnie, że pojadę. Co robisz?

– Gram sobie.

– Nie jesteś na lekcjach?

– Tata... trzecia już jest. A na basenie nie byłem, bo ten gej zabrał mój worek z klapkami. Swoje zgubił, a mama mówi, że nowych teraz nie kupi.

– Posłuchaj mnie, misiek, uważnie...

Rozmowa wychowawcza, dziś odcinek poświęcony braterskiej miłości, trwa parę minut, w trakcie których ojciec wypala papierosa na balkonie. Potem przechodzi do pokojów redakcji. Rozmawia

z Weroniką i Anią o sześciokolumnowym fotoreportażu z potężnej aukcji w Domu Tradycji „Amber Art". Bursztynowi panowie z Gdańska wykupili dwustronne ogłoszenie, zatem relacja z licytacji spisana przez młodego kustosza z Muzeum Opatów musi im się spodobać. Reklamodawca płaci i wymaga. A tutaj, jak na złość, pan kustosz podważa w tekście autentyczność górskiego pejzażu pędzla Tadeusza Popiela i wytyka pomyłki ze strony prowadzącego, któremu dwukrotnie pokiełbasiły się stawki.

Lawirowanie między oczekiwaniami ogłoszeniodawców, ambicjami i interesami zewnętrznych autorów „Rynku Sztuki" oraz prawem czytelników do przeczytania czegoś ciekawego bywa niełatwe.

– Leć już do swojego księdza. – Weronika delikatnie odpycha go palcem. – Poradzę sobie. Zadzwonię jutro do kustosza. Poprawimy, co trzeba. Ty zmykaj!

Robertowi nie trzeba powtarzać dwa razy: jadalnia, szybka przekąska, papieros – i do laptopa. W ciągu dwóch godzin powstaje pięć kolejnych stron o Karolinie.

Trzeba jej historię zakończyć jak najprędzej i chwytać w garść Drozda. Nie będą cię, chłopie, bezkarnie kopali w dupala.

Przed szóstą dzwoni Maja. Proponuje spotkanie za godzinę w Charlotte.

– Dostałam ulotkę, że w środy robią promocję na wszystko, co zostało w barze.

– Marzę o taniej herbacie i zwietrzałych paluszkach.

– Jak ci opowiem, co znalazłam, zamówisz szampana. Nie zamówisz – znaczy, że stałeś się dziadem.

Koniec połączenia.

O kurczę.

Przed wyjściem Pruski czyta jeszcze w sieci kilka tekstów na temat wielebnego.

* *

Rzęsisty deszcz bębni w dach toyoty yaris. Podzwanianie blachy miesza się z szumem silnika. Przy zjeździe ze Żwirki i Wigury w Wawelską Maja trafia na korek. Samochody stoją, wycieraczki pracują, środkowy pas zajęty jest przez wóz techniczny. Faceci w żółtych gumowych płaszczach pochylają się nad czymś, czego nie widać przez zalane szyby samochodu, tym bardziej że nie działają latarnie. W ciemności rozpraszanej jedynie lampami stojących aut znane miejsca wyglądają dziwnie, jakby to było inne miasto.

Majka włącza radio. Pierwsza informacja: zalane drogi w różnych miejscach kraju, nieczynne stacje kolejowe na Pomorzu. Gdzieś pod Sanokiem zarwał się grunt w pobliżu wezbranej rzeki. Runęły dwa domostwa.

Kolejna wiadomość: specjalny komunikat dla Warszawy. Kierowcy, zostańcie w domach! Wisłostrada i Trasa Łazienkowska częściowo nieprzejezdne. Prognozy mówią, że przed nami jeszcze co najmniej trzy deszczowe dni i należy się spodziewać zamykania następnych ulic. Ostatnia wiadomość:

„Fundacja Angelus Dei nie przedstawi mediom żadnych więcej oświadczeń na temat wspólnego pobytu w kanaryjskim hotelu księdza Franciszka Drozda i celebrytki Karoliny Koon. Dziennikarze zgromadzeni pod bramą duchownego nie doczekali się rozmowy z księdzem. W późnych godzinach popołudniowych na portalu Telewizji Horeb pojawił się lakoniczny wpis. Ksiądz prezes apeluje – jak czytamy – o »ostateczne poniechanie gorszącego spektaklu i poświęcenie się mediów poważniejszym tematom, jak choćby obecna klęska żywiołowa«”.

Toyota przesuwa się o kilka metrów i staje. Znów metr do przodu – i ponowny postój. Tak przez dziesięć minut. W radiu nadają relację z wioski pod Sanokiem. Na Wawelskiej chmara migających świateł awaryjnych zwiastuje ostateczny koniec podróży kołowej. Ci, którzy nie słuchają radia albo nie rozumieją, co znaczy „zamknięta Łazienkowska", do tego jeszcze głusi, niemówiący po polsku oraz pewna wybitna, lecz rozkojarzona od kilku godzin intelektualistka Maja Szalawska – wszystkie te osoby tkwią teraz w miejscu, z którego nie ma odwrotu. Ona ma na swoje usprawiedliwienie przynajmniej tyle, że po tym, co dzisiaj wyczytała w hiszpańskim internecie, każdy byłby rozkojarzony.

Rozgląda się na wszystkie strony. Po prawej: trawnik, ścieżka rowerowa i park za płotem. Po lewej: siatka. I niecałe pięć minut do spotkania z Robertem. Zjeżdża na trawę, wyłącza silnik, porywa z tylnego siedzenia torbę listonoszkę z tabletem w środku. Wysiadając, zanurza w błocie wysokie buty do końskiej jazdy. Co za gówno! Zatrzaskuje drzwi auta mocniej, niż trzeba, zakłada kaptur i rusza piechotą w stronę placu Zbawiciela. Gdy dociera, przemoczona, do arkad z nieśmiertelnym szyldem „Klucze", myśli, że szanowny redaktor Pruski powinien jej postawić raczej duży koniak niż szampana. Otwierając przeszklone drzwi jadłodajni, kicha.

Restauracja jest oświetlona wyłącznie świecami i zapełniona do ostatniego miejsca. Robert siedzi przy małym stoliku koło zaparowanego okna. Włosy ma mokre, co znaczy, że też przyszedł piechotą. Między nim a wejściem hałasuje grupa podpitych kolesiów w białych koszulach i marynarkach. Wszyscy ostrzyżeni na krótko albo na zero. Mają wszawicę, przechodzą chemioterapię czy właśnie wypuścili ich z wojska?

– Długo czekałeś? Przepraszam... Widzisz sam, co się dzieje...

– Widzę. – Robert wstaje, żeby podsunąć jej krzesło. Na ciasnym blacie stoi gruba fioletowa świeca, dzbanek z herbatą i wielki baniasty kielich z czymś rdzawym. – Musiałem zostawić wóz po drodze. Ciemno wszędzie jak w dupie...

Maja wiesza trencz na oparciu, siada, z listonoszki wyciąga tablet, komórkę i paczkę chusteczek. Wyciera dłonie, podnosi szkło, wącha zawartość i cmoka. – Skąd wiedziałeś, że nie mam ochoty na szampana?

– Telepatia. Poza tym muszę dbać, byś się nie pochorowała, zanim zakończymy robotę. Nos masz czerwony.

– Czerwony będę miała, kiedy wypiję tę bombę. Ale muszę się napić, i to na maksa. Też zaparkowałam byle gdzie. Cały czas myślę tylko o tym jednym... zaraz ci powiem... – Podnosi kielich. Już pierwszy, gorzko-śliwkowy łyk zaczyna wyganiać z ciała chłód i wilgoć. – Mój papcio rozpoznaje koniaki po zapachu. Ja nie jestem tak dobra, ale i tak czuję coś z droższej półki.

– Ararat. W przyjemnej cenie. Niestety, nie dadzą nam nic do jedzenia. Przez prąd. Byłem dzisiaj u Drozda w Horebie.

– I jak mu tam... biedaczkowi? – W tonie Majki słychać niechęć. Robert ma wrażenie, że chciałaby mu szybko powiedzieć coś ważnego, dlatego maksymalnie skraca swe sprawozdanie z wizyty w Białołęce i tylko jednym zdaniem wspomina o kontrowersyjnych księżowskich darczyńcach. Pożegnalnego kopa w zadek pomija.

– Sponsoring to dobry kierunek. – Maja wyświetla kilka okien na ekranie. Znane całemu krajowi zdjęcie z „Faktu", tabela wyglądająca na rozkład jazdy autobusów, mapa satelitarna Afryki Zachodniej – i coś jeszcze.

– Co do hotelu Riu Palace, Drozd ma rację. To nie jest żaden luksusowy przybytek, ma cztery gwiazdki, i to naciągane. A Drozd tam nawet nie mieszkał...

– Albo nie zameldował się na swój paszport.

– Moim zdaniem nie mieszkał. Zobacz na kąt padania promieni. – Majka stuka paznokciem w fotografię księdza i Karoliny. Powiększa dolny fragment. – Morze jest z tyłu, więc tam mamy zachód, a tam – wschód. Sprawdziłam datę, godzinę, położenie względem brzegu... szczegóły ci daruję. Samolot Drozda przyleciał do Puerto del Rosario o dwunastej dwadzieścia czasu lokalnego. Zdjęcie jest zrobione o drugiej po południu, najdalej o trzeciej, bo cień pada z tej strony w kierunku plaży. Czyli przyjechał do tej kafejki prosto z lotniska. Zobacz teraz...

Kolejne powiększenie obejmuje prawy zakątek fotografii.

– Lodówka, szafka?

– Widzisz kółko? I to ciemniejsze wzdłuż boku...

– Szafka na kółkach?

– Z zamkiem błyskawicznym?

– Hę?

– Walizka Drozda, ty gapo! Dziesięć centymetrów od jego nogi. Postawił ją pod swoim krzesłem, zamówił oranżadę, czeka na coś... ogarniasz?

– Ale nie na Karolinę.

– Nie. Czeka na statek.

– Co?

– Niewielki stateczek. – Maja przesuwa kolejne zdjęcie na środek ekranu. Widać łódź. – Raz dziennie odpływa z plaży koło Riu Palace do rezerwatu Wyspa Wilków.

Na tablecie rośnie mapa wybrzeża Afryki. Robert pochyla głowę ku Majce. Hałas dobiegający od strony stolika z męskim towarzystwem trochę utrudnia rozmowę. Ararat pachnie upajająco.

– Wyspa prawie bezludna, dwa kilometry od Fuerteventury. Stara latarnia morska i opuszczona wioska Fuertito. Kiedyś można się

było tam dostać promem z samego Puerto del Rosario, dzisiaj kursuje już tylko ta jedna łódka. Dwa razy dziennie wozi i zwozi kitesurferów. Wypływa z wydmy Corralejo o ósmej rano i o piętnastej. Czyli czas nam się zgadza... – Majka pociąga łyk araratu. – Mówiłam, że łajba wozi kitesurferów, ale nie tylko. Bo jeszcze tych, co chcą odwiedzić jedynego stałego mieszkańca na wyspie.

– A tym jedynym jest niejaki Topaz. – Robert obraca w palcach zamkniętą paczkę papierosów.

– Nazwisko Topaz, imię Ferdynand. Przestępczy skurwysyn i bardzo poważny sponsor Angelus Dei.

– O którym Drozd mi dziś powiedział jako o pomagierze, który coś musi odkupić... czy może odpokutować. I że mu się szacunek należy – Robert wyciąga papierosa i zaczyna go przekładać między palcami. Majka opróżnia swój kielich.

– Jeszcze raz to samo poproszę – rzuca w stronę anorektycznej kelnerki, która przed chwilą skończyła obsługiwać parę czarnowłosych dziewcząt o skośnych oczach. Jedna z Azjatek przypomina zmniejszoną Karolinę Koon. Wpatrzona w ekran iPhone'a kręci w palcach długi warkocz, a modre światło z komórki kładzie się chłodną plamą na jej twarzy.

– Ferdynand Topaz ma za co błagać niebiosa o wybaczenie... wierz mi. W ubiegłorocznym zestawie darczyńców gnój występuje jako instytucja pod nazwą Mario Muriz.

– Co oczywiście ciebie nie zmyliło.

– Przepuściłabym, gdyby Drozd najzwyczajniej zarejestrował skurwiela pod lipnym nazwiskiem. Ale prezes i Topaz zadali sobie więcej trudu, niż trzeba. I to mnie zaciekawiło. Mario Muriz jest czymś między, powiedzmy, organizacją pożytku publicznego, fundacją i stowarzyszeniem kulturalnym. I wiele robi, aby się

ustrzec konkretów. W hiszpańskim kaeresie nie ma praktycznie nic. Na liście endżiosów tak samo. W katalogu unijnym – pusto. Najpierw nie mogłam zrozumieć, jakim cudem. Ale znalazłam. Na Ceucie.

– Na czym?

– Ceuta, cypel wielkości połowy Mokotowa przyklejony do Maroka... – Maja pomniejsza mapę Afryki, przesuwa podgląd w okolice Cieśniny Gibraltarskiej i znowu przybliża obraz. Widać szafirowe morze, płową lagunę przeciętą ciemniejszym podejściem do portu i poszarpany, podłużny, skalisty półwysep. – Formalnie to jest Hiszpania, tak jak Fuerteventura, tylko nie wszystkie przepisy tam obowiązują. Fundacja, niech jej tak będzie, nie składa żadnych raportów, nie bierze znikąd dotacji i ma jedynego właściciela, Topaza. I adres do korespondencji. Poczta przy Calle Salud Tejero – o, tutaj. W połowie cypla.

– Skrzynka pocztowa w Afryce. – Robert odgarnia z czoła mokre włosy. – Dobre. Powiesz mi wreszcie, co ten Topaz zbroił?

– Zaraz, po kolei... Mario Muriz, czymkolwiek jest, przekazało Drozdowi trzy lata temu, dwa lata temu i w zeszłym roku po równo osiemnaście tysięcy euro. Za każdym razem w trzech ratach.

– A cztery lata temu?

– Wcześniej Muriza w wykazach nie ma. Ani Muriza, ani Topaza.

– Daje na pomnik.

– Mmm...?

– Komitet budowy pomnika powstał trzy lata temu, w kwietniu. Mario Muriz wpłaca forsę na wielkiego papieża. Odkupuje grzechy swego właściciela.

– A widzisz! – Maja prostuje plecy, omal nie wytrącając głową tacy, na której wjeżdża kolejna kolba koniaku.

– Co widzę? – Robert uśmiechem dziękuje chudej kelnerce.

– Teraz dopiero ogarniam, czemu dotacje tak Franciszkowi skoczyły od kwietnia. Tego mi właśnie brakowało. Bo masa nowych sponsorów pojawiła się tamtej wiosny.

– Tylko że nawet osiemnaście tysięcy euro i nawet razy trzy... jak na potrzeby pomnika to są ciągle grosze. – Pruski czuje, że intensywna woń alkoholu z Erywania w końcu zaczęła na niego działać. Znane lekkie strzyknięcia w potylicy. Sygnały... Wkłada papierosa między zęby, zaplata ręce za szyją, napina mięśnie karku i stęka. – Odświeżyłem sobie dziś kilka informacji z dziedziny budownictwa monumentalnego. Co najmniej czterdzieści pięć milionów złotych. Tyle to kosztowało do tej pory. Beton, zbrojenia, stalowy tunel w środku, sztuczny kamień na wierzchu, granitowa okładzina cokołu. Ksiądz prezes nie buduje Ojca Świętego z gliny.

– Dlatego musi latać tak daleko z walizką. – Maja patrzy Pruskiemu w oczy. Ma rozmazany tusz na lewej powiece. – Drozd wysiada na lotnisku, jedzie do portu na wydmie, płynie łódką na Isla de Lobos, potem wraca z walutą ukrytą między ręcznikami. Poważną walutą. Nie jakieś osiemnaście tysięcy. Zauważyłeś, że walizka jest dosyć mała? Bierze ją do samolotu jako bagaż podręczny. Fuerteventura to Unia. Żadnej kontroli – tylko prześwietlają bez otwierania, czy aby nie ma broni.

– Jednego nie mogę pojąć. Czemu Drozd się po prostu nie przyzna, że był u sponsora? Żeby przyspieszyć budowę pomnika? Przecież go z kasą nie złapali. Zawartość walizki dawno jest w sejfie w Białołęce. Więc po co on się naraża na to całe grillowanie i aferę z „Żyletką”?

– To jest, mój redaktorku, dopiero ciekawe... – Maja przebiega palcami po ekranie. Otwiera się nowy zestaw okien. Jakiś tekst pisany cyrylicą i powiększenia nagłówków hiszpańskojęzycznych gazet. – Pytałeś, co Topaz zbroił... Otóż Franciszek nie chce się

przyznać do Ferdynanda, bo señor Ferdynand to bydlak, morderca i skurwysyn, jakich mało...

– ...podobnie jak niejaki Bryła, niejaki Kojec i ten trzeci, zapomniałem nazwiska.

– Też ich przeglądałam. Pułkownik Kojec to pikuś przy señorze Topazie, wierz mi... – Palec dziewczyny stuka w okno z okładką książki pod tytułem *Catalunya Catálogo Cuatro*. Trzy wielkie litery „C" i wyrysowana pod nimi kostka Rubika. Na niej – zdjęcia przeszło dwudziestu twarzy.

– To jest almanach przedsiębiorców katalońskich. Jubileuszowe wydanie. Czterysta biogramów. Między nimi Topaz. Patrz tutaj.

Okienko na ekranie ożywa. W miejscu okładki przesuwają się strony wypełnione tekstami w trzech szpaltach. U góry kolejne rzymskie liczby, na dole – portretowe ujęcia w sepii. Panowie pod krawatami, niektórzy w kapeluszach, jakaś kobieta z kwiatem w upiętych włosach. Następna karta – inna niż wszystkie dotąd. Biogram numer XXVII. Sfotografowany od tyłu mężczyzna patrzy w owalną planszę reklamową z napisem „Jobos". Widać tylko tyle, że nie jest młody. Łysina na czubku jajowatej czaszki, pofałdowana szyja cała w brzydkich plamach, duże uszy.

– Wszyscy inni w tej książce są ujęci od przodu.

– To idiotyczne... – Robert puka w ekran końcówką niezapalonego papierosa. – Jak gdyby pan Topaz sam wołał: „Koniecznie zwróćcie uwagę właśnie na mnie".

– Może go wcale nie pytali o zdanie, robiąc zdjęcie. *CCC* to lista najbogatszych...

– Czyli on jest dwudziesty siódmy w Katalonii?

– W gazetach stawiają go nawet wyżej. Jobos jest jedną z kilkunastu jego firm.

– W czym robią?

– W leasingu, ubezpieczeniach, rybołówstwie, turystyce i przewozach oceanicznych. Trudno ogarnąć całość.

– Przewozy na Wyspę Wilków?

– Właśnie... tego akurat nie mają w ofercie. Oficjalnie Topaz wcale nie mieszka na Kanarach. I to jest kolejna zagadka. Przy każdym z przedsiębiorców w zestawie masz wypisane jakieś miejsce. Najczęściej piszą: „Barcelona", czasami „Madrid" albo „Andorra". Topaz jako jedyny nie ma przydziału.

– To jakim cudem go namierzyłaś? – Robert wyciąga z kieszeni miętowe gumy do żucia. Wkłada do ust trzy naraz. Byłby w tej chwili gotów przeżuwać zapachową kostkę z ustępu, byle zniwelować kuszący aromat Araratu. Na szczęście panna Szalawska już kończy osuszanie drugiego zbiornika.

– Najpierw zwróciłam uwagę na Mario Muriz, potem trafiłam na masę artykułów o koszmarnych sprawkach Ferdynanda, ale o tym powiem ci za chwilę. Patrz. Tu napisali, że się urodził w Łucku na Ukrainie w 1923 roku.

– Czyli nie na żadnej Ukrainie. W Polsce.

– Zgadza się. I dokładnie mówiąc, nie znalazłam go w Łucku. Ale dość blisko. Przeleciałam przez cały ruski Yandex, szukałam Łuck i Topaz, obwód wołyński i Topaz... wszystkiego ci nie opowiem. Najgorsze, że „topaz" po rosyjsku i ukraińsku znaczy to samo co wszędzie. Musiałam się naoglądać kamieni, korali, pierścieni... jedna broszka mi się nawet spodobała. W kształcie motyla... teraz już takich nie znajdziesz. Ręczna robota w jednym egzemplarzu... – Majka wychyla kielich do końca.

– Może zamówię ci coca-colę?

– Ooo... co to, to nie! Dobrze, już dobrze... W końcu mi koleś wyskoczył. Niedaleko Łucka jest miasteczko Turczyn. Dwanaście lat temu szanowny Ferdynand Topaz, milioner ze słonecznej Katalonii,

ufundował turczyńskiej dziatwie nowy budynek szkolny. Z basenem. Wygłosił uroczyste przemówienie, które wdzięczna dyrekcja szkółki kazała zawiesić na świeżo otwartej witrynie. Mówiąc najkrócej: Topaz powiedział ukraińskiej dzieciarni, że się wychował w tych stronach i tu właśnie chodził do szkoły. Jego rodzice byli prostymi i uczciwymi ludźmi, a on sam całe życie maksymalnie ciężko pracował, by się z bożą pomocą dorobić pieniędzy. Na pytanie niejakiej Bieatrisy, czy jako milioner mieszka w pałacu, odpowiedział, że jeszcze ładniej, bo na bezludnej wyspie. Dzieci z Turczyna bardzo chciały, by je tam zabrał. Kochany wuj Ferdynand obiecał, że o tym pomyśli.

– A ty sprawdziłaś wszystkie bezludne wyspy na jeziorach, morzach i oceanach? – Robert bawi się zapalniczką, uruchamiając ją i gasząc na przemian.

– Tylko wyspy hiszpańskie. I tylko takie bez stałych mieszkańców, ale z infrastrukturą. Też trochę ich jest. Same Chafaryny – trzy zamieszkane i przeszło czterdzieści skał, do tego Baleary i Kanary.

– A tam, na Isla de Lobos...

– ...znalazłam grunty opisane jako własność firmy Jobos.

– Ścielę się cały u twoich stóp.

– I słusznie. A skoro i tak nic nie zjemy, to chodźmy do Planu B. Tam będziesz mógł wreszcie zapalić, bo widzę, że już nie możesz wytrzymać. Usłyszysz najlepsze. Czyli – najgorsze.

10.

Środa 23 października, późny wieczór i noc

W sąsiadującej z restauracją pijalni alkoholi również nie ma prądu. Jest za to dużo luźniej, a pochyleni nad szklankami z piwem młodzi ludzie mają więcej włosów. Część dla palących – mroczna wnęka na końcu długiej sali – wydaje się brudna. Pomazane sprejem ściany, obdrapane blaty stołów. Przenośny reflektor budowlany z akumulatorem rzuca wiązkę słabego, żółtego światła na plecy kilku stojących osób. Ktoś z grupy kopci cygaro.

Robert przypala pall malla, Maja stawia na tłustym blacie szklankę brandy bez lodu. Torebkę kładzie pod nogami, tabletu nie wyjmuje. Reszta wykładu obejdzie się bez pomocy wizualnych.

– Najwięcej pisali o tym w „Avui" i „La Razon". W dwa tysiące pierwszym i drugim. Potem przestali. Najkrócej mówiąc: handel żywym towarem. I żeby tylko handel... To jakiś totalny horror, Robert, co ci kolesie tam wyprawiali. Przerzucali całe rodziny, głównie z Mauretanii i Mali. Jeszcze Somalia... Matko Boska... Obiecywali im kursy do Anglii. Tylko że po prostu... rozumiesz... wywalali ich wszystkich w morze. Między rekiny. Jak gówno. A policja się nimi zajęła dopiero wtedy, kiedy na redzie w Melilli, na marokańskim wybrzeżu, zostawili kuter z dwudziestoma sześcioma kobietami i dziećmi zamkniętymi w chłodni. One się udusiły, Robert, kurwa... udusiły się wszystkie. – Majka bezskutecznie i nie wiadomo po co próbuje włączyć zapalniczkę. W końcu, zirytowana, rzuca ją na podłogę. – Pomarły w męczarniach z gorąca, pragnienia, głodu, braku powietrza, ja nie wiem... Daj fajkę... Myślałam, że mi już przeszło... I ten kutafon, śmierdziel, Topaz, chuj totalny, Drozdowi na papieża daje pieniądze... co za gówno!

– Ale jakim cudem on jest na wolności? – Robert ignoruje prośbę o papierosa.

– Bo wszystko poszło na konto czarnych marynarzy. A ci uciekli w głąb lądu. Topaz się wyparł. On niczego nie ogarniał, nie miał pojęcia, palców nie maczał, niewinny, grzeczny, dobry koleś, biznesmen gówniany! Tylko że go reporter hiszpański ładnie wyliczył. I wyszło, że to jest główne źródło bogactwa jednej, a potem jeszcze drugiej firmy Topaza. Oni po prostu mało tych ryb wyławiali i tylko puste kutry kursowały między portami po morzu. Wszystkiego nie doczytałam, musiałam dziś jeszcze załatwić jedną sprawę dla papy, bo jutro przylatuje... Jeszcze te wątki posprawdzam. Jest długi temat Jeamie Mutei, Murzynki, jednej z wyrzuconych za burtę, która przeżyła, dopłynęła do plaży pod Rabatem i tam ją półżywą znalazła policja. Miała być świadkiem w procesie przeciwko Topazowi, tylko że zniknęła. Wysłałam dzisiaj maila do tego dziennikarza z „Avui", który ją opisywał. Koleś ma eleganckie imię, Dionisio...

Majka urywa, jak gdyby uprzedni wybuch złości wyczerpał jej wewnętrzne baterie. Robert dłuższą chwilę nie przerywa milczenia. Siedzą naprzeciw siebie, dym z dopalającego się papierosa kręci zawijasy w półmroku, słychać dudnienie muzyki i gwar wielu głosów, czuć zapach cygara.

– Szkoda, że o tym wszystkim nie wiedziałem dziś rano u Drozda. Może gdybym mu sprzedał, co wiemy o Ferdynandzie, to wielebny bardziej by się otworzył? Musimy sprawdzić, gdzie oni się poznali.

– A skąd Drozd pochodzi? – Maja pyta tak cicho, że Robert odczytuje słowa z ruchu ust.

– Z Sosnowca. Ulica Hybna, dzielnica Pogoń.

– Ładna nazwa.

– Za to brzydka okolica. Nie wiem jak Topaz, ale wielebny rzeczywiście może śmiało powiedzieć, że wyszedł z biedy.

Obejrzałem sobie w necie jego rodzinny domek. Rudera... Nie wiem, czy w życiu coś takiego widziałaś.

– Pamiętasz tę chałupę po drodze, kiedy uciekaliśmy z Lubania?

– Ile razy jadę stąd do dzieci przez Włocławek, tyle razy myślę, by zjechać z autostrady, odnaleźć tę budę i odwzajemnić się włochatemu flaszką. Ale jakoś nigdy nie mam przy sobie flaszki.

– Matko Boska, jak tam śmierdziało...

– No to możesz sobie wyobrazić dzieciństwo wielebnego mniej więcej w ten sposób. Tyle że zamiast chałupy i chlewu była oficyna w podwórzu. Drabina zamiast schodów. Drewniany kibel na zewnątrz. Drozd miał pięcioro rodzeństwa, dwoje w dzieciństwie umarło. Ojciec, póki żył, stróżował w magazynie przy kopalni, matka sprzątała i cerowała sąsiadom pościel. Dzisiaj czytałem długi wywiad z Drozdem z „Dziennika Narodowego". Mówi, że całe szczenięce lata – i potem, w seminarium – marzył o własnym, pojedynczym pokoju i kolorowym telewizorze.

– Chciał telewizora, założył telewizję... – Majka śmieje się po raz pierwszy, od kiedy tu przyszli.

– Właśnie. Dopiero jak obejrzałem ten cały syf na starych zdjęciach Sosnowca, zrozumiałem jego zamiłowanie do złota, ozdóbek w kwiaty, do wypielęgnowanego trawnika. Pragnienie, by być kimś wyjątkowym, żeby wystawić najwyższy w świecie...

– Jego pazerność.

– A bo ja wiem? Musi mieć szmal, jeśli chce budować. Samo się nie postawi.

– Dlatego bierze brudne pieniądze od mordercy dzieci?

– Majka, ja doskonale rozumiem, że ciebie Topaz wkurwia. Zakładając oczywiście, że to jest w ogóle prawda, co o nim piszą. Osobna sprawa, czy Drozd o tym wiedział. Trzeba ustalić, kto nadał „Faktowi" jego datę przylotu na wyspę. Taki ktoś może wiedzieć

i o pieniądzach w walizie, i o przeszłości Topaza, i nawet o tym, że wielebny prędzej da się usmażyć, niż wyda podłego sponsora. Dlatego można mu wciskać bezkarnie Karolinę Koon, bo to jest mniejsze zło dla księdza... – Robert bije pięścią w swoją otwartą dłoń. – Ktoś umiejętnie kopie pod Drozdem. Człowiek, który dużo wie. Ja się tym zajmę... A ty musisz mi wreszcie powiedzieć, ile chcesz dostać kasy za pomoc... Słuchasz mnie?

– Słucham, słucham. Chyba za dużo wypiłam na pusty brzuch. I mało spałam. Odwieziesz mnie do Piaseczna?

– A twój samochód?

– Samochód mnie gówno obchodzi.

– Jesteś gotowa na spacer w deszczu?

– Jestem gotowa na wiele.

* *

Aleja Wyzwolenia tonie w wodzie i ciemności. Idą pod rękę, skuleni, wiele nie rozmawiając. Ulice jak wymarłe. Na półkilometrowym odcinku – do placu Na Rozdrożu – Robert zauważa trzy, może cztery osoby. Żadnych samochodów. W nienaturalnej ciszy słychać plusk wody wylewającej się z rynien i odległy dźwięk syreny alarmowej. W oknach mijanych domów migocą świece.

Za opustoszałym placem schodzą w dół, w kotlinę Trasy Łazienkowskiej. Pomiędzy ciemnymi ścianami drzew parku Ujazdowskiego rozlało się czarne jezioro. Tu i ówdzie z wody wystają unieruchomione auta. Idą w stronę Wisły trawiastym stokiem, przeskakując przez błotniste, ściekające z bulgotem strugi. Za kładką stoi subaru Roberta. Porzucone na poboczu pod wygasłą latarnią, tylne koła ma zanurzone po osie.

– Jak wysiadałem, jeszcze tu wody nie było. – Pruski otwiera przed Mają drzwi auta. Włącza silnik i ogrzewanie. Oboje ściągają z siebie mokre okrycia. Szyby samochodu zachodzą mgłą. Kilka mimowolnych dotknięć, pasek torebki splątany z włosami dziewczyny. Ona przeciąga chłodną dłonią po jego wilgotnym zaroście, szyi i torsie.

– Serce ci mocno bije.

– Mam nadciśnienie od fajek. – Robert przeciera rękawem swetra przednią szybę i wsteczne lusterko.

– Jak my stąd wyjedziemy? – Maja odsuwa się i zapina pasy.

– Na chama.

On włącza światła awaryjne, wrzuca wsteczny bieg i zjeżdża na pustą trzypasmówkę. Jadą, katując silnik, tyłem i pod prąd. Gdy wreszcie pojawia się przerwa w bandzie pomiędzy jezdniami, Pruski zmienia kierunek i dodaje gazu. Most Łazienkowski jest pusty, ciemny, odrealniony. Dopiero z tego miejsca widać, co się stało w Warszawie. Nad Pragą – w miarę normalna, ruda poświata. Czerwone sygnały na siekierkowskich kominach błyszczą jak zwykle. I tylko centrum zniknęło. Nie świeci Trade Tower, nie ma Warty, Marriotta, InterContinentala ani Żagla Libeskinda.

– Jeszcze czegoś takiego nie widziałam. – Maja spogląda za siebie, kiedy zjeżdżają z mostu, a potem kładzie głowę na ramieniu kierowcy i cicho mruczy: – Jesteśmy tylko we dwoje. Jak Viggo Mortensen i mały Kodi Smit-McPhee. Wszystko zepsute, brak prądu, w kuchniach nie mają jedzenia, a my jedziemy. Nie spiesz się.

* *

Na Wale Miedzeszyńskim jasna głowa Majki – coraz cięższa – zjeżdża po ramieniu Roberta aż do łokcia i tam zostaje. Przed

mostem Siekierkowskim wody na drodze jeszcze przybywa, ale policji nie widać i nikt nie zatrzymuje jadących. Gdy docierają wreszcie do Piaseczna, jest środek nocy.

– Pobudka, panno!

Ona najpierw mruczy, potem przeciera twarz.

– Gdzie jesteśmy?

– Na Okulickiego, jeśli dobrze odczytałem tablicę. Którędy dalej?

– Na pierwszym dużym skrzyżowaniu w lewo. – Maja prostuje plecy i oburącz zbiera rozsypane włosy. Zaplątuje węzeł z tyłu głowy i tylko jeden mokry kosmyk przecina biały, piegowaty policzek. Jadą dalej. Najpierw pośród składowisk materiałów budowlanych i warsztatów naprawczych, potem dość długo przez stary sosnowy las. Dopiero za borem wyrasta to, czego Robert się tutaj spodziewał: osiedle ważnych ludzi. Wysokie żywopłoty, wysokie kute bramy, kamery na wysięgnikach, ogrodowe lampy i reflektory eksponujące srebrzyste świerki o długich szyszkach.

– W prawo. – Majka wskazuje palcem gładki dojazd wiodący zakolami wśród sosnowych pni.

Potężna, dwupiętrowa rezydencja byłego konsula Konstantego Szalawskiego stoi w stosownym oddaleniu od sąsiednich, także niemałych posesji.

– Wyspałam się, wiesz? Tu podjedź. Milutko mi było na tobie. I chcę jeszcze...

W tym samym momencie, w którym Robert naciska hamulec i gasi motor, reflektor nad ażurową bramą wjazdową oświetla ich oboje zimnym, mocnym światłem, by za chwilę zgasnąć. W ponownie ciemnej kabinie samochodu prawa dłoń Majki bez pośpiechu, lecz pewnie, wędruje po udzie kierowcy.

– Nie zaproponujesz mi wejścia na herbatę?

– Herbatę wypijemy potem. – Ona trąca nosem jego policzek, a on już czuje, że to się musi wymknąć spod kontroli. Los tak chciał. *Deus vult*. Zamyka oczy, oddychając coraz szybciej, kiedy jej usta delikatne dotykają jego warg, a prawa dłoń – oparta na suwaku dżinsów – upewnia ją, że pocałunek działa.

– Oooożeż ty!

Halogen ponad bramą zapala się ponownie, zalewając niedoszłych kochanków fioletowawym blaskiem. W ciemnym dotychczas domu palą się teraz wszystkie światła na parterze. Na wielkim ganku, w otwartych drzwiach domu, widać lekko zgarbioną męską sylwetkę.

– Papa przyleciał szybciej... nie wierzę... – Na twarzy córki irytacja miesza się z żalem i rozbawieniem. – Dobrze, że nas nie zaszedł po cichu. Mielibyśmy temat do kolacji.

– Ja za kolację dziękuję. Wracam do miasta. Dokończymy przy innej okazji. Herbatę.

Eksminister, konsul i publicysta podchodzi, z pilotem w ręce, do rozwierającej się bramy i wysiadającej z nieznanego auta jedynaczki.

11.

Czwartek, 24 października, poranek.
24 dni przed tragedią w Białołęce

– Taaa...?

– Pan Robert Pruski? Obudziłam? Przepraszam. Radio TOK FM z tej strony. Mamy informację od pana Murki z Poznania o książce,

którą pan przygotowuje... – Właścicielka bardzo miłego kontraltu zawiesza głos.

– Cieszę się, że wydawcy propagują mój zbożny trud, ale do książki jeszcze daleko, jeśli o to chce pani spytać.

– Będziemy mieli w studiu rozmowę. Redaktor Albert Zapatoczny z „Newsweeka", redaktor Karol Opoka z „Faktu" i może pan by się zgodził. Chodzi oczywiście o tę aferę na Fuerteventurze.

– Ja miałbym wystąpić w roli...

– Znawcy życiorysów Karoliny Koon i księdza prezesa Drozda. – W głębokim tonie kobiety z radia daje się wyczuć żartobliwa nuta. – Niech pan się zgodzi, proszę. Nie możemy co prawda zapłacić za udział w programie, ale przynajmniej podpromuje pan sobie książkę.

– Przekonała mnie pani.

– Nagrywamy już za półtorej godziny. Pan jest w Warszawie?

– Jestem. Przyjadę.

Po zakończeniu rozmowy bosy i nagi na rozbabranym łóżku bezmyślnie patrzy w tapetę na ścianie pokoju. Popielate i mleczne romby przenikają się, tworząc wciągający, hipnotyczny wzór. Wystarczy kilkanaście sekund intensywnego patrzenia w jeden punkt, a płaska ściana nabiera dodatkowych wymiarów. Oko błądzi, czas staje w miejscu, ciśnienie spada, roje owadów pod skórą osiadają gdzieś w nieszkodliwych zakamarkach... Ale nie tym razem. Za wiele bodźców, by medytować. Dokuczają jednocześnie suche podniebienie i niezdrowe odczucie chłodu.

Masz, chłopie, kaca. Napiłeś się wczoraj węchowo. W dodatku cholerny Murka, choć rozpowiada na prawo i lewo, co się szykuje, jakoś nie przysłał dotąd ani nowej umowy, ani drugiej części kasy.

Jeszcze raz sprawdza skrzynkę w laptopie i telefonie. Nic.

Wchodzi pod prysznic. Ponad godzinę później, parkując przed szklaną elewacją sklepu Tesco przy Czerskiej, dostrzega, że nie świeci mu się prawa przednia lampa. Wysiada z przekleństwem na ustach.

Mimo oblepiającej wszystko zimnej wilgoci twardzi menele okupują betonowy murek. Wokół nich pełno stłuczek. Pod sąsiednim biurowcem Agory – inny świat. Opadłe liście pozamiatane na równe kupki. Uprzejmi ochroniarze w odblaskowych kamizelkach tłumaczą, którędy do radia. Wielki westybul w półmroku, kamienne posadzki. Trzech elegancko odzianych panów, idąc do wyjścia, rozmawia po angielsku. Przejrzyste drzwi wewnętrzne. Recepcjonistka w mundurku wskazuje pokój nagrań. Dużo elektroniki, metalu i jasnej boazerii, miękka wykładzina pod stopami, sprawni pracownicy przekazują sobie gościa z rąk do rąk. Poczekalnia, reżyserka, znów poczekalnia.

– Może napije się pan herbaty?

Właścicielka kontraltu przedstawia się jeszcze raz, ale Robert znowu nie zapamiętuje nazwiska, tylko niecodzienne imię. Marzanna jest niewiele młodszą od niego dobrze utrzymaną brunetką o orlim nosie, dużych ustach i mądrych oczach. Zachowuje się nader uprzejmie, choć nie aż tak bardzo jak wobec wchodzącego po chwili Zapatocznego. Redaktor Albert prezentuje irytującą kozią bródkę, wyniosłe spojrzenie zza opuszczonych na koniec nosa okularów i ton profesora uniwersytetu. Karol Opoka zjawia się ostatni. Na oko trzydziestolatek, siada na krześle, szeroko rozstawiając stopy w lakierkach stylizowanych na górskie trapery. Spodnie ma markowe i zapewne kupione daleko stąd. Wizerunku miejskiego luzaka z grubym portfelem dopełnia trochę nazbyt obszerna marynarka z matowej skóry.

Marzanna unosi dłoń, migają dwie lampki na biurku. Czas – start!

Po przywitaniu ze słuchaczami Zapatoczny od razu rozpoczyna monolog. Stara się być dowcipny i Pruski musi przyznać, że momentami mu to wychodzi. Wytrawny komentator, udając autentyczne zadziwienie, zastanawia się, jak to jest, że w skandale erotyczne dużo częściej popadają – co za słówko! – nie libertyńscy, permisywni lewacy, ale właśnie duchowni i cywilni głosiciele chrześcijańskich wartości. Obrońcy moralności narodu.

Karol Opoka nie jest tak elokwentny, ale uprawia kryptoreklamę swojej gazety, jak potrafi. Słowa „dziennik Fakt", „redakcja Faktu", „ustalenia Faktu" i tym podobne padają w każdym zdaniu. Może ma nadzieję, że audycji słucha jego szef. Co do treści – najwyraźniej kazali mu się trzymać jasno ustalonej linii. Historia pozyskania skandalicznego zdjęcia jest wewnętrzną sprawą redakcji. Ujawnienie związków księdza i celebrytki to ruch godny najwyższej pochwały, strzelisty wyczyn załogi dziennika walczącego na pierwszej linii w służbie wolności słowa. I tak dalej.

Robert stara się po prostu opowiedzieć pokrótce, kim są i skąd przywędrowali do Warszawy prezes Franciszek Kosma i „Żyletka" Koon. Oczywiście nie może sobie darować wspomnienia o szykowanej książce.

– Czytelnicy nie powinni być zawiedzeni. Według informacji, które wciąż jeszcze wraz ze współpracowniczką uzupełniamy, nie było bowiem żadnej randki na wyspie...

– ...a zatem może łaskawy pan mnie oświeci... – Zapatoczny przerywa mu i gestykuluje, jakby to było studio telewizyjne, a nie radio – ...czemu zawdzięczamy wizytę naszego białołęckiego budowniczego, naszego stróża moralności, naszego piewcy czystej polskości, który tak bardzo kaleczy ten język... czemu zawdzięczamy jego wizytę w tym jakże eleganckim, pięciogwiazdkowym hotelu Riu Palace?

– To nie jest hotel pięciogwiazdkowy, ksiądz Drozd prawdopodobnie nawet do niego nie wszedł, a na plaży oczekiwał transportu ku sąsiedniej wyspie. Reszty dowiecie się państwo z podwójnej biografii „Żyletki" Koon i wielebnego, która, mam nadzieję, ukaże się jeszcze przed Gwiazdką.

Kończąc kwestię, Robert czuje kopnięcie pod stołem. Karol, który chyba nie zrobił tego przypadkowo, otwiera usta jeszcze szerzej niż oczy – i nic nie mówi do końca nagrania. Wiele natomiast opowiada jego chytra mina.

Kiedy wychodzą ze studia, chwyta Pruskiego w nadgarstku.

– Przejedziemy się na kawusię, panie Robercie?

– Wydaje mi się, że widziałem kawiarnię w tym budynku.

– Wolę w miejscu neutralnym. Znam takie jedno. Podwiozę pana i odwiozę z powrotem. Pół godziny w sumie może mi pan dać, panie Robercie.

– Ale tak właściwie to o co chodzi?

– Wymiana informacji. Nic więcej.

* *

Neutralnym miejscem Karola Opoki jest lokal przerobiony z mieszkania na parterze dziesięciopiętrowca przy Domaniewskiej. Połączenie sklepu, kawiarni i meliny. Przy ścianach automaty do totolotka, obok półki ze słodyczami i napojami. Za kontuarem – oprócz kobiety z twarzą boksera – widać także co najmniej siedem gatunków piwa, wódkę w butelkach wszystkich rozmiarów, tanie nalewki w plastikowych baniakach i papierosy, których nazwy nic Robertowi nie mówią. Na wąskich drzwiach w rogu sali – tarcza do rzutek. Naprzeciw – przypięty do ściany szalik Legii i plakat sławiący powstańców warszawskich.

Czterej starsi mężczyźni, wszyscy w mokrych czapkach, rozlewają żołądkową gorzką do papierowych kubków po kawie.

Opoka, który w trakcie jazdy olbrzymią terenową toyotą mamrotał coś ogólnikowo, nie zdradzając, o co mu idzie, teraz kupuje dwa razy cappuccino na wynos. Płaci sześć złotych, po czym zgodnie wychodzi za Robertem pod zadaszenie na zewnątrz. Nie odmawia pall malla. Cmokta go w sposób typowy dla niepalących, którzy udają, że palą, i patrzy na wielgachne rozlewisko, które odbija ciemne prostokąty okolicznych bloków. Przez środek akwenu brnie dziewczynka z plecakiem. W ręce ma męski parasol, na nogach – wysokie, o wiele za duże kalosze. Trzy czwarte gumowych cholew są już pod wodą, lecz mała się nie poddaje. A Karol z „Faktu" najwyraźniej zbiera siły, by wreszcie wydusić, w czym rzecz. Zaczyna ostrożnie:

– Smakuje kawusia, panie Robercie? Najlepszy stosunek ceny do jakości w mieście. Często tankuję ją tutaj w drodze do pracy.

Pruski uśmiecha się, jak potrafi. Już pojął, że Karolek przystaje pod tym dyskretnie ulokowanym sklepikiem nie w drodze do pracy, ale raczej po robocie, i nie po to, by „tankować kawę", tylko coś mocniejszego. Swój swego pozna natychmiast. Picie wódy z papierowego kubka za kierownicą terenówki rozmiaru traktora – to musi być rzeczywiście upojne.

– Jak pan ustalił, że ksiądz nie zamieszkał w hotelu?

– Koleżanka pomogła. Zresztą wystarczy uważnie popatrzeć na wasze zdjęcie, by widzieć, że to ustawka. Drozd jest blady, wymęczony podróżą, kiepsko ubrany – a ona opalona i odstrzelona. Tak nie wygląda romansowa para. Wielebny pewno nawet nie wie, kto za nim stoi. Widzi waszego fotografa i mówi mu, żeby się odczepił. Tak to czuję. I prędzej czy później „Żyletka" sama mi o tym

opowie. Trochę się już z Karolinką znamy. Wiem, jak ją zmiękczyć. Bardziej mnie interesuje, czemu pan się tak tego boi.

– Ja się nie boję.

– Kopał mnie pan pod stołem.

– Niechcący. Przepraszam.

– Więc po co panu to nasze spotkanie?

Opoka kaszle płytko i wyrzuca w chodnikowe błoto wypalonego w połowie papierosa.

– Jak pan mi powie, panie Robercie, co pan ustalił do tej biografii, wtedy ja panu powiem, ale wyłącznie między nami... powiem, co było na wyspie.

– Do czego panu moje ustalenia?

– Bo mówiąc tylko do pana uszu, jest sytuacja procesowa między redakcją a księdzem Drozdem. I każda informacja...

– ...na wagę złota? Kto wam wystawił wielebnego?

– Sam się wystawił.

– Mam na myśli: skąd wiedzieliście o godzinie i dacie podróży?

Dziewczynka trawersująca rozlewisko dochodzi do połowy. Idzie teraz bardzo wolno, drobnymi, posuwistymi krokami. Odległość między lustrem wody a wierzchem kaloszy – najwyżej dwa centymetry. Opoka milczy.

Robert zaczyna jeszcze raz. Po ojcowsku:

– Informacja za informację. Moja jest taka, że nasz wielebny pojechał po kasę do swego sponsora, który mieszka na sąsiedniej wyspie i wpłaca na pomnik.

Redaktor Karol o mało nie wypuszcza z rąk kubka z kawą. Oczy ma znów wytrzeszczone. Pruski wydmuchuje dym nad jego głową. – Pańska kolej.

– Jaką ma pan komórkę, panie Robercie?

Karolek jest młody, ale nie głupi.

– Mam nokię, bardzo starą.

– Ale bateria dobrze się sprawuje?

– Potrzyma pan? – Robert oddaje stygnący kubek, wyciąga swój telefon, jednym ruchem palca zdejmuje porysowaną i wyszczerbioną klapkę. Potem wkłada baterię do lewej kieszeni wiatrówki, a to, co zostało mu w ręce – do drugiej.

– Sam nie wiem, czemu panu wierzę, to u mnie obecnie nieczęste. – Opoka najwidoczniej potrzebuje teraz krztyny fraternizacji.

– Ludzie zrobili się w tym roku straszliwie dwulicowi, panie Karolu. Też to zauważyłem. Ale my przecież rozmawiamy szczerze. Jako zawodowcy wiemy, że kłamstwo ma krótkie nóżki. Nigdy się wszystkich szczegółów nie dopnie.

Dziewczynka z parasolem przeszła szczęśliwie dwie trzecie akwenu. Kalosze wytrzymały. Redaktor „Faktu" zaczyna wreszcie mówić konkretami:

– Mamy opłacanego człowieka. Pośrednika pracującego obecnie dla biura podróży i kilku linii. Wyłapuje nam polityków, celebrytów, co rezerwują loty, kupują wycieczki, łykają ciekawsze eventy. Jeśli ktoś jest akurat *hot*, a sam się nie ustawia, wtedy my posyłamy za nim fotografa. Szczególnie za facetami w kierunkach Tajlandia czy Kuba. Chyba pan widział senatora Morycińskiego w bąbelkach z tą czekoladą...

– Oczywiście... że nie widziałem. – Z tego zdania Robert wypowiada na głos tylko pierwsze słowo.

– Także w sumie robimy dobrą, drapieżną robotę. Dla pro publico bono.

Pruski tylko zagryza wargę. Zaczyna chłopa lubić. Wie przecież, że trudno jest być żołnierzem korporacji, spłacać kredyt wzięty na furę za ćwierć miliona, jeździć po włoskich albo francuskich

sklepach z ciuchami i jeszcze pozostawać w bieżącym kontakcie z łaciną.

– Za wielebnym też puściliście paparazziego?

– Drozd zasłużył sobie na specjalną obstawę. Przez te numery wycięte w Lufthansie.

– Aaaa... tego akurat nie kojarzę.

– Nasza współpracowniczka podeszła w trakcie lotu zadawać pytania. Bo inaczej on przecież do siebie nie dopuszcza.

– To akurat wiem.

– I wtedy, pojeb jeden, zawołał na nią obsługę!

– Aha! Było coś takiego, było...

Robert faktycznie widział w necie ten krótki, lecz popularny swego czasu film. Zapamiętał kapłana machającego rękami i nieprzeciętną urodę interweniującej niemieckiej stewardesy. Wysłanniczka „Faktu" jakoś nie zapadła mu w pamięć. Nieważne. Ważniejsze, że porozumienie krzepnie. Pan Karol i pan Robert. Dwójka fachowców od mediów wymienia się tajemną wiedzą. Właściciel monstrualnej toyoty najwyraźniej uwielbia takie gadki.

– On poleciał, oczywiście, biznesklasą...

– ...i zażądał wyproszenia waszej dziewczyny z jedynki.

– A potem to, co zawsze: skarga do Rady Etyki Mediów...

– ...i audycja w Horebie.

– Oczywiście, że była. Nawet ją linkowaliśmy na stronie. „Brukowa gazeta polskojęzyczna, własność niepolskiego, krwiożerczego koncernu". Tak nas określili.

– Wyczuwam nastrój publicystyki wielebnego.

– I dlatego mamy z nim proces, panie Robercie. Wyjątkowo trudny. – Twarz Opoki pozostaje nieruchoma, ale ton głosu zdradza, że chłop już się wyluzował. – Z tego powodu na Fuerteventurę poleciał zewnętrzny fachowiec.

– Hę?!

– Prywatny detektyw ze stajni Kozielskiego. Spec od pstrykania niewiernych mężów. Nazwisko ściśle i wyłącznie do wiadomości redakcji.

– Chcieliście osłabić procesową pozycję Drozda?

– Jak również przytrzeć mu nosa. Coś i dla funu, i dla nakładu.

– Dlatego Karolina... i ta druga...

– Denerys. Dwie wyglądałyby lepiej na zdjęciu, ale nie wyszło.

– Łysy satyr i nimfy. Widzę to. – Pruski zatapia niedopałek w resztce kawy i robi kilka kroków w kierunku kubła na śmieci. Dziewczynka w zbyt wielkich kaloszach przecina rozlewisko w drodze powrotnej. Idzie już znacznie śmielej. – Możemy wrócić pod Agorę?

– Potrzeba mi jeszcze nazwiska. – Opoka podąża za Robertem krok w krok. – Nazwiska tego sponsora.

– Żebym je jutro przeczytał w pana gazecie?

– Do celów procesowych. Moi zwierzchnicy gromadzą... wie pan... Wyłącznie do sądu. Nie na łamy. A w każdym razie: nie przed pana książką. Potem to będzie już obojętne. Nie kłamię. Zgadzam się z panem, że nie warto.

– Dobra... – Pruski idzie pierwszy ku toyocie, jakby to była jego własna zabawka. – Facet nazywa się Ferdynand Topaz. Resztę sobie wyczeszecie sami.

– Ferdynand Topaz? – Karol upewnia się, czy dobrze usłyszał, i grzecznie otwiera nowemu koledze drzwi terenowego potwora.

W drodze na Czerską rozmawiają o politycznych pierdołach. Przeważnie mówi Opoka. Pruski zastanawia się nad tym, co – być może – tkwi ukryte w przestrzeni ograniczonej trzema punktami.

Pierwszy punkt jest oczywisty: ksiądz prezes Franciszek Drozd.

Drugi – Ferdynand Topaz. Biznesmen bez twarzy. Człowiek, który postawił imperium na ciałach martwych kobiet i dzieci, a teraz sponsoruje stawianie kolosalnego papieża.

Punkt trzeci... trochę niejasny. Nie jest nim raczej zaczajony w kafejce detektyw „ze stajni Kozielskiego". Anonimowy paparazzi „Faktu" to tylko ciekawostka, niewiele więcej. Trzeci wierzchołek trójkąta leży gdzieś indziej.

12.

Czwartek, 24 października, przedpołudnie

Dionisio Marciel Capaered opatrzył swą stronę na Facebooku własnym zdjęciem wyglądającym na paszportowe i panoramą lasu z wpisanym hasłem „De ti vine a ti ire". Po rumuńsku: „Chodzi o wyjście". Imigrant zza żelaznej kurtyny? Niewykluczone. Uśmiechnięta, smagła twarz na fotografii zdradza co najmniej czterdziestkę, ale może być starszy. Daty urodzenia nie podaje. Jest tylko płeć, miejsce zamieszkania – Barcelona, poglądy religijne – *discípulo de Jesucristo*, i poglądy polityczne – *Espero y trabajo por el Reino de Dios*.

Uczeń Chrystusa zatrudniony w Winnicy Pańskiej. I kibic piłkarski. Wśród przeszło dwóch setek zdjęć, jakie wrzucił na ogólnodostępną część strony, dominują trzy typy: górskie pejzaże z pustymi, żwirowymi drogami, sceny z piłkarzami i małe, wiejskie cmentarze. Ktoś tak uduchowiony przynajmniej teoretycznie powinien być skory do pomocy.

Wysyłając pierwszą wiadomość, Majka nie sili się na poprawną hiszpańszczyznę:

„Buenos Dias. Jestem Polką i współautorką książki biograficznej o popularnym księdzu. Wysłałam panu maila, ale może wpadł do spamu, więc teraz próbuję znowu. Interesuje mnie Ferdynand Topaz. Pisał pan o nim na łamach »Avui« w związku ze sprawą Jeamie Mutei. Czytałam kilka pańskich artykułów, niestety historia się urywa na tekście z lutego 2002. Dlaczego?".

Odpowiedź przychodzi po czterech minutach, w trakcie których Maja ogląda na stronie Capaereda skąpane w iberyjskim słońcu kolumbaria na tle cyprysów oraz Iniestę, Xaviego i ich kolegów we wszystkich możliwych okolicznościach – nawet na śniegu. Lionel Messi zabawnie wygląda w czapce snowboardzisty.

Dionisio Marciel Capaered: „Dziękuję za kontakt. Rzeczywiście byłem autorem serii reportaży na temat Jeamie Mutei i procederu handlowania współczesnymi niewolnikami. W moich publikacjach przewijało się także nazwisko Ferdynanda Topaza. W jakiej roli FT występuje na kartach biografii duchownego, o której Pani wspomina?".

Ma Sha: „Według moich informacji Topaz jest ważnym sponsorem budowy największego na świecie pomnika świętego Jana Pawła II, który powstaje aktualnie w Polsce, w Warszawie. Może pan o tym czytał? Budowniczym figury jest bohater książki, nad którą pracuję z kolegą".

Dionisio Marciel Capaered: „To wręcz niemożliwe, aby FT został dokooptowany do takiego przedsięwzięcia".

Ma Sha: „A jednak tak jest. Z oficjalnych dokumentów polskiej fundacji Angelus Dei, która finansuje budowę, wynika, że należące do Ferdynanda Topaza stowarzyszenie Mario Muriz posiadające skrzynką pocztową w Ceucie przelało około 50 tysięcy euro na budowę. Kilka dni temu prezes Angelus Dei, czyli nasz ksiądz, odwiedził Topaza na Wyspach Kanaryjskich – Isla de Lobos.

Podejrzewam, że niezależnie od udokumentowanych przelewów przewozi stamtąd pieniądze w gotówce, aby uniknąć płacenia podatków".

Przez długą chwilę nic się nie dzieje. Maja – w samym podkoszulku i majtkach – wstaje z kanapy i idzie do toalety. Wcześniej ustawia ekran alienware'a tak, by mogła go obserwować z sedesu. Sprzątaczki nie ma, ojca też – pojechał na ważne spotkania w centrum, ma wrócić przed kolacją. Wiadomość od Hiszpana nadchodzi po dziesięciu minutach.

Dionisio Marciel Capaered: „Natknąłem się wcześniej na fundację Mario Muriz. Proszę mi przesłać skany dokumentów, o których Pani pisze, na nowy adres mailowy: diomac@avui.cat.barcelona.eu".

Wysłanie trzech tabel w formacie PDF zajmuje Majce minutę. Oczekiwanie na odpowiedź jest dłuższe.

Dionisio Marciel Capaered: „Skąd Pani otrzymała te dane?".

Ma Sha: „Fundacja Angelus Dei została pół roku temu wezwana przez polski urząd skarbowy do ujawnienia dużych dotacji. Powodem było doniesienie stowarzyszenia ateistycznego o możliwych oszustwach, które nie zostało na razie potwierdzone. Co się stało z Jeamie Mutei po tym, jak policja znalazła ją na plaży?".

Dionisio Marciel Capaered: „Znaleziona została w Skhirat, 20 kilometrów od Rabatu, w 1999 roku. Połamała o skały obie ręce i nogę. Miała być ważnym świadkiem przeciwko FT i jego bandzie, ale prawnicy przez dwa lata toczyli spory o miejsce popełnienia przestępstwa i właściwość miejscową sądów. Hiszpańskich i marokańskich. Jak pani zapewne wiadomo, te w Maroku uchodzą za bardziej przyjazne bogatym. Policja w Rabacie i Casablance dawała w tym czasie ochronę kobiecie świadkowi. Niestety, coraz mniejszą. Po przeszło roku, mimo zabiegów FT, zdecydowano o prowadzeniu procesu w Hiszpanii. Dwa dni przed

odtransportowaniem świadka Jeamie zniknęła z policyjnego mieszkania w Casablance. Biedaczka została porwana i – według mego przekonania – zlikwidowana. Niestety. Proces upadł. Jak się nazywa prezes fundacji Angelus Dei?".

Ma Sha: „Nazywa się Franciszek Drozd. Jest także właścicielem Telewizji Horeb".

Dionisio Marciel Capaered: „Czytałem o tej stacji niepochlebne opinie w »La Razon«. Podobno działa w konflikcie z polskim Episkopatem".

Ma Sha: „Horeb ma w Polsce opinię telewizji ksenofobicznej i skrajnie konserwatywnej. Nie podlega polskiej hierarchii kościelnej, lecz tylko księdzu Drozdowi. Ja sama programu nie oglądam. Jestem riserczerką wspomnianej biografii. Redaktorem jest mój przyjaciel. Moje zadanie to zebrać informacje na temat przeszłości Ferdynanda Topaza. Dlaczego po lutym 2002 przestał pan o nim pisać? Czy rozmawiał pan z Jeamie Mutei przed jej zniknięciem? Co pan o niej wie? Czy rozmawiał pan z samym Topazem? Czy ma pan jego zdjęcie?".

Znowu długa przerwa. Maja idzie do kuchni, wyjmuje z wielkiego zamrażalnika karton z gotową lazanią i wstawia go do elektrycznego pieca. Z lodówki wyciąga przygotowany przez gosposię sok marchwiowy, a z kredensu talerz i serwetę.

Jeszcze nie tak dawno temu, gdy mieszkała ze swoim Pawłem w koślawej murowance na Siekierkach, piła w łóżku coca-colę z puszki, jadła suchą pizzę wprost z przetłuszczonych kartonów i nie przejmowała się takimi drobiazgami jak serwetki. A teraz znowu dotyka idealnie czystych przedmiotów polerowanych przez dojeżdżającą trzy razy w tygodniu Ukrainkę. I znów patrzy przez szybę na pracujących w ogrodzie ogorzałych mężczyzn w kurtkach z grubego brezentu. Z powodu deszczu firma opiekująca się zielenią

papy nie może przycinać trawnika, dlatego dziś – tak jak dwa dni temu – strzygą gałęzie i zbierają do worków mokre liście razem z opadłymi szyszkami.

Maja wraca do pokoju.

Dionisio Marciel Capaered: „Jeamie Mutei pochodziła z Mauretanii. Z tego, co zdążyła opowiedzieć jeszcze w Rabacie, wynikało, że jej rodzina uciekała przed wojną graniczną na pustyni. Ja sam z nią nie rozmawiałem. Czytałem tylko protokoły przesłuchań. Według nich rodzina Jeamie sprzedała jej młodszą siostrę, czteroletnią Ysmine, żeby wykupić przerzut starszej dziewczyny do Europy. Jeamie wsiadła na kuter Orange należący do firmy rybackiej, która była w tamtym czasie częścią holdingu FT. Razem z nią płynęło około 60 innych osób, głównie bardzo młodzi chłopcy i kobiety. Jak się pani pewnie domyśla, wszystkie te osoby chciały dostać się do jakiegokolwiek kraju Unii Europejskiej, a potem ściągnąć swoje rodziny. Ci ludzie mieli nadzieję na lepszą przyszłość, a stali się ofiarami potwornej zbrodni zadanej rękami bandy chciwych zwyrodnialców.

Według relacji Jeamie na otwartym oceanie marynarze poinformowali pasażerki, że płynie w ich stronę kuter straży granicznej Hiszpanii. Kazali skryć się w chłodni. Zamknęli ją od zewnątrz i obniżyli temperaturę do kilkunastu stopni poniżej zera. Po długim czasie otworzyli pułapkę i powyrzucali do oceanu zamarznięte już trupy. Tylko Jeamie wpadła do wody żywa.

Z samym FT próbowałem rozmawiać kilka razy. Nigdy się nie zgodził, ponieważ wiedział, że piszę o planowanym procesie.

W 2001 roku hiszpańska prokuratura przygotowała akt oskarżenia przeciwko FT, dyrektorowi zarządzającemu jego firmy rybackiej i dwóm innym osobom. Zarzucano im dużo mniej, niż należało, a jednak i tak wywinęli się w sądzie, kiedy zabrakło

najważniejszego świadka. Po umorzeniu sprawy kryminalnej kompania FT złożyła cywilny pozew przeciwko wydawcy mojej gazety w związku z rzekomo złośliwym przypisywaniem FT bezpośredniego związku z tragedią uciekinierki. W sądzie została zawarta ugoda. W efekcie przestaliśmy pisać na jego temat. Ale ja sam nadal zbieram różne materiały. Na przyszłość. Mam nadzieję, że FT zostanie kiedyś ukarany za swą bezprzykładną zbrodniczą działalność. Wysyłam pani jego fotografię".

Zdjęcie Topaza – niezbyt ostre zbliżenie twarzy – jest szokujące. Nic dziwnego, że nie chciał pokazać się fotografom z almanachu *CCC*.

Począwszy od nieproporcjonalnie szerokiej brody, a skończywszy na chorobliwie opuchniętym czole, siną skórę pokrywają amarantowe narośla i ciemne plamy. Nos jest straszliwym mięsnym kalafiorem wielkości pięści. Dolna warga – wielka, fioletowa i wydęta – przypomina rybi pęcherz.

Ma Sha: „Czy wie Pan, dlaczego on tak źle wygląda?".

Dionisio Marciel Capaered: „Na ten temat krążyło wiele plotek. Jedne mówią o ciężkiej, nieleczonej ospie, którą przeszedł w wieku dorosłym. Inne przypisują mu alkoholizm w połączeniu z chorobą weneryczną. FT od co najmniej 15 lat nie pojawia się w mediach. Można go spotkać wyłącznie na kameralnych imprezach bez obecności prasy. Moim zdaniem zły wygląd to tylko pretekst do oddzielenia się murem od społeczeństwa. Prawdziwym problemem tego człowieka są potworne uczynki, których się dopuścił. FT jest we władzy Szatana, to dla mnie pewne".

Ostatnie zdanie Hiszpana zasiewa w głowie Mai niepokój. Dionisio posługuje się wzniosłą, momentami patetyczną frazą, ale chyba – Matko Boska! – nie jest niepoczytalny. Trzeba się będzie upewnić, że nadal publikuje, i sprawdzić, co pisze.

Ma Sha: „Bardzo dziękuję, że zechciał mi Pan pomóc. Jeszcze się do Pana odezwę w tej sprawie".

Dionisio Marciel Capaered: „Proszę pisać. Jeżeli mogę Pani w czymś pomóc – pomogę. Uważam, że niezależnie od sprawiedliwości bożej FT powinien odczuć ciężar sprawiedliwości ziemskiej".

Albo religijny obsesjonat, albo idealny sojusznik, albo jedno i drugie. Dopiero teraz Maja słyszy, że w kuchni, pewnie już od jakiegoś czasu, popiskuje elektryczny piec.

Jedząc lazanię, przegląda wiadomości w serwisie Gazeta.pl.

Deszcz będzie padał jeszcze dwa dni. Zasilanie energią w centrum Warszawy częściowo przywrócone. Teraz bez prądu jest Wrocław. Coraz więcej ewakuowanych wsi. Patrole sąsiedzko-strażackie krążą w pontonach, odstraszając potencjalnych szabrowników. Decyzje rządu w sprawie uruchomienia unijnych środków pomocowych.

Pod wiadomościami – ranking najlepszych lokat bankowych i recenzje nowych filmów wchodzących do kin. Informacja o powrocie do kraju Karoliny Koon wisi na samym dole strony – tam, gdzie zaczynają się plotki.

Otwiera wiadomość, kopiuje link i wysyła Pruskiemu.

* *

– Cześć, Karolina. Robert z tej strony. Twój stary kolega od *Bez tajemnic*. Dzwonię do ciebie, bo chcą nam wznowić dawne dzieło...

Cisza w słuchawce.

– ...chyba mnie jeszcze trochę pamiętasz, co?

Kilkadziesiąt godzin wywiadu. Dwa niezobowiązujące stosunki płciowe. Czy to jest powód, aby przypomnieć sobie faceta po przeszło trzech latach?

– Pamiętam aż za dobrze. Do końca życia nie zapomnę wpadówy z tą pojebaną książką. – W tonie „Żyletki" brzmi skoczna i prosta zaczepka. Jestem pewna siebie. Mężczyźni mnie nie krępują. A już na pewno nie takie gryzipiórki jak ty.

– Ja też nie wspominam tamtego przedsięwzięcia najlepiej. Jeśli to cię pocieszy, nie dostałem pieniędzy za robotę.

– A ja, myślisz, że, kurwa, dostałam?! Najpierw mnie wypierdolili z programu, oszuści, a potem książkowcy... Zaliczkę dali, resztę schowali.

– Posłuchaj uważnie... – Robert stara się mówić jednocześnie głośno, spokojnie i ciepło. Jak do rozbrykanego dziecka. – Ja jestem na tych „książkowców" tak samo wkurzony jak ty, ale oni ten mój wywiad z tobą wydadzą w tym roku, czy chcesz, czy nie chcesz. Rozumiesz? Pamiętasz, jak podpisywałaś umowę z nimi?

– Nie pamiętam.

– Byliśmy w Poznaniu, w hotelu. Podali sushi na takim wielkim talerzu kręconym.

– Pamiętam! Do dupy było!

– Przekazałaś im wtedy prawa do druku. I pod tym warunkiem dali ci zaliczkę. I więcej nie dadzą. Ale jeżeli pomożesz mi skończyć robotę, to wyjdzie twoja biografia z nowym zakończeniem, które ja właśnie robię. Że byłaś w Niemczech z Denerys...

– Nie mów mi o tej piździe!

– ...i na Fuerteventurze z wielebnym Drozdem. I na jedynce w „Fakcie"...

– Dzisiaj mi zdjęcia robili na lotnisku!

– ...i będziesz mogła przy okazji powiedzieć, co myślisz o Sławce Kurzajce.

„Żyletka" śmieje się krótko i nisko.

– Skąd wiesz, jak ona ma na imię?

– Po prostu wiem. Ta książka ci teraz pomoże, Karolinko. Wskoczysz na wyższe piętro celebrytozy. Wiesz, kto ma dzisiaj porządne, grube biografie ze zdjęciami? Najlepsze piosenkarki, aktorki, kobiety z polityki, najdroższe modelki.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

Potem słychać coś jakby trzask zapalniczki. I westchnienie.

– Lubiiiiłam, jak tak do mnie mówiłeś: „Karolinko". Bardzo lubiłam.

No, wreszcie! To jest ten ton, o który chodziło... Jednak się dogadamy. Jak cholera.

– Przyjadę do ciebie albo gdzie zechcesz. Opowiesz mi jeszcze parę rzeczy. Dosłownie kilka. I za dwa miesiące oglądasz elegancką książkę ze swoim zdjęciem na okładce. Podoba ci się?

– Na zdjęciu z księdzem... – Ostatnie słowo wypowiedziane jest tak dziwnym tonem, że Robert w pierwszej chwili nie łapie: zawód to czy entuzjazm?

– Pewnie tak... z księdzem, bo o nim też będzie. Jesteście dziś najsłynniejszą parą w Polsce.

– Trendy i *hot*, i *top*. Napisali na Pudelku. Myślisz, że to dobrze?

– Co dobrze?

– Że z księdzem?

Tak! O to chodzi! Zagubione dziecko w ciele seksbomby potrzebuje darmowej porady dawnego wtykajły pod hasłem „co robić dalej z karierą?". Morze jest ciemne i wzburzone, a ty jesteś jedynym światłem latarni, które ona widzi. Możesz skierować obiekt tam, dokąd chcesz.

– Trochę ksiądz dobry, a trochę nie. Zależy, jak chcesz się dalej lansować. Wszystko ci powiem, Karolinko, co trzeba robić. Mów mi tylko, gdzie mam do ciebie podjechać.

„Żyletka” podaje adres. Pionki. Umawiają się na dziewiątą wieczór.

– Wcześniej mi nie przyjeżdżaj. Wpierw muszę odprowadzić mamcię na autobus. Wyjeżdża do Holandii.

* *

Leokadia piecze dziś bakłażany nadziewane mieloną wołowiną i suszonymi pomidorami, jedno z ulubionych dań Galpera. Apetyczna woń z piekarnika wypełnia najpierw kuchnię, potem przestronny hall i jadalnię, by wpełznąć na piętro i drażnić nozdrza pracujących nad „Rynkiem Sztuki”. Weronika z Anią kończą podwójną kolumnę poświęconą największym amerykańskim kolekcjom numizmatów i najnowszej historii Podwójnego Orła – jednej z dwudziestodolarówek, które nakazał zniszczyć sam Franklin Delano Roosevelt. Złoty pieniądz przetrwał wydany na niego wyrok w kieszeni nieuczciwego księgowego mennicy federalnej, a jego dalsze losy – i tułaczka po świecie – dałyby radę wypełnić pół książki, a nie tylko dwie kolumny.

Weronika ścina brutalnie tekst, młoda korektorka poprawia podpis pod fotografią, Miłosz biedzi się ze spasowaniem reklamy. Robert – w swoim pokoju – śledzi meandry procesu między Drozdem a „Faktem”. Jak się okazuje, dwójka blogerów relacjonowała sprawę niemalże wokanda po wokandzie. Jeden jest ewidentnym antyklerykałem, miesza informację z agresywnymi komentarzami, wkleja jakieś popieprzone linki. Drugi to chyba prawnik, a cały jego blog – z nazwy poświęcony mediom – okręca się głównie wokół fenomenu Telewizji Horeb. Wpisy są krótkie, rzeczowe, fascynacja osobą wielebnego prezesa – wyraźna.

Od rozpoczęcia sądowej batalii Drozda z wydawnictwem Springer Polska minęły przeszło dwa lata. Początkowo prawnicy księdza

usiłowali skłonić Lufthansę do złożenia na policji skargi przeciwko reporterce, która rzekomo wywołała niebezpieczną sytuację na pokładzie. Niemiecki przewoźnik kazał się polskim adwokatom gonić. Więc mecenasi wysłali własny papier – prosto do sądu. Dziewczyna naruszyła nietykalność kapłana, uderzając go kantem tabletu w czoło i szarpiąc za ręce. Naraziła starszego człowieka na stres.

Zaatakowany wydawca tabloidu wystąpił z czymś w rodzaju powództwa zwrotnego. Tak, owszem – doszło do zetknięcia się księżowskiego czoła i sprzętu nagrywającego, ale pieniądze należą się „Faktowi", nie duchownemu. Bo tablet się zepsuł.

Dalej jest jeszcze weselej. Przedstawiciele Springera chcą przesłuchania prezesa Angelus Dei w charakterze świadka, ten nie przychodzi, jest chory, krążą pisma, aż wreszcie redakcyjny adwokat składa wniosek o wysłanie Franciszka Kosmy Drozda, urodzonego dnia takiego i takiego, syna Bolesława i Honoraty z domu Hosner, na przymusowe badania psychiatryczne. Autor bloga dołącza do tekstu skan artykułu z tabloidu.

Tytuł: *Sprawdzamy, kto jest wariatem*. Pod krótkim tekstem zdjęcie Drozda wymachującego rękami w fotelu biznesklasy airbusa lecącego z Frankfurtu do USA. Jak widać, tablet w ręce dziennikarki Springera zdążył cyknąć fotkę, nim się zepsuł.

Reakcja adwokatów księdza na publikację: kolejny pozew. I tak dalej...

Po przeszło półgodzinnej lekturze Robert wie już, że zabrnął w ślepy zaułek. Proces to bzdura i nic się za nim nie kryje. Od siedzenia na łóżku zesztywniał mu kark, a noga, którą połamał kiedyś na trasie z Płońska do Torunia, rwie, jakby rozwalił ją wczoraj. Czasem zdarzają się takie nawroty.

Przerwa na papierosa.

13.

Czwartek, 24 października, popołudnie

Deszcz bębni w miedziane rynny, kamienne parapety i dachowe okna. W pokoju kominkowym robi się szaro. Maja zapala światło, choć alienware ma podświetlane klawisze. Kilka razy przechodzi przez salon w tę i z powrotem. Brakuje jej pomysłu, gdzie dalej węszyć. Brakuje woli, by posprzątać bałagan, jaki wokoło siebie zrobiła.

Niedojedzona lazania, brudne sztućce, dwie puszki po energetyku, kubek z resztką kawy, rozsypane orzeszki... Ale też gęsto zapisane kartki, a na nich jakieś tam owoce dotychczasowych poszukiwań. Niestety, niezadowalające. Topaz w fazie biznesowego rozkwitu. Topaz w procesowych tarapatach. Wyimki z tekstów Dionisio Marciela Capaereda, wydruki z portali włoskich, francuskich, nawet skandynawskich. I jedna prawidłowość: w którymkolwiek języku czytać, droga w głąb historii posiadacza potwornej twarzy urywa się na roku 1992.

Na nic przekopywanie się przez spisy podatników, księgi wieczyste, katalogi firm, rejestry statków, dziesiątki spółek i przedsięwzięć Topaza... Jobos, Mario Muriz, Colledaice Logistic...

Na nic śledzenie transakcji, zakupów udziałów, upadłości i przekształceń.

Niczego nie dały włamania na strony zabezpieczane hasłami, nic nie dał wsteczny, głęboki sniffing echa. Profesjonalna przeglądarka, która nie ma jeszcze komercyjnej nazwy, przeryła dla niej chmurę Big Data wzdłuż i wszerz... bez rezultatu. Chronologiczna ściana.

Strzepuje orzeszki z kanapy. Siada i wznawia poszukiwania. Właściwie dryfuje. „Ferdynand” plus „Topaz”, plus „Ferdinando”,

plus „1991”, plus „Barcelona”, plus „Jobos”, enter. Nic ciekawego. Plus „*fundación*” minus „Ferdynand”, minus „Ferdinando”, plus „USA”, enter. Nadal nic. Plus „Africa”, plus „*tortazo*”, plus „imigracja”, minus „USA”, minus „1991”, plus „1990”, plus „*pasaporte*”, minus „*fundación*”, minus „Topaz”, plus „*policìa*” plus „Topas”...

Kilka fragmentów angielskiego tekstu odseparowanych wieloma trzykropkami. Zamieszki w Madrycie, czeskie transportery opancerzone typu TOPAS, oferta wietnamskiego biura podróży, recenzja książki łotewskiego dziennikarza, która ma zostać wydana... zaraz, zaraz... Control-C. Control-F. Control-V.

Szukaj, szukaj... gdzieś ty się schował? Jest!

Wydawnictwo ReadFrame... Walery Kotsiя... dostępne jedynie pojedyncze egzemplarze recenzenckie... „Autor opowiada autentyczną historię tak zwanego oferenta, sowieckiego oficera wojskowego wywiadu GRU nazwiskiem Bruliański, który w latach sześćdziesiątych inwigilował między innymi łotewskich emigrantów, a który u schyłku zimnej wojny oddał się w ręce brytyjskie, by dalej funkcjonować już jako osoba chroniona opatrzona legendą obywatela hiszpańskiego F. Topasa...”.

Co to za strona? Nie ma nagłówka, powyrywane fragmenty tekstów, wklejone pliki PDF, JPEG, DjVu i jeszcze starsze, dziwniejsze formaty... Piszą o Irlandzkiej Armii Republikańskiej i Wielkim Kumplu, listach Redwatch, serbskiej Agencji Bezpieczeństwa Informacji i jakiejś islamskiej organizacji o romantycznej nazwie Podpisujący się Krwią.

Bezładnie porozmieszczane linki. „Zasady konspiracji rezydentury”. „Przepisy dotyczące prawa do posiadania broni w krajach Unii Europejskiej”. „Ocena najpopularniejszych form ataku cybernetycznego metodą rozproszonej odmowy obsługi”.

Wariaci? Oby nie!

Maja kopiuje zrzuty ekranu, skraca adres, konfiguruje słowa kluczowe, penetruje witrynę, zaglądając w jej trzewia, zapisuje odciski serwera i wreszcie wklepuje do wyszukiwarki imię i nazwisko Walerego Kotsixa z dopiskiem „autor".

Żebyś tylko istniał!

Istnieje dwóch.

Pierwszy śpiewa rosyjskojęzyczne ballady do muzyki, która mogłaby powstać na Islandii. Jego piosenka z witryny Dailymotion – trochę za słodka – wypełnia pokój, kiedy Majka otwiera stronę z danymi drugiego Walerego.

Łotysz. Autor dwóch nigdy niewydanych książek poświęconych kulisom zimnej wojny, wcześniej emigrant polityczny oskarżany o bycie podwójnym agentem. Proces cywilny w Toronto zakończony oczyszczeniem z podejrzeń i przyjęciem w poczet członków Łotewskiego Zjednoczenia Narodowego w tym mieście.

Niewydane książki. Wydawnictwo ReadFrame z adresem w Kanadzie. Adres mailowy.

Maja wysyła list. Potem przez półtorej godziny penetruje kilkanaście kolejnych witryn. Zestawiając hasła „Bruliański", „Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije" i „Łotwa", chwyta rewelację za rewelacją.

W przerwie relacjonuje Robertowi, co ustaliła.

– Musimy się spotkać.

– Dobrze. Zaraz jadę do Pionek.

– Gdzie?

– Do domu „Żyletki". Zajadę do ciebie po drodze.

– Aaaa... – Maja sięga po mieszankę solonych orzeszków i słonecznika, choć jeść jej się nie chce. Ukłucie jest silne. Czuje się

bardzo głupio. Redaktorek jedzie na wieczór do gwiazdki porno... kurwy zwykłej.

– Jesteś tam? – Jego pytanie brzmi odrobinę niecierpliwie.

– Jestem... jestem. Zatkałam się orzeszkami. Przyjedź do mnie. Im prędzej, tym lepiej. Zobaczysz mordę Topaza. Wygląda jak pizza.

* *

Witają się na progu pocałunkiem w policzek. Ona czuje woń papierosów, wilgotnych włosów i dezodorantu – jednego z tych do kupienia w Rossmannie albo supermarkecie.

Jego pochłaniają wrażenia wzrokowe. Po pierwsze: sama pani domu. Bosa i ubrana tylko w sięgający pół uda miętowy T-shirt. Wiosna, lato oraz wszystkie słodkości tego świata w pigułce.

Po drugie: wnętrze willi. Mieszkając u Szymona, Pruski zdążył się przyzwyczaić do wysmakowanych detali, unikalnych bibelotów i kafli wytworzonych na zamówienie. Galper zachował jednak pewien umiar w wystroju. Konsul Szalawski poszedł w rozbuchany eklektyzm. Tureckie pufy ze skóry koźląt, ciężkie, ręcznie kute patery, afrykańscy wojownicy wyrzeźbieni w hebanie, na ścianach rysunki Egona Schielego z okresu czeskiego obok findesieclowych plakatów i oprawionych w srebro pasteli ze szkoły Fontainebleau. Co najmniej pięć tysięcy euro za sztukę. Do tego jeszcze te kłębowiska kwitnących roślin. Pewnie też najdroższych. Tylko śmietnik wokół laptopa i na kanapie obitej końską skórą wygląda swojsko.

– *Silva rerum*, co? – Maja przechodzi do kuchni, kołysząc biodrami. – Chcesz kawę, herbatę, sok, coś do jedzenia?

– Chcę cztery piwa.

– Budweiser? Staropramen? Papa ma wszystko.

– Żartowałem. Daj kawę. – Robert ogląda rysunek z roznegliżowaną Wally Neuzil. Gdzieś czytał, że bogobojni mieszkańcy Krumlova wygonili ją z Egonem, bo nie dość, że ta dwójka źle się prowadziła i nie chodziła do kościoła, to jeszcze bezbożna ladacznica sprowadzała malarzowi do pracowni nieletnie wieśniaczki.

Kawa gotowa. Siadają oboje na kanapie, ona z podciągniętymi stopami, on przygarbiony z jej laptopem przed sobą. Powtórzona historia układa się logicznie i wiarygodnie. Topaz, który dorobił się na morderczym procederze handlu ludźmi, wcześniej nazywał się Bruliański. Jest jedno główne i bardzo szczegółowe źródło – Kotsiя – oraz kilka wzmianek rozsianych po przypadkowych witrynach, które potwierdzają historię w ogólnym zarysie. Nie ma zresztą powodów przypuszczać, by komuś chciało się mylić tropy.

Eugeniusz Fiodorowicz Bruliański, oficer sowieckiego wywiadu wojskowego działający w Hiszpanii pod przykrywką dyplomatyczną instytucji o nazwie Radziecki Ośrodek Nauki i Kultury, przeszedł w październiku 1989 roku na drugą stronę. Skontaktował się z ambasadą brytyjską w Madrycie. Sprzedał wiele tajemnic, które wkrótce przestały mieć jakiekolwiek znaczenie, ale wtedy jeszcze nikt się nie spodziewał końca tamtego świata. Dlatego zbiegły oferent korzystnie opylił między innymi szczegóły procederu uszkadzania przez komunistów ręcznych rakiet Strieła 2, które afgańscy mudżahedini kupowali na europejskim czarnym rynku za amerykańskie pieniądze.

– A teraz, redaktorku, uważaj... – Maja otwiera i powiększa zdjęcie portretowe Topaza.

– O, kurwa! To jest Ferdynand?!

– We własnej osobie! Przyjemniaczek maksymalny, prawda?

– Ostatnie stadium ciężkiego syfilisu i do tego niewyleczona grzybica.

– Nie zgadłeś. Nasz Brzydki Ryj został otruty. Prawdopodobnie tetrachlorodibenzodioksyną...

– Czym? I jakim cudem ty wymawiasz to słowo?

– Tetrachlorodibenzodioksyna. Inne źródło mówi o zwykłej rycynie. Co właściwie na jedno wychodzi. Patrz tutaj. I zgadnij... kto tym razem?

Źle skadrowana fotografia z posiedzenia jakiejś komisji ważniaków. Przed zeskanowaniem ktoś to zdjęcie przefotografował metodą tradycyjną, bo w środku kadr jest rozbielony, jakby kopiujący użył lampy błyskowej. Kolory wskazują na enerdowską taśmę ORWO albo zepsuty polaroid – wszystko jest mniej lub bardziej seledynowo-brunatne. Widać stół przykryty draperią, na stole chyba butelki, ale nie da się tego stwierdzić na pewno, bo blik światła kładzie się właśnie w tym miejscu. Za stołem dwie stare i niełądne kobiety w marynarkach z wypchanymi ramionami. Obie mają zniszczone robotnicze twarze podszyte czymś paskudnym. Pomiędzy babami młodszy od nich, dość przystojny mężczyzna – także na galowo. Mocna szyja, słowiańska twarz: włosy jasne i krótkie, zaczesane nad czołem, wyraźne kości policzkowe, kartoflowaty nos, do tego duże uszy. Krótko przycięte, gęste wąsy – podobnie jak krój marynarek – wskazują, że jesteśmy gdzieś w latach osiemdziesiątych. Może w drugiej połowie.

– Nie zgadnę.

– To jest Ferdynand Topaz jeszcze jako Eugeniusz Bruliański. Zdjęcie zrobiono w Hiszpanii w 1988 roku. Akademii w Radzieckim Ośrodku Nauki i Kultury zorganizowanej z okazji rocznicy dziewiątego maja towarzyszy wystawa fotografii. Za nieco ponad rok przystojny Gienio, tutaj wciąż jeszcze sekretarz ambasady,

przejdzie do Brytyjczyków. Za mniej więcej siedem lat będzie już miał brzydkiego ryja.

– Zemścili się za dezercję. Załatwili chłopa tak jak Litwinienkę.

– Raczej Juszczenkę. I to Eugeniusza załatwili pierwszego. Juszczenko był dużo później. Słuchaj historii, jest krótka. Bo jeszcze nie wszystko mam ogarnięte. Zanim towarzysz Bruliański przeszedł do dyplomacji, w latach siedemdziesiątych był tak zwanym doradcą w Afganistanie... – Maja zawiesza głos, jakby dawała Robertowi okazję do wtrętu.

– Jednego takiego miałem okazję poznać.

– No właśnie... – Jej uśmiech mówi: pamiętam, że jesteś dzielnym pogromcą „wampira", i podziwiam cię tak samo jak cała żeńska populacja w tym państwie. Jeśli chcesz teraz zaserwować garść wspomnień z pościgu na Białorusi... to się nie krępuj.

Robert nie chce niczego serwować. Myśli na przemian o tym, co kryje podciągnięta już prawie do bioder zielonkawa koszulka Mai, i o tym, co będzie z podwójną biografią, która miała być prostym, łatwym i wreszcie dobrze płatnym zleceniem, a staje się kolejną podróżą w nieznane. Tantiemy. Myśl o tantiemach, a nie o cipce. Tylko że ciągle jeszcze nie ma ostatecznej umowy z Poznaniem...

– Mogę tu zapalić?

– Przyniosę ci popielniczkę. – Maja, wstając, obciąga T-shirt, lecz robi to na tyle wolno, że Robert może przez moment podziwiać pokryte piegami pośladki rozdzielone skrawkiem materii w słomkowym kolorze.

Zagryza wargę, wplata ręce we włosy i z trzaskiem prostuje plecy.

W paczce zostało pięć pall malli. Słuchając dalszego ciągu opowieści, wypala dwa z rzędu.

Przed Afganistanem Bruliański był prostym kapitanem. Po Afganistanie awansował. Wysłali go do Europy Zachodniej, co było dowodem wielkiego zaufania towarzyszy zwierzchników. Awans i uznanie zdobył prawdopodobnie w efekcie brawurowej akcji w prowincji Sar-e Pol, o której wiele się pisało w rosyjskich mediach już później, gdy rozpoczęła się głasnost. Przebrany za tubylczego chłopa Eugeniusz otruł jakimś specyfikiem grupę mudżahedińskich komendantów zebranych na odprawie w pustynnej twierdzy Karahadż. Gdy bojownicy leżeli bez życia, odpalona przez dzielnego kapitana raca dała sygnał do udanego szturmu sowieckich komandosów.

Teraz Maja cofa się jeszcze dalej. Co Bruliański robił, zanim został kapitanem, nie było jej łatwo ustalić. Być może w szeregach Armii Czerwonej znalazł się już w czasie wojny, bo Walery Kotsiя jako rok jego urodzenia podaje 1923, a w Yandeksie, na stronie kombatantów, widnieje 1925. Tak czy inaczej, w lipcu czterdziestego pierwszego – obojętnie, czy jako szesnastolatek, czy pełnoletni mężczyzna – na front już się nadawał. Miejsce urodzenia podane na kombatanckiej witrynie: Łuck. Zgadza się z hiszpańskim almanachem i treścią pogadanki dla dzieci ze szkoły w Turczynie.

– Urodził się Polakiem, a potem, jak nas napadli, wzięli go do ruskiego woja i został Sowietem. – Robert petuje niedopałek w kamiennej popielnicy wyciętej z białego minerału. – Najpierw doszedł z kompanią pod Berlin, a trzydzieści pięć lat później – pod Kabul.

– Jest małe muzeum regionalne w Turczynie... Salka pamięci partyzantów. Mają tam faks. Już wysłałam pytanie. I do tej szkoły też dzwonię. Ciężko się z nimi po rosyjsku rozmawia, jakby nie rozumieli języka.

– Albo nie chcieli rozumieć. Nie dziwię im się.

– No tak... Jutro ma być na miejscu pani od angielskiego. Na imię ma Zlata. Spróbuję znowu. Tylko zastanawiam się... czy to ma sens? Mieliśmy...

– ...pisać o Karolinie i Droździe.

– Dokładnie.

– Spójrz na to tak... Wielebnego i „Żyletkę" łączy ustawka „Faktu", ale tak naprawdę wychodzi nam z tego wycieczka Drozda po pieniądze, a zatem Ferdynand Topaz vel Eugeniusz Bruliański stanowi wątek rozwojowy.

– Brzydki Ryj.

– Natomiast o „Fakcie" wszystko już wiem, to dość banalne. – Robert streszcza spotkanie z Karolem Opoką. Skończywszy opowieść, wstaje z kanapy, aby uchylić okno i wywietrzyć papierosowy smród.

– Boisz się, że papcio nas znowu nakryje? – Maja układa się półleżąco, łokcie za plecami, nogi razem. Ogromny żyrandol wiszący pod wysokim sufitem oświetla ją doskonale. I o ile odziana w same pończochy Valerie Neuzil jest na obrazach Schielego niepokojąco drapieżna, o tyle Maja na otomanie z końskiego włosia to już alarm czerwony.

Spróbuj nie mieszać porządków... człowieku. Przynajmniej nie w tym momencie. Jesteś w pracy.

– Porozmawiajmy lepiej o kasie, moja panno. Jeżeli wszystko się uda, wypłacą mi w sumie czterdzieści tysięcy. Minus podatek. Minus to, co już wydałem. Minus wszystkie koszty. Odpalę ci dziesięć netto.

– A teraz? – Maja podciąga koszulkę odsłaniając do końca udo.

– Teraz odpalę ci wszystko i jeszcze dopłacę.

– A teeeraaaz? – Lewa noga odchyla się powoli, odsłaniając jasnożółte figi.

Pruskiemu ślina napływa do ust, a do głowy: sześć myśli naraz. Dostrzega też dziwną zmianę na twarzy Majki – zamiast dotychczasowej zachęty pojawia się niewysłowione pytanie. Kolana znowu razem. Brwi uniesione.

Dopiero teraz zdaje sobie sprawę z faktu, że od kilku sekund coraz głośniej w kieszeni grają mu gitary AC/DC.

Irek Szuniewicz, Radio Krzywa Wieża, Toruń.

– Słyszałem od Damiana, że siano kolegom oddajesz.

– Miałem do ciebie dzwonić.

– No to się zdzwoniliśmy.

– Iras, kochany, masz u mnie całość, tylko że teraz wciąż jestem w Warszawie...

– Przelewy już wynaleźli. Internetowe. Wpisujesz, klikasz i sianko samo przeleci nad Polską. Nad zalanymi drogami, polami... Nie męczyłbym cię nawet, ale sam jestem w potrzebie.

– Irasek, przestań, nie tłumacz... Masz jak w banku, że ci przeleję. Dziś w nocy jeszcze. Słuchaj, oddzwonię, bo jestem u przyjaciółki.

– Ciach bajera. – Kolega rozłącza się bez zbędnych pytań. Maja – wciąż na kanapie – obejmuje kolana ramionami i tajemniczo się uśmiecha. Rozbawiło ją słowo „przyjaciółka"?

Teraz dzwoni jej telefon. Tatuś. Jeszcze rozmawiają, gdy u Roberta pojawia się SMS z numerem konta kolegi, a zaraz po nim brzęczy przypominajka: „Naprawić lampę". Na trasie do Karoliny trzeba zajechać do jakiegoś warsztatu. Czas się zwijać.

Przed pożegnaniem mimo niezdecydowanego oporu Majki Pruski spisuje na skrawku gazety numer jej konta.

* *

Po drodze do Pionek zwalnia w Górze Kalwarii. Żydowskie miasteczko z ulicami o imionach katolickich świętych wygląda jak

wymarłe. Albo im także zalało studzienki, albo tutaj się po prostu wcześnie gasi światło. Sunie na drugim biegu przez kałuże pomiędzy parterowymi domkami. Centrum Kredytów, Tani Ciuszek, Pożyczki, Ubezpieczenia, Chwilówki, Telefony GSM, Kredyty Bez Poręczycieli... Ani jednego autoserwisu. Dopiero za miasteczkiem na Orlenie udaje się naprawić prawe światło. Kiedy płaci dwadzieścia pięć złotych z groszami, w telefonie błyska SMS od Karoliny. Trzy znaki zapytania i półuśmieszek z wysuniętym języczkiem. Odpisuje: „Będę za godzinę". Stan lekkiego podniecenia po tym, co widział na kanapie w Piasecznie, jeszcze trwa. Jesteś, człowieku, wolny, a kobiety wokoło są piękne – i od czasu do czasu chętne. Nie bądź taki wycofany. Z drugiej strony... co Maja powiedziała na pożegnanie? „Koon to ladacznica. Jeżeli wrócisz z opryszczką, nigdy więcej cię nie pocałuję". Dobre sobie. Opryszczka... Przestań... O czym ty w ogóle myślisz?! Ile ty masz lat? Ile masz dzieci? Co to są za zabawy? Emotikony i czułe słówka... Lepiej uważaj, by cię na radar nie złapali, bo masz punktów po korek. Straciłeś robotę w szkole. Licznik za kierownicą wskazuje, że od sześćdziesięciu tysięcy kilometrów nie zrobiłeś przeglądu. Masz łyse opony, sprzedaż „Rynku Sztuki" się chwieje, a w tym miesiącu trzeba będzie poinformować autorów, że od listopada wierszówki zjadą o dwadzieścia procent. Albo i o trzydzieści. To są, do kurwy nędzy, twoje realne problemy, a nie to, co ci grozi opryszczką.

14.

Czwartek, 24 października, wieczór i noc

„Żyletka" na powitanie wyciąga z lakierowanego barku dżin i tonik dla siebie, a dla gościa – coca-colę.

– Pijemy to samo co kiedyś.

Robert nie podejrzewał jej o tak dobrą pamięć i skłonność do sentymentów. Rozgląda się po pokoju. Fotele z marszczonego skaju, lampa z papierowym abażurem, niski stolik ze szklanym wierzchem, meble z lat osiemdziesiątych. Wszystko jak nie czerwone, to czarne. Na ścianach lustra w oprawie z tłoczonej sztucznej skóry.

Mamusi nie ma, pojechała sprzątać mieszkania Holendrom, więc wolno i wypić, i zapalić. On wyciąga pall malle, ona powoli skręca na stoliku blanta. Mówi, że w ciągu ostatnich czterech godzin udzieliła czterech „wywiadów przez telefon". Pruski gratuluje, patrząc głęboko w jej czarne oczy. Ostatnie trzy lata – najwyraźniej pełne picia i ćpania – dodały Karolinie wyrazu. Swego czasu wyleciała z *Kochaj, ale rzuć*, bo wydała się widzom nazbyt idealna w swej bezosobowości: za gładka, zbyt symetryczna, banalna. Teraz, wraz z pierwszymi zmarszczkami wokół ust, podkrążonymi oczami i bruzdą nad nosem, pojawiło się w tej dziewczynie coś autentycznie ciekawego.

Kiedy przypala ciasno zwiniętą końcówkę skręta, płomyk wyskakuje w górę i gaśnie, odbijając się w jej mocno rozszerzonych źrenicach. Robert wyciąga notatnik.

– Opowiedz mi ostatnie trzydzieści sześć miesięcy w skrócie. Zacznij od Niemiec.

„Żyletka" długo trzyma w płucach dym. Potem kaszle, płucze gardło drinkiem, uśmiecha się przeciągle i wreszcie zaczyna mówić.

Z Denerys Love – raz nazywa koleżankę „złamaną Kurzają", innym razem po prostu „tą pizdą" – przeszły w Niemczech niełatwą drogę. Czasem były hotele i *all inclusive*, czasem sypiały na jednym

łóżku u „zapoznanych jeleni”. Potem nadszedł najbardziej szalony czas. Jako dziewczyny do towarzystwa zwiedziły wybrzeże Morza Śródziemnego, chorwackie zatoczki, prywatne wyspy, zwariowane pałace w Czarnogórze. Robert pyta o nazwy hoteli czy jachtów, ale tego akurat Karolina nie pamięta. Razem z innymi dziewczynami – były wśród nich Turczynki, Tunezyjki, a nawet Rumunka, co nie umiała włączyć prysznica – dostawały zazwyczaj szybki transport pod same schody albo wprost na basen.

– Jeden taki pamiętam, wyjebany w skale, że woda z morza się wlewała do środka, jak fala szła. Dżakuzi takie... Jeżowiec wleciał i się ta pizda w nogę pokłuła. Dobrze jej. W łechtę powinna mieć wbite.

Blant już spalony w trzech czwartych. Pachnie jak trzeba.

– Chcesz? – Coraz szerzej rozparta na fotelu wyciąga dłoń z dymiącą końcówką. – Ostatni raz pytam.

– Dzięki. Mówiłem ci dziesięć razy, że nie mogę ani pić, ani jarać.

Głęboki sztach, kolejny bezdech, chmura dymu.

– Cipcia mnie swędzi.

– To od mieszania towaru z dżinem.

– A ty byś widział, pisarz, takiego jednego Libańca na Ibizie! – „Żyletka” gwałtownie się ożywia. – Mówią, że Murzyn ma największego na świecie. A duuupa! Libański chuj miał prawie pół metra. I jeszcze chciał pierdolić dziewczyny w zadek.

Redaktor skwapliwie notuje słowa „libański klient, Ibiza”, po czym przechodzi do końcowej serii pytań. Z odpowiedzi wynika, że po ustaniu kontraktu na obsługę bunga-bunga przez kilka ostatnich miesięcy Koon i Kurzajka mieszkały na Bemowie w wynajętej kawalerce do remontu. W tym czasie zdarzyła im się mała ustawka z „Super Expressem”, ale nic wielkiego z niej nie wynikło. Nikt nie chciał zaproponować ani nowej roboty za Odrą,

ani ponownej zabawy nad morzami. Trzeba było poszukać innego źródła utrzymania i obie go poszukały, ale tu Karolina „nie chce się wgłębiać w szczegóły".

Dobre sobie.

Na Fuerteventurę miały, jak wiadomo, polecieć obie, więc gdy w ostatniej chwili „Fakt" obciął budżet przedsięwzięcia, „ta pizda Kurzaja" obraziła się na całego. Kawalerka była wynajęta przez nią, więc biedna Koon została bezdomna.

– Musiałam czasowo do mamci zjechać. Ale ja jeszcze do Warszawy wrócę!

– Czego ci życzę z całego serca. Dużo ci „Fakt" za Drozda wypłacił?

– Tajemnica handlowa. – Karolina kładzie na szklanym blacie długie nogi. Poły perłowego szlafroka rozchylają się, spływając po biodrach. – Pomasuj mi stopy.

Robert chowa notes do kieszeni. Resztę będziesz musiał, człowieku, spamiętać.

– Ten detektyw, co z wami poleciał... Jak się nazywał? – Zaczyna masaż od lewego podbicia. Najpierw wypukłość poniżej dużego palca. Według kolorowych czasopism z horoskopami ten obszar odpowiada za pracę serca.

– Piotrek mu było. Pracuje podobno dla tego słynnego... wiesz.

– Kozielskiego.

– Taaa... Masuj, pisarz, nie przerywaj.

– W hotelu nazwiska nie zgłaszał, paszportu nie widziałaś?

– Byłam na papierosie, kiedy nas w portierni meldował.

– A Drozda jak zobaczyliście?

– Najpierw żeśmy czekali w takiej przystani statkowej przy plaży, gdzie młodzi, bardzo ładni chłopcy, ci, jak to się nazywa, to na latawcu?

– Kitesurferzy. Jak było z Drozdem? – Robert solidnie ściska czubek największego palca. Podobno odpowiada za mózg.

– Auuuć! Nie tak mocno! Zjedź do pięty i tylko letko tak... letko... mhmmm... tutaj, spoko.

Karolina wyciąga się niemal płasko w fotelu i mruczy. Zdaje się, że wybrany przez nią fragment podstopia odpowiada za pochwę.

– Co było potem?

– Piotrek bez przerwy gdzieś dzwonił i biegał. Do hotelu, na szosę z lotniska wyglądnąć, z powrotem na wydmę i tak w kółko. Aż w końcu księdza namierzył w busiku. W tym samym miejscu mi masuj. Ale ciągle. Tu dobrze.

– Co było, jak podeszliście?

– Najpierw nic. Ksiądz wysiadł z busika i poszedł do przystani. Postał, postał, statku nie ma, gorąco mu było jak chuj, to wrócił się obok hotelu. Zamówił picie, a ja zapozowałam normalnie, tak jak było mówione. Piotrek z przodu i pstrykał zdjęcia. A Drozd wtedy do niego po angielsku czy po piździelsku, na mnie nie patrzył wcale. Potem po polsku. Mocniej naciśnij.

– Po polsku... co mu mówił?

– Że ma wypierdalać.

– Tak mu powiedział? „Spierdalaj"?

– Jakoś tak pewnie... – „Żyletka" pociąga łyk dżinu prosto z butelki. Zaraz ją zetnie, nie ma innej opcji. – Rzuć mi moje fajki.

– On miał ze sobą walizkę?

– Miał, pustą ale.

– Skąd wiesz, że była pusta?

– Bo jak się zdenerwował na Piotrka, to wyrwał od stolika i zaczął nią machać. Się chciał zasłonić od fotografii. Machał walizką jak gazetą. Pełna by się urwała od rączki... tak myślę. Jest ze mnie

mądrala, co? Ciekawe, po ki chuj ten przyjeżdża na wczasy z pustą walizką? Nie myślisz, pisarz?

– Możesz być detektywem. Jak twój kolega Piotrek.

– Nie jestem taka głupia... – Koon przekręca się i odstawia butelkę pod fotel. Niepewny, pijacki ruch wskazuje, że ostro ją wzięło. Zaraz zaśnie. Robert już nie trudzi się masowaniem.

– Widziałaś, co wielebny robił po awanturze? Wsiadł na łódkę?

– Chyba tak.

– Więc po co zostaliście na Fuercie? Ty i ten Piotrek.

– Z gazety kazali. I żebym dawała przez telefon wywiady. Jakby kto dzwonił ale. Że jesteśmy tam z księdzem... noooo... niby cały czas razem. Para...

Karolina zamyka oczy. Pięć ostatnich zdań ledwo da się zrozumieć.

– Nikt do hotelu nie zaaaadzwoniiiił. Żeeeeśmy się... z Piotrkiem tylko... najebali. Czekałam na powroooootny. Mało z balkonu nie zleciał. Piotrek na plaaaaażę...

15.

Czwartek–piątek, 24–25 października

Szukając powrotnej drogi na Kozienice i Górę Kalwarię, Robert gubi się w gmatwaninie ciasnych ulic. Chciał wrócić po własnych śladach, ale gdzieś źle skręcił. W światłach subaru na kolejnych skrzyżowaniach przesuwają się betonowe ogrodzenia w stylu rokoko, hałdy gruzu i krzaki. Dwie kolejne drogi zamknięte. Na przemoczonym kartonie ktoś nabazgrał sprejem: „ULICA ZALANA".

Wreszcie dostrzega coś jakby nasyp kolejowy i drogowskaz: „Warszawa". Jedziemy. Jest dobrze. Pusta walizka. Drozd przybywający do kafejki mikrobusem prosto z lotniska w Puerto del Rosario. Zdrożony przysiada nad lemoniadą i wyczekuje łódki, by o piętnastej popłynąć na Wyspę Wilków. Sumuje się pierwszorzędnie. Ferdynand Topaz, były agent sowiecki działający pod nazwiskiem Bruliański, spotworniały na mordzie milioner, skurwysyn nad skurwysyny, nielegalnie wysyła do Polski pieniądze, za które Drozd buduje największego papieża świata.

I już masz booktrailera! Tylko na co w takim razie cała historia z Koon? Trzeba przeredagować tekst: Karolina, Denerys Love, niemieckie kondomy i imprezy nad Morzem Śródziemnym, a także trudne dzieciństwo Drozda w Sosnowcu – to wszystko będzie tylko rozbiegówką książki prowadzącą do sceny numer jeden – tej z plażą, księdzem, „Żyletką" w minimalistycznym bikini i przyczajonym detektywem Piotrkiem z brygady Kozielskiego, słynnego pogromcy niewiernych mężów i polityków na lewiznach.

Potem scena druga: brzydki Topaz w swej rezydencji na bezludnej wyspie przyjmuje polskiego emisariusza, by napełnić jego walizę.

Scena numer trzy: Ojciec Święty rozkładający czterometrowe dłonie nad gmachem Telewizji Horeb w Białołęce. W budynku – sejf. Ksiądz prezes pakuje do niego pieniądze od Topaza. I tak dalej...

Deszcz słabnie, pojawia się mgła. Wilgotne opary gęstnieją i rzedną, snują się raz nisko przy asfalcie, innym razem na wysokości wzroku. Widoczność najpierw spada do trzech przerywanych kresek przed maską, potem do dwóch. Robert zwalnia. Sześćdziesiąt na godzinę, pięćdziesiąt, czterdzieści... Z tyłu utworzył się już wąż jadących podobnie. Nikt go nie wyprzedza.

Przed Kozienicami czuje, że przegrywa ze zmęczeniem. W miasteczku rozgląda się za parkingiem lub choćby zatoką. Zatoka

to dobre określenie – wszystkie pobocza zalane są czarną wodą. W końcu znajduje puste miejsce pod gierkowską restauracją o wielkich oknach. Dwie latarnie po bokach ledwo świecą. Parkuje w środku bajora, gasi silnik, opuszcza oparcie fotela, zaplata ręce na piersiach i próbuje myśleć o oddechu. Ostatnie, co mu się roi, to to, że trzeba ustalić, kiedy nakładają papieżowi głowę. I kiedy będzie uroczyste odsłonięcie. Wtedy powinna wyjść książka. Dokładnie w punkt. Gdy przy tantiemach... powiedzmy, dwa złote od egzemplarza... sprzeda się dwadzieścia tysięcy sztuk... to by oznaczało koniec kłopotów z kasą na dłuższy czas.

Zasypia. Śnią mu się Drozd i Topaz siedzący na ramionach kamiennego świętego jak dwa stare kruki na suchych gałęziach. Albo sępy.

* *

Budzi go kilka sygnałów: przenikliwy chłód, pełny pęcherz, pieczenie w gardle i mocny ból głowy. Ręce i nogi ma zesztywniałe.

Podnosi się z trudem, uruchamia silnik, zegary i radio: jest wpół do szóstej. Słaby deszcz szumi na szybie. Zalanym chodnikiem, przy którym zaparkował, idą zakapturzone postacie. Chyba kobiety, pewnie do pracy. Nie tylko ty masz ciężko.

W Trójce mówią o kataklizmie i o tym, że od zachodu nadciąga wreszcie przejaśnienie. W Szczecinie już przestało lać. Ale straty i tak są miliardowe. Wezbrana fala porwała grupę nieletnich turystów w rejonie Żywca. Kilka fabryk przerwało produkcję. Nie chodzą niektóre pociągi, zamknięto lotniska w Poznaniu i we Wrocławiu. Ogromne straty w handlu. Komitet powodziowy i sztab kryzysowy pracują bez przerwy.

Droga do Warszawy zajmuje dwie i pół godziny – przejezdny jeszcze wczoraj odcinek między Magnuszewem a Górą Kalwarią

teraz zamknięto z powodu wody. W przedświcie koloru indygo sznur samochodów ciągnie na Warkę i Grójec. Po drodze cztery kolejne objazdy. Trzy papierosy tylko w ciągu ostatniej godziny. Fatalny kapeć w ustach. Masz, chłopie, kolejnego suchego kaca. Tym razem mocniejszego.

Na Francuskiej – szczęśliwie – jeszcze pusto. Najpierw gruntowna toaleta, po niej kawa i wczorajsza bułka z plastrem upieczonego przez Leokadię schabu.

Przełykając ostatni kęs, uruchamia della, wysyła pieniądze Irkowi z Torunia. Potem dokańcza, przerabia i skraca tekst o Karolinie. O wpół do czwartej, kiedy z pokojów redakcyjnych już od dawna dobiegają gwar rozmów, stukot klawiszy i szuranie krzesłami, ta część historii jest gotowa.

Po szybko zjedzonym obiedzie i dwóch naradach – osobistej z Weroniką Pery i telefonicznej z Majką – zabiera się ostro za przeszłość wielebnego oraz źródła jego inwestycji w Białołęce. Maja podała tytuły dwóch istniejących już na rynku, choć szerzej nieznanych biografii księdza prezesa. Pierwsza, wydana dwa lata temu przez Angelus Dei, dostępna jest w formie e-booka na stronie internetowej fundacji. Płatność kartą, przelewem lub przez SMS. Pruski wybiera trzecią, najprostszą opcję i kupuje EPUB-a pod wdzięcznym tytułem *W górę serca*. Plik z tekstem wpada mu do skrzynki prawie natychmiast. Trzeba Drozdowi przyznać, że jego konsorcjum medialne to dobrze naoliwiony mechanizm. Zasilony właśnie kolejnym SMS-em wartym prawie trzydzieści złotych.

Nie było warto płacić. Piętnastominutowy przelot na ukos przez *W górę serca* wystarczy, by zyskać pewność, że ciekawych wiadomości o życiu szefa fundacji się z tego dzieła nie wyciągnie. Rozmowa duchownego z autorem apologetą spisana jest hermetycznym kościelnym metajęzykiem. Tytuły rozdziałów

mówią same za siebie: *Doniosłość wychowania chrześcijańskiego w dzieciństwie Księdza Prezesa*, *Formowanie seminaryjne jako pomoc w drodze do realizacji Dzieła*, *Program telewizyjnej ewangelizacji a konsekracja świata*.

Z drugą książką o księdzu, właściwie broszurą, może być lepiej. Rzecz pod tytułem *Fenomen prezesa Drozda* popełnili dwaj dziennikarze „Wyborczej", Słyszek i Holba. Niewielki zeszyt wyszedł w formie dodatku do dziennika przed siedmiu laty.

Robert przynosi z ubikacji ubiegłotygodniowy egzemplarz gazety i dzwoni pod znaleziony w stopce numer sekretariatu. Jeden telefon zajęty, drugi zajęty, w końcu recepcja łączy omyłkowo z działem historycznym, gdzie opryskliwy typ nie chce go w ogóle wysłuchać.

– Jestem kolegą Maćka Taczalskiego.

Ton gościa po drugiej stronie się zmienia. Nazwisko wspólnego znajomego z „Wyborczej" sprawia, że grzecznie prosi o wyłuszczenie problemu, potem wyjaśnia, iż znalezienie dodatku sprzed siedmiu lat jest trudne, lecz możliwe. Podaje nazwiska dwóch pań z wewnętrznego wydawnictwa gazety. Tam, jak się okazuje, rzeczywiście przechowują ostatnie sztuki *Fenomenu prezesa Drozda*. I bardzo chętnie sprzedadzą.

* *

Parkuje pod Tesco na Czerskiej tam, gdzie wczoraj. Ci sami alkoholicy na tym samym mokrym murku obalają takie same flaszki. A tobie, człowieku, trzeba przyznać, udało się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny sporo zrobić. Na przykład naprawić lampę. Kto nie chla, ten ma wyniki.

Książka już czeka w niewielkim bistro, do którego chciał wczoraj zaprowadzić Karola Opokę. Kosztuje niecałe dziesięć złotych. To cieszy. Wychodzi z budynku Agory, przewracając stronice. Nie

wraca na Francuską. Spędził dziś prawie dziesięć godzin w swoim pokoju i ma już dosyć. Na Chełmskiej, niedaleko jego upadłej szkółki dziennikarskiej, działa otwarty do północy lokal z głębokimi kanapami i nastrojową muzyką, zazwyczaj prawie pusty. Niestety – z alkoholem. Ale jakoś da radę patrzeć w inną stronę. Popatrzy w książkę, bo sądząc z pierwszych trzech kartek, zapowiada się rzeczywiście fenomenalnie.

16.

Piątek, 25 października, dzień, wieczór i noc na sobotę.
23 dni przed tragedią w Białołęce

Maja spędziła poranek na grzybach. Pomysł narodził się oczywiście w głowie papy. Najpierw własnoręcznie przyrządził śniadanie – jajko na grzance i szynkę z melonem. Potem dostarczył jej wszystko do pokoju na srebrnej tacy przyozdobionej pąkami chińskiej róży rosnącej w donicy. Z turkusowej serwetki zrobił motyla. Następnie przedstawił propozycję nie do odrzucenia. Dwa wiklinowe koszyki i noże już przygotował.

Poszli wzdłuż strumienia w miejsce zwane Chojnowskie Dęby, choć żadnych dębów Maja tam nie dostrzegła ani wcześniej, ani tego poranka. Las był pusty, nasiąknięty wilgocią jak gąbka i pełen mgieł. Otoczył ich oboje zapachami ziemniaczanej zgnilizny, zbutwiałych szczątków, zwierzęcej sierści, piwnicznej pleśni. Grzybów było niewiele. Te, które znajdowali, w większości śliskie i ciężkie od wody, rozłaziły się w dłoniach, odsłaniając schowane we wnętrzach ślimaki.

Rozmawiali o matce przeżywającej w ostatnich miesiącach trudne chwile ze swoim austriackim partnerem i o studiach prawniczych, które Maja mogłaby wznowić po Nowym Roku. Gdy zatrzymali się na cichej polanie, ona opowiedziała o Pruskim, szykowanej książce i księdzu Droździe. Papa sklął medialnego magnata.

– Niebezpieczny, szkodliwy i zakłamany typ spod ciemnej gwiazdy. I nie żaden konserwatysta, choć tak się mieni, tylko nacjonalista i antysemita, choć oni się teraz każą nazywać judeosceptykami. Niedouczony łajdak i zwykły oszust z bardzo podejrzanymi koneksjami. Zrobi wszystko, córcia, by ci zaszkodzić. Zobaczysz. Rozmawialiście z nim oboje?

– Robert rozmawiał.

– Nie mogę ci niczego zabronić, ale martwi mnie ten wasz pisarski pomysł. Najgorsze dopiero przed wami.

Ostatnie zdanie Konstanty Szalawski powtórzył jeszcze kilka razy w trakcie wycieczki. Teraz, w domu, nalewa sobie drinka i przysypia w fotelu nad ostatnim numerem „Foreign Affairs". Córka sprawdza faks w jego gabinecie – odpowiedź z turczyńskiego muzeum partyzantów nie nadeszła. Dzwoni do ukraińskiej nauczycielki. Rozmawia ze Zlatą dwukrotnie. Za pierwszym razem Maja pyta o listę uczniów z roczników 1923–1925, a pani od angielskiego, przekrzykując dziecięce głosy, obiecuje, że znajdzie ją za godzinę. Archiwum szkolne mają w piwnicy starego budynku. Za drugim razem Maja kilka razy wylewnie dziękuje. Anglistka okazała się niesamowita. Znalazła prowadzony po polsku spis uczniów z lat 1928–1939. W interesującym przedziale czasowym jest czterdzieścioro siedmioro dzieci, za kolejną godzinę kończą się lekcje, więc Zlata weźmie księgę do domu i gotując obiad rodzinie, wpisze wszystkie dane do maila. Wymieniają się z Mają adresami.

Po dwóch godzinach i kwadransie Ukrainka przysyła pierwszą wiadomość. Dziesięć nazwisk. Potem – kolejna dziesiątka. I tak do piątej po południu.

Nazwisko „Bruliański" nie występuje. Majka sprawdza jedną osobę po drugiej. Google, Yandex, Wolfram Alpha i przeglądarka dla zaawansowanych. Alienware ciężko pracuje. Tylko cztery osoby pokrywają się z żyjącymi, którzy zostawili po sobie ślad w sieci.

Jedynka. Kobieta imieniem Myrosława, mieszka w Rostowie nad Donem. Jej córka ma bogaty profil na Odnoklassniki.ru. Na najciekawszym ze zdjęć pozuje z mamą – pełna kwiatów działka, grządka arbuzów, altana z plastikowych prętów, uśmiechy. Urodzona w 1924 Myra nie wygląda na kogoś, komu niedługo stuknie sto lat. Ma czerwoną twarz i serdelkowate ramiona.

Absolwentka numer dwa nosi imię Helena. Aktualny adres: Kanada, miejscowość Port-Cartier, dom spokojnej starości Île aux Cormorans. Na grupowym zdjęciu pensjonariuszy Maja odnajduje ją siedzącą w wózku, a właściwie zwisającą z niego. Aparat tlenowy i rurki pod nosem, kroplówka. Twarz trupa, kości obciągnięte pergaminową błoną. Straszne.

Trójka. Anna Kaniewicz-Sosser. Tak się obecnie nazywa. Małżonka obywatela duńskiego pochodzenia żydowskiego jest osobą wielokrotnie opisywaną na wielu stronach WWW. W latach dziewięćdziesiątych, w trakcie pobytu w USA, przystąpiła do scjentologów. Mąż stoczył długą batalię o wyrwanie jej z rąk sekciarzy, ale teksty wskazują na to, że przegrał. Umarł przed pięciu laty, a jego żona pozostała thetanem podążającym w stronę Mostu Całkowitej Wolności. Nie wiadomo nawet, gdzie teraz mieszka.

Numer czwarty: mężczyzna. Marceli Abdugarowicz zamieszkały w Krośniewicach w województwie łódzkim. Członek rady parafialnej. Emeryt. Zapewne także były właściciel zakładu

fotograficznego, chyba że istniało w tym miasteczku dwóch M. Abdugarowiczów. Przy notce o zakładzie na archiwalnej stronie lokalnego tygodnika jest numer telefonu. Informacja ogólnopolska podaje inny. Maja notuje oba.

Dzwoni do Roberta, ale ten nie odbiera. Jego nokia brzęczy w pustym samochodzie zaparkowanym pod Tesco na Czerskiej. Właściciel auta trzysta metrów dalej kończy wystygłą tartę z bekonem i pieczarkami. *Fenomen prezesa Drozda* pochłonął go całkowicie.

* *

Książka jest napisana wartko, bez żadnej waty, czysty reportaż. Na początku Słyszek i Holba opisują lata sześćdziesiąte i sosnowiecką Pogoń, a właściwie jej granicę z jeszcze podlejszym Wygwizdowem. Paskudna, ciemna i mokra nora w oficynie przy ulicy Hybnej. Paskudna bieda, paskudne choroby rodzeństwa przyszłego księdza, śmierć ojca, matka częściowo sparaliżowana po wypadku. Potrącił ją motocyklista.

Rok 1970. Do jednoizbowego mieszkania z kuchenną wnęką i kozim piecem wprowadza się konkubent. Nazwisko Barciszewski, ksywa „Bartek". Drobny alkoholik i tak zwany bumelant. Faktycznie szuka dachu nad głową, ale buńczucznie zapowiada sąsiadom, że będzie się opiekował wdową.

1972. Śmierć dwójki rodzeństwa w jednym roku. Franek Kosma idzie na pogrzeb w butach po zmarłym bracie, którego chowają w samych skarpetach.

Matka nie ma pieniędzy na podręczniki. Brakuje na jedzenie. Życzliwa kierowniczka szkolnego internatu pięć ulic dalej – kiedyś sąsiadka Drozdów – pozwala Frankowi jeść w kuchni.

Dziesięciolatek wchodzi od zaplecza, gdy już sprzątają. Zazwyczaj dostaje resztki – nadgryzione ziemniaki, zimne zlewki po zupie.

Mama umiera na raty, „Bartek" pije i bije pozostałą przy życiu dzieciarnię. Trzynastoletni Franciszek staje w obronie siostry. Nierówna bójka ma niespodziewany finał. Pijaczyna spada z drabiny służącej za schody. Może sam wypadł, a może nie sam. Kark pęka bardzo wysoko, prawie przy czaszce. Człowiek roślina żyje jeszcze przez kilka tygodni w szpitalu.

Rok 1974. Franciszek Kosma Drozd wstępuje do seminarium duchownego – najpierw katowickiego, później w Tarnowskich Górach. Nauczyciele wspominają go jako wystraszonego, zaniedbanego i nieoczytanego, lecz szybko robiącego postępy. Jest ambitny, głodny wiedzy, słynie z niepohamowanego apetytu i zwycięstw w pojedynkach na rękę.

Brat i siostra – niepełnoletni – zostają sami w oficynie po matce. Ta część ulicy, w której mieszkają, gwałtownie się wyludnia. Sąsiedzi odbierają nakazy przeprowadzek – w miejscu koślawych ruder mają stanąć bloki. Ale budowa betonowego osiedla kuleje, wciąż nie ma materiałów, robotnicy kradną na potęgę, wszystko się ślimaczy. Dzielnica jest formalnie wysiedlona, lecz faktycznie część starych domów wciąż tętni życiem. Głównie nocami. Coraz więcej dzikich lokatorów i typów, co przywlekli się tu nie wiadomo skąd, by robić nie wiadomo co. Złodzieje i meliniarze zajmują piętra, kalecy i żebracy koczują w piwnicach. Dawny zakątek ubogich robotników zmienia się w bagno żuli. Pędzenie wódki, obrót fantami, nocne tragedie, pijackie orgie. Brat i siostra Franciszka Drozda trafiają na łamy lokalnej popołudniówki w roli bohaterów notatki z nagłówkiem *Ofiary tlenku węgla*.

Przyszły prezes telewizji organizuje im pogrzeb. Nad trumną stoi w sutannie. Słyszek i Holba dzielą się z czytelnikiem własną

refleksją: chowając ostatnich członków najbliższej rodziny, późniejszy ksiądz prezes pogrzebał dawnego siebie. Zestrachanego i niepewnego własnej wartości chłopaka ze złego domu. Na sosnowieckim cmentarzu odrodził się do nowych czynów.

Opiekunowie z ostatniego roku seminarium wciąż pamiętają jego metamorfozę. Alumn Franciszek Kosma w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczyna wykazywać niespodziewaną aktywność. Uczy się angielskiego, niemieckiego, włoskiego. Gra na gitarze. Szkoli muzycznie młodszych kolegów. Jest wulkanem pomysłów. Latem otacza opieką dziewczęta i chłopców z tak zwanej Oazy. Wspólne wielotygodniowe wycieczki, wędrówki po połoninach, spanie w namiotach, nabożeństwa o wschodzie słońca i śpiewy przy dźwiękach strun. Grajmy Panu!

W 1981 roku świeżo wyświęcony ojciec Franciszek prowadzi samodzielnie swą pierwszą dużą pielgrzymkę. Rozśpiewana, przeszło stuosobowa młodzieżowa grupa wędruje do Kalwarii Zebrzydowskiej. Jeszcze w tym samym roku szykuje się kolejna wyprawa z pątnikami: do Rzymu i Watykanu. Młody ksiądz – od miesiąca wikary w Katowicach – występuje o paszport.

Miejscowa esbecja już na niego czeka. Nie mają dla Drozda paszportu – mają złe wieści. Wpłynęła skarga od matki siedemnastoletniej Marzeny. Jej córka, uczennica technikum gastronomicznego, a zarazem uczestniczka kalwaryjskiej pielgrzymki, jest w ciąży. Została zapłodniona na jednym z czterech noclegów. Dziewczyna twierdzi, że nie chciała się puścić, ale poznany chłopak podstępnie ją upił i zmusił. Więc w grę może wchodzić też gwałt. A ksiądz był opiekunem całej grupy i doskonale nadaje się na oskarżonego o niedopełnienie obowiązku opieki... Sąd może winy nie uznać, lecz zaprzyjaźniona z resortem prasa takiej historii nie odpuści. Seks na pielgrzymce, alkohol i brutalna napaść pod

nosem nierozgarniętego i niedoświadczonego księdza, któremu tylko wydaje się, że może pracować z młodzieżą. A może mamy nawet do czynienia z czymś gorszym niż brak doświadczenia?

Propozycja esbeka jest prosta.

– My załagodzimy sprawę z mamusią i tą smarkulą, będzie skrobanka albo i poród, to już nie księdza sprawa. Dołożymy ten paszport, bo przecież wiemy, że ojcu się spieszy. W zamian za jeden podpis. Że ksiądz zachowa w tajemnicy treść naszej rozmowy i będzie miał oczy szeroko otwarte we Włoszech. Imperialistyczne wywiady mogą szukać kontaktu z kimś z wiernych. Chodzi nam tylko o zapobieganie kłopotom.

Drozd się nie zgadza. A w każdym razie taki obraz wyłania się spomiędzy cytowanych esbeckich dokumentów, które Słyszek i Holba powyciągali z kilku delegatur IPN.

Heroicznej historii ciąg dalszy: z pokoju bezpieki w biurze paszportów młody kapłan pędzi prosto do kurii, do zaprzyjaźnionego księdza dziekana. Opowiada o próbie werbunku. Nie wie, że dziekan jest wieloletnim współpracownikiem SB o pseudonimie „Goniec". Świątobliwy agent jeszcze tego samego dnia informuje swego oficera prowadzącego, jaki to z księdza Franciszka gaduła.

Ubecy odpuszczają. Na jakiś czas. Ale paszportu nie dają. Przyszły ksiądz prezes – zdaniem Pruskiego autorzy biografii nadużywają tego określenia – wyjedzie na swoją pierwszą zagraniczną pielgrzymkę dopiero w 1984 roku. Jako jeden z dwóch opiekunów poprowadzi grupę zmierzającą do Francji i Hiszpanii. Najpierw zajadą do Lourdes, a potem będzie Droga Świętego Jakuba: Puente la Reina, Burgos, Astorga i tak dalej...

Kolejne lata upływają na podróżowaniu. Ojciec Franciszek, który do dwudziestego roku życia nie wychylił nosa poza Zagłębie i Śląsk,

który do czasu święceń nie był ani nad polskim morzem, ani choćby w Warszawie, teraz – w trzy lata – staje się globtroterem. Jeździ do Ziemi Świętej z bogatymi pielgrzymami – podwarszawskimi sadownikami, katowickimi mechanikami samochodowymi i wytwórcami czarnej zastawy stołowej z Dolnego Śląska. Jeździ do Rzymu z katolicką młodzieżą i nie tylko. Jeździ także do sanktuarium w Medjugorie, ale tam się wybiera z Włochami.

Dalej w *Fenomenie* następuje kolejna przemiana bohatera: w biznesmena światowca. Najpierw Słyszek i Holba opisują prowadzącego bogatą podalpejską parafię siwego, ruchliwego i wiecznie uśmiechniętego księdza Angela Montiego. Włoski kapłan jest niespokojnym duchem i to go upodabnia do Drozda. Przyszły ksiądz prezes – znów to określenie – poznaje Angela na placu Świętego Piotra. *Padre* opowiada o hercegowińskich objawieniach i swojej poprzedniej pielgrzymce do Jugosławii. Życie Drozda za żelazną kurtyną bardzo go ciekawi. Zadaje dość śmieszne pytania. Co komunistyczni poddani jedzą zimą, kiedy na drzewach brakuje owoców? Skąd biorą benzynę, skoro podobno na stacjach jej nie ma? Według jakiego klucza władza przydziela ubrania? Czy ateiści dostają więcej? Czy wojsko często strzela do ludzi?

„Życie przyszłego księdza prezesa zmienia się w chwili, kiedy w tej luźnej rozmowie Angelo Monti wyraża żal: ma tak wielu chętnych na podróże do Medjugorie, że musi odmawiać co drugiemu, chociaż chcą płacić gotówką za opiekę duchową" – piszą autorzy „Wyborczej".

Młody ksiądz z Polski oferuje Włochowi pomoc. Z radością przejmie część jego owieczek i je wystrzyże. Wie, jak się zbiera pieniądze do wspólnej kiesy, umie zamawiać autokary, organizować noclegi w zaprzyjaźnionych klasztorach, rozmawiać z pogranicznikami i celnikami, a szczególnie z tymi, którzy pilnują

żelaznej kurtyny od wschodu. Ma chęć i wolny czas. Macierzysta katowicka parafia od dawna na niego nie liczy. Proboszczowi wystarczy, że z każdej pielgrzymki młody wikary przywiezie mu trochę marek i parę butelek whisky.

„Z czasem zawartość walizek staje się coraz ciekawsza" – piszą autorzy *Fenomenu*.

Poznani w podróżach do Ziemi Świętej sadownicy i mechanicy wciąż proszą sympatycznego, życiowego księdza, by przywiózł a to elektryczną maszynę do szycia, a to kamerę, a to kasety wideo, a to coś jeszcze innego. Pod koniec 1988 roku krążący między Hercegowiną, Watykanem, Wiedniem i Górnym Śląskiem ojciec Franciszek – oficjalnie opiekun polskich i włoskich pielgrzymek ciągnących do różnych świętych miejsc – zostaje *de facto* handlarzem-przemytnikiem.

Pod koniec zimnego piątku, przeszło dwadzieścia pięć lat później, redaktor Pruski zasypia na kanapie baru przy ulicy Chełmskiej, a książka Słyszka i Holby najpierw opada mu na brzuch, by chwilę później zsunąć się na podłogę.

Gdy zamykający lokal kucharz budzi go puknięciem w ramię, jest już sobota.

Robert podnosi *Fenomen*, wyciąga papierosy, przelicza zawartość paczki, wkłada do ust najpierw dwie gumy do żucia, a potem pall malla. W kieszeniach brakuje komórki. Kucharz – sympatyczny tłuścioch o lekko obwisłych policzkach pokrytych zarostem – twierdzi, że nie zauważył, aby leżała na stole. I nie sądzi, by ktoś ukradł.

– Może zostawiłem w samochodzie... Dziękuję, że mogłem się zdrzemnąć. Tarta też była w porządku. Dobranoc.

* *

W aucie komórka leży tam, gdzie ją zostawił – na półce obok ręcznego hamulca. Asystentka z Poznania ani nie oddzwoniła, ani nie odpisała. Są inne nieodebrane połączenia plus wiadomości od czterech osób, w tym jedna od Kamili i jedna od Majki.

„Nie mogę się dodzwonić. Daj znać, pora nieważna. Mam coś!".

– Wszystko w porządku, redaktorku? – Ona odbiera po drugim sygnale.

– Taaaa... Zdrzemnąłem się. Ale robota wre. Mam mnóstwo danych o Droździe. Gdzie jesteś?

– Tam, gdzie powinna być każda grzeczna dziewczynka po północy. W swoim pokoju. Znalazłam kolesia, który jest prawie rówieśnikiem Topaza i chodził do szkoły w Turczynie. Teraz ma adres w Polsce. Dokładnie w Krośniewicach. Wiesz, gdzie to jest?

– Za Kutnem.

– Mam telefony, ale pan nie odbiera.

– Ma pewnie z dziewięćdziesiąt lat. Może wcześnie chodzi spać. Pojadę rano.

– W mailu masz adres, numery i kilka pożytecznych informacji. Dodałam też parę ciekawostek o naszym głównym przyjacielu. Wiesz, że podobno wyrzucił przez okno swojego ojca pijaka? Znalazłam niesamowity wpis na forum. Pisze tam facet, który, jak twierdzi, od dziecka mieszkał w Sosnowcu...

– Ojczyma.

– Co?

– Wyrzucił ojczyma, nie ojca. Też to znalazłem. W biografii niejakich Słyszka i Holby. Kupiłem dzisiaj wersję papierową. Jest doskonała, jeszcze czytam. Ale sprawdziłem już indeks – Topaza nie ma.

Maja przez chwilę nic nie mówi. Robert odkasłuje.

– Wracam na bazę i przeczytam zaraz wszystko, co dałaś.

– Papa wyjeżdża w niedzielę. Na cztery tygodnie. Moglibyśmy się przenieść z robotą do mnie.

Rozmawiają jeszcze przez trzy minuty. Do matki swoich dzieci Robert postanawia już nie dzwonić. Zrobiło się wpół do pierwszej. Jedzie w kierunku mostu Siekierkowskiego i dalej ku Francuskiej. Już w łóżku ustawia budzik w telefonie na wpół do szóstej. Czyta maile, otwiera wiadomości od Majki, sprawdza termin instalacji papieskiej głowy: plan mówi o 30 listopada, kiedy to wypadają kolejne „urodziny" Telewizji Horeb. Zapowiada się gigantyczne nabożeństwo w Białołęce.

Zasypiając na wznak, Robert niemal słyszy szmer karuzeli w przemęczonym mózgu. Kręci się wolno, na jałowym biegu... Leniwie wirują: wciąż niezadowolona Kamila, zamyślony Krzysio, roześmiany Jasio i jego zawody wędkarskie za tydzień, zwlekający z wypłatą poznaniacy, głęboko zakopana tęsknota za dobrymi chwilami z Iwoną, Maja – piękna i słodka, jej dystyngowany ojciec, coraz mniejsze reklamy w „Rynku Sztuki", nadciągająca poważna rozmowa z Szymonem Galperem, zbankrutowana szkoła dziennikarska, znikające z konta pieniądze, znów Maja. Tuż przed zaśnięciem widzi pod powiekami nabrzmiałe od sylikonu cycki Karoliny Koon.

17.

Sobota, 26 października, ranek i przedpołudnie.
22 dni przed tragedią w Białołęce

Telefon dzwoni na pobudkę – sygnał *Nokia Nostalgia* narasta, cichnie i znów narasta. Jest całkowicie ciemno, wilgotno na plecach

i do tego strasznie. Dlaczego strasznie? Coś się przed chwilą przyśniło. Pił z Karoliną dżin na niedomytej podłodze pokurczonego domku w zalanym deszczem miasteczku Pionki. Upił się, uchlał, narąbał, napierdolił, nakurwił, naprał, ześwinił na fest. A potem przypełzł wężowy strach przed długim i mocnym ciągiem. Przed niewyhamowaniem.

Wtedy zadźwięczał budzik.

Siada, wciąż lekko nieprzytomny. Plany, wspomnienia i lęki powoli zajmują należne im miejsca w szparach pomiędzy zwojami mózgu. Kiedy leżą w swoich właściwych zakamarkach, jest lepiej.

Wstaje, drapiąc się po plecach. Łazienka, kurtka i kokon z koca. Balkon, fajka, kawa, wczorajsza kolacja od Leokadii na zimno, jeszcze raz fajka. Księżyca nie ma, ale niebo – miejscami amarantowe, miejscami rude – jest czyste. Na balkonowych kaflach osiadła rosa. Jeszcze trochę i wrócą mrozy. Osiem miesięcy zimy... ale to będzie twoja zima. Zarobisz pieniądze. Zabierzesz dzieci na ferie do ciepłych krajów. Na przykład na Wyspę Wilków. A tam radosna ustawka z magazynem „Książki". Autor poczytnej biografii Koon, księdza prezesa Drozda i Ferdynanda Topaza, co się kiedyś nazywał Bruliański, stoi dumnie z egzemplarzem w dłoni na tle posiadłości zdemaskowanego złoczyńcy. U jego boku cudowna riserczerka, młoda, inteligentna... czy oni mają już romans? Możecie państwo głosować i komentować na naszej stronie internetowej. Dla najaktywniejszych uczestników quizu mamy okolicznościowe kubki i książki z autografami obojga współautorów.

Kończąc jedzenie i dopijając kawę, jeszcze raz czyta to, co Maja zebrała na temat Marcelego Abdugarowicza. Urodzony w 1924 roku w Bujanach, województwo wołyńskie. Szkoła w Turczynie, po lekcjach – mały pomocnik kościelnego. Podczas sowieckiej okupacji usługiwał w jadłodajni przy miejscowej komendanturze

wojennej. Od wejścia Niemców – luka w informacjach. Jest za to, na stronie dla patriotów, obfita relacja poświęcona powojennemu „cudownemu" wywiezieniu osprzętu miejscowego kościoła katolickiego za nową granicę na Sanie.

Historia zaczyna się jesienią 1945 roku, gdy turczyński proboszcz dobrodziej dostaje ruską kulkę. Odważył się zwrócić uwagę pijanemu lejtnantowi, by ten nie sikał w bramie. Kościół zostaje bez gospodarza i Abdugarowicz postanawia ewakuować przynajmniej jego osprzęt, skoro murów nie da rady. Razem z dwójką odważnych pomocników przyłączają się nielegalnie do karawany wypędzanych Polaków. Mają trzy konie i wozy. Na jednym: obrazy, lichtarze, żyrandole, organy w kawałkach, tabernakulum, drewniane aniołki. Na drugim prawie tysiąc litrów wódki i spirytusu. Na ten skarb złożyło się przeszło trzystu parafian ocalałych z sowieckiej pożogi. Teraz wszyscy uciekają do nowej Polski.

Trzeci wóz jest pełen świeżo wykopanych kartofli. Co kontrola, to poczęstunek. Sołdaty i komandiry biorą, ile udźwignąą. Jeszcze ziemniaczki na zagrychę... korzystajcie, towarzysze, z okazji! Marceli Abdugarowicz i jego pomagierzy docierają do Zamościa, Tarnobrzega, Ostrowca... Tułaczka kończy się w Krosswitz – Krośniewicach – już za granicą niedawno rozbitej Rzeszy. Tak daleko na zachód żaden z turczyniaków nigdy w życiu nie dojechał.

Ładna historia. Dalej już wieści niewiele. Kilka linków i ich streszczenie autorstwa Majki. Abdugarowicz został po wojnie krośniewickim kościelnym, w latach siedemdziesiątych fotografował śluby, pogrzeby i co większe uroczystości w parafii. Dzisiaj mieszka na rogu ulic Łęczyckiej i Taniej. Numery telefonów...

Robert dzwoni pod jeden i drugi – na próżno.

Przechodzi do części redakcyjnej, by wydrukować zdjęcie Topaza – Bruliańskiego z akademii w sowieckim ośrodku kultury. Pięć minut później jest w samochodzie. Po kolejnych czterdziestu – za Bemowem, Ursusem i zjazdem Konotopa. W miejscu, gdzie droga szybkiego ruchu przechodzi w autostradę do Poznania, dostrzega nadciągający świt. W tylnym lusterku niebo robi się lapisowe, a zaraz potem – błękitne. Przed maską wciąż jeszcze czarno i mglisto. Ustawia tempomat na sto trzydzieści.

Do Kamili dzwoni o ósmej, krótko przed zjazdem na Kutno. Rozmowa szybko przechodzi w kontrolowaną sprzeczkę. Gdzie jedziesz? Do Krośniewic. Dlaczego nie do Torunia? Czemu nie raczyłeś uprzedzić, że nie przyjedziesz do domu na weekend? Przecież mówiłem. A kiedy? A przez telefon. Chyba nie do mnie. Może jakąś koleżankę uprzedzałeś, ale na pewno nie mnie.

Jej ostatnie zdanie – „chłopcy będą bardzo rozczarowani" – jest tak wyprane ze wszystkich ludzkich uczuć, nawet z pretensji, że nie pozostaje mu nic innego, jak rozłączyć się bez pożegnania. Minutę później telefonuje Maja. Jej głos dla odmiany aż kipi od emocji.

– Złapałam ten moment. Złapałam! Drozd spotkał Topaza na mityngu hiszpańskiej Polonii w Madrycie.

– Kiedy?

– W 1997.

– Czyli już w czasach Horeba.

– Dokładnie. Ogród ambasady polskiej, ciepły listopad, są ładne zdjęcia. Drozd był tam z pogadanką patriotyczno-ewangelizacyjną. I z broszurami o wolnych mediach katolickich, mam skany. Zbierał datki na telewizję. Topaza nie ma na zdjęciach, ale na oficjalnej liście gości koleś jest.

– Mówiłem ci już, że jesteś genialna?

– Mówiłeś. Ale możesz to nadal powtarzać. – Ostatnie słowo przechodzi w śmiech.

– Czy Drozd i Topaz rozmawiali?

– Pewności nie ma. Ale musieli się zauważyć i poznać. Impreza była kameralna – dwadzieścia jeden zaproszonych osób plus gospodarze. Topaz w dziewięćdziesiątym siódmym wyglądał najgorzej w swojej historii. To było rok po zatruciu. Musiał się prezentować potwornie. Drozd nie mógł przegapić kolesia z taką mordą...

– ...i z tak grubym portfelem. No dobra... – Robert czuje między skroniami ważną myśl. Gdyby miał ją zobrazować, namalowałby coś na kształt trójkąta. Topaz i Drozd – dwa narożniki. Plus ktoś lub coś jeszcze. – Ożeż... cholera!

– Co się stało?

– Mało nie przegapiłem zjazdu na Kutno. Jak dobrze pójdzie, za pół godziny jestem u pana Marcela.

– Mów przy nim „Marcelego". Tak jest poprawnie. I zadzwoń, kiedy skończycie.

* *

Wydruk zdjęcia Bruliańskiego w sinej dłoni Abdugarowicza trzepoce jak skrzydło ćmy. Wychudzony, zgarbiony mężczyzna trząsł się już wcześniej. Co rusz przechylał głowę, trącając zaopatrzoną w aparat słuchowy małżowiną o kościste ramię sterczące spod koszuli. Oblizywał krótkimi, jaszczurczymi ruchami języka fioletowe wargi i znowu kołysał czaszką. Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie rozregulowanego. Teraz – gdy popatrzył z bardzo bliska w wąsatą, włościańską twarz agenta-dyplomaty – wygląda, jak gdyby miał się rozlecieć na kilka kawałków. Siwa głowa na wiotkiej szyi odpadnie przy kolejnym przechyle, a rozklekotane

dłonie pobiegną po stole, niczym pająki, by skryć się w którymś z zaśmieconych kątów.

– Dobrze się pan czuje?

– Niedoooobrze, kochanieńki, całkiem niedobrze.

Staruszek zaczyna kręcić czaszką w lewo i prawo jak peryskopem. Może go to uspokaja, bo po kilkunastu obrotach dłonie już mu tak mocno nie latają.

– Wody panu przyniosę! – Robert przekrzykuje hałas dochodzący ze strony ulicy Łęczyckiej. Za drugim oknem – od Taniej – ktoś coś piłuje i od czasu do czasu stuka metalem o metal. Gdzieś szczeka pies.

– A przyyynieś, przyyynieś. – Śpiewny, kresowy akcent jest miękki niby poduszka, choć sam głos – zgrzytliwy. – Na parapecie stoi mała butelczynka. Jej nie zapomnij zaś!

Ile czułości w tym jednym słowie – „butelczynka"... Czy ty, człowieku, trafisz wreszcie do kogoś, kto nie będzie pił przy rozmowie?

Kuchnia, zagracona tak jak i reszta mieszkania, wydziela trudny do określenia smród kojarzący się z zapleczem kolonijnej stołówki w gorący dzień. Podeszwy trampków cmokają w zetknięciu ze spękaną i klejącą się wykładziną PCV. Resztki zimnego bigosu dogorywają w talerzu wprost na podłodze. Ospałe muchy chodzą po zamkniętym oknie, za którym widać zachwaszczone podwórze. Wszystko, czego dotyka – kredens, szklanki i pokrętło kranu – dosłownie wszystko jest tłuste. Nie lepi się jedynie dwustugramowa butelka gorzały o swojskiej nazwie Krajowa.

Robert płucze szkło. Będzie wódka plus kranówa. Drink zwany „łzami sierot". Przypomina mu się historia o wybitnym amerykańskim kompozytorze koktajli. Facet jeździł po miastach na całym świecie, czytał o ich historii, poznawał kulturę, rozmawiał

z mieszkańcami. Po kilku tygodniach mieszał własny, niepowtarzalny, alkoholowy napój najbardziej odpowiedni dla danego miejsca. Łączył soki, koniaki, likiery, solił, słodził, posypywał czekoladą, wrzucał truskawki, oliwki, wiśnie. W Warszawie spędził dwa tygodnie – zimą – i stworzył przepis: szklanka czterdziestopięcioprocentowej białej wódki bez wody, bez lodu, bez cytryny. I to wszystko na ten temat.

Marceli Abdugarowicz wychyla duszkiem połowę mieszanki. Nie narzeka na proporcje. Robert przepija doń kranówką o smaku rozgryzionego styropianu.

– Poznaje go pan czy nie?

– Jak ojciec, całkiem jak ojciec jego... Stary Brochwicz.

Dziadkowi wszystko się już kiełbasi.

– On nie nazywał się Brochwicz. Nazywał się Eugeniusz Bruliański. A teraz zwie się Ferdynand Topaz.

– Eugeniusz, powiadasz, Eugeniusz... To się zaś zgadza, po matce tego Eugeniusza dostał. Brochwicz... Brochwicz... Brochwicz... zaraza jedna, jaki ojciec, taki syn. Mówili na tego „Krosta", bo miał dziury na gębie od ospy.

– Na kogo mówili?

– Na Brochwicza starego. A Brochwicza młodego, Gienka, wołali zaś „Siwy", bo dzieckiem włosy miał jak siano na słonku. Dalej, kiedy wyrósł, już toczno taki był jak na tym tutaj... – Wysuszone palce stukają w leżący na zżółkłym obrusie wydruk fotografii.

Gienek Brochwicz, ksywa „Siwy", później znany jako Eugeniusz Bruliański, potem – Ferdynand Topaz. Dlaczego to wszystko, cholera, robi się takie skomplikowane?

– Ty znasz, kochanieńki, że ja miał kiedyś swój zakładzik foto?

Robert usadawia się po jednej stronie ciężkiego stołu, gospodarz naprzeciwko, pomiędzy nimi butelka i wazon bez wody, z którego

sterczą suche badyle z brunatnymi naroślami. Obok pudło po butach pełne napoczętych, zmieszanych w bezładzie lekarstw, po których spaceruje ogromna, czarno-turkusowa mucha. Abdugarowicz znowu się oblizuje. Mówi głośno, jak większość staruszków mających problemy ze słuchem, i tylko dzięki temu Robert rozumie słowa. Drogowy rumor dochodzący z okna jest męczący.

– Na mnie chłopaki natenczas wołali „Celek". Biegaliśmy razem z „Siwym" do szkoły naszej powszechnej w Turczynie przy samej ulicy Marszałka Piłsudskiego. Oj, z niego szubrawy był chłopczyna... ojca krew... Stary Brochwicz najpierw w Łucku za prawnika się podawał, różne zaś, kochanieńki, malwersacje czynił. Malwersaaaacje... Działki odsprzedawał, między Żydkami a osadnikami był za pośrednika. We więźniu siedział. Aż w Lublinie. Komunistów tam poznał. Po więźniu jeszcze gorszy wrócił, do przemytników zachodził. Restauran mieli opanowany niedaleko od targu. „Kwiatowa" mówili na tę bawialnię. Kwiaty tam były, nie powiem. Panny, ho, ho! Żydóweczki, w Amerykę jeździły za chlebem, wracały niekiedy. Nie zaś, nie rękami. Oj... nie! Dupami, kochanieńki, dupami robiły pieniążki...

Język znów wyskakuje na moment i znika. Staruszek ma z przodu tylko jeden ząb.

– Co się działo z „Siwym"? – Robert jak dotąd zapisał w notesie dwie linijki: „Marceli – CELEK. Brochwiczowie – ojciec KROSTA – Łuck – przekręty – więzienie – Lublin – komuniści – przemytnicy. Syn SIWY – szkoła przy Piłsudskiego".

– „Siwy" to jest kulawej Eugenii syn... – Gospodarz ścisza głos, jak gdyby zdradzał wielką tajemnicę. – Służyła w kamienicy, gdzie „Krosta" kwartirę wynajmował, jak zaś powrócił z lubelskiego zamku. Pranie robiła ludziom. A ten ją wykotłował, że uuuch! Tfu!

Kresowy dziadunio nie tyle pluje, ile parska. Większość plwociny trafia do pudełka z lekarstwami. Mucha odlatuje.

– Dlaczego pana to tak oburza, że stary Brochwicz i ta Eugenia... mieli dziecko?

– Bo to niemota była, niedojda pokręcona taka. – Gospodarz robi gest dłonią, jak gdyby łapał muchę przed swoim czołem.

– Chora umysłowo...

– Miejscami bezumna. Ducha się bała. Jej ojciec nie żył, matce ziemię zostawił wokoło Turczyna. Sady mieli w dzierżawę Żydkom popuszczane... proste kułaki bogate. Córkę niemotę do miasta wydali na służbę. To i się Brochwicz ożenił. Z Łucka wyniósł. Pod Turczynem schował dupę swą. Strach już miał w portkach, jakiś go z więźnia szukał stary urka... oj, było tych grzeszków, było mnogo...

– Pan chodził z „Siwym" do jednej klasy?

– Tam klasy zaś się mieszały, kochanieńki, mieszały... Dziecki jedne chodzili na nauki, inne w pole dzień cały. Szczególnie odkąd ziemniaki kopali, to i nauczyciel rozumiał, że trzeba... „Siwy" mało w szkołę celował. Już nastolatkiem do przemytników przystał. Ojciec go z nimi zapoznał. Szczeniak niski był jeszcze, gołowąs, a uże i cygarety, i wódka, i nóż u niego...

– Co przemycali?

Dziadunio chwilę milczy, jak gdyby nie zrozumiał prostego pytania, a potem wychyla swą szklankę do dna. Wyraźnie rysująca się grdyka wędruje w górę i w dół. Język z mlaśnięciem rozprowadza po bezzębnych dziąsłach resztki krajowej.

– Ludzi przeprowadzali – mówi.

– Co proszę?

– Aż za Tarnopol jeździli. Przemycali ludzi ze swoją komandą. Ale ich obmanywali.

– Kogo?

– Tych przemycanych. Klientów swych. Różnych, co uchodzili z Sowietów. Bogatych, biednych... Bolszewiki miały wpierw sztuczną granicę, potem dopiero prawdziwą. Banda „Siwego" co cenne od ludzi brała. Trzeba im było nieraz do Zbrucza wejść nocą goło. Nie oddawali im już niczego. Sowieckich sołdatów wołali zaczajonych.

– Przekazywali ich w ręce bezpieki? Tych przemycanych?

Abdugarowicz kiwa głową jak stary, zmęczony koń. – A pan skąd o tym wszystkim wie? – Robert nalewa mu ostatnią setkę krajowej. Już bez dodatku wody. Gospodarz pije, energicznie odstawia szkło i wznosi obie ręce. Mówi jeszcze głośniej niż dotąd.

– Bo „Siwy" hen aż do Zamościa i Lublina jeździł listy wysyłać. Od niby tych przemyconych. Pisali: dotarlimy bezpiecznie i można im, przewodnikom, zaś ufać. Tak gawarili na siebie oni. My, przewodnicy... Tfu!

Tym razem większa część śliny ścieka po brodzie.

– A pan z „Siwym" do Lublina jeździł... tak?

– Automobilem. Nie powiem... Robił ja za szofera i pikolaka. On w garniturze, papierośnica u niego ze srebra. Oj, jeździli my szybciuteńko.

Robert zapisał już trzy czwarte strony. Dziadek ma lepszą pamięć, niż mógł z początku przypuszczać. Trzeba mu tylko utrzymać właściwy poziom alkoholu we krwi, skoro już zassał. Wysyłali listy do Związku Sowieckiego... I dochodziły bez przeszkód do adresatów? Co za bzdura...

– A nie sądzi pan, panie Marceli, że Bruliański... chciałem powiedzieć: Brochwicz... że on już wtedy był sowieckim agentem?

– A zaś był, był... – W skrzypiącym tonie pojawia się coś w typie zaczepki. I duża pewność własnych słów. – Za drugiego bolszewika Polaki z miasta chodzili smętne, Żydki wesołe, a ten skurwen-syn

w ruskim mundurze się zjawił. Ojca jego na Sybir zabrali, na gołe pole zagnali narodu ciżbę i z dziećmi maleńkimi... a zima była straszliiiiwaaaa... Nigdy już po tym czasie takiej ja nie widział. Trzydzieści pięć stopni mrozu, wichura, ciemno, jakby diabeł się zesrał. Nocami brali wedle list żydowskich. U nas rodzinę wywieźli całą, mamusia mnie ino ocaliła, do komendantury kacapiej na parobka dała. Mamusia moja. Podłogi mył ja. Podłogi, kochanieńki.

– Młody Brochwicz co robił?

– Baliśmy się go wszyscy. A ja najbardziej. Wiedziałem przecież, jaki był z niego burżuj niedawno, jak automobilem pędził, a tu zaś bolszewicki komandir. Mundur kacapski, płaszcz czarny z gumy, buty miał dziegciem wysmarowane. Co tylko po Polakach zostawało, do niego szło. Jak aptekarza wywieźli z Turczyna, była tam zaraz melina. Wszystko za wódkę, za papierosy, bimber w piwnicach, morfinę mieli. Morfinę. Taka banda. Jedni i drudzy.

– Jacy „jedni i drudzy"?

– Tu przemytniki, tam bolszewiki. Diabły i kurwy, szatańskie mioty. Ja cały w strachu. Dopiero Niemce nas wyzwoliły, ale ile to trzeba było się na nich naczekać, kochanieńki, ile naczekać... Dwa długie lata. Zimy dwie ciężkie.

Wódka się skończyła, mucha bzyczy na oknie, Pruski notuje, Abdugarowicz przez chwilę milczy i chyba – niestety – zaczyna zasypiać, bo teraz już nie tyle kiwa głową, ile z trudem ją podnosi, by zaraz opuścić na piersi.

Musisz, człowieku, dać mu pospać... inaczej nic z tego nie będzie.

* *

Marceli śpi. W pokoju słychać jego nierówne chrapanie, pędzące samochody, odległego psa i całkiem bliską muchę. Robert robi

gospodarzowi zdjęcie komórką, a potem patrzy w swój notes. Jest dobrze. Brochwicz-„Siwy", syn ospowatego kryminalisty z więzienno-komunistycznymi kontaktami i wyrzuconej z Turczyna upośledzonej wieśniaczki. Małoletni bandyta, przemytnik, jednocześnie agent OGPU albo już raczej NKWD. Pruski gdzieś czytał o jeszcze jednej służbie... nazywało się to Tajny Dział Operacyjny czy też Zarząd Tajno-Operacyjny. Działali w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od polskiej granicy w obie strony, werbowali bandytów. Nastoletni wiracha ze znajomościami i nożem w kieszeni mógł im pasować.

Podkreśla słowa „mundur kacapski", a potem chodzi po pokoju w tę i z powrotem, paląc papierosa. W chałupie najwyraźniej nie ma sedesu, więc niedopałek moczy pod kranem i tak zostawia.

Gospodarz budzi się z dźwiękiem przypominającym pierdnięcie.

– Jak w czterdziestym pierwszym Niemce wreszcie przyszły, to my myśleli, że „Siwy" diabelec ujdzie. Uchodzili wszyscy: komisarze, milicja, politruki, nawet taki, co kino wyświetlał na ścianie. Ludzi we więźniach i aresztach wymordowali najpierwsam do nogi, a potem spierdalali, ino kurz za nimi... Pełne ciężarówki, a samoloty niemieckie zaś nisko nad nimi.

Robert szybko siada przy stole i chwilę słucha w takim osłupieniu, że nawet nie notuje. Spodziewał się po dziadku półgodzinnej drzemki, a potem tego, że trzeba będzie tłumaczyć mu od początku: kim jest, skąd się tu wziął, czego chce i co to za zdjęcie leży na stole. Tymczasem szanowny Marceli wcale się nie zresetował. Nie tylko zachował ciągłość, ale nawet mówi składniej niż dotąd.

– Z naczała Niemce Żydkom kazali plewić. Drogę przez rynek, obok trotuar, gorąco było, te na kolanach. A „Siwy" wnet z Niemcami pokumany. Nazwiska im dawał. Zaraz się okazało, ilu

jeszcze schowanych bolszewickich. Uczitielka suka, Polka, a gorsza od niejednego kacapa. Dwóch komsomolców. Jeden się zejszczał, jak go prowadzili. Już przybiegła do „Siwego" dawna kamanda jego. Już wódka, dziewuchy, już krzyki. Wieczór gorący, Niemce w koszulach rozpiętych, komsomolce z Leninem łazili w kółko obkoło rynku. Lenin u nich gipsowy, a ciężki. Na rękach nieśli. I śpiewać głośno kazali. Śpiewać za Stalina, szatany! Tak im wołali. A inne ludzie ino się patrzali, stali, nie słychać było nic całkiem, ino te śpiewania. Od Brochwicza żuliki biegały w tę i nazad. I nazad. Chrapy rozwarte jeden i drugi, jak konie, pijane coraz mocniej. Żydki bruk plewią. Coś się musiało stać. Coś już w powietrzu wisiało. Dzikość taka. Jak kocia ruja. Aż pierwszy Żyda kijem potrącił. Tak samo poszło. Wnet.

– Był pogrom?

– A wódeczki ty, kochanieńki, jakiejś dziadkowi staremu nie przywiózł aby?

– Mogę wyskoczyć do sklepu. Może się razem przejdziemy? Świeże powietrze dobrze nam obu zrobi.

18.

Sobota, 26 października, wczesne popołudnie

Marceli zakłada poplamioną, świecącą na łok0ciach kapotę, chociaż na dworze jest całkiem ciepło jak na tę porę roku – dobre dziesięć stopni. Słońce świeci mozolnie, wiatru nie ma, mgły wiszą nieruchomo w wąskich ulicach wychodzących wprost na zalane pola. Przed sklepem Metal, Przemysł, Łączniki, Śruby stoi nieruchomo otyła, niełądna kobieta w czerwonych spodniach

i krótkim pikowanym kaftanie. Patrzy w milczeniu na długowłosego faceta w szerokich dżinsach i czarnej wiatrówce prowadzącego pod rękę pochylonego staruszka – jej sąsiada, dawnego fotografa i kościelnego, a teraz tylko umierającego pijaka.

Macierzysty spożywczak Abdugarowicza, nieotynkowany dom jednorodzinny, na którym jakiś kibic nabazgrał wielkimi kulfonami hasło „RTS", sterczy osobno na rogu Taniej i uliczki bez nazwy. Za wielką kałużą chwieje się na betonowym klocu żelazna karuzela. Resztki olejnej farby – żółtej, czerwonej, zielonej – pochodzą pewnie z czasów, kiedy konstrukcja służyła dzieciom w tutejszym ogródku jordanowskim. Teraz ma służyć klientom sklepu. W jednym z dziecięcych siodełek siedzi pękaty kurdupel. Dziwne zjawisko o nieproporcjonalnie krótkich rękach plasujące się gdzieś między bardzo niskim mężczyzną a dużym karłem. Abdugarowicz bez słowa siada w siodełku obok, Robert idzie po flaszkę. Przy okazji kupuje pięć bułek, maślankę, paczkowany ser w plastrach i foliową siatkę. Sprzedawczyni o zmęczonej twarzy bardzo wolno wydaje resztę. Klient już ma wychodzić, gdy zauważa na półce rządek energetyków. W tym sklepie nie ma jabłek, jest za to kolekcja monsterów, tigerów, powerów i active'ów. Kupuje najdroższy – winien mieć największego kopa. Kiedy wychodzi do sklepowego ogródka, małego faceta już nie ma. A jego informator znowu śpi.

Budzi go pstryknięciem odrywanej tuż przy uchu nakrętki. Ten dźwięk wydobywa każdego alkoholika z najgłębszego uśpienia. Marceli też reaguje, jak trzeba: otwiera oczy i wpatruje się w szkło. Krajowa – a jakże. Dwie setki ożywczego płynu za dziewięć pięćdziesiąt.

– Ma pan ochotę zjeść bułkę z serem? – Robert rozkłada wiktuały na reklamówce i zardzewiałym okręgu przyspawanym w centrum karuzeli. – Popić oranżadą?

– A mam, kochanieńki, mam! U mnie żołądek katolicki, drugim śniadaniem nie pogardzi!

Najwyraźniej po każdej krótkiej drzemce głośność i poziom optymizmu u Marcelego zwyżkują. Ciekawe, ile cyklów sen – picie wyciska na dobę.

Jedzą i popijają – jeden maślankę, a drugi wódkę i energetyka. Krajowa jest prawie opróżniona, gdy Pruski znów wyjmuje z kieszeni spodni notes i długopis.

– Skończyliśmy na biciu Żydów.

– I żeby się na tym skończyło... pomiłuj nam, Panie Jezu. Ale nie chcieli do domu. Już krew zwietrzyli, szatańską uciechę. Ty, kochanieńki, lepiej byś nie poznał reszty. Diabelskie rzeczy. Trzy dni użas trwał i trzy noce. Kazali czarnym jednemu na drugiego włazić, brodziska, pejsy cięli, jednego na Lenina wystrzygli, drugiego na Stalina, a Niemce zdjęcia robili. Po tym czasie ja już nie patrzył. Nieeee paaatrzył już!

– A Brochwicz co dalej robił?

– Na melinie w aptece zaprowadzili posterunek milicji. Po wojnie mówili, że ukraińska. Ale jaka tam ona ukraińska, kiedy same Polaki i Poleszczuki w niej byli. Ganiali po mieście całym, porządki robili, psia ich mać. Porządki. Bałagany! Później getto nastało. Grodzili to, czym popadnie i jak popadnie. Niejeden dom w połowie drutami był zasłoniony. Od przodu wolne wejście i wyjście, a z tyłu już zamknięte. Esesmani z Łucka wjechali w automobilach odkrytych, takich elegantów w Turczynie jeszcze nie widzieli. Dzieciom dawali czekolady. Zaś zaraz akcja. Do lasu wszystkich turczyńskich Żydków. Tym milicjantom, co dotąd z kijem, z pałką, z nożami, teraz Niemce wydali i pistolety, i karabiny. I do roboty wnet! A później nowe całkiem Żydy zaś furmankami od strony linii wielkiej kolei wiezione były. Trzy razy więcej niż tych tutejszych. Pięć razy tyle.

Tysiące! Niejeden uciekł. Całe rodziny się wtedy kryły. Byli w Charowie, w Świniuchach, w Kisielinie, w Zakrzycach skryci... wszędzie, kochanieńki. Toć wszędzie. Milicjanci Brochwicza iskali całymi dniami. Nie w ciemię bici! Niemce nigdy by tak ludzi nie naszli, jak tamci mogli, kochanieńki, oj, mogli! Złoto, pieniądze, zastawy różne, srebrne mezuzy, złote obrączki. To były Żydy z zachodu wzięte. Bogate bardzo. Szło dobro z ręki do ręki, dzień i noc handel. Co po chałupach się wtenczas działo! Po takich chatach, gdzie naród pieniądza od zeszłej wojny na oczy nie znał. Od niemieckiego cesarza. Ze świniami, z krowami spali, dupy łopianem zaś podcierali, a na przednówku żarli zielonkę. I włosy dzieckom sierpem ścinali. Ubranie było na czterech jedno. Buty miał jeden na chutor. A teraz blachę na dachy zamawiali, dla bab swych suknie, pełne walizki...

– Dobrze... już dobrze. Pan mi opowie, panie Marceli, co wtedy Brochwicz robił.

– W aptece dziwki sobie trzymali. Wartownik przy nich. Każdy zaś bał się ich. Mówili: „Siwy" – agent gestapo. A po tym czasie co likwidacja getta nadeszła i wnet tych nowych Żydków precz zabierali. Przez cały Turczyn prowadzili, bardzo padało. Chłopczyna jeden książkę zgubił. Taką maleńką...

Staruszek nagle zaczyna płakać. Usta mu gną się na wszystkie strony, łzy ciekną obficie, głowa znów chodzi jak końcówka peryskopu. Upuścił niedojedzoną bułkę. Ale tigera wypił do końca. Może nie zaśnie? Robert podkreśla w notesie słowa „agent gestapo" i stawia przy nich wykrzyknik. Cierpliwie czeka na koniec wzruszeń. Turczyn, czterdziesty drugi rok. Przystanek do Bełżca. Żydzi z zachodu, bogaci... Pewnie z Krakowa. Muszą się gnieść w turczyńskim getcie, bo sto kilometrów dalej panowie od komór gazowych robią akurat remonty, które wkrótce poprawią

przepustowość. Gdy wreszcie można ruszać w ostatnią drogę, chłopczyna gubi książkę...

Żeście ich, mój Marceli, wspólnie pilnowali i odprowadzali na pociągi, dziadki kresowe. I ty, i twój koleżka „Siwy".

Słońce znika za budynkiem sklepu. W wilgotnym cieniu natychmiast daje się odczuć przenikliwy ziąb. Pruski przygniata trampkiem niedopałek na mokrej ziemi. Musisz, człowieku, wycisnąć Marcelego jak cytrynę i odprowadzić do łóżka. Już przestał płakać.

– Co było dalej?

– Zabrali wszystkich do wielkiego obozu wojskowego w Łucku, co go zaś zimą zlikwidowali. – Abdugarowicz bezbłędnie podejmuje przerwany wątek. – Ale się Żydy najcwańsze dalej ukrywały. U ludzi różnych. Wtedy Brochwicz i ta komanda jego zaczęli głosić, że wyjazd im cichy zrobią. Z Komisariatu Rzeszy do Tarnopola i dalej, dalej... Gdzie rumuńska granica. A po tym czasie statkiem... Kto miał pieniądze, kto miał kosztowności, tego z apteki mieli wywieźć nocą. A zima była, Niemce już w Charkowie, chyba im rozpacz, Żydkom, głowy zaciemniła. Do jakiej Rumunii, kochanieńki? Do jakiej Palestyny?! Sami w pułapkę wleźli, duraki! Dwadzieścia rodzin albo i więcej. Ze Świniuch, od gospodarzy, furmanka pełna łbów czarnych nocą zajechała. I z Kisielina. Bogate Żydy, po co im była ta awantura?! Mądre Żydy. Rabbi Hillel był między nimi ukryty. Pan wie, który?

– Nie wiem.

– Wieeeeelka osoba! Mistrz z Łucka, syn samego Ben Kislewa. Najmądrzejszy, powiadali, Żyd na Wołyniu. Z żoną, córkami i synem się krył. Ten syn, choć gołowąsy, już miał próby rabinackie ze sobą – mówili o nim, że diament. Że nowy Luria. I na co ich całej rodzinie zaś przyszło? U dobrych ludzi by się dalej zachowali. A tak

przenocowali w aptece „Siwego” jeden na drugim, rano przyjechała buda wielka na sześciu kołach. I oto był ich statek! Prosto do lasu zabrali wszystkich. Dwóch tylko Niemców, żandarmów ciężkich, przy tym patrzyło. Brochwicza ludzie sami ich wszystkich tego-tam... Tfu!

– Brochwicz zabijał?

– Musiał mieć winę, bo wyrok na niego poszedł. Polskie podziemie... taaak, kochanieńki. Wyrok śmiertelny! Od inspektoratu akowskiego „Łuna”. Uciekać mu nareszcie już było. Z plecakiem złota uszedł na koniu, tak powiadali...

– Dokąd Brochwicz uciekł?! – Robert zaczyna mówić głośniej i szybciej. Jest coraz zimniej.

– Do okrużeńców i do siemiejnych, na wielkie bagna, aż za Kostopol, Sarny i Stolin. Tak mi mówili. Dalej ja nie wiem. Bo za trzeciego bolszewika, jak skurwen-syn wrócił starszym lejtnantem, mnie już w Turczynie nie uwidzieli.

– Nie zimno panu?

– A zimno, kochanieńki, zimno. Tobie spieszno?

– Mnie się zawsze spieszy. Odprowadzę pana do domu, dobrze? Jeszcze po drodze pogadamy.

– Powiesz mi, skąd u ciebie „Siwego” zdjęcie?

– Powiem. Z internetu. Panu też dzisiaj zdjęcie zrobiłem.

* *

Droga z Krośniewic do Kutna jest równa, prosta i niespecjalnie zatłoczona. Rozmawiając z Majką o Brochwiczu, Robert mija ciężarówki, wyprzedza ubłocone traktory i czuje wciąż na sobie ciężką woń z wnętrza chałupy Abdugarowicza. Policjant wyłania się nagle zza obłożonego krzykliwym klinkierem ogrodzenia. Dziarsko

macha lizakiem, chowając coś jednocześnie do tylnej kieszeni spodni.

Stop! Komenda powiatowa, wydział ruchu drogowego i tak dalej. Prawo jazdy, dowód rejestracyjny i dowód ubezpieczenia. Czy pan kierowca wie, dlaczego został zatrzymany? Pan wie doskonale. Ale nie odpowiada na pytanie. Podaje dokumenty z marsową miną. Z grubsza rzecz biorąc, w zaistniałym przypadku istnieją dwie techniki obronne. Gadatliwy i sympatyczny brat łata, który od razu zapyta o warunki służby, wtrąci określenie „panie władzo", a potem podzieli się jakimś pieprznym dowcipem. Technika druga: ponury stupor. Mieszanina smutku, powagi, można być nawet lekko obrażonym. Dlaczego prześladujecie człowieka, który jedzie trzeźwy jak świnia i nawet ma pasy zapięte? Chcecie mnie szarpać o te bzdurne dwadzieścia kilometrów za dużo? Przecież droga jest sucha, a widoczność doskonała.

W szalonych latach dziewięćdziesiątych, gdy kierowanie na umiarkowanej bańce nie uchodziło za coś bardzo złego – i Pruski często tak podróżował – stosował zawsze metodę pierwszą. Teraz, na trzeźwo, nie ma już siły, by robić z siebie głupka. Nie pamięta żadnych pieprznych dowcipów. A mandatów i tak nie płaci.

– Pan włączy awaryjne – szeroki w ramionach funkcjonariusz ma wypukłe czoło, szeroką szyję i dupę. Odchodząc z dokumentami, znika we wnętrzu srebrnego volkswagena. Chyba siedzi tam jeszcze kobieta.

Minuty mijają. Dwa papierosy z rzędu. Wychodzi ona. Podchodząc, nakłada białą czapkę na włosy we wściekłym kolorze jajecznego żółtka. Nawet ładna, ale to nie jest moment na wyobrażenie sobie, co nosi pod mundurem.

– Proszę zjechać głębiej na pobocze, wyjąć kluczyki, zamknąć auto i zapraszamy do środka, panie kierowco.

Pobocze jest szerokie, błotniste i zryte oponami frajerów, którzy dali się tu złapać dziś przed nim. W kabinie radiowozu policjantka najpierw pokazuje wskazanie radaru – osiemdziesiąt jeden – po czym następuje kulminacja dramatu.

– Niestety, nie mogę panu oddać prawa jazdy. – Głos Ciężkiej Dupy jest prawie ciepły. Jakby mu było przykro. – Za dużo punktów. Pana dowód osobisty poproszę.

– Za dużo, to znaczy ile? – Roberta gwałtownie zaczyna swędzieć czubek głowy i nos.

– Ja nie wiem ile. Nas kartoteka informuje jedynie o przekroczeniu.

– Na pewno ma pan więcej niż dwadzieścia cztery – żółtowłosa uznaje za stosowne wytłumaczyć tępemu, co znaczy „przekroczenie".

– Pan sobie sprawdzi u siebie, w Toruniu. – Jej umięśniony kolega wyciąga jakiś formularz. – Imiona rodziców proszę.

Teraz oboje pracują na cztery ręce. Ona wypisuje mandat, a on – jakieś cholerne pokwitowanie, które oddaje razem z oboma dowodami i kwitkiem OC.

– Może pan zadzwonić po innego kierowcę albo po lawetę. My niestety już nie wzywamy.

– A jeśli jednak odjadę?

– Odradzam. Pojedziemy za panem, znów zatrzymanie i będzie mandat za jazdę bez ważnego dokumentu. I tak do skutku. W tym roku akcja „Znicz" została przyspieszona.

Dobre sobie... to ma być żart?

* *

Idąc bez celu mokrym poboczem w stronę Krośniewic, pokonany kierowca czuje, że swędzi go w kilku miejscach, a do tego zbiera mu się na pawia. Odrzuca między przydrożne śmieci wypalonego

w połowie pall malla – trzeciego w ciągu kwadransa – i rozważa, czy rzeczywiście kogoś tutaj nie wezwać, by zabrał auto. A niby kogo? Któregoś z toruńskich kumpli? Kamilę? Majkę? Może jej ojca? Weź się, człowieku, nie ośmieszaj.

Na asfalcie leży zmiażdżony jeż. Wypruty flak ciągnie się za nim – a może przed nim – na kilka metrów. Co ja, cholera, mam zrobić?

Mijająca go stara ciężarówka pozostawia za sobą ciężki ogon smrodu. Wiezie padlinę. Ale biednego jeżyka jakoś nie zabrała. Ochota na wymioty wzrasta.

Uiiii-oooo-uiiiii-oooo-uiiiii...!

Radiowóz z utlenioną blondynką w środku mija go, nabierając prędkości. Chwalmy Pana! To się nazywa mieć szczęście w nieszczęściu. Jedźcie, kochani, pędźcie... Obyście się nie spóźnili na zdarzenie. Jaki szybki macie samochód! Jaki piękny jest kolor waszego migającego na dachu światła! Błękit pruski... Po raz pierwszy zsyntetyzował go pewien niemiecki alchemik – Johann Konrad Dippel. Na zamku Frankenstein próbował stworzyć eliksir nieśmiertelności, a wyszło mu to...

Wszystkie te jakże ciekawe i całkiem zbędne w tej chwili wiadomości przebiegają przez gwałtownie dotleniony mózg podstarzałego biegacza, który pędzi co sił w stronę swego subaru. Kluczyki, stacyjka, rzut oka we wsteczny – radiowóz już dawno zniknął. Teraz – dawaj przed siebie... grzecznie, pięćdziesiątką.

19.

Sobota, 26 października, wieczór

Kolejne posiedzenie nad klawiaturą zaczyna od sprawdzenia, co musi zrobić, żeby odzyskać prawo jazdy. Odpowiedź daje się streścić trzema słowami: przejść przez piekło. Sieciowe forum okupowane przez zdających powtórne egzaminy pełne jest mrożących krew w żyłach opowieści o złośliwych egzaminatorach, podchwytliwych pytaniach i tak dalej. Do tego koszty.

Pieprzyć to! Będziesz, chłopie, jeździł bez prawka. Zostaniesz anarchistą. Pierre Proudhon, Bakunin, Kropotkin oraz ty. Bierz się za Drozda i Topaza. Maja przysłała ciekawy plik. Nieżyjący już Bernard Adamek, pseudonim „Wilga", kiedyś porucznik oddziału operacyjno-szkoleniowego Komendy Głównej AK, zmarł całkiem niedawno w Szczecinie, ale zostawił po sobie tuzin medali oraz wojenne wspomnienia pod romantycznym tytułem *Nad brzegami Zbrucza i Stryja*. Na stronie dwieście trzydziestej – zgrabnie zeskanowanej przez Majkę – autor wspomina wyrok sądu podziemnego na niejakiego E. Brochwicza urodzonego w Łucku. Wykonanie kary śmierci powierzono lokalnej komórce Kierownictwa Walki Cywilnej, ale do egzekucji nie doszło.

„W drugiej połowie 1943 roku skazany zbiegł na teren kontrolowany przez partyzantkę sowiecką" – pisze Bernard „Wilga" Adamek.

Dobre sobie... „Skurwen-syn", jak go zgrabnie określił dziadek Marceli, okazuje się wybitnym wręcz specjalistą od zmiany sojuszy. Najpierw pracuje dla NKWD, potem dla gestapo, a po Łuku Kurskim cwaniaczek znajduje się ponownie po właściwej stronie. Ciekawe, czy już w czasie wojny z Brochwicza zmienił się w Bruliańskiego. Imię zachował – Eugeniusz. Po mamusi... Lata mijają, Bruliański inwigiluje Łotyszy, później szaleje w Afganistanie, gdzie świszczą kule i rakiety ziemia-powietrze. Rodzi się agent dyplomata przeznaczony do coraz ważniejszych

zadań i oto w 1989 roku znowu mamy zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Towarzysz Bruliański oferuje Brytolom swoje usługi. Akurat w październiku – to też charakterystyczne. Mur berliński jeszcze stoi, ale burmistrz z zachodniej części miasta już rozmawia z rodakami ze wschodu o tym, co nieuchronne. Dobrze poinformowani wiedzą, czego się spodziewać. A Eugeniusz, agent wywiadu pod przykryciem pracownika Radzieckiego Ośrodka Nauki i Kultury, raczej należy do poinformowanych. Sprzedaje nowym panom historię o psuciu ruskich rakiet Strieła i pewnie także inne newsy tego typu. Wszystkie za chwilę będą już nieprzydatne. No... może prawie wszystkie. Ale Anglicy zachowują się honorowo, jak na synów Albionu przystało. Oferent dostaje w zamian za informacje nowe, ładne nazwisko Topaz. Już trzecie w życiu. Pewnie dają mu również kasę na rozkręcenie interesu połowowego. Tyle że on nie łowi ryb, lecz ludzi. Karmi nimi rekiny. Czarne rodziny zamknięte w chłodni. I nieco spóźniona zemsta rosyjskich towarzyszy. Tetradioksyny. Związek Sowiecki umarł, ale nie jego służby. Kolejne lata mijają. Ferdynand Topaz, wciąż z brzydkim ryjem, zostaje godnie podjęty na raucie w polskiej ambasadzie. Spotkanie z wielebnym. Co za przypadek... Ksiądz prezes potrzebuje gotówki, a pan Ferdynand szczęśliwie ma jej po dostatkiem. I sięga głęboko do kieszeni.

Dlaczego okazuje szczodrość akurat Drozdowi? Bo na stare lata postanowił odkupić potworne grzechy? I teraz wpłaca pieniądze na betonowego papieża w dawnej ojczyźnie? Nie... nie. Wszystko, co dotąd kleiło się logicznie, w tym punkcie jakoś pęka, robi się zbyt łatwe. To nie jest bajka, w której zachodzi tak zwana przemiana bohatera na lepsze. Za wysyłaniem pieniędzy w walizkach Drozda kryje się to coś, czego ciągle brakuje. Element układanki

przyczynowo-skutkowo spajający Białołękę i Wyspę Wilków. Trzeci róg – albo bok – trójkąta.

Robert prostuje plecy i robi sobie przerwę. Weronika, Ania i Miłosz mają w weekend wolne, willa Galpera jest pusta i ciemna. Na schodach wiodących w dół samotny lokator słyszy tylko własne kroki, a w kuchni – pomrukiwanie lodówki. Nieoceniona Leokadia zostawiła kanapki z serem brie i plastrami awokado.

Dwadzieścia minut później, w swoim pokoju, otwiera przeczytany już w jednej trzeciej *Fenomen prezesa Drozda*. Na czym to skończyliśmy?

Na roku 1988 i handlowych sukcesach wikarego. Maszyny do szycia i kasety do odtwarzaczy. Dobrze. Dalej Słyszek i Holba piszą o pierwszym medialnym interesie księdza importera. Studio Video – jednoosobowe przedsiębiorstwo z kamerą Hitachi i magnetowidem VHS jako wyłącznym kapitałem – zajmowało się dokumentowaniem pielgrzymek, kopiowaniem kaset i wysyłkowym sprzedawaniem ich rzeszom pątników. Innymi słowy: w 1988 i 1989 roku ksiądz przewodnik kręcił swych polskich i włoskich podopiecznych, a potem montował urocze nagrania pamiątki, zamawiał do nich kolorowe okładki i pakował w gustowne torebki z nadrukiem. Autorzy książki reprodukują jedno takie cacko. Polski papież, cały na biało, podnosi rękę w geście błogosławieństwa. W tle błękitne niebo, kolumnada Berniniego i kopuła Świętego Piotra. Bliżej tłum ludzi, nad nimi tytuł filmu: *Ricordo di Pellegrinaggio – Pamiątka z Pielgrzymki*. Na dole cena kasety: sześćdziesiąt tysięcy starych złotych. Obok to samo w lirach – jeszcze więcej zer. Tak czy inaczej, dla polskiego klienta w latach osiemdziesiątych kupa forsy – około dziesięciu dolarów. No, ale to przecież pamiątka na całe życie.

„Z dokumentów zachowanych w IPN wynika, że Służba Bezpieczeństwa bardzo pilnie obserwowała w tym czasie przyszłego księdza prezesa i jego wideoprzedsięwzięcie, nie przeszkadzano mu jednak działać" – piszą Słyszek i Holba. – „Być może działo się tak dlatego, że esbecy właśnie wówczas montowali operację »Transformator«, której teczki nie zachowały się w zasobach Instytutu, a która jest jedynie zdawkowo wspominana w aktach paszportowych księdza Franciszka Drozda. Przy przedłużaniu ważności paszportu duchownego w kwietniu 1989 roku Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Katowicach złożył ciekawe zapytanie do Biura »C« Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Katowicka bezpieka chciała wiedzieć, czy wobec ks. Drozda są prowadzone jakiekolwiek działania, w związku z którymi należałoby paszport zatrzymać, albo przeciwnie – bezproblemowo przedłużyć. Odpowiedź warszawskich archiwistów z komórki zajmującej się m.in. nieaktywną agenturą jest krótka: »Nie czynić przeszkód w wyjeździe z PRL. Nie podejmować kontaktu nieformalnego. Dot. sprawy krypt. TRANSFORMATOR«".

„Co oznaczają te zdawkowe zapiski?" – pytają sami siebie autorzy z „Wyborczej". I odpowiadają: „Naszym zdaniem należy je odczytywać następująco: nie tykać tego człowieka, toczy się operacja znacznie ważniejsza, niż wam się w tych Katowicach może wydawać. Tym bardziej należy dzisiaj żałować, że po »Transformatorze« nie został żaden ślad. Szkoda podwójna, bo może akta tej właśnie sprawy pozwoliłyby wyjaśnić kwestię tajemniczego zniknięcia przyszłego księdza prezesa, który w połowie października 1989 roku wybrał wolność na Zachodzie".

– Oooożeż ty! – Robert przekręca się na łóżku. Czy może to być przypadek, że późniejszy sponsor księdza prezesa – Brochwicz vel

Bruliański vel Topaz – prysnął w objęcia brytyjskiej demokracji w tym samym miesiącu i roku co wielebny?

„O wizycie w Watykanie i następującej po niej ucieczce przyszłego księdza prezesa z PRL wiemy niezbyt wiele" – piszą dalej autorzy broszury. – „Kolejność zdarzeń ustaliliśmy z grubsza dzięki rozmowom z informatorami, którzy prosili o zachowanie anonimowości. Drogi kilku z nich rozeszły się z drogą ks. Drozda, lecz paru do tej pory występuje w Telewizji Horeb bądź współpracuje z wydawnictwem Arka. Z ich zgodnych w wielu punktach relacji wynika, że po powrocie z pielgrzymki do Indonezji, mniej więcej w połowie października 1989 roku papież Jan Paweł II przyjął w prywatnych apartamentach jugosłowiańsko-polsko-włoską grupę, w której znalazł się młody ks. Franciszek Drozd. Jakim cudem ten nikomu jeszcze nieznany kapłan, zapalony pielgrzymkowicz i importer chodliwych dóbr dostąpił zaszczytu całowania pierścienia, o który zabiegały głowy państw – tego żaden z naszych informatorów nie wyjaśnia z całą pewnością. Według części relacji pomocny miał się okazać inny ksiądz znad Wisły, o. Teodor Rejke, ówcześnie przełożony rzymskiego Ośrodka dla Pielgrzymów Polskich »Sursum Corda«. Wedle innych pomógł zupełny przypadek: grupa pod opieką przyszłego księdza prezesa została wpuszczona przed oblicze Ojca Świętego w zastępstwie innej, też z Polski, która nie dojechała z powodu opóźnienia samolotu. W tej drugiej grupie mieli się znajdować aktorzy teatru lalkowego.

Jedno jest pewne – w trakcie wizyty coś musiało się wydarzyć, ponieważ przyszły ksiądz prezes, dotychczas opanowany, zaczął przejawiać objawy paniki. Bezpośrednio po widzeniu z Janem Pawłem II zniknął na dwie godziny, a gdy się zjawił w pobliżu czekającego trzy kilometry dalej autokaru, oświadczył polskim

pielgrzymom, że boi się wracać do kraju. Niedwuznacznie zasugerował przy tym, że czyha na niego Służba Bezpieczeństwa.

– Gdy następnego dnia, w Mediolanie, rozstawaliśmy się z włoską częścią naszej pielgrzymki, czyli parafianami księdza Angelo Montiego, ojciec Franciszek był już na skraju załamania nerwowego – mówi były znajomy księdza prezesa, zarazem uczestnik tamtego wyjazdu. – Było to o tyle dziwne, że przecież mieliśmy już za sobą wybory czerwcowe i od miesiąca rząd Tadeusza Mazowieckiego. Ale ojciec Franciszek powtarzał swoje: »Nie wiecie, do czego oni są zdolni«. Potem przepraszał, prosił, abyśmy zapomnieli, co przed chwilą wygadywał, tłumaczył, że mu się coś pomieszało, bo ma gorączkę. Rzeczywiście zachowywał się jak człowiek chory. Cały się trząsł. Ja osobiście uważam, że to miało coś wspólnego z wcześniejszymi wydarzeniami w obecności Ojca Świętego. Było tam spore, choć krótkotrwałe zamieszanie, którego ja nie widziałem dokładnie, bo stałem oddzielony od Jana Pawła II kilkoma rzędami ludzi – Włochów i Jugosłowian. Pamiętam jednak swoje wrażenie, że ojciec Franciszek coś wówczas krzyknął niezrozumiale, co było wprost niesłychane, zważywszy na miejsce modlitewne i podniosły nastrój chwili, a przede wszystkim obecność Głowy Kościoła".

„Jak pan zapamiętał szczegóły późniejszej ucieczki przyszłego księdza prezesa z PRL?" – pytają swego anonimowego informatora Słyszek i Holba.

„W drodze powrotnej od włoskiej granicy podczas postoju w Czechosłowacji, było to konkretnie w Bratysławie, ksiądz Franciszek musiał podjąć ostateczną decyzję. Wysiadł na ziemnym placu przy kempingu i poszedł prosto przed siebie. Z walizką i plecakiem. W habicie i czarnej kurtce. Pamiętam, że padał deszcz, był ostry wiatr i po słonecznym Rzymie ta Bratysława dała nam

w kość. Tym bardziej że domki na kempingu mieliśmy nieogrzewane. Jeszcze do nocy część naszej grupy liczyła na to, że ksiądz zjawi się z powrotem. Jednak on po prostu uciekł tego dnia z PRL. I nikt przez blisko rok nie wiedział, co się z nim działo".

„Co jeszcze pan pamięta?" – chłopaki z „Wyborczej" dociskają rozmówcę.

„Pamiętam, że rano od grupy odłączyły się dwie kolejne osoby, które postanowiły nie wracać do Polski. I to, że pewna pani z Olsztyna zgłosiła na polskiej granicy fakt nieobecności księdza opiekuna. Strasznie nas wtedy celnicy i wopiści przetrzepali. Staliśmy piętnaście godzin. Silnika o mało nie rozebrali. Kazali nam wysiąść, odejść, a sami wnieśli do autokaru jakąś aparaturę. A powiem szczerze, że przy okazji pielgrzymowania każdy to i owo w obie strony woził, niektórzy mieli poupychane w bagażach magnetowidy, owerloki, kalkulatory, zapalniczki, kosmetyki, elektronicznych zegarków całe kartony... Wszystko przepadło. Lecz najdziwniejsze, że jak już celnicy zabrali całe dobro, to i tak nie przestali grzebać w autobusie. W trakcie rewizji wciąż podchodzili tajniacy. Wyglądało na to, że ci po cywilnemu kazali tamtym w mundurach szukać czegoś aż do skutku. Czegoś bardzo małego, bo zaglądali nawet do miniaturowych popielniczek w podłokietnikach foteli".

Na kolejnej stronie Słyszek i Holba przyznają, że „niestety, nie ustalili z całą pewnością", co porabiał i gdzie bywał uciekinier w sutannie pomiędzy październikiem 1989 a lipcem 1990 roku. Najprawdopodobniej wrócił do Włoch i nadal organizował pielgrzymki parafianom księdza Angela, choć teraz raczej nie mógł już ich wozić poza granice Italii. Jego paszport został unieważniony dzień po ucieczce. O nowy Drozd poprosił w czerwcu 1990 roku rzymską ambasadę niekomunistycznej już Rzeczypospolitej Polskiej.

„Dostał dokument bez najmniejszych problemów" – notują autorzy z „Wyborczej" i opisują ze szczegółami księżowski powrót do Polski: w czerwonym mercedesie, z pieniędzmi „i koncepcją powołania, jak to sam już wówczas określał, telewizyjnego centrum ewangelizacyjnego".

Czyli późniejszego kompleksu w Białołęce.

Robert robi krótką przerwę w lekturze, prostuje zdrętwiałe nogi. Może to już ten wiek, że trzeba wcinać magnez, by nie mieć skurczów. Trzy kroki w jedną stronę, trzy w drugą. Więcej w tym pokoiku zrobić się nie da. Wraca na rozgrzebane łóżko.

Dalsza część książki Słyszka i Holby jest napisana zdecydowanie gorzej niż pierwsze strony, wręcz beznadziejnie. W dodatku nie przynosi niczego, o czym by już wcześniej nie wiedział. Rozwój fundacji Angelus Dei jest szybki i dynamiczny. Kolejne księgarnie wydawnictwa Arka wyrastają w całym kraju. Powstaje Telewizja Horeb, która początkowo nadaje tylko w Warszawie i okolicach, ale plany księdza obejmują cały kraj. Postkomunistyczna koalicja czerwonych z zielonymi nie chce przyznać wielebnemu ogólnopolskiej koncesji, więc ten odwdzięcza się, wymieniając z anteny ukrytych w rządzie neobolszewików i Żydów, którzy szkodzą, knują oraz blokują rozwój „katolickich mediów". Później zaczyna się głośna telewizyjna akcja „w obronie nienarodzonych dzieci" oraz nie mniej spektakularna i kontrowersyjna zbiórka na rozbudowę siedziby pod hasłem „Katolickie nie może być byle jakie".

Wszystko fajnie, tylko co z tym „Transformatorem"?

Proste wyszukiwanie w Google'u, jak było do przewidzenia, nie daje rezultatów, poza tym, że Robert dowiaduje się kilku rzeczy o napięciu przemiennym. Ciekawe rzeczy pojawiają się dopiero wtedy, kiedy bez większych nadziei wpisuje słowa „prezes" plus

„Drozd", plus „transformator", plus „IPN". Na forum czytelników, a raczej krytyków i hejterów lżących naprzemiennie fundację wielebnego i autorów z „Wyborczej", są trzy niedługie zdania wklejone przez niejakiego rolmo63.

„Słabo szukaliście w tym IPN-ie, panowie Sł. i Hol. Akta Transformatora leżą w zbiorze zastrzeżonym, część odtajniono do sprawy lustracyjnej TW Krokusa. Powinniście napisać erratę do książki".

Przymyka ekran laptopa i dzwoni do Majki. Tym razem zlecenie brzmi: operacja „Transformator" i agent Krokus. Maja obiecuje zająć się tym od razu. Ponawia zaproszenie do Piaseczna.

Robert obiecuje „rozważyć kuszącą ofertę". Wychodzi na lodowaty balkon. Paląc, myśli o ciężkich, eleganckich, cennych meblach w domu ministra-konsula Szalawskiego i wyobraża sobie jego córkę – nago – w najdziwniejszych pozycjach pomiędzy roślinami z domowej oranżerii.

Uspokój się, chłopie. Wróć do pracy głową. Gdyby tak po prostu zadzwonić do Słyszka i Holby? Noc jeszcze młoda, chyba chłopaki z mediów nie chodzą szybko spać?

Trzy pożegnalne sztachnięcia miętowym dymem, powrót do laptopa. Stareńki dell rozgrzał się, leżąc na poduszce.

„Słyszek" plus „Holba", plus „telefon", plus „nr tel.", plus „kontakt" – szukaj.

„Bogusław Holba, usługi Public Relations: inspiracja, aktywizacja i obecność twojej marki w mediach; komunikacja kryzysowa; kampanie społeczne, kompleksowe strategie komunikacyjne i wiele więcej...".

Zdjęcie obok nagłówka witryny przedstawia krótko ostrzyżonego, uśmiechniętego i raczej sympatycznego faceta w nieokreślonym

wieku i okularach lenonkach. Do tego e-mail, adres na Facebooku, dwa telefony stacjonarne i jedna komórka.

* *

Holba odbiera dopiero po piątym sygnale, gdy Robert traci nadzieję.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. Nazywam się Pruski, jestem kolegą Macieja Taczalskiego.

– Mogę pogratulować znajomości. Sam bardzo miło wspominam Maćka, ale ja już tam nie pracuję, jeśli panu chodzi o gazetę...

– Prowadzi pan PR, wiem, właśnie mam przed sobą pana stronę. Imponująca oferta.

– Cieszę się, że pan dołączył do poinformowanych. – W dotychczas sztucznie zmęczonym tonie byłego redaktora pojawia się profesjonalna życzliwość. – Mogę czymś służyć?

– Kwadransem pańskiego czasu.

– Mhmmm...

– Skończyłem właśnie czytać *Fenomen prezesa Drozda*.

– Aaaa... o to chodzi... – Głos Bogusława Holby wchodzi w cieplejsze rejestry. – Cieszę się tym bardziej. Gdzie pan nasze dzieło kupił?

– Na Czerskiej.

– Aaaa... tam... – Ciepło znika, zamiast tego pojawia się mozolny ciężar, który wskazuje jasno, że obecny spec od PR-u nie ma najlepszych wspomnień z dawnego miejsca pracy.

– Piszę książkę o naszym wspólnym znajomym z Białołęki...

– Aha... to ciekawe.

– ...i w związku z tym interesuję się także tą odleglejszą przeszłością wielebnego. Pan i pan Słyszek wspominacie o akcji „Transformator”...

– Pan jest tym słynnym gościem – głębokim gardłem Taczalaskiego z tekstu *Rząd ukrywa prawdę*?

– Zgadza się.

– Maciej mi mówił, że pan jakiś miesięcznik literacki zaczął wydawać czy coś takiego. Przepraszam, jeśli pokręciłem...

– Pismo o sztuce. Nic nie szkodzi. Dorabiam na różne sposoby. Aktualnie pracuję dla wydawnictwa Ventura.

– Robi pan story o Droździe i o „Żyletce"? – Holba najwyraźniej musiał się już spotkać z dotychczasową ofertą Ventury – romanse, zwierzenia celebrytek i wywiady z modelkami. Trzeba mu oddać, że szybko kojarzy fakty.

– Tak mi się początkowo wydawało – że to będzie historia o księdzu i Koon. Ale badanie zaprowadziło mnie w dużo starsze rejony. Nie będę pana zanudzał detalami. Ten Transformator...

– Było coś takiego, ale niestety nie dotarliśmy głębiej. Zabrakło czasu. Wie pan, ile miesięcy mieliśmy na napisanie?

– Nie wiem.

– Najpierw siedem, ale potem wydawnictwo skróciło nam deadline do trzech. Drozd robił wtedy wielką zbiórkę na Białołękę, a nie miał zezwolenia, było o nim głośno i dlatego tak przyspieszyli bez sensu...

– Pamiętam. – Robert przez moment ma ochotę powiedzieć, że trzy miesiące na napisanie książki to luksusowy termin. Jego wydawcy z Ventury liczą czas na tygodnie.

Holba kontynuuje narzekanie:

– ...promocja naciskała, po prostu nie dali nam dosyć czasu. I prawdę mówiąc, końcówka książki jest...

– ...trochę słabsza niż początek.

– Jest spierdolona! To było niemożliwe, żeby w ostatnie dwa tygodnie podokańczać wszystkie rozdziały naraz, a jeszcze Słyszek

zachorował... – Specjalista od PR-u podnosi głos. Chyba musi przekrzykiwać jakiś rosnący jazgot w tle. – I żeśmy się pokłócili wtedy z firmą mocno. Ja też panu daruję detale, ale skończyło się tak, że odszedłem. I nie żałuję! Daaawiiid!! Ty ścisz to, do jasnej cholery!!! Przepraszam pana... W weekendy mieszka u mnie syn. Daaaawiiiid!!

– Rozumiem pana, panie Bogusławie. Sam jeżdżę na weekendy do dzieci.

– Aaaa... w jakim wieku?

– Młodszy syn jeszcze w podstawówce. Starszy – gimbaza.

– Dawid od pierwszej gimnazjalnej dostarcza i mnie, i swojej matce takich wrażeń, że o tym też można by książkę napisać...

Holba senior chyba się trochę nudzi, spędzając wieczory ze swą latoroślą. Zanosi się na to, że rozmowa potrwa dłużej niż kwadrans. Do rzeczy, człowieku, do rzeczy!

– Wracając do „Transformatora"...

– Niedługo po druku zadzwonił do nas pewien gościu. Do mnie zadzwonił – jeszcze urzędowałem końcowo w redakcji. Radził, żeby w tej sprawie grzebać dalej, ale raz, że pan pewnie wie, jaki był stosunek mojej ówczesnej firmy żywicielki do akt SB, dwa – że byłem już na wylocie. Słyszek sam nie chciał się w to już bawić. I jakoś zdechło. Nikt nie podchwycił tematu.

– Ktoś, komentując waszą książkę, napisał w necie, że akta „Transformatora" są niby zastrzeżone, ale częściowo jawne...

– Czytałem ten wpis. Miałem przeczucie, że pochodzi od tego samego gościa. Tego, co dzwonił.

– Pamięta pan nazwisko?

– Aaaa... gdzie tam... nie pamiętam nawet, czy się przedstawiał. I nic panu więcej ciekawego nie powiem, poza tym, że ta sprawa z pielgrzymką do Rzymu...

– Z października osiemdziesiątego dziewiątego?

– ...to jest na stówę najciekawszy wątek. I ta fundacja Drozda, i Telewizja Horeb, i ten ich pomnik teraz... Na mego czuja wszystko jakoś wypływa stamtąd. Z tamtej wizyty u papieża i z tamtego niepowrotu do Polski. Nikt nie wiedział, ale to nikt, dosłownie – ani Drozda proboszcz z parafii macierzystej, ani dziekan, ani biskup – gdzie on się podziewał od października wzwyż.

– I nikt wam nie powiedział dokładnie, co się zdarzyło w Watykanie?

– Tylko tyle, że Drozd coś krzyczał w obecności papieża.

– A ten wasz informator? Ten, o którym piszecie „były znajomy księdza prezesa, zarazem uczestnik wyjazdu".

– Gościu nie żyje. Też dziwna sprawa. Rozbił się samochodem, jadąc z Gdańska do Warszawy w suchy, słoneczny dzień na prostej drodze. Pięć, sześć lat temu. Ale oczywiście mógł zasnąć za kółkiem. Miał podobno cukrzycę.

20.

Noc z soboty na niedzielę, 26–27 października

Po kolacji zjedzonej z ojcem Maja siada do alienware'a. Papa jutro w południe opuszcza ojczyznę, by przez cztery tygodnie zapładniać swymi pomysłami współuczestników zjazdu naukowego w Edynburgu. Ona będzie mogła pracować z redaktorkiem. Może nie tylko pracować? Na razie przygotowuje sobie miejsce na małym stoliku w kuchni. Boczna lampka, wielki kubek kawy z ekspresu

i dzbanek ze świeżym sokiem marchwiowym – specjalnością Lilianny, gosposi papy. Do tego orzeszki z ziarnami.

Wpisuje zapytanie: „tajny współpracownik" plus „Służba Bezpieczeństwa", plus „Krokus". Kilka tysięcy wyników. Na pozornie mało poważnym portalu Wrzuta.pl ktoś zawiesił piętnastominutowy film. Tagi: agentura, konfident, senator Andrzej Horst-Załużnicki. Uruchom plik. Trwa buforowanie. Czekaj.

Czekając, otwiera w drugim oknie Wikipedię. Notka o byłym już parlamentarzyście opatrzona jest fotografią inteligentnej i zarazem bardzo męskiej twarzy w lekko przyciemnianych okularach i z łysiną rosnącą od czoła. „Andrzej Horst-Załużnicki, urodzony 24 marca 1953 w Warszawie, w latach 70. – dziennikarz, w latach 80. działacz opozycji, następnie senator dwóch kadencji. Uznany nieprawomocnie za kłamcę lustracyjnego wycofał się z życia publicznego".

Dokładniejszy życiorys poniżej: syn przedwojennego działacza komunistycznego Samuela Horsta. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim, pracował w redakcjach „Trybuny Ludu" i czasopismach: „Odra", „Radar", „Polityka".

„Polityka" – no pięknie... Ciekawe, czy papa, który właśnie zasypia na piętrze, zna tego kolesia.

Autorzy Wikipedii wymieniają nagrody i wyjazdy do państw socjalistycznych. Po roku 1980 zaczynają się informacje o działalności w NSZZ „Solidarność" i demonstracyjnym wystąpieniu z partii.

Późniejsze losy bohatera: Klub Inteligencji Katolickiej, głodówka w podziemiach kościoła, trzy kampanie wyborcze po 1989 roku, z tego dwie udane. Następny śródtytuł – „Okres w Senacie" – Maja pomija. Wczytuje się w rozdział zatytułowany „Kontrowersje".

„Na początku lutego 2004 roku ujawniono w polskich mediach, że w latach 1986–1989 Horst-Załużnicki współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa...".

O pozbawienie go na osiem lat prawa pełnienia funkcji publicznych zawnioskował prokurator IPN taki a taki...

Przerwa w czytaniu – film się zbuforował. Start. Pierwsza scena: powiększenie dokumentu częściowo wypisanego na maszynie, częściowo skreślonego ręcznie. Oko kamery podąża wzdłuż kolejnych wierszy tekstu. Lektor czyta grobowym głosem coś, co brzmi jak akt oskarżenia:

„Przy podpisywaniu wszelkich dokumentów winniście posługiwać się pseudonimem »Krokus«. Nasz przedstawiciel nawiąże z wami w odpowiednim czasie kontakt. Powyższe przyjąłem do wykonania i wiadomości. Podpisany: Horst-Załużnicki".

Druga scena: senator przemawia na bliżej nieokreślonym zebraniu mądrych głów. Po krojach garniturów można dojść, że to późne lata dziewięćdziesiąte lub przełom wieków. TW „Krokus", jeszcze niezlustrowany, ze swadą peroruje na temat dwóch koncepcji państwa polskiego – nacjonalistycznej i europejskiej. Z tonu można się domyślić, że mówca popiera politykę otwartości.

Scena trzecia: proces lustracyjny. Stojący za niskim pulpitem były senator wymachuje „Gazetą Polską" – zapewne to ona namierzyła go jako agenta. Przekonuje niewidoczny w kadrze skład orzekający, że jego agenturalne doniesienia z lat osiemdziesiątych nikomu nie szkodziły, ponieważ informował bezpiekę „wyłącznie o rzeczach ogólnie znanych i nieistotnych".

Maja zamyka okno z filmem, otwiera dwa kolejne, potem jeszcze cztery. Jest już po północy, gdy trafia w końcu na żyłę informacji – niemieckojęzyczną publikację niejakiego doktora Pafnucego

Breinerta, historyka z uniwersytetu w Bremie, z pochodzenia Polaka. We wstępie autor informuje, że zbierając materiały, oparł się na wyjaśnieniach TW „Krokusa" złożonych podczas niejawnej sześcioletniej sprawy sądowej z autorem „Gazety Polskiej" Celestynem Migwą. Ten ostatni – jak pisze Breinert – oskarżył senatora nie tylko o bycie donosicielem, ale też o działalność prowokatorską. Na sprawę – w roli świadka strony pozwanej – trzykrotnie przybywał Franciszek Kosma Drozd. Werdykt: „Gazeta Polska" miała prawo określić Horsta-Załużnickiego mianem prowokatora. Uzasadnienie – tajne. Dalej, dalej... Breinert miejscami pisze suchym, prawniczym językiem, momentami wplata komentarze. Ale to nic nie szkodzi, ponieważ wreszcie wiadomo, jak miał zadziałać tajemniczy „Transformator".

* *

Wedle Breinerta było tak: polska bezpieka uaktywniła swego agenta z Klubu Inteligencji Katolickiej wiosną 1989 roku. Pierwsze zadanie Horsta-Załużnickiego: dołączyć do pielgrzymki prowadzonej przez księdza Franciszka Kosmę Drozda, ówcześnie wikariusza parafii pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Cel podróży: Watykan.

„Krokus" wsiada do autokaru w Katowicach i w trakcie nocnego postoju pod Wiedniem na najtańszym z dostępnych kempingów przechodzi do wykonania drugiego, trudniejszego zadania.

Pątnicy wiozą mnóstwo towaru na handel: od zimowych butów z tworzywa sztucznego, przez żyrandole, po papierosy i najtańsze alkohole kupione za dolara w sklepach Pewexu. Mają też kupę pieniędzy. Chociaż nie jadą ani przez Węgry, ani przez Jugosławię, zabrali – prócz czechosłowackich koron – także węgierskie forinty, jugosłowiańskie dinary, niemieckie i enerdowskie marki, austriackie

szylingi, amerykańskie dolary. Nigdy nie wiadomo, czym, z kim i jak się zahandluje. Kilka osób wiezie rosyjskie obrączki.

Jest już tradycją, że kruszec i twardą walutę trzyma pod sutanną ojciec Franciszek. Złoto w woreczku na szyi, banknoty w saszetce przy pasku. Celnicy – polscy i czechosłowaccy – trzepią podróżnych czasami mocniej, czasami słabiej, ale nigdy się jeszcze nie posunęli do rewidowania duchownego.

Drozd nosi woreczek i pugilares stale przy sobie. Pierwszego nie zdejmuje nigdy, drugi – jedynie w łóżku i pod natryskiem. I właśnie tam następuje finalizacja drugiego etapu operacji „Transformator". Były dziennikarz, a przyszły senator Andrzej Horst-Załużnicki okrada w kilkuosobowej kabinie z prysznicami Franciszka Drozda.

Duchowny jest załamany. Z prawie sześćdziesięciu osób jadących autokarem trzy czwarte ulokowało pod jego sutanną cały swój życiowy kapitał obrotowy – w sumie zginęło czternaście i pół tysiąca marek, drugie tyle w szylingach austriackich oraz przeszło sześć tysięcy dolarów. Tyle kapłan zapisał na karteczce, w odręcznie skreślonej tabelce z imionami pątników po lewej i cyframi po prawej.

Bliski zawału Drozd – Majka w ten sposób wyobraża go sobie w tamtej chwili – gorączkowo biega po zasypiającym kempingu pod Wiedniem.

Breinert pisze, że według zeznań księdza złożonych na procesie lustracyjnym „Krokusa" zrozpaczony wikary zwierzył się trzem osobom, do których, jak się mu wydawało, mógł mieć zaufanie. Pan Andrzej Horst-Załużnicki, trzydziestosześcioletni członek stołecznego KIK-u, warszawski inteligent, człowiek spokojny i sympatyczny, dowiedział się o kradzieży jako trzeci. I tylko on wiedział, co zrobić. Pieniądze na pewno ukradli Cyganie, którzy nocują w przyczepach

za płotem. Ale chodzenie do nich mija się z celem. Powiedzą: „to nie my" – i co im kto zrobi? Jest inny sposób. Krewny pana Andrzeja, wujek ze strony matki, wyjechał z Polski przeszło dziesięć lat temu. Teraz jest w Wiedniu, pracuje dla policji. Trzeba z nim porozmawiać. I nic nie zdradzać pozostałym pielgrzymom, dopóki sprawa nie znajdzie rozwiązania.

TW „Krokus" podejmuje się sprowadzenia „wujka" na kemping, o ile ktoś ma jeszcze szylingi do aparatu telefonicznego.

* *

Jest środek nocy – teraz, w Piasecznie, i wówczas, na kempingu. Czytając tekst doktora Pafnucego Breinerta, Maja wyobraża sobie sfatygowany domek z drewna i trzyosobową naradę przy małym stoliku. Na życzenie awaryjnie sprowadzonego wiedeńskiego „wujka" w spotkaniu biorą udział tylko ksiądz i pan Andrzej.

Medard Krol, jak się przedstawia wujaszek, w obecności „Krokusa" wyjawia ojcu Franciszkowi Drozdowi, że jest kimś znacznie ważniejszym niż tylko „współpracownikiem policji". Jest agentem niemieckiego wywiadu – Bundesnachrichtendienst. Jego mocodawców interesują stosunki panujące – jak to nazywa – za polską kurtyną prałacką w Watykanie. Księża: Dziwisz, Głódź, Rakoczy i inni. Szczególnie dobrze widziane będą informacje na temat przewielebnego prezbitera Donata Kolaśnika, któremu właśnie urodził się syn, o czym parę osób w kurii rzymskiej już wie.

Propozycja jest nieskomplikowana. Ksiądz Drozd dostanie pieniądze. Tyle, ile ukradziono – według tabeli. Marki, szylingi, dolary. Nie ma powodu, by dopytywać, jakim cudem to się stanie. *Herr* Medard Krol ma swoje sposoby. Ale po pierwsze – trzeba pieniądze pokwitować, po drugie – odpracować je w służbie

demokracji, po trzecie – zobowiązać się na piśmie, po niemiecku, do zachowania w tajemnicy treści obecnej rozmowy.

Breinert już tego nie pisze, ale Maja, czytając, odnosi wrażenie, że ksiądz musiał się wówczas zawahać, ponieważ „wiedeński wujek" z niemieckiego wywiadu użył w kempingowej rozmowie jeszcze jednego argumentu. Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi. Ksiądz nie ma chyba wątpliwości, kto jest największym nieprzyjacielem Kościoła katolickiego i polskiego papieża osobiście. Kto stał za strasznym czynem Ali Ağcy? Służby specjalne bloku wschodniego. Na Zachodzie każde dziecko to wie. A kto jest jedyną zaporą zdolną ochronić ludzkość przeciw tym hordom morderców? My. Amerykanie, Brytyjczycy, demokratyczni Niemcy. Ksiądz to chyba rozumie?

Ksiądz i rozumie, i w końcu się zgadza. Wypisuje odręcznie dwa kwity, które *Herr* Medard zabiera ze sobą i znika. Potem, jak się można domyślać, jest dużo nerwów w oczekiwaniu na jego powrót. Breinert pisze, że pieniądze – banknoty zapakowane w kilka żółtych kopert – Krol przywiózł dopiero nad ranem.

Majka dopija resztkę kawy i idzie do łazienki na górze. Z pokoju papy dochodzi chrapanie. Córka rozbiera się, nastawia zegar w saunie, związuje włosy w węzełek i bierze prysznic w wielkiej kabinie. Stoi z odchyloną głową między rozwibrowanymi strumieniami wody masującymi jej ciało z sześciu dysz i czuje, jak zmęczenie zaczyna ją opuszczać. Zwalniają galopujące myśli.

Stoi pod wodą długo, czekając, aż ekran przy drzwiach sauny zamelduje o osiągnięciu stu stopni. Po wyciskającym poty kwadransie bierze jeszcze jeden prysznic. Tym razem lodowaty na przemian z uderzeniami gorącej pary. Po wszystkim staje przed ścianą-lustrem i wklepuje w zaróżowione ciało trzy kremy. W odpowiedniej kolejności. Układa – także we właściwym

porządku – informacje, do których dotarli z Robertem, i te, które przyswoiła dziś w nocy.

Bezpieka podchodziła księdza Franciszka Drozda tradycyjnymi metodami. Za pierwszym razem im nie wyszło, bo poskarżył się przełożonym. Zorganizowali więc prowokację, by go wepchnąć w łapy zachodnioniemieckiego wywiadu... tylko po co? Dla późniejszego szantażu? I czemu akurat Drozd był dla PRL-owskiego gestapo tak ważny? Przecież nikt nie mógł sobie wtedy wyobrazić, że kiedyś powstanie Telewizja Horeb, a ten wikary ze Śląska stanie się kimś niewiele mniej ważnym niż premier. Co oni w nim już wtedy widzieli? Fakt, znał języki, podróżował swobodnie w towarzystwie pielgrzymów obcokrajowców, kręcił w Watykanie filmy wideo, miał szerokie kontakty wśród duchowieństwa w kilku krajach, umiał gromadzić pieniądze... to mało?

W jasnym szlafroku z lamy i ciepłych kapciach Maja Szalawska siada na powrót przy kuchennym stanowisku roboczym.

„Medard" plus „Krol", plus „BND", plus „Bundesnachrichtendienst". Tylko dwa sensowne wyniki wyszukiwania. Pierwszym jest artykuł „Rzeczpospolitej" z 12 maja 2011 roku.

Lead: „Zachodnioniemiecki wywiad był przekonany, że za zamachem na papieża Polaka stali Sowieci".

I dalej: „W piątek mija 30 lat od zamachu na Jana Pawła II. 13 maja 1981 r. na pl. św. Piotra w Rzymie Turek Mehmet Ali Ağca, powiązany z prawicową organizacją terrorystyczną Szare Wilki, ciężko ranił papieża. Ali Ağca został skazany na dożywocie. O współudział w zamachu oskarżano Bułgarów – mieli być rzekomo inspirowani przez KGB – którzy zostali jednak uniewinnieni z braku wystarczających dowodów. »Rzeczpospolita« odkryła w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej nieznany dotąd dokument, który

potwierdza sowiecki ślad w zamachu. Rzuca też światło na powody, dla których do niego doszło.

»Koła powiązane z wyższymi urzędnikami BND (Bundesnachrichtendienst – wywiad zachodnioniemiecki – red.) rozpowszechniają na terenie RFN własną wersję zamachu na J. Pawła II. Sugerują, że za zamachowcem Turkiem stoi radziecka służba wywiadowcza KGB jako siła inspirująca i organizacyjna« – czytamy w raporcie, który powstał 27 czerwca 1981 r., niespełna dwa miesiące po zamachu.

Dokument to wyciąg z meldunku jednego z najcenniejszych źródeł wydziału XIV Departamentu I MSW zajmującego się wywiadem. Agent o numerze 4077 działał »na kierunku watykańskim«. Historycy IPN są pewni, że był to Medard Krol (wcześniej Mieczysław Królikiewicz), pseudonim »Ikar«, który prowadził m.in. ojca Teodora Rejkego (zmarłego w 2010 r.)".

Wracając po południu z Krośniewic, Robert mówił coś o tym Rejkem... ale co? Za późna pora, by do redaktorka dzwonić, zresztą poradzi sobie sama, tylko po kolei, po kolei...

Autor „Rzeczpospolitej" pisze dalej: „Źródło 4077 twierdzi, że według BND celem zamachu było niedopuszczenie do przyjazdu Jana Pawła II na pogrzeb prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego. Służba Bezpieczeństwa od połowy kwietnia 1981 r. miała świadomość, iż papież wie, że kardynał jest umierający. »Przybycie J. Pawła II na pogrzeb kard. S. Wyszyńskiego do Warszawy spowodowałoby, że świadomość narodowa Polaków otrzymałaby siłę napędową – stąd należało papieża wyłączyć z gry« – czytamy w raporcie źródła 4077.

Kolejny raport na ten sam temat, powstały 30 stycznia 1989 r. i wytworzony przez źródło 4077, mówi o nowej próbie »dezintegracji na kierunku watykańskim«, jaką, według tych

samych urzędników BND, mają w najbliższym czasie podjąć struktury wywiadu wojskowego ZSRR. Dokument z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej jest niestety w dużej mierze nieczytelny, zamazany grubym, czarnym flamastrem prawdopodobnie przez funkcjonariusza z SB lub jego następcę z UOP".

Maja czyta artykuł jeszcze raz, aby utrwalić sobie to, co najważniejsze. A zatem *Herr* Medard Krol, który zdaniem doktora Pafnucego Breinerta zwerbował pod Wiedniem księdza Franciszka Drozda na rzecz zachodnioniemieckiego wywiadu, był faktycznie, albo i jednocześnie, agentem polskiego MSW o numerze 4077. Wygląda na to, że zarówno jako szpieg niemiecki, jak i PRL-owski działał „na kierunku watykańskim". A 30 stycznia roku pamiętnego doniósł Warszawie, że Niemcy spodziewają się rychłego ataku na papieża ze strony sowieckiego Gławnowo Razwiedywatielnowo Uprawlenija.

Tylko że nie było w 1989 żadnego zamachu na papieża... Po Ali Ağcy zaatakował co prawda jeszcze pewien wariat, ale to było wiele lat wcześniej. Jak on się nazywał?

Ponownie poczciwa Wikipedia: „W dniach 12–15 maja 1982 r., w pierwszą rocznicę zamachu dokonanego przez Turka Mehmeta Ali Ağcę, papież Jan Paweł II odbywał podróż do Portugalii. Odwiedził sanktuarium w Fatimie, by podziękować Maryi za ocalenie. Wieczorem 12 maja Juan María Fernández y Krohn podjął nieudaną próbę zasztyletowania papieża. Zaatakował go bagnetem, ale został powstrzymany przez ochronę. W 2008 ówczesny sekretarz Jana Pawła II abp Stanisław Dziwisz ujawnił, że papież został niegroźnie zraniony, choć rana krwawiła obficie...".

* *

Późną nocą córka konsula otwiera w internecie opatrzony krótkimi notkami *Spis europejskich rezydentów wywiadu PRL*. Widzi kilka nazwisk znanych z lekcji historii, między innymi generała Gromosława Czempińskiego, jest i wujaszek z podwiedeńskiego kempingu.

„Medard Krol, agent SB o pseudonimie »Ikar« przed opuszczeniem PRL używający nazwiska Królikiewicz, pracował w Kolonii, Monachium i Wiedniu pod tzw. zmienioną flagą. Żeby zdobyć zaufanie ofiar, używał antykomunistycznej retoryki. Szukał kontaktu z ludźmi, rzekomo werbując ich do współpracy z wywiadem zachodnioniemieckim – BND – podczas gdy faktycznie chodziło o współpracę z SB. Poza ojcem Teodorem Rejkem Medard Krol odniósł sukces w stosunku do kilku innych osób, w tym księdza przekazanego następnie do dyspozycji wywiadu sowieckiego".

No pięknie! To maksymalnie zakręcone i genialne... Nie mogli zwerbować Drozda w sposób prosty, zwerbowali go „pod zmienioną flagą". Ładne określenie. A więc „Transformator" był operacją pozyskania Kosmy Franciszka jako tajnego współpracownika, ale nie dla niemieckiego, tylko dla polskiego i sowieckiego wywiadu.

Maja wysypuje na dłoń nasiona słonecznika i skubiąc po jednym, wraca do lektury tekstu Pafnucego Breinerta. Wystarcza jej pół godziny, aby zyskać pewność, że wszystko się zgadza z informacjami „Rzeczpospolitej" i wykazem rezydentury. Breinert opisuje kolejne ciepłe dni roku 1989. Autokar z księdzem Drozdem i agentem „Krokusem" wraca z Watykanu tą samą drogą, którą tam dojechał. Znów kemping pod Wiedniem, tym razem spotkanie odbywa się w scenerii porannej, podczas spaceru. Ponownie jest trzech uczestników rozmowy: Andrzej Horst-Załużnicki – „Krokus",

Medard Krol-Królikiewicz – „Ikar", oraz wikary Franciszek Drozd. Ten ostatni przekazuje wujaszkowi Medardowi odręcznie spisany pakiet obserwacji i własnych refleksji z Watykanu. Nie dowiedział się niczego istotnego na temat trudnej sytuacji osobistej przewielebnego księdza prałata Donata Kolaśnika. Ma ledwo parę ogólnych spostrzeżeń, dość oczywistych i raczej mało przydatnych. Mimo mizerii wiedeński „wujek" z BND nie ruga duchownego ani nie domaga się zwrotu pieniędzy. Zaleca tylko, by przy okazji następnego wyjazdu szanowny kapłan mocniej się postarał. Ksiądz obiecuje poprawę.

Dalszy ciąg rozmowy ma charakter na poły towarzyski. Franciszek Drozd chwali się, że kupił w Rzymie nową, zminiaturyzowaną kamerę wideo marki Hitachi. Standard VHS w mikroformacie typu C. Małe kasetki można odtwarzać na zwykłym magnetowidzie po umieszczeniu w kasecie matce. „Wujek z niemieckiego wywiadu" jest żywo zainteresowany techniczną nowinką – tak to przynajmniej opisuje Breinert. Kapłan wyjaśnia, że tym razem sprzętu nie wiezie na sprzedaż w Polsce, lecz na potrzeby własnej działalności gospodarczej – Studia Video. *Herr* Medard bardzo chce wiedzieć, czy dałoby się nakręcić film z wizyty w którymś z prywatnych apartamentów papieża. Najlepiej w bibliotece albo kaplicy. Ksiądz nie wyklucza, lecz niczego nie obiecuje.

W trakcie kolejnych miesięcy, podczas trzech następujących po sobie pielgrzymek – do Watykanu, do sanktuarium Altotting w południowych Niemczech i do Jugosławii – współpraca między „wujkiem z BND" a jego agentem w sutannie zostaje, jak pisze Breinert, „zacieśniona". Ksiądz Drozd kręci kamerą Hitachi pątników i ważne osobistości Stolicy Apostolskiej, sporządza też wielostronicowe raporty. Dowiaduje się nareszcie czegoś o prałacie Kolaśniku i jego dziecku. Bardzo szanowany w kurii polski

duchowny – doktor teologii etycznej z widokami na profesurę – zapłodnił siostrzenicę pewnego purpurata z Argentyny, ale nie chodzi o przyszłego papieża Franciszka.

Jeżeli chodzi o materiały wideo, to większość nakręconych przez Drozda taśm trafia do entuzjastów serii *Pamiątka z Pielgrzymki*. Niektóre filmy – tylko do rąk „Ikara".

Odkrycie kart następuje w październiku. Rozmówców znowu jest trzech i są to te same osoby co na kempingu i na spacerze. Tajny współpracownik „Krokus", agent 4077 Medard Krol i wreszcie sam duchowny – ofiara ich obu. Spotykają się o czwartej nad ranem w kawiarnianej części całodobowej piekarni-ciastkarni w Puntigam – podmiejskiej dzielnicy austriackiego Grazu.

„Wujek" Medard już nie jest miły. Informuje księdza, kogo naprawdę reprezentuje – a mianowicie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych PRL. „Krokus" słucha, nic nie mówi, jest tutaj przecież tylko w roli świadka. Natomiast każde kolejne zdanie „Ikara" to gwóźdź do trumny biednego wikarego Drozda. Pafnucy Breinert, który – jak sądzi Maja – usłyszał wszystko z ust samego Horsta-Załużnickiego podczas przewodu lustracyjnego albo procesu z dziennikarzem Migwą – relacjonuje nocne spotkanie wśród ciastek następująco:

„Groźny esbecki agent uświadomił w tym momencie ks. Drozdowi, co może go czekać po powrocie do kraju. Kilka miesięcy temu ksiądz dał się zwerbować imperialistycznemu wywiadowi zachodnioniemieckiemu, przyjął i pokwitował znaczną ilość dewiz w różnych walutach, podpisał dokument będący faktyczną zgodą na współpracę i pisał raporty na temat sytuacji wewnętrznej w Stolicy Apostolskiej.

W Polsce czeka księdza upokarzający proces o szpiegostwo na rzecz rewanżystowskich Niemiec, po nim wieloletni wyrok,

a i tak może się cieszyć, bo kiedyś dostałby za taką działalność karę śmierci. Teraz może to być piętnaście lat więzienia. Kościół nie weźmie ojca w obronę. Kto w katowickiej albo warszawskiej kurii miałby ochotę narażać się władzy ludowej w imię ratowania wikarego, który okazał się donosicielem zdradzającym prywatne sprawy prałata Donata Kolaśnika i innych hierarchów?".

Breinert opisuje dalej, jak rozpaczliwie broni się w trakcie nocnej rozmowy ojciec Drozd. Nieszczęsny próbuje argumentować, że przecież żadnego wywiadu zachodnioniemieckiego nie było, skoro „wujek z BND" jest tak naprawdę wysłannikiem polskiego MSW. A zatem nie było także i szpiegostwa. Minuty w pachnącej ciastkami piekarni mijają, „Krokus" milczy, „Ikar" wyśmiewa argumenty księdza. Wyjaśnia, że w jego sytuacji procesowej fakt fizycznego istnienia bądź nieistnienia zachodnioniemieckiego wywiadowcy nie będzie miał najmniejszego znaczenia. Liczą się dokumenty podpisane w intencji zdrady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i dwaj świadkowie tejże zdrady, w tym obecny tutaj szanowany obywatel polski pan Andrzej Horst-Załużnicki, wiarygodny i nigdy niekarany za składanie fałszywych zeznań. Proces będzie albo tajny, albo pokazowy – o wyborze scenariusza zadecyduje sam towarzysz Czesław Kiszczak. Natomiast wyrok, co warto powtórzyć, jest tak pewny, jakby już zapadł. I z pewnością złamie ojcu życie.

W tym momencie być może zapada długa cisza. Kiedy „Ikar" podejmuje wątek, nastrój prawdopodobnie się zmienia, bo po serii pogróżek nadchodzi wreszcie czas na konstruktywną propozycję. Bratnia służba wywiadowcza, powiedzmy, że są to nasi... kuzyni, jest księdzem żywo zainteresowana. Jeżeli Franciszek Drozd zgodzi się wykonać zadanie dla „kuzynów", jego raporty na temat Kolaśnika i innych znikną raz na zawsze, podobnie jak

zobowiązanie do współpracy, pokwitowanie finansowe i nagrania na kasetach. Wszystko stanie się nicością. Mało tego! Zamiast ogromnych problemów będą ogromne pieniądze. Zgnębiony obecnie wikary już nigdy nie będzie musiał przemycać przez granicę elektrycznych maszynek do szycia, kaset wideo ani ruskich obrączek. Kwota, którą przygotowali dla niego „kuzyni", to sto tysięcy dolarów. Połowa płatna przed zadaniem, połowa po.

Dalszy opis spotkania w austriackim Puntigam jest jednocześnie skrótowy i mętny. Sprawia wrażenie, jak gdyby Breinertowi brakowało informacji – albo coś chce przemilczeć. Z kontekstu wynika, że jeszcze tego samego lub następnego październikowego dnia 1989 roku w tej samej kawiarni-piekarni „Ikar" przedstawia księdza Drozda „kuzynowi" z bratniej służby. Zaliczka – pięćdziesiąt tysięcy zielonych – zostaje zapłacona. Ale zadanie, którego wikary ma się podjąć, nie będzie wykonane. Jakie zadanie? Na ten temat – nic.

Totalnie zakręcona historia. Maja już rozumie, dlaczego Celestyn Migwa z „Gazety Polskiej" nie wydrukował rewelacji ujawnionych podczas tajnego procesu. Nie tylko z powodu zakazu sędziego. „Fakt" może sobie oskarżać księdza prezesa o spotykanie się z podupadłą modelką. To tylko medialne podkąsówki. Ale zarzucić twórcy bliskiego ideologicznie imperium medialnego bycie agentem Gławnowo Razwiedywatielnowo Uprawlenija... Na taką demaskację chyba tylko ten samobójca Pruski jest gotów się poważyć.

Papa przed wyjazdem ostrzegał, że Drozd to człowiek bardzo niebezpieczny...

Maja przełyka ostatnią garść orzeszków i kończy czytanie tekstu Breinerta. Z dalszej treści wynika wyłącznie to, o czym już wie. Senator Andrzej został „odkryty" przez dziennikarza „Polskiej"

i uznany za kłamcę lustracyjnego – a poniekąd także esbeckiego prowokatora, ponieważ redaktor Migwa nie musiał drukować przeprosin. Ksiądz Drozd złożył swe sensacyjne zeznania w procesie i nieniepokojony wrócił do własnych spraw. A pokonany „Krokus”?

Majka najpierw szuka w sieci informacji o obecnych losach „wycofanego z życia publicznego” ekssenatora Andrzeja Horsta-Załużnickiego, potem kopiuje je do wspólnego pliku razem ze streszczeniem tekstu Pafnucego, listą rezydentów wywiadu i kilkoma innymi skarbami. Na koniec dla odprężenia przegląda najnowsze wiadomości z kraju. Skutki powodzi, opieka psychologiczna nad ewakuowanymi, posiedzenie komitetu i sztabu, uruchomienie dodatkowych środków pomocowych. Niebezpieczeństwo nadejścia przymrozków szczególnie niepokoi służby ratownicze i socjalne zajmujące się powodzianami...

Rozpoczęta wcześniej niż zwykle przedświąteczna łapanka na pijanych i nieostrożnych kierowców daje pierwsze rezultaty...

Ośmiometrowa głowa świętego Jana Pawła, odlana już ze sztucznego kamienia w fabryce w Koninie, zostanie w nocy z niedzieli na poniedziałek przetransportowana na platformach do Białołęki. W jej wnętrzu ma się znajdować – cokolwiek to znaczy – panorama placu Świętego Piotra z dnia kanonizacji.

O czwartej rano zmęczona riserczerka wysyła redaktorowi nocny urobek i kilka linków. Odpowiedzi z Łotewskiego Zjednoczenia Narodowego w sprawie Walerego Kotsiuba i defektora Bruliańskiego wciąż nie ma.

Oczy ją szczypią, nierówne tętno krwi odbija się boleśnie pod powiekami. Przepracowanie, niedospanie, zbyt długa koncentracja... i może trochę strachu. W co my się pakujemy, redaktorku? Musimy to rano omówić. Otwiera oba skrzydła lodówki i staje przed nią blisko, niczego nie wyjmując. Czeka, aż zrobi jej się zimno. Potem

bierze tabletkę nasenną, siusia, myje zęby i kładzie się spać pod ciepłą kołdrą.

21.

Niedziela, 27 października.
21 dni przed tragedią w Białołęce

Świadomość włącza jej się na raty. Pierwszy przebłysk: światło – cień – i znowu światło. Intensywny zapach perfum Micallef Gaiac. Dotyk suchych warg na czole – to papa pochylający się nad łóżkiem. Jego szept:

– Jadę na lotnisko, córcia.

Jej mruknięcie:

– Powodzenia.

Jego ostatnie słowa:

– Uważaj z tym księdzem bardzo. Proszę cię całym sercem.

– Uhmm... będę...

Dalszy sen, godzinny, może dłuższy. Stłumiony, choć bliski dźwięk przychodzącego SMS-a. Jeszcze trochę snu, już niespokojnego, przeplatanego wizjami. Ksiądz w sutannie i z kijkami do nordic walkingu rozpaczliwie ucieka po mrocznym lesie, potykając się, przewracając i niezdarnie podnosząc z kolan. Goni go spotworniały człowiek-krab: Ferdynand Topaz vel Eugeniusz Bruliański-Brochwicz. Jego posiekana, zaropiała twarz jest wielka i lepka. Towarzyszy mu coś w rodzaju pomocnej nagonki. Czarnoskórzy mężczyźni o licznych odnóżach indyjskich bóstw mają na sobie podarte i brudne dresy, a w rękach – latarki.

Ona sama siedzi niby nocny ptak w dziupli drzewa. Oglądając pościg, bardzo się boi, chociaż to przecież nie ją gonią.

Daleki dźwięk kościelnego dzwonu zza okna płynnie przenika do wnętrza snu. Dom-dong, dom-dong, dom-dong... Dzwonią u Świętej Anny w centrum Piaseczna.

Wpół do dwunastej. Komórka w kieszeni szlafroka. Esemesował Robert. Przeczytał już wszystko o „Transformatorze". Gratuluje odkopania i przetłumaczenia tekstu Breinerta. Sam pisze teraz pierwszy rozdział o księdzu. Ma pytania i wątpliwości. Wypisał je wszystkie na Fejsie.

Majka schodzi do kuchni, tam robi kilka rzeczy równocześnie. Włącza muzykę. Cassandra Wilson, w której rozkochał ją papcio, wbrew obiegowym opiniom nie brzmi najlepiej nocą, lecz właśnie o poranku. Nastawia kawę, uruchamia laptopa, sprząta wczorajsze resztki i wypieka sobie kajzerkę, by spreparować kanapkę z pomidorem i bazylią. Czekając, aż elektryczny piekarnik odda pachnącą bułkę, obserwuje rozmazane chmury za oknem wychodzącym na podjazd rezydencji i las. Pogoda przykra, wietrzna – gałęzie świerków łopocą, lecz deszcz już nie pada. Kanapka gotowa, jeszcze kilka kropel imbirowej oliwy. Facebook. Dziedzic Pruski.

Pytania Roberta są krótkie, szczegółowe i zapisane licznymi skrótami. Widać, że się spieszył.

Jedząc i pijąc, Maja odpowiada na dziewięć kolejnych. Ostatnie brzmi: „Czy wg Ciebie tzw. kuzyn to Bruliański?".

Ma Sha: „Czekam jeszcze na wieści od Kotsiха z Kanady. Może on rozstrzygnie. Ale wydaje mi się logiczne, że TAK!".

Dziedzic Pruski uaktywnia się już po chwili: „Czyli Drozd i Topaz nie spotkali się na kweście w polskiej ambasadzie, tylko Drozd

został w 1989 agentem Topaza, wtedy jeszcze Bruliańskiego. I chyba wiem, co wielebny miał wtedy zadane".

Ma Sha: „CO?!".

Dziedzic Pruski: „Długo by pisać. Zadzwoń, jak możesz".

Maja kończy jeść, sięga po serwetkę, wybiera numer Roberta.

– Obejrzałem nocą archiwalne programy Horeba – zaczyna bez wstępów, mówi szybko, mocno akcentuje, jakby chciał mieć pewność, że zostanie dobrze zrozumiany. Czuć w jego głosie desperację i zmęczenie. – Znalazłem pęknięcie w matriksie.

– Czyli...

– Jest bardzo stare nagranie, z 1996 roku, w którym Drozd zachęca do wpłacania datków na fundację. Dużo kościelnych komunałów, ale w środku konkret: powołuje się na osobistą znajomość z papieżem. Wspomina, że jesienią osiemdziesiątego dziewiątego – dokładnie tak mówi: „jesienią" – miał zaszczyt się spotkać z JPII. W kolejnych klipach już tej informacji nie ma. W żadnym następnym. Obejrzałem wszystkie jedenaście. I nie ma też tego spotkania na oficjalnej witrynie Rodziny Telewizji Horeb, chociaż jest tam cała podstrona o pielgrzymowaniu do Rzymu. Pierwsza data, do której Drozd się teraz przyznaje, jeśli chodzi o papieża, to dziewięćdziesiąty siódmy rok. Wyraźnie zaznaczyli: „najwcześniejsza wizyta Księdza Prezesa u Ojca Świętego". Tylko zapomnieli usunąć z sieci tamtego najstarszego wideo. Że też tego wszystkiego, kurczę, nikt nie zauważa... Ty czujesz, czym to pachnie?

– Czuję, ale się boję powiedzieć, bo to jest...

– Niemożliwe?

– Maksymalnie.

– Ale wyjaśnia nam całość... ciągu zdarzeń. Po wizycie u papieża wielebny zwiewa w niewiadomym kierunku. Holba z „Wyborczej" podkreślał mi, że ta ucieczka to tajemnica wszystkich tajemnic. My

wiemy więcej: Bruliański w tym samym czasie przechodzi do Brytyjczyków. Holba pisze, że Drozd wraca do Polski dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego. Czy to nie ciekawe? I ma już wielką kasę na rozkręcenie fundacji, na wydawnictwo, na telewizję. Okręca sobie wokół palca hierarchię kościelną, w trzy lata jest ważniakiem, po dekadzie – magnatem. Pierwszy milion skradziony gdzie? Skasował od Rusków sto tysięcy ziela.

– Połowę tego. Napisałam ci przecież, co twierdzi Breinert. Drozd miał dostać połowę „przed".

– Wziął i się nie wywiązał. Dlatego musiał uciekać.

– I wrócił dopiero, kiedy był bezpieczny. We własnym przekonaniu.

– Kurczę... Myślałem, że Bruliański zmienił sojusz, bo to był jego obyczaj. Przechodzić do zwyciężających. A on też spieprzał. Obaj uciekali. Bo obaj się nie wywiązali! Zobacz, że Drozd od samego początku w Polsce chowa się za ochroną, płotami i kamerami... Sytuacja tak wygląda, od kiedy pamiętam... Od zawsze mówi się po mediach, że unika dziennikarzy, że go wkurwiają te wszystkie podstarzałe fanki Horeba, co chcą mu się wedrzeć do gabinetu, wieszać na szyi, kwiatami obsypywać... Brać za świętego... Pomyśl, czy tu ma sens, żeby się przed babciami bronić zgrają ochroniarzy, stalową kratą, monitoringiem na poziomie Fortu Knox? On się przez tyle lat nie dziennikarzy boi, ale tego, że mu zaserwują coś takiego, jak...

– Brzydkiemu Ryjowi.

– Taaa... Że go dorwą. Topaza nie ukarali za to, że zwiał na Zachód, tylko za rok osiemdziesiąty dziewiąty – że nie wykonał zadania... cholera, jakoś mi to samemu nie może przejść przez gardło. Czy my nie płyniemy, Maja? – Robert słyszy przez telefon muzykę dobiegającą z kuchni w Piasecznie i czuje rozpędzający się

we własnej głowie wir, który podnosi mu czerep. – Kurwa mać... Ci dwaj z „Wyborczej" byli tak blisko, ten cały Breinert – to samo. Oni się wszyscy bali postawić kropkę nad „i". A to się jasno układa i trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć. Teodor Rejke, ten, o którym ci mówiłem, agenciak w sutannie, dyrektor Sursum Corda...

– Czego?

– Watykańskiego ośrodka dla polskich pielgrzymów. To Rejke decydował w osiemdziesiątym dziewiątym, kto z Polski podejdzie, by pocałować Pierścień Rybaka, a kto nie. Poczytałem o nim w nocy. Właśnie on wprowadził Drozda do komnat. On – agent prowadzony przez „Ikara".

– Przynajmniej tak piszą w „Rzeczpospolitej".

– Dobrze piszą. To oczywiste, że „Ikar" kazał jednemu swemu agentowi Rejkemu przywieść drugiego agenta, wielebnego, przed papieskie oblicze. A potem ten miał się wykazać...

– Nie przez telefon, Robert. Masz do mnie przyjechać, rozumiesz? Ogarnięty. Z kosmetyczką i ręcznikiem. Papa dziś rano wyleciał na Wyspy.

– Przyjadę. Trzeba porozmawiać z „Krokusem". A potem z „Ikarem".

– Nie wiem, czy oni jeszcze funkcjonują. To muszą być dzisiaj starcy... Sprawdzę na początek, co robi „Krokus". A ty się pakuj, redaktorek! Nie będę tu spała sama. Straszne mam sny ostatnio. – Majka ścisza głos, jakby zdradzała najskrytszy dziewczyński sekret. – Drozd mi się przyśnił. Brzydki Ryj go gonił po lesie z jakimiś kolesiami, a ja byłam sową.

– Mnie się to wszystko śni już od czwartku. Najczęściej papież z Białołęki.

– A nie przyśniła ci się przypadkiem „Żyletka"?

To są właśnie, cholera, kobiety.

– Rozdział z Karolinką mam za sobą. Chciałem powiedzieć: już napisany. Bądź taka miła i zorganizuj namiary „Krokusa", okej?

– Tak jest, szefie.

* *

Odpowiedź na maila wysłanego do Kanady przychodzi o pierwszej po południu, co wydaje się Mai dziwne, zważywszy na różnicę czasu. Kanadyjscy Łotysze obsłużyli ją w środku nocy?

Wyjaśnienie zagadki zawarte jest w treści przesyłki. Walery Kotsiņ, który wzbudzał w środowisku uchodźców i emigrantów bardzo sprzeczne emocje, nie żyje od prawie dziesięciu lat. Został śmiertelnie postrzelony na ulicy w Toronto „*in very strange circumstances*", jak to ujmuje w pierwszej części wiadomości wicesekretarz Łotewskiego Zjednoczenia Narodowego w Kanadzie Valters Bumeisters. Dalej szanowny zastępca sekretarza donosi, że odsyła zapytanie Majki na Łotwę, do Smiltene, gdzie mieszka córka dawnej partnerki i zarazem redaktorki książek Kotsiņa.

Druga część maila to odpowiedź córki podpisanej jako Hilla Petersons. Tekst po łotewsku powstał – a przynajmniej został zasejwowany i wysłany ze Smiltene – dosłownie przed chwilą. Zaczyna się słowami „*Es sanemu vestuli...*", prawie wszystkie litery mają jakieś maksymalnie pozakręcane znaki diakrytyczne. Maja przekłada treść za pomocą tłumacza Google. Najważniejsze jest na końcu:

„...wujek Walery nigdy nie rozmawiał z Bruliańskim używającym potem legendy i nazwiska Topas/Topaz. Informacje zamieszczone w książce, której ostatecznie nie odważyła się wydać oficyna ReadFrame, pochodzą z biuletynów wewnętrznych brytyjskiego sekretariatu Foreign and Commonwealth Affairs oraz kanadyjskiego Foreign Office. Dostęp do materiałów wujek Walery uzyskał dzięki

znajomościom z czasów zimnowojennych, o których za wiele mamie nie opowiadał. Co do Bruliańskiego, to rzeczywiście był on związany z Polską. Nie tylko przez miejsce urodzenia, ale też osobę swego najcenniejszego agenta-udarnika. Miał to być Polak, osoba duchowna, z którą sowiecki wywiad wojskowy wiązał ogromne nadzieje. Chodziło o operację światowego zasięgu. Takich słów używała moja mama. Opowiadała mi o tej sprawie, ponieważ po śmierci wuja Walerego pojawiły się plotki, że postrzelenie go przez bandytów ma drugie dno. Mówiono o zemście, a także o związku tej śmierci z podejrzeniami, jakie były złośliwie wysuwane przeciwko wujowi przez część środowiska kanadyjskich Łotyszy. Moim zdaniem złe plotki o Walerym inspirował rosyjski wywiad, a winni jego śmierci nadal są na wolności.

Hilla Petersons, doktor medycyny, Smiltene, Smiltenes Novads, Łotwa".

Maja uruchamia trzy wyszukiwarki naraz.

„Agent" plus „udarnik". Enter, enter, enter.

Określenie bijaka. Narzędzie stalowe. Także końcówka wiertła.

Serbski zespół piłkarski Udarnik Hurtilovec.

Sowieckie określenie przodownika pracy.

Łamistrajk.

Nazwa kina w słoweńskim Mariborze.

Strona Fejsa ciągle otwarta. Przy Robercie – zielona kropka. Jeszcze się nie pakuje?

Ma Sha: „Co znaczy słowo »udarnik«?".

Dziedzic Pruski: „W znaczeniu »agent«?".

Ma Sha: „Dokładnie!".

Dziedzic Pruski: „Udarnik to był na przykład agent KGB czy GRU, który wchodził z bombą w plecaku do bunkra antykomunistycznych partyzantów. Na Litwie, na Łotwie,

w Estonii. Zostawiał plecak i wychodził. A tamci wylatywali w powietrze. Czemu pytasz?".

Ma Sha: „Brzydki Ryj, jeszcze gdy był Bruliańskim, prowadził agenta-udarnika, polskiego księdza. Dostałam przed chwilą takiego maila".

Dziedzic Pruski: „Q-va!! Jakim cudem?!!".

Ma Sha: „Zarzuciłam sieci szeroko :). Podobno akcja z udarnikiem miała być »operacją światowego zasięgu«".

Dziedzic Pruski: „Czyli jednak TO!! Już do Ciebie jadę. Masz namiar na »Krokusa«?".

Ma Sha: „Szukam".

22.

Niedziela, 27 października, popołudnie

Zdobycie aktualnego adresu i telefonu domowego byłego senatora Andrzeja Horsta-Załużnickiego zajmuje Majce mniej czasu niż Robertowi dojazd do Piaseczna, ma więc jeszcze kilka minut, by zmienić szlafrok na sukienkę w kwiaty, a kapcie – na czarne klapki. Nastawia ekspres – programuje dwie spienione kawy – gdy słyszy urwany szum silnika i trzaśnięcie drzwiami. Brama jest otwarta, ale Pruski stanął na zewnętrznym podjeździe. Wchodzi, a właściwie wpada. Rozmawiają od progu, potem w kuchni. Przez pierwsze kilka minut peroruje głównie ona. Opowiada o Kotsiixie, rewelacjach doktor Hilli Petersons ze Smiltene i swoich wnioskach.

On słucha, bębniąc palcami w blat stołu. Jego opuszki zostawiają tłuste ślady. Gdy się odzywa, głos ma bardziej zachrypnięty niż zwykle.

– Na sowieckich statkach walczyli kiedyś ze szczurami w ten sposób, że do żelaznej beczki po ropie wrzucali kilka ręcznie złapanych osobników... i po prostu ich nie karmili. Przez tydzień. Wyobrażasz sobie, co się działo? Głodomory walczyły ze sobą na śmierć i życie. W końcu zostawał tylko jeden. Najgorszy, najbardziej krwawy skurwysyn kanibal. To był „udarnik". Wypuszczali go na wolność i wtedy zaczynał polowanie na kryjące się po zakamarkach siostry i na braci. Zagryzał nawet wtedy, gdy nie był już głodny.

– A bomby, partyzanci i bunkry?

– To dłuższa historia... Baśń o nadbałtyckich żołnierzach wyklętych... – Robert wyciąga papierosa i nie pytając o zgodę, przypala. Maja bez komentarza podstawia mu porcelanowy spodek. Gdyby papa zobaczył popiół z peta na miseczce Seltmann Weiden, chyba dostałby zawału, ale nie zobaczy. – Ostatni leśni walczyli z Sowietami jeszcze w latach sześćdziesiątych. Wyobrażasz to sobie? Ja się wtedy urodziłem, w Polsce ludzie marzyli, by kupić pralkę Frania, dostać mieszkanie w bloku, a tam, w lasach, jeszcze siedzieli niezłomni bohaterowie. Nieprzerwanie od wojny.

– Baśń czy prawda?

– Prawda, choć brzmi jak klechda. Czytałem książkę. Sowieci nie mogli się do nich dobrać. Bunkry były ukryte pod kurnikami, kupami gnojówki, ulami w sadach. Mieli poparcie ludności. Na akcje wychodzili tylko w nocy. Napierdalali milicjantów, komuchów, rozwalali kołchozowe kasy. A jak szła na nich obława, to wszyscy: hyc! Pod ziemię... Do bunkrów. No, to tak z grubsza. Pamiętasz *Terminatora*?

– Za moich czasów na topie był *Avatar*.

– W *Terminatorze* jest wojna z robotami. Do bunkra zajętego przez ludzi wchodzi maszyna wyglądająca jak człowiek. I pachnąca

po ludzku. Psy na bramce ją przepuszczają. Strażnicy otwierają stalowe drzwi. A potem terminator wyciąga rozpylacz – i jest masakra. Sowiecka bezpieka wyhodowała sobie wielu takich gości. To udarnicy. Przekabaceni cichcem partyzanci, zaszantażowani mieszkańcy, różni – byle wzbudzali zaufanie wśród leśnych. A to jedzenie im nosili, a to jakieś wiadomości. I w odpowiednim momencie, kiedy, powiedzmy, ci podziemni szykowali większy skok i zbierali się w kupę, wtedy udarnik wnosił na zebranie minę przeciwczołgową z czasowym zapalnikiem. I bam!! – Robert uderza otwartą dłonią w stół. Kawa się rozlewa, ale on chyba tego nie widzi. – Raz w takiej wiosce Kuaitsi było trzydzieści trupów za jednym zamachem. A udarnik był katolickim księdzem. Łotyszem pochodzenia litewskiego, a może polskiego. Nazywał się Juozas Bulkas.

– Chyba nie myślisz, że Drozd wniósł bombę do Watykanu?

– Sam nie wiem, Maja, co mam myśleć. – Robert przeciera twarz i drapie się po rozczochranej głowie tak gwałtownie, jakby go gryzły wszy. Oczy ma podkrążone, zarost dłuższy niż zwykle, tęczówki błyszczą mu niezdrowo. – Zbierz to, co już wiemy. „Krokus" kradnie Drozdowi forsę po to, by go wpakować... masz jego namiar?

– Mam numer telefonu i adres – Maja już wcześniej zapisała dane byłego senatora na różowej samoprzylepnej karteczce. – Urantówka koło Nysy.

– To województwo opolskie? – Robert potrząsa papierkiem przed jej oczami.

– Totalny kraniec Polski.

– Pojadę.

– Chyba nie teraz? Mieliśmy zrobić...

On już wyjmuje nokię i szybko wklepuje numer telefonu. Ręce mu drżą. Gdy zauważa, że Maja to widzi, wstaje z krzesła i robi kilka kroków do okna. Potem zawraca w stronę kredensu – i znowu okno. Wreszcie siada z powrotem, nie odrywając aparatu od ucha. Noga na nodze – sfatygowany trampek wykręca w powietrzu nerwowe esy-floresy.

Maja ma wrażenie, że mogłoby jej tu nie być: Robert sprawia wrażenie półprzytomnego. Wsłuchany w sygnał po drugiej stronie łącza coś sam do siebie mruczy.

Senator najwidoczniej nie odbiera.

– To aktualny numer?

– Redaktorek... ty uspokój się trochę. Może go nie ma w domu, może jest w toalecie, może...

– Przepraszam. – Telefon wędruje do kieszeni, kolejny papieros do ust. – Dzisiaj właściwie nie spałem, bo oglądałem programy Horeba, a potem i tak nie mogłem się wyciszyć. Bez alku jest coraz ciężej. Od piątej rano piszę. Jestem przepracowany, czekam wciąż na pieniądze z Poznania, chciałbym i tobie zapłacić... To wszystko razem mnie zaraz doprowadzi do szału... Dobra, na czym stanęło?

– Zrobię ci herbatę z cytryną. I trochę zwolnisz. Zjesz świetne calzone z serem. Mam do odgrzania.

– Zjem z przyjemnością...

– I się wykąpiesz. Wziąłeś jakieś rzeczy, tak jak kazałam?

– Mam wszystko w plecaku w aucie: lapa, ciuchy i mydło. Czyli – posłuchaj: „Krokus" podkrada kasę, „Ikar" oddaje, pewnie nawet te same banknoty... Drozd się nie łapie w tej gierce, tak bardzo go wystraszyli i skołowali. Podejmuje współpracę z rzekomym wywiadem niemieckim. Dopiero po tym trzymają go w szachu na całego. Są dwie lojalki...

– Całe raporty. – Majka wyciąga z lodówki owinięty w srebrną folię pieróg z kozim serem i suszonymi pomidorami.

– ...a świadek „Krokus", jak przyjdzie co do czego, potwierdzi zdradę. Od tego momentu mają na niego potężną dźwignię. Stracona saszetka z kasą to jeszcze nie koniec świata. Ale kiedy „Ikar" odsłania swoje prawdziwe oblicze... Drozd widzi siebie w więzieniu.

– Chyba już nie potrafił logicznie myśleć. Przecież wybory, Wałęsa i Mazowiecki. Co by mu zrobili w osiemdziesiątym dziewiątym roku? Sami się bali. Tak mnie uczyli na hiście.

– Polityka to jedna sprawa, szpiegostwo – zdrada główna. Na moje Drozd miał pełne prawo sądzić, że zgnije za kratami. Ty nie pamiętasz, ale faktycznie to mało kto wtedy wiedział, że komuna umiera na zawsze. Chyba jedyna Szczepkowska i może warszawskie salony. A nie wikary z Sosnowca. Zresztą w styczniu osiemdziesiątego dziewiątego jeszcze w najlepsze załatwili Suchowolca, a w lipcu Zycha... Ty wiesz w ogóle, dziecinko, o czym mówię?

– Nie za bardzo.

– Suchowolec był kumplem Popiełuszki... tego kojarzysz? Otruli go tlenkiem węgla.

– Popiełuszkę?

– Nie! Suchowolca. A Zycha zmaltretowali na śmierć. Dobra... Czyli mamy taką sytuację, że Drozd myśli sobie: „złapali mnie w sidła". Wtedy nadchodzi nagły ratunek. Towarzysz kuzyn Bruliański ze swoim zadaniem o światowym zasięgu. Wystarczy zrobić, co każe, i wszystkie dowody rzekomej zdrady ludowej ojczyzny pójdą do pieca. Akurat by poszły! No, ale Drozd... co ma począć? „Wujek" „Ikar" go podprowadza przed oblicze „kuzyna". Nazajutrz, czyli się spieszą. Kują żelazo, póki ptaszek w szoku.

– Dokładnie. Tylko nie mamy dowodów, że kuzyn to Brzydki Ryj.

– Wtedy jeszcze był ładnym ryjem. Słuchaj mnie, proszę... Drozd zostaje jego udarnikiem. W bombę nie wierzę... Równie dobrze Sowieci mogliby wysłać rakiety na Watykan. Ale coś być musiało. Bo były krzyki w bibliotece albo w kaplicy papieskiej... jakaś afera w obecności JPII... Nocą grzebałem w różnych szaleństwach w sieci. Jest sporo tekstów o tym, że niejaki Władlen Michajłow...

– Jak ma na imię?

– Miał. Już nie żyje. Władlen – „Wład" jak Władimir i „len" jak Lenin. Tatuś i mama musieli być wierzący w partię. A synek został ostatnim szefem GRU jeszcze w wersji sowieckiej. Piszą, że jego obsesją było dokończenie tego, co spierdolili w osiemdziesiątym pierwszym towarzysze z KGB i ten ich debil Ali Ağca. Władlen chciał udowodnić, że jednak można to zrobić. Jeśli Bruliański i jego udarnik robili misję dla Michajłowa i go zawiedli... to ja rozumiem, czemu Brzydki prysnął na Zachód. Miał się kogo bać. Władlen był podobno bezlitosny. Jeszcze jako dowódca dywizji w Azji Środkowej karał niegrzecznych topieniem w klatce. Z tego, co wspominają pielgrzymi u Holby i Słyszka, po incydencie w obecności papieża Drozd na krótko znikł, a później przyszedł do autokaru cały w gorączce. Mógł się z kimś spotkać po audiencji. Na przykład z Bruliańskim. I ustalili, że spierdalają... Muszę pogadać z „Krokusem". I z „Ikarem", jeżeli żyje.

– Musisz się wykąpać. Masz brudne ręce i włosy, a ja ci chcę podać jedzenie. Bądź grzecznym chłopcem. Ogarnij się.

Robert ogląda swe dłonie, jakby je widział po raz pierwszy. Faktycznie – szare. Kiedy się, chłopie, ostatni raz umyłeś? Jak ty przychodzisz do dziewczyny?!

Maja wsadza serowy pieróg do elektrycznego pieca. Z serwetką w ręce patrzy na swego gościa jak na ciastko, które jest całkiem

smaczne, ale niestety z wierzchu zakurzone.

– Małą łazienkę masz prosto i w lewo, dużą – u góry. Po schodach, potem dwa razy w prawo.

– Idę do samochodu po plecak.

* *

Czterdzieści minut później, gdy pieróg znika z talerza, pozostawiając po sobie tylko apetyczną woń, najedzony Pruski wyciąga się na wygodnym krześle. Kubek z herbatą opiera na brzuchu. Spływające z mokrych włosów krople padają na ciepłą podłogę kuchni. Za wielkimi oknami willi konsula zapada zmierzch. Maja pochylona nad butelką czerwonego wina uruchamia elektryczny korkociąg. Choć w kątach kuchni już wykluwają się kłębki ciemności, światła nie zapala.

– Powinniśmy dziś zrobić sobie wolne popołudnie. Poobiednia drzemka i te sprawy.

– Obawiam się, że mógłbym przy tobie nie zasnąć.

– To i dobrze, i źle. – Maja napełnia wysoki kieliszek. Siada na marmurowym blacie kredensu, klapek z jednej stopy spada na posadzkę. Apetycznie odsłonięte kolana i pomalowane perłowym lakierem paznokcie u stóp są teraz najjaśniejszymi akcentami w pomieszczeniu.

– Wydaje mi się, redaktorku, że nadszedł czas na to, co nieuniknione.

Dwoma palcami unosi rąbek kwietnej sukienki i zaraz go opuszcza ze śmiechem. Jej białe zęby to nowy, jasny akcent w naelektryzowanej przestrzeni.

– Zrób to jeszcze raz. – On splata palce na potylicy, odgina w tył łokcie tak mocno, że czuje trzeszczenie między łopatkami. – Proszę...

Kraniec pokrytego kwieciem materiału znów wędruje w górę, kolana Majki oddalają się jedno od drugiego, pachnące ciepło pomiędzy nimi wydaje się namacalne.

Nokia w kieszeni dżinsów zaczyna hałasować.

I'm on the highway to hell...

– Wyłącz to. Teraz ja ciebie proszę.

– „Krokus" oddzwania. – Robert spogląda na wyświetlony numer, a potem na nią. Jego spojrzenie jest bardzo, bardzo psie.

– No, pięknie... – Ona unosi kieliszek, wznosząc milczący toast za nagłe telefony, pojawiających się znienacka ojców i inne upokarzające przypadki.

On przykłada telefon do ucha, wstaje i znowu zaczyna spacerować w tę i z powrotem. Teraz trajektorię ma szerszą – kuchnia, hall, pokój kominkowy, podest przed schodami na piętro, znowu salon.

– Dziękuję, że zechciał pan oddzwonić. Nazywam się Pruski... dzwonię do pana w związku z pewną starą sprawą... nie, nie, absolutnie nie... chodzi o wspólnego znajomego... ja piszę książkę... sam pan zdecyduje, gdy się spotkamy... tak, mogę w zasadzie zawsze... bardzo mi przykro... mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy... jak pan sobie życzy... rozumiem... to jest kawałek drogi... skoro tak, to o której mógłbym najpóźniej? Taaaa... Zadzwonię do pana, gdy będę dojeżdżał.

Chowając telefon, staje tuż przed Mają, opiera dłonie na jej nagich udach i patrzy w oczy. Serwuje nagły pocałunek w usta – szybki jak przybicie stempla. To się nazywa przejęcie inicjatywy taktycznej.

– Załużnicki jedzie jutro na siódmą rano do szpitala na zabieg. Może się spotkać dzisiaj nie później niż o dziewiątej albo dopiero

po powrocie. Tylko że nie wie, kiedy wróci. Zabieg jest ciężki, a w jego wieku może być już ostatni...

– Nie powinieneś jechać w takim stanie. Zaśniesz za kółkiem.

– Jest jeszcze inny kłopot. – Robert opowiada krótką historię o utraconym prawie jazdy.

– Rozumiem, że mam cię zawieźć. Zawiozę.

Tym razem pocałunek trafia ją w czubek nosa.

– Mamy niecałe cztery godziny.

– Niedziela wieczór... powinno być luźno. Wszystkie słoiki ciągną teraz do Warszawy – a my odwrotnie.

– Tylko ja jestem tutaj słoikiem. Ty jesteś autochtonką. Mazowiecką aborygenką. Który samochód bierzemy?

Maja wybiera własny.

Dobrze się składa, bo on już nie ma pieniędzy na benzynę.

CZĘŚĆ II

NEPTUN

23.

Niedziela, 27 października, wieczór

W drodze do Urantówki Robert zasypia prawie od razu, jeszcze przed Mszczonowem. Hałasy i podskoki auta najwyraźniej mu nie przeszkadzają, mruczy tylko przez sen i kręci niewygodnie odchyloną głową. Po wjeździe na drogę szybkiego ruchu całkiem nieruchomieje. Maja ma przez chwilę wrażenie, że wiezie nieboszczyka. Dotyka lekko jego nadgarstka, chwilę czeka – puls jest.

Noc zdążyła się zrobić czarna, przy ziemi pełza mgła. Przez pierwsze dwadzieścia minut, do Rawy Mazowieckiej, jadą w ciszy. Dopiero po wyjeździe z miasteczka, gdy on zaczyna równo i coraz głośniej chrapać, ona wkłada do zmieniarki stary krążek Estrelli Morente. Po kwadransie stwierdza, że to za słodkie. Na nocną podróż lepszy będzie koncert Remedios Silvy Pisy. Biały kruk, który nigdy nie trafił do sprzedaży sklepowej, a który papa kupił córce na festynie w Sewilli.

O dziewiętnastej włącza wiadomości TOK FM. Sprzeczne prognozy synoptyków niepokoją: część twierdzi, że Polsce grozi powrót ulewnych deszczów, część mówi raczej o obniżeniu się

temperatury – niebezpiecznym zwłaszcza dla zakwaterowanych w kontenerach powodzian.

Odra wylała pod Słubicami. Fala na Wiśle mija Fordon. Bohaterska akcja dwóch czternastoletnich uczniów z gminy Nieszawka. Z pomocą przeciekającej łodzi uratowali staruszkę uwięzioną w altanie. Strażacy, którzy kilka godzin wcześniej ewakuowali ten teren, przegapili babinę. Istnieje podejrzenie, że obaj nastolatkowie wypłynęli początkowo na szaber, ale ostatecznie dostaną medale.

Ośmiometrowa głowa, która zwieńczy największy w świecie pomnik papieża Jana Pawła II, jest już w drodze z Konina do Warszawy.

„Kolos zostanie podniesiony na wysokość przeszło sześćdziesięciu metrów z pomocą specjalnie w tym celu skonstruowanego potrójnego dźwigu" – spikerka akcentuje wyrazy na pierwszą sylabę, by było dynamiczniej. Wiadomości sportowe. Na początek piłkarska ekstraklasa.

– Masz tu jakąś wodę? – Chropowaty głos obudzonego Roberta brzmi jak kasłanie silnika, który nie daje się uruchomić.

– Wzięłam sok z aronii. – Maja wyciąga kartonik ze schowka.

– Drozd mi się przyśnił. Z papieżem. Daleko jesteśmy?

– Za Częstochową.

– Szybka jesteś. Dzielna...

Przez chwilę milczą oboje, słuchając reklamy paramedykamentu doskonale wzmacniającego włosy i paznokcie, a potem dziennikarza, który odpytuje kolejno dwójkę specjalistów. Pierwsza przemawia antropolożka, która w związku ze zbliżającym się Świętem Zmarłych opowiada słuchaczom o kulcie młodego ciała jako wyrazie odwiecznego lęku przed nicością. Kobieta mówi ciekawe rzeczy, ale radiowy redaktor co rusz jej irytująco

przeszkadza, w dodatku nie potrafi sklecić nawet jednego zdania bez „eee", „aaaaa, ten-ten, aaa..." i tym podobnych przerywników, które mają sugerować jego głęboki namysł nad światem.

Po pani antropolog na antenę wchodzi psycholog dziecięcy. Dziennikarz wymienia jego rozliczne tytuły i funkcje tonem natchnionym, a jednocześnie solennym, i zapowiada rozmowę o niewygodnych pytaniach zadawanych przez dzieci – jak mówi – „w kontekście badań genderowych".

– Ten koleś mógłby wygłaszać kazania w Horebie. – Majka ścisza radio przyciskiem na kierownicy. Ciemna dwupasmówka przed nimi mimo niedzieli pełna jest jadących na południe. Daleko z przodu wymijają się niespiesznie dwa tiry. Toyota zwalnia do osiemdziesięciu na godzinę, do sześćdziesięciu, do czterdziestu pięciu...

– Powiedz mi, redaktorku... Jak to w ogóle jest mieć dzieci, co?

– Fantastycznie. Ciągłe wyrzuty sumienia. A na osłodę kłótnie, próby sił i złośliwe podchody. Ale ja się znam tylko na chłopcach. Z dziewczynkami zapewne jest różowo i słitaśnie.

– Jak byłam z Pawłem, myślałam, że będziemy... wiesz... zakładali rodzinę, ogarniali wspólne tematy... A teraz wylądowałam u papy w domu ze służbą. Bardzo wygodnie. Nie muszę się o nic starać. Może zostanę bezrobotną starą panną?

– Co ty wiesz o starości, dziecko...

Dłuższe milczenie. Robert opróżnia sok do połowy. Bardzo mu się chce palić, ale postanawia być asertywny względem nałogu tak długo, jak zdoła. Maja dodaje gazu. Tiry się wreszcie powyprzedzały.

– Paweł był moim trzecim w życiu facetem. Jego rodzice... chyba mi nigdy nie wybaczyli tego, co się stało. Powinnam w tym

tygodniu pojechać na jego grób do Iławy, ale nie chcę się z nimi spotykać. Za dużo wspomnień.

– A powiedz mi teraz, proszę... hmmm... kto był twoim pierwszym? – Zmiana tematu wychodzi nienaturalnie, ale Pruski nie chce rozmawiać o swoim dawnym studencie. Nie z Majką.

– Pierwszym chłopakiem czy pierwszym kochankiem?

– To drugie.

– W liceum, w drugiej klasie... taki maksymalnie zakręcony Kuba. Grał w koszykówkę, palił dużo marihuany. Wyższy od ciebie. Totalny słodziak. Kochał jak wariat, lecz dość krótko. Mamie się bardzo nie podobał. Wtedy rodzice byli jeszcze razem. Ty pewnie nie pamiętasz swej pierwszej dziewczyny, co?

– Dlaczego mam nie pamiętać?

– Tyle ich miałeś...

– Jak na swój wiek nie za wiele. Zresztą... większość za młodu. Moja pierwsza miłość miała niebieskie oczy, niebieską sukienkę i sterczące cycuszki. A na imię: Małgosia.

– Mówisz, jakby kiecka była częścią ciała.

– Bo za komuny miało się jedną na lato i drugą na zimę. Buty tak samo. Małgosia zimową sukienkę miała akurat brązową. I pantofelki w tym kolorze. Mówiło się na nie „kaczuszki".

– Matko Boska... jacy faceci są dziwni. Nie powiesz, czy była mądra, miła, dowcipna, tylko: jakie miała sukienki na sobie, cycuszki i pantofelki. Jesteś seksistą.

– No pewnie. A także nikotynistą, alkoholikiem i pracoholikiem. Mam lęk wysokości, lęk o przyszłość i liczne lęki bez powodu. Narkomanem nie zostałem tylko ze strachu przed wkłuwaniem się w żyłę, ale lekarstwami nie pogardzę. Zauważyłem u ciebie pudełko po rohypnolu w łazience. Bardzo go lubię, choć stilnox również ma u mnie renomę. Z nałogów myślę jeszcze o wejściu w hazard,

bo pilnie potrzeba mi szmalu. A, zapomniałem: jestem też agnostykiem i rozwodnikiem.

– Ale mieszkasz razem z Kamilą.

– Względy częściowo ekonomiczne. Gdybym miał przyjeżdżać do Torunia do dzieci i jeszcze wynajmować sobie tam hotel, tobym po prostu nie wyrobił kasowo.

– Kochasz ją trochę?

– Trochę. Ale jedziemy głównie na oksytocynie.

– Co to ma znaczyć?

– Przywiązanie. Udane dzieci, w każdym razie nie kalekie i bez wodogłowia, razem przeżyte lata... to łączy.

– Sypiasz z nią dalej?

– Incydentalnie. Robisz przesłuchanie?

– Dokładnie.

Po dłuższej ciszy ona zaczyna z westchnieniem:

– Dlaczego mówisz mi prawdę?

– A miałem skłamać? Że z nią nie sypiam?

– Wiesz, że mam na ciebie ochotę. Może by mi było łatwiej, gdybyś powiedział, że z żadną kobietą nic cię nie łączy, że jesteś emocjonalnie wolny, że bardzo mnie lubisz...

– Bardzo cię lubię. Ale emocjonalnie wolny...? – Robert śmieje się nieszczerze, a potem kaszle. – Emocjonalnie wolny to ja ostatni raz byłem, zanim mi ojciec pierwszy raz kablem wpierdolił. Czyli jakieś czterdzieści lat temu. Potem już byłem w niewolach wszelkich. W pętlach strachu, kłamstw, nałogów, długów, pracy, w szponach złych kobiet...

– Ooo, tak! Złych kobiet! Masz na myśli niedobrą „Żyletkę"?

– Uważaj, fotoradar! – Za niebieskim ostrzeżeniem obdarte z liści ciemne lasy po obu stronach drogi ustępują nieoświetlonym

zabudowaniom. Droga wspina się teraz łukiem na nasyp. – To chyba Siewierz. Powinno być gdzieś odbicie na autostradę.

* *

Urantówka nocą wygląda jak scenografia do filmu o powojennych szabrownikach. Jakby Niemcy uciekli stąd wczoraj po ciężkiej walce. W światłach toyoty na kolejnych zakrętach zniszczonej drogi przesuwają się porośnięte mchami kamienne ściany wielkich obór i stodół, pozapadane brunatne dachy o niegdyś skomplikowanych kształtach, wyszczerbione ceglane mury osłaniające ciemne podwórza. Między domami pordzewiałe filary latarni, zrujnowane spichrze, długie budynki gospodarcze z powyginanymi kratami w tunelach okien.

Były senator Horst-Załużnicki tłumaczy przez telefon, gdzie skręcić. Musi powtarzać wskazówki kilka razy, bo zasięg słaby. Telefon trzeszczy, ale nawet przez szumy i hałas opon na kocich łbach Pruski wyczuwa narastającą w głosie rozmówcy złość. Jakby żałował, że pozwolił się dzisiaj odwiedzić. Gdy w końcu stają przed właściwym murem, jest minuta po dwudziestej pierwszej.

Bramę na podwórze – drewnianą, porośniętą srebrzystym grzybem i oflankowaną polnymi głazami – zwieńcza ceglany łuk. Stare domostwo połączone jest bokiem z kamienną stajnią. Wygląda na opustoszałe. Drewniana furta w bramie otwiera się do środka, skrzypiąc w wiejskiej ciszy. W oknie sąsiedniego domu ktoś zapala światło i zaraz je gasi. U senatora zaraz za niskim murem chwasty po kolana. Z miauknięciem przebiega ciemno umaszczony kot. Śmierdzi spalenizną. Mgła zmieszana z dymem. Przydałaby się latarka.

W głębi, w ciemności, błyszczy ognisko – źródło smrodu, który z każdym krokiem coraz mocniej szczypie ich oboje w oczy i nosy.

Robert idzie pierwszy, Maja dwa metry za nim. W kilkumetrowej wnęce między stajnią i kolejnym budynkiem z kamienia pochylony nad niewielkim płomieniem siedzi na skrzyni stary człowiek w kożuchu z futrzanym kołnierzem. Podsyca płomienie śmieciami. Na stercie za nim piętrzą się w rozkołysanym świetle skłębione szmaty, pogniecione plastiki, odpadki... Siwy dym rzeźbi spirale. W promieniu kilku metrów od ognia nie ma mgły. I może przez to cała ta absurdalna scena wydaje się wyraźniejsza, niż trzeba. Jak podretuszowana czarno-biała fotografia.

Gospodarz nie wstaje na powitanie – krótko patrzy w ich stronę, potem w żar. Jest bujnie i niechlujnie zarośnięty na policzkach, podłużną głowę chroni krzywo zatknięta narciarska czapka, szkła na nosie odbijają różnokolorowe ognie. Jeżeli coś w tej postaci przypomina dawnego erudytę i polityka, to tylko te okulary. Oto bohater mrocznej historii PRL, uczestnik wojny szpiegów, postać z politycznego horroru i medialnego teatru, teraz objawiona we własnej osobie.

Pruski wyciąga prawicę na powitanie – i ręka zawisa w powietrzu.

– Ledwo zdążyliśmy, panie senatorze. – Cofa dłoń, by przeczesać włosy. – Mimo wszystko dobry wieczór, choć czuję, że pan senator się specjalnie nie cieszy.

– Bo nie mam z czego. – Głos Horsta-Załużnickiego jest dużo słabszy niż na nagraniu, na którym tak gromko perorował o koncepcjach rozwoju państwa i nacjonalizmie.

– Jest ze mną koleżanka, z którą pracuję. Przywiozła mnie do pana, bo sam straciłem niedawno prawo jazdy...

Jeżeli ta wiadomość miała zainicjować *small talk*, to się nie udało. Zapada dłuższa cisza przerywana sykiem i bulgotem topiącego się w ogniu gumowego przedmiotu, który mógł być

kiedyś wycieraczką. Dym szczypie w oczy mocniej niż dotychczas. Maja cofa się kilka kroków na granicę mgły. Robert zapala papierosa, wyciągając jednocześnie paczkę pall malli w stronę siedzącego.

– Nie palę. I nie piję. Dlatego raczej nie doczekacie się państwo poczęstunku.

– Nic nie szkodzi, panie senatorze. Ja też nie piję i bardzo się cieszę, mogąc z kimś porozmawiać bez patrzenia na alkohol. Nie chcemy zajmować panu zbyt wiele czasu.

Kolejna chwila milczenia.

– Sąsiedzi się nie złoszczą na takie ognisko?

– Nie utrzymuję tu wielu kontaktów. Jak panu zapewne wiadomo, byłem zmuszony usunąć się ostatnio w cień i tak czasowo musi pozostać. Pan jest dziennikarzem?

– Nie całkiem... Piszemy książkę, ja i koleżanka, o księdzu prezesie Droździe.

Dłuższa cisza.

– Nie jestem zwolennikiem ani tego człowieka, ani jego telewizji.

– Domyślam się. Interesują nas czasy wcześniejsze. Rok osiemdziesiąty dziewiąty. Głównie październik. Wasze spotkanie w Puntigam pod Grazem. Ksiądz Drozd, pan, panie senatorze... i Medard Krol.

Horst-Załużnicki wrzuca do ognia związane gumką, spłaszczone kartony po mleku.

– Nie powinienem był się godzić na pana wizytę. Absolutnie.

– Nic panu z naszej strony nie grozi, senatorze. Pańską rolę w „Transformatorze" i tak opisał już Pafnucy Breinert...

– ...który w sposób całkowicie nielegalny wykorzystał materiały z procesu pomiędzy prywatnymi osobami toczącego się z wyłączeniem jawności. – „Krokus" podnosi głos i głowę. Wokół

okularów, na czole i odsłoniętych skroniach skórę ma pomarszczoną, do tego chorobliwie bladą, co widać mimo ciemności – a może dzięki niej. Z dawnego autorytetu został wrak. Robert przypala jednego pall malla od drugiego, niedopałek wrzuca w płomienie. Ognisko właśnie przygasa.

– Panie senatorze, ja nie notuję, nie nagrywam, chcę tylko wiedzieć, co stało się po Puntigam. Medard Krol, nielegał o pseudonimie „Ikar". Komu on Drozda sprzedał? Sowietom? Co księdzu Drozdowi zlecono w Watykanie? Czy panu coś mówi nazwisko Bruliański? Zetknął się pan kiedyś z określeniem „udarnik"?

– Skąd pan o tym wszystkim wie? – Horst-Załużnicki sięga za siebie, nie podnosząc wzroku, i teraz w ogniu ląduje zbrylona, tłusta szmata. Płomień zanika, żeby po chwili strzelić wzwyż cytrynowożółtym, niezdrowym błyskiem. Oświetlony gospodarz chowa głowę w ramionach, patrzy na swoje sfatygowane sportowe buty, które w lepszych, warszawskich czasach mogły mu służyć do gimnastyki.

– Część akt „Ikara", jak pan wie doskonale, jest odtajniona od czasu sprawy ojca Rejkego. – Robert używa tonu bardziej odpowiedniego do rozmów z nastolatkami niż ze starcami. – A część także z powodu pańskiej lustracji. Są teksty doktora Breinerta i artykuły w „Polskiej". Wystarczy połączyć te publikacje...

– ...a nie zaciekawiło pana, że Breinert i ten cyngiel Migwa tyle uwagi poświęcili mej, jak to nazywali, prowokacyjnej robocie, a jakoś żaden nie zająknął się absolutnie na temat sytuacji, w której wydział czternasty objął mnie zainteresowaniem? Może to jest ciekawsze?

Robert tylko chrząka – i milczy. Maja stoi bez ruchu ze ściśniętymi udami i rękami skrzyżowanymi na piersi. Choć

założyła ciepłą bluzkę, owczy sweter, kamizelkę i trencz, który ledwo się na tym wszystkim dopiął, jest jej zimno. Jak to możliwe, że redaktorek wciąż chodzi w tej samej wiatrówce i nie narzeka?

Horst-Załużnicki zaczyna opowiadać o „ciekawszym". Gdy momentami przerywa, słychać trzaski i syczące bulgoty z ogniska. Historia jest zarazem i straszna, i banalna. Jeszcze w czasach KIK-owskich, będąc żonaty, spotykał się z młodą mężatką. Zazwyczaj u niej w mieszkaniu. On był bezrefleksyjnie zakochany, ona okazała się agentką SB. Na imię miała Antonina. Romans z uznanym reporterem, a jednocześnie wschodzącą gwiazdą dysydenckiego salonu prawdopodobnie został jej zlecony. Nie zobaczyli się więcej od dnia, gdy w mieszkaniu kochanki zamiast oczekiwanej Antosi przywitał Załużnickiego smutny pan.

– Możecie sobie to wyobrazić – mówiąc te słowa, „Krokus" ścisza głos na tyle, że Majka musi podejść bliżej, by słyszeć. Na szczęście teraz w ognisku płoną drewniane drzazgi, dzięki czemu tak strasznie nie cuchnie. – Siedziałem na łóżku w majtkach, a ten mężczyzna stał w garniturze i płaszczu. Otworzył sobie drzwi kluczami Anteczki i machał mi nimi przed nosem. Zapytał, całkowicie poważnie, czy ma zadzwonić po jej męża. Powinienem był wtedy powiedzieć: „Niech pan dzwoni". Ale się zląkłem skandalu. Czy pan i pani to rozumiecie? – Poszarzała twarz unosi się w górę, szkła okularów błyskają.

– Rozumiem doskonale.

– Ja też – Maja odzywa się po raz pierwszy od przyjścia. A były agent „Krokus" po raz pierwszy na nią patrzy.

– Niech pani bliżej podejdzie. Nie widzę... Tak, dobrze. Pani jest bardzo młoda. I absolutnie piękna.

– Dziękuję.

– Chcecie mi dopiec, czyż nie?

– Kazali panu okraść wielebnego Drozda... – Robert czuje, że to jest moment, w którym należy przycisnąć. Prawdę powiedziawszy to, że stary się tak rozgadał, jest niewytłumaczalnym wręcz cudem. Kujmy żelazo...

– Kazali panu senatorowi okraść księdza, żeby go wkręcić, tak jak i pana wcześniej wkręcili.

– Schowane pieniądze – schowane na krótko – miały zostać zwrócone. I zostały. O tym, że żadnej kradzieży faktycznie nie będzie, wiedziałem od początku. Ale nie miałem, wierzcie, absolutnie pojęcia o dalszych celach tej operacji, poza tym, ma się rozumieć, że chodzi o werbunek. I mam być jego świadkiem.

Wiesz... wiesz doskonale, stary kapusiu, że nie werbunek był celem.

– Widział pan kiedyś tego człowieka? – Pruski wyciąga z kieszeni pomięty wydruk obrazka z Bruliańskim i brzydkimi babami w zbyt szerokich marynarkach. Oświetla papier ekranem komórki. Gospodarz jedną ręką przytrzymuje obrazek tuż przed nosem, drugą majstruje przy okularach.

– To nie jest Medard Krol.

– To jest Bruliański. Kuzyn z bratniej służby. Tak, zdaje się, „Ikar" go wtedy określał.

– Drogi panie... ja nie pamiętam już, jak kto kogo określał. I nie widziałem tego... mężczyzny. Wtedy w Austrii moja rola się zakończyła. Już nigdy później nic nie zrobiłem... niczego dla nich... już absolutnie.

– A Drozd? Co miał zrobić w Watykanie?

– Nie wiem. To może wiedzieć tylko Królikiewicz. Krol.

– Kiedy pan go ostatni raz widział?

– Dziesięć lat temu.

– Już jako senator?

– Tak.

– Po co się spotykaliście?

Horst-Załużnicki nie odpowiada. Kolejny raz dorzuca do ognia. Tym razem jest to zamknięte, wyraźnie nadgniłe pudło po butach. Kiedy pokrywa zaczyna płonąć, czerniejący karton odsłania zawartość. Pootwierane listy w kopertach. Wymiętolone i zatłuszczone tak, jak gdyby ktoś je wciąż na nowo wyjmował, czytał i chował z powrotem.

Ciekawe rzeczy idą tu z dymem.

– Po co się spotykaliście?

Stary wciąż milczy. Mijają dwie minuty. W ogniu ląduje kolejny łachman. Kupa badziewia za plecami byłego senatora jest już w większej części spalona. Jeszcze trochę i będzie posprzątane. Można ze spokojem jechać rano do szpitala. Może on myśli, że stamtąd nie wróci? Może dlatego jest taki szczery?

Maja nie wytrzymuje ciężkiego milczenia, ciężkiego smrodu albo po prostu zimna. Odwraca się bez słowa i idzie do samochodu. Robert też marznie. Coś swędzi go w krtani.

– Po co się spotykaliście?

– Królikiewicz, gdy wrócił do Polski, zajął się interesami na wielką skalę. Kupował duże ilości gruntów na Warmii. Inwestował. Często potrzebował decyzji o odrolnieniu na szczeblu centralnym. To trwało. Zatrzymywał się w Victorii, a potem w Westinie. Odbywaliśmy absolutnie niegroźne spotkania towarzyskie. Często w większym gronie. Jeśli pan sądzi, że on przyjeżdżał z Olsztyna, żeby mnie szantażować dawnymi sprawami, to się pan grubo myli.

– Nadal mieszka w Olsztynie? Jak się teraz nazywa?

– Zachował niemieckie imię Medard, ale nazwisko polecił sobie przywrócić polskie. Sądziłem, że o tym wiecie.

– Okej. Mam uwierzyć, że gdy się spotykaliście dziesięć lat temu w Warszawie, to nigdy nie wróciliście do osiemdziesiątego dziewiątego? Do Drozda? Przecież już była Telewizja Horeb! Ksiądz prezes na ustach wszystkich. Ciągłe afery, nieformalny klub Drozda w Sejmie... W Senacie też była „frakcja Białołęka". Pan ich widywał na co dzień.

– Widywałem.

– I na tych absolutnie niegroźnych spotkaniach z Medardem nic sobie nie opowiadaliście? O tym, jak to wielebny ksiądz prezes, który tak się kiedyś zamotał, moralizuje i ewangelizuje dziś naród? Jak wam kiedyś donosy przywoził z Watykanu, a teraz jest świętszy od papieża? Panie senatorze, ja mam grubo ponad czterdzieści lat i też nieraz spotykam się niegroźnie ze starymi znajomymi. I nie ma siły, żeby nie oplotkować kogoś, kto robi karierę. Kogoś takiego jak wielebny.

– Raz, może dwa razy wróciliśmy do tamtego okresu.

– I nie zapytał pan Krola: „Stary, powiedz mi teraz szczerze, po co wam wtedy było werbować tego księdza?"?

Pół minuty milczenia.

– Zapytałem.

– I co pan usłyszał?

– Że posłali go na Neptuna.

– Co takiego?

– Tak odpowiedział Królikiewicz na pytanie, które pan wcześniej zadał.

– Posłali na Neptuna? Księdza Drozda?

– Tak.

– Na planetę Neptun czy co to ma znaczyć?

– Może pan sobie interpretować te słowa absolutnie, jak zechce. Osobiście nie przywiązywałbym do nich wielkiej wagi... Choć

z drugiej strony, to dlatego tak zapamiętałem ów passus, że nie był całkiem... Medard to nie jest człowiek, który by się wyrażał od rzeczy. O czym może się pan naocznie przekonać w Olsztynie. Będzie pan z całą pewnością zaskoczony.

– Czym?

– Drogi panie... – Błysk okularów. Do ognia wędruje teraz pęknięte plastikowe wiadro bez ucha. – Ja przecież mam pełną świadomość, jaki obraz prezentuję obecnie. Przyjechał pan z Warszawy w towarzystwie młodej damy i widzi przed sobą dziada w łachmanach palącego nieczystości w opuszczonej zagrodzie. Absolutnie nie mam zamiaru opowiadać panu, jak wyglądała moja droga ze stołecznych, jak to się powiada, salonów, do tego miejsca. Departament pierwszy i wydział czternasty zniszczyły mi życie. Media obsiadły mnie po kontrolowanym przecieku, którego by nie było, gdyby nie akcja ujawniania ojca Rejkego, świeć Panie nad jego duszą. A skoro się zajęli Rejkem, to także Królikiewiczem, no i mnie również się oberwało. Występowaliśmy przecież w tych samych teczkach. Tyle że Królikiewicz i ksiądz prezes, w odróżnieniu od mej skromnej osoby, mają się doskonale pod każdym względem.

– Bo nie musieli składać oświadczeń. Panu nikt nie kazał być senatorem, skoro już sobie szczerze tak rozmawiamy.

– Zrobił się pan arogancki.

– Tylko prawdomówny. – Robert już wie, że powiedział dwa zdania za dużo. To teraz rzut na taśmę: – Niech pan mi powie... czy ten Neptun...

– Absolutnie niczego już panu nie powiem. – Stary unosi się ze skrzynki, zagarnia do ognia pozostałe śmieci, niesforne kawałki popycha nogą, na koniec kładzie na wszystkim swoje dotychczasowe siedzisko. Po dziesięciu sekundach ogień strzela

do góry tak wysoko, że muszą to widzieć wszyscy, którzy jeszcze w Urantówce nie zasnęli. – Żegnam pana. Ostrzegam, że do domu nie wpuszczę.

24.

Noc z niedzieli na poniedziałek i przedpołudnie 28 października. 20 dni przed tragedią w Białołęce

Przydrożny motel dwadzieścia kilometrów od Opola wygląda równie przygnębiająco jak obejście Horsta-Załużnickiego, ale Maja nie chce jechać dalej, by szukać lepszego noclegu. Nie chce też oddać kierownicy facetowi bez prawa jazdy. Robert wysiada z toyoty na pusty placyk pokryty betonową kostką i gnijącymi liśćmi.

Niski i chudy typek, lekko garbaty, w trudnym do określenia wieku, bierze od Majki dwie setki z góry – jeszcze na progu. Potem prowadzi wąskim korytarzem, długo mocuje się z kluczem, gdy w końcu przekręca zamek drzwi, obiecuje, że rano „przyjdzie taka jedna, co zrobi jajecznicę".

Poza dwoma wąskimi łóżkami w cenie pokoju jest jeszcze tania herbata w torebkach, kawa „trzy w jednym", elektryczny czajnik i dwie butelki wody mineralnej w plastiku.

– Drugi klucz w kółku jest od tamtych drzwi wejściowych, jakby co było. Ja o dwunastej wychodzę – garbaty stoi w wejściu do małego pokoju, jak gdyby czekał na napiwek. Nie dostaje go, więc tylko rzuca klucze na bliższe łóżko.

– Dobranoc panu – Majka gestem dłoni wygania typa na korytarz. Zamyka drzwi. Dalej wszystko toczy się bardzo szybko. Na buraczkową wykładzinę spada najpierw jej obficie wypchana

torba listonoszka, ręcznie szyte miękkie buty i krótkie skarpetki, za nimi jasny trencz, perłowa kamizelka, ciepły sweter i elastyczna bluzka. A spod całego tego sportowo-turystycznego zestawu eleganckiej, ale praktycznej podróżniczki wyłania się coś w całkiem innym nastroju. Robert niespecjalnie zna się na bieliźnie, ale od razu pojmuje, że lila-wrzosowy zestaw koronek raczej ozdabiających niż zakrywających alabastrowe piersi i biodra to coś, czego nie kupuje się w Warszawie. Piegowata nimfa ma wesołe błyski w oczach oraz coś srebrzystego w pępku. Podchodzi, by rozpiąć mu spodnie.

Potem oboje znajdują się kolejno: na podłodze, na ścianie i znów na podłodze. On na siedząco, z nogami uwięzionymi w opuszczonych spodniach i tyłkiem rozpłaszczonym na szorstkiej wykładzinie. Ona na górze, w kucki, na przemian wznosi się i opada. Rytmicznie, silnie, bez zmęczenia. Jest ciasna, ciepła i ofensywna. Damski sportowy seks – tak można by to nazwać. Jej energia wydaje się nie mieć końca, biodra, pośladki, uda – wszystko pracuje coraz szybciej i mocniej. On już nie myśli, nic mu się nie chce, nie widzi zażółconego talerza lampy na suficie ani białych piersi wyskakujących z liliowych koronek. Ona śmieje się, kiedy kończą, a potem – krótko jęczy. On leży niezdolny do ruchu. I nie odpowiada, gdy jego kochanka, wstając z podłogi, mówi wesoło:

– Jeżeli myślisz, redaktorku, że to jest koniec, muszę cię maksymalnie rozczarować. To dopiero początek.

* *

Rano Roberta bolą: penis, gardło i zatrute ogniskowym dymem oczy. Maja stoi jeszcze pod prysznicem, gdy on, ubrany do wyjazdu, z jej alienware'em pod pachą i swoim plecakiem na grzbiecie, odnajduje motelową kuchnio-jadalnię. Zimno jak w psiarni. Siada przy plastikowym stole, wklepuje podane przez Majkę hasła,

by połączyć się z siecią 3G, i sprawdza rozkład jazdy pociągów kursujących na trasie Wrocław – Olsztyn. Strona PKP otwiera się długo.

Wszystko w tej wychłodzonej jadalni – od krzeseł, po solniczki, kraciastą ceratę i sztuczne kwiaty na ścianach – pochodzi z Chin. Tylko pani od jajecznicy – tęga, milcząca i o męskiej urodzie – jest zdecydowanie tutejsza. Kiedy stawia przed Pruskim śniadanie, chucha mu w nos czymś takim, że klient musi odwrócić się do okna. Na placu – żadnego auta, tylko toyota Majki. Dalej – na szosie – dudnią ciężarówki.

Kawa jest niedobra, babochłop nie ma w lodówce mleka, tylko chemiczne śmietanki w kapsułkach. Jajecznica ocieka tłuszczem, jest obficie naszpikowana cebulą. Ale to nic nie szkodzi, ponieważ surmy anielskie grają właśnie nad głową redaktora trzykrotne „Hosanna!" i sześciokrotne „Alleluja!". Mówiąc prościej: nokia właśnie zawiadamia swego właściciela o „przychodzącym przelewie". Kwota: 12 750 zł. Na rachunek ...879605. Dostępne saldo: 11 957,50 zł.

A więc był już debet. To się nazywa ratunek w ostatniej chwili.

Żując żółtobrązowe gluty z czarnymi skwarkami, wyjmuje z portfela skrawek gazety z numerem konta swej riserczerki i przelewa dziesięć tysięcy. Stara się to zrobić, zanim nadejdą wątpliwości. Kolejne tysiąc pięćset wysyła Kamili.

Zostało ci, chłopie, cztery i pół stówki plus cztery ostatnie pall malle.

Dasz radę, będziesz oszczędzał.

Wchodząca do jadalni panna z mokrą głową wygląda, jak gdyby spała dziesięć godzin, a nie trzy. Zapach jej kosmetyków zwycięża woń pozostałą po kucharce.

– Przelałem ci właśnie dychę, moja droga. – On jest wyraźnie dumny z siebie. Wstaje i odsuwa jej krzesło – Twoje usługi towarzyskie były pierwszej jakości. Pozwoliłem je sobie wycenić na dwa i pół tysiąca za każdy set.

– O ty świnio! – Ona robi naburmuszoną minę, trąca go palcem w środek czoła, po czym wybucha śmiechem. Siadając, znów poważnieje. – Nie musiałeś tego robić.

– Musiałem. Lecz nie wykluczam, że wkrótce poproszę cię o pożyczkę. Właściwie wydałem już wszystko z obu transz za robotę, której nie mam zrobionej nawet w połowie.

– Tym bardziej nie musiałeś mi płacić.

– Musiałem. Bo teraz dostaniesz najtrudniejsze zadanie.

Maja kładzie dłonie na ceracie w kratę. Kobieta o wdzięku boksera w milczeniu podaje drugą jajecznicę z kawą. Jedno i drugie już zimne.

– Wczoraj, kiedy poszłaś się ogrzać do samochodu, Horst mi powiedział, że Królikiewicz w osiemdziesiątym dziewiątym posłał Drozda na Neptuna.

– Gdzie?

– Na Neptuna. Nie mówiłem ci tego, bo najpierw byłem pewien, że albo mu się coś pokiełbasiło w dyni od wdychania płonących plastików, albo użył przenośni, w sensie „wypierdolili go w kosmos". Ale teraz już myślę inaczej.

– A to czemu?

– Bardzo dziwaczny przypadek z tym Neptunem... – Wyciąga pall malla i wkłada do ust, nie zapalając. – Pamiętasz, co ci mówiłem o łotewskich partyzantach?

– Dokładnie.

– Otóż był jeszcze jeden sposób, który kagiebiści opatentowali specjalnie dla udarników. Środek nasenny. Agent przychodził

do bunkra albo na miejsce zbiórki w lesie. Częstował partyzantów wódką, oni ją pili. Szklankami. Ale Sowiet dolewał wcześniej do gorzały specyfik nasenny. Kiedy się wszyscy pospali, szedł po milicję. Lub po bezpiekę. Przyjeżdżali i mordowali ich śpiących. Dusili. A tych, których chcieli aresztować, po prostu ładowali na furmanki, jak worki. I ludzie budzili się w katowniach.

– Skąd ty to wiesz?

– Jak mogę wiedzieć więcej niż ty? – Pruski śmieje się krótko i odkasłuje. Przeciera szczecinę na brodzie. – Jest taka książka o księdzu agencie Jouzasie Bulkasie, mówiłem ci o nim. I o jego akcjach.

– Mina przeciwczołgowa i trzydzieści trupów.

– Tak... Po prawie czterdziestu latach prokuratorzy namierzyli Bulkasa już w wolnej Łotwie. Prowadził diecezjalną poradnię antyalkoholową, był ważną personą w ryskiej kurii, jeszcze się nieźle trzymał, sukinsyn.

– I co to wszystko...?

– Dopiero dziś przy przebudzeniu sobie przypomniałem, jak nazywali ten specyfik.

– „Neptun”?

– Tak.

– I Drozd miałby dolewać papieżowi do wódki środek uspokajający? – W akwamarynowych oczach Majki skaczą wesołe iskierki. Pytanie zadała szeptem. Pani od jajecznicy kręci się za niedomkniętymi drzwiami kuchni i nie należy jej niepokoić takimi pomysłami.

Robert odsłania zęby w krzywym uśmiechu.

– Jeżeli Brochwicz-Bruliański organizował w Watykanie jakieś zadanie o światowym formacie – czyli załóżmy, że otrucie – to

popatrz sama... On był sowieckim agentem – prowokatorem. Przed wojną i po wojnie. Może sam robił kiedyś za udarnika?

– Afganistan i twierdza Karahadż.

– Zgadza się. Najpierw truł łotewskich partyzantów. Potem afgańskich komendantów. A w osiemdziesiątym dziewiątym postanowił sięgnąć po dobre, wypróbowane metody, żeby rękami polskiego agenta wykonać zadanie zlecone przez Władlena Michajłowa. Musisz mi sprawdzić jedną rzecz na szybko, a drugą na spokojnie. Pierwsza to „Ikar". Mieczysław-Medard Królikiewicz-Krol. Adres w Olsztynie, telefon, wszystko...

– Druga?

– Historia specyfiku Neptun. Kto to wymyślił, gdzie stosowano i w jakich latach. To będzie gorsze do zrobienia, ale skoro już ci zapłaciłem...

– Myślałam, że zapłaciłeś za seks.

– Dałaś się nabrać. Za seks to ty mi powinnaś płacić.

Maja ze śmiechu o mało nie dławi się kawą.

Gdy jednak Robert przedstawia jej plany na najbliższe dwa dni, poważnieje i początkowo oponuje. Nie podoba jej się pomysł wiezienia go na dworzec we Wrocławiu i samotnego powrotu do Warszawy. Wolałaby już wspólną podróż w kierunku Olsztyna. Ostatecznie przeważa jego argument: „chcę się zatrzymać w Toruniu, żeby zobaczyć dzieci". Imię matki tych dzieci ani razu nie pada, ale atmosfera na autostradzie do Wrocławia i tak się ochładza. Zmęczenie też robi swoje. Przez większość czasu w milczeniu słuchają radia. Temat godzinnej rozmowy w TOK FM – najwyższy papież świata i jego niepoprawny politycznie budowniczy ksiądz Drozd. Dwójka lewicowych dziennikarzy i niejaki ksiądz Benedykt Kloc, dyżurny krytyk wielebnego, wspólnie krytykują antymodernizacyjną linię programową Telewizji Horeb

i ksenofobiczne wyskoki jej prelegentów. Brak społecznej kontroli nad finansami fundacji Angelus Dei napełnia rozmówców niepokojem i troską. Ostatnią aferę z „Żyletką" Koon ksiądz Kloc puentuje stwierdzeniem: „Kapłan też człowiek, ale jeśli ktoś, jak prezes Franciszek, głosi skrajnie rygorystyczne poglądy, to możemy od niego oczekiwać więcej". Budowę monumentu dyskutanci obśmiewają już niemal jawnie. Jeden z dziennikarzy twierdzi, że wyrzeźbiony Jan Paweł II podobny jest do Jerzego Połomskiego, drugiemu kamienne oblicze kojarzy się raczej z twarzą kulturysty Mariusza Pudzianowskiego. Ksiądz Kloc przez grzeczność nie zabiera głosu w tej kwestii.

– To jest niesamowite, że można pieprzyć o Drozdzie przez godzinę albo i dłużej, nie wiedząc o nim nic. – Tuż przed zjazdem na Wrocław Maja wymija zepsutą ciężarówkę otoczoną biało-czerwonymi słupkami. Teraz droga się rozwidla – w prawo do centrum miasta, prosto – na Kudowę i Wałbrzych.

– A my wiemy już wszystko prócz najważniejszego. – Robert przeciera dłonią mokrą boczną szybę. Zwilża gorące czoło zebranymi ze szkła kropelkami. Poci się z niewyspania, a jeszcze bardziej z powodu przeładowania informacjami, które trzeba czym prędzej wlać do tekstu, nim się to wszystko pokićka.

Wrocław wita ich trzykilometrowym korkiem na alei Karkonoskiej. Jadą pięć kilometrów na godzinę. Jest czas, by pooglądać nowe biurowce, siedziby firm, salony samochodowe i zadbane skwery z klombami pełnymi kwitnących wciąż kwiatów. Majka próbuje zmieniać pasy, by nadrobić chociaż sekundy, on stara się nie przeklinać i nie patrzeć na zegarek częściej niż co trzy oddechy. Gdy w żółwim tempie przejeżdżają pod wiaduktami nasypu kolejowego, jest jeszcze pięć minut do odjazdu pociągu. Po skręcie suną zderzak w zderzak za półciężarówką rozwożącą

wędliny. Uśmiechnięta świńska głowa wymalowana na tylnych drzwiach auta spogląda na nich wielkimi oczami w stylu Myszki Miki. Furgon staje. Sprawia wrażenie, jakby miał nie drgnąć już nigdy. Zasłania cały widok z przodu. Z lewej tramwaj, z prawej – skatowany mur słony od milionów porcji wylanego nań psiego moczu. Do pociągu zostały niecałe dwie minuty. Już tylko jedna.

– Polecę z buta. – Robert sięga po leżący na tylnym siedzeniu plecak, całuje Maję w policzek, otwiera drzwi, całuje jeszcze raz – w usta – i wysiada. Gdy zziajany wskakuje po schodach na pierwszy peron, skład relacji Wrocław – Poznań – Toruń – Olsztyn właśnie rozpędza się pod szklanym dachem.

Dawaj, chłopie, dawaj!

W płucach płoną stare opony i gumowe wycieraczki. Przez zasrane fajki przy każdym większym wysiłku układ oddechowy wysiada jako pierwszy. Ale mięśnie nóg jeszcze działają – i niosą. Dwa metry do ostatniego wagonu, pół metra... Gdy chwyta klamkę, pociąg zaczyna go wlec, omal nie wyrywając ramienia ze stawu. Jedno szarpnięcie, więcej nie da rady. Albo się drzwi otworzą, albo puszczamy.

Otworzyły się. Skok na brunatną kratownicę schodów, plecak wrzucony do środka wagonu, skręt ciała, dobrze! Gdy zatrzaskuje za sobą wejście, pociąg zaczyna gwałtownie hamować, ale nie staje, tylko zwalnia. Pewnie konduktor zauważył skoczka i dał znać maszyniście. Zaraz ktoś przyleci trzepać wargami. Trzeba się schować w ubikacji. Jeszcze w dodatku, człowieku, biletu nie masz...

Zamknięty w zatłuszczonej toalecie długo kaszle oparty o pękniętą umywalkę. Gdy ktoś się zaczyna dobijać do drzwi, tylko zamyka oczy. Dudnienie z zewnątrz nakłada się na tętent pod sklepieniem czaszki. Dwa piwa załatwiłyby wszystkie bóle. Ale to raczej nie sprzedawca browarów tutaj łomoce.

25.

Poniedziałek 28 października, popołudnie, wieczór i noc

Między Inowrocławiem a Toruniem pociąg staje w polu i tak tkwi. Starszy wiekiem współpasażer z przedziału twierdzi, że to z powodu remontu trakcji i że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Na tej trasie tak jest. Pruski próbuje się nie denerwować. Wraca do klawiatury della.

Przerobiony z dawnego wywiadu i uzupełniony po wizycie w Pionkach życiorys „Żyletki" skrócił już o połowę. Opis ustawionego przez „Fakt" spotkania na Fuerteventurze zwieńczył wyjaśnieniem, po co wielebny budowniczy pomnika trafił na wulkaniczne wyspy Afryki. Podróż księdza do posiadłości Ferdynada Topaza otwiera teraz drugą część tekstu: opowieść o nich obu. Pisze o przelewach na budowę pomnika i pieniądzach wożonych w walizce. Dalej zaczyna się retrospekcja: scena, w której obaj panowie spotykają się na raucie madryckiej ambasady RP.

„Faktycznie znali się już wcześniej. Skąd? By o tym opowiedzieć, trzeba przenieść się do lat trzydziestych XX wieku i do miejscowości Turczyn koło Łucka leżącej obecnie na Ukrainie, a ówcześnie w województwie wołyńskim. W liczącym dwa tysiące dusz miasteczku człowiek nazywający się dziś Ferdynand Topaz przyszedł na świat jako Eugeniusz Brochwicz. Był synem kryminalisty o pseudonimie »Krosta« i usługującej mu ułomnej wieśniaczki zwanej »Kulawą Gienią«, po której otrzymał imię.

Ze względu na jasne włosy Gienek Brochwicz nazywany był »Siwym«. Tak mówili na niego koledzy ze szkoły powszechnej i przemytnicy, z którymi zapoznał go ojciec. Znający go w tamtym

czasie Marceli Abdugarowicz, dzisiaj mieszkaniec Krośniewic w województwie łódzkim, wspomina...".

Pociąg rusza z przeciągłym piskiem. Robert podnosi głowę, by stwierdzić, że w trakcie postoju za oknem zrobiło się ciemno. Zapalona przez współpasażera jarzeniówka brzęczy jak elektryczny komar. A jegomość akurat wyciąga z kieszeni wiszącego płaszcza małą butelkę wódki. Małpka, szczeniak, ćwiarteczka, bombka... jest sporo sympatycznych określeń tego wynalazku.

– Pan, widzę, zapracowany, to nie przeszkadzałem... ale może jednak... małego?

– Nieee... dziękuję bardzo. Ostatnio nie pijam.

– W takim bądź razie nie namawiam... – W głosie starszego pana daje się wyczuć zrozumienie. Wchłania jedną trzecią zawartości szkła i grzecznościowo tłumi beknięcie.

Robert wraca do młodości Eugeniusza Brochwicza. Gdy pół godziny później wysiada w rodzinnym mieście, współpasażer twardo śpi.

Redaktor kupuje w dworcowym kiosku aspirynę i „Głos Torunia" – jego dawna gazeta poświęciła pierwszą stronę wylewającej Wiśle. Na głównym zdjęciu widać miejsce, gdzie raptem dziesięć dni temu zaparkował z synami rowery. Teraz z wody wystają tam tylko czubki krzaków.

W mieszkaniu przy Kraszewskiego chłopcy rzucają się niespodziewanie objawionemu ojcu na szyję. Krzysio udowadnia w praktyce, że da się jednocześnie przytulić tatusia i kopnąć brata.

– Nie rób tak, synek, przecież widzę. Mama gdzie?

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem. I nie pchaj mnie, gnomie!

– Spokój! Spokojnie... Obiad jedliście?

– Ja jadłem w szkole, on na pewno nie jadł.

– Bo był ohydny.

– Kiedy widzieliście się z mamą?

– Rano...

– Krzysiek... cholera! Jakie ty masz ręce brudne... Kiedy obcinałeś paznokcie?

– Gimbus nigdy nie obcina.

– Dobra, już dobra! Zrobię wam makaronu... Idź do łazienki się umyć.

– Ale tam nie ma światła. Się przepaliło.

– To zaraz wkręcę żarówkę.

– Skończyły się, mama już wczoraj szukała.

– Wstawię świeczkę.

Jak na złość komunijnej świeczki Krzysztofa nie ma w szufladzie, gdzie zawsze była, więc trzeba przełożyć żarówkę z tak zwanego dużego pokoju, który faktycznie jest mniejszy niż wnęka w jadalni u Szymona Galpera. Krzesło, na które Robert wchodzi, by sięgnąć sufitu, niebezpiecznie się chwieje. Rozklejone ze starości.

Obcinanie paznokci przychodzi Krzysztofowi tak ciężko, jakby ojciec kazał mu pousuwać sobie jakieś niezbędne organy. Jasio się skarży, że brat schował mu gdzieś ostatni numer „National Geographic", który chciał poczytać przy jedzeniu. Tata ordynuje posiłek bez lektury. – Pogadamy sobie, jak komu minął tydzień.

Makaron z odsmażonymi plastrami salami ląduje na trzech talerzach. Rozmowa klei się słabo. Opisy tygodnia są raczej zdawkowe. Krzysio miał dwa dni wolne – w jego gimnazjum przeciekł dach.

– Widziałem, jak woda płynęła po schodach!

– Tata... zawodów wędkarskich nie odwołają?

– Na pewno się odbędą. Rybom deszcz nie przeszkadza. Zresztą już nie pada.

Jaś zjada swoją porcję do końca, starszy brat wybrzydza. Za karę myje talerze i jako pierwszy odrabia lekcje przy wspólnym biurku.

O wpół do dziewiątej trójka Pruskich leży w poprzek na częściowo zarwanym łóżku Krzysia. Ojciec przezornie ułożony pośrodku, aby rozdzielić potencjalnych agresorów, czyta na głos *Taniec ze smokami* od miejsca, w którym skończyli przed ponad tygodniem. Sen zaczyna go morzyć, kiedy Arya Stark, dzielna córka Eddarda, wyjada robaka z czaszki kapłana w Domu Czerni i Bieli. Robert usiłuje czytać z krótkimi pauzami na kilkusekundowe drzemki, lecz chłopcy co rusz go trącają, by nie przerywał. Sen ostatecznie zwycięża tatę krótko przed momentem, w którym królowa Cersei doprowadzi małego Tommena przed katafalk z ciałem Tywina Lannistera.

* *

Gwałtownie obudzony w pierwszej sekundzie nie może skojarzyć, gdzie jest. Warszawa? Motel przy drodze? Toruń? Bo przecież już nie pociąg...

W zagraconym chłopięcym pokoju jest ciemno. Jasio śpi na ukos. Krzysio – w kuchni – wchłania płatki z mlekiem i czyta dalsze przygody mieszkańców Westeros.

– Którą ty miskę już wcinasz, co? Żuku mój... halo!

– Dopiero trzecią – Krzyś odpowiada z pełnymi ustami, nie odrywając wzroku od tekstu. Mleko ścieka mu po brodzie.

– Wiesz, że nie należy się obżerać na noc... mama wam nie mówiła, gdzie poszła?

– Nie.

– Co tu tak śmierdzi? Pokaż mi nogę.

Skarpetka syna – a raczej to, co z niej zostało – jest dziurawa i przepocona.

– Dawaj! – Ojciec ściąga synowi cuchnące strzępy z jednej i drugiej stopy. Wyrzuca je do śmietnika. Telefon, numer Kamili, kilka długich sygnałów, a potem – rozłączenie z jej strony. Kolejna próba – to samo.

Zamyślony staje w łazience nad Krzyśkiem, pilnując, by syn się wykąpał, a nie tylko zmoczył.

– Tata! Mówię do ciebie!

– Taaa... co?

– Nie gap się na mnie. Wyjdź!

Przed jedenastą szanowny młodzian, który już sobie nie życzy, by ktoś mu oglądał siusiaka, zasypia, pozwalając staremu wrócić do klawiatury i własnych problemów. Maja przysłała namiary na Medarda z Olsztyna. Jest tego od cholery i trochę. Facet ma sześć adresów i drugie tyle telefonów. Sądząc po wypisanych obok anglojęzycznych nazwach, większość to numery do firm. Podpięty plik z życiorysem jest podzielony na punkty. Szybkość i precyzja riserczu nie spada. To cieszy.

Punkt pierwszy. Mieczysław Królikiewicz, PRL-owski agent 4077 pseudonim „Ikar", przyjechał do Polski – z Austrii albo z Niemiec – nie później niż w 1992 roku. Zameldował się na granicy jako Medard Krol. W czerwcu 1993 powrócił do nazwiska Królikiewicz. Osiadł w Olsztynie, gdzie – jako biznesmen polonijny – kupił drukarnię. Wyspecjalizował się w przedrukach literatury zwanej wcześniej drugoobiegową. Sacharow, Sołżenicyn, Heller i Niekricz, Mandelsztam, Almarik, wspomnienia sybiraków i Katyń. Wydania po polsku i po angielsku, ogromne nakłady. Dystrybucja w kraju, wśród Polonii na pięciu kontynentach, nawet w Rosji.

„Teraz UWAGA" – pisze Majka – „między 1993 a 1997 rokiem wszystkie pobożne książki wydawnictwa Arka wyszły z drukarni Królikiewicza".

Punkt drugi. Wzbogacony wydawca co najmniej od połowy lat dziewięćdziesiątych zaczął skupować kamienice i działki w Elblągu, Olsztynie, Morągu i po okolicznych wioskach. W dziewięćdziesiątym dziewiątym regionalny dziennik umieścił go na trzecim miejscu wśród najbogatszych mieszkańców województwa warmińsko-mazurskiego. To przez te rozliczne nieruchomości facet ma tyle adresów – w samym Olsztynie trzy. Z podanych sześciu telefonów piątka to firmy Królikiewicza z wyjątkiem telefonu drugiego.

„Tam jakaś maksymalna jazda. Odebrał kamerdyner – tak się przedstawił :) – totalnie ugrzeczniony, ale oporny. Załatwiłam z nim tyle, że obiecał jutro rano przekazać »panu doktorowi«, kto się chce spotkać i po co. Pozwolił mi zadzwonić o wpół do ósmej. Nie wcześniej i nie później".

Punkt trzeci. Najbardziej prawdopodobny aktualny adres Królikiewicza to rezydencja w osadzie Widłągi nad jeziorem Kościnek. Załącznik: zrzut z Google Maps.

„Intuicja mówi mi, że kamerdyner pracuje (a jaśnie pan przyjmuje) właśnie tam".

Robert zamyka skrzynkę mailową, by otworzyć plik z przerwanym tekstem potrójnej już teraz biografii. Zaczyna zdanie, kasuje, znowu zaczyna – i znów to samo. Coś nie pozwala mu pisać. Wstaje, zagląda do pokoju chłopców, cicho zamyka drzwi, wychodzi na klatkę schodową i przypala pall malla. Gdzie jest Kamila? No... kurwa mać. Prawie dwunasta, co ona robi? Ile razy można dzwonić?

Dusi zielony przycisk mocniej, niż trzeba. Dwa długie sygnały i ponownie zerwanie połączenia po tamtej stronie. Pan redaktor naczelny ma ochotę cisnąć nokią o lastriko na schodach. Ale nie robi tego – wejściowe drzwi bloku otwierają się piętro niżej

ze skrzypnięciem, a kolejnym dźwiękiem jest przybliżający się stukot obcasów na stopniach. Nie do pomylenia z żadnym innym.

Wchodzi do mieszkania, nie zamykając drzwi. Wkraczająca za nim Kamila ma na sobie długi przeciwdeszczowy płaszcz. Jeżeli jest zaskoczona widokiem ojca swych dzieci w poniedziałkowy wieczór, nie daje tego po sobie poznać.

– Gdzie byłaś? – Robert wie doskonale, że nie tak powinien zaczynać, ale już samo się powiedziało.

Ona odwraca się tyłem – może chce, aby pomógł jej zdjąć okrycie – ale on tylko splata ręce na piersiach i czeka. Gdy była żona zdejmuje buty, różnica wzrostu między nimi jeszcze rośnie. Stoją naprzeciw siebie w ciasnym przedpokoju pełnym damskich i chłopięcych ubrań. Kamila żuje gumę.

– Na jodze, a potem w kinie.

Kusi go, by zapytać jeszcze: „Całe popołudnie, wieczór i połowę nocy?", ale już się opanował i pyta cicho:

– Fajny film?

– Fajny.

– Słuchaj... nie chcę się kłócić. Ale chłopaków zostawiłaś na cały dzień samych, Krzysiek czarny jak święta ziemia... Skarpety w kawałkach niezmieniane od mojego wyjazdu. Przyjechałem pociągiem, jestem w drodze do Olsztyna i chciałem was zobaczyć...

– Bo wyobraziłeś sobie, że będziemy tu siedzieć wszyscy uśmiechnięci przy stole i grać w bierki? – ona też mówi cicho, spokojnie, z manifestowanym mozołem. Lata praktyki, lata tej gry, tysiąc i jedna próba sił – wszystko już było.

– Wyobrażałem sobie, może naiwnie, że dajesz im kolację, sprawdzasz, czy mają lekcje zrobione...

– Więc raz jeden ty im sprawdziłeś. Stało się coś? Przepuść mnie. Rozłóż kanapę, jeśli chcesz spać ze mną, a jeżeli nie... to też rozłóż,

bo ja jestem skonana. Jutro wstaję przed siódmą. Rozwieziesz chłopców? Aaa... jeszcze będzie spotkanie klasowe u Krzysia.

– Nie rozwiozę. Mówię, że przyjechałem pociągiem. I na zebranie też nie pójdę. O piątej rano wyjeżdżam dalej.

26.

Wtorek, 29 października, poranek i przedpołudnie.
19 dni przed tragedią w Białołęce

Pociąg tanich linii do Olsztyna nie ma w drugiej klasie osobnych przedziałów, tylko siedzenia poustawiane ciasno obok siebie jak w samolocie Ryanaira. Żadnego miejsca na kolana. Pełno ludzi. Irytujące światło jarzeniówek, hulające przeciągi i niewygodne oparcia skutecznie uniemożliwiają sen. Olbrzymia kobieta na krześle z prawej – bo trudno to nazwać fotelem – zjada jajka na twardo.

Dwa ziomki z lewej siedzą w kapturach naciągniętych po czubki nosów i słuchają muzyki z komórki. Skoczne dźwięki kilerskiego karaoke mieszają się ze stukotem kół pod podłogą. Za oknem przemykają nocne światła fabryki tworzyw sztucznych, lokomotywa gwiżdże, mijając podmiejski przejazd, potem skład przyspiesza i stukanie zmienia się w wibrujący terkot. Robert wyciąga z plecaka laptopa, otwiera wordowski plik i wraca do tekstu, który przerwał raptem godzinę temu w mieszkaniu. Nie położył się tam ani na kanapie z Kamilą, ani na zwijanej gąbce w pokoiku chłopców. Siedząc w kuchni nad kawą z podwójnym cukrem, napisał siedemnaście stron o hitlerowsko-sowieckim agencie Eugeniuszu Bruliańskim, jego wyczynach w Afganistanie, ucieczce na Zachód i przemianie w biznesmena Ferdynanda Topaza.

A także o późniejszym afrykańsko-hiszpańskim handlu niewolnikami i martwych dzieciach wyrzuconych z chłodni do wody. Teraz, w dudniącym wagonie, wśród woni jaj i brzęczenia disco polo, opisuje ciąg dalszy: zemstę rosyjskich towarzyszy ze służb, pogarszający się stan cery Brzydkiego Ryja i jednoczesny żywiołowy rozwój jego iberyjskich przedsiębiorstw.

Nim pociąg dociera do Kowalewa Pomorskiego, pracowity pasażer doprowadza swą powieść do roku 1997 i rautu w madryckiej ambasadzie Rzeczypospolitej. Potem zostawia na jakiś czas Eugeniusza-Ferdynanda Bruliańskiego-Topaza, by zaprowadzić przyszłych czytelników do Sosnowca i rodzinnej oficyny familii Drozd, w której wychowuje się zaniedbany Franek, przyszły telewizyjny magnat.

Między Jabłonowem Pomorskim a Iławą redaktor opisuje rodzinną nędzę, śmierć ojczyma i to, jak zahukany chłopak zostaje prymusem seminarium duchownego, a potem duszpasterzem pielgrzymów.

Między Iławą a Ostródą czerń za oknami zamienia się w granat. Sądząc po kroplach, które strachliwie drżą w skośnych smugach na szybie, deszcz pada bez ustanku. Wszystko w pejzażu jest sine z zimna. Robert pisze jak w transie. Opisuje parafię w Katowicach, niespełna trzydziestoletniego wikarego na handlowych szlakach, jego zyskowne podróże do Medjugorie i kłopoty z PRL-owską bezpieką. Gdy wklepuje po raz pierwszy słowa „operacja »Transformator«", robi przerwę. Kilka minut na zebranie myśli.

Trzeba teraz zrobić kolejny zwrot. Przedstawić żywot Horsta – Załużnickiego „Krokusa". A potem „Ikara". Dopiero gdy się ich wszystkich czytelnikom ładnie zaprezentuje, nadejdzie czas na wyjaśnienie, czym był „Transformator".

A czym był „Neptun"?

Konsumentka jaj głośno chrapie – pisząc, jakoś tego nie słyszał. Amatorzy muzycznej mielonki z komórki gdzieś wcześniej wysiedli jak większość ludzi z przedziału. Prawie pusty pociąg staje na leśnej stacji Naterki. Robi się cicho. Jedyny dźwięk, jaki Pruski w tej chwili słyszy, to falujący szum pod sklepieniem własnej głowy. To nie będzie podwójna ani nawet potrójna biografia. To będzie kilka biografii splecionych w węzeł, którego rozsupłanie okaże się – niestety – męczące i dla piszącego, i dla czytającego. No cóż... życie bywa skomplikowane.

* *

Budzi go *Highway to Hell*. Pociąg stoi na peronie wyglądającym jak przystanek tramwaju. Olsztyn. Laptop zsunął się na podłogę. Dobrze, że nie ukradli jedynej, kurczę, kopii tekstu. Musisz człowieku uważać. I zrobić szybko replikę na pendrivie.

Po drugiej stronie słuchawki Majka ma wieści i kiepskie, i dobre. Marnie jest w sprawie „Neptuna". W sieci nie ma niczego o takim specyfiku. A co dobrego? Kamerdyner Królikiewicza poinformowany, że pan redaktor już jedzie, zażyczył sobie, by nagły gość zadzwonił nie później niż o dziewiątej. Nie do Medarda, tylko do kamerdynera. Ton głosu faceta – bardziej życzliwy niż wczoraj – zdaniem Majki pozwala mieć nadzieję, że podróż pociągiem nie była daremna.

Wokół siwego betonowego dworca jest pusto, szaro i smutno. Za spękanym parkingiem pokryte kałużami klepisko, przystanki PKS-u i punkt opatrzony szyldem „Powiększanie obuwia".

Deszcz już tylko mży, ale temperatura dużo niższa niż w Toruniu – prawie mróz. Zapięcie wiatrówki pod samą szyję i naciągnięcie kaptura niewiele Robertowi pomaga. Schowany pod płytkim zadaszeniem w przyziemiu autobusowej poczekalni przelicza

zawartość paczki pall malli. Zapala trzeciego dzisiaj. Wybiera przesłany SMS-em numer telefonu.

Kamerdyner Medarda Królikiewicza jest rzeczywiście sympatyczny, przynajmniej na odległość.

– Bardzo nam miło, że pan redaktor pofatygował się ze stolicy... Tak... pańska asystentka nas poinformowała, że zbiera pan materiały do książki.

Asystentka – dobre sobie...

– Pan doktor będzie łaskaw dziś pana redaktora przyjąć. Za chwilę wyślemy po pana auto na dworzec. Szofer powinien dotrzeć w ciągu czterdziestu minut.

Pruski dwukrotnie uprzejmie dziękuje. Wychodzi spod zadaszenia. Marznąca mżawka, wiatr, szaruga trudnego poranka po bezsennej nocy i czterdzieści minut czekania. Cudownie. Na szczęście jest tu kompleks, który pomoże przetrwać trudne chwile: McDonald ze Statoilem. Bezpieczne zunifikowane wnętrze, te same towary na tych samych półkach w tych samych miejscach co zawsze. Standardowy kubek standardowej kawy ze standardową porcją cukru i takim samym mieszadełkiem. Służbowe uśmiechy ekspedientek w identycznych uniformach.

Popijając latte o smaku zbożówki, przegląda wzięte z półki tygodniki, których nie zamierza kupić. Dramatyczne historie powodzian, przedwyborcze sondaże – naród już niedługo idzie do urn – dalej kolorowe zdjęcia konińskiej głowy Jana Pawła Świętego. Sztuczny kamień ma barwę skorupki jajka. A twarz rzeczywiście niepodobna do oryginału. Ale Jerzego Połomskiego też nie przypomina. Pudzianowskiego tym bardziej.

Sprzedawczyni, u której kupuje hot doga, mówi, że dziś wieczorem „ma wreszcie całkiem przestać padać". Dziesięć minut później redaktor przekazuje tę optymistyczną wiadomość szoferowi

wyprostowanemu za kierownicą burgundowego jaguara. Dobrze umięśniony facet ma skórzaną marynarkę i cienkie rękawiczki na dłoniach. Jego wygoloną czaszkę ozdabia hipsterski kaszkiet. Wyjeżdżając z Olsztyna drogą na Szczytno, rozmawiają o pomyłkach synoptyków, trudnej doli powodzian, nieudolności rządzących i o tym, jak polskie państwo prześladuje kierowców. Gdy neutralne tematy się kończą – po prostu milczą. Robert podziwia gęstniejące za oknami auta bory, a potem imperium Medarda Królikiewicza.

* *

Zaczyna się już w środku lasu. Poszarpany, zgrubnie tylko polany asfaltem trakt, który odbił od drogi krajowej numer 53, nagle zamienia się w drogę z wiśniowej kostki – równą jak stół. Po obu stronach na poboczu gęsta, idealnie wystrzyżona trawa, tak intensywnie zielona, jakby to była wiosna. Kolejna chwila – i przy jezdni wyrasta szpaler akacji poprzeplatanych stylowymi latarenkami. Gdzieniegdzie ławki z polakierowanych na ciemną czerwień drewnianych bali – każda ozdobiona rzeźbioną głową jakiegoś zwierzęcia. Ciągnie się to wszystko przez ponad kilometr. Szofer zwalnia, jak gdyby dawał pasażerowi czas na zachwyty.

Porównanie z wymuskanym otoczeniem gmachu telewizji w Białołęce jest oczywiste, szczególnie gdy przed maską jaguara automatycznie otwiera się czterometrowa stalowa brama. Kamery na wysięgnikach – tak jak u Drozda – macają auto wiązkami podczerwieni.

Rezydencja człowieka, który kiedyś nosił pseudonim „Ikar", wygląda na skrzyżowanie pałacyku myśliwskiego i hotelu spa. Dużo tutaj wszystkiego: cegła i pruski mur, szkło i aluminium. Część wielospadowego dachu pokryta jest gontem, część – trzciną

i szkłem. Łamana elewacja, kilka wejść, tarasy i – jakżeby inaczej – owalna kamienna wieżyczka zwieńczona mosiężną kopułą. Jaguar wjeżdża pod wiatę, boczne drzwi domu stają otworem. Przed wysiadającym Robertem wyrasta skośnooka piękność w krótkiej spódnicy i jeszcze krótszym amarantowym fartuszku. Delikatniejsza wersja Karoliny Koon. I o nieporównanie piękniejszym uśmiechu.

– Prosię pan badzio zia mną pódźmy.

Jeżeli Królikiewicz przyjmuje tutaj kontrahentów płci męskiej, to zmiękcza ich już od progu.

Marmurowy korytarz przechodzi w wyłożony rdzawymi belkami hall, a ten z kolei w przeszkloną klatkę schodową. Kamienne stopnie wiodą na półpiętro, skąd kołysząca biodrami Azjatka wiedzie do części kąpielowo-oranżeryjnej. Dziewczyna ma uda szczupłe jak dziecko. Zapach, jaki za sobą zostawia, kojarzy się Pruskiemu z grejpfrutem.

W ogromnym pomieszczeniu, do którego wchodzą, jest jaśniej niż na zewnątrz, choć światło pozostaje naturalne. To pewnie efekt jakiejś sztuczki zastosowanej przy budowie szklanego dachu. Po wyłożonych trzcinami ścianach skapują z delikatnym szmerem wodne krople. Jak pod tężniami. Słona ciecz spływa najpierw do kamiennego koryta, potem wpada do zakrytego matową szybą podświetlonego kanału, by na koniec wlać się do trzydziestometrowego basenu po lewej. Nad taflą unosi się mgiełka.

Za basenem – półkolista, idealnie przezroczysta ściana szerokości boiska do siatkówki, wysoka na co najmniej pięć metrów. Ten widok musi powalać wszystkich gości, którzy jeszcze trzymają się na nogach po spotkaniu ze skośnooką boginką i jej fartuszkiem. Wrażenie robi nie tyle samo falujące szkło, ile oszałamiający landszaft za nim: jezioro, kołyszące się szaroszmaragdowe trzciny,

w oddali mokry pomost z zacumowanym jachtem typu Bavaria, jeszcze głębiej – porośnięta pożółkłymi chaszczami wyspa. A na tle tego wszystkiego – pan gospodarz.

Siedzi w wysokim wiklinowym fotelu z laptopem na kolanach, a jego wiśniowy, jedwabny szlafrok ma dokładnie tę samą barwę co wdzianko pokojówki i zrolowane żagle jachtu. Głęboka, późnojesienna czerwień to zapewne ulubiony kolor Medarda Królikiewicza.

Czarnulka o złotej skórze wykonuje przed „panem doktorem" urocze dygnięcie, po czym wraca tam, gdzie jej miejsce. Robert podchodzi blisko fotela. Na razie nie mówi nic.

– Witam pana, redaktorze. – Laptop wędruje na wiklinowo-porcelanowy stolik, a doktor Medard ściąga z nosa okulary połówki w rubinowych oprawkach. Bez nich wygląda jak Chrystus, który uniknął ukrzyżowania, by dożyć w spokoju siedemdziesiątki. Smagła, wyrazista twarz z głębokimi, lecz nieszpecącymi bruzdami, długie, lekko kręcone włosy – nie całkiem siwe – do tego krótko przystrzyżona spiczasta bródka i wąs.

Wstając, wyciąga dłoń. Jest tylko odrobinę niższy od Pruskiego. Skórę ma suchą, uścisk mocny, wodę kolońską z najwyższej półki. Aż chce się przyłożyć nos do jedwabiu.

– Jak minęła podróż?

– Pracowicie. – Robert kładzie plecak i kurtkę na ciepłej kamiennej posadzce. – Dziękuję, że zgodził się pan na rozmowę. Jestem pod wrażeniem pańskiej posiadłości.

– Lubię wygodę i kontakt z naturą. Wie pan, że jezioro Kościnek ma dwadzieścia osiem zatok i wysepek równie uroczych jak moja? – Dłoń gospodarza wskazuje pejzaż za szybą. – Niestety, niektóre zostały fatalnie oszpecone chaotyczną, bezmyślną zabudową. To chore... Ja staram się zachować harmonię i proporcje. Można

powiedzieć, że osiąganie harmonii stało się na stare lata mym głównym celem. Pan żegluje?

– Ostatnio zbyt dużo pracuję. Ale kiedyś, bywało, pływałem. W latach dziewięćdziesiątych podarłem i zacerowałem parę żagli.

– Od tamtych czasów dużo się na jeziorach zmieniło na gorsze, młody redaktorze. Mamy tu, na Mazurach, fatalny zalew rozpasanej dziczy, która nie ma pojęcia o żeglarskiej etyce. Jednorazowi użytkownicy krajobrazu, a i takielunek coraz częściej jednorazowy. Kto dzisiaj pamięta te igły do cerowania brezentowych szmat? Coś panu pokażę...

Królikiewicz prowadzi swego gościa wzdłuż ściany. Gdy mijają basen, Robert dostrzega przeszklone uchylone drzwi umieszczone wysoko nad wodą, w połowie ściany. Poniżej progu – duży drewniany parapet. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że to trampolina. Lokator tego domu lubi sobie skoczyć na główkę prosto z sypialni.

– Tędy proszę. – Gospodarz przepuszcza gościa w wejściu do biblioteki i wskazuje wiszący między regałami czarno-biały fotogram wielkości drzwi. Kilkunastokrotne powiększenie starego zdjęcia: jacht z rozwiniętym grotem, na tylnym pokładzie trzydziestoletni z wyglądu przystojniak w kąpielówkach oparty łokciem o bom. Tuż przy nim stoi w kontrapoście dużo młodsza, platynowa blondynka w bikini i pełnym makijażu. Scena jak z *Noża w wodzie*. Fryzura mężczyzny, krój jego majtek, upięcie blond loków dziewczyny i kształt jej sztucznie domalowanych brwi wskazują, że to wczesne lata siedemdziesiąte.

– Tak, tak. To ja sam, moja pierwsza łódka i moja pierwsza żona Krystyna. Zdjęcie zrobione na Święcajtach. Siedemdziesiąty drugi rok.

– No... nie! Nie wierzę... – Pruski odwraca się od fotogramu. Jego zdziwienie nie dotyczy pięknej Krystyny, młodego Królikiewicza ani jeziora Święcajty sprzed czterech dekad. Uwagę przyciąga naturalnych rozmiarów kopia *Pejzażu z upadkiem Ikara* w głębi biblioteki.

Ostrożnie podchodzi do obrazu.

– Nie wierzy pan, że mam w domu Bruegla? – Trudno orzec, czy pytanie rzucone w stronę pleców gościa ma być ze strony gospodarza podchwytliwe, czy szydercze.

– „Żaden oracz nie przerywa pracy z powodu śmierci człowieka". Nie wierzę, że kupił pan kopię akurat tego tematu... Kopię z kopii. Świetną zresztą.

– To kopia z oryginału.

– Oryginał zaginął. W Brukseli także wisi kopia. Tyle że szesnastowieczna, a pańska jest sto lat późniejsza i zrobiona w Monachium, w szkole Uwe Trieinhaupdta. Warta dziś, orientacyjnie, od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy euro.

– Pan mnie zadziwia, młody redaktorze. – Doktor Medard staje krok za Robertem. – A co do oryginalności egzemplarza z Brukseli... zdania są podzielone. Niewątpliwie obraz wyszedł z warsztatu mistrza.

– Pan mnie zadziwia bardziej niż ja – pana. Wybrać temat z Ikarem... Ten biedak tonący w morzu ma panu przypominać dawny pseudonim?

Jeżeli doktor Królikiewicz zorientował się w tym momencie, czemu faktycznie służą odwiedziny gościa, nie daje tego po sobie poznać.

– Ten biedak przypomina też inne flamandzkie przysłowie: „Śmierci nic nie jest w stanie powstrzymać". Szczególnie jeżeli się podleci za blisko słońca.

– Panowie byliście już bardzo blisko... a jednak nic się słońcu nie stało.

– Miałem coś innego na myśli.

– Nie wątpię. Ale zostanę na chwilę przy swoim wątku. Pan sam, panie doktorze, a także pan Horst-Załużnicki, wielebny Drozd i towarzysz Bruliański, który teraz nazywa się Topaz, byliście blisko realizacji czegoś, do czego jednak nie doszło. Bardzo chciałbym usłyszeć, jak to się miało stać i dlaczego akcja nie wypaliła. A może się – owszem – udała?

– Powtarzam, że mówiąc o tragicznych konsekwencjach nadmiernego zbliżania się do pewnych celów, miałem na myśli pana, młody redaktorze. – Akcent pada na słowo „pana".

Robertowi przez chwilę przechodzi przez głowę absurdalna myśl: to dlatego tak łatwo dostąpił audiencji z dowozem na miejsce, ponieważ jeszcze dziś ma wylądować na dnie jeziora Kościnek i tyle będzie ze wszystkiego. Z hali basenowo-widokowej dobiega głośny plusk wody.

– Niech się pan nie boi. – Poorana twarz gospodarza wygładza się na krótko w uśmiechu. – Przedstawię pana Mirandzie. Mej czwartej żonie.

27.

Wtorek, 29 października, południe

Wychodząca z basenu kobieta w bikini to niewątpliwie klejnot w koronie imperium „doktora". Siostra bliźniaczka Moniki Bellucci? Nie... nie bliźniaczka... czekoladowa skóra i ogromne usta wskazują raczej na pokrewieństwo z Naomi Campbell. Także wzrost. Boso jest

równa mężowi, na obcasie byłaby pewnie wyższa od Pruskiego, który zastanawia się, czy powinien jej liliokształtną dłoń uścisnąć, czy raczej pocałować. Instynktownie decyduje się na delikatny dotyk połączony z uprzejmym ukłonem.

– *Bonjour. Un plaisir de vous recevior*. – Madame Królikiewicz równie dobrze może mieć lat dwadzieścia, jak i czterdzieści. Skórę ma idealnie gładką, wielkie oczy błyszczą, jak gdyby cały świat cieszył ją bezustannie. Robert coś bąka, gospodarz tłumaczy po angielsku, że żona pochodzi z Gujany. Poznali się w Paryżu. Cudownie... Przez chwilę rozmawiają o pierdołach i pan redaktor musi się wstydzić swej topornej angielszczyzny. Czekoladowe zjawisko owija się tymczasem zdjętą z wieszaka puszystą draperią – czymś pośrednim między ręcznikiem a szlafrokiem – i pyta, co gość życzyłby sobie zjeść w ramach lunchu.

– *Everything you give*.

Małżonka doktora odsłania w uśmiechu duże białe zęby. Odchodzi, zostawiając na kamieniach odciski stóp, które prawie natychmiast wysychają. Gospodarz prowadzi do jadalni. W odróżnieniu od hali basenowo-widokowej to pomieszczenie jest niewielkie, niewysokie i bardziej przytulne niż reprezentacyjne. Miłe miejsce do spożywania posiłków we dwoje. Białe ściany, śnieżny obrus na dużym stole i jasnokremowe, cięte kwiaty misternie ułożone w kilku wysokich wazonach. Gdy siadają, pokojówka pojawia się ponownie – tym razem w roli kelnerki. Przed panem domu stawia szklankę soku w kolorze – jakżeby inaczej – rubinowym. Robert zamawia zimną wodę bez gazu i ściąga przez głowę sweter. Już otwiera usta, by zadać doktorowi pytanie, ale ten ucisza go gestem dłoni.

– Domyślam się, młody redaktorze, tematu szykowanej przez pana publikacji. I powiem szczerze... jest mi to obojętne. Pewna

gazeta już o mnie napisała w konwencji powieściowej. Agent zero-zero-siedem...

– Cztery-zero-siedem-siedem.

– Mniejsza o szczegóły. – Królikiewicz pochyla się nad obrusem. – Mam to w dupie. Ja się nie muszę lustrować jak nasz drogi senator Horst.

Azjatka przynosi dzbanek wody z limonką i listkami mięty. Plus wysoka szklanka.

– Skoro dotarł pan do nas pociągiem, to może drinka? – Gospodarz patrzy czujnie w oczy swojego gościa. – Już po hejnale.

– Nie mogę. Jestem alkoholikiem.

– Hm... mało kto tak o sobie powiada. – Ruch suchej dłoni pana domu sprawia, że czarnowłosa ślicznotka odchodzi, wdzięcznie kręcąc pupką. – Czy potrafi pan, mój drogi, rozmawiać ze mną, nie obrażając mnie przy tym?

– Spróbuję. – Pruski nabiera powietrza i zaczyna powolny monolog. – Wyobraźmy sobie, że jakaś osoba, nazwijmy ją ogniwem nielegalnym wydziału czternastego departamentu wiadomego, otrzymuje zadanie przygotowania dla służb radzieckich kandydata do przeprowadzenia cichej operacji wokół polskiego papieża. Tak cichej, żeby nikt się nie zorientował, że jeśli jego świątobliwość w przyszłości skona, to z przyczyn innych niż naturalne. Fachowcy – a przyjmijmy, że operację montują najlepsi z najlepszych – zabezpieczają się jednak na wszystkie ewentualności. W wypadku, gdyby coś poszło nie tak, albo – co gorsza – gdyby cokolwiek miało się wydać, bezpośredni sprawca musi być człowiekiem niepowiązanym z wiadomymi służbami. To nauczka po Ali Ağcy, którego bułgarskie koneksje zbyt łatwo wyszły na jaw. Najlepszy kandydat, wręcz idealny, to polski duchowny katolicki pozostający na usługach zachodnioniemieckiego wywiadu. Jeżeli go

złapią – a to zawsze trzeba brać pod uwagę – wtedy wypłyną odręcznie spisane notatki świadczące, że został zwerbowany przez Bundesnachrichtendienst i brał od niemieckich rewanżystów pieniądze za swoje wcześniejsze donosy z Watykanu. Po prostu – neofaszystowska marionetka. Zdrajca Polski, zdrajca Kościoła, a przy tym jeszcze zdrajca całego bloku państw socjalistycznych. Propagandowy ideał! Wróćmy do osoby, o której mówimy od początku. Nasze ogniwo nielegalne nie tylko znajduje takiego księdza, korzystając z pomocy tajnego współpracownika ulokowanego w otoczeniu wielebnego, nie tylko skutecznie werbuje go pod flagą BND, ale też ostro zmiękcza przed przekazaniem w ręce radzieckich towarzyszy. Wielebny jest przekonany, że w wypadku niewykonania roboty ścieżnie w komunistycznym więzieniu. Na drugiej szali leżą pieniądze. A on pieniądze ceni. Ciężko pracuje dla dewiz, bo wychował się w skrajnej biedzie i po prostu chce być bogaty. Reasumując: doskonały kandydat i doskonała robota przygotowawcza. Po czymś takim Moskwa będzie pełna szacunku dla możliwości operacyjnych wydziału czternastego i całego departamentu.

– Zgrabna rekonstrukcja, choć sporo tu ryzykownej probabilistyki. W jakich latach miałaby się rozegrać ta historia?

– Jesień roku osiemdziesiątego dziewiątego.

– Słaby punkt pańskiej teorii, mój drogi. W tym czasie wspomniany departament nie był już mobilizowany do prowadzenia operacji ofensywnych.

– Ta akcja była prawdopodobnie ostatnią. Przygotowania ruszyły w osiemdziesiątym ósmym, a może i wcześniej, bo wtedy nastąpił werbunek Horsta. Późniejsze zadaniowanie też wymagało przygotowań. Trzeba było poczekać na odpowiednią okazję. Moim zdaniem szefowie pańskich dawnych szefów rozglądali się już

za nowymi pomysłami na życie, a uruchomiona wcześniej operacja po prostu... trwała. Ksiądz zabrał ze sobą Neptuna na papieską audiencję, prawda?

Gospodarz nie odpowiada. Spokojnie pije sok, a potem – na widok wchodzącej żony – wstaje, by podsunąć jej krzesło. Skoro ma tu być wersal, niech będzie. Robert też wstaje i czeka, aż madame Miranda usiądzie. Pokojówka-kelnerka stawia przed panią domu jakiś żółtawy napój z kostkami lodu, po czym zaczyna donosić jedzenie. Miseczki egzotycznie pachnących kremów, dojrzałe sery z figami, ryba na zimno, papryczki nadziane czymś różowym, tłustym i posypanym ziołami.

Jedzą, rozmawiając. Miranda – w prostej herbacianej sukience odsłaniającej ramiona – chce wiedzieć, gdzie pan literat mieszka, czy ma rodzinę i ile książek już napisał. Z autentycznym lub dobrze udawanym zainteresowaniem słucha, że dzieci jest dwoje, mieszkania dwa, ale oba cudze, zaś książka – jak dotąd – wyszła tylko jedna. O mordercy z Białorusi. Teraz szykuje się druga.

Madame pyta, jaki jest temat dzieła. Pruski odpowiada, jak umie:

– To będzie historia szpiegowska z czasów zimnej wojny.

– Ouu... To wspaniale! Czytuje pan le Carrégo?

– Wydaje mi się, że przeczytałem wszystko, co zostało wydane po polsku.

– A ekranizacje?

– Widziałem *Małą doboszkę*. Moim zdaniem – nieudana. Ale już *Tinker, Tailor, Soldier, Spy* to arcydzieło. Doskonale oddaje klimat literatury mistrza. – Myśląc polskimi zdaniami i trudząc się z wypowiedzeniem ich w obcym języku, Robert ma wrażenie, że sadzi jakieś potworne banały, ale w sumie nie ma większego znaczenia, czy piękna Miranda weźmie go za sztywniaka. Liczy się tylko jej małżonek. Dlatego brnie w kolejne głędy, starając się przy

tym nie mlaskać. – *Tinker, Tailor...* to jest dla mnie książka o samotności, proszę pani. A jej tytuł należy moim zdaniem do najlepszych w historii. Ta wyliczanka...

– *Tinker... Tailor... Soldier... Sailor...* – Królikiewicz przełyka kawałek ryby i zaczyna liczyć, począwszy od siebie. Jako drugiego oznacza widelcem Roberta, po nim – Mirandę – i znowu wskazuje sztućcem własną pierś. – *Rich man... Poor man... Beggar man... Thief*!

Ostatnie słowo wypowiedziane jest grobowym głosem, a złodziejem zostaje – oczywiście – redaktor, który zastanawia się, jakim cudem Królikiewicz tak szybko podzielił osiem przez trzy z użyciem reszty... Może faktycznie ma doktorat – na przykład z matematyki?

Pani domu śmieje się perliście, lecz jej mąż pozostaje skupiony i poważny, jakby coś w sprawie gościa rozważał. Coś niefajnego.

* *

Po posiłku rozluźniony i niemal jowialny gospodarz proponuje – jak to określa – „pół godziny w bąbelkach".

– Odświeży się pan przed podróżą.

A więc kierowca przyjdzie za dwa kwadranse. Tyle zostało czasu, by się czegokolwiek wreszcie dowiedzieć.

Gdy idą obaj do basenu, doktor Medard rozbiera się całkiem do naga i proponuje to samo Robertowi.

– Niestety, nie przygotowałem dla pana kąpielówek.

Pruski ściąga spodnie i skarpety przy jednym z czterech leżaków. Minę ma nietęgą. Krępuje go woń własnych stóp, które uwięził w trampkach przeszło dwadzieścia godzin temu. W dodatku widać jasno, że w porównaniu ze starszym o trzy dekady Królikiewiczem wygląda na człowieka przedwcześnie zaniedbanego. Były agent

4077 ma brzuch płaski i wyrzeźbiony, do tego zdrową, ciemną cerę – co prawda nie bez zmarszczek – jest też całkowicie wydepilowany. A on, choć tyle lat młodszy... lepiej nie mówić. Tu fałda, tam bęben, jakiś pryszcz się zrobił na udzie i jeszcze te całkiem niemodne krzaki nad kutasem. Dobrze, że Miranda na to nie patrzy.

A może patrzy?

Gospodarz wciska jeden z kafli na ścianie i w lewym kącie basenu toń zaczyna kipieć. Robert jak najszybciej zanurza nogi. Woda jest rześka, w zakątku z bąblami jej temperatura rośnie. Jakieś urządzenie pod dnem pompuje ciepłą razem z powietrzem. Fajne to. Pan Medard układa się na podwodnym tapczanie z miękkiego tworzywa w taki sposób, że ponad powierzchnię wystaje mu tylko twarz. Pan redaktor, dołączając, wyobraża go sobie przez chwilę, jak w tej chłodno-gorącej kipieli uprawia miłość z czekoladową madame.

– Skoro mamy tak mało czasu i całkowitą pewność, że nie nagrywam, to może chociaż usłyszę, jak układają się obecnie pańskie stosunki z księdzem i senatorem? Widziałem go w tę niedzielę. Wyglądał nieszczególnie.

– Mówi pan o Andrzeju? Źle znosi sprawy sądowe. Odradzałem mu pewne ruchy, ale nie słuchał. Pan zwiedził Urantówkę, młody redaktorze?

– Pobieżnie.

– W takim razie wie pan pewnie, że gospodarstwo należy do mnie. Podobnie jak i połowa osady. Mam trochę nieruchomości wzdłuż zachodniej granicy. Lokata kapitału. Niestety, nie najbardziej trafna. Kryzys uczynił większość tych parceli niezbywalnymi. Ale mnie się nie spieszy. Andrzej chciał się gdzieś schować, odpocząć od Warszawy... Słyszałem od miejscowych zarządców, że się tam w przykry sposób zaniedbał.

– To prawda. Choruje i rzadko się goli. Wczoraj miał trafić do szpitala.

– Współczuję mu z całego serca.

– Wielebnemu Drozdowi też pan pomagał. Mam na myśli... startować biznesowo.

– Z księdzem prezesem od lat nie utrzymuję kontaktów. – Doktor robi przerwę i zmienia pozycję. Już nie leży na wznak, tylko oparty na jednym łokciu zwraca się w stronę Pruskiego. – Linia... religijno-ideowo-polityczna jego telewizji nie bardzo mi odpowiada. Te wszystkie ksenofobiczne wycieczki i bogobojna ostentacja... Franciszek zmienił się z wiekiem na niekorzyść.

– A Bruliański? Ferdynand Topaz?

– Nie znam człowieka.

– Nie zna pan teraz czy nie znał pan nigdy?

– Nie znam obecnie.

– Co to był Neptun?

Zapada milczenie, bąble pękają wokół ich obu, miejscami woda tryska w górę. Gospodarz wraca do pozycji na wznak.

– Trucizna, prawda? – Robert odgarnia z twarzy mokre włosy. – Trucizna, której sowiecka bezpieka używała już siedemdziesiąt lat temu. I którą musiała z czasem ulepszyć. Doskonały preparat do naszej „ostatniej akcji".

– Skoro pan wie... po co pytać? – Królikiewicz siada po turecku na swym podwodnym łożu. Teraz patrzy na Pruskiego z góry.

– Chciałbym usłyszeć to z pańskich ust.

– Lubi pan drogi na skróty, młody redaktorze. Dlaczego miałbym panu pomagać?

– Ponieważ zgodził się pan mnie przyjąć, podwozi mnie pan, karmi i kąpie... i nie wyrzucił mnie do tej pory. Nie musi się pan lustrować i ma sprawę w dupie, jeśli dobrze słyszałem. Ale jest pan

inteligentnym człowiekiem i wie, że moja książka powstanie. Będzie opowiadała między innymi o Drożdzie, senatorze i panu. Ale ja nie jestem potworem. I jeśli ktoś mi pomaga, także nie robię z niego potwora. Każdego można opisać jako skurwysyna, lecz można także z empatią. „Rzepa" o panu napisała i nic się nie stało.

– To były drobiazgi. Pan natomiast stawia tezę niejasną i nadzwyczajnie śmiałą.

– Niczego zbrodniczego panu nie zarzucam. Trwała zimna wojna, istniał Związek Sowiecki, wywiady ze sobą grały. A pan pozyskał agenta i go przetransferował. I pańska rola w mojej opowieści może się na tym zakończyć. Dalsza historia to pieniądze Bruliańskiego-Topaza i ciężkie wybory wielebnego...

– Na temat których ja nie muszę posiadać żadnej wiedzy.

– Ale ją pan posiada, ponieważ spotykał się pan z księdzem w nowej Polsce i on musiał opowiedzieć, jak się to wszystko skończyło.

– Niechaj opowie i panu.

– Kazał ochroniarzowi wykopać mnie za bramę. Dosłownie. Pański przyboczny zabiera mnie spod dworca, pańska pokojówka pięknie się do mnie uśmiecha, a w Białołęce oprych na usługach katolickiego księdza kopie mnie w dupę na oczach ludzi. Sam pan mi przyznał, że wkurza pana Telewizja Horeb. Mnie też. Skoro tak wiele mówią o miłości do Jezusa i sprawiedliwości... niech wielebny sam stanie w prawdzie, jak to powiadają.

Pan posiadłości śmieje się krótko – i chyba nawet szczerze.

– Neptun to raczej projekt niż substancja. Większość z tego, co na jego temat wiem, a wiem bardzo mało, pochodzi z ust osób zajmujących się zawodowo kłamstwem. Z tego powodu doradzam ostrożność, mój drogi. Nie wiem, czy może się pan opierać w swojej książce na tak niepewnych informacjach. Graniczących z plotkami.

– Zaryzykuję. Bruliański dał ampułkę wielebnemu, a ten wszedł z nią do komnat papieskich. Co dalej?

– A jak pan myśli?

– Nie wyobrażam sobie, żeby Drozd miał możność dolewania czegokolwiek Ojcu Świętemu do kawy.

– Pan chodzi do kościoła, młody redaktorze?

– Dawno nie byłem.

– Ale liturgia rzymskokatolicka nie jest panu nieznana?

Robert gwałtownie ślizga się na łokciu i łyka wodę. Wypluwa.

– Miało się odbyć wspólne nabożeństwo?! A Drozd miał koncelebrować? Dolewać wina do kielicha?

Gospodarz przez kilka sekund nie mówi nic. Potem pyta:

– Może mi pan przysłać egzemplarz tej książki, gdy już pan ją napisze?

– W zamian za jeszcze kilka słów o Neptunie.

– Ależ pan pewny siebie. – Królikiewicz nabiera wody w obie dłonie, zanurza w nich twarz i prycha. – Też zawsze taki byłem. Trzeba tylko wiedzieć, czego się chce... Neptun był udoskonalany przez dziesięciolecia. Wieloskładnikowy i wielozadaniowy. Wersja usypiająca, paraliżująca, radioaktywna, podtruwająca miesiącami, latami, całkiem trująca... Podobno stworzono preparaty z antidotum i takie, na które już nie ma lekarstwa. Jak się pan domyśla, posiadacz odtrutki ma praktycznie nieograniczone możliwości wpływania na działanie czy, powiedzmy konkretniej... na politykę osoby, której to antidotum jest niezbędne. Ale to tylko teoria. Obaj wiemy, że niedawno kanonizowany zmarł w sposób naturalny, a historia nie odnotowała, aby w interesujących nas latach miał się politycznie uginać przed wiadomymi siłami. I to by było na tyle. Zadowolony?

28.

Wtorek, 29 października, wieczór

Kamila Barańska-Pruska, kobieta o niebanalnej urodzie, miękkiej skórze i twardym charakterze, jest zmęczona. Niejaki Bajorek, facet bucowaty i nieprzewidywalny, producent plastikowych elementów do pralek, a zarazem jeden z największych klientów biura rachunkowego, w którym pracuje, zakwestionował sposób, w jaki rozliczyła mu formularz PIT. Samo zeznanie podatkowe Bajorka wymagane w związku z dużą transakcją gruntową byłoby dla Kamili robotą jak setki innych, gdyby nie to, że klient ten – deklarujący osobisty dochód na poziomie „ledwo" pół miliona rocznie – w tym samym okresie rozliczeniowym przepuścił przez ich biuro rachunki, faktury, umowy i promesy kredytowe na przeszło dwadzieścia pięć milionów. A granica między przedsięwzięciami podejmowanymi osobiście i tymi, w których podmiotem jest firma, w przypadku płatnika Bajorka zawsze była niejasna.

Tym razem kapryśnemu biznesmenowi nie spodobał się sposób przedłużenia przez Kamilę ulgi z tytułu wcześniej poczynionych inwestycji mieszkaniowych. Głupie dwa tysiące sto. A jednak pofatygował się osobiście do biura i oczywiście poszedł prosto do szefowej. Tłumaczenia Kamili, że sposób, w jaki rozliczyła króla plastików, zapewnia przynajmniej minimalną zgodność jego PIT-a z firmowymi rachunkami znajdującymi się w innych segregatorach, nie zrobiły na kierowniczce wrażenia. Do dziewiętnastej Barańska-Pruska poprawiała zeznanie, które ten ancymon podpisał wcześniej in blanco, a potem sama wiozła papiery na pocztę główną, by je nadać poleconym z dzisiejszą datą.

Teraz – w mieszkaniu – zdejmuje wreszcie buty na obcasach, woła donośnie: „Cześć wszystkim!” i idzie prosto do kuchni, by sporządzić coś do jedzenia. Chłopcy ze swego pokoju odpowiadają karnie: „Cześć, mama”, ale żaden się nie wychyla. Sterta brudnych talerzy, utytłany słoik w zlewozmywaku, okruchy na małym kuchennym blacie i rozmazany dżem na drzwiach lodówki wskazują, że obaj zaspokoili po powrocie ze szkoły pierwszy głód. Ich mama właśnie przygotowuje sobie kanapkę z serem i pomidorem, gdy ojciec rodziny wyrasta w przedpokoju niczym duch.

– Ciiiicho... – Kładzie palec na ustach. Podchodzi i całuje w policzek. Śmierdzi papierosami i wagonem PKP.

– Nie zamknęłaś drzwi – mówi półgłosem, a uśmiech ma przy tym diaboliczny. – Co by się działo, gdyby tu wtargnął gwałciciel?

Jego następna mina ma być jednocześnie pewna siebie i uwodzicielska, ale jest tylko żałosna. Nierówny zarost, częściowo już siwy, głębokie zmarszczki wokół oczu, do tego te zapachy... Nic pociągającego.

– Idź się przywitaj z synami i wejdź pod prysznic.

– Nie uwierzysz... ale dzisiaj kąpałem się w dżakuzi.

Kamila wzrusza ramionami. Nie pyta gdzie, kiedy, z kim. To nie jej sprawa. Nie zamierza wpuszczać byłego męża zbyt głęboko i sama nie chce być wpuszczana. Już nie. Patrzy, jak człowiek, którego kiedyś kochała nad życie, po cichu skrada się do pokoju ich dzieci.

– Buaaa! Bójcie się!! Kontrola czystości nóg, uszu i wacków!!

Mali Pruscy zrywają się z siedzenia.

– Tataaa!!!!

* *

Półtorej godziny później chłopcy leżą w łóżkach z czystymi uszami i resztą. A ich rodzice – za ścianą, na otomanie – zaczynają tysiąc pięćset siedemdziesiątą rozgrywkę małżeńską na wielowymiarowej planszy.

– Gdzie ty właściwie wczoraj byłaś? Przecież, kurczę, nie uwierzę, że siedziałaś w kinie sześć godzin.

– Jak zauważyłeś, ja cię nie pytam, z kim bierzesz kąpiele w bąbelkach.

– Ale ja ciebie pytam. To objaw troski.

– I mam rozumieć, że w ramach troski będziesz tu teraz wpadał niezapowiedziany na lotne kontrole?

– Wiem, że nie zostawiłabyś chłopców na pół nocy, żeby oglądać seanse... no, Kamcia... Powiedz tatusiowi, że miałaś ważniejszy powód. Jeśli się z kimś spotykasz, to... nie będę zły.

– Byłam u mamy w szpitalu. W Bydgoszczy.

– W szpitalu?

– Twoja teściowa, Robert, właśnie umiera.

– Skąd mam wiedzieć? Ty nie raczyłaś mi...

– Bo ciebie ona zupełnie nie obchodzi.

– Właśnie że obchodzi. Chłopcom coś mówiłaś?

– Tylko tyle, że babcia jest chora.

– A co jej...?

– Rak żołądka. Z przerzutami. Błyskawicznie się rozwija.

– Kurwa...

– No właśnie.

Kamila wstaje, by przygotować sobie herbatę. Robert wypala na balkonie dwa papierosy z rzędu. Ssie filtr intensywnie, a gdy wypuszcza dym, słyszy świst w płucach. W drugiej już dzisiaj paczce zostało ledwo pięć sztuk. Ogląda sympatyczny napis na pudełku: „Palacze tytoniu umierają młodziej".

Wieczór jest prawie mroźny, wokół wysokich latarni na Kraszewskiego kłębią się mgły. W większości okien bloku naprzeciwko niebiesko od telewizorów. Na murku wokół pustej piaskownicy – w tej chwili to jedna wielka kałuża – Chuda Lucyna, mama Brajana, kłóci się ze starą pijaczką, znaną Robertowi z widzenia lokatorką zrujnowanego garażu.

Zimno, aż w dupie trzeszczy. Gdzie ty masz, człowieku, ciepłą kurtkę? Tu, u Kamili, czy tam, u Galpera?

– Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu mamy. – Gdy ona wraca do pokoju z gorącym kubkiem w dłoni, on czeka już oparty o drzwi balkonowe z rękami założonymi na piersi. – Mogę ją nawet jutro odwiedzić, jeśli chcesz.

– Chcę.

– A śmierdziałem pociągiem, bo mi zabrali w sobotę prawo jazdy...

– Czemu nie jestem zdziwiona? Ale żeś chyba nie wypił?

– Nie... punkty-srunkty. I to tylko połowa kłopotów. Szkoła się przewróciła.

– Szkoła?

– Pierdolona szkoła dziennikarstwa. Już nie zapłacą ani zaległych... ani wcale.

– To znaczy, że twój wrześniowy przekaz był ostatni na dłużej...

– Wczoraj przelałem ci tysiąc pięćset, jutro o siódmej kasa będzie u ciebie...

– Dzięki.

– Ale to nie jest koniec marnych wiadomości. Mam złe przeczucia w sprawie „Rynku Sztuki".

– Robert, czy ty chcesz mi powiedzieć, że nie będziesz już wcale płacił... czy o co w ogóle ci chodzi?

– Chcę się pożalić, jak bardzo mam przepierdolone na różnych frontach.

– Przecież nowy bestseller piszesz.

– Piszę. Piszę.

– Co tak bez entuzjazmu? Nie potwierdził się romans dekady?

– Jaki romans?

– Jak to jaki? Romans „Żyletki" i Drozda.

– Nie potwierdził się.

– To o czym będziesz pisał?

– O Droździe i o papieżu.

– Uauu... Już widzę te kolejki przed księgarniami. Idziesz w literaturę kruchcianą?

– Idę w sensacyjny reportaż o tym, jak Drozd chciał podtruć papieża, ale mu coś nie wyszło. Lub się rozmyślił. A może i wyszło, tylko że środek działał bardzo długo.

– O czym ty bredzisz? Ksiądz prezes Drozd? Papieża Franciszka? Ty pijesz jednak. Przyznaj się.

– Papieża Jana Pawła II.

– Chcesz wejść w science fiction?

– To nie jest *fiction*. To prawda, którą potrafię udowodnić. Chyba. Ale lekko nie jest. Miała być miła i przyjemna robota, a zrobiło się coś zupełnie... niemożliwego.

– Wiesz co? Jakoś się o ciebie za bardzo nie martwię. Gorsze jest to, że ja mam wrażenie, że ty używasz tej pracy do tego, żeby nie być z nami.

– Przecież wysiadłem dziś tutaj z pociągu, chociaż powinienem minąć Toruń wielkim łukiem. Odkładam robotę, którą mam na termin, żeby do was przyjechać. Robotę, z której może być... kto wie, czy nie ostatnia kasa przed świętami.

– Dymne zasłony. Nawet mnie nie dotknąłeś rano, jak wychodziłeś.

– O to chodzi. Myślałem, że śpisz.

– Nie spałam.

– Teraz cię dotknę. – Podchodzi i bez wstępów wsuwa jej dłoń pod spódnicę.

– Masz zimne ręce.

– Masz ciepłą pupę.

Ona robi dwa kroki w tył, odstawia herbatę na półkę i gasi światło. On postępuje za nią, jak w tańcu, nie puszczając elastycznego pośladka. W zagłębieniu skóry pomiędzy wypukłością a udem zebrało się trochę wilgoci. Druga dłoń Roberta już rozpina przednie zatrzaski spranej kiecki z teksasu, którą Kamila kupiła sobie chyba jeszcze przed urodzeniem Krzysia. Jeden z zatrzasków pęka... ach... nie szkodzi. Natarczywość rąk samca bardzo się jej nagle podoba. Czuje język łaskoczący ją w szyję i obiecujący napór rosnącego członka, kiedy on – wciąż na stojąco – wsuwa kolano między jej uda. Jakie to, cholerka, proste. Wpada do domu zagoniony facet, nawet niespecjalnie atrakcyjny i, prawdę mówiąc, dość stary... Zaraz zrobi swoje i za kwadrans zaśnie.

I tak ma być! Przynajmniej dzisiaj.

Nie ma już biura rachunkowego, choroby mamy, niezapłaconego ubezpieczenia mieszkania... Gorączka rośnie, po plecach przebiegają dreszcze, ona rozpina pasek przy jego spodniach, on ściąga z niej biustonosz.

– Weź mnie od tyłu. Natychmiast... albo spadaj.

Kamila obraca się i pochyla. Zajęcia jogi, na które tak pilnie uczęszczała przez ostatnie cztery miesiące, bardzo się teraz przydają. Opiera dłonie o wytarty dywan, a żylaste męskie ręce, zaciśnięte

na biodrach, unoszą jej pośladki w górę tak, że musi stanąć na palcach.

29.

Środa, 30 października.
18 dni przed tragedią w Białołęce

I'm on the highway to hell... On the highway...

– Obudziłam cię? – Maja pyta cicho i jakoś tak, jak gdyby nie rozmawiali przez telefon, tylko przez kratkę konfesjonału.

– Taaa... hgh-hrhh-ghhrrr... nie szkodzi. – Pruski z trudem wydobywa z siebie głos. Drażniąca błona w gardle nie chce się oderwać. – Coś się stało?

– Znalazłam album. Włoski. *Raggiungere il cuore della gente*. Rok wydania tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty. Wszystkie wizyty składane papieżowi są na zdjęciach. Daty, opisy, nazwiska gości. Maksymalnie szczegółowo. Jest tego trzynaście tomów. Do kupienia w Watykanie.

– Cudownie, dziś tam polecę... – Robert wstaje od stołu, przy którym zasnął nad tekstem o „Krokusie", „Ikarze", Bruliańskim – Topazie i księdzu Droździe. Oraz o polskim papieżu.

Spał na siedząco ledwo cztery godziny. Boli go krzyż, kark, jedna noga jest zdrętwiała od kolana w dół. Idąc w stronę kuchni i kranu – upragnionego źródła wody – utyka tak mocno, że musi się opierać wolną ręką o ścianę. Za oknem popielaty przedświt. – Która jest godzina?

– Siódma za pięć. Nie musisz nigdzie lecieć. Album stoi i czeka także w ofercie antykwariatu katolickiego, ulica Bednarska,

Warszawa, Polska.

– Czyli gdzie?

– Boczna od Krakowskiego, słoiku.

– Dziękuję, że przypomniałaś, kim jestem. Zabiorę dla ciebie jakieś kotlety i trochę dukanych ziemniaków.

– Jesteś w Toruniu?

– Tak.

– Z rodziną?

– Tak jakby. Ale wszyscy jeszcze śpią. Możemy gadać.

– Miło się spało z Kamilą?

– Spało się kiepsko i krótko. Przy stole z głową na klawiaturze. – Nie odrywając telefonu od ucha, pochyla się nad kranem i pije. – Jeszcze mam odcisk od spacji na czole.

– I tak zazdroszczę. Ja wcale nie spałam. Cały dzień przy telefonie, cała noc w necie. Namierzałam Topaza... Koleś ma dziesięć razy więcej adresów i telefonów niż Królikiewicz.

– Coś wyszło?

– Gówno. Ciągle rozmawiam z sekretarkami firm, jakimiś ochroniarzami, raz nawet z prawnikiem. Dionisio Marciel mi pomagał, ale i to na nic. Chodzę z komórką nawet do toalety, jakby ktokolwiek oddzwonił... Z Neptunem też maksymalna porażka. Wiem wszystko o radioaktywnych metalach, o Posejdonie i Amfitrycie, o telewizorach z Unimoru, przed godziną czytałam o zielonej rdzy. Bardzo ciekawe rzeczy.

– Jesteś gorszą wariatką niż ja. Prześpij się, a o Neptunie zapomnij. Medard mi wszystko powiedział, jak się spotkamy, usłyszysz. Mów mi o albumie.

– Na stronie antykwariusza jest napisane, że ostatnie trzy tomy, za lata osiemdziesiąt osiem – dziewięćdziesiąt, są do wzięcia. Sto dwadzieścia złotych od sztuki.

– Będę po południu na Centralnym.

– Koleś otwiera o czternastej, zamyka o siedemnastej. Chyba nie ma tam u niego wielkiego ruchu. Telefon tylko stacjonarny. Wyślę ci SMS-em razem z numerem domu. I zadzwoń, jak tam dojdziesz, podjadę po ciebie.

– Idź spać, już jasno. Wieczorem pomyślimy jeszcze, jak by się dostać do Drozda. Najważniejsze wątki mam już spisane. Nadchodzi czas na komentarz bohatera. Widzimy metę.

* *

Domowy poranek jest pełen hałasów i zamieszania. Trzy szykujące się do wyjścia osoby na jedną łazienkę to sporo. Robert uspokaja kłócących się synów, robi kanapki, pomaga szukać kluczy, worka z rzeczami na basen i zaginionej komórki Krzysia. Przed wymarszem wykrywa u niego dziurę w podeszwie buta. Kurtka starszego syna też jest dziurawa. Ale Kamila – od rana naburmuszona – nie ma ani czasu, ani ochoty na rozmowę o garderobie dzieciaków. „Masz czas, to idź z nimi po szkole do sklepu i kupuj". Wychodzi z mieszkania pierwsza, przypominając jeszcze w progu o pochopnie obiecanej wizycie u chorej teściowej. Dwie minuty po mamie Krzysztof wybiega na autobus.

Kiedy po wyjściu Jasia w domu robi się wreszcie cicho, Robert rozgrzewa patelnię, by usmażyć dla siebie jajecznicę. Nokia odzywa się w tylnej kieszeni spodni. Tym razem dzwoni jego matka.

– Co tam u ciebie słychać? Tak dawno nie dzwoniłeś...

– Zajęty jestem trochę, mamo.

– Studenci, rozumiem, studenci... Pamiętaj, żeby nie kończyć wykładów przed czasem.

– Dobrze, mamo.

– Kiedy przyjedziesz do Torunia?

– Eeee... tego-ten... nie wiem dokładnie.

– Święto Zmarłych się zbliża, nie możesz zapomnieć. Pomożesz mi z grobem taty. Trzeba porobić porządki. Ławka jest całkiem obluzowana...

Dociskając ramieniem telefon, przeszło czterdziestoletni syn słucha cierpliwie potoku słów rodzicielki i rozbija jajka.

– ...a co ty tak nic nie odpowiadasz? Ty słuchasz?

– Słucham, słucham... Nie mówię, bo jem śniadanie.

– To bardzo dobrze. Śniadania są najważniejsze. Pamiętaj, by jeść cebulę. Teraz jest tyle wirusów... jak tam pogoda w Warszawie? Nie powinieneś być już na uczelni? Zaraz dziewiąta.

– O cholera! Rzeczywiście. Uściski!

Myjąc pod kranem talerz, myśli o tym, że ani w piątek, ani w sobotę nie pójdzie z matką na cmentarz – czeka go przecież obiecane wędkowanie z młodszym synem. Chorej teściowej też dziś w szpitalu nie odwiedzi. Pociąg do Warszawy odchodzi za godzinę i dziesięć minut. Antykwariat przy Bednarskiej czeka. Maja właśnie przysłała dokładny namiar.

* *

Na Krakowskim Przedmieściu świeci słońce. Chodnik po stronie Pałacu Prezydenckiego i Bristolu wysechł na wietrze, w boniowaniach murów wygrzewają się ostatnie tłuste muchy. W coraz krócej trwającym, chwiejnym cieple dnia jest coś złudnego, chorowitego, zapowiadającego ostateczne zwycięstwo cholernej polskiej szarugi, zimnych nocy, późnych poranków i szronu na ulicach.

Po telefonicznej rozmowie z Weroniką, która nieswoim głosem poinformowała go w imieniu Miłosza, że nie dopinają się reklamy w „Rynku Sztuki", Robert jest rozkojarzony i przygnębiony. Nie

zdarzyło się, od kiedy robią pismo, by z ogłoszeniami stali aż tak fatalnie.

Dwa razy pyta przechodniów o Bednarską, ale i tak idzie za daleko, z czego zdaje sobie sprawę dopiero wtedy, gdy widzi elewację Świętej Anny.

Na kościele portret Jana Pawła II. Wiatr lekko nim chwieje. Dlaczego teraz, w październiku? Urodziny miał w maju. Śmierć – w kwietniu. Zamach Ali Ağcy też w maju. Zamach szalonego Juana Krohna to znów maj. Niedawna kanonizacja – ponownie kwiecień. Co było w październiku?

Z kościoła wychodzi starsza kobieta. Idzie szybko, wprost na Pruskiego, ma białą czapkę z grubej wełny, na nogach buty, jakie sto lat temu nosili narciarze.

– Proszę pani, przepraszam... ten papież, tutaj nad nami...

– Święty kościoła – głos spod białej czapki jest niski, męski, twarz także surowa.

– Tak, tak. Święty, no właśnie. Ten obraz, portret... Jaka jest teraz okazja papieska?

– Okazja?

– Rocznica może?

– Szesnasty października. Rocznica pontyfikatu.

– O, kurwa!

Kobieta marszczy brwi i na jej czole pojawia się pionowa bruzda. Macha mu ręką przed nosem, jak gdyby chwytała brzydki wyraz, by rozetrzeć go w zaciśniętej pięści. Odchodzi wzdłuż arkad i kolumn biblioteki rolniczej. Robert, odprowadzając ją wzrokiem, myśli o szesnastym października 1989 roku i paskudnym sowiecko-ubeckim zwyczaju dokonywania podłości w bardzo znaczących terminach. O ludziach zamordowanych przez bezpiekę z okazji

rocznic pierwszego maja, dwudziestego drugiego lipca, siedemnastego września i tak dalej.

Musi się trzeci raz zapytać, gdzie jest Bednarska. Spośród kilkunastu przechodniów wokoło wybiera wysokiego jegomościa w skórzanym płaszczu do kolan i zgniłozielonym kapeluszu myśliwego. Wiek: na oko pięćdziesiąt lat. Pod wydatnym nosem ciemnieje ekscentryczny wąsik à la Adolf Hitler, na nosie ma okulary w złoconych metalowych ramkach. Brakuje mu tylko piórka i dwururki na plecach.

– Bednarska? Tutaj zaraz... Może pan iść ze mną. – Mężczyzna zwalnia tylko na moment i zachęcająco macha dłonią w cienkiej rękawiczce. – Którego numeru pan szuka?

– Antykwariatu.

– W takim razie już go pan znalazł. Idę otworzyć.

– Pan jest antykwariuszem?

– Wolę określenie: „księgarz". Moje nazwisko Wojsław Maria Czeń. Przez „ce" i „zet".

– Robert Pruski. Przez „pe" i „er".

– Co za spotkanie... bardzo mi miło. – Właściciel antykwariatu dopiero teraz przystaje, obraca się przodem i najpierw uchyla kapelusza, a potem zdejmuje rękawiczkę, by uścisnąć prawicę Roberta, patrząc mu przy tym w czubek głowy. Wojsław Maria ma zeza, astygmatyzm albo jedno oko szklane, w każdym razie coś w tym spojrzeniu nie gra. – Kupuję „Rynek Sztuki" od drugiego numeru, mój panie. I zbieram wydania.

– Mogę panu podesłać numer pierwszy.

– Byłbym zachwycony. A pan się fatyguje w me niskie progi w sprawie jakiejś konkretnej pozycji?

– Szukam albumu z prywatnymi audiencjami Jana Pawła II. Wydanie włoskie. Trzynastotomowe z 1990 roku.

– Rozumiem. Skąd pan wie, że je mam?

– Koleżanka przeczytała na pańskiej stronie.

– Rozumiem. Zaznaczyłem tam, że niestety brakuje kompletu tomów, choć bardzo mi zależało na scaleniu edycji.

Schodząc w piękną, wąską i spadającą ku Wiśle brukowaną uliczkę, dwaj wysocy mężczyźni – jeden w błyszczącym płaszczu, drugi w podniszczonej wiatrówce i z torbą na ramieniu – rozmawiają o mizernym czytelnictwie w Polsce. Piętnaście minut później, rozluźnieni niczym starzy kumple, piją herbatę z sokiem malinowym. Na stojąco, ponieważ między regałami pełnymi niemożebnie ściśniętych książek i starych żelazek nie ma miejsca, by usiąść.

– Widzę, panie Robercie, że ten egzemplarz zainteresował pana najbardziej. – Antykwariusz odstawia filiżankę na wąski parapet okna – jedyne miejsce, gdzie zachował się skrawek przestrzeni. Bierze czarne żelazko w dwie ręce, podnosi pokrywę z pomocą uchwytu w kształcie głowy lwa i prezentuje puste wnętrze. – Jak pan widzi, nie ma tu duszy. I nie dlatego, że zaginęła. Ten typ, produkowany w Danii do końca XIX wieku, opalany był węglem drzewnym. Stąd otwory po bokach. Firma braci Lukasa i Madsa Albaeków wytwarzała do tego rodzaju żelazek specjalne dmuchawy pomagające podtrzymać żar bez konieczności otwierania pokrywy... – Wojsław Maria Czeń poprawia zjeżdżające na nos okulary. – Rozumiem, rozumiem... mój panie Robercie, ja mógłbym tak panu opowiadać i opowiadać, a pan już pewnie chce zobaczyć książki. A zatem... tutaj to mamy... Miały być ostatnie tomy, tak? Proszę.

Żelazko wraca na swoje miejsce, gospodarz wraca do popijania herbaty, a jego gość przekłada w rękach trzy ciężkie tomiszcza w sztywnych okładkach. Album *Raggiungere il cuore della gente* wydano na drogim kredowym papierze, format jest nieco tylko

mniejszy od A3, każda z ksiąg obejmuje jeden rok i waży przeszło kilogram. Ze wszystkich trzech okładek patrzy na Pruskiego papież Polak.

– Mogę tu oprzeć? Chciałbym zajrzeć tylko do tego jednego...

– Ależ oczywiście. Jest u mnie nieco ciasno, przyznaję, lecz ja wolę określenie: wykorzystana przestrzeń. Metr na Bednarskiej nie jest tani.

Robert otwiera w połowie tom z roku 1989. Sierpień, wrzesień, październik. Na zdjęciach papież, prałaci, zakonnice, szambelani, freski, witraże, marmurowe ściany, złote akanty, garnitury, sutanny i ciężkie krucyfiksy. Pod zdjęciami niedługie podpisy. Drugi, czwarty, piąty, potem od razu siedemnasty października... Szesnastego nie ma. No tak, Maja pisała w jednym z plików, że od szóstego do szesnastego papież był w Korei, Indonezji i gdzieś jeszcze. Nastąpiła obsuwa o jeden dzień? Możliwe... Ale przy dacie siedemnastego – też nic, czego można by się chwycić. Jedno zdjęcie. Nabożeństwo, a może tylko wspólna modlitwa w prywatnej kaplicy. Jasne ściany, ciemne figury na wysoko zawieszonych postumentach, Jan Paweł II na klęczniku. Nie ma tu Drozda...

Robert przerzuca kartkę, kolejna data – osiemnasty października. Przy Ojcu Świętym uśmiechnięci Murzyni w habitach białych jak ich zęby. Dalsze zdjęcia są już z listopada. Cholera!

Znowu wpatruje się w obraz z siedemnastego. Widać mensę ołtarza przykrytą białą draperią, złote tabernakulum, fragment mozaiki z Chrystusem Zmartwychwstałym i aniołami, zielony marmur posadzki. Papież klęczy, obok niego bokiem do obiektywu stoi nisko pochylony bardzo śniady biskup w czerwonej piusce i złoto-białym ornacie. Przy krawędzi zdjęcia jeszcze jeden duchowny – mleczny zakonny habit z półkolistym jasnym kołnierzem, ciemny pas, w ręce – co to jest? Mały kanciasty

sakwojaż? Bez sensu. Nie idzie się na audiencję papieską z ręcznikiem i skarpetkami w torbie. To jest kamera.

Twarz zakonnika, widoczną tylko w połowie, przesłania coś nieostrego – może czyjeś ramię.

– Czy ten z kamerą to może być ojciec Teodor Rejke?

Księgarz przygląda się fotografii, podnosząc dwoma palcami oprawkę okularów.

– To możliwe... Profil twarzy, krój i barwa habitu, wzrost... wszystko się zgadza. A to jest biskup Damiano Caelerrini. Rzymski hierarcha pochodzenia libijskiego. Zresztą przeczytajmy dokładnie... pan nie zna włoskiego?

– Niestety.

Wojsław Maria krzywi się, jak gdyby Robert wyznał mu, że nie zna także i mydła. Przebiegając wzrokiem po tekście, który zajmuje pół strony, bezgłośnie porusza ustami. Przez jego zez Pruski nie może oprzeć się wrażeniu, że antykwariusz patrzy obok książki.

– Ciekawa rzecz. Ten podpis różni się od większości pozostałych. To nie jest wyłącznie sucha informacja, ale także cytat z relacji uczestnika spotkania opisanego tu jako magister Georges Nito z Jugosławii.

– I co ten magister?

– Wspomina, że jego grupa nauczycielska dostała się przed oblicze papieskie dzięki życzliwości ojca Teodora Rejkego, Polaka.

– Cudownie.

– Niech pan posłucha dalej, mój redaktorze. On relacjonuje, że podczas *baciamano*...

– Podczas czego?

– ...uroczystego całowania pierścienia... zaszło coś, co, jak twierdzi, będzie pamiętał do końca życia. Polski ksiądz, niech pan poczeka... targany wcześniej emocjami i wzruszeniem...

– Podaje imię? Nazwisko tego księdza?

– Niestety nie. Mamy tu tylko „sacerdote polacco”... tak? Duchowny z Polski, zdjęty nagłym wzruszeniem, najpierw podszedł, by ucałować pierścień, a potem popłakał się i zaczął coś krzyczeć po polsku. A Jan Paweł II coś mu, również po polsku, odpowiedział. Po słowach papieża magister Nito ujrzał „Polacco” wybiegającego z sali.

– Z jakiej sali? Z kaplicy papieża?

– Pada określenie „stanza”. A w innym miejscu, wcześniej, mamy „settore”.

– Co to znaczy?

– Sala, salon, pomieszczenie, pokój, może część pomieszczenia...

– Całowanie pierścienia odbywa się przed nabożeństwami czy po?

– Nie jestem specjalistą od protokołu watykańskiego. Ale rozumiem z kontekstu, że w tym wypadku wcześniej. Relacjonujący używa dalej słowa „nieobecny”. Tak jakby nasz „Polacco” był wcześniej zaproszony do udziału w modlitwie, lecz odstąpił od obecności.

– Obecności gdzie? – Album drży Robertowi w ręce.

– Obecności w trakcie celebry. Tak to rozumiem. O, tutaj... w czwartym zdaniu... – Antykwariusz wiedzie długim kościstym palcem wzdłuż linii tekstu. – „Nieobecny podczas modlitwy duchowny z Polski, targany wcześniej emocjami i wzruszeniem...”. Pana, jak widzę, też jakieś emocje dopadły.

– Przepraszam... Szukałem u pana potwierdzenia pewnych moich zwariowanych domysłów. To długa historia. Piszę biografię księdza Franciszka Drozda.

– Oho-ho! I owa biografia ma coś wspólnego z pożałowania godną sytuacją wykreowaną przez gazety brukowe?

– Tak było, gdy zaczynałem pisać, ale już nie jest. Okazało się, że w życiu księdza Franciszka są epizody dużo ciekawsze i spychające na daleki plan historię z „Żyletką" Koon.

– A zatem pan podejrzewa, że to ksiądz Drozd jest naszym „polskim duchownym", tak?

– Jestem pewien.

– I zna pan przyczynę jego dziwnego zachowania? – Wojsław Maria wskazuje brodą zamknięty już album.

– Chyba znam, ale jeszcze za wcześnie, bym o tym mówił. – Pruski stara się uśmiechnąć życzliwie.

– Bardzo ciekawe... – Antykwariusz nie sprawia wrażenia urażonego. – Ksiądz prezes Drozd to rzeczywiście dziwny człowiek. I tajemniczy, chociaż pozornie wszyscy znamy go doskonale. Sprawia wrażenie, jakby się stale czegoś obawiał. Wydobycia jakiejś tajemnicy na światło dnia... Pan jest wierzący?

– Nie nazwałbym siebie katolikiem.

– Rozumiem. Ma pan jednak świadomość, że nie wszyscy katolicy w Polsce identyfikują się z tym, co określamy mianem „przesłania Telewizji Horeb"... czy tak?

– Mam tego pełną świadomość. I nie mam żadnych niecnych celów wobec Kościoła, religii, katolików polskich, włoskich ani nawet telewizji z Białołęki. Czy mogę sfotografować tę stronę?

– Rozumiem, mój panie Robercie, że pan nie kupi albumu...

– Dam panu szansę skompletowania wszystkich tomów i sprzedania tego za większe pieniądze. Odwdzięczę się „Rynkiem Sztuki" numer jeden. Trzy egzemplarze z odręcznie wypisanymi pozdrowieniami od całej mojej redakcji specjalnie dla pana, mój panie Wojsławie – kończąc to zdanie, Pruski jest pewien, że przeszarżował.

A jednak nie. Antykwariusz jest zachwycony.

30.

Środa–czwartek, 30–31 października

Maja telefonuje w momencie, gdy Robert wspina się po wykruszonych stopniach na most Poniatowskiego. Ma pretensje, że nie zadzwonił, jak było umówione.

– Wynikł spory problem w redakcji. Idę tam najpierw.

– Jak spory?

– Jak byk. Za tydzień drukarnia, a my nie mamy dość reklam, by zbilansować objętość.

– Słoików z kotletami dla mnie też zapomniałeś? I z dukanymi ziemniakami?

– Zapomniałem. Ale mam dobre wieści z Watykanu.

– Podjadę po ciebie, to mi opowiesz.

– Mówię ci, że najpierw muszę zajść na Francuską.

Przekomarzając się z Majką, idzie dalej chodnikiem wzdłuż balustrady mostu. Wisła w dole, węższa niż w Toruniu, w zapadającym cieniu ma kolor mchu. Jeżeli w ciągu tygodnia nie uda się zebrać wystarczającej liczby ogłoszeń, by numer był opłacalny, pozostanie zadzwonić do Szymona Galpera i zameldować o sytuacji. Niech decyduje – idziemy w deficyt czy wstrzymujemy maszynerię. Weronika, kiedy już siedzą razem nad tabelkami Excela, jest tego samego zdania. Ale przed telefonem do Stanów, jak mówi, należy zrobić wszystko, co się da, by uratować numer.

Miłosz chodzi po redakcyjnym pokoju w tę i z powrotem, grzebiąc oburącz w szopie skotłowanych włosów, które sterczą mu nad uszami. Czuje się winny. Z osiemnastu już zamakietowanych stron reklam dostał dotychczas potwierdzenia na siedem i pół.

Pomysłów rozwiązania sytuacji jest sporo, lecz sensownie wyglądają tylko trzy. Pierwszy: dać nadzwyczajne rabaty i obdzwonić reklamodawców z ofertą *last minute*. Drugi: zamieścić ogłoszenia *non profit* – jak zawsze w kolejce do publikacji czeka kilka półkolumnowych wezwań do wsparcia dziecka chorego na białaczkę albo ratowania kulawych źrebaków zagrożonych zmieleniem w rzeźni. Nie będzie z tego pieniędzy, ale da się zachować gotową już strukturę numeru. Koncept numer trzy: podkulić głęboko ogon i zaoferować teksty sponsorowane kilku takim, którym w lepszych czasach się z godności poodmawiało.

Ostatecznie decydują się skorzystać ze wszystkich trzech dróg ratunku.

– A jeśli do wtorku nie zbierzemy dziesięciu pełnych kolumn, zjeżdżamy z objętością i dzwonimy do Galpera.

– Musimy wtedy przełamać, przenumerować, przenieść rozkładówkę...

– Lepiej wystawić sześćdziesiąt stron, niż wchodzić w grubszy debet. Robimy swoje. Robicie. Ja muszę wracać do książki.

* *

– Wielebny nie wytrzymał ciśnienia i przyznał się, że przyjechał zrobić coś złego, a Wojtyła kazał mu spieprzać. To jest jedyne logiczne wyjaśnienie całej zawieruchy.

– Jednak koronnego dowodu nie mamy. – Kierująca toyotą Majka wysłuchała informacji, nie przerywając, i dopiero teraz, kiedy stają w zakorkowanej Dolinie Służewieckiej, przygląda się Robertowi uważnie. Widzi niemłodego już gościa na skraju nerwowego wyczerpania. Kolesia pochłoniętego sprawą, która go przerasta.

– I nie będziemy go mieli. Na sali Polacy stali z tyłu. Wpadli w ostatniej chwili w zastępstwie innej grupy, zdaje się lalkarzy. Pierwsze rzędy zajmowała ekipa z Jugosławii i Włoch. A przy samym papieżu stał jeden biskup, z pochodzenia Arab albo Tuareg. I ojciec Rejke. Oraz fotograf. Jest podpisany pod zdjęciem, jest jego notka w albumie. Rodowity Włoch. Więc jeśli Drozd coś powiedział po polsku, a papież mu tak samo odpowiedział, to treść poznał wyłącznie Rejke.

– Który nie zostawił żadnych wspomnień, wywiadu rzeki... niczego. To już sprawdzałam.

– Mamy więc to, co mamy. Relacja od Słyszka i Holby plus album. Dwa źródła niezależne... jakkolwiek by patrzeć.

– I na takiej tylko podstawie będziesz pisać, że ksiądz prezes chciał podtruć Polaka Wszech Czasów? – W głosie Mai pojawia się rozchwiana nuta, jak gdyby kogoś przedrzeźniała.

– Bo ja w to po prostu wierzę. I ty też! – Robert splata dłonie na karku. – Mnie nie chodzi o to, czy wielebny jest antysemitą, czy Telewizja Horeb to szczujnia przeciw pedziom i transom... Chodzi tylko o prawdę, za przeproszeniem. Nasze przesłanki są spójne. I nie możemy udawać, że nie widzimy, do czego prowadzą.

– Zagryzą cię. Nas zagryzą.

– Kto?

– Widzowie Horeba, poplecznicy Drozda, pół Polski.

– I co mi zrobią? – Robert kładzie ręce na kolanach, ale tylko na chwilę. Za moment już bawi się zapalniczką. – Ogłoszą z anteny, że mam długi? Napiszą, że mnie wyrzucili z uczelni, a kiedyś z mieszkania? Powiedzą w anielskich wiadomościach, że mi zabrali prawo jazdy? Zilustrują zdjęciem, jak spałem, nawalony, w śmietniku?

– A spałeś?

– Spałem. Właściwie to nie śmietnik, tylko zsyp z wejściem od tyłu bloku. Kamila mnie kiedyś nie wpuściła naprutego, a była zima... Szczegółów nie pamiętam. Zresztą... co z tego teraz wynika? Nic. W dupie to mam. Ja nie jestem ważny, książka jest ważna, skup ważny, temat ważny. Niech potem sprawdzają prokuratorzy IPN-u życiorys Franciszka, niech odnajdują tych Włochów. Ja nie jestem policją. Jest nas tu dwoje, nikt więcej, prawda? – Rozgląda się po ciasnym wnętrzu samochodu, jak gdyby kogoś szukał. – Napiszemy prawdę, choćby gówna z nieba leciały.

– Trzeba z nim jeszcze raz porozmawiać.

– Zgoda. Trzeba. Pojadę znowu do Białołęki. To, że udało mi się porozmawiać z Królikiewiczem, powinno wielebnego zmiękczyć.

Suną w powolnym korku wzdłuż szarych bloków Ursynowa. On opowiada o pięknej Mirandzie i wielkim basenie, ona słucha w milczeniu. Ale gdy wreszcie wjeżdżają w Puławską i na asfalcie robi się luźniej, dotyka dłonią szyi Roberta, a jej myśli zaczynają krążyć wokół czegoś innego niż książka. Pięć minut później, przed przejazdem kolejowym w Piasecznie, on także zapomina o wielebnym, jego ucieczce z papieskich apartamentów i ledwo widocznych śladach, jakie po tym wszystkim zostały. Zapomina nawet o „Rynku Sztuki". Zaczynają się kochać jeszcze w przejściu z garażu do domu. Konsul Konstanty Szalawski kazał wyłożyć ten fragment posadzki przyjemnie podgrzewanymi, ale zarazem bardzo śliskimi kamiennymi płytami, które nie dają należytej przyczepności kolanom. Właśnie przez to redaktor musi się zapierać stopami o uskok progu. Potem inicjatywę przejmuje Majka – i oboje raźno ruszają na szlak oznaczany częściami porzuconej garderoby. Jego buty i spodnie, jej trencz i wysokie pantofle, jego wiatrówka i sweter, jej spódnica i bluzka, majtki, pończochy, jego skarpetki... Jako ostatni spada usztywniony biustonosz w kolorze kakao.

Po nim przez prawie godzinę na parkiet, kafle, stół i obicia foteli padają już głównie krople potu.

O siódmej wieczór wypompowany kochanek zasypia na podłodze. Maja podkłada poduszkę pod jego zarośnięty policzek i okrywa golasa ojcowskim pledem w egipskie wzory. Fizycznie zmęczona, ale psychicznie pobudzona siada w jadalni do alienware'a, by kontynuować przerwane po południu badania szerzej nieznanej fundacji Lux Perpetua z siedzibą w Kamieniu Pomorskim. Zwróciła na nią uwagę, bo już sama nazwa pasuje do poetyki Drozda. Arka, Horeb, Anioł Pański, Światłość Wiekuista... Jednak jasnego połączenia na razie nie widać. Trzeba szukać głębiej.

* *

Roberta budzi drapanie w gardle, duszący klej w nosie i bicie zegara w pokoju kominkowym. Były trzy uderzenia czy więcej? Trzy kwadranse po pełnej godzinie? Czy może trzecia w nocy? W przytulnym blasku przyściennych kinkietów oświetlających pejzaże francuskich pastelistów przechodzi do wielkiej kuchni. Dwuskrzydłowa lodówka z wyświetlaczem potwierdza: jest minuta po trzeciej.

Wnętrze chłodziarki przypomina dobrze zaopatrzony sklep. Na początek wybiera świeży sok marchwiowy. To dla zdrowia. A dla człowieka – pall mall. Jak najciszej wciąga wczorajsze ubranie, które Majka ułożyła na kupce przy ścianie. Otwiera drzwi na taras i wychodzi do ogrodu. Księżyc w pełni wśród poszarpanych, dramatycznie podświetlanych obłoków przywodzi na myśl malowane tło do przygód dzielnego i sprawiedliwego Zorro. Trawa chrzęści pod podeszwami trampków. Pierwszy mróz tej jesieni.

Dziesięć minut później, skradając się jak stary Indianin, wchodzi na piętro, aby podejrzeć Majkę.

Leży plecami do góry przykryta kołdrą do wysokości łopatek, z brodą wysuniętą poza skraj szerokiego tapczanu. Oddycha tak cicho, że w pierwszych chwilach Robert w ogóle tego nie słyszy. Sam także stara się nie wydać najmniejszego dźwięku. Długo stoi w uchylonych drzwiach, próbując dociec, a raczej nazwać w myślach, co właściwie czuje do tej dziewczyny. Nie dochodzi do jednoznacznych wniosków.

Schodzi na dół i otwiera laptopa, by wkrótce zatracić się w opisie historii Telewizji Horeb. Pisze szybko, szkicując kolejne sceny i konflikty. Boje wielebnego Drozda o przyznanie pasma nadawczego. Sądowy spór o ujawnienie majątku fundacji Angelus Dei, czego domagała się jakaś lewacka instytucja pozarządowa o nazwie Stowarzyszenie Racjonalistyczne. Oskarżenia o ksenofobiczne treści w eterze – ze strony tej samej organizacji. Rozbudowa siedziby Horeba w Białołęce. Otoczony legendą sejf ojca Franciszka: pełen pieniędzy, jak chcą jedni dziennikarze, lub drażliwych informacji o politykach, jak twierdzą inni. Zbiórka pieniędzy na kamiennego papieża i dwa konkursy dla projektantów pomnika. Kwesty organizowane przez księdza prezesa na całym świecie. Jego kolejne wizyty w Watykanie – u Jana Pawła II i Benedykta XVI. Bezskuteczne zabiegi o audiencję u papieża Franciszka. Incydent z dziennikarką „Faktu" w samolocie Lufthansy. Wreszcie: wylot na Fuerteventurę i prowokacja mściwego tabloidu. W to miejsce przeklei się biografię Karoliny i historię jej przyjaciółki Denerys. Trochę pikantnego seksu dobrze zrobi całej historii.

O siódmej rano tekst osiąga równe sto stron wordowskich. Jeszcze kilka dni i książka będzie gotowa w wersji zero. A jest dopiero trzydziesty pierwszy. Poznaniacy powinni być zachwyceni

tempem. Trzeba to uczcić. Na przykład śniadaniem. Kiedy ty, chłopie, ostatni raz jadłeś? Wczoraj rano?

Najpierw fajka.

Paląc w ciemności pall malla – w paczce zostało jedenaście sztuk – czuje, że dym ma gorszy smak niż zazwyczaj. Jakby papieros zamókł. Ale tak nie jest. Z tytoniem wszystko w porządku. To ty jesteś przeziębiony, człowieku... Masz kaszel, katar, świsty w płucach, bóle głowy, ręce znowu się trzęsą.

W pustej kuchni pije herbatę z cytryną i zjada dwie grzanki z miodem. Świętej pamięci ojciec, który pijał miodowe nalewki o mocy nie niższej niż siedemdziesiąt procent, powtarzał, że „owoc pszczelego trudu dobrze robi". Ale lepiej – tego już stary nie mawiał – robi aspiryna. Z kupionego na toruńskim dworcu zielonego listka firmy Bayer zostały cztery pastylki. Łyka je wszystkie, a potem dzwoni do siedziby Horeba. W sekretariacie – to jedyny jawny numer całej instytucji – nikt nie odbiera. Może wpół do ósmej to dla nich za wcześnie? Po szóstym długim sygnale coś jednak pika dwukrotnie i odzywa się nagrany żeński głos. Kobieta prosi o pozostawienie wiadomości.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dzień dobry. Nazywam się Robert Pruski, miałem już przyjemność rozmawiać z księdzem prezesem w środę tydzień temu. Chodzi o wypowiedź, którą mógłbym zamieścić w książce, jaką przygotowuję. W środę pożegnaliśmy się z księdzem prezesem bez... bez jednoznacznych ustaleń, a zaszły nowe okoliczności. Bardzo proszę przekazać księdzu prezesowi, że nie żywię urazy, jeśli chodzi o zachowanie pana z ochrony, a wręcz przeciwnie. To mnie mocno zmobilizowało do pracy i teraz mam dla księdza pozdrowienia od starych przyjaciół, panów Andrzeja i Medarda. Chciałbym porozmawiać o „Transformatorze" i o Neptunie, powtarzam – o Neptunie.

Zostawiłem księdzu swój telefon na fakturze, ale na wszelki wypadek podaję jeszcze raz: sześć, zero, dziewięć, zero, siedem...

Zamyka laptopa, wyłącza komórkę i przechodzi do salonu kąpielowego Szalawskich. Uruchamia piec fińskiej sauny i podziwia zainstalowany we wnętrzu panel do sterowania ukrytym gdzieś sprzętem stereo. Czekając, aż kamienie się nagrzeją, bierze prysznic. Miód, kwas acetylosalicylowy, gorący tusz, a potem dwa kwadranse w stu dwudziestu stopniach. Na deser chociaż dwie-trzy godziny snu. I powinieneś się, chłopie, obudzić zdrowy.

* *

Gdy o dziewiątej rano Majka wchodzi do łazienki, sauna jest jeszcze gorąca. Robert leży na dole na kanapie z końskiej skóry, ciasno zawinięty w ten sam ojcowski pled, którym okryła go wczoraj. Śpi, oddychając przez usta. Dlaczego w nocy nie przyszedł do niej do łóżka, by się przytulić jak człowiek?

Po śniadaniu – oscypek, gruszki, kawa – powraca do przerwanych przed północą wątków. Przegląda odmowne maile od coraz mniejszych filii firm Ferdynanda Topaza, ogląda newsy z Barcelony i całej północnej Hiszpanii, potem wraca do śladów aktywności fundacji Lux Perpetua. Już przed zaśnięciem wiedziała, że trop jest dobry. W dodatku prowadzi na Półwysep Iberyjski. Portugalski kasjer fundacji mecenas Jack Manfill, wymieniany również w dwóch notkach jako Jacek albo Jacenty... Zaraz, zaraz... Jeszcze raz tu zajrzyjmy...

Jest!

„...pełnomocnik oskarżyciela prywatnego reprezentujący Stowarzyszenie Racjonalistyczne, wchodząc w polemikę z reprezentującym fundację Angelus Dei adwokatem Jacentym Manfillem...”

Mam cię! Jeżeli nawet Światłość Wiekuista nie należy bezpośrednio do Drozda, to i tak wspólny prawnik nie może być przypadkiem.

Przez ponad godzinę otwiera kolejne linki z wyszukiwarki, której zadała temat: „mecenas" plus „Manfill" plus „Portugalia" plus „Katalonia". Ogląda satelitarne zdjęcia południowych krain, przeczesuje witryny urzędów gminnych i biur geodezyjnych w dystrykcie Faro. Przerywa, widząc migotanie w jednym ze zwiniętych okienek ekranu. Stirlitz, piracki program śledzący w sieci wszelkie układy słów „Ferdynand", „Topaz", „Jobos", „Mario Muriz", „Colledaice Logistic" i kilku innych, melduje o znalezisku. Coś wpadło przed chwilą do sieci. Coś bardzo ciekawego!

Tekst po hiszpańsku wrzucony cztery minuty temu. Witryna elmundo.es. Klik-klik. Sekcja kulturalna wiadomości lokalnych. Pomiędzy informacją o aukcji prac Eloisy Garnelo Aparicio a zdjęciem z opery widnieje notka z dwukrotnie powtórzonymi słowami „Ferdynand" i „Topaz".

„...pokaz inauguracyjny w galerii rzeźby dziecięcej zgromadzi najznamienitszych katalońskich twórców, marszandów i mecenasów sztuki. Radość dzieciom pomogli sprawić głównie dwaj przedsiębiorcy filantropi, bez których szczodrości dzieci z dzielnicy Sants-Montjuic długo jeszcze musiałyby czekać na podobną placówkę edukacyjno-artystyczną. *El donantes* Ferdynand Topaz oraz *señor* Joaquin Mortell z małżonką osobiście uświetnią uroczystość otwarcia przy Carrer del Foc. Impreza rozpocznie się dziś o godzinie drugiej po południu i będzie połączona z loterią fantową oraz koncertem zespołu bębniarzy...".

Facebook. Szybko, szybko! Dionisio Marciel Capaered. Mam nadzieję, że jesteś online, mój przyjacielu.

Jest zielona kropka.

Ma Sha: „*Buenos dias*. Nie przeszkadzam? Potrzebuję pomocy. Gwałtownie! Chodzi o Topaza".

Dionisio Marciel Capaered: „*Hola*! Jestem do usług".

Ma Sha: „Przepraszam, że nie napisałam tego Panu szybciej, ale ustaliłam ze współpracownikiem, że Ferdynand Topaz, noszący wcześniej imię i nazwisko Eugeniusz Bruliański, a jeszcze dawniej – Brochwicz, współpracował w czasie II wojny światowej z hitlerowską tajną policją i brał udział w eksterminacji Żydów na terenie przedwojennej Polski, co, jak pan wie, jest przestępstwem niepodlegającym przedawnieniu w naszym kraju...".

Dionisio Marciel Capaered zaczyna pisać, jeszcze zanim Maja dokończy swój post: „Nie tylko w waszym. Operacja Ostatniej Szansy III nadal trwa! Obecnie Centrum Wiesenthala oferuje 25 tysięcy euro za każdego wskazanego zbrodniarza, ale chyba pieniądz nie jest naszym głównym celem... Gdyby udało się postawić FT przed sądem, byłby to dla mnie osobisty życiowy sukces, a jednocześnie wspaniały, dobry uczynek w imię sprawiedliwości".

Tym bardziej wspaniały, że dobrze opłacony przez Żydów. Ale niech ci będzie, mój internetowy przyjacielu.

Ma Sha: „Mnie również nie chodzi o pieniądze. Cały czas zbieramy informacje. Przed chwilą ustaliłam, że Topaz będzie otwierał ognisko artystyczne dla dzieci w Sants-Montjuic przy Carrer del Foc. Dzisiaj o drugiej po południu waszego czasu jest tam wernisaż. Nie ma szans, bym z przyjacielem doleciała do Barcelony na czas. Czy może Pan pomóc i nas zastąpić?".

Dionisio Marciel Capaered: „Pomogę z przyjemnością. Bardzo chętnie stanę oko w oko z tym zbrodniarzem. Od czasu naszej ostatniej rozmowy ja także uczyniłem kilka kroków. Jest wysoce prawdopodobne, że po aferze wokół FT bandzior i jego ludzie nie zajmują się już handlem żywym towarem, co nie oznacza, że nie

popełniają nadal przestępstw. Popełniają nie mniej potworne czyny! Prawdopodobnie zajęli się transportowaniem narkotyków, które płyną z Ameryki Południowej do Sierra Leone i Gwinei-Bissau. Wyspa Wilków to baza i miejsce zamiany towaru na pieniądze...".

Ma Sha: „Pieniądze z Wyspy Wilków, jak mi się zdaje, tylko w małej części zostają w Polsce. W większości trafiają do Portugalii. Lux Perpetua, spółka związana z polskim duchownym, o którym pisałam wcześniej, kupuje w wielkich ilościach domy na wybrzeżu pomiędzy Portimao i Albufeirą. Nie miałam jeszcze czasu posprawdzać, ale nie zdziwię się, jeśli są już własnością którejś z firm Topaza. W ten sposób koło, po którym wędrują pieniądze, zostaje domknięte. Tak mi się zdaje".

– Nie rozumiem nawet połowy z tego, co sobie piszecie, ale wydaje mi się, że jest dobrze. – Ochrypły głos Roberta stojącego za jej plecami sprawia, że dłonie Majki zamierają na klawiaturze. Pruski podszedł cicho jak duch, a teraz pochyla się nad nią i całuje w policzek. Wyjątkowo nie śmierdzi fajkami. Tym razem czuć od niego Jeana Paula Gaultiera – wodę toaletową papy. Koszulkę też założył nową.

– Wyglądasz zdrowiej. – Maja wskazuje palcem początek dzisiejszej konwersacji z Hiszpanem. – Dionisio spotyka się za trzy godziny z Topazem. O co pytamy?

– O Turczyn, o Puntigam, o Watykan. Ale i tak nie odpowie. Najlepiej by było, gdyby twój Dionisio go sprowokował. Umiejętnie zagaił, zasugerował, że mamy dowody na stare sprawki, napomknął o naocznym świadku zamordowania rodziny rabina – nie szkodzi, że jest inaczej... i o Neptunie. A potem niech mu poda telefon do ciebie czy do mnie. I niech go sfotografuje.

31.

Czwartek, 31 października.
17 dni przed tragedią w Białołęce

Czas w oczekiwaniu na telefon z Hiszpanii oboje spędzają pracowicie. Maja, w jasnej koszulce i z kubkiem kawy w ręce, tłumaczy Robertowi obieg Topazowych pieniędzy tak, jak go teraz widzi.

Brudna gotówka trafia na Wyspy Kanaryjskie, gdzie pakowana jest do walizki księdza. Kolejny etap to sejf w Białołęce, potem księgowanie lewizny pomiędzy spływającymi ze świata czystymi pieniędzmi na wielki pomnik. Dalej następuje wpłata na legalne konto Angelus Dei i transfer z rachunku fundacji-matki na rachunek fundacji-córki, Lux Perpetua. Następnie Światłość Wiekuista inwestuje w nieruchomości na terenie Portugalii i sprytnie przekazuje je dalej. Ogólnodostępne dokumenty geodezyjne dystryktu Faro wskazują, że tamtejsze osiedla nowych domów – pobudowanych za pieniądze z Polski – stoją na gruntach należących do spółki XaliaDM zarejestrowanej w Santa Cruz de Tenerife. Spółka jest własnością dwóch innych firm. Zdaniem Mai godzina grzebania w sieci wystarczy, aby ustalić powiązanie ich obu z Topazem. Zbieżność miejsca nie może być przypadkowa: z Santa Cruz na Wyspę Wilków nie ma nawet trzystu kilometrów.

Zakatarzony Pruski kiwa głową ze zrozumieniem. Palcem rysuje na stole prostą figurę. Wreszcie znalazł się brakujący element trójkąta. Pierwsza prosta – pieniądze Topaza trafiają do anielskiej fundacji. Rysujemy kąt. Druga prosta – pranie i przeksięgowanie. Kąt. Trzecia prosta – kasa wraca na południe i znowu należy do Ferdynanda. Figura domknięta. Proste? Proste!

– Tylko dlaczego Drozd pierze Topazowi pieniądze, skoro mu przysyłają z całego świata gotówkę na pomnik i mógłby robić to, co robi, bez uciekania się do przestępstw?

– Pierwsza odpowiedź: ponieważ koleś jest totalnym chytrusem, a Brzydki Ryj odpala mu procent od każdego wypranego miliona. Zaryzykuję, że działka księdza to jeden przecinek osiem. Pamiętasz przelewy po osiemnaście tysięcy euro? – Gdy siedząca na wysokim krześle Majka zakłada nogę na nogę, Robert zastanawia się, czy pod koszulką ma dzisiaj majtki. Bo biustonosza nie założyła na pewno. Jeden i drugi sutek radośnie odznaczają się pod bawełną.

– To jest możliwe. A druga odpowiedź?

– Brzydki przejął Drozda prosto od „Ikara" razem z papierami. Tak czy nie?

– Papierami?

– Donosy na doktora teologii etycznej Donata Kolaśnika i innych watykańskich ważniaków. Pokwitowania pieniędzy. Gdy Medard przekazał Topazowi, to znaczy Bruliańskiemu, agenta... przekazał mu także teczkę. Drozd ma w sejfie kwity na całą wierchuszkę Przymierza Prawicy, na liberałów i cholera wie na kogo jeszcze, ale Brzydki ma teczkę na Drozda.

– Muszę zapalić.

– I tak długo wytrzymałeś. Zrobię ci śniadanie.

– Taaa... współczesna mafia płaci bankierom co najmniej dziesięć procent za wyczyszczenie kasy, niekiedy więcej. Tak podają w amerykańskich filmach, moim podstawowym źródle wiedzy o świecie. A wielebny pierze za mniej niż dwa procent. Musi go Topaz mocno trzymać za jaja.

– Drozd się Brzydkiego boi. Nie pytaj, skąd wiem.

* *

Po jedzeniu, które Pruski ledwie tknął, i dwóch kolejnych naradach on wraca do pisania tekstu, a ona – do łańcucha hiszpańskich i portugalskich spółek. Robota wre. Gdy na wieży portu w Barcelonie czterokątny zegar wskazuje czternastą, w Piasecznie związek Ferdynanda Topaza ze spółką XaliaDM jest już dobrze udokumentowany, a coś, co miało być początkowo podwójną biografią księdza i celebrytki, liczy sto dwadzieścia stron. Robert wpisuje skrojony nieco na wyrost tytuł *To był zamach* i jeszcze raz przegląda wszystkie akapity. Tu i ówdzie uzupełnia. Na marginesie wspomnień Marcelego Abdugarowicza wyjaśnia krótko, czym był Bełżec. Żydzi przywożeni w wagonach dla bydła albo pulmanach z przedziałem restauracyjnym. Uprzejme niemieckie powitania na ostatnim przystanku. Młody Rottenführer dźwigający bagaże starszych państwa. Tak zwani Trawniki-Männer – pijani, okrutni: Wasyl, Iwan, Dimitri... ale też Michał, Jakub i Grzegorz. Niewolnicy SS-Sonderkommando Belzec – objedzeni sardynkami i czekoladą – stoją między barakami w najmodniejszych surdutach z Wiednia i Pragi. Starają się nie patrzeć nikomu w oczy. Ludzie płonący na rusztach z kolejowych szyn. Można powiedzieć, że „Siwy" i jego kompanioni oszczędzili tego wszystkiego rabbiemu Hillelowi, potomkowi Ben Kislewa, jego córkom i synowi, który miał być gwiazdą wśród kabalistów, nowym Salomonem Lurią. Po prostu ich zastrzelili.

– Jest! – Radosny okrzyk Majki sprowadza rozgorączkowany umysł Roberta do tu i teraz.

Na ekranie alienware'a pojawia się zdjęcie „*Sent from my iPhone*". Pokryty liszajami Topaz w nakrapianej marynarce koloru zgniłej zieleni rozmawia z jakimś młodszym od siebie brodaczem w białym garniturze i takim samym kapeluszu. Ostre słońce, w tle zielonkawa ściana obrośnięta kwitnącym pnączem, fragment bladoniebieskiej

tablicy z hiszpańskim napisem, półotwarte wysokie drzwi, w ich szparze zarysy ludzkich sylwetek. Podpis dodany przez Dionisia: „*i preparate para*".

– Mamy się szykować.

– Jestem przyszykowany. Jeśli zadzwoni do ciebie, najpierw włącz nagrywanie, potem daj go na głośnik.

Telefon Mai już błyska niebieskim światłem. Rozmówca nieznany.

– To będzie on. Dawaj...

– Halo...? Pewnie mnie nagrywacie, co? – Chroboczący głos przerywany świstami. – Myślicie, że mnie tak mnogo interesują, co polska media piszecie?

Dziwny akcent, długa pauza, kasłanie starca.

– Szpion jest z zawodu kłamie, może ja kłamię, może *señorita*? Mnie *British, Spanish, Italian journalist investigated*. To jest robota zleconego morderca, co panna robicie.

– Pamiętacie rabina Hillela z Łucka, towarzyszu Brochwicz? – pochylony nad Majką Robert pyta głośniej, niż trzeba. – Tego, co przyjechał do apteki w Turczynie, żebyście go ratowali? I jego syna? I córki?

Znowu kasłanie. Hiszpańskie słowa w tle. Świsty.

– Pan rozmawia do inny człowiek przez omyłkę. Ja dzwonię do *señorita*.

– *Estoy aqui*. – Maja też mówi podniesionym tonem, chociaż trzyma samsunga kilka centymetrów od ust. – Słucham pana razem z przyjacielem. Jesteśmy gotowi przekazać pańskie dane, adresy osobiste, adresy firm oraz relację żyjącego świadka z Turczyna w ręce ludzi, którzy ciągle szukają takich jak pan.

– Jaki do mnie ty świadka? Co?!

– Pamiętasz Abdugarowicza, „Siwy”?! – Pruski rezygnuje z wszelkich form grzecznościowych. Tak będzie szybciej. – Wołaliście na niego „Celek”!

– *Como sabes el nombre de la*?

– Ksiądz prezes Franciszek Drozd cię sypnął! – Choć Robert nie rozumie pytania, odpowiada bez zastanowienia. – Kapujesz mnie, „Siwy”? Wielebny kapłan ze mną rozmawiał. Bo dał się złapać z dziewczynką na Fuerteventura, przez co ma kłopoty z prasą w Polsce. Chce, żebyśmy się tobą zajęli!

Pytające spojrzenie Majki. Krótki gest obu dłoni Roberta, który może oznaczać równie dobrze „nic nie mów”, jak i „wchodzimy w niego do końca”.

– Drozd ma już dosyć pracowania dla ciebie. Dosyć wożenia twoich pieniędzy. Rozmawiał ze mną. *Comprende*?

Kasłanie po tamtej stronie słuchawki, dłuższa cisza.

– *No entiendo*.

Robert potrząsa obiema dłońmi i szepce do Majki: „przetłumacz”.

– *Ya tiene bastante trabajo para usted. Ya ha tenido suficiente de la obra para ti*.

– *Yo no creo*.

Szept Majki:

– Nie wierzy.

Pruski zaczyna mówić spokojniej niż dotąd, lecz z każdym kolejnym zdaniem ponownie się rozkręca:

– Byłem u Franciszka w środę, dwudziestego trzeciego, w Białołęce, w jego gabinecie. Szczerze sobie porozmawialiśmy. Drozd ma cię już dosyć... Gieniu. Masz przejebane, zasrańcu! Czy ty mnie wreszcie *poniał, ili niet*?!

– *Job twoju mat*! Majzel... gnida... – Kasłanie. – Polaczka świńska. *Estoy de acuerdo que ha... hablar*.

Znów słychać kaszel starego i głośny śmiech gdzieś w katalońskiej galerii rzeźby dziecięcej.

– Kazałeś mu truć samego papieża czy nie kazałeś?!

Kasłanie zakończone charkotem. Koniec połączenia.

– Nagrało się?

Maja przesuwa ikony na ekranie smartfona.

– Nagrało. Dlaczego go okłamałeś?

– Żeby coś się zaczęło wreszcie dziać, bo ciągle stoimy w miejscu.

– Żartujesz sobie? Przecież zapieprzamy jak opętani! Zobacz, ile ustaliliśmy od środy. W tydzień napisałeś prawie całą książkę! Oczy masz czerwone, nie jesz, tylko palisz jednego od drugiego, rano wyglądałeś trochę lepiej, teraz znowu ci ręce latają. Czoło masz mokre, coś ci się paprze na wardze... – Maja jedną rękę kładzie mu na policzku, drugą uruchamia samsunga.

„Szpion jest z zawodu kłamie, może ja kłamię, może *señorita*? Mnie *British, Spanish, Italian journalist investigated*. To jest robota zleconego morderca, co panna robicie...".

– Okej. Masz rację. – Robert opada na krzesło, bo gwałtowna chęć napicia się przechodzi przez całe ciało i osiada w mięśniach nóg, które nabierają ciężaru. Maja stoi nad nim trochę zagniewana, a trochę zamyślona. Odsłuchuje nagranie do końca. Dźwięk następujący po ostatnich słowach – „Kazałeś mu truć samego papieża czy nie kazałeś?!" – jest dziwny, inny, od wcześniejszych charkotów i poświstywań Brzydkiego Ryja. Jakby się skurwiel zaczął dusić czy coś w tym rodzaju...

Dionisio Marciel Capaered wysłał kolejne zdjęcie. Chyba faktycznie coś zaszło: Topaz leży w samej koszuli na białej ogrodowej ławce. Podpis z iPhone'a: „*esperando por el doctor*".

– Brzydki Ryj nie wytrzymał kondycyjnie. Zawołali do niego lekarza. Oby długo cierpiał. Słyszałeś, co mówię? Miał zawał czy coś

takiego...

Robert nie rusza się z krzesła. Oddycha płytko. Jedno piwo załatwiłoby wszystkie problemy naraz.

– Dobrze się czujesz? Bo nie ogarniam, co z tobą. Masz zjazd jakiś?

– Mam. Ale do mnie lekarza nie wołaj. Słyszałaś kiedyś słowo „majzel"?

– Chyba nie. Czekaj... sprawdzimy, co gnój miał na myśli. – Ostatnie słowa schylona nad klawiaturą Majka wypowiada już do pleców Roberta, który gwałtownie wstaje, a potem szybko, choć chwiejnie, idzie do toalety. Głowa pod kran. Chwilowo lepiej. Przeciera włosy puszystym ręcznikiem, długo patrzy na siebie w wysokim lustrze. Skóra pod oczami jak popękana ziemia, białka oczu czerwone, jedna powieka niekontrolowanie drży razem z kawałkiem policzka. Kompletny rozstrój organizmu. Majka ma rację. Zrobiliśmy w tydzień tyle, co tak zwani normalni ludzie robią w pół roku. Albo, człowieku, zwolnisz, albo umrzesz. Boże... pozwól na jedno piwo...

Wraca do pokoju z ociekającą czupryną i ręcznikiem na ramionach.

– Herbatę ci zaparzyłam. Cytryna, rumianek. W twoim wieku już trzeba pić ziółka.

Maja przesuwa ekran, żeby lepiej widział. Majzel. Z niemieckiego: dłuto. Inna nazwa na przecinak. Przyrząd kowalski uderzany młotem podczas kucia. Odmiana noża tokarskiego używana do cięcia prętów. Narzędzie do wykuwania zagłębień w murze i kruszenia litych materiałów budowlanych. Regionalizm śląski i krakowski znany z przysłowia: „Bez majzla i młota to ni mo robota".

– Jesteśmy w domu.

– Udarnik?

– Agent udarnik, pseudonim „Majzel". Wiesz, że japońscy chłopi nie mieli kiedyś nawet imion?

– Nie.

– Nazywali się „tragarz", „kowal" i tak dalej. I w ten sposób go upokorzyli. „Krokus", „Ikar". Gwiazdy departamentu. Ładnie się nawzajem pookreślali. A ten, niebożę... Masz go: „Majzel". Prosty i twardy przedmiot do rozłupania tematu. Bierzesz, tłuczesz, odrzucasz narzędzie. Wykorzystali go.

– Musimy z nim porozmawiać, Robert.

– Dzwoniłem o wpół do ósmej. Nagrałem tekst na sekretarkę. O Medardzie, o Załużnickim, o Neptunie. Nie oddzwonili. Może ty spróbujesz? Tym razem podamy mu nowe hasło.

Nokia emituje dźwięki gitar. Dzwoni najmłodszy Pruski.

Jutro zawody wędkarskie.

32.

Piątek i sobota, 1 i 2 listopada.
16 dni przed tragedią w Białołęce

Mgła unosi się pół metra nad wodą jeziora Partęczyny. U podstawy tuman jest gęsty jak śmietana, wyżej rozrzedza się, faluje i rwie na lekkim wietrze. W cieniu drzew lekko zmarszczona toń przybiera na zmianę barwy malachitu i smoły, a pływające na powierzchni liście układają się w długie brązowe warkocze.

W tym klimacie prawie wszystko jest brunatne, czarne lub szare. Pnie drzew, futra zwierząt, późnojesienne chwasty i ziemia, która je nosi. To nie jest kraj dla kolorowych papug, które Janek Pruski tak lubi oglądać w albumie podarowanym przez babcię.

Na łódce jest coraz zimniej, ryby nie biorą, a ojciec pali siódmego papierosa. Coś mu się stało z powieką: wygląda, jak gdyby puszczał oko do wszystkich. Mama w Toruniu powiedziała, że „wygląda gorzej niż krowi placek". Kiedy mama tak mówi, to znaczy, że w głębi serca jest w dobrym nastroju.

Spławik drży, lecz gdy Janek wyciąga gwałtownie haczyk – znów nie ma na nim ryby. Ani robaka. Chwyta w powietrzu żyłkę, otwiera pudełko z robakami, wydłubuje spomiędzy sztucznych trocin białego tłuściocha, nadziewa. Sok z larwy cieknie mu po brudnych palcach. Wyciera dłoń w grube brezentowe spodnie, które mama kazała włożyć na dres, gdy będą nad wodą.

Do taty co rusz ktoś dzwoni. Teraz też rozmawiają. To chyba jakaś ważna osoba, bo ojciec dodaje na końcu każdego zdania: „panie profesorze". I tymi słowami kończy. Chowa komórkę w spodnie, wrzuca peta do puszki po pepsi i znów wyciąga papierosy.

– Nie lubię, tata, jak tyle palisz. Śmierdzi, a nie mam gdzie odejść. Mieliśmy się tutaj nawdychać świeżego powietrza...

– Wiem, synek. Przepraszam. Denerwuję się sporo.

– Przez tego profesora?

– Nie tylko, synek. Pan Duszan Ostapowicz chce mi pomóc, wiesz, ma dla mnie pracę. Ale bardzo daleko stąd.

– Dalej niż w Warszawie?

– Dalej.

– To nie zgódź się.

– Właśnie mu odmówiłem.

– To dobrze.

– Nie bardzo dobrze. Widzisz... Miałem dwie roboty, pamiętasz, opowiadałem ci o studentach i redakcji pisma. Teraz mam tylko jedną. I ta jedna też się może skończyć.

– Przecież piszesz znów książkę. Mama mówiła, że będzie zwariowana...

– Dobrze mówiła. Tylko wszystko, co mi za tę książkę płacą, natychmiast się rozchodzi. Sam wiesz, jakie mamy zaległości z pieniędzmi. Cieszysz się, że przyjechaliśmy?

– Pewnie! A która godzina?

– Po trzeciej. Zimno ci? Chlapniemy sobie kropelkę z termosu. Będzie dobrze. Jak sprzedam dużo książki, to może w ferie pojedziemy na narty. Chciałbyś?

– Ale ja nie mam nart.

– Wypożyczymy. Patrz! Ryba bierze.

Jasiek szarpie wzwyż i tym razem na haczyku wisi jakieś niewielkie siwe biedactwo. Macha ogonem, jakby się radowało. Jasio już dawno tak szczerze nie jaśniał.

– Gollum schwytał soczystą rybkę! Nareszcie! *My precious*...

– Masz tu herbaty w nagrodę.

* *

Trzy i pół godziny później obaj Pruscy wespół z dwoma tuzinami kompanów od wędek otaczają kręgiem ognisko. Skwierczą kiełbaski na kijach, krążą butelki piwa i porcje wódki w plastikowych kubkach. Pomiędzy umorusanymi dziećmi i ich podochoconymi tatusiami zaplątały się trzy albo cztery mamy... chyba samotne. Dziś będą miały wzięcie na fest. Co bardziej przewidujące samce już odstawiły swe pociechy do pawilonu, żeby mieć wolne ręce.

W miarę nasączania się procentami niemrawa rozmowa o pogodzie na jutro, wielkich rybach i warunkach, jakie organizator imprezy zaoferował za czterysta złotych od łebka, przechodzi w żwawą debatę: o beznadziejnej walce z powodziami, nadużyciach kleru, montażu ogromnej głowy papieża oraz ostatnich występach

nielubianej posłanki Przymierza Prawicy. Większość opinii brzmi jak trochę tylko przekręcone cytaty z telewizyjnej publicystyki. Robert się nie odzywa. Piecze dla Janka czwartą kiełbaskę – syn jest w połowie trzeciej – i co rusz odmawia któremuś ze stojących obok mężczyzn przyjęcia kubka z gorzałą. Gdy Janek wreszcie kończy pieczoną kolację, obaj Pruscy jako pierwsi opuszczają hałaśliwe zgromadzenie. W niedogrzanym bungalowie zsuwają razem dwa zgniłozielone tapczany, odsłaniając zwały śmieci i cmentarzyska owadów na gumowej podłodze. Z dwóch śpiworów robią jeden większy i wchodzą do środka, nie zdejmując ubrań. Kiedy Robert gasi światło, za oknem zjawia się księżyc.

– Opowiesz mi jakąś książkę na lepszy sen?

– Opowiem. Czekaj... Na przykłaaad... Żył kiedyś na Dzikim Zachodzie pewien bardzo, bardzo stary człowiek, który uchodził w swojej okolicy za kogoś mądrego, pobożnego i tak ogólnie... za wielki, wielki autorytet. Mieszkał w na wpół zawalonym, opuszczonym kościele, pod nadpalonym stropem, który ważył wiele ton i wisiał mu nad głową tylko na łasce Pana, jak to się mawia... No i właśnie, ponieważ ten strop trzeszczał, trzeszczał, lecz jakoś nie chciał mu ostatecznie na głowę zlecieć, to wszyscy w tamtej okolicy wierzyli, że ten starzec jest takim jakby pomazańcem Bożym.

– Czym?

– Że to ktoś wyjątkowy. Kogo Opatrzność szczególnie sobie umiłowała. Tak się wtedy mówiło. Tylko że tak naprawdę ten święty starzec jako młody kowboj był wielkim zbójem i okrutnikiem. I wiele, wiele lat wcześniej własnoręcznie podpalił tamten kościół z trzema rodzinami w środku. Dostał za to pieniądze od pewnego bogacza, który chciał zająć grunty tych nieszczęśników. Kiedy pożar wygasł, bogacz dopiął swego i stał się jeszcze bardziej bogaty, a ten młody podpalacz, chociaż mu zapłacono, nie

wytrzymał wyrzutów sumienia z tego powodu, że zamordował niewinnych. Dlatego zamiast wyjechać gdzieś daleko i sobie używać życia za zarobione pieniądze – zamieszkał w środku pogorzeliska, by pokutować. Pochował swoje ofiary i całymi latami leżał na ich grobach, żywiąc się w tych ruinach jaszczurkami i pijąc krew węży. Zrobił się chudy, pomarszczony, cały zarósł włosami, bo się w ogóle nie mył...

– Można się nie myć więcej niż rok?

– Tylko w takich opowieściach. Naprawdę trzeba się myć dwa razy dziennie. Chyba że, tak jak dzisiaj, nie ma warunków. No więc ten starzec, co to kiedyś był zbrodniarzem, mieszkał pod rozchwianym dachem ponad pięćdziesiąt lat. W tym czasie bogacz umarł bezpotomnie, zostawiając po sobie starą wdowę. W okolicy znów pojawili się farmerzy. Zastali tajemniczego starca wśród niedopalonych ścian i namawiali go bardzo, by stamtąd wyszedł, by zamieszkał wśród ludzi. Jednak on nie chciał, a siłą nikt by go nie wyciągnął, bo przecież strop mógł się w każdej sekundzie zawalić. Z czasem uznano tego naszego bohatera za nieszkodliwego wariata. A z jeszcze większym czasem, ponieważ wszyscy mieli okazję obserwować, jak ten zawieszony nad jego głową dach wytrzymuje wichury, które łamią drzewa i podrywają z pustyni kamienie... dlatego orzekli, że to jest znakiem od Opatrzności. Że ten tajemniczy człowiek to taki jakby prorok z Biblii. Zaczęli mu znosić jedzenie i picie, i różne dary. Prosić go o rady, o to, żeby rozsądzał spory, a nawet żeby błogosławił nowo narodzonym dzieciom i małżeństwom. I on im zaczął prawić kazania...

– Jak ksiądz?

– Właśnie tak. Mówił ludziom, jak żyć, co jest dobre, a co złe, kogo należy szanować, a kogo powinni zwalczać. Polecił im pójść na ranczo wdowy, spalić je i odebrać całą ziemię po zmarłym

bogaczu, by między siebie podzielić. Tłumaczył, że tak będzie sprawiedliwie i zgodnie z wolą Bożą. Kiedy udzielał ostatniego błogosławieństwa przed akcją...

– ...wtedy dach się zawalił.

– Skąd wiedziałeś?

– Bo tak musiało być.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. A ty wiesz?

– Myślę, że takim ludziom, co twierdzą, że mają patent na dobro i sprawiedliwość, los lubi ucierać nosa. A poza tym niektóre historie same domagają się puenty.

– Co to jest puenta?

– Tyle co koniec. Na przykład koniec dzisiejszego dnia. Śpij już.

Gdy Robert całuje syna w czubek głowy, nokia w kieszeni jego dżinsów wydaje ostatni pisk i wyłącza się z drżeniem. Nie wziąłeś, człowieku, ładowarki. Co będzie, jeśli wielebny Drozd postanowi oddzwonić jutro rano?

Nic nie będzie. Jutro od rana liczą się tylko Jasio i jego ryby. Ani Warszawa, ani Białołęka nie znikną do niedzieli.

Obejmując ramieniem śpiącego syna, próbuje zasnąć. Żeby tak jeszcze pół kubka wódki... spałoby się jak w brzuchu mamy.

* *

Fundacja Angelus Dei oddzwania z samego rana. Dokładnie rzecz biorąc, telefonuje asystentka księdza prezesa, nadzorczyni recepcjonistek, pracowników technicznych i kuchni. Pięćdziesięcioześcioletnia „siostra Lawenda" – tak na nią mówią w Białołęce, choć wcale nie jest zakonnicą – zgodnie z poleceniem ojca Franciszka wybiera najpierw numer człowieka, który przedstawił się jako „Pruski". Kiedy ten okazuje się „poza zasięgiem",

kobieta wystukuje numer osoby dzwoniącej najwyraźniej w tej samej sprawie kilka godzin po Pruskim.

Nazwisko Mai Szalawskiej, drugoplanowej bohaterki głośnego policyjno-rządowego skandalu, jaki przeszło rok temu doprowadził do przyspieszonych wyborów, nie jest siostrze Lawendzie obce. Kompletnie niezrozumiała – co nie znaczy, że pozbawiona znaczenia – wydaje się jej natomiast wiadomość przekazana przez dzwoniącą. „Proszę powiedzieć księdzu prezesowi, że chodzi wyłącznie o kryptonim »Majzel«. Powtarzam: »Majzel«". A zatem najpierw jacyś Andrzej i Medard, potem planeta Neptun, a wreszcie irytujący wyraz, który, nie wiedzieć czemu, od razu wydał się siostrze złowróżbny. Hasła, hasła, hasła... Aż nadto pachnące prowokacją.

Kiedy w czwartek po wieczornym nabożeństwie schodząca z dyżuru młoda recepcjonistka Agata przekazywała Lawendzie obie wiadomości, była przekonana, że składa kolejny raport o głupich pseudodowcipach, których nie szczędzi telewizji i wydawnictwu zdziczałe pokolenie młodych, a czasem – o zgrozo! – również i starszych degeneratów. Telefonują tylko po to, aby obrażać Księdza Prezesa, Ojczyznę, Kościół i samego Jezusa Chrystusa. Szczególnie od czasu ukazania się tych obrzydliwości w brukowcu, którego nazwy ani Agata, ani Lawenda roztropnie nie wymawiają.

Starsza z kobiet kazała odtworzyć oba nagrania z taśmy. Najpierw wysłuchała kilku zdań zachrypniętego mężczyzny, później wymiany słów pomiędzy Agatą a młodą Szalawską. Po czym natychmiast poszła do prywatnego apartamentu Księdza Prezesa.

Zastała go nad korespondencją. Przerwał lekturę, przyjął relację z udawaną obojętnością, następnie zaczął bardziej oficjalnym niż zwykle tonem wydawać polecenia dotyczące reformy archiwum. I tylko większa liczba śląskich wtrętów w jego słowach pozwoliła Lawendzie poznać, że szefa zdenerwowały wieści.

Mimo wszystko nie wrócił do sprawy ani w piątek przy śniadaniu, ani po porannym nabożeństwie, ani po wieczornym programie nagrywanym w studiu. Dopiero dzisiaj polecił zaprosić oboje dzwoniących – Pruskiego i tę dziewczynę. Na jedenastą rano.

– Ochrona niech zbada dokładnie kaboty, odebrać kamery, magnetofony, mobile i co tam ze sobą mają. Wtedy dopiero wprowadzić, ale nie tutaj. Do salki.

Polecenie księdza prezesa w tym budynku jest prawem, dlatego teraz, w rozmowie przez telefon, Lawenda uprzedza Maję, aby nie zabierała ze sobą żadnego sprzętu elektronicznego.

– Oszczędzi to pani niedogodności ze strony obszukujących mężczyzn. I proszę w imieniu księdza prezesa o powiadomienie tego, co teraz nie odbiera telefonu. Ksiądz prezes życzy sobie widzieć was oboje.

* *

Dwadzieścia minut po dziewiątej Majka zaczyna robić kilka rzeczy naraz. Dzwoni do Roberta, ale nie słyszy nawet jednego sygnału. Albo nie ma nad jeziorem zasięgu, albo się celowo odłączył, by pobyć z synem. W sumie: należy mu się. Ona poradzi sobie sama. Zakłada grube, popielate rajstopy i najdłuższą ze swoich spódnic, czarną, plisowaną, do pół łydki. Piaskowe sportowe buty na płaskim obcasie, wełniany sweter i najstarszy płaszcz z podwójnym zapięciem. Włosy w koński ogon... nie – lepszy będzie warkocz. I bez makijażu.

Sześć minut przed jedenastą rano toyota yaris staje pod bramą Telewizji Horeb. Ogromny papież – z pochyloną głową świeżo zamontowaną na betonowych ramionach – rozkłada ręce pomiędzy dwoma wysięgnikami dźwigów. Zdaje się witać wszystkich przybywających, by ich za chwilę przytulić.

Umundurowany ochroniarz o płaskiej twarzy wskazuje miejsce parkingowe. Prowadzi na schody i do recepcji, gdzie czeka jeszcze jeden goryl – bardzo wysoki, posiwiały, z wielką kwadratową szczęką. Obaj są maksymalnie spięci. Dowód osobisty pokazać. Młodsza od Majki recepcjonistka spisuje dane w zeszycie, a potem – nie spiesząc się – wstukuje je do komputera. Oddać telefon. Gówno wam oddam. Zawieszony na smyczy pod grubym swetrem samsung już od dziesięciu minut wszystko nagrywa. Próba przeprowadzona w samochodzie wypadła pomyślnie. Chyba między cyckami nie będą grzebać?

– Komórkę zostawiłam w samochodzie. Uprzedzono mnie, żeby nie mieć.

Jeden ochroniarz przodem, drugi za Mają, długi i jasny korytarz, portrety darczyńców Angelus Dei, zejście schodami w dół – tu ciemniej.

Lochy, sala tortur, stalowa klatka do połowy w wodzie?

Nic podobnego. Wyłożony jasną boazerią pokój bez okien oświetlony jest kilkoma bocznymi lampami. Na podłodze łazienkowe płytki, sosnowe ściany pokryte różańcami, proporczykami, dyplomami i pamiątkowymi zdjęciami. Jest nawet poroże jelenia. W kącie flaga papieska i święta figura – brodaty asceta z trupią czaszką. Najpewniej patron gospodarza.

– Proszę siadać. – Drągal wskazuje rząd czterech krzeseł wzdłuż wysokiego stołu w rogu. Plastikowe butelki z wodą mineralną bez gazu, słone paluszki w wysokiej szklance, cukierki i papierowe spodki. – Ksiądz prezes zaraz tu przyjdzie. Ja płaszcz potrzymam.

Czekając na siedząco pod czujnym okiem obu aniołów w uniformach, Maja ogląda fotogramy przedstawiające Franciszka Drozda w różnych ujęciach. Duchowny w otoczeniu młodych ludzi,

na górskiej wycieczce, na pokładzie statku o białych burtach, na kolanach przed Benedyktem XVI.

– Niech nie wstaje.

Pan tego miejsca zjawia się i energicznym ruchem przystawia sobie krzesło. Siada tak blisko, że ich kolana prawie się dotykają. Czarna spódnica i czarna sutanna. Od księdza czuć ciężkie perfumy, a między nimi – woń niedawno strawionej cebuli.

– Jej kamrat nie miał czasu? Rzekomo pisarz...

– Kolega spędza weekend z rodziną na pojezierzu. Nie mógł dojechać tak szybko...

– Ja nie mam dużo czasu. Co wy za nudle nagrywacie mi na sekretarki? Ludzi niepokoicie... Prowokacje te jakieś? Jest ochrzczona?

– Jestem.

– Do kościoła chodzi? Rzykać potrafi?

– Nie rozumiem.

– Kiedy się ostatni raz modliła?

– Bardzo dawno temu.

– No właśnie... i po co to robi? Po co prowokuje?

– Ja nikogo nie prowokuję, proszę księdza. – Majka wstała i teraz patrzy na kapłana z góry. Jego plackowata, zakończona czubkiem łysina przypomina mnisią tonsurę z wielkim pryszczem w centrum. Broda duchownego jest bardziej zmierzwiona niż zwykle, z mięsistych uszu wystają mu ciemne kępki. – Niech ksiądz wyprosi obstawę, to powiem, o co chodzi. Chyba się mnie ksiądz nie boi?

– Marian... – Gospodarz daje znak wyższemu z ochroniarzy i obaj goryle znikają za drzwiami, nie zamykając ich na klamkę. Maja robi to za nich. Potem wraca na swoje krzesło. Sukienka znowu dotyka sutanny. Drozd patrzy bez najmniejszego zmieszania, poważnie, ciężko i wrogo.

– Zbieram materiały do książki, którą pisze o księdzu mój przyjaciel. Redaktor Robert Pruski. Wiemy już prawie wszystko. Jak księdza szantażowali, jak ukradli pieniądze pielgrzymów pod Wiedniem, jak Królikiewicz, wtedy Krol, oddał księdza w ręce Bruliańskiego. Wiemy, że ksiądz się wcześniej im wszystkim opierał, ale byli sprytniejsi. Wydali księdza Ruskom. Dali wybór: pieniądze albo więzienie.

Ksiądz nie odpowiada. Patrzy na zmianę: prosto w oczy i na usta mówiącej.

– Wiemy, że ksiądz użył ruskich pieniędzy na stworzenie tego wszystkiego. – Uniesioną i luźną w nadgarstku dłonią Maja kręci elipsę nad głową. – Wiemy, że natknął się ksiądz znowu na Bruliańskiego w dziewięćdziesiątym siódmym. W ambasadzie w Madrycie. To musiał być totalny szok. Prawda? Na liście zaproszonych figuruje hiszpański przedsiębiorca o polskich korzeniach Ferdynand Topaz, a tymczasem zjawia się stary znajomy.

Kapłan nadal milczy. Mruży oczy.

– Wyobrażam sobie, że ten bandyta powiedział księdzu, jak to zapłacił zdrowiem za waszą nieudaną akcję. Mam rację? Ale dokumenty zachował. Dokumenty, które są dla księdza zabójcze. Czy nie tak?

Franciszek Drozd drapie się po brodzie. Nie pyta o nic. Nie otwiera ust także i wtedy, gdy Majka wspomina o Wyspie Wilków oraz pieniądzach w walizce. Daje jej mówić, gdy przedstawia teorie na temat narkotyków z Ameryki, fundacji Lux Perpetua i spółki XaliaDM z Teneryfy. Dopiero kiedy pada nazwisko Brochwicz, a potem nazwy Turczyn i Bełżec, grube wargi księdza znikają, wessane i przygryzione od środka. Owłosione policzki się zapadają. Intuicja podpowiada Mai, że nie jest to poruszenie strasznymi czynami „Siwego". Ani współczucie dla rodziny rabina Hillela. To

raczej strach przed prześwietlaniem człowieka, który – chociaż odległy – wydaje się trzymać duchownego na zaciśniętej wokół gardła smyczy.

Strach, wstyd, zaprzeczenie.

– Jesteście szwadrony śmierci.

– Co ksiądz powiedział?

– Szwadrony śmierci. – Gruby palec wskazujący Drozda niemal dotyka pracującego pod tkaniną samsunga. – Ugonić człowieka jak zwierza, osaczyć, dobić. Zawsze to samo. Wtedy i teraz. Te same sposoby diable. Wszystko po to, żeby poniszczyć, zaszkodzić, zadusić iskrę wiary, zadeptać ogień, co ja rozkurzam pomiędzy Polakami. Ogień, który ma szanse otoczyć wiele krajów. Jesteście diabła narzędziem.

– Przyszłam tylko usłyszeć prawdę. Miał ksiądz Neptuna, miał ksiądz okazję. Co powstrzymało?!

– Bóg. Bóg sam jeden... On widzi, że jam winien nie był. I niczego się więcej nie dowie.

– „Majzel" to był pseudonim księdza?

– Nie, nie i nie! – Ojciec Franciszek wstaje, krzesło za nim upada na wykafelkowaną podłogę, trzask natychmiast sprowadza do wnętrza wyższego z ochroniarzy. Dłoń duchownego wykonuje w powietrzu ruch towarzyszący strzepnięciu paprocha z ubrania. Koniec wizyty. Posiwiały drągal podaje Majce jej płaszcz.

– Po co nas ksiądz zawezwał, skoro niczego nie chce powiedzieć?

– Tyś za to nablukała i starczy. Kto wam tę książkę oszczerczą sprzedawać będzie?

– Do wydawnictwa Arka na pewno się nie zgłosimy. – Maja już wie, że powinna milczeć, ale jej złość jest silniejsza od rozsądku. – Wydamy ją sobie w Poznaniu, czy to się księdzu podoba, czy nie. I Brzydki Ryj odpowie za zbrodnie!

* *

Idąc do wyjścia pod czujnym okiem obstawy, ma wrażenie, że płoną jej policzki. Jak mogła nie zamilknąć? Matko Boska! Po jaką cholerę mówiła o poznaniakach, narkotykach i Światłości Wiekuistej?! Okazała się totalną idiotką, maksymalną amatorką, głupią cipą. Opowiedziała wszystko, a w zamian nie usłyszała nic. Robert nie dałby się podpuścić w ten sposób.

Kiedy ochroniarz odeskortowuje ją na parking, Majka odwraca głowę, jakby chciała sprawdzić, czy w którymś z przeszło dwudziestu okien nie zobaczy twarzy odprowadzającego ją wzrokiem duchownego.

Niczego takiego nie widzi, ponieważ ksiądz prezes klęczy w pokoju bez okien przed figurą Biedaczyny z Asyżu.

Modli się i boi. Boi się tego człowieka. Bał się go już w Puntigam, bał się go w trakcie tamtej podróży do Watykanu, bał się go, uciekając przez kolejne granice. Bruliański zasiewał w nim przerażenie nie tylko z powodu potęgi zbrodniczej organizacji, która za nim stała. Strach przed mocami Imperium był przecież wówczas czymś całkowicie normalnym. Był lękiem oswojonym. Takim jak inne strachy. Mały Franek Drozd lękał się kiedyś ciężkiej ręki i wrzasku pijanego ojczyma, a potem także uzbrojonych w noże bandytów z sosnowieckiej Pogoni. Dorosły Franciszek Kosma bał się komunistycznego więzienia, kompromitacji i nagany w oczach biskupa ordynariusza oraz tego, że utonie w sieci własnych kłamstw. Natomiast potworne, niemożliwe wręcz do nazwania uczucie, które budził w nim Bruliański, było czymś innym. Było grozą skondensowaną, jaką w człowieku wierzącym – a za takiego uważa się kapłan – budzić może jedynie sam Szatan. Było grozą obezwładniającą, zmuszającą do posłuszeństwa, tamującą oddech.

Kiedy zobaczył swego prześladowcę w madryckiej ambasadzie tamtego listopada, kiedy mu przedstawiono nową tożsamość starego diabła – przyobleczonego teraz w owrzodziałą skórę i inną narodowość – wiedział już, że się nie wymknie.

I nie wymknął się. Wielka budowa, wielkie przelewy i jeszcze większy przemyt, oszukańcze spółki i ludzie żyjący z cudzej krzywdy, brudne pieniądze, które musiał odsyłać... nowa sieć kłamstw, podłych uczynków i grzechów. Już tylko widok rosnącej figury dawał ukojenie.

Dlatego nie przelał na konto Lux Perpetua czterystu tysięcy euro przywiezionych niespełna miesiąc temu z Wyspy Wilków. Zapłacił gotówką za papieską głowę, zapłacił wszystkie zaległe raty kilkunastu mniejszym wykonawcom i dał zadatki na końcowe roboty. Dzieło zostanie dokonane – cokolwiek się zdarzy. Dzieło będzie promieniować. Stąd wyjdzie światło. Dla Europy, dla całego chorego świata. Stąd lekarstwo, stąd wiara, nadzieja i miłość. Kiedyś to zrozumieją dzieci tych zatrwożonych, skłamanych, złych ludzi. Głupich ludzi. Bezmyślnych w swoim otumanieniu.

To szwadrony podjudzaczy, chacharstwo, psy gończe tępe, lecz o zębach ostrych. Przed niczym się nie cofną. Bezwstydnica za jego plecami na okładkach gazet. To wstrętne pomówienie... zasiewanie niepewności w owczarni... taki jest krzyż dźwigany przez człowieka sprawiedliwego. I powód do dumy. Ale to, co się stało po tym... co się stało dzisiaj... Słowa tej dziołchy o mordowanych w lesie bajtlach... Bruliański-Topaz Szatanem jest i nikim innym. Zdemaskowany zaatakuje. Ma ludzi do podłości, na wyspie było paru takich. Z pewnością ktoś już się zbliża. Franciszek Kosma wyczuwa drżącymi kolanami ciężkie kroki w głębi ziemi.

– Boże, sam osądź, czy nie dość pokutowałem?!

33.

Sobota, 2 listopada, południe i wieczór.
15 dni przed tragedią w Białołęce

Na wąskiej i wilgotnej drodze łączącej Murowaną Goślinę z Poznaniem pojawia się lód, jednak nowe, blisko dwutonowe audi A8 wiceprezesa Ventury trzyma się drogi jak rzep swetra. Komputer pokładowy sygnalizuje nadchodzące połączenie, wyciszając delikatnie wiązankę złotych przebojów zespołu Ich Troje – płytę, którą Waldemar Murka odtwarza wyłącznie wtedy, gdy jedzie sam. Na okoliczność podróży w towarzystwie ma przygotowane kantaty Alessandro Scarlattiego i kilka Bachów.

Wyświetlony numer niczego kierowcy nie mówi. Odebrać? Nie odbierać? W zasadzie nie przyjmuje telefonów od nieznajomych, ale tym razem przesuwa kciukiem po kierownicy i połączenie zostaje nawiązane. Człowiek, który dzwoni, przedstawia się jako adwokat reprezentujący „istotnego przedsiębiorcę". Nazwiska nie podaje. W denerwujący sposób zwraca się do swego rozmówcy per „panie Waldemarze", ale ten ubytek formy rekompensuje atrakcyjną treścią przekazu. Tajemniczy mecenas chciałby porozmawiać o książce, którą wydawnictwo Ventura zamówiło u autora z Warszawy, niejakiego Roberta Pruskiego. Dokładniej rzecz ujmując: ukrywający się za adwokatem „istotny przedsiębiorca" ma „intratną propozycję" biznesową związaną z tą publikacją.

– Szczegóły powinniśmy omówić na osobistym spotkaniu, panie Waldemarze. Proponuję, by pan zadzwonił do mnie niezwłocznie, gdy tylko ten tekst pojawi się u pana na biurku. I niech pan się absolutnie nie nastawia na wydanie tego... pasztetu. Należy odmówić.

– Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem.

– Należy odmówić publikacji naruszającej dobra osobiste istotnych osób. To przecież jasne. To jest kodeksowy obowiązek wydawcy, by czuwać nad... czy muszę mówić dalej? Rozumie pan chyba, o co chodzi, panie Waldemarze.

– O jakiej intratności oferty mówimy?

– Nawet siedmiocyfrowej. Pan nie może przecież być poszkodowany na utraconych korzyściach. Ja to rozumiem.

– W takim razie do usłyszenia – wydawca stara się żegnać bez emocji.

Jeden ruch kciuka wystarczy, by w wyłożonej drewnem i jasną skórą kabinie limuzyny ponownie – i dużo głośniej niż poprzednio – rozbrzmiały złote szlagiery. Przyjemna droga człowieka sukcesu wracającego do domu po wczesnym biznesowym lunchu robi się jeszcze przyjemniejsza. Skręcając w drogę dojazdową do macierzystej osady willowej, Waldemar Murka wielkodusznie postanawia zmotywować „autora z Warszawy" jakąś niewielką sumą, która go nie przestraszy. Różnica pomiędzy najniższą znaną mu siedmiocyfrową liczbą a kwotą obiecaną Pruskiemu wynosi przeszło dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy złotych i nie ma powodu, aby zbyt długo czekać na te pieniądze. A nawet na ich część.

* *

W odróżnieniu od Murki Pruski męczy się, jadąc. Drobne, lecz niekontrolowane boczne ruchy subaru świadczą o tym, że wyłysiałe opony już nie chwytają na lodzie. A nowe do forestera to tysiąc dwieście za sztukę.

Temperatura zaczęła ostro spadać, jeszcze gdy byli nad jeziorem. Jasiek natychmiast dostał kataru i konieczność poszukania czynnej apteki z kroplami do nosa wybawiła ojca od uczestnictwa

w pożegnalnej imprezie wędkarskiej braci. Teraz jedzie wolno, wypatrując zaczajonych we mgle policjantów i tablic ze znakiem fotoradaru. Obaj z synem nie zmienili ciuchów od czterdziestu ośmiu godzin, śmierdzą ogniskiem, ojciec ma czerwone oczy, a potomek – czarne paznokcie. W dodatku stary podłapał znów suchego kaca w zestawie z kaszlem żołądka.

Ale atmosfera jest okej.

Wyładowana komórka grzecznie milczy, z głośników płyną ballady Jaromíra Nohavicy, a w plecaku syna leżą dwa złowione dzisiaj rano okonie, z którymi będzie się musiała zmierzyć Kamila.

Na stacji benzynowej za Kowalewem Pomorskim jedzą zupy z plastikowych misek. Janek wybrał żurek, Robert – flaki. Zdjęty ze stojaka „Fakt", którego nie zamierza kupować, donosi o efektach poszerzonej w tym roku policyjnej akcji „Znicz". Przeszło półtora tysiąca zatrzymanych pijanych w tydzień – zuchy! Dołem idzie informacja o nowym romansie Karoliny Koon. Tym razem „Żyletka" dała się zdjąć w stołecznej klubokawiarni z nogami na kolanach ugrzecznionego dżentelmena w okrągłych okularach i dobrze skrojonym garniturze. Gość wygląda na speszonego. Z opisu wynika, że to „David Thuddern (51 l.), nowozelandzki pastor wspólnoty ewangelikalnej". Autor notki w gazecie pyta chytrze, „czy znana z występu na Wyspach Kanaryjskich skandalistka zasmakowała w duchowieństwie".

Gdy obaj Pruscy wychodzą przed stację, jest już prawie ciemno. Zgęstniała mgła błyska w świetle latarni lodowymi igiełkami. Robert uruchamia silnik, Jasiek zapuszcza sobie kolejną porcję kropli. Znalazł w schowku chipsy i zapomnianą samochodową ładowarkę do nokii.

Trzeba się podłączyć, wrócić do kieratu...

Telefon na kablu ożywa w momencie, w którym mijają tablicę z nazwą wioski: Wielka Mąka.

Pik-pik-pik... Cztery nieodebrane połączenia od Majki, jedno z nieznanego mu warszawskiego telefonu stacjonarnego, dwa od Moniki Rogalskiej z Ventury. SMS-y od Kamili, z ubezpieczalni, a niżej – z banku: „Przelew przychodzący: kwota 5 600. Na rachunek... Dostępne saldo...".

Kurczę... o co tu chodzi? Tajny darczyńca?

– Tata, chcesz chipsa? Bo już się kończą.

– Dzięki, synek, wiesz, że nie lubię...

Ventura dzwoni po raz kolejny.

– Taaa...

– Rogalska z tej strony. Monika Rogalska. Miło mi pana poinformować, panie Robercie, że moi szefowie zdecydowali się przyznać panu nadzwyczajny bonus na poczet tantiem, żeby się pan mógł poczuć przy pracy bardziej komfortowo. Pieniążki wysłaliśmy do pana już w południe, ale ponieważ nie otrzymałam potwierdzenia, pozwoliłam sobie...

– A więc to od was. Szybko doszły.

– Tak, od nas. Zdecydowaliśmy się na przelew natychmiastowy. Mam nadzieję, że jest pan tym ucieszony, panie Robercie. Bo my tu mamy pomysł, żeby przyspieszyć wydanie... i oczywiście zarazem końcową wypłatę. Jak pan ocenia szanse na ukończenie...

– Oceniam bardzo dobrze. Trzy dni.

– To fantastycznie! Na jaką liczbę stron powinniśmy się przygotować?

– Sto dwadzieścia. Może sto trzydzieści.

– Niewiele, ale w tej sytuacji czasowej to zrozumiałe.

– Dacie grubszy papier i większą czcionkę.

– Czyli jesteśmy umówieni na wtorek – środę.

– Jesteśmy.

Kiedy asystentka Monika cichnie, Robert chce zadzwonić do Majki, ale akurat nie ma zasięgu. Pięć kilometrów dalej zasięg – owszem – wraca, lecz dla odmiany gaśnie telefon. Chińska ładowarka kupiona kiedyś za kilkanaście złotych wydała ostatnie tchnienie.

Do Torunia już tylko szesnaście kilometrów. Pięć tysięcy sześćset minus nowe opony daje osiemset złotych reszty. Na życie. Ty się, chłopie, nigdy z dołka nie wygrzebiesz.

* *

W mieszkaniu na Kraszewskiego jest pusto. Pierwsze, co robi, to podłączenie telefonu. Z SMS-a od Kamili wynika, że pojechała z Krzysztofem dyżurować przy chorej teściowej. Wrócą pociągiem o dziewiątej trzydzieści.

„Jak zdążysz, przyjedź z Jaśkiem do szpitala".

Najmłodszy Pruski właśnie zasiadł nad klawiaturą. Po dwóch dniach bez dostępu do sieci ma mnóstwo zaległości wymagających pilnego odrobienia. W „Tibii", „Heroesach" i na Fejsie.

– Chcesz jechać ze mną do Bydgoszczy, zobaczyć babcię? – Robert ma nadzieję, że w obecnej sytuacji jest to pytanie retoryczne.

Synek go nie zawodzi:

– Wolę zostać w domu.

– W takim razie... ja zbieram się powolutku do Warszawy, a ty będziesz tak dzielny i sam popilnujesz chaty. Mama i brat twój wrócą za trzy godziny. Za trzy i pół. Zostawię ci w kuchni kanapki. Pamiętaj, żeby odrobić lekcje.

– Tata... powtarzałem ci milion razy, że nam na weekend nie zadają.

– Ale możesz się po prostu pouczyć. Dostaniesz w czerwcu czerwony pasek jak Krzysio.

– Paski na świadectwach dają tylko gejom.

– Internet wyłączę, jeśli będziesz tak gadał! Zabiorę router ze sobą.

– Nie możesz zostać do jutra? – Młodszy syn zmienia ton na żałosny. Odwraca twarz od ekranu. Oczy ma szklane, ale to nie są łzy. Chyba się jednak przeziębił.

– Nie mogę. – Robert kładzie dłoń na czole małego. Jest podejrzanie rozgrzane, ale jak bardzo, tego nie ustali, bo nie ma pojęcia, gdzie Kamila trzyma termometr. Jaś też tego nie wie. Odrywa dłoń od zwilgotniałej skóry syna, przeczesuje jego przetłuszczoną czuprynę. – Przykryj się kocem, jeśli chcesz tak siedzieć. Zrobię ci herbatę z cytryną i kanapkę z miodem. I z czosnkiem. Weźmiesz przed snem gorącą kąpiel... tak? Ja idę się wykąpać przed drogą.

Pół godziny później wyprowadza subaru spomiędzy obdrapanych garaży stłoczonych wzdłuż osiedlowej uliczki bez nazwy. Wyjeżdża na dwupasmówkę koło dawnych delikatesów, w których świętej pamięci ojciec kazał mu przed prawie czterdziestu laty stać w kolejce po banany na święta. Zamiast bananów rzucili wtedy bułgarskie soki Dodoni w litrowych puszkach. Jedna osoba mogła kupić trzy sztuki. Gdy mały Robcio przyniósł zdobycz do mieszkania, tato zarządził: pierwszą puszkę wypiją wspólnie pod choinką, drugą – na Wielkanoc, a ostatnią – na zakończenie roku szkolnego. Niestety, już w okolicach Trzech Króli dwa skarby zaczęły fermentować, wybrzuszając blachę. Matka próbowała zepsuty sok przegotować w garnku, posłodzić deficytowym cukrem – wszystko na nic.

Opuszczając miasto, odczytuje zaległe SMS-y. Najpierw wkurzający komunikat o konieczności natychmiastowego

uregulowania zaległej raty ubezpieczenia auta, potem wiadomość od Mai.

„Drozd się do ciebie nie dodzwonił. Do mnie tak. Spotkanie o 11 w Horebie. Idę sama".

– Ożeż ty!

Majka odbiera po pierwszym sygnale.

– Spieprzyłam sprawę.

– Że jak?!

– Powiedziałam Drozdowi, co szykujemy. Chciałam być sprytna. Pokazać, że wszystko wiemy. Pohandlować informacjami. Jestem beznadziejna.

– Co ci powiedział?

– Nic. Tylko gdy go spytałam, czemu nie użył Neptuna, stwierdził, że Bóg go powstrzymał.

– Więc jednak coś! Bardzo dobrze... *Deus ex machina* powinien się pojawić w każdej dramatycznej historii. Nagrałaś?

– Nagrałam. Słabo wyszło, ale da się zrozumieć słowa. Objechał mnie ostro. I ciebie. Jesteśmy szwadronami śmierci.

– To wiem już dawno. Zapytałaś o ksywę „Majzel"?

– Jak to usłyszał, przewrócił krzesło.

– I o to chodzi! Dzielna dziewczynka!

– Jaja sobie robisz?

– Nie robię. Jest idealnie. A co ty myślałaś, Majeczka? Że ci się stary cwaniak wypucuje? Gdyby mu hasła „Neptun" i „Majzel" nic nie mówiły, toby zapytał: „Co pani bredzi?". A jak podskoczył na krześle, to znaczy, że szpila weszła w dupę po same kichy.

– Tyle że on zaprzecza.

– Nieważne. Jesteśmy w domu. Powiedziałaś mu wszystko, on nie skorzystał z prawa do obrony – zasady zachowania szczególnej staranności zostały dopełnione. Nawet jeśli nas pozwie...

– A gdzie ty jesteś? Bo coś trzeszczy i zanikasz chwilami.

– Już do Warszawy jadę. Zadzwonił Poznań. Chcą cały tekst we wtorek, najdalej środę. „Żyletka" znowu zaszalała z jakimś księdzem i to ich podnieciło.

– Widziałam w sieci. Ona ci pomaga, jak potrafi. Może teraz Ventura jej płaci?

– Bym się nie zdziwił. Przysłali mi ekstra kasę.

– Przyjeżdżaj jak najszybciej. Tęsknię.

– Będę pracował.

– Już się tak nie bój... Będziesz mógł pisać. Teraz ci trochę odpuszczę. Mam okres.

– To już druga dobra wiadomość dzisiaj.

– Nie chciałbyś ze mną dzidziusia? Trzeciego synka? Taki malutki, pomarszczony, bez zębów, za to z dużym, czerwonym ptaszkiem.

– Wypluj to słowo.

– Które?

– Którekolwiek.

* *

Zegar za kierownicą wskazuje minus trzy stopnie, dwadzieścia dwie minuty do ósmej i zapas paliwa na trzysta dziesięć kilometrów. Do Warszawy jeszcze ponad sto pięćdziesiąt. W kupionej po południu paczce pall malli zostało siedemnaście sztuk. Bateria w komórce pokazuje dwie kreski. Gitary AC/DC znów grają. Tym razem Weronika. Złe wieści: pomysł z rabatami *last minute* dał raptem półtorej kolumny reklamy. Tekstu sponsorowanego nikt nie chce. Ogłoszenia *non profit* zajmą sześć razy po połówce strony, czyli w sumie trzy pełne.

– Więcej dać ich nie można, bo się ośmieszymy. Do drukarni zostało pięć dni, a mamy sześć pustych.

– Nie pękaj... – Robert radzi jej zajrzeć do katalogu „Szalet", w którym od roku chowa teksty zbyt słabe, aby je wydrukować, lecz nie tak koszmarne, by pociągnąć klawiszem Delete. – Jest tam coś o Warszawskim Indeksie Sztuki. Facet od Koźmińskiego przysłał to jeszcze w sierpniu – nie pamiętam już nazwy pliku, ale będzie to coś ze słowem „giełda". Gdybyś to jakoś podredagowała z nowymi danymi... można by zilustrować reprodukcjami tego, co najbardziej zdrożało w ostatnich miesiącach. Dwie kolumny zrobicie, jak obszył.

Rozmawiają jeszcze przez parę minut. Robert mówi o nowym deadlinie na książkę i konieczności zaszycia się w ciemnym kącie z laptopem, Weronika obiecuje zapędzić cały zespół do nowej pracy – ale dopiero od poniedziałku. Jutro musi jechać z córką pod Wrocław z wizytą do pediatry, którego można osiągnąć tylko prywatnie i tylko w niedzielę. Pruski chce ją jeszcze zapytać dokładniej o stan Leny, ale w tym momencie telefon zaczyna popiskiwać.

Bateria siądzie za moment.

Na telefon do Kamili już nie starcza energii.

34.

Poniedziałek, 4 listopada.
13 dni przed tragedią w Białołęce

Powiedzenie „niedzielna praca w gówno się obraca" w przypadku wczorajszego dnia nie sprawdziło się ani trochę. Robert spędził ponad jedenaście roboczogodzin nad tekstem, Maja poczyniła – i podrzuciła mu – ostatnie ustalenia dotyczące sieci fundacji Drozda i Topaza. Odbyła dwie skype'owe i kilka facebookowych

konferencji z Dionisio Marcielem Capaeredem. Hiszpan już przygotował donos na Topaza do Centrum Wiesenthala. Zrobił też – dla Majki i na potrzeby własnych, przyszłych publikacji – zestawienie aktywów legalnej części imperium biznesowego Brzydkiego Ryja. Wyszło mu ponad pięćset milionów dolarów w samej Hiszpanii i Portugalii, nie licząc tego, co Ferdynand ma ukryte na Wyspie Wilków. Maja wypisała wszystkie składowe fortuny w jednym pliku, a Robert włączył te wyliczenia do tekstu.

W poniedziałek późnym popołudniem przyszły bestseller *To był zamach* ma sto dwadzieścia osiem stron i nowy, lepszy początek. Teraz zaczyna się fabularnie: od spotkania Drozda z Janem Pawłem II w papieskich apartamentach jesienią 1989 roku. Fiolka z Neptunem w kieszeni sutanny wielebnego, jego pseudonim „Majzel" i pytanie: „Dlaczego trzeci zamach na Głowę Kościoła nie doszedł do skutku?". Odpowiedź z początku nie pada – akcja gwałtownie przenosi się na współczesną Fuerteventurę. Roznegliżowana Karolina, starszy o prawie trzy dekady ksiądz Franciszek i zaczajony detektyw z „Faktu". Kto chce się dowiedzieć, o co chodziło na początku, do czego służy Neptun i tak dalej – musi przeczytać następne sto stron. O bandytach z Łucka, aptece w Turczynie, wojnie w Afganistanie, menelskich rodzinach z dzielnicy Pogoń w Sosnowcu, o handlowej odysei wikarego Franciszka, nagrywaniu filmów wideo z pielgrzymek i rozpoczętej na podwiedeńskim kempingu operacji „Transformator".

Kilka minut przed północą, po przeczytaniu całości od początku i naniesieniu około tysiąca poprawek, Pruski stawia kropkę za ostatnim zdaniem książki: „Bóg mnie powstrzymał. Bóg sam jeden". Podnosi wzrok znad klawiatury i stwierdza, że wielki jadalniany stół, przy którym od wczoraj pracuje, pokryty jest

brudnymi talerzami, kubkami i plamami tłuszczu. A widoczny za oknem trawnik konsula Szalawskiego zrobił się biały od śniegu.

Przegapiłeś, człowieku, początek zimy.

W pokoju kominkowym Maja relaksuje się na kanapie. Tablet położyła sobie na brzuchu, w uchu ma białą słuchawkę, oczy półprzymknięte. Chyba drzemie.

On wstaje, z trudem łapiąc pion – musi wesprzeć się o krawędź blatu. Komunikaty z różnych rejonów organizmu dopadają go jednocześnie: jest ci zimno, ale nie z powodu chłodu w pomieszczeniu, lecz ze zmęczenia. Chce ci się spać, a jednocześnie: rzygać, sikać, zapalić, wypić coś czterdziestoprocentowego, a w najgorszym wypadku piwo. Zaczyna od toalety, potem – z papierosem w dłoni – marznie na ganku, obserwując płatki śniegu: duże, nieforemne i lepkie. Spadają na parapety, schody, kamienie podjazdu, na gęsty trawnik i metalowe obicia lamp. Jesień przeplata się z zimą w pięknej podmiejskiej scenerii, pośród wysokich świerków i czujnych kamer.

* *

W kuchni zjada bułkę z ziołowym masłem i kabanosa – ściśnięty żołądek nie przyjąłby raczej niczego bardziej skomplikowanego. Zapija wodą, kilka minut stoi bezmyślnie i nieruchomo oparty o zlewozmywak. Potem zakłada na ramiona pled w egipskie wzory i układa się na skraju kanapy obok drzemiącej pani tego domu.

– Skończyłeś? – ona szepce, nie otwierając oczu.

– Skończyłem. – On wyjmuje jej z ucha słuchawkę, odkłada tablet na podłogę i okrywa ich oboje miękką tkaniną z wizerunkami skarabeuszy. – Rano wyślę to wszystko do Poznania.

– A tytuł?

– *To był zamach*.

– Lepszy byłby *Trzeci zamach*. Przeczytam ci to jeszcze przed wysłaniem.

– Mhmmm... – on mruczy coś jeszcze niezrozumiale i za chwilę już śpi. Ona wstaje z kanapy, sprząta jadalnię, zjada serową sałatkę Lilianny i siada do otwartego della. Zaczyna od przeglądu wiadomości: ostrzeżenie przed fatalnymi warunkami na drogach, policja prezentuje twarze największych zbójów – sprawców awantur na stadionie piłkarskim, premier z wizytą w prowizorycznym osiedlu powodzian. Montaż głowy świętego Jana Pawła II na betonowym korpusie zakończony. Według dokładnych pomiarów białołęcki pomnik razem z cokołem ma siedemdziesiąt metrów i sześćdziesiąt pięć centymetrów, co oznacza, że jest tylko o dwadzieścia dwa i pół metra niższy od Statui Wolności, bije natomiast na głowę takie monumenty jak Jezus z Rio de Janeiro i Chrystus z Limy, nie mówiąc już o plastikowym Janie Pawle II z Częstochowy i Zbawicielu ze Świebodzina.

Po zamknięciu strony Gazeta.pl otwiera tekst oznaczony jako zamach-29.doc, zmienia nazwę pliku na zamach-30.doc i zaczyna czytać. Co jakiś czas nanosi poprawki.

35.

Czwartek, 7 listopada, popołudnie.
Dziesięć dni przed tragedią w Białołęce

– ...biorąc to wszystko pod uwagę, musi mi pan, kolego, obiecać, że się po powrocie do domu zajmie sobą. Zdrowie jest najważniejsze, czy nie tak? A co do sedna... Czyta się jednym tchem, choć potok nazwisk mnie z początku przybił. Szczególnie

w przypadku *señor* Topaza... Brochwicz, Bruliański, Eugeniusz, Ferdynand... a to przecież jeden i ten sam człowiek. Podobnie z panem Królikiewiczem. Raz występuje jako Krol, raz jako Medard, innym razem mamy Mieczysława...

– Literatura non fiction ma tę wadę, że wymaga trzymania się faktów...

– Dobrze już, dobrze. Taki kejs. Tak tylko zauważam na marginesie... – Waldemar Murka, redaktor naczelny i wiceprezes Ventury, mówi powoli i tak cicho, że jego głos momentami przechodzi w szept. Jest człowiekiem przyzwyczajonym do tego, że gdy zabiera głos – inni milkną.

Wydaje się rówieśnikiem Pruskiego, lecz na tym podobieństwa się kończą. Odziany w kosztowną truskawkową koszulę i przewiązany krawatem podobnej barwy, pan wiceprezes ma figurę ludzika Michellina. Jest mocno wyperfumowany i idealnie ogolony albo nawet wydepilowany na podwójnym podbródku i obłych policzkach. Rzadkie proste włosy dziś rano pieczołowicie ułożył mu fryzjer. Widać również, że Murka robi wiele, by nadać swej banalnej słowiańskiej twarzy jakiś oryginalny rys. Okrągły krótki nos zdobią okulary w przesadnie grubych białych oprawkach – zapewne zerówki. W lewym uchu tkwi kolczyk. Kiedy mówi, składa dłonie w daszek.

Siedzący w głębokim skórzanym fotelu Robert wie, że trzeba dać mu się wypowiedzieć. Popija drobnymi łykami automatycznie zaparzoną lavazzę i wielkimi haustami wodę z dzbanka. Pić chce mu się dużo bardziej niż na suchym kacu. Od ósmej trzydzieści rano, kiedy Monika Rogalska wezwała go do Poznania „w trybie pilnym", wypalił w samochodzie – tłumiąc niedobre przeczucia – dziewięć papierosów. A dopiero minęła dwunasta... Poprzedni dzień był nie lepszy. Poszło półtorej paczki. Kiedy zaczęli zsyłać „Rynek"

do drukarni, wysypała się kolumna z tekstem o drożejących starych Holendrach, a potem kolejna – o Warszawskim Indeksie Sztuki i rosnących cenach artystów polskich. Dopiero w tym momencie zorientowali się z Weroniką, że mają dwa podobne materiały w dwóch różnych miejscach. W pośpiechu przenumerowali kolumny i wlali teksty jeszcze raz. Ania zrobiła ostatnią korektę wprost na ekranie. To było mistrzostwo świata w kategorii ekspresowej pracy nad tekstami. Ale wówczas, w środę, redaktor Pruski był jeszcze w niezłej kondycji – przespał wszak u Majki cały wtorek. Teraz z dobrej formy nie zostało nic. W momentach, gdy nie przykłada do ust filiżanki, stara się chować dłonie pod własnym zadkiem, żeby szanowny Murka nie widział, jak się trzęsą.

– Jest kilka miejsc, w których się pan, kolego, prześlizguje pomiędzy faktami albo nawet nad nimi przepływa, lecz zgrabnie... to trzeba oddać... bardzo udatnie. Rozumiem, że presja czasu wymogła pominięcie określonych detali, tym niemniej podsumujemy najważniejsze punkty opowieści, aby lepiej pan pojął, o co mi chodzi. – Wiceprezes, wstając z fotela, musi unieść przed sobą łokcie, by zbalansować ciężki kuper. Pod pachami ma wilgotne kręgi od potu. Pruski stara się na nie nie patrzeć.

Waldemar niespiesznie podchodzi do okna z widokiem na bezlistne drzewa przy alei Niepodległości i wysoki hotel o złamanej bryle. Od przeszło roku kierownictwo Ventury zasiedla piętro stuletniego miejskiego pałacyku przy ulicy Cichej. Kwadrans spacerem na Stary Rynek, a jednocześnie dobry dojazd i wyjazd z miasta. Cisza, spokój, porządne biznesowo-lekarsko – prawnicze sąsiedztwo.

Bezszelestnie zjeżdża spuszczona przyciskiem żaluzja. W pokoju na moment robi się całkiem czarno, a potem niebieskawo.

Gospodarz włączył wmontowaną w ścianę interaktywną tablicę, jakiej mogłaby pozazdrościć Venturze niejedna szkoła.

Elektronicznym piórem pisze od góry: „NR 1. KS. F. K. DROZD".

I podkreśla dwa razy.

– Pierwszym oskarżonym przez pana człowiekiem jest właściciel fundacji, wydawnictwa i telewizji. Osoba ustosunkowana politycznie, prawdopodobnie będąca w posiadaniu archiwum dokumentów o wielkiej sile rażenia. Gdybyśmy, panie kolego, ostrożnie zważyli Drozda, to wyjdzie... – Murka zawiesza głos i dłoń z pisakiem. – ...wyjdzie nam w przybliżeniu coś takiego...

Uzupełnia tekst na tablicy: „DROZD, CIRCA 300 MLN ZŁ".

Robert już wie, do czego zmierza spocony Waldek. Zmęczenie, przepalenie, tęsknota za wódką i poczucie klęski splatają się w jeden ściskający kiszki węzeł. Znowu przegrywasz na własne życzenie, człowieku. W tej właśnie chwili.

Murka mógłby już niczego więcej nie mówić. Ale mówi. Najpierw o Medardzie Królikiewiczu, którego wycenia podobnie jak wielebnego – na trzysta. Potem o Ferdynandzie Topazie.

– Pan, kolego, bardzo skrupulatnie wyliczył składniki jego majątku. I w tym punkcie ja panu chcę i muszę zawierzyć całkowicie, bo przyznam się, że wcześniej nie miałem pojęcia o tym człowieku. A zatem pół miliarda dolarów, czy nie tak?

Redaktor tylko kiwa głową. Waldemar pod trzykrotnie podkreślonym punktem „NR 2. M. KRÓLIKIEWICZ, CA. 300 MLN ZŁ" wypisuje punkt trzeci: „F. TOPAZ, 500 MLN USD". I podkreśla czterema liniami.

– Horsta-Załużnickiego też mam dla pana wycenić? – Pytanie odrywa się od zbolałej krtani Pruskiego jak plaster od niezagojonej rany. Robert wie, że wiceprezes już wie, że on wie, do czego to wszystko zmierza.

– Tego możemy pominąć w równaniu, kolego. Redakcję „Faktu” – tak samo. Nie trzeba nam nic więcej na tej szali. Po jednej stronie już mamy ponad dwa miliardy złotych, licząc aktualną cenę dolara, czy nie tak? A co mamy po drugiej? Nasze własne wydawnictwo z jedynym radcą prawnym zatrudnionym na umowę-zlecenie. Pomiędzy tymi dwoma wartościami, pan wybaczy, jest tylko pańska książka i pańskie oskarżenia.

Lewa dłoń Waldemara, wygładzona równie starannie jak twarz, wskazuje leżący na stole zbindowany wydruk tekstu Roberta i Majki. Prawa ręka kreśli na tablicy kolejno coraz większe wyrazy: „AGENT SB”, „OFICER WYWIADU PRL” „PROWOKATOR”, „MORDERCA”.

– Zaplanowany atak na papieża. Udział w eksterminacji Żydów. Handel żywym towarem. Zbrodnie na dzieciach. Przemyt narkotyków i pranie pieniędzy. Złe intencje i finansowe machloje ukryte za budową pomnika, z którego naród jest dumny. Przynajmniej część narodu. Czy istnieją w ogóle oskarżenia gorsze od tych, które pan postawił? Dodajmy: bez dowodów.

– No... tu już pan, prezesie, przesadził. Dowody – poszlaki – są: zeznanie Abdugarowicza, opowieść Załużnickiego. Sam Królikiewicz przyznał mi się do wiedzy na temat Neptuna, czyli pośrednio... do jego zastosowania. – Teraz Pruski wstaje z fotela. Jest o głowę wyższy od Murki. W chłodnym blasku płynącym z ekranu obaj przez kilka sekund mierzą się wzrokiem.

– Abdugarowicz to drobny pijaczyna, pan go przecież własnoręcznie opisał w ten sposób. – Głos wiceprezesa pozostaje cichy i spokojny. – Ktoś taki opowie wszystko za szklankę wódki. Załużnicki... człowiek na skraju zapaści nerwowej. Skompromitowany autorytet na wygnaniu. Królikiewicz to co innego... ale czy ma pan nagranego Królikiewicza?

– Podczas kluczowej rozmowy leżeliśmy w wannie z bąblami.

– Napisał panu oświadczenie?

– Za nic by tego nie zrobił. To, co od niego wyciągnąłem, to i tak dużo... Ale mam nagranego Topaza i Drozda.

– Które to nagrania, o ile pamiętam, cytuje pan w tekście w całości. – Murka podchodzi do okna, podnosi żaluzję i siada na poprzednim miejscu, w fotelu. Sięga po wydruk, kartkuje.

Robert mruży oczy w nagłej jasności.

– Załużnicki mi powiedział, że Medard jemu powiedział, że, cytuję: „posłali Drozda na Neptuna" – Pruski obchodzi stół dookoła. – A Królikiewicz na moje pytanie, czy Drozd miał w Watykanie ampułkę, nie zaprzeczył. Zasugerował użycie środka podczas nabożeństwa. Topaz mówił o Droździe: „Majzel to gnida". Drozd na samo hasło „Majzel" wyskoczył z krzesła. Pytany, co go powstrzymało w ostatniej fazie akcji w Watykanie, mówi bardzo wyraźnie: „Bóg powstrzymał"... Mało panu tego?

– Dobrze już, dobrze... Zasugerował użycie... Nie zaprzeczył... Boska interwencja... Ruchy w krześle. Panie kolego! – Murka unosi rękę, nie unosi głosu. Nie musi. – Pan jest przecież zawodowcem, prawda? Z tego powodu, że ksiądz wzywa imienia boskiego nadaremno i przy tym podskakuje na siedzeniu, a ktoś inny miota obelgi i niezrozumiałe określenia, nie zaryzykuję co najmniej trzech przegranych procesów, nie mówiąc już o tym, że pańskie poszlaki doprowadzą do kompromitacji...

– Poszlaki układające się w logiczny, spójny i jedyny możliwy ciąg zdarzeń...

– ...pan nie wie, czy rzeczywiście jedyny. Bywają koincydencje, o których się filozofom nie śniło. Ani mordercze zamiary księdza Drozda, ani współudział Topaza, ani ten Medard... nic tutaj nie jest pewne. Niechaj pan siada i dobrze słucha, jaki faktycznie mamy

kejs. – Nalana twarz prezesa Ventury nie wyraża żadnych emocji, a jednak Robert wie, opadając na fotel, że właśnie teraz usłyszy puentę. – Zamówiliśmy u pana opowieść o Karolinie Koon i księdzu Franciszku. Zapisaliśmy to w umowie. I pan się częściowo z tej umowy wywiązał. Ale tylko częściowo. Historia pani Koon, te erotyczne ekscesy z przyjaciółką oraz trudne dzieciństwo księdza, jego trasy handlowe, nawet historia z „Faktem" i tajnym detektywem... zdjęciami... wszystko to jest jeszcze do przyjęcia. I na tym można by zakończyć, lecz, niestety, pańskiego tekstu nie da się automatycznie okroić. Dlatego pan go musi osobiście raz jeszcze przerobić...

– Nie!

– Słucham?

– Nie będę niczego przerabiał. – Robert znów zaczyna krążyć po pokoju. Rozdygotane dłonie zaplótł na piersi. Mówi chrapliwie, z przystankami, chwilami głos mu podskakuje. – Zamiast banalnej historii upadłej pindy i cholernego Franciszka zrobiłem wam w niecały miesiąc historię, jakiej nikt przez ostatnie dziesięć lat w tym kraju nie zrobił. Pan przecież wie doskonale, że nic się nie sprzedaje tak dobrze jak święty Jan Paweł II, spiski i Holokaust... Tu macie wszystko w jednym. Macie potwora i bohatera. Bo Drozd to bohater. Osaczony, który jednak ucieka. Kolejne dwa doskonałe toposy. I zapewniam pana, że on do sądu nie pójdzie. Za dużo musiałby zdradzić w przypadku procesu. Topaz podobnie. Za chwilę będzie miał na łbie Żydów od Wiesenthala i hiszpańską policję. Jedźmy dalej: czeka nas uroczyste odsłonięcie pomnika w Białołęce i głośny proces być może ostatniego żyjącego hitlerowskiego zbrodniarza. A jeśli ostatniego, to będzie większa sprawa od Demianiuka i Dinko Šakicia razem wziętych. Czy ja mam panu

tłumaczyć, że ta książka się sprzeda? Przecież pan powinien to wyczuć...

– Robert, nie bądź żałosny! – Wymawiając imię Pruskiego, prezes po raz pierwszy podnosi głos. – Nie wydasz tego u nas. Rozumiesz?!

– Wydam u kogoś innego.

– Droga wolna. Kto się odważy postawić takie oskarżenia na tak lichych przesłankach? Nikt... A ty jesteś nam winien zwrot wszystkich zaliczek.

– Wydałem na risercz, na podróże, na zaległe spłaty. Nic dla was nie mam.

– Nie bądź żałosny, powtarzam. Są tylko dwa wyjścia z tej sytuacji. Albo przepisujesz książkę, albo nam płacisz... zaraz powiem ile... – Murka podnosi ze stołu iPhone'a i zsuwa okulary na okrągły koniec krótkiego nosa.

– Wiesz co, Waldek...? – Robert zadaje pytanie, otwierając jednocześnie drzwi na korytarz.

Pytające spojrzenie wiceprezesa znad szkieł.

– Pierdol się.

Murka zdejmuje okulary z nosa. Jego gładka twarz pozostaje nieprzenikniona i tylko jeden kącik ust się unosi, co może oznaczać uśmiech.

* *

O trzynastej Pruski stoi w korku na północnej obwodnicy Poznania. Nie włączył o pełnej godzinie radia, nie wypalił od wyjazdu z Ventury ani jednego papierosa, nie czuje głodu, choć nic dzisiaj nie jadł, nie czuje nawet zmęczenia. Gdyby ze stojącego przed nim terenowego nissana ktoś nagle wysiadł i poczęstował go butelką wódki, wypiłby ją duszkiem. Poza tą jedną myślą wszystko jest mało ważne. Telefon dzwoni, ale on nawet nie patrzy

na wyświetlacz. Nie denerwuje go korek, nie myśli o pieniądzach. Wpatruje się w padający śnieg, który wycieraczka zgarnia na margines szyby przed jego twarzą. Brudnobiały pionowy wałeczek górą tyje, a dołem się roztapia. Strużka spływa pod przednią maskę i gdzieś tam ginie.

W tej samej chwili pięć kilometrów dalej Waldemar Murka łączy się z adwokatem bez nazwiska reprezentującym równie anonimowego „istotnego przedsiębiorcę".

– Wydawnictwo Ventura z tej strony. Z mecenasem mam przyjemność?

– Słucham pana.

– W sprawie autora z Warszawy.

– Nadal słucham.

– On dostarczył nam już ten, jak go pan nazwał, pasztet. Przeczytałem osobiście. I dzisiaj się z nim zobaczyłem. Wszystko zgodnie z ustaleniami. Myślę, że zniechęciłem go bardzo skutecznie. Poradziłem, aby nie szukał szczęścia w innych oficynach. Prawdę mówiąc, jego szanse i tak są znikome, niezależnie od naszych... preferencji. Nie widzę takich odważnych w branży, szczególnie teraz, kiedy odszkodowania wzrastają... – Wydawca zawiesza głos. – Pan słucha?

– Bardzo uważnie.

– Pasztet nazywa się *Trzeci zamach* i jest wyjątkowo pikantny. Zaryzykuję twierdzenie, że teorie o bombie helowej w pamiętnym samolocie to przy tej potrawie... dropsy.

Mógłby dodać: „Powiedz swemu istotnemu przedsiębiorcy w sutannie, że może spać spokojnie". Ale nie dodaje. Milczy i czeka na ruch po drugiej stronie.

Prawnik zaczyna powoli. Odrzucenie książki to dla jego mandanta dobra wiadomość, ale co do jej przyszłych losów pewności nie ma.

Istotny przedsiębiorca zainteresowany jest jak najszybszym wglądem w treść *Trzeciego zamachu*.

– Kwotę, o której była mowa, może pan potraktować, panie Waldemarze, jako zapłatę za, powiedzmy, ciepły jeszcze maszynopis. W naszym wypadku czas to pieniądz.

Murka, nie wypuszczając słuchawki, kładzie rękę na zbindowanym wydruku. Fala dobrego nastroju sprawia, że nie może się oprzeć pytaniu, dlaczego szanowny mandant nie zwrócił się bezpośrednio do autora. Adwokat po drugiej stronie łącza grzecznie wyjaśnia, iż mocodawca „życzy sobie uniknąć kontaktu zarówno z tym całym Pruskim, jak i z jego niezrównoważoną pomocnicą".

– Miał już niedawno nieprzyjemność prowadzenia rozmowy z tymi ludźmi. I wystarczy. Możemy przejść do konkretów?

– Jak najbardziej.

Konkrety są takie: żadnego wysyłania plików tekstowych, żadnej umowy, żadnego przelewu. Osobiste spotkanie, tekst na papierze i zapłata w gotówce. Może za kilka godzin?

W odpowiedzi Murka szeleści wydrukiem, udając, że sprawdza wolne terminy w kalendarzu. Proponuje dziewiątą wieczór. Tyle że nie w Poznaniu.

– Jest taka sympatyczna jadłodajnia w miejscowości Murowana Goślina. Otwarta do ostatniego gościa. Dwanaście kilometrów na północ za miastem. To będzie dobre miejsce.

Prawnik bez nazwiska zgadza się natychmiast. Po zakończonej rozmowie odkłada na widełki słuchawkę aparatu pamiętającego lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku i z zaskakującą łatwością podnosi zza biurka umięśnione sto czterdzieści osiem kilo. Robi rundkę wokół obrotowego krzesła, myśląc o czymś intensywnie, potem pochyla się nad szylkretowym telefonem i wybiera numer

tego starego cwaniaka, którego przed kilkoma chwilami tak pompatycznie określał na zmianę mandantem, istotnym przedsiębiorcą i mocodawcą. Wykręca kolejne cyfry z pomocą najmniejszego ze swych grubych palców – jedynego, jaki mieści się w oczkach tarczy.

CZĘŚĆ III

DOWÓD

36.

Niedziela, 10 listopada.
Siedem dni przed tragedią w Białołęce

W samo południe Miłosz przysyła w pliku projekt okładki. Maja i Robert oglądają ją w pokoju kominkowym pochyleni nad alienware'em. On jest gotów od razu zaakceptować pomysł, ale ona dzwoni na Francuską i wybrzydza, co okazuje się korzystne. Po dwóch godzinach młody wysyła nową wersję. Bez wątpliwości lepszą. Zbliżenie portretowej fotografii Jana Pawła II jest ziarniste, celowo rozmyte. Widać tylko lewą część twarzy. Na niej tytuł wyraźną czcionką: *Trzeci zamach*. Na tylnej stronie okładki prosty tekst:

„Rzeczywisty powód, dla którego Ksiądz Prezes Franciszek Drozd objawił się na Fuerteventurze w towarzystwie Karoliny »Żyletki« Koon, nie ma nic wspólnego z seksem.

Trzeci zamach to nie jest opowieść o romansie duchownego i celebrytki, choć bez ich spotkania nasze dziennikarskie śledztwo nigdy by się nie rozpoczęło. *Trzeci zamach* to historia nieznanego historykom, nigdy nieopisanego, nieudanego zamachu na życie papieża Jana Pawła II. Zamachu, do wykonania którego – jesienią

1989 roku – służby specjalne ZSRR wytypowały młodego polskiego wikarego: Franciszka Kosmę Drozda.

Jak to się stało, że dzisiejszy magnat medialny w sutannie najpierw podjął się, a potem odmówił wykonania wyroku na Ojcu Świętym? Kim jest i co dzisiaj robi jego oficer prowadzący? Kto jeszcze był zamieszany w plan? Robert Pruski powraca z kolejną reporterską relacją – bardziej niewiarygodną od bestsellerowego *Wywiadu z wampirem*, a jednak prawdziwą".

Notka, choć krótka i wcześniej czterokrotnie redagowana, nadal się Majce nie podoba. Kolejne przeróbki trwają prawie godzinę i dopiero przed zmierzchem ostateczna wersja PDF-a z tak zwaną tylną okładką wędruje do Miłosza. Przed jedenastą wieczór – z przerwą na szybki posiłek – kończą oboje z Robertem stronę tytułową i wkładkę ze zdjęciami. Do druku pójdzie siedem fotografii. „Żyletkę", Drozda, Załużnickiego i Królikiewicza Miłosz zakupił w agencjach. Dużo gorsze technicznie portrety Topaza i Abdugarowicza ukażą się w książce z podpisem: „Fotografie wydawcy". A reprodukcja z włoskiego albumu wejdzie na prawach cytatu.

Przed północą Maja przerabia front książki na ładny obrazek 3D i wysyła, gdzie trzeba. Dwie godziny po północy Robert kończy pracę z korektą. Ona odgrzewa w tym czasie pieczarki nadziewane szpinakiem. Jedzą, zmęczeni, niewiele rozmawiając. Pruski nawet nie dojada swej porcji. Stękając, zwala się na kanapę z końskiego włosia, którą ugniata od czterech dni na przemian z łóżkiem Majki w sypialni. Zapada w sen prawie natychmiast.

Ona nalewa sobie niezgorszą dawkę wyniesionego z piwniczki papy Château Desmirail. Staje przy kuchennym oknie, patrząc na swe odbicie i śnieg. Nie zaśnie dzisiaj bez rohypnolu, a przecież powinna. Jest nie mniej zmęczona od chrapiącego już w salonie

redaktorka. Ostatnie cztery dni to był także dla niej maksymalny zapieprz.

Zaczęło się w czwartek, kiedy przyjechał z Poznania kompletnie załamany i chory. Miał twarz jak trup. Siedzieli tutaj – w kuchni – i do późna gadali, gadali, gadali... Robert opróżnił worek z żalami. Z jednej strony Kamila i dzieci, z drugiej – Maja. „Nasz romans nie ma przyszłości. Za duża różnica wieku i wszystko inne" – to były jego słowa. Mówił, że miażdży go poczucie winy z powodu niezapewniania rodzinie bytu na przyzwoitym poziomie, poczucie życiowej przegranej i tak dalej. „Szkoła upadła, »Rynek Sztuki« ledwo wyszedł i w dodatku na deficycie. Tekst od zamachu możemy sobie wsadzić gdzieś. Nikt go nie kupi. Poznań będzie zaraz chciał trzydziestu tysięcy zwrotu". Totalnie się rozkleił.

Wtedy ona rzuciła pomysł: pieprzyć Venturę! Pieprzyć inne wydawnictwa. „Nie będziesz chodził i żebrał o wydanie tego gdziekolwiek. Zrobimy książkę własnym sumptem!".

Robert najpierw wziął to za żart, ale potem pomyślał, zapalił, wreszcie zadzwonił do firmy, w której drukują „Rynek", i długo urabiał jakiegoś faceta. Tu, w tej kuchni, spisali pierwszy biznesplan. Potrzebne sześćdziesiąt tysięcy postanowili zebrać, pożyczając część od jej ojca i sprzedając jego forestera.

Piątkowa rozmowa z papą nie była najłatwiejsza. Nie pytał, jak Maja i jej kolega zamierzają sobie poradzić technicznie. Interesowało go wyłącznie to, co z przeszłości Drozda zostanie ujawnione. Nie powiedziała nic o zamachu, Neptunie ani Brzydkim Ryju. Opowiedziała tylko o „Żyletce". Że to wszystko okazało się prowokacją tabloidu, a tak naprawdę ksiądz latał do Afryki po cichą gotówkę na pomnik.

Ojciec jeszcze tego samego dnia rozbił lokatę w niemieckim banku i przelał czterdzieści tysięcy na konto. Robert sprzedał subaru

za czternaście. Wieczorem pojechali do redakcji. On przedstawił Maję swoim ludziom, naszkicował propozycję jednorazowej roboty, a potem ustalili szczegóły: kto i jak robi korektę, kto zaprojektuje okładkę i tym podobne. Wrócili do Piaseczna skonani. Ponieważ jej skończył się okres, chciała jeszcze pofiglować, ale on odpadł. Wzięła połowę tabletki i położyła się w nie najlepszym humorze. A wczoraj rano, jeszcze przed ósmą, obudziły ją krzyki.

To było nowe, niezbyt miłe doświadczenie. Redaktorek kłócił się przez telefon ze swoją Kamilą o sprzedaż samochodu i o to, że nie przyjedzie na weekend do Torunia. Gdy skończył, powiedział, od czego się awantura zaczęła. Ventura przysłała kurierem kopertę na toruński adres. Kamila odebrała przesyłkę. W środku było wezwanie do zapłaty. Trzydzieści sześć tysięcy. Nic dziwnego, że poszła draka po całości. Ona się tam, w Toruniu, po prostu boi, że pewnego dnia zostanie z dwójką dzieci bez grosza. On najchętniej by do niej już wrócił na stałe, ale praca go trzyma w Warszawie. Ona z kolei nie wierzy, że chodzi mu tylko o pracę. Małżeńska kwadratura koła. Klasyka.

Maja odwraca się od okna, odstawia kieliszek i wolno idzie do górnej łazienki. Myjąc zęby elektryczną szczoteczką, wpatruje się we własne worki pod oczami – takich dotychczas nie miała... Do tego jeszcze czerwone, popękane żyłki wokół tęczówek. Nic dziwnego, że redaktorkowi niespieszno do figlowania.

Wyciska na dłoń krem do demakijażu. Jednak znowu zażyje rohypnol. Musi się wyspać. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny to już nie był nawet zapieprz. To było szaleństwo.

Jeszcze nie przebrzmiała telefoniczna awantura z Kamilą, kiedy usiedli z Robertem do najważniejszych obliczeń. Wyszło im, że aby szybko oddać kasę jej ojcu i Poznaniowi, a daj Boże trochę zarobić, powinni pominąć hurtownie i księgarnie. Trzeba zarejestrować jakąś

firmę, i to praktycznie natychmiast, a potem uruchomić sprzedaż bezpośrednią przez sieć. Przy cenie trzydziestu pięciu złotych za egzemplarz *breakpoint* będzie do osiągnięcia po sprzedaniu dwóch i pół tysiąca sztuk. Później już zyski. Robert liczył w tę i z powrotem, za każdym razem wychodziło to samo. Wystarczy sprzedać dziesięć tysięcy, a zacznie się życie bez długów, z wiecznie zadowoloną Kamilą i bogatym Świętym Mikołajem przychodzącym do synów.

Jeszcze tego samego dnia spotkali się na mieście z dwoma kolesiami reprezentującym spółkę Transmedia. Maja opowiedziała im z grubsza, jaki produkt jest do wypromowania i ile mogą dać na zaliczkę, a ile – po wszystkim. Obaj pośrednicy, bardzo grzeczni, powtarzali: „oczywiście, oczywiście pani Majo". Trochę się ponaradzali i stanęło na tym, że za trzydzieści sześć tysięcy wypozycjonują *Trzeci zamach* w społecznościach, puszczą *mass mailing* pod adresy z profilowanej bazy danych, zrobią booktrailera, banery w różnych formatach i jeszcze prostą reklamę ruchomą. No a przede wszystkim opłacą miejsce na czterech największych portalach informacyjnych, dziesięciu blogach książkowych i czterech magazynach dla pasjonatów historii. Najcięższym punktem w budżecie będzie pięć razy po sześć sekund w TVN. W bloku wieczornym i rano, dzień po dniu.

Popołudnie – choć skrajnie zmęczeni – spędzili we dwoje na dalszej pracy. Korektorka Anna co kilka godzin podsyłała z Francuskiej kolejne rozdziały, najczęściej z pytaniami. Redaktorek uzupełniał – i tak w kółko. Na figle tym razem nie starczyło ochoty ani jej, ani jemu. Zasnęli w ubraniach. A dziś rano poszli na spacer.

W lesie było jak w bajce.

Zimowa cisza przerywana krakaniem czarnych ptaszysk. Przeszli ścieżkami, którymi tak lubił prowadzać ją papa. Zapytała Roberta,

kiedy ostatni raz był na leśnej przechadzce z dziewczyną. Po zastanowieniu odpowiedział, że siedemnaście lat temu. Chyba przesadził.

37.

Środa rano, 13 listopada.
Cztery dni przed tragedią w Białołęce

– Wera? Dzwoniłaś. Wybacz... dopiero teraz zauważyłem połączenie. Jak Lenka?

– Doskonale. W piątek łamiemy jej rękę. – Welurowy głos Weroniki w słuchawce jest spokojny. – Jak wasza książka?

– Trzymajcie się obie w szpitalu... Książka dobrze. Egzemplarz próbny mam już u siebie.

– Opowiadaj mi zaraz, jak wygląda.

– Dużo by gadać...

– Mam teraz czas.

– Dymu było do końca. Bez Majki bym się wysypał na amen. Co za gówna... Formularz Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej.

– Rzeczywiście ohyda.

– Wiesz, że nie można zarejestrować firmy, jeżeli się najpierw nie ma założonego konta? A tego ci nie chcą porobić od ręki. I tak w kółko... jeszcze na wszystko odległe terminy. W końcu założyliśmy spółkę przez necik. W Hongkongu.

– Gdzie?

– W Hongkongu. Mamy siedzibę w szufladzie jakiegoś pośrednika biznesowego, tak to się chyba nazywa. Uważaj: przy

Wai Yip Street. Dobre, co? Nie będę ci już opowiadał, jak się zawiera umowę, bo sam zapomniałem, cośmy wyrabiali. Ale mamy internetowy sklep z prawem działania na terenie Unii Europejskiej i czegoś jeszcze. Chyba Szwajcarii. Akceptujemy karty Maestro, MasterCard i Visa.

– Zawsze w ciebie wierzyłam. Tylko Miłosz mi mówił, że mu piekielnie nawrzucałeś.

– Już go przepraszałem. Trochę mnie poniosło. Prawie nie sypiam od poniedziałku, tę nockę też całą spędziłem w drukarni. Się okazało, że młody nie nadrukował na tył ceny egzemplarza... To jeszcze byłoby pół biedy, ale nie wkleił też kodu kreskowego ani numeru ISBN. Nie chcieli uruchomić maszyny. Jazda jak byk. Telefony, maile, prośby, obietnice. Przed jedną kobitą dosłownie klęknąłem.

– Chciałabym to zobaczyć. Niby bez Mai nie dałbyś rady, tylko jak zwykle wszystko robisz sam.

– Grubo się mylisz. Załatwiła transport Marki-Piaseczno, umowę z pocztą na dystrybucję i jeszcze ustawiła nam polską spółkę, więc w sumie mamy teraz dwie firmy. Krajowa będzie się nazywała Lubanie.

– Co to znaczy?

– Dłuższa historia. Kiedyś ci opowiem.

– Po co wam aż dwie spółki?

– Sam ledwo wszystko pojmuję. Wyszło wynikowo. Jako Lubanie zlecamy druk, a sprzedawać będziemy przez domenę, która należy do tego czegoś, co mamy w Chinach. Nazwa czytamypruskiego.pl. Trochę aż krępujące.

– Nie udawaj skromnisia, bo nim nie jesteś. Daliście radę.

– Jutro przyjedzie z drukarni całość. Dwie tony książek. Wyobrażasz sobie? Wieczorem uruchomimy sprzedaż. O siódmej.

– Robert, posłuchaj... To, co zrobiłeś, co zrobiliście, to jest faktycznie niesamowite i mnie jest piekielnie przykro, że muszę ci powiedzieć coś takiego właśnie teraz, gdy i bez tego masz full na głowie... ale zadzwonił Szymon. Prosił, by przekazać, że przylatuje.

– Aż tak źle?

– Miłosz wysłał mu wyniki. Nie zdążył na dziesiątego, okładkę ci robił, a zresztą była niedziela. Wysłał dzień później... i po tym waszym spięciu nie chciał ci nawet mówić... dlatego ja zadzwoniłam. Sama już nie wiem, na czym stoimy.

– Myślisz, że przylatuje nas zwolnić?

– Niewykluczone.

– Nie martw się. Myśl, jak ulżyć Lence. Ja sobie z Szymonem poradzę. Po prostu zwolnię stanowisko, a ty mnie zastąpisz.

– Nie chcę cię zastępować. Chcę to robić z tobą.

– Będziesz dobrą szefową. Zobaczysz.

Gdy po skończeniu rozmowy Robert zapala pall malla pod szumiącym okapem w kuchni, myśli o kilku meblach w kilku punktach Polski.

Zwolnienie z posady u Szymona – jego przeczucie w tej sprawie graniczy z pewnością – oznacza rozstanie z małym pokojem i wąskim łóżkiem, które w ciągu ostatnich lat stało się jego podstawowym, a do tego bezpłatnym legowiskiem na Francuskiej. Szeroki i wygodny tapczan w sypialni Mai, podobnie jak wygodna ciepła kanapa z końskiego włosia, na której przed chwilą siedział, zostaną mu nieuchronnie wymówione wraz z powrotem konsula Szalawskiego. Gdy córka marszczy nosek, jej tato z pewnością mięknie, ale nie do tego stopnia, żeby tolerować pod wspólnym dachem niewiele od siebie młodszego darmozjada wypieprzonego właśnie z dwóch posad. Pozostaje łóżko w Toruniu. I to jest

najlepsze rozwiązanie – pod warunkiem że pieniądze za *Zamach* pojawią się w polu widzenia Kamili wcześniej od komornika.

Papieros traci smak, coś gorzkiego i bez wątpienia śmierdzącego podchodzi wysoko do gardła. Wyciąga z kieszeni aspirynę. Dzwoni do Torunia, lecz Kamila nie odbiera. Może jeszcze śpi – tak jak i Majka.

W chłodnym świcie poranka – i kurtce konsula – pracujący od przeszło dwudziestu godzin redaktor rusza opróżniać garaż i drewutnię, by zrobić miejsce dwóm tysiącom kilogramów papieru.

* *

Hałasy dochodzące zza domu budzą Majkę na raty. Otwiera oczy, by je zaraz zamknąć i przewraca się na drugi bok. Ale już nie zasypia. Pod powiekami migocą oniryczne powidoki. Nocą zalewały ją we śnie elementy budowanej wczoraj witryny. Numery licencji, spasowane moduły, te wszystkie ikonki, koszyki, odnośniki, zakładki i etapy schodzenia do kasy. Zabezpieczenia przed spamem.

Siada na łóżku. Roberta nie ma na piętrze. Chyba nie ma go też na parterze, bo w środku cicho. Kto w takim razie hałasuje za domem? Ogrodnicy dzisiaj nie przyjeżdżają.

Podchodzi do ostatniego okna w górnym przedpokoju i wygląda na zewnątrz. Drewutnia otwarta na oścież, obok niej na śniegu redaktorek przekłada drewniane klocki z taczki na pryzmę, której tu wczoraj nie było. Sterta jest wyższa od niego. To się nazywa stan manii. Tylko jakoś nie w łóżku.

Poranna toaleta, kawa, laptop, poczta. Sympatyczni kolesie z Transmediów meldują, że już przygotowali rezerwację anteny, zrobili booktrailera i banery. Zaraz przyślą do obejrzenia. Pierwsza reklama telewizyjna poleci jutro dwie minuty przed dziewiętnastą.

Kolejny mail pochodzi od Dionisio Marciela Capaereda. Nagłówek: *Importante mensaje de los ultimos minutos*.

Maja otwiera wiadomość, czyta, a potem wybiega do ogrodu w samej koszuli i boso.

– Robeeert!!

– Co ty wyprawiasz? Chcesz zostać morsem?

– Topaz zniknął!

– Jak to?! – Pruski wchodzi do domu spocony, parujący i jednocześnie pachnący mrozem. Maja już stoi nad alienware'em. Wodzi palcem po ekranie, tłumacząc hiszpański tekst Dionisia, a potem kolejne załączniki.

Internetowa witryna El Punt „Avui" na stronie głównej – zaraz pod belką „Catalunya Llibertat" – donosi:

„...*señor* Ferdynand Topaz stał się nieuchwytny zarówno dla swoich podwładnych, jak i kontrahentów. Nagłe zniknięcie przedsiębiorcy bez wątpienia ma związek z listem, jaki nasz reporter – niżej podpisany – wysłał wcześniej do Centrum Szymona Wiesenthala w Los Angeles...".

Następny załącznik – inny artykuł. Także z „Avui". Sprzed niecałego tygodnia.

„Zbrodnicza przeszłość katalońskiego przedsiębiorcy wychodzi na jaw. Dzięki pomocy polskiej dziennikarki Maya Shalawski udało mi się uzyskać relację świadka, który znał Ferdynanda Topaza pod polskim nazwiskiem Eugeniush Brochwich...".

– No, pięknie! „Polska dziennikarka". Widzisz, jak szybko można się dostać do branży?

Tłumacz dalej.

Maja tłumaczy. Dionisio Marciel – który jest autorem również i tego artykułu – mocno koloryzując i nieco przekręcając fakty, opisuje Abdugarowicza jako sędziwego, godnego szacunku starca

i byłego członka antyhitlerowskiego ruchu oporu z „centralnej Polski". Apeluje, by tego bohatera czym prędzej przesłuchano z udziałem przedstawiciela Interpolu.

„Korzystając z faktu, że ten ważny i wiarygodny świadek może jeszcze mówić, należy bezzwłocznie sporządzić zarzuty przeciw wymykającemu się dotąd sprawiedliwości groźnemu przestępcy, handlarzowi żywym towarem, a wcześniej agentowi nazistowskiej tajnej policji działającemu w miejscowości Turchyin, la Republica de Ucraina".

Po dojściu do końca tekstu Majka wraca na stronę główną.

„...w ostatni piątek szef biura Efraima Zuroffa, doktor Benzion Levy-Frank, osobiście przekazał naczelnemu prokuratorowi w Kijowie zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dziś, najpóźniej jutro, doktor Levy-Frank spodziewany jest w Warszawie. W polskim Ministerstwie Sprawiedliwości złoży prośbę o udzielenie pomocy prawnej przy koniecznym odebraniu zeznań od świadka Abdugarowich.

Niezależnie od misji doktora, którą on sam nazywa »podróżą najostatniejszej z szans«, amerykańskie biuro Centrum Wiesenthala kieruje do Sądu Najwyższego Ukrainy i hiszpańskiego Audiencia Nacional wnioski o wydanie stosownych decyzji: w pierwszym przypadku ekstradycyjnej, zaś w drugim – o europejskim nakazie aresztowania.

– Niestety, mamy tu kłopot kazuistyczny – wytłumaczył naszemu reporterowi doktor Levy-Frank. – Decyzja Madrytu o zatrzymaniu Ferdynanda Topaza nie może zapaść bez wcześniejszego posiedzenia sądowego w Kijowie, gdyż europejski nakaz aresztowania wydaje się wyłącznie na wniosek sądu właściwego dla miejsca i kraju, w którym popełnione zostało przestępstwo. Nie czekając na formalne wezwanie, hiszpański wymiar sprawiedliwości może

jednak wezwać podejrzanego do złożenia wyjaśnień. W tym kontekście obecny brak kontaktu z Ferdynandem Topazem oznaczać może tylko jedno: jego próbę ucieczki od zbliżającej się odpowiedzialności...".

– Wystraszyliśmy go na wernisażu.

– To na pewno. Ale bardziej się musiał przerazić twojego Dionisia i jego donosu do Żydów.

– Co robimy?

– Ty się ubierasz... – Robert trąca nosem jej kark pokryty gęsią skórką. – ...a ja daję cynk Taczalskiemu. Dla „Wyborczej" to będzie gratka. Sam wice-Zuroff zwala się do Warszawy z tajną i delikatną misją. Postawią sobie newsa, a w zamian dadzą nam notkę o fenomenalnej książce odsłaniającej zbrodniczą przeszłość Brochwicza i tragedię Drozda.

* *

Kolejne dwie godziny Maja spędza na rozmowach i wymianach tekstów z Capaeredem, a Pruski – na konferowaniu z Maciejem Taczalskim. Reszta dnia upływa bez sensacyjnych wydarzeń. Ona kończy budowę witryny czytamypruskiego.pl, on – opróżnianie drewutni. Nocą śnią o tym samym, choć każde inaczej. W obu snach występuje Topaz-Bruliański-Brochwicz. Majka ogląda pod powiekami obraz pościgu Brzydkiego Ryja za uciekającym Drozdem – tym razem rzecz się dzieje w scenerii miejskiej i z udziałem psów. Roberta męczą wizje papieskiego pomnika – figura raz ma głowę „Ikara", innym razem – spotworniałego Hiszpana, a jeszcze innym – Waldemara Murki.

38.

Czwartek, 14 listopada, od poranka do wieczora.
Trzy dni przed tragedią w Białołęce

Sygnał z nokii wyciąga go ze snu, w którym błądził po podziemiach kompleksu Angelus Dei. Katakumby Telewizji Horeb wyglądały jak skrzyżowanie lasu namorzynowego i gniazda Obcych. Drozd z twarzą Topaza poruszał się w mrocznych zakamarkach niebezpiecznie szybko, zaś Robert – jak to w złym śnie – pełzał mozolnie i z trudem niby dżdżownica w kisielu. Po całym tym majaku zostało mu coś zbutwiałego w ustach, a w głowie: piekące i silne przekonanie, że ta historia – dla niego osobiście – skończy się źle.

Sięga po aparat, podświetla ekran. „Urodziny Kamili". No proszę... A tutaj właśnie noga Majki przerzucona nad jego biodrem. Wysuwa się spod piegowatej łydki i cienkiej kołdry, jeszcze chwilę patrzy tępo w telefon. Trzeba się otrząsnąć! Nadchodzi ciekawy dzień. Tuż przed dziewiętnastą – za niecałe trzynaście godzin – pójdzie pierwsza reklama w telewizji. W tym samym momencie Transmedia zasypią mailami wszystkich, którzy kiedykolwiek kupili w tym kraju książkę przez internet. Booktrailer – dramatyczna czterdziestosekundówka oparta na filmie z trzynastego maja 1981 roku – pojawi się zaraz potem na najważniejszych książkowych portalach i w społecznościach. Pierwsze godziny będą najważniejsze.

Albo przed weekendem sprzedaż zassie, albo... lepiej nie myśleć.

No to hyc! Skoro już, chłopie, tak wcześnie wstałeś, możesz zobaczyć w kiosku efekty wczorajszych starań u Taczalskiego.

Kiedyś, w innym życiu, biegał o poranku na stację benzynową, by kupować pierwszy, ciepły jeszcze, egzemplarz „Głosu Torunia". Teraz pobiegnie po „Wyborczą". A raczej – pojedzie. Nie jest już przecież w wieku, w którym się gdziekolwiek biega, o ile nie ma bezwzględnej konieczności.

Robiąc jak najmniej hałasu, wyciąga z torby czyste majtki, nowe spodnie i T-shirt. Bierze prysznic, a potem, korzystając ze sprzętu konsula Konstantego, goli twarz na gładko, co nie przychodzi łatwo. W kuchni wypija na stojąco pół litra soku z granatów – doskwierająca od wielu dni gruda w gardle nieco przez to rozmięka. Otwiera bramę i wyjeżdża w ciemności samochodem Majki. Zegar pokazuje zero stopni na zewnątrz i końcówkę paliwa w baku. Krążąc po zasypanych śniegiem, nieoświetlonych duktach i wąskich asfaltówkach Piaseczna, ma wrażenie, że ktoś za nim jedzie. Światła przypominające lampy jego sprzedanego subaru pojawiają się i znikają, a potem – za którymś z kolei zakrętem – znów je widać.

Po dziesięciu minutach odnajduje poszukiwany obiekt.

Czerwona, pomazana przez grafficiarzy buda z piwem i gazetami stoi tam, gdzie ją w zeszłym tygodniu zauważył i zapamiętał: za mieszalnią betonu i hurtownią ryb, przy ulicy – a jakże! – Jana Pawła II. Nie mają pall malli, więc kupuje „Wyborczą", gumę do żucia, aspirynę i dwa razy miętowe chesterfieldy – takie, jakie palił nieodżałowanej pamięci kolega Kopyto.

Grzesiu Kopyto-Kopciński, studencki referat o gazie łupkowym, szalona noc z Majką pod Lubaniem, skurwysyn, który próbował zrobić krzywdę Jasiowi i Krzysiowi, lecz nadział się na gorszego od siebie... Wtedy grali o ludzkie życie – teraz tylko o udaną sprzedaż i pieniądze. No dobra... trochę też, jak to się górnolotnie powiada, „o prawdę".

Staje pod latarnią oświetlającą tablicę „Tanie Ryby" i rozkłada gazetę. Czołowa strona wita jedynie małą zajawką tekstu *Kurier od Wiesenthala* i odesłaniem do środka na czwórkę. Ważniejsze, godne połowy pierwszej kolumny, okazały się dla redakcji posiedzenia aresztowe w sprawie patriotycznych zadymiarzy wyłapanych nocą z 11 na 12 listopada.

Kartkując, widzi w bocznym lusterku zaparkowany jakieś dwadzieścia metrów dalej ciemny samochód o znajomym kształcie. W środku siedzi ktoś bardzo napakowany – widać tylko tyle, że szyję ma grubszą od głowy. Ki diabeł?

Artykuł Taczalskiego ze strony czwartej, ilustrowany tym samym zdjęciem Brzydkiego Ryja w zgniłozielonej marynarce, które trafiło do drukarni w Markach, okazuje się napisany aż nadto ostrożnie. Przybyły z USA doktor Benzion Levy-Frank zabiega w Europie o postawienie przed sądem domniemanego hitlerowskiego zbrodniarza, byłego agenta gestapo Eugeniusza Brochwicza ukrywającego się od lat w Hiszpanii pod nazwiskiem Ferdynand Topaz. „Kurier" odwiedził Kijów, teraz zmierza do Warszawy. Biuro ministra sprawiedliwości zostało oficjalnie poinformowane o spodziewanym przybyciu doktora Benziona i celu wizyty – przygotowaniu do przesłuchania polskiego świadka Marcelego Abdugarowicza. Ten znał Topaza w czasie wojny, gdy jeszcze obaj zamieszkiwali polski Wołyń. Łódzkiemu korespondentowi „Gazety" nie udało się wczoraj wieczorem skontaktować z przyszłym świadkiem z powodu niedyspozycji ostatniego.

Podpis autora.

O latach Brochwicza-Bruliańskiego w sowieckiej służbie i jego późniejszych związkach z Drozdem Taczalski postanowił najwyraźniej nie pisać, i to mimo że Robert wyłożył mu wszystko od początku do końca, a nawet wysłał pliki. Brak miejsca? Asekuracja? Brak kontaktu z Drozdem? To ostatnie – na pewno. I jeszcze cholerny Marceli... gdyby nie był wczoraj wieczorem zalany w trupa i zechciał cokolwiek potwierdzić „łódzkiemu korespondentowi", może redaktorzy z Czerskiej odważyliby się napisać więcej. Tyle dobrego, że Maciej nie zapomniał o notatce obok tekstu:

„Szczegóły biografii Ferdynanda Topaza w książce *Trzeci zamach* autorstwa niezależnych dziennikarzy Mai Szalawskiej i Roberta Pruskiego. Wydawnictwo Lubanie, do nabycia: www.czytamypruskiego.pl".

No to zaczynamy! Od czego? Najlepiej od wysłania SMS-a z życzeniami dla Kamili.

Ciemne, orurowane subaru o matowym lakierze wolno przejeżdża obok. Kątem oka Robert dostrzega, że gruby kierowca jest młody, może nawet młodszy od niego. I nabity jak ruski zapaśnik. Ma ciemne włosy zaczesane do tyłu nad mięsistymi uszami, a jego obraz przywołuje w ustach Pruskiego brzydki smak towarzyszący sennemu przekonaniu o nieuchronnym fatalnym finale zdarzeń.

* *

Siódma rano. Błękitno-różowa barwa nieba wskazuje na to, że gdzieś za linią wysokich sosen wstaje słońce. Redaktor uwija się żwawo w kuchni konsula, szykując proste śniadanie. Nie włączył radia, chwilowo nikt nie dzwoni. W domu panuje cisza przed burzą. O wpół do ósmej podnosi się Majka. Ciepła i nie do końca przytomna potrąca łokciem przenośny blat z sałatką pomidorową, kawą i grzankami.

– Przyniosłeś mi śniadanie do łóżka? Mam urodziny?

– Urodziny ma akurat ktoś inny... ale my mamy wielki dzień przed sobą.

– Mhmm... – Półprzymknięte migdałowe oczy otwierają się nagle bardzo szeroko. – Ogoliłeś się całkiem?!

– A także zmieniłem ciuchy, przywiozłem świeżą prasę...

– To chodź tu do mnie.

– Grzanki wystygną.

– Nie chcesz mnie już?

– Nie o to chodzi. Po prostu nie jestem dziś w romantycznym nastroju.

– A w jakim?

– Nie wiem. Chyba w bojowym. I nerwa mam.

– Niech ci będzie, że wierzę.

Gdy ona popija zimną grzankę letnią kawą, na podjeździe za oknem hamuje zielona furgonetka firmy ogrodowej Platan. Panowie w wysokich butach i gumowych płaszczach wyciągają łopaty do odśnieżania. Tuż za nimi zjawia się sfatygowany golf niskiej, szczupłej i zwinnej jak jaszczurka służącej konsula Lilianny. Potem druga, większa półciężarówka. Potężny facet w grubym, pikowanym skafandrze, który przywiózł z drukarni książki, ma ze sobą także plik papierów do podpisania. Pruski wypełnia kwity na progu, nie przerywając telefonicznej rozmowy z Taczalskim. Tak jak przypuszczał, Maciejowi nie udało się wczoraj skontaktować z Drozdem – zostawił nagranie na sekretarce w recepcji Horeba i nie spodziewa się odpowiedzi. Ale nie wyklucza podjęcia w „Wyborczej" wątku współpracy Franciszka z Ferdynandem nawet przy braku kontaktu z Białołęką. W tej chwili jedzie do Abdugarowicza z nadzieją, że zrobi to, czego nie zdołał dokonać redakcyjny kolega z Łodzi – porozmawia z dziaduniem, zanim ten ponownie pogrąży się w niedyspozycji.

Panowie z Platana nie mają zbyt wiele roboty z topniejącym śniegiem. Słońce świeci i wszystko wskazuje na to, że mokrego puchu za kilka godzin nie będzie. Chętnie pomogą przy rozładunku. Książki zostały w Markach zapakowane w kartony po trzydzieści sześć sztuk. Trzeba przestawić auto ogrodników, wyprowadzić na drogę toyotę Majki – i nosić. Dziesięć tysięcy egzemplarzy w dwustu siedemdziesięciu ośmiu pudłach wypełnia garaż, budkę

na drewno i część kotłowni konsula. Ostatnia paczka trafia do pokoju kominkowego.

Kiedy o wpół do dziesiątej promienie słońca topią śnieg na szczycie dachu, Robert częstuje tragarzy kawą, herbatą i gorącymi francuskimi ciastkami z żurawiną, które Lilianna przed chwilą wyciągnęła z elektrycznego pieca. Maja, pochylona w jadalni nad alienware'em, poprawia coś w witrynie i co chwilę powtarza: „Gówno, gówno...". Gdy nie przeklina, wzywa nadaremno imienia Maryi.

– Mam rozumieć, że grożą nam wieczorem kłopoty techniczne? – Przed jedenastą Pruski zamyka drzwi za ostatnim z pracowników i wstawia filiżanki do zmywarki.

– Masz rozumieć, że zaczęłam ze zbyt wysokiego pułapu! Ale nawet po zmianach w analitiksie symulacja podglądu sprzedaży...

– Nie słyszę! Czego?!

Lilianna podłączyła się właśnie z rurą do centralnego odkurzacza i buczenie instalacji zagłusza słowa Mai.

– Statystyki strony wariują. Możesz tu podejść?! Sprawdzam trzeci z kolei standard na trójce i wciąż mam pakiet błędny.

– Majka... przecież ja tego nie zrozumiem. I nie pomogę.

– Grozi nam, że po starcie nie zobaczymy, ile się sprzedaje. Ogarniasz? Będziemy ślepi.

– Mimo to sprzedawać będziemy?

– Raczej tak.

– To najważniejsze. Mam nawet taki nieśmiały planik, żebyśmy zorganizowali dziś wieczór niewielki bankiet. Miłosz, Ania, Wera i my dwoje. Obejrzymy sobie reklamę w TVN, a potem, jeżeli jakoś to jednak ustawisz, popatrzymy na słupki sprzedaży. Uruchomimy kalkulatory, będziemy liczyli sianko.

– Jak dla mnie nie ma problemu, możesz zapraszać... Matko Boska... nie! Znowu się gówno cofnęło.

– Oderwij się na chwilę. Coś ci pokażę. – Robert rozcina stojący na środku pokoju karton, wyjmuje egzemplarz i stawia przed Majką na sztorc.

Ona przez chwilę waży książkę w dłoni. Potem otwiera ją, przepuszcza strony między palcami i wącha krawędzie.

– Ładnie pachnie. Jak wyczyszczony strych w starym domu. A ty idź sobie gdzieś. Muszę przeliczyć parametry silnika. Albo dojdę w godzinę do tego, o co biega, albo zrobię do wieczora totalny reset.

– Słowo reset jakoś mi się nie podoba. Popróbuj jednak na miękko. Ja się z chęcią przejadę. Kiedy Lilianna tu sprząta, jestem skrępowany. Zrobię zakupy na wieczór. Nie będzie Miłosz doił win twojego taty po pięćset złotych za sztukę.

– Boisz się trochę papcia, redaktorku? Odkąd cię nakrył z dziewczyną w aucie...

– Boję się wszystkiego. A dziś od rana jakoś nawet bardziej niż zwykle. Nie wiem dlaczego...

– Kup szary papier i taśmę klejącą. I takie samoprzylepne formatki do adresowania. Powiedzmy... tysiąc sztuk na początek. Będzie dużo pracy.

– Za trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt dziewięć od sztuki mogę owijać w papier nawet psie gówna.

– Zapytaj Lilki, czy czegoś nie potrzebuje.

Nokia rozbrzmiewa gitarowo.

Dzwoni Krzysio z pytaniem, czy tata przyjedzie wieczorem – są przecież urodziny mamy. Tata, cholera, nie może. Ma pracę. Ale przyjedzie na weekend.

– Na sto procent!

Przez dwie minuty pyta syna o oceny w szkole, o zdrowie brata, o to, czy w Toruniu też świeci słońce, a potem brakuje mu już tematu.

– No to na razie... mój misiaku. Ucałuj mamę i młodego. Jeszcze wieczorem do was zadzwonię.

Krzysztof, wyraźnie smutny, rozłącza się bez pożegnania.

* *

O czternastej Robert rozpala ogień w kominku. Słońce, które uniosło się z trudem nad las, znika za oknem. Śnieg stopniał, powietrze jest zimne, wilgotne, mgliste – jakby się wypełniło dymem i pajęczynami. Bateria win z piaseczyńskiej Biedronki stoi w największym pokoju obok wypakowanych z kartonu książek. Lilianna skończyła podlewać i spryskiwać kwiaty w oranżerii, a teraz bierze się do szykowania uroczystego obiadu dla pięciu osób. Maja zapanowała wreszcie nad silnikiem witryny i właśnie przeprowadza pierwszą próbę – kupuje *Trzeci zamach* za pomocą własnej karty kredytowej. Jeżeli wszystko pracuje jak należy, równowartość niecałych trzydziestu pięciu złotych w dolarach powinna się jeszcze przed północą pojawić na rachunku RMbook w internetowym banku IPBoC.

Dzwoni Taczalski.

– Marceli gdzieś zniknął.

– Może za dużo wypił i nie ma siły ci otworzyć.

– Byłem w mieszkaniu. Pusto.

– A w sklepie? Tam jest na rogu... ulica... czekaj... Tania! Na Taniej stoi sklep z karuzelą przed wejściem.

– Byłem dwa razy. Gadałem z takim karłowatym zawadiaką.

– Też go widziałem. Stały klient. I co?

– Przed moim przyjazdem Marceli zjawił się pod sklepem z umięśnionym facetem. Eleganckim i, jak ten karzeł mi mówi, pewnie aż z Łodzi.

– Co znaczy: eleganckim?

– Też o to spytałem. Miał marynarkę, krawat i płaszcz z kołnierzem. Kupowali z Marcelem wódkę w hurtowych ilościach.

– Cudownie. Tęgi gość w marynarce i płaszczu. Łatwo go namierzymy.

– Byłem na policji, w straży gminnej, w kościele, na plebanii, u właściciela domu, na dwóch melinach... dupa. Nie ma Marcelego nigdzie.

– A mięśniaka z Łodzi ktoś widział?

– Nie wiemy, czy z Łodzi. Dwóch obrzępałów w skupie złomu zauważyło parkujący na Łęczyckiej obcy samochód. I to wszystko. Nie pamiętają ani marki, ani żadnego numeru... nic. Tyle że duży. Półdostawczy albo terenowy. Nawet koloru nie są pewni.

– To masz materiał na jedynkę. Doktor Benzion przyjeżdża organizować przesłuchanie, a świadek znika w ostatniej chwili. Pół wieku sobie chodził po Krośniewicach i teraz nagle go nie ma. Zabrał się z elegantem na kraj świata... Jedyny świadek!

– No właśnie. Jedyny. Ty go nagrałeś wtedy?

– Nie... Tylko notowałem.

– Marnie.

– Ale miejscowi widzieli, że się z nim spotykałem. Ten karakan spod sklepu i zmęczona babka, co nam sprzedawała wtedy wódkę i energetyka. Siedzieliśmy razem na karuzeli. Widzieli nas też inni klienci. Cała relacja z tamtego poranka jest w pliku ode mnie. Rozdział piąty, jakbyś zapomniał.

– Wiem, wiem...

– Maciej, czy ja cię kiedyś wystawiłem? Wieczorem zaczynamy sprzedawać książkę. Ty masz mocny temat. Wszystko się składa idealnie.

– Dobra, dobrze już... Komu zależy, żeby Abdugarowicz nie zeznawał?

– Topazowi. Ale on ma inne kłopoty. Sam zwiewa w tej chwili przed Hiszpanami, bo Capaered napisał donos.

– Mówiłeś. Napisałeś. Pamiętam. Komu jeszcze zależy?

– Może Drozdowi... Chyba nie Medardowi? Facet ma kasę i piękną kobietę – mnie wygląda na takiego, co wywalił kitę na wszystko inne. Więc raczej w grę wchodzi tylko wielebny...

– Jadę prosto do Białołęki. Wyślij mi jeszcze SMS-em numer do tego, jak mu tam... Capaereda. Może się coś u nich wyjaśniło?

– Okej. I więcej odwagi, redaktorze! Chyba pamiętasz jeszcze *Rząd ukrywa prawdę*.

– Nie podpuszczaj mnie. Czuję przecież, że rzecz się dzieje. Tylko nie wiemy, kto w kotle miesza. Na razie... w kontakcie i na linii.

– Na linii.

* *

O piątej po południu Maja przebiera się w szary obcisły kostium, zakłada wysokie buty i robi ostry, wieczorowy makijaż. W tym wydaniu mogłaby reklamować diamenty. Weronika, Ania i Miłosz przyjeżdżają wspólną taksówką. Wera też na szpilkach i w krótkiej spódnicy, do tego jasna, biurowa koszula opinająca wysokie piersi. Ogólny efekt: wyzywająca, a zarazem niedostępna.

Anka, w ciężkich butach, które chciała zostawić w przedpokoju, głośno wyraża zachwyt wnętrzem domu. Szczerze i prosto wyznaje Majce, że jeszcze w takim salonie nie była, wyłączając szkolne pobyty w muzeach.

Miłosz założył na tę okazję zbyt dużą, być może pożyczoną marynarkę. Skrępowany, podobnie jak Anna, stoi dłuższą chwilę przed pastelami i grafikami Schielego, potem prosi panią domu, by go sfotografowała – jego własnym aparatem – na tle rozkosznie rozkraczonej Valerie Neuzil.

Pierwsza butelka merlota Casillero del Diablo wysycha już po półgodzinie. Majka i Weronika omijają się wzrokiem, ale Ania jest rozszczebiotana, a Robert – wesół jak rzadko. Błyskawicznie napełnia kieliszki, sycąc oczy purpurą płynu, a nozdrza – przydymionym zapachem śliwkowego cappuccino. Kwadrans po szóstej półtorametrowy telewizor wklejony w ścianę między oranżerią a jadalnią zostaje włączony – na razie bez dźwięku. Weronika kartkuje *Trzeci zamach*, Majka pokazuje Miłoszowi i Ani, jak działa pogląd statystyk strony czytamypruskiego.pl, a ukraińska gosposia wnosi przekąski. Dziś do jedzenia kiszone rydze, plastry łososia w kiełkach lucerny, sezamowe paluszki własnego wypieku, krem z koziego sera z morelowym purée i kilka podobnych dzieł sztuki. Po siódmej będzie jeszcze kaczka nadziewana gruszkami.

Gdy drugi merlot pokazuje dno, widać dobrze, że Maja i Anka, w końcu rówieśniczki, dogadują się najbardziej naturalnie w całym tym towarzystwie. Czarna i blond. Jak „Żyletka" z Denerys. Mogłyby coś wykręcić na kanapie. Powrót lubieżnych skojarzeń, jak się Robertowi wydaje, ma jakiś związek z dotykaniem szkła, polewaniem i słuchaniem wesołego bil-bul, które rozlega się nad stołem, gdy purpurowy płyn opuszcza zieloną szyjkę kolejnej flaszki. A może to tylko ekscytacja tym, co ma nadejść? Tak czy inaczej – szmer w głowie jest. Ręce trzęsą się mniej niż poprzednio i nawet gardło przestało boleć. Jeśli nie liczyć zapchanego wciąż nosa, można by rzec, że trwający od zamknięcia szkoły na Chełmskiej permanentny stan chorobowy chwilowo ustąpił.

Dziś wieczór – daj Boże – problemy przestaną się piętrzyć, a zaczną rozwiązywać.

Do siódmej – wedle przyściennego zegara z wahadłem – zostało szesnaście minut. W telewizorze wciąż jeszcze leci polski serial. W przesadnie oświetlonych pokojach na zbyt kolorowych kanapach bardzo młodzi aktorzy, nadmiernie gestykulując, wypowiadają kwestie, których na szczęście nie słychać.

Cztery minuty do dziewiętnastej, około dwóch minut do bloku reklamowego.

Majka ustawiła na ekranie alienware'a i na tablecie podgląd dwunastu stron równolegle. Jeżeli chłopcy z Transmediów zrobili swoje, to banery, trailery i cała reszta powinna wpaść do sieci w ciągu najbliższego kwadransa.

– Kto kupował kiedykolwiek książkę przez internet?

Ania – jak twierdzi – wypożycza wyłącznie z biblioteki. Nie ma dosyć pieniędzy, żeby gromadzić woluminy na własność. Aż tak dobrze Galper nie płaci. Ale Weronika i Miłosz, owszem, kupowali.

– W takim razie powinniście za chwilę dostać wiadomość. To będzie reklamowe tsunami. Totalne.

– Nasze zdrowie!

Anka z Miłoszem trącają się kieliszkami. Robert bezzwłocznie uzupełnia zawartość. Weronika, z talerzem w dłoni, gmera sezamowym paluszkiem w serowej masie, której nie ruszyła.

– Martwisz się Lenką? – Pruski stuka szyjką butelki o rant jej talerzyka.

– Nie tylko. Martwię się też o ciebie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Też to wyczuwasz? Że coś nie gra?

– ...i to jest piekielnie silne. A ty nie?

– Tak. Jak cholera.

Maja włącza dźwięk. Dwie minuty do siódmej. Serial właśnie kończy się napisami. Pierwsza reklama w bloku – odzież sportowa. Druga – telefonia komórkowa. Smukła i pełna entuzjazmu czarnulka podskakuje jak pchełka pomiędzy barwnymi sześcianami, które mają symbolizować atrakcyjne ceny. Po brunetce zjawia się na ekranie goguś promujący magazyn o zdrowiu dla panów. Kamera pokazuje elegancką siłownię. „Ćwiczysz? Świetnie! Zmień jeszcze dietę!". Później kilkanaście sekund poświęconych wybielaniu zębów. I po reklamie.

A książka gdzie?!

– Co tu jest grane do cholery?!

39.

Czwartek, 14 listopada, wieczór

– Coś pomyliliśmy?

– Nie ma mowy. – Majka otwiera jeden z ostatnich e-maili od Transmediów. – Tu masz plan promocji. Punkt dziewiąty. „Spot telewizyjny. Emisja nr 1: 14 listopada, 6 sekund w granicach godz. 18.55–19.00; emisja nr 2: 15 listopada, 6 sekund w granicach...". Może po prostu do nich zadzwonimy?

Robert przez chwilę rozgląda się bezradnie w poszukiwaniu telefonu, ale leżąca na kominku nokia odzywa się sama. Dzwoni Taczalski.

– Byli już u ciebie?

– Kto?

– No jak to kto?! Kurierzy... Z kancelarii Płatek i Zmorzyński czy jak im tam...

– Nikogo nie było. Tylko że nam nie puścili reklamy...

Pruski urywa, ponieważ w tej właśnie sekundzie wszystko staje się jasne. Jeszcze nie umie tego nazwać, a jednak już wie. Anna i Weronika patrzą na niego pytająco. Miłosz spogląda w hałasujący telewizor: na ekranie policjanci w kominiarkach prowadzą po oświetlonym latarniami dziedzińcu zgiętych w pół młodych mężczyzn o zamazanych komputerowo twarzach. Jeden z zatrzymanych ma wytatuowany na szyi czarny krzyż celtycki.

Maja szuka czegoś w sieci, jej długie palce tańczą na klawiaturze. Taczalski w słuchawce mówi szybko, potem milknie i kilka razy powtarza: „Halo?!".

– Jestem, jestem. Weź powtórz. Nie zrozumiałem do końca.

– Mają sądowy nakaz zabezpieczenia. Ci mówię. Posiedzenie było niejawne, dziś rano. Nie dostaliście wezwania?

– Nie dostaliśmy. Może nam to wysłali na adres w Hongkongu.

– To jakieś jaja? Ci od Smoleńska mają rację, że państwo nie działa.

– A może działa za szybko.

– Ja cię tylko informuje, jak mogę. Macie zaocznie wydany nakaz-zakaz na wniosek pełnomocnika Drozda. Widziałem go tylko przez chwilę. Zanieśli do naczelnych, potem prawnicy się strasznie dziwowali, że to w ogóle do nas przyszło... Ale kwit jest legalny, z sądu okręgowego, praskiego. Pełnomocnik powoda uprawdopodobnił roszczenie, bla, bla, orzeczono półroczny zakaz publikacji i wszelkiej reklamy, bla, bla, chyba że sprawa główna zostanie zakończona wcześniej. Nie można nawet informacyjnie wspominać o *Trzecim zamachu*. Ale tekst o Benzionie i zniknięciu

Marcelego oczywiście stawiamy. Tylko już nie dam notatki o książce ani niczego na temat twoich... waszych teorii.

– Naszych teorii, powiadasz. Jeszcze godzinę temu to były fakty. – Pruski opada na siedzenie kanapy. – Mam rozumieć, że...

– ...że do czasu właściwego procesu jest blokada.

– Właściwego procesu?! Czy ci sędziowie są kupieni przez Drozda?

– Robert... jesteś przytomny?

– W połowie.

– Mówię ci już po raz trzeci. Słuchaj mnie. Jest pozew o zniesławienie, prócz tego prywatny akt oskarżenia i jeszcze wniosek o zabezpieczenie powództwa. Z takim sensem, żeby najpierw wstrzymać, a później przemielić tę waszą książkę. Po całości was bierze. Czyli – na mego nosa – musieliście go trafić celnie.

– Już wiem. To on wskazał sądowi nasz adres na Wai Yip Street. Żebyśmy nie przyszli do sądu.

– Co ty mi pieprzysz teraz?

– Nieważne. Abdugarowicz?

– Co, Abdugarowicz? Nie wiem... nie mam pojęcia... nie znalazł się jak dotąd. Chyba go Drozd do Białołęki nie porwał?

– Byłeś u wielebnego?

– Byłem. Pomnik robi wrażenie. Nie miałem wcześniej okazji. Ale poza tym – dupa. Nawet mnie nie wpuścili przez bramę, podszedł ochroniarz...

Taczalski mówi dalej, gdy dzwoni telefon Majki. Na linii spółka Transmedia. Kurier od Płatka i Zmorzyńskiego oprócz decyzji sądu przywiózł panom pośrednikom wezwanie do dobrowolnego podzielenia się mediaplanem „w celu skutecznej realizacji zabezpieczenia sądowego".

– Pani Majo... trzeba im będzie wskazać, gdzie mamy zamówione powierzchnie. Jesteśmy zobowiązani poinformować partnerów o wycofaniu wszystkiego, co się da wycofać. W praktyce oznacza to całość.

– Totalnie?

– Nie możemy się, pani Majo, narazić na zarzut torpedowania orzeczeń sądu. A jeśli pełna kampania nie dojdzie do skutku, emitowanie pojedynczych reklam byłoby tylko wyrzucaniem pieniędzy. Waszych pieniędzy.

– Sprzedaż...

– Przede wszystkim sprzedaż będzie zablokowana. Niestety. Przykro nam. Oczywiście po wyjaśnieniu kwestii prawnych możemy wrócić do tematu. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy dotąd do czynienia z ingerencjami sądowymi, dlatego nie wiemy w tej chwili, jak to się... jak się potoczy, pani Majo. W kwestii pieniędzy – mamy w umowach zapisy o ewentualnej winie nadawcy. Nakaz sądowy trzeba by potraktować jako przyczyny obiektywne. Tego w umowach... eee... nie wiem... nie przewidzieliśmy. Jeszcze się dziś z kolegą naradzę. W każdym razie zaliczki będziemy próbowali konsekwentnie odzyskiwać. Od jutra, pani Majo. Gdyby się nie udało, to po wszystkim możecie później zaskarżyć księdza o utracone korzyści. Mówili mi kiedyś ludzie z Polsatu, że u nich był taki przypadek z fabryką mebli...

Majka słucha jeszcze chwilę, patrząc, jak Robert, który właśnie skończył rozmowę z Taczalskim, sięga po kielich z winem i wychyla go do dna, po czym od razu nalewa sobie kolejną porcję.

Słychać dzwonek do drzwi.

Kierowca białego sfatygowanego forda sedana podjechał przez otwartą bramę pod same schody na ganku i teraz przestępuje z nogi na nogę przed wejściem. Pruski otwiera mu ze szkłem w ręce.

Kurier – po grzecznym „dobry wieczór” – informuje, że przywiózł „przesyłkę z kancelarii prawnej pana mecenasa Płatka z Mokotowa”.

Zbutwiały posmak zapowiadający katastrofę napływa do ust jak ślina tuż przed wymiotami. Robert spłukuje go winem.

* *

Narada wojenna trwa nieco ponad godzinę. Czterostronicowe pismo opatrzone na każdej karcie dwoma pieczęciami krąży w salonie z rąk do rąk. Maja dwa razy łączy się z ojcem i raz z profesorem Edmundem Krabem, jednym z najstarszych przyjaciół papy, który jest znanym adwokatem i specjalistą od prawa cywilnego. Profesor słucha wstępu, następnie krótko dopytuje o szczegóły, po czym zgadza się osobiście wytłumaczyć pozwanym-oskarżonym ich obecne położenie. Ale musi mieć więcej informacji. Zaprasza na jutro rano do siebie do domu. Mieszka niedaleko – w Konstancinie.

– Musicie z niego wyciągnąć rozwiązanie. – Ania z Miłoszem na przemian próbują pocieszać albo dawać dobre rady. Majka konsekwentnie i pracowicie analizuje wraz z nimi najbardziej zwariowane z możliwych opcji. Pruskiemu już się po prostu nie chce. Próbuje porozmawiać z Weroniką o czymś niezwiązanym ze sprawą, lecz chociaż zwykle rozumieją się doskonale, tym razem każde słowo podszyte jest jakąś męką. Pomiędzy dziewiętnastą i dwudziestą trzydzieści, dolewając sobie niespiesznie, lecz konsekwentnie, redaktor wypija półtorej butelki Casillero del Diablo. W tym czasie Lilianna wykłada na stół kaczkę i opuszcza rezydencję po angielsku. Ale przygotowanej przez nią potrawy nikt nie rusza – wszyscy stracili apetyty. Kiedy Anna, Miłosz i Weronika wracają taksówką do miasta, Majka po raz pierwszy zwraca uwagę

na to, co każdy z gości zauważył, lecz o czym ona nie chciała wcześniej mówić głośno.

– Jeżeli nie przestaniesz łykać w tym tempie, zrobisz sobie krzywdę.

– Już sobie zrobiłem. I tobie przy okazji. Mamy przejebane.

– Jeszcze nie. Profesor, powtarzam czwarty raz chyba, uważa, że w procesie nie będziemy bez szans.

– Majko, dziewczynko moja kochana... nie jestem prawnikiem, to ty studiowałaś... ale byłem co najmniej dziesięć razy oskarżony o zniesławienie, niewydrukowanie sprostowania, byłem pozywany, płaciłem grzywny, stawałem przed pieprzonym sądem w imieniu „Głosu Torunia" i swoim własnym. Proces o publikację trwa w Polsce co najmniej dwa lata. A jeśli jedna ze stron zechce go przeciągać – spokojnie i pięć. Można nie odbierać zawiadomień o terminach, prosić o przesunięcie wokandy, powoływać zagranicznych świadków, zmieniać adwokatów, pisać o zmianę składu sędziowskiego... można zrobić tuzin sztuczek. I za każdym razem wnioskować o przedłużenie cenzury. A my nie mamy czasu, bo pożyczyliśmy pieniądze, zaraz komornik chwyci mnie za dupę, mamy w drukarni odroczoną płatność, mamy tu kilka setek pierdolonych kartonów, a jeszcze jestem jakoś dziwnie pewien, że nikt nam nie odda kasy za reklamę, która nie pójdzie, bo sama mówisz, że osrane Transmedia nie zapisały w umowach tak zwanych przyczyn obiektywnych. Kurrrwa mać!!

– Uspokój się. Oddaj mi kieliszek. – Maja wyciąga obie dłonie.

– Lepiej stuknij się ze mną. – W rozgorączkowanych oczach Roberta pojawiają się wariackie błyski. Unosi szkło nad głowę, rozlewając karminowy płyn na nadgarstku, potem opróżnia jednym haustem i oblizuje rękę. – Daj mi się dzisiaj urżnąć. Najlepiej zrób to też. Ja już nie mogę tego ciągnąć.

– Możesz. Nie poddamy się.

– Już się poddaliśmy i nie udawaj, że nie rozumiesz. – Robert bierze ze stołu butelkę, siada na podłodze przy kominku, zapala papierosa i dalej pije już z gwinta. – Od momentu wypięcia się na Venturę uciekamy do przodu. Naszą jedyną szansą było wywalić to wszystko na rynek i poddać się pod tak zwany osąd ludności. Czytelników. Opinii społecznej. Tylko w ten sposób mogliśmy wygrać. W sądzie przegramy. Przecież ty to wiesz. Będziemy musieli udowodnić winę Drozda, Topaza... Będziemy musieli dowodzić, że nie jesteśmy kłamcami. Oni nie muszą nic.

– Piąty raz ci powtórzę słowa profesora. – Maja zrzuca pantofle, siada przy nim na bosych piętach, kostium opina jej się ciasno na biodrach. Odbiera butelkę i napełnia swój kieliszek. – Uzasadnimy społeczny interes publikacji.

– Z całym szacunkiem dla pana Kraba... społeczny interes to możesz wykazywać, kiedy oskarżasz wójta, że gmina nie wywozi śmieci jak należy. Ale nie przy takich zarzutach! Rabbi Hillel i jego diamentowy syn, trucizna dla papieża, mordowanie ludzi na morzu i narkotyki... Oddawaj wino. Dlaczego Abdugarowicz zniknął?

– Mnie pytasz?

– A może Załużnickiego też już nie ma? Może Drozd przed zaniesieniem papierów do sądu oczyścił przedpole?

– Załużnicki z pewnością jest w szpitalu. A Drozd na pewno nie morduje nam świadków.

– Nie wiemy tego. Nie mamy kontroli nad sytuacją. A ktoś inny ma. Miałem rano wrażenie, że jakiś facet za mną jeździ. W subaru podobnym do mojego dawnego.

– Co?!

– Ktoś mnie kazał śledzić. Tutaj, w Piasecznie. Może za tobą też jeżdżą? Może nas właśnie obserwują z lasu. I nie mam schizy, jeśli

o tym myślisz. Jeszcze nie. Prawda jest taka, że rzuciliśmy się na główkę do basenu, a Drozd zdążył spuścić wodę. Co będzie, jeśli Załużnicki wycofa się z zeznań na procesie? Docisnęliśmy go w pierdolonej Urantówce, ale nie nagraliśmy. Szliśmy ostro za ciosem, moja panno, a teraz wajcha jest przestawiona. Od dzisiaj jesteśmy zwierzyną łowną... Twoje zdrowie. Chodź... nawalimy się i będziemy spali obrzygani na dywanie.

40.

Piątek, 15 listopada, ranek i południe.
Dwa dni przed tragedią w Białołęce

Nowy śnieg zaczął padać w środku nocy. Później, po szóstej rano, niebo się wypogodziło, wyjrzał księżyc w kształcie litery U i temperatura po raz pierwszy tej jesieni spadła poniżej minus dziesięciu stopni. Robert i Maja nie zasnęli na dywanie. Żadne z nich się nie porzygało. On padł w ubraniu na ulubioną kanapę, ona przed snem długo stała pod gorącym prysznicem.

Wzięła tylko jedną trzecią porcji rohypnolu i obudziła się pierwsza – godzinę po wschodzie słońca.

Leżąc w pościeli na wznak, przez chwilę obserwowała blask z okna wędrujący powoli po ścianie. Gdy zegar trzema uderzeniami obwieścił trzy kwadranse po ósmej, zeszła na dół i zadzwoniła ze stacjonarnego telefonu do Sądu Okręgowego Warszawa – Praga. Operujący chłopięcym dyszkantem sekretarz sądowy, którego wyobraziła sobie jako pryszczatego i sympatycznego młokosa od niedawna w pracy, odmówił udzielenia informacji na temat spodziewanego terminu rozprawy z fundacją Angelus

Dei. Po odmowie nie odłożył jednak słuchawki, co Majka słusznie odebrała jako zachętę do dalszej rozmowy, i kilka chwil wystarczyło, by dowiedzieć się nieoficjalnie, że pisma złożone w imieniu duchownego przez mokotowską kancelarię Zmorzyńskiego i Płatka były wczoraj tematem dnia we wszystkich czterech wydziałach cywilnych sądu. Podczas rozmów prowadzonych ponad głowami personelu orły Temidy wymieniały przez całe popołudnie uwagi na temat wolności słowa, kontrowersyjnego profilu ideologicznego Telewizji Horeb i tajemniczej zawartości książki, której wydania tak bardzo obawia się budowniczy pomnika z Białołęki. Cienki Głosik słuchał tego wszystkiego bardzo uważnie i wywnioskował, że – jak sam to określił – „sprawa założona przez księdza szybko się nie rozpocznie".

– Nikt tu nie pędzi do orzekania, a kolejka akt czekających na rozpatrzenie jest u nas kilometrowa, proszę pani. Dlatego zostało tam ustalone takie długie zabezpieczenie – półroczne i jeszcze może być przedłużone, ale tego też pani nie słyszała ode mnie, dobrze?

– Oczywiście. I tak jestem panu bardzo zobowiązana. – Maja żegna się najuprzejmiej, jak potrafi. W kuchni obiera mandarynkę, dzieli ją na cztery cząstki, jedną zjada sama, drugą wciska między wargi cuchnącego alkoholem faceta, który – z ręką zwisającą ku podłodze – śpi na kanapie jej ojca. Pruski mruczy i nie otwiera oczu, ale połyka słodko-kwaśny kawałek i rozchyla usta, prosząc o kolejny.

Niecałą godzinę później oboje parkują na końcu nieodśnieżonej gruntowej drogi przed niewielkim, na oko trzydziestoletnim domem-klockiem należącym do profesora Edmunda Kraba. Przysypany bielą ogród zarośnięty jest splątanymi chaszczami, w których ukrywają się tłuste wróble.

Robert w wiatrówce naciągniętej na gruby sweter wyskakuje z toyoty pierwszy. Chce jeszcze szybko zapalić. Ręce trzęsą mu się paskudnie, dwa razy upuszcza zapalniczkę. W bezwietrznej lodowatej przestrzeni gęstniejąca para z jego płuc tworzy razem z kłębami dymu szary słup nad głową. Krople chłodnego potu zamarzają mu na czole. Majka wkłada do torby egzemplarz *Trzeciego zamachu* i zbiera rzucone na tylne siedzenie papiery. Poprawia włosy, korzystając ze wstecznego lusterka, po czym wysiada. Zapinając karakułowy trencz, podchodzi do wysokiej furty. Zmarznięty z wierzchu śnieg trzeszczy pod butami do konnej jazdy. Gdy wciska dzwonek stylizowany na antyczną kołatkę z głową lwa, Pruski staje przy niej wyprostowany jak żołnierz na warcie i mocno ściska ramieniem, jakby chciał dodać odwagi, choć sam ledwo stoi na nogach.

Dłuższą chwilę czekają na odzew ze środka otoczeni krystalizującą się parą, zimnym blaskiem słonecznego poranka i własną niepewnością.

* *

Profesor, wyższy od Pruskiego mężczyzna ze zmęczoną, poprzecinaną żyłkami twarzą, wita gości w półotwartych stalowych drzwiach mocnym uściskiem dłoni. Mimo wczesnej pory jest w ciemnym garniturze, pod szyją ma pąsową apaszkę. W jego domu czuć zapach lekarstw, starego papieru i kadzidełek. Na półkach, drewnianych obudowach grzejników i w kątach stoją zwiędłe pelargonie, między nimi figurki Buddy i złożone jedna na drugiej przykurzone książki.

– Nasz drogi Konstanty obecnie w Warszawie?

– Papa jest w Edynburgu na zjeździe... Wraca dwudziestego czwartego.

– Kawy? Herbaty? Naleweczki?

– A jakie nalewki pan oferuje? – Robert stara się nie kasłać i nie okazywać nadmiernego zainteresowania ofertą. Niech to będzie niewinna wymiana uprzejmości.

– Orzechówka, gruszkówka i tradycyjna – z pigwy.

– To może tę ostatnią... egh-reghhh... proszę.

Maja zamawia herbatę. Dostaje ją w małym kuflu od piwa. Plus kawałek makowca. Siadają przy wielkim, okrągłym stole – nakrytym dywanem i zagraconym. Adwokat częstuje czerwonymi marlboro. Robert wyciąga swoje papierosy i od razu chowa rozedrgane dłonie za plecami. Krab odgarnia wczorajsze gazety, spod których wyłania się popielniczka.

Nalewka z pigwy ma jasnobursztynowy kolor i jest mocna jak wszyscy diabli. Po pięciu minutach gładkiej wymiany zdań na temat niedawnej powodzi, chuliganerii podającej się za patriotów, nadchodzących wyborów oraz spodziewanej fiesty przed monumentem w Białołęce Maja przechodzi do rzeczy.

– Jak już mówiłam panu profesorowi, kolega napisał z moją pomocą biografię księdza prezesa Telewizji Horeb.

– Jeszcze raz ci gratuluję, tak jak rzekłem. Gratuluję obojgu. Wysoce ciekawy temat. I arcyciekawy człowiek.

– Książka jest już wydrukowana, przyniosłam egzemplarz. Chcieliśmy ją od wczoraj rozprowadzać na rynku... ale dostaliśmy to. – Majka podaje profesorowi *Trzeci zamach* i papiery z kancelarii Płatek – Zmorzyński.

Adwokat bierze się najpierw za pismo z pieczęciami. Rozkłada kartki obok siebie. Zaczyna szukać czegoś na stole. Przesuwa grube księgi i pudełka lekarstw. Robert zauważa znajomą hydroksyzynę

w tabletkach po pięćdziesiąt miligramów – świetna rzecz na białe lęki po trzydniowym piciu.

Może przed wyjściem poprosisz, człowieku, żeby ci profesor odpalił połowę opakowania? Na pewno wkrótce się przyda.

Wychyla do końca trzeci kieliszek nalewki – idzie z nim łatwiej niż z poprzednimi – gdy pan domu wreszcie znajduje to, czego szukał. Pomiędzy kupką bezładnie wymieszanych drobiazgów a stosem notesów o różnym stopniu zniszczenia leży futerał z okularami. Gospodarz nakłada podwójne szkła na zaczerwieniony nos.

Pięć minut lektury upływa w absolutnej ciszy przerywanej tylko ćwierkaniem wróbli na parapetach za oknem i stukaniem papierosa o szary kamień popielnicy, gdy mecenas Krab strąca popiół.

– No tak... To, co tu państwo przynieśliście, to nie jest formalnie pozew ani też odpis prywatnego aktu oskarżenia, ale wysoce zręcznie sformułowane pismo przedprocesowe, które, jak sami widzicie, składa się z trzech elementów... – po naoliwieniu gardła słaby i suchy głos gospodarza zmienił się w piękny aktorski ton. Należy się spodziewać dłuższego wykładu, więc Robert sam sobie dolewa z karafki, co adwokat kwituje pełnym zrozumienia przymknięciem oczu. – Widzę tu zapowiedź złożenia pozwu związanego z ochroną dóbr osobistych księdza. Ochroną, której naruszenia strona powodowa spodziewa się w związku z przygotowaniem publikacji książkowej. Po drugie, widzę, że szanowni koledzy Zmorzyński i Płatek zapowiadają sporządzenie aktu z artykułu dwieście dwanaście. Kto pomawia osobę o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla piastowania danego stanowiska, wykonywania zawodu – i tak dalej. W tym przypadku mamy już do czynienia z sankcją karną.

Niewykluczone dodatkowe roszczenie adhezyjne. Trzeci element, określany w piśmie jako wezwanie do usunięcia skutków szkody – on jest moim zdaniem wysoce ryzykowny i najsłabiej podparty kodeksowo. No, cóż rzec... może ktoś księdzu Drozdowi poradził zażądać więcej, aby uzyskać mniej. Co jest w tej książce, że wasi adwersarze tak konsekwentnie dążą do jej wyeliminowania?

– Są wypowiedzi osób sugerujących, że Franciszek Drozd, jeszcze jako młody wikariusz na pielgrzymce do Watykanu, próbował otruć Jana Pawła II. – Wypowiadając tę kwestię już nie po raz pierwszy, Maja zachowuje beznamiętny ton spikerki czytającej komunikat o obowiązkowych szczepieniach. – Piszemy, że największy obecnie sponsor Telewizji Horeb, niejaki Ferdynand Topaz z Hiszpanii, to zbrodniarz wojenny. Hitlerowski, a także sowiecki. Do tego jest handlarzem ludźmi, pospolitym kryminalistą i organizatorem zamachu w roku osiemdziesiątym dziewiątym.

– Dokładnie rzecz biorąc, Topaz zorganizował akcję jako sowiecki agent działający wówczas pod nazwiskiem Bruliański. – Robert odzyskał jaką taką władzę nad rozchybotanymi dłońmi i może wreszcie bez obciachu przypalić sobie papierosa.

– Drozd miał być wykonawcą jego poleceń, lecz się w ostatniej chwili załamał... lub zwątpił. – Maja ociera usta papierową serwetką. Słuchając profesora, zjadła pół podanego makowca, lecz nie poczuła smaku. – Stawiamy teorię, że dawne grzechy do dzisiaj ich obu łączą. Ksiądz pierze Topazowi pieniądze z narkotyków, które są przeładowywane u wybrzeży Afryki.

– Dlatego wielebny poleciał na Fuerteventurę, gdzie go złapali z „Żyletką".

Gospodarz nie wydaje się wstrząśnięty informacją o księdzu i zamachu na papieża.

– Zatem pieniądze... Sugerujecie, że ów Topaz jakoby trzymał księdza prezesa w garści? – Adwokat znowu wodzi oczami po piśmie procesowym.

– Dokładnie to sugerujemy.

– No tak. Wracając do meritum... wasza teoria z pewnością wyczerpuje znamiona wspomnianego artykułu kodeksu karnego. Dla duchownego, telewizyjnego ewangelizatora, a także przedsiębiorcy i wydawcy opierającego działania na zaufaniu widzów i czytelników podobne posądzenie może mieć istotnie wysoce katastrofalne skutki. Mamy do czynienia z książką, a zatem zastosowanie znajdzie paragraf drugi artykułu mówiący o rozpowszechnianiu treści zniesławiających za pomocą środków masowego komunikowania. Tutaj przewidywane kary są nieco surowsze, choć nie obawiałbym się ograniczenia wolności. Nie o to chodzi naszym przeciwnikom procesowym *in spe*. Mówiąc kolokwialnie: im nie zależy na ukaraniu kogokolwiek, a nawet nie na odszkodowaniu... Idzie tylko o to, żeby wam zamknąć usta, być może także zyskać na czasie. Zarzuty o zniesławienie są zaś jedynie środkiem.

– Czy prawda może zniesławiać?! – Majka wie, że pytanie jest naiwne jak na byłą studentkę prawa, ale nie dała rady powstrzymać dziecięcego oburzenia.

– Ależ naturalnie, Majeczko... Poza tym kwestie prawdy i fałszu rozważane będą przez sądy w dalszej kolejności. – Mecenas upija mały łyk ze swego szkła i odnajduje w rozgardiaszu na stole wiązkę kadzidełek. Umieszcza jeden z patyczków w uchu kamiennej popielniczki, zapala, potem sięga do paczki po drugie marlboro. – Z praktyki mogę zaryzykować przypuszczenie, iż sędziowie będą się starali uniknąć merytorycznego roztrząsania ewentualnej winy księdza, a także tego drugiego bohatera, o którym mówicie.

Najistotniejszą kwestą procesową będzie uprawdopodobnienie waszych tez i uzasadnienie prawa do ich postawienia. Społeczny interes, prawda historyczna – to są kwestie ocenne... bez wchodzenia w szczegóły. Na pewno dowiedzione fakty będą miały znaczenie. Mam nadzieję, że zebraliście stosownie wiele dowodów...

– Poszlak. – Robert zaplótł ręce w modlitewnym geście na krawędzi stołu. Wpatruje się w swój opróżniony kieliszek, jakby spodziewał się stamtąd podpowiedzi. Wpadający przez okno promień słońca załamuje się w grubym szkle. – Prawda jest taka, że mamy tylko poszlaki i pojedyncze słowa. Które niekoniecznie zostaną podtrzymane na sali rozpraw. Jeden z kluczowych informatorów właśnie się gdzieś ulotnił. Nie mieliśmy czasu sprawdzać, co z pozostałymi, ale mam złe przeczucia.

– To niedobrze... – Mecenas Krab zdejmuje okulary z nosa po to tylko, by zaraz je ponownie nałożyć. – Czy mam rozumieć, że nie macie żadnego niepodważalnego dowodu na udział księdza w domniemanym zamachu ani też w innych nielegalnych procederach?

– Jeżeli chodzi o sam zamach, to właściwie nie mamy. – Robert i Majka mówią to równocześnie. Ona wpatruje się ze skupieniem w profesora. On prostuje plecy, płytko kaszle, a potem nalewa raz jeszcze: gospodarzowi i sobie. Adwokat prezentuje smutny uśmiech. Jego wyrozumiałe spojrzenie mówi: „Jesteście w arcykłopotach, lecz teraz się napijmy, bo przecież świat od waszych problemów nie pęknie".

Faktycznie... życie potoczy się dalej. Wielebny Drozd w asyście zaprzyjaźnionych biskupów poświęci dzieło swego życia. Polacy pójdą do urn. Przed świętami prawie wszystkich ogarnie szał zakupów. Potem Jasio i Krzysio będą mieli ferie. I tylko ich

popierdolony tatuś utonie cicho niczym bohater obrazu w bibliotece Medarda Królikiewicza.

W przedłużającej się ciszy gospodarz bierze do rąk *Trzeci zamach* i powoli przerzuca strony. Zatrzymuje wzrok na zdjęciach w środku tomu. Czyta podpisy.

– To ujęcie przedstawia klęczącego papieża...

– Tak.

– Pisze pan, że do otrucia miało dojść właśnie tam, podczas sprawowania mszy świętej.

– Do otrucia albo tylko podtrucia. Wspominamy o możliwości użycia środka działającego z opóźnieniem i mającego antidotum, które można na czas dostarczyć... albo i nie. Taki zabieg pozwalałby zleceniodawcom zamachu uzyskać wpływ... Tak nam się wydaje i tak to ująłem. Chyba dosyć ostrożnie.

– Wydaje? Tylko wam się wydaje, moi drodzy? Nie wiecie, czy chodzi o próbę morderstwa, czy tylko szantażu? Nie wiecie także i tego, przepraszam za szczerość, że papież w tej kaplicy wyłącznie się modli? Widzicie go przecież na klęczniku... Tu nie ma żadnej liturgii. A zatem i spożywania wina i krwi pańskiej.

– Może msza miała się odbyć po wstępnej modlitwie. – Robert czuje na plecach uderzenie gorąca i chłodu, a w brzuchu wielki supeł trzewi zawijających się wokół żołądka. Żeby tylko nie zwymiotować. – Może msza miała się odbyć gdzieś obok?

– Ale nie wiecie tego z pewnością?

– Nie wiemy. To było dawno, jest mało świadków. Nie wdajemy się w zbędne szczegóły, chodzi o główne założenia sytuacyjne. Są tu cienkości, przyznaję, ale przecież ciąg poszlak...

– Paaanie autorze... i ty, moja droga Majeczko... Proponuję, abyście się jeszcze raz dobrze zastanowili nad tą wysoce ryzykowną książką. Nie macie dowodów na domniemane trucie Ojca Świętego,

w istocie nie macie, jeśli was dobrze rozumiem, stuprocentowej pewności co do tego, czy coś podobnego było w ogóle planowane. Brak wam szczegółowych danych co do miejsca planowanej zbrodni, chociaż z podpisu pod tą fotografią można by odnieść wrażenie, że jest inaczej... Nie chcę być wobec was brutalny, lecz... cóż rzec? Muszę być szczery, jeżeli mam wam w czymkolwiek pomóc. Czy to słynny ojciec Rejke? Ten z kamerą?

– Jest pan do-doskonałym obserwatorem, profesorze. – Węzeł w brzuchu Pruskiego zaciska się jeszcze mocniej.

– W latach osiemdziesiątych korzystałem krótko z gościny Uniwersytetu Bazylejskiego. Dostałem wówczas taki aparat w prezencie od pewnego doktora... to był absolutny krzyk techniki. Dzięki małym kasetom i wbudowanemu ekranowi można było natychmiast odtworzyć nagrane sceny. Interesowaliście się filmem z tej kamery?

Majka – dotąd niespuszczająca wzroku z mecenasa – teraz patrzy na Pruskiego, któremu splątane kiszki podchodzą już do przepony i niemal wyciskają resztki powietrza z płuc. Chciałby odkręcić swoją rozpaloną głowę i wynieść ją na śnieg. Jesteś, człowieku, amatorem, a ten pan jest fachowcem. Wypunktował cię, oglądając książkę przez dwie minuty i czytając dwa zdania. Nie masz dowodów, nie masz pewności ani co do osób, ani co do miejsca, i jeszcze w pośpiechu nie posprawdzałeś najbardziej oczywistych wątków. Była kamera, musiał być film. Boleśnie proste. Wielebny Franciszek Kosma ma rację, twierdząc, że nie należy tej książki drukować.

– Niestety, oj-ojciec Rejke od da-dawna nie żyje. – Robert zdrętwiałą ręką unosi kieliszek, choć wolałby przytknąć do ust całą karafkę. Pije, a potem wstrzymuje powietrze, aby opanować czkawkę.

– Jest pan wciąż jeszcze istotnie młody, kolego, skoro te parę lat, jakie upłynęły od śmierci ojca Teodora, to dla pana „dawno". Nie wiem, czy jest wam znany fakt, że jego siostra Sabina Rejke mieszka nadal w Celestynowie za Otwockiem.

Majka wyciąga smartfona i zaczyna manipulacje na ekranie. Sprawia wrażenie osoby wytrąconej z długotrwałego zamyślenia, która wpadła na coś ważnego. Pruski milczy, gospodarz wstaje.

– A teraz, moi drodzy państwo, pozwólcie, że przejdziemy do jadalni. Na pokrzepiającą zupę borowikową. Najpierw podjemy jak Polacy, a potem omówimy kwestię przygotowania do pierwszej wokandy. I niech pan, kolego, weźmie się w garść, bo będę zmuszony schować nalewkę.

* *

Z dalszej części wykładu mecenasa Kraba zawstydzony Robert zapamiętuje głównie jeden wątek: w postępowaniu cywilnym o ochronę dóbr osobistych wszystkie wątpliwości będą świadczyły na niekorzyść autorów publikacji. A wątpliwości jest masa.

Wychodząc od profesora, chwieje się w progu. Na zewnątrz, schowany za autem, klęka i naciera twarz śniegiem. Słońce schowało się już za krzakami, wróble gdzieś poznikały. Mróz rośnie. Maja staje nad nim w rozpiętym płaszczu.

– Jesteś pijany w sztok.

– Piłem tyle co pan profesor.

– Dwa razy więcej.

– Przepraszam. Prawda jest taka, że on jest profesorem prawa i profesorem picia. A ja jestem amatorem we wszystkim, czego się złapię.

– Zmieniasz temat.

– Nie zamieniaj się w Kamilę... błagam.

– Ja tylko stwierdzam gówniane fakty. Drugi z nich jest taki, że jak czegoś nie zrobimy, to w sądzie przerżniemy totalnie. Słyszałeś, co powiedział?

– Taaaa... ehhergh-reghhh!

– Będziesz wymiotował? Nie jedz śniegu, rozchorujesz się do końca. Jesteś w stanie pojechać ze mną do Celestynowa?

– Po cholerę?

– Wygooglowałam adres Sabiny. Ulica Prosta sto jedenaście. Ma jakąś fundację opieki nad zwierzętami.

– I co z tego?

– Drozd coś wykrzyczał przy papieżu, tak? Popłakał się i wybiegł z sali. Tak wspominał *signore* Nito. Magister. Mam rację?

– Majka... dziewczyno... przestań się łudzić. – Pruski prostuje kark, ale nie wstaje z kolan. Twarz ma mokrą od potu i wody, włosy potargane. – Wyobrażasz sobie, że znajdziemy u starszej pani kasetę, a na niej wieleb... eghr-eghhherrr!...wielebnego wykrzykującego: „Ludzie, mam w kieszeni Neptuna, zaraz go użyję ku chwale Związku Radzieckiego!"? Tak sobie myślisz? Tak będzie?!

– Ten film to nasz ostatni trop. Ostatnia szansa.

– Jaki film?! Nie ma żadnego filmu. Jest tylko ojciec Rejke i kamera na zdjęciu z ubiegłego stulecia. O ile to w ogóle kamera. Albo w ogóle Rejke. Przecież połowy twarzy nie widać!

– To jest on... i to jest kamera, i dobrze wiesz, że dotąd takie ślady nam wystarczały. A teraz nagle zamieniasz się...

– ...w szmatę do wycierania końskiego ejakulatu?

Pierwszy raz tego dnia Maja uśmiecha się całą twarzą.

– Albo ogarniesz ciało i pojedziemy razem na Prostą, albo pojadę tam sama. Mam cię zostawić w Piasecznie? Czy na Francuskiej, żebyś się przespał?

– Nie... nie zostawiaj mnie... bo spłynę do końca. Nie zostawiaj mnie w ogóle. Jedziemy.

Pijany dźwiga się ostrożnie, opierając się o toyotę.

– Już mi lepiej – kłamie.

Maja otwiera tylne drzwi auta. Wrzuca torbę.

– Masz mi się zdrzemnąć po drodze, żebyś cokolwiek kontaktował. Czuję, że jeszcze będziesz potrzebny.

Robert postanawia o swoich przeczuciach nie mówić.

41.

Piątek, 15 listopada, popołudnie

Tablica świetlna przed mostem w Górze Kalwarii pokazuje minus dwanaście stopni. Droga jest śliska i wąska, rząd tirów sunie wolno. Rozwalony na siedzeniu pasażera redaktor chrapie. Maja dwa razy bezskutecznie usiłowała dodzwonić się do Sabiny Rejke. Teraz, minutę po piętnastej, słucha radiowych wiadomości. Na początek lecą sondaże przedwyborcze – jeśli przez najbliższe sześć tygodni nic się nie zmieni, Ruch dla Wolności wyląduje poza parlamentem. Tragiczny wypadek na obwodnicy Wrocławia. Norweska pomoc dla powodzian. Doktor Benzion Levy-Frank odbywa właśnie spotkanie z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym. Wieści sportowe.

Nokia w kieszeni wiatrówki Pruskiego gra, ale jej właściciel się nie budzi. Piętnaście kilometrów dalej, za polnym rondem i rozjazdem na Grójec, Mińsk i Warszawę, telefon znów hałasuje. Robert jęczy żałośnie, kilka razy zmienia pozycję i wreszcie otwiera oczy. Niezdarnie walczy z kurtką, spodem swetra i kieszeniami. Gdy

wydobywa aparat, ten spada mu na podłogę. Schyla się, uderza głową w obudowę poduszki powietrznej, klnie. Telefon przestaje dzwonić.

Maja nie mówi nic.

– Masz tu w samochodzie jakieś piwo?

– Nie mam.

– A możemy stanąć?

– Nie możemy. Staniemy w Celestynowie.

– Dobrze, pani kierownik.

Z ekranu nokii – teraz całego w wilgotnym piachu – wynika, że dwukrotnie dzwonił Taczalski. Poza tym Krzysiek przysłał SMS-a: „Pamiętaj co obiecałeś. Przyjedziesz na 100 procent :)".

Pijany tata potwierdza przyjazd krótkim „OK". Wybiera numer Macieja.

– Jestem. Co słychać?

– Dziwny masz głos. Chory jesteś?

– Spałem. Chory też. Z przemęczenia.

– Tekst mój czytałeś?

– Nieee, jeszcze nie.

– Znaleźli Abdugarowicza. W rowie melioracyjnym. Już dupa z nim ostateczna.

– Kto znalazł?

– Miejscowi, policja... czy to ważne? Wersja oficjalna: schlał się, łaził po polu i zamarzł.

– Czekaj, niech zbiorę myśli. – Robert uchyla okno. W małej kabinie toyoty natychmiast robi się lodowato, ale Majka nie protestuje. Przynajmniej smród alkoholu wywietrzeje. Do Celestynowa pięć kilometrów. Cały czas w korku.

– Co tam masz takie hałasy? – Taczalski podnosi głos.

– Jesteśmy w drodze. Z Mają.

– Znów razem w akcji, co? Jak sprawa książki?

– Byliśmy u prawnika... długa historia. Niedobrze. Ale mów mi o Krośniewicach. Trzeba... ep! Przepraszam... to z zimna. Trzeba iść tropem tego... ep! Eleganckiego mięśniaka...

– ...w terenówce lub dostawczaku. Tyle to ja sam wiem. Teraz, jak już jest zimne ciało, gliny z Krośniewic bardzo się ożywiły. Z Łodzi przyjeżdża ekipa z rysownikiem. Strasznie chcą wiedzieć, co wczoraj robiłem u Marcelego w mieszkaniu i kim jest ten długowłosy facet w trampkach, który siedział z nim pod sklepem dwudziestego szóstego października. Baba sprzedająca łączniki i śruby opowiada sąsiadkom, że ten sam stary hipis – i uważaj: w tym samym aucie – gościł u Marcelego czterdzieści osiem godzin temu.

– Mam dobre alibi na dwa ostanie dni. Ciągle byłem w towarzystwie wielu osób. Czekaj... Ten sam samochód?! Facet ma forestera podobnego do mojego dawnego auta i to jest ta niby-tere...ep!...terenówka. A nie dostawczak. Kapujesz?!

– Słabo.

– Wiem, bo skurwysyn mnie wczoraj rano obserwował w Piasecznie. Byczy kark, młody gość. Typ boksera, zapaśnika, strongmana. Wszystko się zgadza!

– Jak to, cię obserwował?! I nie dzwoniłeś na gliny?

– Przecież dopiero teraz zajarzyłem. Pewnie wysłannik Drozda. Poczekaj, Maciej... przepraszam. Majka, zobacz, monopolowy! Proszę cię, stańmy.

– Wytrzymasz do Celestynowa.

* *

Prowadząca ku Prostej ulica Obrońców Pokoju najpierw przechodzi przez brzydkie centrum wioski, a potem zamienia się w otoczoną zaroślami szosę bez pobocza. Latarnie co pół kilometra,

pomiędzy nimi – gęstniejąca zimna szarość. W „sklepie wielobranżowym" – śmierdzącym zepsutym mięchem i rozlanym piwem – Maja i Robert dowiadują się, że jeśli chcą spotkać „panią Sabinę", powinni szukać „zagrody ze setką kundlów".

– Będziecie słuchali szczekania. Nie przegapicie. Piwo mam panu otworzyć?

– Dziękuję, poradzę sobie. – Robert zgarnia do kieszeni wydaną z pięciozłotówki resztę. W samochodzie zrywa kapsel półlitrowego żubra za pomocą zapalniczki.

Piwo jest chłodne, pyszne. W sam raz na przeziębienie.

– Daj łyka. – Majka pociąga dwa razy prosto z butelki. – Jak się czujesz?

– Jakbym to wszystko oglądał w kinie.

– No i pięknie.

Jadą wolno, zgodnie z mapą i wskazówkami sprzedawczyni. Kilka razy Mai wydaje się, że słyszy już psy i trzeba stanąć, ale oboje dochodzą do wniosku, że szczekanie jest zbyt ciche jak na „setkę kundlów". Za leśniczówką i dziurawym skrzyżowaniem dróg znajdują wreszcie to, o co chodzi. Na skraju czarnego lasu bieleje tartaczny plac ze złomowiskiem. Zza bałaganu dobiega wyraźny chór wielu psich gardeł. Ona wprowadza samochód na zamarznięte klepisko, między zardzewiałe maszyny, wraki wiekowych aut i bezładnie porozrzucane pnie sosen. On wyrzuca pustą butelkę, która rozbija się z brzękiem o zamarznięte rupiecie. Ujadanie i skowyt narastają. Widać już pierwsze zwierzęta rzucające się na siatkę, która ogradza zmurszałe gospodarstwo w głębi. Czworonogi gryzą druty, szczekają, warczą, włażą jeden na drugiego. Mają chude pyski, a ich wielkie oczy odbijają światła reflektorów toyoty.

– To jakiś zwierzęcy obóz koncentracyjny czy co? Sabina im żreć nie daje?

– Tam jest chyba wejście.

Maja zamyka samochód. Podchodzą. Siatka otaczająca podniecone zwierzęta okazuje się skomplikowaną i zmyślną konstrukcją. Przestrzeń między składem złomu a zlepkiem szop tworzących budynek mieszkalny podzielona jest na sektory. Te, w których ujadają psy, pokrywa rozryta setkami ruchliwych łap czarna ziemia. Teren bezpieczny od kłów i pazurów bieleje śniegiem. Idą oboje po bieli w kierunku zabudowań i gołej żarówki nad brunatnymi drzwiami zbitymi z kilku płyt. Wejście bez klamki i dzwonka. Nie ma zamka, tylko dosunięty od zewnątrz betonowy pustak.

Robert kilka razy wali pięścią w zgrzybiały paździerz. Dźwięk jest głuchy, ze środka odpowiada cisza. W jedynym widocznym od frontu oknie wciąż ciemno. Mija minuta. Majka usiłuje obejść ruderę, ale i z prawej, i z lewej strony napotyka wysokie ogrodzenia z drutem kolczastym na wierzchu.

– Może powinniśmy zajechać od strony lasu?

W psim jazgocie coś się zmienia. Charkoty i warkoty przechodzą w piski, kwilenie, sapanie, jak gdyby zwierzęta zostały gwałtownie skarcone. W odległym mroku, za budynkiem i kilkoma siatkami, przesuwa się jakaś postać.

– Halo! Pani Sabina?! Dobry wieczór! Halooo!!

Żadnej odpowiedzi. Ciemna sylwetka znika. Pruski zapala chesterfielda. Kolejny raz uderza w drzwi. Stojąca trzydzieści metrów dalej toyota odpowiada rozdzierającym „uiiii-oooo-uiiii-oooo!!”

Co jest?!

Podbiega do samochodu. Kobieta – bo mimo workowatego kształtu postaci i dziwacznego zawoju na jej głowie można poznać,

że pod kupą szmat ukrywa się człowiek rodzaju żeńskiego – wali dłonią w grubej rękawicy o maskę samochodu.

– Niech pani przestanie!

– A ty przestań w dom bić! Daj papierosa.

* *

Stuletnia z wyglądu babina zdejmuje rękawicę i łapczywie zasysa dym. Z początku zachowuje się opryskliwie – wymachuje pięścią, pluje pod nogi, raz drży, innym razem zapada w kilkusekundowy stupor. Robert i Maja próbują przedstawić się grzecznie i wytłumaczyć, o co im chodzi, kiedy dociera do nich, że to zjawisko nie jest Sabiną Rejke, tylko zapewne pracownicą schroniska dla głodomorów.

– Pani Sabina jest tu w ogóle?

– Na pogrzeb pojechała. Już rano. Za dwa dni będzie wracała.

– Dokąd na pogrzeb?

– Co?

– Gdzie pojechała?

– Tfu!

– Gdzie jest ten pogrzeb?!

– Co ja mówiłam?

– Gdzie jest Sabina Rejke?!

– Ja nie pamiętam. Ona mnie nie mówi!! I nie masz krzyczeć mnie jak milicjant. Dosyć już tego na zaraz!

– Jaki milicjant?

– Bogaty z gęby, a nawet psa nie wziął. Nawet jednego.

– Jaki bogaty?!

– Co?

– Jaki bogaty, który psa nie wziął?

– Milicjant gruby. Że takich płacą. Stytych jak świnie. Psa nie chciał kupić.

– Jak wyglądał ten gruby?!

– Poduszkę podarł, materac cały...

– Jak wyglądał?! Był elegancki? Z takim byczym karkiem?! – Pruski układa obie dłonie nad ramionami, określając szerokość szyi atlety z matowego subaru.

– Nie wrzaskaj na mnie!

Maja chwyta Roberta za rękę i ściska. Potrzebna jest chwila uspokojenia.

– Co ja mówiłam?

– Ten grubas jakim samochodem przyjechał?

– Bogaty.

– Samochód bogaty?

– ...

– Terenowy? Prawie czarny? Taki bez błysku? Jakby zakurzony?

– Tfu!

– Miał z przodu rurę przed zderzakiem?! Rurę jaśniejszą. Z gołego metalu...

– Rurę miał. Słupek mi skrzywił przy klatce.

– Czego tu szukał? – Pierwsze pytanie zadane przez Majkę sprawia, że stara kobieta milknie na dłużej. Zgniata niedopałek papierosa i chowa go między fałdami okrywających ją szmat.

– Czego szukał?

– Kilka dni temu grzecznie tu przyszedł, z Rejkową gadał, rękę mnie podał, a teraz... ona pojechała i zaraz chamem zawrócił. We w tych po Teodora rzeczach grzebał. Świętej pamięci.

– Jakich rzeczach?

– Co?

– W jakich rzeczach? Trzymacie tutaj rzeczy po ojcu Rejkem?

– Tfu!

– Była w nich kamera? Albo jakieś kasety wideo?

– We wszystkich rzeczach grzebał milicjant. Nie będę sprzątać! Tfu! Niech Rejkowa sama zobaczy.

– My też chcemy zobaczyć. Prosimy.

– A z jakiej racji?

– Kupimy od pani pieska. Dobrze zapłacimy.

– Lubicie pieski?

– Uwielbiamy. Gdzie są te rzeczy?

– Co ja mówiłam?

Kiedy psia opiekunka odsuwa wreszcie betonowy kloc i otwiera drzwi, nie pozwalając sobie przy tym pomóc, sytuacja staje się jeszcze dziwniejsza. Wchodzą najpierw do chłodnej sieni bez podłogi, a potem do suchego i nieco cieplejszego pomieszczenia o ścianach pokrytych krucyfiksami i świątkami wymalowanymi na szkle. W świetle włączonej przez staruszkę podsufitowej lampy górna część izby wygląda sympatycznie i schludnie. Na dole – katastrofa.

Ktoś przeprowadził gruntowną i jednocześnie brutalną rewizję. Wytarty dywan pokryty jest kilkoma dziesiątkami rozrzuconych przedmiotów. Pootwierane książki, pudła po ciastkach, rozdarta poduszka, rozkruszony styropian, dwie wybebeszone ze szmat drewniane skrzynie. W kącie biurowy regał-segregator. Wszystkie szuflady wyrwane, różnokolorowe papiery rozsypane, na nich kawałki szkła.

Pod ciemnym oknem stoi metalowy mebel na kółkach – Robertowi kojarzy się ze stołem do sekcji zwłok. Na nim komputer, pecet starego typu: blaszane pudło i ekran obciążony wielkim kineskopem.

– Dysk wypruty... – Maja robi kilka ostrożnych kroków pomiędzy gratami na podłodze. – To jest komputer pani Sabiny?

– Co?

– Czyj ten komputer? Co na nim było?

– Ja nie wiem. To jest fundacji opieki.

– A jakieś kasety wideo tutaj były?

Kobieta milczy.

– Kasety! Taśmy! Kamera może?!

Starowina nie odpowiada. Z ciężkim westchnieniem spracowanego człowieka opada na sklecone z dwóch pieńków krzesło. Już nie pluje i nie trzęsie się tak jak dotąd. Gdy ściąga z głowy nieświeży zawój, ukazuje przybrudzone, pokryte małymi strupami czoło i siwe włosy przycięte prosto, jak nożem.

Maja przysiada na rogu otwartego kufra z torbą na kolanach. Za oknem szczekają zamknięte w klatkach kundle.

– Te psy są głodne?

– Są ciągle głodne. Wlizie w stado trzech głodomorów, co innym żrą, a wszystkie sztuki niedokarmione. I nie nastarczysz. Kupicie pieska?

– Kupimy.

– Za trzysta dam wam sukę. Młodą. Zdrową.

– Dobrze.

– Po coście tutaj? Co wy za jedni?

– Tak jak mówiłem, piszemy książkę o ojcu Teodorze. – Robert kuca pod ścianą. Kaszle głęboko i sucho. Żałuje, że nie kupił sobie w Celestynowie piwa na zapas.

– Dobry był człowiek z Rejkowej brata. Dużo siostrze pomagał. Do końca życia. Nawet jak wszyscy go opluwali. Te linczowania! – Faza spokoju chyba dobiega końca. Opiekunka psów zaczyna znowu zapamiętale gestykulować, choć już nie spluwa pod siebie.

Ponownie żąda papierosa. – Świętej pamięci Teodor był człowiek, co nie bał się pokazać wiary, i oto, dlaczego go kurestwo spotkało! Kurestwo i hańba, i zdrada! Życiem przypłacił oskarżenia spodlone.

– Czy brat pani Sabiny zostawił po sobie jakieś kasety wideo?

– Może i były, ale już dawno nie.

– Co znaczy „dawno nie”?

– A co ma znaczyć?! Powyrzucane, popsute... albo ukradli.

– Ktoś ukradł kasety wideo po ojcu Teodorze?

– Tak było. Złodziej.

– Jaki złodziej?

– Kto to ma wiedzieć...

– A kamerę filmową... ksiądz Rejke miał?

– Miał. Od samego księdza prezesa, co teraz rządzi z Białołęki.

– Co się stało z tą kamerą?

– Wpadła do wody.

Staruszka robi pauzę i pochyla głowę. Papieros tli jej się w opuszczonej ręce.

– Co ja mówiłam?

– O kamerze.

– Zniszczył głupi pijak taki, co tu pracował. Dzieci zachciał filmować, kamerę wlulił. Się rok nie przyznał.

– Jest pani pewna, że nie zostały żadne taśmy?

– Kiedyś się Rejkowej wcześniej ksiądz prezes pytał.

– O co?

– O to samo.

– Ksiądz Franciszek Drozd pytał o kasety wideo z kamery?

– Pytał.

– Kiedy?!

– Jak w szpitalu leżałam.

– Czyli kiedy?

– Rejkowa dawno mówiła mi, jak dzwonił jeszcze z zagranicy. Na Celestynów łączyli centralą. A potem się pokłócili.

– Sabina Rejke i ksiądz prezes Franciszek?

– Rejkowa chciała, żeby od razu stawał w sądzie i za bratem świadczył, ale ten miał ważniejsze zadania swoje. Zerwała z księdzem przez to i całkiem koniec... Cham ten milicjant. Dobrze, że chociaż te jedno zdjęcie uchowane. – Kobieta podchodzi do ściany i zdejmuje fotografię oprawioną w brązową ramę. Teodor Rejke, w jasnym habicie i z różańcem na szyi, pochyla się nad gromadą małych dzieci.

– Będziemy się chyba żegnać. Pokaże nam pani pieska?

– Suczkę. Naprawdę kupicie?

– Przecież daliśmy słowo.

* *

W ciemnych klatkach, które sięgają aż po skraj lasu, na zmarzłej ziemi leżą szare szmaty, odchody i kawałki ogryzionych do cna kości dużych zwierząt. Psy piszczą i skamlą, czując opiekunkę. Starowina, odkąd odebrała od Majki trzysta złotych, mówi non stop i całkiem składnie. Opowiada historie o czworonożnych podopiecznych, stając przy każdym kolejnym ogrodzeniu.

– Mówiła pani, że ten gruby policjant szukał czegoś w rzeczach po ojcu Teodorze?

– Policjant, milicjant... co mnie tam... niech Rejkowa zobaczy bałagan, to jej dom. Tfu!

– Ale w papierach fundacji waszej też grzebał. W szufladach z dokumentami. Komputer zniszczył. Coś z tego zabrał?

– Wszystkie te srebrne... te płyty małe. I jakieś... takie pstre gówno. Patrzcie tu... to jest najdłużej u nas piesek... najstarszy.

A tam mam dla was suczkę czyściutką.

Kundel, o którego chodzi – nie większy od kota, chudy i roztrzęsiony – jest zarazem brzydki i śmieszny. Jedną łapę ma krótszą.

– Jak mu na imię?

– Jej, a nie jemu. – Gospodyni rozplątuje druty na wysokości kolan i odgina siatkę. – Chłop, co mi ją przyniósł, nie wiedział. Leżała przy drodze. Końca łapy nie dało się uratować.

Drżąca psina, ledwo żywa kaleka, która miała być młoda i zdrowa, wyskakuje przez szparę w ogrodzeniu i z piskiem łasi się do wszystkich nóg po kolei. W odbitych od śniegu resztkach wieczornego światła widać, że jej krótka sierść ma nietypowe umaszczenie – ciemne kakao z odcieniem fioletu.

– Dam wam smycz.

Opiekunka spluwa, bierze kulawe biedactwo na ręce i wchodzi do pozbawionej drzwi szopy stojącej obok psiego kojca. Robert idzie za nią. Wyciąga zapalniczkę, pstryka, unosi nad głowę.

Graciarnia, jakich tysiące. Wszystko ciemnoszare, pokryte pajęczynami albo zmarzniętą grzybnią. Smycze, rzemienie, obroże i kagańce wiszą bądź leżą na czymś zardzewiałym i tłustym, co kiedyś mogło być tokarką. Wokół graty o nieokreślonym przeznaczeniu. Gospodyni wybiera jedną z obróż i zakłada trzymanemu na ręce psu.

– Co to jest? – Pruski pochyla się nad stosem czarnych przedmiotów. Przeciera palcem wierzch zakurzonego prostopadłościanu z wieloma drobnymi przyciskami na wierzchu. Zepsute przed laty urządzenie. Wytłoczone logo: Hitachi. – To jest ta kamera po ojcu Teodorze?

– Tak.

– Mówiła pani, że wpadła do wody.

– Wpadła. Nie szło nasprawić. Chłopak z zakładu obiektyw kupił, grzmot oddał. Tak leży.

– Zobacz, czy jest kaseta w środku. – Maja weszła do mrocznej komórki już chwilę temu.

– Poświeć mi. – Robert gniecie kolejne brudne przyciski, próbuje tu podważyć, tam odkręcić – bez skutku. Korpus kamery ma wiele zakamarków, w ciemności nie widać, z której strony należałoby się dobrać do klapy skrywającej taśmę.

– Mogę tym? – Bierze do ręki leżący na tokarce wyszczerbiony śrubokręt z odłamaną rękojeścią. Nie czekając na odpowiedź, wyłamuje klapę z twardego plastiku.

Kasety brak.

* *

– Nie masz wrażenia, że po raz kolejny jesteśmy o włos od czegoś, a potem nic z tego nie wynika? – Wsiadając do ciasnego wnętrza toyoty, Pruski usiłuje nie upaść i nie skręcić karku trzymanemu na rękach drżącemu zwierzęciu. – Muszę strzelić browara.

– Ile czasu możesz tak żłopać bez przerwy?

– Dopiero zaczynam.

– Powinnam się bać?

– Jedźmy już, proszę. Kupimy tej inwalidce coś do zjedzenia. Ciekawe, czy biedaczka ma pchły. Dam jej na imię Kamera. Gdzie dzwonisz?

– Nie dzwonię, tylko szukam. – Maja intensywnie oklepuje ekran smartfona.

– Szukasz... czego?

– Najbliższego zakładu przegrywania z kaset na płyty CD.

Robert dłuższą chwilę milczy, gładząc w zamyśleniu psa.

– Nigdy się nie poddajesz?

– Sabina wiedziała, że taśma jest ważna. Może nawet wiedziała o wszystkim.

– Można by Sabiny poszukać.

– Nie wiemy gdzie. Nie sądzę, żeby chciała mówić. I myślę, że twój znajomy z matowego subaru będzie szybszy. O, jest! W Otwocku. Nagrywanie, przegrywanie, utrwalanie. Śluby, wesela również. – Majka podaje Robertowi telefon, sama uruchamia silnik, wciska sprzęgło i wrzuca bieg. Wyraźnie przejęła dowodzenie akcją.

I dobrze.

42.

Piątek, 15 listopada, wieczór

Podany w sieci numer telefonu Salonu Video nie odbiera, ale jest już po osiemnastej, więc trudno się dziwić. W drodze trochę błądzą, lecz w końcu odnajdują to, co potrzebne: najpierw bankomat przyklejony do siedziby małomiasteczkowego pośrednictwa nieruchomości, a potem drewniany, dwupiętrowy dom wpasowany między stare sosny. W oknach wysokiego parteru jasno, w jednym migają kolorowe światła. Już postawili choinkę?

Wysiadają równocześnie i szybko zatrzaskują drzwi auta, by pies nie wyskoczył. Robert stuka w szybę, cofa się kilka kroków. Wąsaty, krótko ostrzyżony i na pierwszy rzut oka pijany brunet, który pojawia się na szczycie schodów, nie zaprasza do środka. Mimo mrozu stoi w samych klapkach i podkoszulku bez rękawów. Pierś ma gęsto owłosioną po samą grdykę, wejrzenie cwaniackie. Zamyka za sobą drzwi.

– W spławie ślubu? – Gość nie wymawia „er”.

– W sprawie nietypowej. – Maja serwuje jeden ze swoich najśliczniejszych uśmiechów, a Robert, stojąc za nią bez słowa, stara się utrzymać możliwie godną postawę.

– Chciałam pana zapytać, czy zna pan Sabinę Rejke z Celestynowa. Tę, co prowadzi schronisko.

– Każdy ją tutaj zna.

– Przegrywała kiedyś u pana kasety wideo na płyty?

– U błata jeszcze kiedyś coś zamawiała.

– Sprzęt, ten, na którym brat pracował, trzymacie?

– Mam nowy, lepszy. – Facet patrzy Majce w oczy i bezwstydnie oblizuje wargi.

– Z tamtym starym co pan zrobił?

– Co wy? Policja?

– Chcemy zapłacić. – Maja wyciąga z torebki plik pięćdziesięciozłotówek, pokazuje i chowa.

Brunet cmoka, jakby wysysał coś spomiędzy zębów.

– Gości mam, tego-tam, w domu.

– Nie będziemy przeszkadzać. Obejrzymy tylko ten sprzęt po bracie. Płacimy dobrze. Jak będzie za co.

Wchodzą do środka. Domówka. Mieszane towarzystwo: pięć osób, średnia wieku trzydzieści plus. Dziewczyna w spodniach i biustonoszu usiłuje zrobić komórką zdjęcie kilkorgu pozostałym. Ma wypukły brzuszek i tatuaże na obu łopatkach. Brunet prowadzi do sąsiedniego pokoju, potem do kolejnego. Gdy zapala światło, goście widzą przechyloną kanapę okrytą skotłowaną pościelą, a na niej faceta niemal identycznego z tym, który ich wprowadził. Jest całkiem goły, wyraźnie zbity z tropu i niewątpliwie zalany w sztok. Przy nim leży dziewczyna. Najwyżej szesnastoletnia, niebrzydka.

Gospodarz przechodzi obok zaskoczonej pary bez słowa. Płynnym ruchem zgarnia z podłogi jedną z dwóch stojących tu butelek wódki. Gdy wpuszcza Roberta z Mają do następnego pomieszczenia, nie gasi za sobą światła. Zza domykanych drzwi żegna go nieprzytomny śmiech nastolatki i przeciągłe „uuuaaaa!" jej kudłatego partnera.

– Nie kłępujcie się, tego-tam... Miłosław jestem... a tu, tam-tego, taki magazyn mam.

– Majka.

– Robert. Nie krępujemy się. Zazdrościmy udanej imprezy. Ja zazdroszczę.

– Piątek, tego... to trzeee-a, kułwa, wypić, co nie?

Gospodarz ponownie oblizuje wargi i zaciera dłonie gestem komediowego chciwca. Butelkę postawił na długiej ławie wypełnionej zdezelowanym sprzętem. Aparaty, sądząc po wyglądzie, pochodzą z kilku różnych dekad ubiegłego wieku. Między magnetowidami, jakie młody Robercik Pruski podziwiał w toruńskim Peweksie, nim jeszcze Majka się narodziła, stoją przedpotopowe telewizory, stare magnetofony kasetowe i dużo drobniejszych urządzeń. Jest także archaiczny pecet z monitorem.

Mirosław podsuwa gościom wspólne plastikowe krzesło, sam siada na drugim. Spod ławy wyjmuje kartonowe pudło, zaczyna w nim grzebać.

– Pozwolisz, Mirku, że się poczęstuję. – Robert sięga po butelkę. Wąsaty nie oponuje. Wydobywa z kartonu spękaną klawiaturę bez kilku przycisków, a potem przedłużacz. Parę ruchów i stary komputer zostaje włączony. Ekran jest ciągle ciemny, ale wiatraczek wewnątrz już chrobocze. Mirek uderza otwartą dłonią w obudowę. Na czarno-białym, wypukłym wyświetlaczu z wolna pojawia się komunikat DOS, a potem antyczny interfejs Windowsa 95

z wielkimi ikonami „Inbox", „Microsoft Network", „My Briefcase" i „The Internet".

Maja ustawia krzesło przed monitorem, siada, dotyka powyłamywanych klawiszy. Wchodzi w „My Computer", w zakładkę „Help", a później pracuje już tak szybko, że spoglądający na to Mirosław gubi wątek. Podobnie jak Pruski. Nastolatka w sąsiedniej izbie krzyczy raz po raz.

– Zostaw nas, Mirku, samych na chwilę, dobrze? – Robert włożył do ust papierosa, którego nie zapala. Dziewczynka za ścianą chyba dochodzi, bo wydaje z siebie długi, wysoki, wibrujący dźwięk – coś między śmiechem a płaczliwym jękiem. – Niczego ci nie ukradniemy. Zobacz, czy młodej koleżance nie stała się krzywda.

– Musimy przeszukać ten dysk w spokoju, panie Mirosławie. – Maja nie przerywa pracy. – Bardzo pana prosimy.

Gospodarz opuszcza pokój, nie stawiając oporu. Gdy przechodzi przez drzwi, Robert zauważa, że facet zza ściany – wciąż goły – leży płasko rozciągnięty na drewnianej podłodze.

Minuty mijają.

Ona pracuje, on krąży po pokoju. Gardło go piecze, oczy szczypią. Pociąga solidny haust wódki, a potem – uderzony dawką – robi kilka głębokich oddechów. Chwilowo lepiej. Niniejszym wstąpił na przedostatni, no, może trzeci od końca szczebel. Już wyczuwa mrok gęstniejący wokół tego zagraconego i na swój sposób przytulnego pomieszczenia, w którym wpatrzona w ekran Maja uroczo marszczy nos. W świetle padającym z monitora jasna, piękna twarz nabiera jaśminowego odcienia. Robert przystaje na moment za jej plecami i kładzie ręce na włosach. Wyjątkowo silna elektryczna iskra z trzaskiem przeskakuje między palcami i fryzurą.

Przez ekran przepływa lista zapasowych i czasowych kopii plików zapisanych w formatach, które dawno przysypał kurz. PCM, ARJ,

SACD... i setki nazw. Imiona, nazwiska, nic niemówiące słowa, a może nazwy własne: „KOSTEK", „JADYGA". Wszystkie zapisane wielkimi literami i opatrzone czterocyfrowymi liczbami.

– Mamy szczęście. Brat Mirka miał dyg do katalogowania. Popatrz na to.

„REJKE-S4011", „REJKE-S4012", „REJKE-S4013"... i tak dalej. Aż do „REJKE-S4029"

– Dasz radę otworzyć?

– A jak ci się zdaje?

Palce szybko przebiegają po plastikowych trzpieniach i ocalałych klawiszach. Z głośnika ukrytego gdzieś w środku peceta zaczyna dobiegać jednostajne bzyczenie, którego źródłem nie jest wentylator. Prawindowsowskie okno w grubym otoku otwiera się jakby z ociąganiem. Jest jakiś obraz! Wnętrze barokowego kościoła wypełnione mrowiem ludzi. Ten, kto filmuje, powoli przesuwa oko kamery nad ich głowami.

– Zanurkuj w tym kartonie. Może będą słuchawki?

Maja manipuluje przy pokrętłach pod monitorem, Robert nurkuje. Splątane kable, dwie klawiatury w jeszcze gorszym stanie niż poprzednia, jakieś układy scalone bez obudowy... są i słuchawki. Nawet kilka kompletów. Zasupłane, wybrakowane, z urwanymi końcówkami... ale coś się z tego wyplącze.

– Pokaż, jaka w tym jest wtyczka... dobra... do zielonego, daj mi.

Gdy ona łączy swe lewe ucho z gniazdkiem ukrytym w najbardziej nieporęcznym miejscu z tyłu peceta, on wpatruje się w obraz, ale niczego ciekawego nie widzi. Kapiące ozdobami ołtarze pod łukowym sklepieniem w kasetony, marmurowe kolumny ze złotymi kapitelami... Cały obraz nieostry. Stojący ludzki tłum, twarze zbyt małe, by kogokolwiek rozpoznać.

– Słyszysz coś w ogóle?

– Śpiewają, ale nie rozumiem nawet języka. Fatalnie trzeszczy. Nabożeństwo.

– Da się to może przewinąć do przodu?

– Nie da. Ciesz się, że w ogóle poszło.

Filmujący celebrę przesunął obiektyw po raz kolejny i w rogu obrazu widać teraz charakterystyczną kolumnę – zakręconą jak noga gdańskiego krzesła i obrośniętą złotym bluszczem. Kościół Świętego Piotra.

– Śpiewają po włosku. Albo po łacinie.

– Bo to Watykan. Spróbuj może otworzyć ostatni plik. Ten z najwyższym numerem. Zaufaj mi. Mszę możesz zamknąć. Najwyżej do niej wrócimy.

Okno z nagraniem niechętnie reaguje na komendy. Film z nabożeństwa leci jeszcze przez pół minuty, potem wreszcie pozwala się zamknąć. Ten oznaczony końcówką S4029 startuje jeszcze wolniej. Obraz jest najpierw czarny, a potem – całkiem biały, jakby filmowiec skierował kamerę na prześcieradło lub śnieg. Nic się nie dzieje.

– Co jest? Tak będzie? – Robert przypala papierosa. Maja zwiększa głośność w słuchawkach do maksimum – bez efektu. Biel i cisza.

A potem – przeciągły huk, który sprawia, że gwałtownie wyrywa kabelek z ucha.

– Matko Boska!

Na monitorze pojawia się zbliżenie męskiej twarzy i przejeżdżający z tyłu sportowy samochód. To właśnie ryk jego silnika jest tak przykry dla uszu. A mężczyzna blisko kamery... jest bez wątpienia młodym Franciszkiem Drozdem! Nie ma jeszcze obecnej tuszy i łysiny, lecz to on. Ten, kto filmuje, oddala się – teraz widać, że ubrany w sutannę wikary stoi w ostrym, południowym słońcu na jasnym chodniku między krawędzią wyasfaltowanej

jezdni a białą kamienną balustradą. Za jego plecami hałasują samochody i skutery, dalej widać dwie połączone ze sobą marmurowe kolumny i ciemnego anioła.

– To jest most Wiktora Emanuela, pół kilometra od placu Świętego Piotra. Gdzie się robi „stop”? – Robert ma wrażenie, że nagle wytrzeźwiał, i właśnie ta chwila jasności umysłu pozwala mu mieć pewność, że jest to wrażenie mylne. A chciałby już być trzeźwy.

– Nie ma tu stopu. Cicho bądź!

Postać Drozda na ekranie rośnie. Maja trzyma koniec słuchawki przy policzku, Robert klęka na jedno kolano i przysuwa się do niej, dotykając uchem. Samochodowy hałas w tle cichnie, ksiądz Franciszek coś mówi. Pierwsze słowa są niezrozumiałe, ale trzymający kamerę podchodzi teraz bliżej. Obraz się kołysze. Nie widać już balustrady, kolumn ani anioła. Twarz mówiącego – na tle błękitnego nieba – zajmuje dwie trzecie ekranu.

– ...a obecnego tutaj fater Teodora biorę na świadka, że anim nie chciał tego uczynić, anim zamierzał, że mnie farony zaszantażowały, których wymieniam. Pierwszym tego wszystkiego sprawcą jest Załużnicki Andrzej, któremu zaufałem, a który mnie okradł i do zguby doprowadził. Ten zaś jest kukłą w rękach fałszywego obywatela państwa kapitalistycznego, co mnie cyganił, i prowokatorem jest komunistycznym, a nie niemieckim oficerem, jak bluka naiwnym. Największy sprawca jest z nich człowiek bezwzględny, który mnie strachem i przekupstwem zmusić chciał do podniesienia ręki na Ojca Świętego, co ja ani uczyniłem, ani nie uczynię. A ten łoszkliwy środek tajny, te brauze, które mi Rus dał i zapewniał, że ino powolnym człowieka uczyni, w co ja nie wierzę... Te diabelstwo na zatrucie do wody ciskam tu, przy fater

Teodorze, do wody Tybru. Fater jest przyjacielem moim, choć miał zadanie dopilnować złego, to nie uczynił i teraz będziemy precz.

Ksiądz Franciszek robi jeszcze krok w stronę filmującego go „fater Teodora" i od tej chwili aż do końca sceny jego skupiona twarz zajmuje większą część monitora. Czarne oczy ma szeroko rozwarte, brwi uniesione, szczęka drży w przerwach między zdaniami:

– Naszym prześladowcom, w imieniu Jezusa Chrystusa i Matki Jego Przenajświętszej, przebaczamy.

Pauza.

– Obyśmy się już nigdy więcej na tym świecie nie spotkali.

Dłuższa pauza.

– Oby Bóg Miłosierny wybaczył nam wszystkim potworne zamiary przez wzgląd na ostateczne opamiętanie nasze.

Jeszcze dłuższa pauza.

– Oby nie odmówił nam w swojej wielkoduszności zbawienia.

Koniec filmu.

Robert siada na podłodze z oczami czerwonymi jak u królika. Patrzy w okno na ekranie, które ponownie zrobiło się białe.

– Ja pierdolę. Więc jednak... – Stary komputer, siedząca przy nim nieruchoma Majka, otaczający ich bałagan – wszystko kołysze się, na zmianę oddala i zbliża. Jakby świat pulsował, zmieniając skórę.

– Dokładnie tak.

– Wiesz, co zrobiłaś? Wiesz, co się w ogóle stało?

– Wiem. Wygraliśmy. Ty wygrałeś. Ze wszystkimi naraz.

43.

Piątek – sobota, 15 i 16 listopada, noc

O wpół do dziewiątej kupują w całodobowym sklepie w Wawrze paczkę psiego żarcia. Robert ciężkim wzrokiem przygląda się dwóm rodzajom Żołądkowej Gorzkiej na półce – jedna ruda, druga zielonkawa. Nie kupuje żadnej z nich. Wygrać ze wszystkimi to jedno. Ze sobą – drugie. Prosi o trzy kawy w puszce plus aspirynę. Maja ma ochotę pochwalić słuszny wybór, lecz ostatecznie się nie decyduje. Jeszcze ją trzyma wzruszenie. Może dlatego w drodze przez most Siekierkowski i dalej oboje rozmawiają wyłącznie o kwestiach technicznych. A potem starają się działać szybko i według planu.

O wpół do jedenastej krótki film pod tytułem *Ksiądz Franciszek Drozd przyznaje się do próby otrucia JPII* ląduje na YouTubie, Facebooku i w Google+. Sporządzony przez Roberta wpis pod filmem ma tylko pięć zdań:

„Jesteśmy autorami książki *Trzeci zamach* – opisujemy próbę otrucia w 1989 roku papieża Jana Pawła II, której na zlecenie sowieckiego wywiadu podjął się młody polski ksiądz, dziś prezes Telewizji Horeb. Wczoraj, 14 listopada, warszawski sąd w przyspieszonym trybie zakazał rozpowszechniania tej książki jako zawierającej rzekomo »niesprawdzone i krzywdzące tezy«. Dziś prezentujemy koronny dowód na to, że trzeci – nieudany – zamach na głowę Kościoła jest historycznym faktem, który udało się skrywać przez ćwierć wieku. Dlatego, aby wreszcie ujawnić prawdę, postanowiliśmy zlekceważyć zakaz sądowy. KSIĄŻKA OD TEJ CHWILI DO KUPIENIA na stronie www.czytamypruskiego.pl. Maja Szalawska, Robert Pruski".

Kilka minut przed jedenastą, gdy najedzona suka zwija się w kłębek na kanapie z końskiego włosia, jej nowy pan wysyła linka do filmu Maciejowi Taczalskiemu, a ten oddzwania po dwóch minutach.

– Co za granda? Kto to nakręcił?

– Dobry wieczór. Ojciec Teodor Rejke jest autorem. Co ciekawe: użył kamery po-podarowanej przez Drozda. Mam go na zdjęciu z ty-tym sprzętem.

– Skąd to masz?

– Długa historia. Wcześniej Drozd, a dzisiaj nasz znaaa-znajomy strongman z forestera szukali tego nagrania w gratach po świętej pa-pamięci ojcu Rejkem, ale przypadek zrządził, że poszczęściło się Ma-Majce i mnie.

– Ciągle zmieniacie świat. – Taczalski śmieje się krótko. – Kto to oglądał wcześniej?

– Na pewno Drozd, ojciec Teodor i jego sio-siostra Sabina. Skopiowała to na kompakt. Obawiam... eeep! Obawiam się, że Gruba Szyja ten kompakt przejął i wła-właśnie szuka starszej pani. Chyba trzeba będzie zaaa-zadzwonić na gliny, bo nam się nie udało dowiedzieć, gdzie ona jest.

– Gliny już wiedzą. Resztę ja im powiem. Pohandlujemy wieściami. Macie dwadzieścia dziewięć tysięcy otwarć. Jest u nas w firmie takie podglądadełko, jak się co szeruje. Lepszej krzywej nie widziałem od zamachu na Putina. Dobra, jedziemy z koksem! Zadzwonię do ciebie z drugiego numeru za równe dziesięć minut i nagram. Napij się wody, żebyś już nie czkał. Dobrze się czujesz w ogóle?

– Psychicznie doskonale. A z resztą sobie poradzę. W kontakcie...

– ...i na linii!

O jedenastej piętnaście Pruski wypija zamiast wody wyciśnięty przez Liliannę sok grejpfrutowy. Czkawka przechodzi. Jeszcze przez kilka godzin będzie spokój. Dopiero nad ranem się zacznie.

Przetrzymasz, chłopie. Nie pierwszy raz.

Kiedy rozmawia z Maciejem po raz drugi, robi długie przerwy między zdaniami. Maja przekonuje w tym czasie niedoszłych kontrahentów ze spółki Transmedia, by zechcieli rozesłać osiemdziesięciosekundowy film według swej listy adresowej. Widzieli już Drozda na moście, zgadzają się na ryzyko i *mass mailing* skierowany do pięćdziesięciu tysięcy Polaków i Polek, którzy kiedykolwiek kupili książkę przez internet, startuje dwadzieścia minut przed północą. Kwadrans później do Roberta dzwoni Kamila.

– Taaa...?

– Policja była przed chwilą. Szukali ciebie. Powinnam o czymś wiedzieć?

– Że nie możesz za żaaadne skarby dawać im mooojego telefonu. Ani żadnego namiaru.

– Piłeś.

– Owszem. Ale skończyłem.

– Twoja sprawa, jeżeli oszukujesz. Pytam cię jeszcze raz, czy powinnam o czymś wiedzieć?

– Powinnaś wiedzieć, że twój były mąż pracuje ciężko jak cholera i ma już pierwsze dwadzieścia zamówionych ...emplarzy książki...

– Trzydzieści. – Majka mówi to bardzo cicho, prawie szeptem. Nie odrywa wzroku od alienware'a. – Trzydzieści cztery w tej chwili.

– ...co oznacza, że za kilka dni nasze długi będą przeszszłością!

– Twoje, cholerka, długi!

– ...moje długi. Łoooooczywiście! Wszystkim pooddajemy kasę, wszystko zaległe popłacimy, kupimy, co nam potrzeba. Odkupię samochód... i drugi kupię tobie. Chcesz, kotku, garbusa żółtego? Będziesz zadowolona!

– Będę zadowolona, kiedy cię zobaczę trzeźwego. I nie mów na mnie „kotku". Obiecałeś synowi, że w sobotę przyjedziesz.

– I przyjadę. Przylecę... na chuju pędzącego jeża.

– Proszę cię, Robert, nie pij. I nie kłam. I trzymaj się. I przyjedź.

* *

Po godzinie zero ustalają z Majką taktykę na dalszą część nocy. Punkt pierwszy: jeśli zadzwonią z jakiegokolwiek radia, telewizji, gazety – oba ich telefony odbierać będzie tylko ona. Boleśnie trzeźwiejący redaktor nie nadaje się już do przemówień. Punkt drugi: skoro on przerwał nareszcie chlanie, powinien coś zjeść. I się przespać. Od rana trzeba będzie pakować książki do wysyłki. Statystyka strony wskazuje, że właśnie sprzedają setny egzemplarz.

Maja serwuje podopiecznemu herbatę z cytryną i połówką rohypnolu. A potem odbiera siedem telefonów z rzędu. Nawet nie zauważa, kiedy półleżący na kanapie wydaje z siebie pierwsze długie chrapnięcie. Nie przerywając rozmowy, podciąga jego stopy na siedzisko. Butów mu nie zdejmuje. Bez przesady.

Tłumacząc dziennikarce popularnego warszawskiego radia, kim był ojciec Teodor Rejke, schodzi do piwniczki ojca, a potem nalewa sobie kielich Clos de L'Oratoire Saint-Emilion 2009.

Suczka, która jeszcze siedem godzin temu mieszkała w klatce, mości sobie miejsce pomiędzy nogawkami chrapiącego.

Po stu dwudziestu tysiącach odsłon na YouTubie mimo nocnej pory jazda dopiero się zaczyna. Nokia dzwoni właściwie bez przerwy. Podochocona fiołkowo pachnącym winem Majka za każdym kolejnym razem udoskonala swój wstęp, aż wreszcie, rozmawiając z kolejną rozemocjonowaną dyżurną z kolejnego newsroomu – tym razem jest to dziewczyna z Wirtualnej Polski – osiąga ideał:

– Dobry wieczór. Tak, wiem naturalnie, o co chodzi. Z tej strony asystentka Roberta Pruskiego. Pan redaktor prowadzi właśnie inną

rozmowę. Czym możemy służyć?

Wszyscy chcą z grubsza tego samego – kilku zdań komentarza do szokującego filmu. Niektórzy wymagają dokształcenia z historii najnowszej, inni pytają: „jak można lekceważyć decyzję sądu?". Bardziej dociekliwi chcą znać źródło nagrania. Dziennikarz z „Super Expressu" rzuca na pożegnanie wesołą uwagę: „Jeśli to zmontowaliście z niczego, tym większe gratulacje!".

O wpół do drugiej w nocy dzwoni jakiś kolega Roberta oznaczony w telefonie jako „Damian", zaraz po nim drugi, niejaki „Frącek". Potem na wyświetlaczu zjawia się „Kamila". Majka odrzuca wszystkie trzy połączenia, podobnie jak cztery kolejne z „numeru prywatnego". Jednocześnie obserwuje cztery najważniejsze portale. Informacja rozchodzi się bosko. Internetowy serwis TVN wygrzebał zdjęcia Majki zrobione w Komendzie Stołecznej, gdy przesłuchiwano ją w sprawie śmierci narzeczonego i koleżanki. W TVP Info odgrzewają ujęcia Pruskiego z promocji książki o krwiożerczym Białorusinie. Pijąc wino, powiększa kadr i uśmiecha się znad kieliszka, widząc młodszego o prawie pięć lat redaktorka z mniejszym o połowę brzuchem. Pięć minut po drugiej na Facebooku pojawia się pierwsza strona jutrzejszej „Wyborczej". Na górze klatka z watykańskiego filmu – młody Franciszek w sutannie na moście Emanuela. Pod fotografią dosyć ostrożny tytuł artykułu – *KS. DROZD I ZAMACH NA JPII*.

„Maja Szalawska i Robert Pruski, autorzy książki pt. *Trzeci zamach*, której publikację zatrzymał warszawski sąd, odnaleźli sensacyjne nagranie z dnia 17 października 1989 r. Na amatorskim filmie młody ksiądz Franciszek Kosma Drozd mówi o planowanym tego dnia zamachu na Jana Pawła II, który to zamach miał przeprowadzić on sam przy pomocy ojca Teodora Rejkego (zmarł w 2010 r.).

Obecny prezes Telewizji Horeb wskazuje też innych wspólników: byłego opozycjonistę, senatora Andrzeja Horsta-Załużnickiego oraz niewymienionego z nazwiska obywatela państwa zachodniego. Według autorów książki chodzi o biznesmena zamieszkałego przed laty w Niemczech i Austrii, a obecnie pod Olsztynem, Medarda Królikiewicza, kojarzonego niegdyś z tzw. ogniwem nielegalnym byłej SB. Królikiewicz nosił pseudonim »Ikar« i został opisany już wcześniej przez »Rzeczpospolitą« jako agent 4077.

Autorem niespełna minutowego amatorskiego nagrania jest o. Rejke, również uznany za współpracownika SB. Z filmowej wypowiedzi ks. Drozda wynika, że obaj duchowni od swoich planów odstąpili w ostatniej chwili z powodów moralnych. Film miał być ich testamentem lub zabezpieczeniem.

»W związku z jednoznaczną wymową nagrania zdecydowaliśmy się złamać sądowy zakaz i wypuścić książkę na rynek« – mówi »Wyborczej« Robert Pruski. Współautor *Trzeciego zamachu* wskazuje jednocześnie piątą i najważniejszą osobę zaangażowaną w niedoszłą zbrodnię z roku 1989. Jest nią hiszpański przedsiębiorca Ferdynand Topaz poszukiwany od czterech dni przez biuro Centrum Wiesenthala za domniemany współudział w zbrodniach Holokaustu. Zdaniem obojga autorów książki Topaz – który aktualnie ukrywa się w nieznanym miejscu – był nie tylko agentem gestapo podczas II wojny światowej, lecz także późniejszym oficerem sowieckiego wywiadu wojskowego GRU działającym pod nazwiskiem Eugeniusz Bruliański. W tej roli organizował zamach w Watykanie".

Dalej Taczalski pisze o zaginięciu i późniejszym odnalezieniu w polnym rowie Marcelego Abdugarowicza – głównego świadka przeciw Topazowi, poszukiwaniu przez policję Sabiny Rejke – siostry autora nagrania, i fundacji Lux Perpetua, z pomocą której brudne

pieniądze Topaza wracały na południe Europy wyczyszczone przez Drozda. Ostatnie zdania dotyczą rysopisu silnego, tęgiego mężczyzny podejrzewanego o związek ze śmiercią Marcelego i dziwnego zachowania księdza prezesa, który od godziny dwudziestej drugiej nie odpowiada na telefony, maile ani dzwonki do furty w Białołęce.

Z ostatniej chwili: sztandarowy program Telewizji Horeb *Nocne Polaków rozmowy*, który w każdy piątek prowadzi osobiście Drozd, tym razem nie rozpoczął się jak zawsze o dwudziestej trzeciej ani później, aż do zamknięcia numeru „Wyborczej". Zamiast audycji telewizja nadaje w środku nocy powtórkę rannego programu biblijnego dla dzieci.

Maja zagląda na horebową stronę. Faktycznie, dwaj ministranci w białych komżach i łososiowych kołnierzach mówią coś o Krzewie Gorejącym. Tymczasem TVN 24 zaczyna transmisję na żywo sprzed gmachu w Białołęce. Zawsze oświetlony budynek Drozda jest ciemny i martwy. Przez bramę szybko wyjeżdża niewielki, przyprószony śniegiem opel. Kamera przez chwilę podąża za czerwonymi lampami oddalającego się auta, potem w obiektywie ustawia się młoda reporterka w ciasnej pikowanej kurtce i żółtej czapce z pomponem. Z ust leci jej para.

– Sytuacja, którą zastaliśmy w Białołęce, jest niejasna i z całą pewnością nienormalna. Wygląda na to, że wszyscy pracownicy fundacji Angelus Dei, usługujące tu na nocnych dyżurach siostry zakonne, a także ochroniarze, którzy dotąd bronili nam dostępu do środka... wszystkie te osoby opuszczają budynek. Przed chwilą podjechał radiowóz, widzieliśmy funkcjonariuszy dzwoniących do furty, którzy dość szybko odjechali. Z tego, co mogłam dostrzec w ciemności, zewnętrzny parking rozgłośni telewizyjnej jest już

kompletnie pusty. Widzę jeszcze wychodzącego mężczyznę... halo! Proszę pana!

Spikerka znika z kadru, przez chwilę kamera chwyta w krąg światła tylko jej żółtą czapkę. Słychać skrzypienie śniegu, trzaski i czyjś przyspieszony oddech. Wreszcie z ciemności wyłania się męska twarz. Młody człowiek mruży oczy w blasku telewizyjnego reflektora. Ma rzadką bródkę, czarną kurtkę i czapkę naciągniętą na czoło aż do brwi.

– Pan jest ochroniarzem?

– Taaak jest. Ale nam nie wolno rozmawiać z prasą.

– My nie jesteśmy z prasy, tylko z telewizji TVN 24. Co się dzieje wewnątrz budynku? Dlaczego wszyscy wychodzą? Dlaczego studio telewizyjne nie pracuje?

– Wszyscy nie wyszli. Przecież ksiądz został.

– Ksiądz prezes Drozd został tam sam?!

– Taaak jest.

Maja zastanawia się, czy nie powinna obudzić Roberta, ale dochodzi do wniosku, że po dwudniowym piciu i rohypnolu nic z tego nie będzie.

44.

Sobota, 16 listopada.
Dzień przed tragedią w Białołęce

Ze snu wyciąga ją powoli cichy gwizd i trochę głośniejsze szuranie jodłowych gałęzi po dachu. Otwiera oczy i patrzy w zalepione śniegiem okno. Zdaje się, że na zewnątrz szaleje zamieć. Lecz to nie wiatr gwiżdże. To redaktorek piętro niżej pogwizduje coś

z repertuaru Isabelle Geffroy. Chwilami nawet śpiewa. Ma dobry humor na kacu czy już się dopiął do butelki?

Gdy schodzi boso do pokoju kominkowego, widzi, że nie doceniła partnera. Ogolony i chyba nawet umyty pracuje jak maszyna. Pakuje książki w papier, ręcznie wpisuje adresy. Szare płachty, krążki taśmy samoprzylepnej, klej, długopisy, kartony i egzemplarze *Trzeciego zamachu* walają się wszędzie od kąta do kąta.

– O ile dobrze podejrzałem w statystykach, sprzedaliśmy osiemset siedemdziesiąt pięć sztuk. Ale podglądałem pięć minut temu, więc pewnie już więcej. Udało mi się spakować i zaadresować siedemnaście. W tym jeden gość z Płocka zażyczył sobie od razu trzy egzemplarze. Pomożesz?

– Robert... pomogę. I bardzo się cieszę... Jak ty się czujesz?

– Muszę się ruszać. Bez przerwy. I mówić. Ale twoja tabletka mnie uratowała. I aspiryna. Zrobisz wydruki adresów? Strasznie rozedrgane litery mi dzisiaj wychodzą.

Nokia dzwoni, on odbiera, szybko tłumaczy komuś po raz enty to samo, o czym ona opowiadała po nocy. Przycupnięta obok miski z suchym żarciem suczka patrzy na niego, trąc ogonem o dywan.

Do śniadania udaje im się obojgu spakować ledwo czterdzieści egzemplarzy. Przez ten czas liczba sprzedanych książek dobija do tysiąca. Kiedy siadają w jadalni nad jajkami z bekonem i sałatką z owoców kaki, odzywają się jednocześnie oba ich telefony. Do Roberta dzwoni kolejna redakcja, do Majki – zaniepokojony ojciec. Już wszystko wie, brytyjska telewizja połączyła się w porannych wiadomościach z jakimś polskim dziennikarzem.

– Nikt cię nie niepokoi, córcia? Gdzie jesteś?

– W domu. Pod dobrą opieką.

– Powiedz mi... jak do tego doszło?

Rozmawiają przeszło kwadrans. W tym czasie Robert obsługuje telefonicznie trójkę dziennikarzy, kolegę z Torunia, własną matkę i kogoś jeszcze. Próbuje przełknąć choć trochę sałatki, ale to ponad jego siły. Wszystko w środku ma ściśnięte i zasupłane, aż trzeszczy. Coś nieprzyjemnie uciska w okolicy serca. Dzwoni Kamila.

– Wszyscy wokoło mówią o tobie. Dzwonią do mnie koleżanki od lat niesłyszane. I chłopcy mnie od świtu pytają, czy dziś przyjedziesz.

– Dziś albo jutro.

– Trzeźwy jesteś?

– Prawie. Skończyłem łoić już wczoraj.

– Nie kłam, mówiłam.

– Nie kłamię.

– To porozmawiaj z Krzysiem.

– Hę?

– Tata, to ty? Kiedy przyjedziesz?

– Obiecałem ci, misiaku, że na weekend. A weekend się jeszcze nie skończył, prawda? Dopiero się zaczął. A teraz muszę kończyć. Mam pilną robotę. Do zobaczenia.

Zaraz po ojcu do Majki telefonuje Dionisio Marciel Capaered. Gdy rozmawiają po angielsku i hiszpańsku, Robert, z trudem opanowując drżenie dłoni, nalewa sobie nowy kubek kawy i chwilę walczy z pilotem, by uruchomić telewizję. Maciej Taczalski w TVN 24. Zmiana kanału. Maciej Taczalski w TVP Info dyskutuje z Albertem Zapatocznym. Zmiana. W Horebie wciąż nadają program biblijny dla dzieci. Właśnie kończy się historia przygód Józefa w Egipcie, a zaczyna odcinek o Dawidzie i Goliacie. Ciekawe rzeczy mówią.

– A jednak nas znaleźli. – Maja odkłada smartfona i widelcem, z którego zwisa bekonowy strzępek, wskazuje ekran wideofonu.

W śnieżnej zamieci, za bramą, stoi błękitna furgonetka z anteną satelitarną na dachu. Wysiada facet w kapturze, widać, że wiatr omal nie wyrywa mu drzwi z ręki. Skulony podchodzi do furtki, dzwoni, przedstawia się, przekrzykując podmuchy wichru. Telewizja Polska.

Prosimy bardzo. Pani domu biegnie na górę, by założyć sukienkę i buty.

Kręcenie materiału trwa nieco ponad pół godziny. Pruski stara się opanować niekontrolowane ruchy, nie pociągać nosem i na nikogo nie chuchać. Pozują z Majką, markując rozmowę na tle stosu książek, który pomogli ustawić panowie od światła i dźwięku. To będzie dobrze wyglądało w wiadomościach. Lokowanie produktu.

Przepytującego ich reportera najbardziej interesuje kwestia złamania sądowego zakazu. Czy tak można postępować w państwie prawa? Maja mówi o interesie społecznym, Robert stara się odzywać jak najmniej, choć opanowanie własnego słowotoku nie jest łatwe. Gdy ona odprowadza ekipę do drzwi, on zagląda do sklepiku w laptopie. Właśnie sprzedali tysiąc trzysta czternasty egzemplarz.

Szybki przegląd portali. Wszędzie o Droździe.

Rozkłada na podłodze kolejną płachtę papieru. Kiedy się schyla, czuje potężny zawrót głowy. Siada oparty na łokciu.

– Nie skończysz śniadania? – Maja zdejmuje buty i kuca obok.

– Nie mogę, wybacz. Wystarczy kawa. Gdzieś mi się klej zawieruszył...

– Nie ma mowy, byśmy to ogarnęli sami. Zadzwonię po Liliannę. Ucieszy się z dodatkowego zarobku.

– Jako i my się cieszymy. – Pruski stara się pomnożyć w pamięci 1314 przez cenę książki, ale cyfry i liczby rozsypują się w głowie jak kopnięte puzzle. Gdy ona wzywa telefonicznie gosposię, on dzwoni

najpierw do Miłosza, potem do Ani, wreszcie do Weroniki. Miłosz ma wyłączoną komórkę, Ania – owszem – może przyjechać i pomóc. Już wszystko wie, ogląda telewizję. Wera niestety nie przyjedzie. Jest przecież z córką w szpitalu, jak mogłeś, chłopie, zapomnieć.

Operacja łamania ręki przebiegła zgodnie z planem, za dwa dni mała i duża pani Pery wracają do domu.

– Lenka będzie miała szynę, na razie nie pójdzie do przedszkola. Za to od wtorku, jeżeli mogę ją zabrać ze sobą, będę twą pakowaczką choćby na dwie i pół zmiany.

– W takim razie czekamy na oba słoneczka.

– Ty się dobrze czujesz? Głos masz jakiś dziwnie rozedrgany.

– To ze zmęczenia. Dużo się działo. Wszystko ci potem opowiem. Sama się dowiesz.

– Nie do końca mi złe przeczucia minęły.

– Daj spokój. Jesteśmy już na prostej. Lepiej myśl o Lenie.

* *

Wczesnym popołudniem w telewizji pokazują kolejno: parę autorów *Trzeciego zamachu*, wymarły budynek w Białołęce, spod którego zwijają się właśnie dwie ostatnie, znużone czekaniem reporterki, oraz trzy archiwalne nagrania z księdzem Drozdem, ojcem Rejkem i senatorem Horstem-Załużnickim w rolach głównych. Potem można obejrzeć jeszcze fragment filmu dokumentalnego o zbrodni Ali Ağcy, wysłuchać wypowiedzi doktora Benziona Levy-Franka na tle zaśnieżonego wejścia do hotelu Marriott i podziwiać świeżutki reportaż z Krośniewic zakończony informacją o sporządzeniu portretu pamięciowego mężczyzny, którego widziano ostatnio w towarzystwie gwałtownie zmarłego Marcelego A. Poszukiwany facet na topornym rysunku

szyję ma taką grubą, że kołnierz koszuli z krawatem ledwo się na niej dopina.

Lilianna przychodzi o trzeciej i od razu bierze się do dzieła. Zaczyna od przygotowania obiadu dla dwóch osób, a jednocześnie układa drewno w kominku i czyści kuchnię. Gdy gęsie piersi w panierce serowej i ciepłe pomidory z rodzynkami wjeżdżają na stół, Robert z żalem stwierdza, że nadal nie ma apetytu. Żeby się czymś zająć, rozpala ogień, wlewa do kubka czwartą dziś kawę, zagryza aspiryną i przypala papierosa, starając się wdmuchiwać dym w palenisko. Czuje ból głowy, nieopanowane drżenie powieki i jeszcze to, że ciało zaczyna go swędzieć. Prawdopodobnie poziom alkoholu we krwi właśnie osiąga zero. Teraz się trzeba będzie przeczołgać przez głębszy rów. Wciąga dym w płuca i kaszle.

Maja zaprasza do stołu Liliannę. Przez kilka minut jedzą we dwie, potem pojawia się Anka. Szczęśliwie – głodna jak smok. Czarny makijaż wokół oczu ma mocniejszy niż zwykle, wygląda, jak gdyby wróciła prosto z jakiejś gotyckiej imprezy. Zastana sytuacja – parujący obiad, rozpalony kominek, pliki wydruków z adresami i stosy czekających na zapakowanie książek – bardzo jej się podoba.

– Tak zaczynali w Amazonie – mówi, nakładając gęsinę na talerz.

Humory dopisują. Robert krąży między kominkiem, stosem książek i jadalnią. Trochę pakuje, trochę opowiada. Anka jeszcze nigdy nie widziała swego szefa tak nakręconego. W jego zachowaniu jest coś niezdrowego. Drżą mu powieki i ręce. Gdy opisuje jej i Liliannie historię watykańskiego nagrania oraz zakupu psa, robi piętnaście różnych dygresji. Nie przestając gadać, pakuje książki, sprawdza w laptopie sprzedaż, co rusz kuca przy kominku na dymka i tak w kółko.

* *

– Gliny namierzyły Sabinę. – Taczalski zdaje relację prędko, jest w jakimś wspólnym pomieszczeniu pełnym zmieszanych ze sobą głosów. – Była u kuzynki pod Przemyślem. Miejscowi ją właśnie przesłuchują. Podobno nic nie mówi. Przestraszyła się czegoś. Połowa tutejszych chciała wejść na ostro do Drozda, druga połowa jest w strachu, że ich powyklina z anteny. Więc co pół godziny pchają tam zwykły patrol, ale się każdy tylko odbija od bramy. Nakaz nie wystarczy. Potrzeba woli politycznej. Miał decydować minister, to się nagle zrobił nieuchwytny. Może ten sejf pełen kwitów jest faktem? W każdym razie panowie władza są posrani od góry do dołu. Będą szukali pretekstu, żeby po szóstej rano porozmawiać na miękko. Liczą na jakiś przypadek chyba... Co teraz robisz?

– Pomagam książki pakować. A bladym świtem jadę do Torunia, żeby być jeszcze na rano u dzieci. W czym rzecz?

– Potrzebuję cię na dłuższą rozmowę. Powiedzmy... w najbliższych dniach.

– Nie ty jedyny.

– Ale poodmawiałeś, mam nadzieję, tej tłuszczy?

– Poodmawiałem. Priorytet dla ciebie. Możemy się umówić na wtorek. Co z Grubą Szyją?

– Szukają wszędzie. Kierowcy foresterów mają dziś przechlapane na drogach. Wszyscy inni zresztą też. W tym kraju jak nie powódź, to zamieć.

– Taki mamy klimat.

– W kontakcie i na linii!

Tuż po szóstej wieczór internetowy stragan wydawnictwa Lubanie sprzedaje dwutysięczną książkę, a tymczasem w salonie, jadalni, hallu i oranżerii konsula Szalawskiego czeka na wywiezienie

dopiero trzysta piętnaście zapakowanych i zaadresowanych egzemplarzy. Maja zawiesza w sieci „Informację dla kupujących":

„Z powodu wielkiej liczby zamówień sklep prosi o wyrozumiałość Czytelników, którzy będą musieli czekać na dostawę dłużej niż pięć dni. Wszystkie zamówienia będą zrealizowane tak prędko, jak to możliwe".

Może przypadek, a może – paradoksalnie – ten komunikat sprawia, że po osiemnastej sprzedaż jeszcze przyspiesza. O siódmej wieczór schodzi dwa tysiące sześćsetny egzemplarz. *Breakpoint* przebity! W „Faktach" TVN pokazują wszystkie stare materiały oraz kilka rzeczy nowych: Horst-Załużnicki ze szpitalnego łóżka mówi starczym głosem wprost do kamery, że jest umierający i niczego nie będzie potwierdzał ani niczemu zaprzeczał. Potem spiker w targanym wichrem czarnym płaszczu przemawia podniesionym głosem na zamarzniętej tafli jeziora Kościnek. Za nim – i za kurtyną padającego prawie poziomo śniegu – pojawia się i znika elewacja nadwodnej rezydencji Medarda Królikiewicza. „Ikar" najwyraźniej nie dopuścił ekipy z kamerą nawet do płotu. Kolejne ujęcia. Dionisio Marciel Capaered – połączenie satelitarne – mówi o Topazie, jego związkach z fundacją Lux Perpetua oraz przebiegu pieniędzy między Kanarami, Białołęką i Portugalią. „Żyletka" w swoim pokoju w Pionkach potwierdza, że randka pod hotelem Riu Palace była złośliwą ustawką fachowca pracującego dla „Faktu". Szczupły mężczyzna z górną połową twarzy zasłoniętą matowym kółkiem mówi coś do kamery zmienionym tonem. Zbyt mocne zniekształcenie głosu sprawia, że nie można wcale zrozumieć, o co chodzi. Podpis: „Piotr W., licencjonowany detektyw spółki Kozielski". Dalsze ujęcia: ciemne okna w siedzibie Horeba i smagany śniegiem pomnik nad falującym białołęckim lasem. Przed bramą nie ma już żadnych dziennikarzy, wśród ławek i tulipanopodobnych

latarni stoi samotny radiowóz z włączonym kogutem. Jeszcze dwa komentarze i następna informacja: o przewalających się nad Polską nawałnicach.

– Nie mogę już na to patrzeć. – Wnosząc kolejny karton książek, Robert stara się stąpać uważnie. Czuje się nie tylko – jak dotąd – chory, ale i słaby. Kłucie w okolicy serca atakuje w półgodzinnych odstępach – raz mocniej, raz lżej. Ale głównie, niestety, mocniej. – Wiecie co, dziewczyny? Skoro już musi nam grać telewizor, to puśćmy sobie Horeba. To mnie uspokaja.

Ania dokłada do kominka, Lilianna zawija kolejną książkę ruchami tak szybkimi i płynnymi, jakby od dziecka zajmowała się tylko tym. Maja przestawia program. Stacja z Białołęki nadaje akurat odcinek biblijnych opowieści poświęcony odwadze Daniela w jaskini lwa.

Nokia Roberta dzwoni. Przedstawia się wydawczyni z TVP Info. Chciałaby zlecić dłuższy wywiad. Niestety – spotyka się z odmową.

* *

Kwadrans przed drugą w nocy w garażu, kotłowni, dolnej garderobie i oranżerii konsula Szalawskiego leży tysiąc pięćset zapakowanych i zaadresowanych egzemplarzy czekających na poniedziałkowy transport. Automatyczny sklep wydawnictwa Lubanie sprzedaje właśnie pozycję numer cztery tysiące dwieście dwanaście. Na bankowym koncie RMbook spoczywa w tym momencie przeszło sto czterdzieści tysięcy złotych. Zarobionych w nieco ponad dwadzieścia cztery godziny. Do dowolnego wykorzystania w każdej chwili. Jesteś znowu na wozie, człowieku! Możesz jechać do Torunia i zawieźć dobrą nowinę.

Pruski trzęsie się z zimna, choć w największym pokoju płonie jeszcze ogień i w całym domu konsula jest aż za ciepło. Majka –

po poprzedniej, zarwanej nocy – zasnęła pierwsza. Ania zaraz po niej – w gościnnym pokoju za górną łazienką. Przyznała, że spakowanie i zaadresowanie trzystu pięćdziesięciu paczek okazało się dla niej mordercze. Po północy nie była już w stanie odczytywać nazwisk na wydrukach.

Najdłużej wytrzymała Lilianna. Najszybciej pracująca i, jak było do przewidzenia, najbardziej odporna na zmęczenie. Sama zrobiła ponad siedemset pakunków. A przy tym, w odróżnieniu od ostatnich wyrobów Roberta, jej paczki nie rozłaziły się brzydko na rogach. Gdy zostali już tylko we dwoje, on przyrządził sobie koktajl z herbaty, imbiru i czterech ostatnich aspiryn, po czym spakowali końcowe osiemdziesiąt sztuk potrzebne, by dobić do półtora tysiąca. Właściwie zrobiła to ona, bo pan redaktor zaczął się już rozsypywać. Do kłucia, pieczenia i poświstywania w piersiach doszły gwałtowne hercklekoty. Ból głowy osiągnął apogeum, ręce i stopy zdrętwiały, kilka razy stanął mu oddech – a miał wrażenie, że serce również. Jakby ktoś na moment wyłączał całe zasilanie organizmu.

Majce nie musiał tłumaczyć swego stanu, Ance zdradził najkrótszą, choć niecałą prawdę: tak wygląda kac w połączeniu ze skrajnym przepracowaniem. Lilianna, gasząc na koniec światło w salonie, powiedziała mu, że jest „mocnym człowiekiem" i że wytrzyma. Ojciec jej dzieci, który nie żyje, miał takie kace, że musieli go przywiązywać do łóżka, boby się zagryzł na śmierć. No... to jest jakieś pocieszenie. Tyle że czysta fizjologia i zatruwające ciało aldehydy to zaledwie część problemu – ta mniejsza. Drugim, gorszym, przekleństwem jest zjazd psychiczny w kosmatą czeluść i dochodzące ze wszystkich tkanek błaganie o ratunkową dawkę alkoholu. Tuzin argumentów przemawiających za tym, aby się napić, przebiega przez głowę w każdej minucie.

Czy wpadniesz do czarnej dziury z powodu picia, czy z powodu niepicia – jaka to różnica? Na bani będzie chociaż weselej.

Piwniczka konsula tylko czeka.

Należy opić sukces.

Dwie szklanki pozwolą pospać choćby godzinę, a pierwszy toruński pociąg dopiero o czwartej dwadzieścia.

I tak dalej.

Ogień w kominie przygasa. Robert, stękając z bólu, klęka przy palenisku. Ostatnie płomienie, nie większe niż ze świecy, znikają zmienione w siwe rzemyki. Resztki żaru migocą cynobrem. Klęcząc, siada na piętach, ścierpniętymi palcami wydłubuje papierosa z paczki i próbuje przypalić go od spieczonego polana. Fajka – jedyna w tej chwili przyjaciółka – upada na ruszt, znika między ciepłymi popiołami. Następna próba. Znowu porażka. Wkłada rękę do ognia, wierzchem odgarnia tlące się ostatki, palcami gmera w popiele, ale nie znajduje tam nic poza poparzeniem skóry. Próbuje wstać, jednak nie ma dosyć siły. Opada na bok. Dwie minuty bezruchu i boleści w krzyżu. Nagła wizja roznegliżowanej Majki. Kłucie w piersiach.

Jesteś wrakiem, chłopie. Bliżej ci już do pięćdziesiątki niż do czterdziestki, organizm masz sterany życiem i piciem, a usiłujesz korzystać z erotycznego entuzjazmu dziewczyny, która mogłaby być twoją córką. I jeszcze udajesz, że to ma sens.

Przekręca się na brzuch. Pełznie na kolanach i łokciach w stronę przedpokoju. W kurtce powinien jeszcze być jakiś tytoń.

Samochodowe światła omiatają kuchnię, jadalnię i sufit w hallu. Co jest?! Tu przecież nikt nie jeździ... Gliniarze? Ktoś im dał namiar? Bezczelni dziennikarze? Zaniepokojony sytuacją konsul wrócił wcześniej i właśnie zajeżdża z lotniska?

Łapiąc się stołu, wstaje i tylko przez moment widzi za oknem lampy, które równie dobrze mogą być przednimi światłami subaru forestera, jak i innego auta.

Czemu zniknęły? Głupie pytanie. Kierowca wyłączył. Młody i gruby kierowca. Nie... niemożliwe. Zwidy na kacu. Dobre sobie. Ty chciałbyś, człowieku, żeby to były zwidy. Lecz nie są. Można by sprawdzić... Konsul ma monitoring, lecz ty żeś się wcześniej nie zainteresował jego działaniem. Jak słusznie dał do zrozumienia profesor-mecenas Krab, jesteś tylko amatorem, który próbuje sił w świecie zawodowców.

Podchodzi do kuchennego okna – ostrożnie, krok po kroku. Samochód z całą pewnością przepadł. Śnieg już nie pada, po czarnym, rozgwieżdżonym niebie pędzą bezgłośnie popielate obłoki. Za bramą, drogą i niewielkim pasem zaśnieżonej trawy zaczyna się sosnowy las, z którego kiedyś pewien bydlak strzelał – jak sądził – do Majki. Zginęła wtedy inna młoda dziewczyna. Byłeś temu winien, chłopie.

A teraz będziesz znowu, jeśli nic nie zrobisz.

* *

Nakłada kurtkę, wzuwa buty, idąc do furty, kuli plecy na wietrze. Halogen nad wejściem włącza się automatycznie, zalewając śnieg zimną jasnością. Ślady samochodowych kół – wyraźne jak cholera – urywają się dwa, może trzy metry przed ogrodzeniem.

Ktoś wyłączył światła auta, gdy tylko zobaczył przed sobą bramę. A potem szybko cofnął wóz po własnym śladzie. Prawie idealnie zmieścił się w poprzedniej koleinie.

Spokojnie. To mógł być każdy.

Ale nie był. Nie łudź się, chłopie, ciągiem przypadków. Nie udawaj, że pada deszcz, skoro wielebny rozpiął sutannę i szcza ci

prosto na twarz ze szczytu swego pomnika. Murka cię wypierdolił w strachu przed Drozdem. Może i dostał bezpośrednie polecenie z Białołęki, kto wie? Sąd ci ukręcił książkę na wniosek Drozda. A Marcelego kto ukatrupił? Ogromny mięśniak na drozdowym żołdzie. Złodzieja kaset do psiarni Sabiny Rejke kto nasłał? Franciszek Kosma... Czas spojrzeć w oczy prawdzie. Myśl!

Naciera twarz śniegiem. Ścierpnięte dłonie nie rejestrują chłodu, ale czoło i policzki parzą, dzięki czemu ból głowy staje się bardziej znośny, a myślenie szybsze. I co ważniejsze, wreszcie prowadzi do konstruktywnych wniosków. W hallu konsula otrzepuje buty, przez chwilę szuka komórki. Kontakty. Pyk-pyk. „Damian Daszyński". Pyk. „Darek – ubezpieczenia". Pyk. „Ela – pośrednik". Pyk. „Ele Taxi". Zamawiając taryfę, prosi o dowiezienie przy okazji paczki miętowych papierosów. Potem otwiera alienware'a i nowy dokument. Wklepanie zwięzłego listu do Majki zajmuje przeszło dziesięć minut, ponieważ aż trzy razy kasuje już zapisany tekst. Czwarta, ostatnia wersja, którą zostawia na ekranie, składa się z pięciu zdań oznajmujących i jest w niej mowa o różnicy wieku między nimi, potrzebie jej samodzielności oraz – jak to określa piszący – przestarzałym słowie „obowiązki", które go „prześladuje". W przedostatnim zdaniu pada określenie „najlepsza okazja na Happy End". Ostatnie brzmi: „zawsze możesz do mnie zadzwonić". Zamiast kropki – wesoła buźka.

Kompletnie niewesoły autor sejwuje otwarty plik, bierze pod pachę kaleką sukę, zamyka drzwi na dwa zamki i długo walczy z oblodzonym zatrzaskiem furtki, a gdy go wreszcie pokonuje, wrzuca klucze do ukrytej w filarze skrzynki na listy. Taksówkarz podjeżdża po kolejnych pięciu minutach, w trakcie których Kamera obsikuje w kilku miejscach fundament pod parkanem, a jej skostniały pan cierpi w milczeniu.

Otwarcie drzwi starego opla sprawia problem – palce całkiem odmawiają już posłuszeństwa. Gdy ostatecznie udaje mu się zgiąć zesztywniały kark i wcisnąć skatowane ciało na tylne siedzenie wozu, psiak przywarowuje posłusznie przy udzie.

– Nie jestem niegrzeczny, ale jakby się miało psu zachcieć, to mam wiedzieć wcześniej. Żeby mi tapicerki nie zanieczyścił.

– To dobra sunia... już się wyszczała. Docelowo pojedziemy na Centralny, ale przedtem do Białołęki. Coś załatwimy. Papierosy pan przywiózł?

– We wozie nie palimy. – Taryfiarz podaje pudełko i zawraca przed bramą. Zarazem wstukuje coś w klawiaturę jednego z licznych aparatów zawieszonych wokół kierownicy. Gdy po minucie wyjeżdżają na drogę z chodnikiem, mija ich nieoznakowane policyjne auto sunące bardzo wolno na światłach postojowych.

45.

Niedziela, 17 listopada.
Dzień tragedii, godzina siódma trzydzieści

Majka schodzi do pokoju kominkowego. Lilianna, pochylona nad papierami i taśmą klejącą, pakuje już pierwsze książki. W jadalni na stole czeka śniadanie. Kawa w dzbanku, świeżo wypieczone małe kajzerki i panierowany Bleu de Bresse z migdałami na podgrzewanym półmisku. Anna właśnie wychodzi z dolnej łazienki.

– Dzień dobry.

– Cześć. Mam nadzieję, że będzie dobry. Zaraz sprawdzimy – Maja podchodzi do laptopa. Naciska enter, lecz ciemny alienware nie

reaguje. Koniec baterii. – Widziałaś redaktorka?

– Śpi pewnie.

– Wczoraj dowgo rabotał. – Lilianna nie przerywa pakowania. Głową wskazuje zastawiony stół. – Siditie pri tieplij.

Anka przechodzi do jadalni, spogląda przez okno na podjazd. Wiatr ustał, ale zdążył nawiać pół metra śniegu. Za bramą stoi czarna terenowa honda z włączonym silnikiem. Szary słup spalin z rury wydechowej unosi się pionowo jak dym z komina.

– Sobaka nie w domie. – Ukrainka otwiera nożyczkami nowy karton książek. – Smatriła we foje, garaży, kotielnoj. Wgori możie?

Majka gwiżdże, cmoka, zagląda do garderoby, spiżarni, idzie na górę i wraca. Faktycznie: nigdzie nie ma ani Kamery, ani Roberta. Odzywa się za to jego komórka. Dzwoni spod kanapy.

– No pięknie...

Gitary brzęczą coraz głośniej. Na wyświetlaczu: „Kamila". Długo się nie rozłącza. Gdy muzyka cichnie, widać komunikat o nieodebranych połączeniach i esemesach. Tych ostatnich jest jedenaście. Nie... pik-pik... już dwanaście. Znowu ktoś dzwoni. „Taczalski". Właściwie dzwonią w tym momencie cztery osoby naraz. Do Ani telefonuje Miłosz, do Majki – jej ojciec, a jednocześnie brzęczy nieużywany telefon stacjonarny na komodzie w hallu. Maja rozłącza papę, dając pierwszeństwo Taczalskiemu. Zanim sama zdąży się odezwać, słyszy w słuchawce rozemocjonowany głos.

– Obudź się wreszcie i chociaż telewizor włącz! Jadę tam do nich!

Sapanie, jakieś świsty, stukanie.

– Słyszałeś?! Robert?! Dobra... tutaj podjeżdżaj! Pod ścianą się zmieści! – Ostatnie słowa wykrzyczane są już chyba do kogoś innego.

Koniec połączenia. Znów dzwoni papa.

– Jestem, przepraszam, miałam inną rozmowę. Co się stało?

– Coście tam narobili, córcia? Dzwonią do mnie z Polski... Pokazują...

– My?! Poczekaj... jak to?

Pilot telewizora leży na kominku. W Horebie nadal leci program biblijny. Ojciec coś dalej mówi. W TVN 24 dwóch rosłych policjantów w czarnych panterkach i odblaskowych kurtkach eskortuje ubranych w czerwienie sanitariuszy. Transportują na noszach Ferdynanda Topaza ze zmasakrowanym, obrzydliwie opuchniętym, fioletowym nosem i nogą usztywnioną w czymś białym.

To są jak najbardziej polscy, a nie hiszpańscy gliniarze. Oraz sanitariusze.

– Matko Boska!

Brzydki Ryj – z powodu rany jeszcze paskudniejszy niż dotąd – jest nie tylko przytomny, ale wręcz ożywiony. Unosi głowę i coś krzyczy łamanym anglo-hiszpańskim w kierunku filmującej go ekipy. Nie da się zrozumieć słów.

– Zaraz oddzwonię, tato! – Maja podkręca głos w telewizorze. Akurat ładują brzydala do dużej karetki, a niewidoczny komentator kończy kwestię słowami: „...którzy wymieniają Hiszpana w kontekście możliwego procesu o współudział w zbrodniach Holokaustu".

Karetka, a za nią policyjne auto na sygnale odjeżdżają po śniegu. Zmiana obrazu. Widać rozpiętą policyjną taśmę i stojącą przy niej młodą, niewysoką policjantkę w czapce z daszkiem. Dalej ciemny skraj lasu o świcie albo o zmierzchu. Coś znajomego sterczy nad drzewami. Fragment wielkiego papieża.

– To Białołęka!

– Tak napisane. – Ania staje przy Majce. Je ciepłą bułkę i chyba nawet o tym nie wie. Czerwony pasek informuje wyraźnie:

„TRAGICZNA ŚMIERĆ NA PLACU BUDOWY POMNIKA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II”. Lilianna przerywa pakowanie. Majce drżą wargi.

– Nie...

Kolejny obraz jest jeszcze ciemniejszy, sinoszary, nagrany ciemną nocą. Pomiędzy drzewami w ośnieżonym lesie stoją dwa samochody, w dali rozbita półfurgonetka bez drzwi, a bliżej – mały ambulans na sygnale. Operator kamery używa teleobiektywu, więc obraz mocno dygoce. Pomiędzy jednym a drugim autem faceci w czarnych kaskach i z bronią na plecach prowadzą skutego mężczyznę. Gość jest bardzo gruby, zgięty w pół, chyba zakrwawiony, ma na sobie tylko rozpiętą koszulę, utyka na nogę. Jeden z mundurowych brutalnie przygniata mu tłusty kark i dosłownie wciska wielkie ciało zatrzymanego przez tylne drzwi karetki.

„...drugi z zatrzymanych, ujęty w bezpośrednim pościgu około godziny czwartej rano, jest poważnie ranny. Według informacji ze źródeł śledczych to Tadeusz H., obywatel polski poszukiwany w związku z niewyjaśnioną śmiercią dziewięćdziesięciodwuletniego mężczyzny i wtargnięciem do domu innej osoby. Z niepotwierdzonych na razie informacji wynika, że ranny jest byłym prokuratorem, dyscyplinarnie zwolnionym ze służby w 2012 roku, a obecnie prywatnym detektywem pozostającym na usługach Hiszpana”.

Zmiana planu i godziny nagrania. Już ranek. Nowa kamera patrzy na wszystko z góry, zapewne kręcą z helikoptera. Las oświetlany niskim, wstającym słońcem nabiera różowych odcieni. W skośnym świetle jaśnieje betonowy papież. Jego cień ciągnie się przeszło trzysta metrów, przecinając linię drzew, a dalej – wielką, ośnieżoną polanę przed kompleksem Telewizji Horeb.

Zbliżenie: mundurowi rozstawieni wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia wokół pomnika.

Kilkanaście osób, może dwadzieścia. Nie tylko policjanci. Są ochroniarze, strażacy w grubych kombinezonach i paru cywilów. Ciało leży w granatowym cieniu. To człowiek pozbawiony głowy. Tuż przy zwłokach – na granicy blasku i ciemniejszej strefy – kręci się mały i chudy, znajomo wyglądający pies.

Maja czuje narastający ucisk w głowie. Jak gdyby zatoki – od uszu, przez nos, aż po kąciki łzowe – wypełniały się rtęcią. Nie słyszy już, co mówią w telewizji. Siada na podłodze.

– To przecież wasza suczka. – Anka upuszcza bułkę na dywan i także siada.

Na ekranie kolejny obraz. Młody reporter w płaszczu z postawionym kołnierzem. W jednej ręce ma podkładkę z przypiętym do niej plikiem kart, w drugiej – mikrofon ze znakiem swej stacji.

– Dzięki uprzejmości kolegów z telewizji osiedlowej Mały Wilanów za chwilę pokażemy państwu sytuację w tym miejscu z godziny trzeciej nad ranem, kiedy to wszystko się zaczęło. Ostrzegamy przed drastycznością scen.

Słychać dzwonek od furty. Ktoś naciska go raz po raz. Majka nie reaguje. Lilianna podchodzi do wideofonu, patrzy na jego ekran, a potem – jakby się upewniała – jeszcze przez okno w jadalni. To dwaj mężczyźni z hondy – jeden, przygarbiony, w płaszczu, drugi dobrze zbudowany, w kurtce i ciasno opiętych spodniach. Ten wyglądający na młodszego wyciąga w stronę obserwującej ich kamery policyjną odznakę.

46.

Niedziela, 17 listopada.
Dzień tragedii, druga czterdzieści dziewięć w nocy

Tadeusz Huzar, były prokurator obecnie podający się za adwokata, wysiada z subaru forestera bardzo sprawnie jak na kogoś tak wielkiej postury. W ciemności podchodzi do furty, a wiatr targa jego wełnianym, szytym na miarę paltem. Nie korzysta z dzwonka domofonu. Radzi sobie inaczej. W swoim pełnym przygód życiu miał różne epizody – grał w rugby, trenował zapasy, zmieniał kochanków i kochanki, ale w ostatnich czasach – gdy wolno, lecz nieubłaganie toczył się proces wypychania go z klanu legalnie praktykujących prawników – zrobił więcej zwrotów niż przez poprzednie trzydzieści dwa lata. Otwierał nocami drzwi gabinetów w dobrze strzeżonych budynkach, szantażował i pośredniczył w korupcyjnych praktykach, zakładał podsłuchy i pomagał neutralizować inne. Wespół z niejakim Jacentym Manfillem, człowiekiem o historii podobnej do jego własnej, prał pieniądze z narkotyków. W tym tygodniu przekroczył kolejną granicę – na zlecenie swojego najważniejszego, najbogatszego i najbrzydszego klienta, którego obsługiwali wspólnie z Jacentym, a który teraz siedzi w jego foresterze, pomógł rozstać się z życiem pewnemu zapijaczonemu staruchowi. To nie było zabójstwo – degenerat i tak by niechybnie sczezł. Huzar po prostu pozwolił mu zasnąć w ciepłym fotelu pasażera, a potem, na zamarzniętym ornym polu – wymówił gościnę. I przez to jego twarz widnieje teraz na ścianach wielu komisariatów. Dlatego dziś jeszcze nastąpi ostateczny wyjazd. Motorowy jacht klienta, wynajęty wraz z załogą, czeka w gdyńskim porcie przy wschodnim falochronie.

Otwarcie zamka zajmuje Huzarowi niespełna pół minuty, odkrycie przycisku awaryjnego otwierania bramy po jej wewnętrznej stronie – jeszcze krócej. Gdy ażurowa konstrukcja

ze stali sunie w lewo, ciężki mężczyzna wraca na swoje miejsce za kierownicą i wprowadza wóz na zasypany śniegiem dziedziniec telewizji. Gasi motor. Spogląda na boki. Jest ciemno i pusto. Na śniegu wokół auta żadnych śladów.

– *Has nobody here. I think we can go*. – Angielszczyzna byłego prokuratora pozostawia sporo do życzenia, lecz siedzący na tylnym siedzeniu Ferdynand Topaz nie ma problemów ze zrozumieniem, o co chodzi. Wysiadają jednocześnie i ramię w ramię wspinają się po ośnieżonych stopniach prowadzących do głównego wejścia. Wspinaczka idzie im wolno – poręcz jest pokryta lodem, a pomarszczony i zdeformowany starzec w eleganckich skórkowych pantoflach i kraciastej jesionce Burberry dosłownie powłóczy nogami. Młodszy mężczyzna, silny jak tur, musi go podtrzymywać w pasie. Wie, że *señor* ma prawo być skonany. Niedawno w Barcelonie przeszedł poważną sercową zapaść, a przez cztery ostatnie dni jest ciągle w podróży. Najpierw rejs promem na Ceutę, potem lot prywatnym samolotem do Frankfurtu. Czarter do Sztokholmu i kolejny rejs – przez wzburzony Bałtyk do Gdyni, z której Huzar zabrał go przed sześcioma godzinami.

Gdy pokonują ostatni stopień, praktycznie niesie ledwo żywego Ferdynanda. Musi go oprzeć o potrójne przeszklone drzwi, aby otworzyć skrzydło – tym razem niezamknięte na zamek.

Wchodzą do wyłożonego marmurem, nieoświetlonego hallu. Wnoszą śnieg. Jest cicho i chłodno. Nie działa ogrzewanie, klimatyzacja, monitoring ani główne oświetlenie. Charakterystyczna półkolista lada recepcji, znana dotąd Topazowi wyłącznie z dziękczynnych druków wysyłanych oficjalnie przez Franciszka Drozda, tonie w mroku. Ledwo widać na niej litery: H–O–R–E–B.

W głębi, na ścianie nieco tylko jaśniejszej niż podłoga, czarne prostokąty dwojga drzwi. Te bliższe są wysokie i podwójne, dalsze

nieco węższe.

Topaz bez słowa wskazuje palcem pierwsze wejście. Huzar otwiera je przed nim, naciskając złotą klamkę, i robi pół kroku w bok. Patrzy, jak blask, którego źródłem musi być ogień, wydobywa z mroku krosty, kratery i blizny na twarzy przekraczającego próg starca.

Señor się nie pomylił. Brodaty właściciel tego budynku – najsłynniejszy i najbardziej kontrowersyjny kapłan w kraju – jest w środku. W spodniach od garnituru i nieeleganckim swetrze siedzi w głębi długiego pokoju na niskim taborecie przy kominku. Pali papiery, których setki walają się na długim stole konferencyjnym i wielkim dywanie w kwiaty. Teczki, luźne kartki, pliki spięte na różne sposoby. Na widok wchodzącego Hiszpana i jego młodego towarzysza opiera się o występ nad paleniskiem. Powoli wstaje. Podchodzi, lecz nie do gości, tylko do stołu. Zajmując krzesło przy krótszym boku, wskazuje przybyłym miejsca po przeciwnej stronie. Siadają. Pomiędzy nimi trzy metry ciemnego blatu zasłanego papierzyskami. Ferdynand Topaz nagłym i zdecydowanym ruchem strąca na dywan dokumenty leżące po jego stronie.

– Tylko ty nie mów mi o swoje problemy. – Głos ma chrobotliwy, przerywany świstami.

Franciszek Kosma Drozd nie mówi – ani o problemach, ani o niczym innym. Tkwi zgarbiony w krześle i milczy. Z powodu ciemności nie widać jego twarzy, tylko zarys sylwetki na tle ściany z kominkiem.

– Wiesz, po co ja przyjechał?

Żadnej odpowiedzi.

– *You give me back our documents of foundation. And the rest of my money! Hoy, inmediatamente.*

– Twoje papiery mam narychtowane. – Ksiądz pochyla się nad stołem i chwyta opasłą teczkę ze skóry zamkniętą na metalowy zatrzask.

– Pieniądze, co je wziąłeś miesiąc temu. Dlaczego ich nie ma jeszcze na Manfilla koncie? Gdzie one są, ty świnio?!

– Nie mam już nic. W przeszłym tygodniu zabulił żem ostatnią ratę na budowie. Wszystko gotowe... piękne i wielkie. Twoje dzieło. Twoje i moje, i wszystkich ludzi dobrej woli. Arcydzieło! Pokażę tobie.

– *My money!*

– Masz dość pieniędzy. Ty pomyśl lepiej o win odkupieniu, jako i ja pomyślałem. – Franciszek Kosma dźwiga się z krzesła, a były prokurator Huzar pomaga uczynić to samo swojemu klientowi. Potem bierze teczkę od księdza, który podchodzi do ściany wypełnionej rzędami ciemnych, nieczynnych monitorów, aby otworzyć ukryte między ekranami drzwi garderoby i wyciągnąć długi zimowy płaszcz.

– Tędy pójdziemy. – Zakładając rękawiczki, kapłan podchodzi do wnęki obok kominka. W szerokim na dwa metry zagłębieniu muru kryją się jeszcze jedne, niewidoczne na pierwszy rzut oka odrzwia. Za nimi ciemny, nieotynkowany korytarz o gładkiej posadzce. Drozd robi kilka kroków przed siebie i znika w czerni.

– Czekaj tu. – Ferdynand Topaz gestem dłoni osadza w miejscu swego detektywa. Huzar z teczką staje nieruchomo na środku pomieszczenia. Gdy jego mocodawca rusza za księdzem, on zdejmuje palto, wiesza je starannie na oparciu krzesła, a potem dosłownie rzuca się do przeglądania leżących wokół dokumentów.

* *

Hiszpan i duchowny przemierzają w mroku dwadzieścia, może trzydzieści metrów. W połowie przejścia ksiądz Franciszek zapala światło. Z trudem nadążający starzec widzi go, jak manipuluje przy naściennej metalowej skrzynce pełnej przycisków i luźno zwisających wiązek kabli.

– Dalej, dalej... – Ksiądz zamyka skrzypiące drzwi skrzyni i gestem ręki zachęca do wznowienia marszu. – Już blisko.

Kilka stopni w dół, korytarz robi się węższy. Cementowa posadzka ustępuje nagiej ziemi. Zamiast dotychczasowych ścian z cegły – gołe betonowe łuki z przypiętymi do nich grubymi kablami. Topaz musi pochylać głowę, by nie uderzyć o którąś z centralnie podwieszonych lamp budowlanych. O ile w pomieszczeniach telewizji było chłodno, tu jest lodowato. Wilgotny ziąb typowy dla świeżo wymurowanych wnętrz i starych katedr.

Kolejne dwadzieścia metrów, trzy stopnie w górę. Schody są świeżo wylane, szalunek jeszcze nie zdjęty. Hiszpan pokonuje je z trudem, po przejściu musi się oprzeć o beton. Drozd utrzymuje kilkumetrowy dystans. Jeszcze tylko chwila i staje przed stalowymi drzwiami zamykającymi cały tunel. Wciska umieszczony przy nich czarny przycisk i wejście rozsuwa się z hydraulicznym syknięciem. Ciasne stalowe pomieszczenie, metalowy uchwyt przy ścianie, dwa podświetlone i dwa ciemne przyciski. Winda.

Wchodzi, a jego wieloletni prześladowca dołącza zasapany, z trudem chwytając powietrze. Widać, że chce coś powiedzieć, lecz wysiłek marszu na razie tamuje mu głos.

Ruszają w górę, mierząc się wzrokiem wśród niepokojących skrzypnięć i jęków dźwigu. Gdy stalowe drzwi otwierają się po minucie, uderza ich obu mróz i silny wiatr.

– Zdradziłeś! – Topazowi w końcu udaje się wykrztusić to, co najważniejsze.

Franciszek Kosma robi kilka kroków w tył i wychodzi na słabo oświetloną betonową platformę zamkniętą owalnymi, surowymi ścianami.

– Tukej som – mówi, wskazując palcem wyrysowany na murze schemat: kontur pomnika z wnętrzem podzielonym liniami na poziome strefy. Tępo zakończony kciuk księdza spoczywa w miejscu, gdzie korpus przechodzi w szyję postaci świętego. – Dalej schodami idziemy.

Eugeniusz-Ferdynand Bruliański-Topaz wychodzi z windy, podtrzymując się najpierw stalowej framugi, a następnie chropowatego muru.

– Zdradziłeś! Mój człowiek wszystko ustalił. Zdradziłeś wtedy... *and now again*. Okradłeś mnie. *Cash does not effect from three months already*. Ty kradniesz mi moją własność, świnio!

Ostatnie zdanie wykrzyczane jest głosem tak chrapliwym, że trudno je zrozumieć. Ale Drozd oczywiście rozumie. Chociaż nigdy nie nazwałby tego, co zrobił, kradzieżą. Uratował te pieniądze, zamieniając je na tony sztucznego kamienia. Oszukując zarówno ich wspólnego kasjera, jak i jego mrocznego pana. Uratował wielu nieszczęsnych ludzi, których ten szatan z pomocą złota zaplątuje w swe lepkie sieci. Być może uratował także siebie. Budowa jest zakończona i oto jej szczyt.

Schwyciwszy obiema rękami zimną poręcz, kapłan zaczyna mozolną wspinaczkę na stalowe, kręcone stopnie znikające w czarnym otworze sklepienia.

Topaz rzęzi. Sprawia wrażenie konającego, a mimo to z wysiłkiem podąża za księdzem. Brak powietrza w płucach utrudnia mu wykrztuszenie z siebie czegokolwiek, choć widać, że bardzo tego

chce. Najpierw wydaje serię nieartykułowanych dźwięków, potem jednak wściekłość zwycięża starczą niemoc.

– *Journalist* chciał cię oskarżyć. Wiem to. Sam mnie powiedział, że spotkał ciebie i że tyś mnie jemu nadał.

– O kim ty mówisz, nieszczęsny?

– *Escritor. He make public.* Tu, osobiście, *you talked before*, eghrrrr... eheeeh-hhrhhh! *Twenty third october, exactly in your office*. Mój człowiek prawdę potwierdził!

Hiszpan stoi już w połowie schodów. Krzyczy, zadzierając głowę. Lodowaty podmuch rozwiewa mu resztki włosów.

Duchowny nie odpowiada. Dotarł na najwyższy poziom i teraz – klęknąwszy na jedno kolano – łączy wtyki kabli biegnących po surowej, zalodzonej posadzce. Odpala reflektory na trójnogach. Ostre niebieskie światło zalewa owalne pomieszczenie, większe od tego poniżej i już nie tak surowe. Przeciwnie: na pobielonych, wygładzonych ścianach natchniony malarz z Konina realistycznie i zarazem naiwnie wymalował panoramę placu Świętego Piotra. Kolumny, portyki, kopuła i egipska stela. Tłum postaci dublujących ciemną linią dolną krawędź fresku. Wyżej błękitne niebo, a w chmurze – postać świętego z pastorałem.

Franciszek Kosma Drozd nabiera siły, widząc to najpiękniejsze jego zdaniem malowidło świata. Wraca do schodów, pochyla się nad swym sponsorem i wrogiem.

– Ty całkiem angong masz, ażeś przybył do mnie?! Mało cię szuka policja?

Zdyszany Topaz z wysiłkiem pokonuje stopień i robi przerwę w połowie podejścia. Zadziera głowę.

– *Journalist* dostał zadanie ciebie napisać. Ciebie i tylko ciebie! Jeszcze tę pizdę. Zabrał te... *el avance*. Zlecone prace i więcej nikt! A tyś go, świnio, na mnie napuścił!

– Był u mnie w biurze, prawda, alem nie bulknął nic i nie łosprawił.

– Kłamiesz mnie! Kazałem sprawdzić. – Chrypiący wspina się jeszcze o stopień. Kaszle. – Ty dziennikarzy nie wpuszczasz nigdy do siebie, żadnych... kamery trzymasz... a jego... *exepcionalmente*... tak!

– Sam mi tu wlazł.

– Kłamiesz! Ochronę płacisz. Eghr-eeeghh... eh! Sprawdzone mam daty i dni. Wpierw on u ciebie siedział, a *next immediately* po nomierach jazda! Po właściwych ludziach od miejsca do miejsca. *Directamente*. Odkąd wie Neptun, Majzel i zna czasy?! Wszystko spisane *for publishing house*. Mój człowiek czytał. Odkąd adresy?! *All details*! *Particularities*! Od ciebie ino! Na mnie żeś zepchał. Mię teraz gonią *periodistas españoles*! Dziwka z Polski dzwoni na moje telefony. *La policia tambien*. Eghr-eeeghh... eh! Mój człowiek doszedł, ty wtedy z drugim kłamcą o mnie film nagrałeś. Za późno doszedł. Ja długo, długo *discovered truth*. Dałem ci szansę, dałem zarobek, biznes...

– To jest inaczej...

– Tyś własną żopę ratował, a mnie – eeeghr-eeeghh... eh! – mnie nadał!!

Jeszcze tylko pięć schodów i starzec znajdzie się na jednym poziomie z Drozdem. Dostrzega już całe pomieszczenie: pstrokato wymalowany betonowy silos z wysokim na dwa metry otworem wychodzącym na las. To stamtąd atakuje mroźny wiatr. Przez szparę widać gwiaździste niebo i małe, szybko pędzące chmury. – Z bladzią cię sfilmowali, świnio, chciałeś ratować skórę, oddać uwagę na mnie! Kazałem ostrożnie do mnie, a ty żeś z pizdą!

– To prowokacja ich była. Nie znam... tej baby. To są szwadrony. Oni mnie gonią cięgiem. Nie wiesz, co tu się dzieje! Co ja znoszę

zewsząd otoczony!! Jak łowne cielę... To walka duchów! Dla ciebie pieniądze tylko... – Moooooje pieeeeeniądze!!! – Ferdynand Topaz pokonuje ostatni stopień. Jego nieforemna twarz wyraża w tej chwili ból, złość i desperację. Wyciąga rękę w kierunku stojącego przy balustradzie księdza, jak gdyby chciał go złapać za brodę i poszarpać. Drozd cofa się o dwa kroki, a potem jeszcze o dwa. Wiatr miota połami jego palta. Tamten napiera z wrzaskiem: – Manfill wyliczył, ile masz oddać! Eghr-eeeghh... eh! I oddasz, świnio! Zabiorę sam!!

– Tu masz pieniądze zamurowane! – duchowny odpowiada równie głośno. Musi przekrzykiwać dudniące w betonowej niecce podmuchy i wysokie świsty. Rozwarł ręce w modlitewnym geście, czarna broda mu się trzęsie, głowę przekręca raz w prawo, raz w lewo, jakby zachęcał do dokładnego obejrzenia półkolistych ścian pokrytych wszystkimi możliwymi kolorami, złotego nie wyłączając.

– Kłamiesz! – Nacierający Topaz podnosi w górę pięść, a potem spuszcza ją szybkim, zaskakująco celnym ruchem. Trafia kapłana w przeponę, lecz ten, grubokościsty i silny, właściwie nie czuje uderzenia. Czuje tylko bezdech, strach oraz ciężar uczynków. Ręce ma wciąż wzniesione nad schyloną głową. Jego postawa zdaje się obwieszczać napastnikowi: „Choćbyś mnie tu bił całą noc, to niczego już nie zmienimy. Wszystko się wydało, pozostał nam obu tylko ten pomnik i nadzieja na zmiłowanie Boże".

W tym momencie największy sponsor Telewizji Horeb zawadza eleganckim pantoflem o leżący na oblodzonej podłodze kabel.

47.

Niedziela, 17 listopada.

Dzień tragedii, krótko po trzeciej w nocy.

Taksówka staje pod niedomkniętą bramą fundacji i telewizji, kierowca bliżej za nic nie podjedzie. Robert chce zostawić Kamerę w ciepłym wnętrzu opla, ale taryfiarz na to też się nie zgadza. Razem z matką ogląda z nabożeństwem programy księdza prezesa Drozda i nie podoba mu się fakt, że ten roztrzęsiony, kaszlący i cuchnący kacem klient w środku nocy lezie właśnie tu – pod pomnik Jana Pawła Świętego, który nie został jeszcze uroczyście udostępniony nawet pielgrzymom. Jeszcze bardziej nie podoba mu się to, co widzi później. Bezczelny stary hipis z kundlem u nogi włazi na parking księdza bez dzwonienia w dzwonek jak do obory. Pies – to już skandal – sika na święty teren. A jego pan – może myśli, że jest w swoim obejściu – pochylając się, przypala papierosa. Potem podchodzi prosto do zaparkowanego przed samymi schodami nieźle wytuningowanego terenowca subaru i wali łokciem w szybę od strony kierowcy. Najnormalniej ją tłucze! A nie wyglądał aż na takiego zbója... Alarm forestera zaczyna wyć, wszystkie lampy migają. Niewystraszony tym chuligan, ćmiąc papierocha, otwiera sobie drzwi od środka, po czym podnosi maskę oraz tylną klapę szybko i sprawnie, jakby to było jego własne auto. Taksówkarz uchyla okno opla.

– Wołam policję, łobuzie! – krzyczy, ile sił w płucach. – Poooliiicję!!!

Gdy sięga po telefon, dostrzega, że bandyta wyjmuje z bagażnika pręt od lewara, a może łom.

– Wołaj szybko! – Robert odkrzykuje głośno, lecz nie na tyle, aby taryfiarz mógł go usłyszeć przy tej wichurze i jeszcze głośniejszym jazgocie zranionego forestera. Pochyla się pod uniesioną maską i z pomocą półmetrowego stalowego płaskownika, który nie jest

ani łomem, ani częścią podnośnika, wyłamuje na chybił trafił metalowe przewody oraz zasilacz alarmu. Rani przy tym oparzoną wcześniej dłoń. Krew i ciemniejsze od niej ciecze z silnika pryskają na śnieg. Syrena cichnie.

Taksówkarz już wybrał numer. Czekając na połączenie z oficerem dyżurnym, cofa wóz najszybciej, jak potrafi. Nie dostrzega dwóch rzeczy, które następują niemal równocześnie, a które zauważa jego niedawny pasażer.

Promień niebieskiego światła pada z potylicy górującego nad polaną papieża i oświetla czarno-białe korony sosen. Widok jest niesamowity. Święta postać wygląda w tej chwili jak latarnia morska.

Zdarzenie drugie jest mniej widowiskowe. Siedemdziesiąt metrów niżej, na szczycie zaśnieżonych schodów budynku telewizji, staje prawie stupięćdziesięciokilowy mężczyzna w marynarce i białej koszuli z krawatem, do którego przyciska przeładowaną papierami teczkę z otwartym zatrzaskiem. Patrzy z góry na faceta szalejącego wokół jego forestera i znikającą już za drzewami astrę z neonem na dachu. Ocenia, że to raczej taryfa niż radiowóz. Ponownie taksuje ciemną sylwetkę długowłosego, który ściska półmetrowy, dwukilogramowy kawał metalu – znane doskonale byłemu prokuratorowi ostrokrawędziaste narzędzie. W pewnej dłoni – koniecznie w rękawicy – ten płaskownik może być nie mniej groźny od maczety. A tymczasem jego własna klamka – co za niedopatrzenie! – została w schowku.

Pruski, nie spuszczając wzroku z rozmytego w ciemności, lecz jednak znajomego konturu kulturysty, obchodzi samochód. Jakby czytał w myślach albo wyczuwał miejsce, w które Huzar spogląda. Wybija szybę od strony pasażera i dwoma ruchami zmiata na śnieg pozostałe w oknie odłamki. Przykuca, a potem – nie patrząc

do środka – otwiera obłą klapę umieszczoną tuż pod poduszką powietrzną. Maca wnętrze lewą dłonią. Wyciąga kompaktową berettę 92. Z ostrzem w jednej ręce i pistoletem w drugiej staje – krwawiący, kaszlący, lecz aż zanadto przytomny i gotów – u podnóża schodów.

Choć dzieli ich teraz tylko dziesięć metrów, nie widzą wzajemnie swych twarzy. Tadeusz Huzar schodzi o jeden stopień, trzymając prawą rękę na zlodowaciałej poręczy. Lewą przyciska do piersi teczkę z dokumentami – swój skarb.

– Oto pan autor... jak mniemam – mówi głośno.

Robert ani nie docenia wyrafinowanej parafrazy słynnego zdania sir Henry'ego Stanleya, ani nie ma ochoty na konwersację w tym stylu.

– Spierdalaj! – Przestępuje bokiem dwa schody naraz. – Przyszedłem do twojego pana, nie do ciebie. Spierdalaj, mówię!

Huzar zsuwa się ostrożnie na kolejny stopień. Tyle wystarczy.

– Nie wiesz, o kim gadasz. Nie wiesz, co się tu dzieje. Nie wiesz nic.

– Gliny już jadą. Tutaj i do Piaseczna. Nawet nie próbuj tam kombinować! – Robert robi kolejne trzy kroki w górę. I jeszcze trzy.

– Nic nie rozumiesz.

– Mówię ci po raz ostatni: spierdalaj!! – Wstępuje jeszcze wyżej i teraz idzie na przeciwnika. Płaskownik trzyma poziomo wzdłuż brzucha, pistolet przy biodrze. Huzar także się zbliża. Ugina nogi w kolanach, uważając, aby się nie poślizgnąć. Jest silny, sprawny, wysportowany i doświadczony w walkach wręcz, zaś kudłacz przed nim zdradza samym sposobem, w jaki chwycił berettę, że nie ma pojęcia o sztuce. Lufę kieruje w dół, może nawet nie odbezpieczył pistoletu – niestety, jest za ciemno, żeby mieć pewność.

Patrzą na siebie, a ich organizmy gwałtownie reagują na adrenalinę: zwiększają ciśnienie krwi, rozszerzają oskrzela i źrenice, odłączają zbędne w tej chwili funkcje. Pruski przez kilka chwil nie czuje się ani chory, ani połamany. Były prokurator analizuje szczegóły. Zakłada, że tamten nie strzeli. To nie morderca, tylko pisarzyna, który się zapędził w niebezpieczne rejony. Amator. Trzyma broń w lewej, a nie powinien. Detektyw widział go pod hurtownią rybną kupującego prasę i papierosy. Jest praworęczny. Dlatego Huzar najpierw sprowokuje ruch ostrza, który pójdzie od prawej do lewej, a wtedy zrobi unik i walnie prawym prostym. Jedna wolna ręka wystarczy, by złamać frajera w trzech miejscach.

Pistoletowy strzał w ziemię – a jednak odbezpieczył! – krzesze pęk iskier na schodach. Moment zaskoczenia kosztuje Tadeusza Huzara sto gramów tkanki. Tyle w przybliżeniu waży jego odcięty kciuk razem z kawałkiem dłoni. Jak to się stało, że tnące ukośnie ostrze, którego chciał uniknąć, nagle zmieniło kierunek na dół-góra – tego nigdy się nie dowie. Łatwiej wytłumaczyć, dlaczego jego lewa ręka mimowolnie wystrzeliła na spotkanie klingi, aby chronić twarz. Biologia behawioralna. Teraz krew tryska na białą koszulę i schody, a dokumenty fundacji Lux Perpetua i najcenniejsze akta z sejfu księdza Drozda lecą porwane wiatrem – jedne w górę, drugie przy ziemi – wszystkie w kierunku lasu.

W tym czasie różne osoby robią – nie zawsze z własnej woli – bardzo różne rzeczy.

Niedbający już o żadne dokumenty podkomendny Ferdynanda Topaza pada na kolana, by znaleźć na oblodzonych i ośnieżonych stopniach swój paluch.

Jego hiszpański mocodawca, siedemdziesiąt metrów wyżej, potyka się na zalodzonej posadzce, gładko oszlifowanej przez majstrów z Konina, i wypycha przez otwór w ścianie człowieka,

który jest mu winien co najmniej czterysta tysięcy euro. Pchnięty duchowny próbuje przez chwilę złapać równowagę, a potem schwycić krawędź muru. Niestety – kamień jest śliski, oszroniony, a skórzane rękawiczki jeszcze zmniejszają szanse powodzenia. Gdy wylatuje na zewnątrz, jest tak, jakby Topaz rozrzucił nad lasem w Białołęce banknoty.

Taksówkarz pędzący pozbawioną pobocza asfaltówką na Bródno i Pragę kończy tłumaczyć oficerowi dyżurnemu, co i gdzie przed kilkoma chwilami zobaczył.

Siedząca obok dyżurnego dyspozytorka już wysyła na miejsce patrol szczęśliwie operujący trzy kilometry dalej na skrzyżowaniu Toruńskiej z Głębocką. Po nim kieruje w zadany rejon dwa kolejne zespoły. A zaraz potem, zgodnie z poranną ustną instrukcją przełożonego, wybiera zapisany na ścianie numer w Komendzie Głównej.

Robert biegnie do gabinetu Franciszka Kosmy Drozda. Wpadając, widzi porozrzucane papiery, ogień w kominku i otwór ukrytego w ścianie korytarza. Światło nisko wiszących lamp odbija się w mokrych śladach na posadzce tunelu. Pół minuty później, krwawiąc i rzężąc, dusi nerwowo przycisk windy. Ściska pistolet niepotrzebnie mocno i patrzy co chwila za siebie, ale Gruba Szyja go nie ściga. Ma teraz większe problemy.

Kulawa suka, żałośnie podskakując na śniegu, biega w różne strony po całej polanie i sika to tu, to tam.

48.

Niedziela, 17 listopada.
Dzień tragedii, osiem minut przed wpół do czwartej

Łukasz i Mateusz, dwaj pracownicy kablówki Mały Wilanów, jadą czternastoletnim renault kangoo w kierunku gmachów fundacji Angelus Dei i Telewizji Horeb. Obaj są młodzi, szczupli i mają na głowach zbyt duże czapki. Łukasz – gładki na buzi dwudziestolatek – jest kierowcą i operatorem. Dziewiętnastoletni Mateusz – kruczowłosy przystojniak z długą, choć jeszcze nie tak gęstą, jak by chciał, brodą – uważa się za wschodzącą gwiazdę dziennikarstwa i pożeracza dziewczęcych serc. Poza tym obaj młodzieńcy, delikatnie mówiąc, nie przepadają za sobą. Dziś łączy ich jednak fakt, że są niewyspani, skacowani – każdy bawił się ostro w ten weekend – oraz wkurzeni z powodu wysłania ich na beznadziejny materiał. Wiadomość o zamknięciu na głucho kompleksu Angelus Dei zdążyły już przecież podać i zilustrować wszystkie ogólnopolskie oraz stołeczne telewizje, ale wydawca *Porannego budzika* – jednego z dwóch własnych programów nowej osiedlowej stacji z Wilanowa – mimo wszystko zażyczył sobie setki. Żeby o szóstej trzydzieści rano dać program na bogato. Po informacjach ma się przecież pojawić w ich skromnym studiu nie byle kto: sam Albert Zapatoczny, gwiazda mediów i zagorzały krytyk Telewizji Horeb.

Dojeżdżając na polanę pustą drogą wśród ciemnych, martwych zabudowań, szumiących drzew i zaśnieżonych krzewów, nie spotykają ani jednego pieszego. Mija ich tylko jedno auto – pędząca w stronę Warszawy taksówka bez pasażera. Kierowca gada przez komórkę.

Trzysta metrów dalej na przewianej wiatrem białej płaszczyźnie parkują przy śmietniku w kształcie kielicha kwiatu, w równej odległości od ciemnego budynku telewizji, górującego nad nią pomnika świętego i skraju kołyszącego się lasu. Łukasz nie gasi silnika, bo nie wiadomo, czy się go potem odpali. Stają w pozycjach

roboczych, Mateusz chowa czapkę do kieszeni krótkiego palta. Wicher, który rozwiewa mu smolistą czuprynę i rzadkie kłaki na brodzie, gwiżdże tak, że Łukasz musi nagrywać kolegę z odległości niespełna metra. Przez tę bliskość słabo widać papieża w tle – właściwie wcale go nie widać – ale to jedyny sposób, żeby mikrofon kamery uchwycił to, co Mateusz mówi. A właściwie: co wykrzykuje na wietrze.

– W tej chwili stoję pod najwyższym w Warszawie i na świecie pomnikiem Jana Pawła II! Jesteśmy w Białołęce! Jest kwadrans po czwartej nad ranem! Od przeszło doby należąca do księdza Franciszka Drozda Telewizja Horeb nie nadaje normalnego programu! Nikt nie wie, co się dzieje! Nie ma kontaktu z rzecznikiem fundacji Angelus Dei ani z samym księdzem prezesem! Budynek jest ciemny i martwy, przed chwilą zauważyliśmy otwartą bramę i samotnie zaparkowany samochód! Ponieważ jedyną osobą ukrytą w środku jest sam ojciec Franciszek, można sądzić...

– Czekaj!! – Reflektor gaśnie równo z czerwoną diodą. Łukasz wyłączył kamerę.

– Co jest?! Dobrze mi szło...

– Światło!

– Gdzie?!

– U góry!!

– Ale musiałeś przerywać?!

– Tam ktoś świeci! Tam, w głowie!! – Operator, nie puszczając sprzętu, unosi wolną rękę i wskazuje palcem punkt nad sobą.

Faktycznie: ze szczytu figury, nieco tylko jaśniejszej od czarnego nieba, błyska w stronę lasu niebieskawa poświata.

– Weź mi to zrób!

Kamerzysta ponownie uruchamia aparat, zadziera obiektyw i idąc bokiem, pod wiatr, zbliża się do siatki otaczającej plac budowy. Promień padający ze szczytu pomnika kilka razy ciemnieje, jak gdyby tam wysoko, wewnątrz kamiennej głowy, ktoś zasłaniał, a potem odsłaniał źródło blasku. Zamknięty w betonowej głowie ksiądz prezes Drozd daje sygnały świetlne leśnym wiewiórkom? Facet oszalał z nieszczęścia?

Łukasz już chce ściągać kamerę z ramienia, kiedy Mateusz zauważa coś jeszcze i krzyczy:

– Tutaj, tutaj rób!

Z otworu stalowej bramy wyłania się męska postać, ale z pewnością nie jest to prezes Telewizji Horeb. Brak mu charakterystycznej czubatej łysiny i gęstej, czarnej brody, jest wyższy, ma wielkie bary, szyję dyskotekowego ochroniarza i coś z nim jest nie tak. Biegnie w stronę ich kangoo, skulony, w samej koszuli i marynarce. Coś trzyma oburącz przy piersi. Krwawi z rany?!

– Rób to, *brother*, róóób!

Światło lampy z kamery omiata biegnącego, lecz ten nie zwraca na nic uwagi. Dopada do ich renault i rusza, nie zamykając drzwi.

– Robisz?!

– Robię!!

– Jesteś moim megamistrzem!

Co za materiał... Jezuuu... co za megamateriał... Kradzież auta na oczach dziennikarzy! Zraniony nocny intruz w siedzibie Horeba! Tajemnicze sygnały świetlne z wnętrza świętej głowy! Co jeszcze?

Całkiem sporo. Róg reporterskiej obfitości eksploduje nad głowami obu niedawno skacowanych, a teraz już pełnych werwy młodzieńców. Po pierwsze: zza drzew wyłania się radiowóz na sygnale, który zajeżdża drogę złodziejowi ich służbowego samochodu. Gruby facet, choć nawet nie zdołał zatrzasnąć drzwi

kangoo, teraz wykonuje iście popisowy *drift* na śniegu i wjeżdża wprost do lasu pomiędzy sosnowe pnie. Huk karoserii uderzającej o drzewo jest głośniejszy od wycia wichury. Zderzył się, urwał drzwi, ale nie stanął – czerwone tylne światła błyskają, szaleniec wjeżdża dalej w głąb, wzniecając śnieżne fontanny. Niewiarygodne! Łukasz, nie przestając filmować, biegnie w tamtą stronę razem z dwoma policjantami, którzy właśnie wyskoczyli ze swego auta. Czuje się jak reporter wojenny – co najmniej w Afganistanie, jeśli nie w Syrii.

Mateusz z zaciśniętymi z emocji pięściami czuje się jeszcze lepiej. Odprowadza wzrokiem kolegę, jednocześnie spoglądając co rusz w przeciwną stronę. Pobiegłby także do lasu, gdyby nie drobiazg, który przed chwilą zauważył. Na ośnieżonej, nieczynnej latarni w kształcie oklapniętego tulipana zatrzymała się niesiona podmuchem kartka papieru. Zbyt gładka i biała jak na śmieć nawiany z bylekąd. Gdy młody reporter podchodzi, papier odfruwa, ale chłopak jest szybszy. Chwyta. Widzi nadrukowane logo firmy o jakiejś nieznanej mu łacińskiej nazwie i zalewa go fala podniecenia. Mityczne dokumenty Drozda?! A to jeszcze nie koniec! Z nieba – ale to dosłownie z nieba – lecą dwa kolejne, podobne papiery. I jeszcze dwa! On je rozrzuca z pomnika?!

Gdy Mateusz z uniesionymi rękami, rozwianymi włosami i brodą gania za wirującymi na wietrze kartkami, wygląda jak młody chasyd tańczący na śniegu Zemer atik. I chyba Bóg wynagradza mu jego hitlahawut kolejnym prezentem. To, co niespełna dwudziestoletni dziennikarz – od roku na etacie – widzi w ciągu minuty, jego kolegom po fachu nie trafia się przez całe życie. To już jest naprawdę mega-mega-meeeeega-moc! Goniąc jeden z papierów wzdłuż ogrodzenia placu budowy, zauważa na wysokości

sześćdziesięciu metrów człowieka przyklejonego do pleców świętej figury i walczącego o życie z targającymi nim podmuchami.

– Łuuukaaaasz! Wraaacaaaj! Kuuurwaaa! Natyyychmiaaast!!!

* *

Choć w głębi lasu jest znacznie ciszej niż na smaganej wiatrem polanie, operator kamery nie słyszy wrzasków kolegi. Ale i tak wraca do niego po łydki w śniegu zdyszany, spocony i bardzo radosny. Sfilmował tyle, ile się dało. Aż tyle! Grubas był niesamowitym kierowcą i niezłym szczęściarzem. Obijając się o pnie i całkowicie masakrując renault – po dzisiejszej nocy sukcesów szefowie Wilanowa po prostu muszą kupić nową, lepszą brykę – zdołał wjechać przeszło sto pięćdziesiąt metrów między drzewa. Dopiero wtedy kangoo zaklinowało się między sosnami. Ścigany przez policjantów i kamerzystę facet – mimo rany i ogromnej tuszy – szybko i zwinnie wydobył się z wozu tylnymi drzwiami, po czym pobiegł dalej, zostawiając na śniegu krople krwi, które Łukasz skrupulatnie zdjął w maksymalnym zbliżeniu i świetle. Policjanci pognali za uciekinierem.

– Wraaaacaaaj!!! – krzyk Mateusza dochodzi do niego w tym samym momencie, w którym spomiędzy czarno-szarych pni wyłania się jednorodna biel polany i niebiesko-czerwone światło kolejnego radiowozu zajeżdżającego na miejsce akcji stulecia. Operator – choć zasapany – jeszcze przyspiesza kroku. Gdy wypada na otwartą przestrzeń z kamerą podskakującą na ramieniu, widzi szalone i stale rosnące zamieszanie. Policyjnych wozów jest już kilka. Dwóch mundurowych – każdy z psem – właśnie wchodzi do lasu. Jeden z owczarków rwie naprzód, rozkopując łapami śnieg, drugi wyrywa się nie tam, gdzie trzeba – ciągnie swego pana w stronę małego, chudego i chyba bezpańskiego kundla

z podkuloną łapą, obszczekującego z bezpiecznej odległości całe zgromadzenie.

W kierunku Mateusza, który trzymając jakieś papierzyska, podskakuje w miejscu jak Zulus i jednocześnie pokazuje na szczyt pomnika, idzie szybko niska policjantka w czarnej czapce z daszkiem, kajdankami przy boku i ciemnym radiotelefonem na ramieniu. Woła do dziennikarza przez wiatr, ale młody reporter tylko macha plikami kartek, jakby się od niej opędzał. Patrzy na wyłaniającego się z lasu partnera i znowu wrzeszczy, ile sił w płucach:

– Daaawaaaj mi tutaj!!! Błaaagaaam cię, szyyyyybkooooo!

Łukasz już widzi, o co mu chodzi, i nie może wprost uwierzyć w rozmiary dzisiejszego farta. Uruchamia kamerę. Kręci ujęcie swego życia.

Trzy metry poniżej papieskiej głowy i otworu, z którego cały czas sączy się halogenowe światło, na występie, który w zamierzeniu projektanta jest pewnie kołnierzem ornatu świętego, stoi przyciśnięta do betonu męska postać. Ręce i nogi ma rozstawione szeroko, wyraźnie stara się skleić ciało z powierzchnią pomnika. Nie ma żadnej asekuracji – liny ani niczego. Wypadł? W drżącym oku kamery młody operator widzi, że tamten wykonuje jakieś ostrożne ruchy rękami: opuszcza i znów podnosi jedną, a potem drugą. Czarny płaszcz, kożuch czy co ten wariat ma na sobie, leci w dół, zmieniając kształty na wietrze, by upaść raptem kilka metrów od kamerzysty.

– Robisz to?! – Mateusz zwija papiery w rulon i usiłuje wepchnąć je sobie do rękawa. Nie zwraca uwagi na funkcjonariuszkę, ale i ona już przestała się nim interesować.

– U góry niezabezpieczony mężczyzna! – krzyczy do radiotelefonu. – Dwadzieścia siedem do dziewiętnaście. Powtarzam: na papieżu

jest człowiek. Na samym wierzchu od strony lasu. Wezwijcie straż!

Mateusz przestępuje z nogi na nogę, jakby biegł w miejscu.

– Mów mi, błagam cię, *brother*... czy to jest Drozd?!

Łukasz ciśnie trzydziestopięciokrotny zoom do oporu. Z tej pozycji, pod ostrym kątem, nie widać dokładnie, ale zdaje się, że walczący o życie nieszczęśnik na papieskich plecach to sam ksiądz prezes. W spodniach, ciemnym swetrze i rękawicach nie przypomina siebie ubranego w sutannę, lecz rozczochrana broda i okoliczności składają się w całość.

– To on jest!

– On! On sam, kurrrrwa... on!! – Mateusz piszczy, jakby miał się zaraz posikać.

* *

Po pokonaniu dwóch trzecich stalowych schodów, w ostrym świetle lamp i na tle kiczowatego malowidła, Robert dostrzega nie tego, kogo się spodziewał. Widok Ferdynanda Topaza, który właśnie się do niego odwraca, sprawia, że na chwilę staje z otwartymi ustami. A potem pyta nieswoim głosem:

– Gdzie jest ksiądz?!

Hiszpan nie odpowiada. Kręci głową. Jest zszokowany, lecz nie tyle widokiem Pruskiego, ile czymś, co tu się musiało przed chwilą zdarzyć. Z ciemnego, kwadratowego otworu w ścianie dochodzi świst wichury, daleki sygnał policyjnego radiowozu, może karetki, i tylko trochę głośniejszy ochrypły ludzki krzyk.

Topaz opiera się oburącz o fresk za sobą i przesuwa jak najdalej od dziury w murze. Oddycha chrapliwie, z ust leci mu para, która od razu zamarza. Robert, wchodząc na ostatni stopień z nierdzewnej stali, pojmuje już, co miał na myśli olbrzym z plikiem papierów,

gdy przed chwilą krzyczał do niego na dole: „Nie wiesz, co się tu dzieje".

Przekłada broń i przeciągając otwartą dłonią po gładkiej ścianie, idzie bokiem ku otworowi. Czuje przenikliwe, wilgotne zimno i syntetyczny zapach akrylowej farby. Nie spuszcza wzroku z Eugeniusza-Ferdynanda. Teraz już wie, co jest grane.

– Pomóż miiii!! – Przesycony przerażeniem głos z zewnątrz należy do Drozda. Topaz go zrzucił albo zrobili to obaj z Grubą Szyją. Topaz wynajął tego osiłka. Topaz zastraszył Murkę. To on poluje na ciebie, człowieku, a nie Drozd... tamten tylko się broni, jak umie. Jak widać – słabo...

Pistolet sam wędruje w górę. Pruski spogląda kątem oka w nocną ciemność i jednocześnie celuje brzydalowi w korpus.

– Pomóóóż!! – Rozpaczliwy krzyk księdza miesza się z coraz głośniejszym, wibrującym jękiem syreny gdzieś niżej i dalej.

– Won stąd! – Rozkaz nie robi na starcu wrażenia. – Na dół!!

Brzydki Ryj kręci głową. Odmawia wyjścia. Przykleił się do ściany w miejscu, w którym artysta z bożej łaski wymalował osiem korynckich kolumn, trójkątny portyk i kopułę. Sapie. I ani myśli, by zejść po schodach. Coś kombinuje, skurwysyn.

Robert – cały czas z wyciągniętą bronią – wystawia głowę przez otwór. Wiatr zmusza go do zmrużenia oczu, lęk wysokości bije w splot słoneczny, ale i tak, na tle rozkołysanych sosnowych wierzchołków w dole, widzi przyklejonego do twardej powierzchni wielebnego. Ksiądz sunie w górę po skośnym betonowym występie. Spojrzenia ich obu spotykają się na krótką chwilę.

– Pooodaaaj mnie rękę!! – Krzyk Drozda, świst powietrza, narastające wirowanie syreny i chrobotliwy głos zbliżającego się Topaza:

– *Quiero ayudar. Compruebe el arma*!

– Nie podchodź mi!! – Pruski odwraca się z wykrzywioną twarzą.

– *Yo quiero salvarlo*! – owrzodziały Hiszpan gwałtownym ruchem wyciąga obie ręce, a Polak – który, niestety, nie zna hiszpańskiego – dwukrotnie strzela mu pod nogi. A raczej taki ma zamiar, bo pierwszy z pocisków rzeczywiście uderza w posadzkę, lecz drugi roztrzaskuje kość strzałkową Ferdynanda. Stary upada płasko z bezwładnie opuszczonymi dłońmi jak ścięty słup. Uderza twarzą o kamień posadzki i traci przytomność. Krew z rozbitego nosa wycieka karminową strużką w stronę czarnego stojaka z gorącym halogenem, wokół którego drży powietrze.

Robert pakuje pistolet za spodnie, klęka na szeroko rozstawionych kolanach i pokonując paraliżujący strach, wychyla tułów na zewnątrz. Lęk wysokości natychmiast zgniata mu wszystkie narządy, od płuc po kiszkę stolcową. Wystawia rękę, starając się powstrzymać wymioty. Drozd dotarł już do najwyższego możliwego punktu i też wyciąga się, jak potrafi. Między poparzonymi, zakrwawionymi palcami Pruskiego i rękawicą kapłana zostało około osiemdziesięciu centymetrów zimnego powietrza.

– Kaaabel!! Weź dla mnie pieroński kabel!!

* *

Mateusz, nie umiejąc ustać z podniecenia, biega w podskokach wokół swego kamerzysty i wydeptuje w śniegu ciasną elipsę.

– Co za fart, kurwa, nie wierzę! Co za megastrzał!! Sprzedamy do tefauenu! Sprzedamy do bibisi!! Robisz, *brother*?!

– Robię... ciszej bądź – Łukasz syczy, a stojąca obok policjantka wciąż wykrzykuje krótkie zdania do umieszczonego na ramieniu radia. Poza ich trójką scenę na górze z zapartym tchem obserwuje jeszcze co najmniej dziesięciu mundurowych i cywilów. W centrum

polany po obu stronach ogrodzenia hamują kolejne radiowozy. Przyjechała pierwsza karetka pogotowia. Gdy trzej ratownicy wyskakują kolejno na śnieg, oświetlony dotychczas otwór w głowie papieża nagle ciemnieje. Z mrocznego prostokąta wyłania się ten sam długowłosy mężczyzna, który objawił się wszystkim przed kilkunastoma sekundami. Kimkolwiek jest – na przykład lubiącym ryzyko pracownikiem Horeba – musi bardzo kochać swego szefa. Wygląda na to, że rzuca mu linę. Ani funkcjonariusze obu płci, ani pracownicy pogotowia, ani podskakujący młody dziennikarz z brodą nie widzą tego dokładnie, lecz patrzący przez wizjer kamery operator dostrzega szczegóły. I jest już pewien, że za chwilę będzie filmował czyjąś śmierć.

To nie jest żadna lina, tylko niezbyt gruby kabel z wtyczką. Ksiądz kompletnie nie daje rady go chwycić. Wiatr miota przewodem zbyt mocno. Człowiek u góry jeszcze bardziej się wychyla. Cała akcja po prostu musi, no musi się źle skończyć. Mężczyzna w oknie nie jest ułomkiem, ale Drozd to wielki, nabity kloc, zaś elektryczny przewód, za pomocą którego ma być uratowany, jest niewiele więcej niż sznurkiem. Duchowny już się zsuwa po betonie na dół. Brakuje mu sił.

– Oni są beeez szans! – kamerzysta mówi to głośno, nie odrywając oka od wizjera. Wiatr jest taki, że dźwięki w nagraniu i tak trzeba będzie podmienić. Gdyby to od niego zależało, podłożyłby coś z repertuaru Behemota. – Nie daaadzą rady. Nie w tych warunkach.

Jakby na potwierdzenie jego słów Franciszek Drozd wykonuje ostatni, desperacki podskok. Jakimś cudem chwyta się kabla, lecz jednocześnie zjeżdża po betonowym występie jeszcze niżej, pociągając za sobą tego, który chciał go uratować.

– Moc, kuuuurwa, moc!! Megamoc, kurwa, moc!! – Rozgrzany Mateusz z zadartą głową wykonuje dziki taniec radości, nie dbając o iPhone'a, który wypadł mu z kieszeni. Policjantka już nie raportuje. Zasłania dłonią szeroko otwarte usta.

Łukasz czuje kroplę potu – albo łzę – w kąciku oka przyłożonego do szkła.

* *

Na polanę z wyciem syreny i hukiem wielkiego diesla wjeżdża rozpędzony wóz strażacki. Jego kierowca chyba już wie, co się dzieje na górze. Gna jak szalony między zaparkowanymi bezładnie autami policji a wysokim ogrodzeniem budynku telewizji i równoległym doń rzędem ławek. Krwistoczerwony ciężarowy mercedes z ogromnym kołowrotem na przednim zderzaku taranuje z rozpędu prowizoryczną bramę placu budowy pomnika i hamuje, wyrzucając spod wielkich kół pióropusze zmrożonego śniegu. Teleskopowy wysięgnik z koszem już się podnosi. Dwaj mężczyźni w grafitowo-żółtych kombinezonach i białych kaskach zręcznie wchodzą na dach ciężarówki w tej samej chwili, w której inna dwójka – policjant i policjantka – rusza do góry windą ukrytą wewnątrz figury siedemdziesięciometrowego świętego. Dzieje się to w tej samej chwili, w której Franciszek Kosma Drozd i Robert Pruski – obaj półprzytomni ze strachu – zjeżdżają po betonowym ornacie na prawe ramię figury.

Ksiądz budowniczy kazał zaimpregnować i wyszlifować powierzchnię na gładko, tak by wyglądała jak zrobiona z naturalnego granitu. W dodatku każde z wyciągniętych ramion Jana Pawła II – trzydzieści pięć metrów obwodu w miejscu zetknięcia z barkiem, osiemnaście metrów w nadgarstku i dwadzieścia dziewięć metrów długości, licząc od osi monumentu

do końca palców – opada w dół pod kątem dwudziestu sześciu stopni. Niczym zjeżdżalnia. Projektant tłumaczył kiedyś księdzu prezesowi, że w ten sposób – oraz dzięki pochyleniu głowy – łatwiej będzie wywołać w zgromadzonych poniżej wiernych uczucie przygarniania ich do serca.

Beton jest nie tylko gładki, twardy i zaokrąglony, ale jeszcze pokryty lodem. Cienka warstwa roztapia się w zetknięciu ze ścierpniętymi, pokiereszowanymi dłońmi i drgającym policzkiem Pruskiego. Gnany wiatrem śnieżny pył zasypuje oczy. Szmaciane trampki bez twardych krawędzi nie zahamują nieubłaganego ruchu w dół. Skoncentrowany na przytulaniu się do skały nie czuje nawet, jak pistolet wypada spod wiatrówki, nie widzi spieszących na ratunek strażaków, nie słyszy wiatru ani jękliwego hałasu syren, jakimś cudem dociera do niego natomiast – i to bardzo wyraźnie – głośna modlitwa Drozda, który musi walczyć o życie gdzieś blisko obok.

– ...błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twojego, Jezus...

Nadciągający znad lasu mocniejszy wiatr poprzedzony gwałtownymi, ostrzegawczymi trzaskami pękających czarnych gałęzi uderza w pomnik z siłą zimowego sztormu. Natychmiast po tym ataku wielogodzinna wichura zamiera, jakby ktoś wyłączył monstrualną dmuchawę ukrytą gdzieś w chmurach. W nagłej ciszy słychać krzyk spadającego.

* *

Zebrani na dole nieruchomieją. Nawet dziennikarz wilanowskiej telewizji przestał się miotać i patrzy jak urzeczony. Jego kolega operator przytomnie poszerza kadr ujęcia. Teraz uwiecznia najlepsze sekundy: obiektyw płynnie podąża za lecącym i zatrzymuje się

dopiero po jego upadku. Lot – co później zostanie dokładnie policzone – trwa jedną i pięćdziesiąt pięć setnych sekundy. Ksiądz prezes Franciszek Kosma Drozd najpierw opada w poziomie z rozrzuconymi rękami i nogami, a potem głową w dół.

Pięć minut po jego śmierci obaj młodzieńcy, chwilowo porzuceni przez policjantkę i skuleni na ławce nad kamerą Mateusza, odtwarzają w maksymalnym spowolnieniu końcówkę najbardziej sensacyjnego dokumentu ich życia. Maszyna nie zawiodła! Wszystko się nagrało! Ujęcia są co prawda ciemne, lecz dzięki przytomności Łukasza całkiem ostre. Przy odpowiednim opisie i komentarzu będzie się można się łatwo zorientować w szczegółach. Ostatnie ułamki sekund są – jak to ujmuje drżący z emocji Mateusz – megamaksirozkurwiające.

Oto coś jakby okrutny *crash test*. Głowa spadającego księdza dotyka betonu. W mroku bryzga krwawa fontanna. Ciało zostaje zgniecione siłą upadku w harmonię. Lecą na boki części garderoby. Buty razem ze skarpetami, rękawice, pasek i całe spodnie. Połamane, półnagie zwłoki rozprostowują się, odbijając, aby – w kolejnym mgnieniu oka – zjechać po betonowym bucie ku ziemi. Rozbita, martwa głowa zaklinowana w kilkudziesięciocentymetrowej betonowej szparze to najstraszniejszy – a raczej najwspanialszy – widok ze wszystkiego.

– Mam ochotę wytrzepać przy tym gruchę. – Mateusza nie opuszcza euforia. – Dawaj jeszcze raz!

– Czekaj, czekaj... – Kolega odtwarza dalszy ciąg. Teraz obraz wędruje w górę i widz ma okazję zobaczyć, jak w ciemnym otworze na szczycie pomnika rozbłyskują policyjne latarki. Jeden z dwojga wychylonych funkcjonariuszy kieruje promień światła w dół. Tam, w połowie wysokości monumentu, unoszeni wciąż w stalowym koszu strażacy przechwytują rozczochranego faceta w za dużych

dżinsach i letnich butach, który zsuwa się po kamiennej dłoni świętego. Trzeba przyznać, że dzielni junacy zdążyli w ostatniej chwili. Jeszcze pięć sekund, może dziesięć, jakby się oberwaniec mocno trzymał – i skończyłaby mu się zjeżdżalnia. Odpadłby od najdłuższego palca ważącej dwadzieścia ton papieskiej dłoni i leżał teraz niedaleko księdza prezesa.

– Też dobre, ale to tylko jakiś tutejszy cieć. Pokaż mi jeszcze raz Drozda, *brother*.

49.

Niedziela, 17 listopada.
Dzień tragedii, godzina czternasta

– Kamcia?

– Gdzie ty jesteś? Co to za numer? Policja cię szuka znowu. Stoją pod domem.

– Nie musisz szeptać. I tak nas słyszą na pewno.

– Jak bardzo źle?

– I źle, i dobrze. Gdzie oni stoją?

– Od strony Kraszewskiego

– Idź natychmiast do Chudej.

– Co?

– Do mamy Brajana idź. Niech ci da klucze od wiesz czego. I tamtędy wyjdziesz. Ale musisz to zrobić w tej chwili, bo obstawią. Masz minutę na wyjście, może pół. Spotkamy się tam, gdzie ci zrobiłem pierwszą minetę.

– Pamiętasz?! – Kamila już nie szepce.

– Pół minuty.

– Dzwoniła przed chwilą...

– Dwadzieścia pięć sekund.

– Wziąć coś dla ciebie?

– Nie. Startuj już! Idź pieszo. Dojdę za kwadrans.

Oddając obdrapany telefon i dokładając obiecane osiem złotych – bo tyle mu zostało – Robert uśmiecha się do młodego chłopaka na przydworcowym przystanku autobusowym. Junior jest chudy jak patyk, trochę dziewczęcy, ma falujące włosy „na Jezusa" i przypomina Pruskiemu jego samego ze studenckich czasów. Cóż... każdy przyjazd do Torunia to pasmo wspomnień.

Maszerując najszybciej, jak się da, wzdłuż paskudnego kempingu za dworcem, układa w myślach to, co chce przekazać Kamili. Oczy go szczypią, poparzona i poraniona dłoń boli, w płucach kłuje, popękane usta swędzą, pod okrytą kapturem czaszką coś na przemian szumi i grzechoce. Nie jadł, nie palił i nie pił nawet wody z kranu od piątej rano. Czyli od czasu, kiedy strażak, który pomógł mu zleźć z papieża, rumiany na gębie wielki chłop o wesołych oczach, poczęstował go przesłodzoną, fusiastą kawą z termosu. Potem wszystko działo się szybko i chaotycznie. Z szoferki wozu strażackiego, w którym przesiedział – jak mu się wydawało – całą wieczność, ktoś chciał go zaprowadzić do ambulansu, ktoś inny – do radiowozu. Jakiś gość trzymający berettę w foliowym worku podchodził kilka razy i o coś pytał, ale on tylko kręcił przecząco głową i wzruszał ramionami. Na godzinę całkowicie stracił głos. Jeszcze nim go odzyskał, zaczął wymiotować. Kawą i krwią. Tak mu się zdawało. Oparty o wielką oponę strażackiego wozu, krótko przed świtem rzygał, pluł, czkał i liczył wjeżdżające na polanę wozy transmisyjne. Komercyjni wpadli na metę dwie, może trzy minuty przed publicznymi, a wszyscy razem jeszcze spotęgowali zamieszanie. Wielu ludzi krzyczało

i przeszkadzało sobie wzajemnie, gdy Robert spokojnie odchodził w kierunku najciemniejszego zakątka polany. Przechodząc pod rozciągniętą żółtą taśmą, musiał przyklęknąć, i wtedy podniósł ze śniegu lekko podarty, być może całkiem nieistotny dokument fundacji Lux Perpetua. Na pamiątkę. Trzydzieści sekund później wszedł spokojnie w las – nikt go nie zaczepił, nikt za nim nie krzyknął.

Kulejąca Kamera dogoniła go w jasnym świetle dnia, gdy przeszedł już ponad cztery kilometry między drzewami i dalej – białym polem pomiędzy parującymi odstojnikami oczyszczalni ścieków. Z kaleką suką i naderwanym kwitem w kieszeni, z pomocą listka aspiryny, którą zjadł na sucho, i stuzłotowego banknotu, który szczęśliwie uchował się w dżinsach, dotarł do Torunia. W porannym autobusie z Jabłonnej do centrum Warszawy, a potem w dwóch kolejnych pociągach miał wystarczająco dużo czasu, by wszystko przemyśleć, lecz – jak się okazało – nie dość wiele, aby się uspokoić i zasnąć. Mimo fizycznego skatowania poczuł jednak spokój. I rzadko odczuwaną pewność siebie, która nie opuszcza go także i teraz, w trakcie marszu przez most imienia Marszałka Piłsudskiego.

Panorama Starówki wygląda dokładnie tak jak na pocztówkach. Czereśniowobrunatne dachy, dwie iglice, w dole auta sunące bulwarem. Czyste niebo jest podobnie chłodne jak miesiąc temu, gdy bosy Jasiek prezentował na piachu zdradzieckie i jakże skuteczne sieknięcie z bekhendu... To wtedy zadzwonili z Poznania. Pieprzony zdradziecki Murka. Ciekawe, w którym momencie postanowił cię, chłopie, wystawić. Podejrzewałeś Drozda, a to Topaz działał. Umrzesz za kratami, kanalio...

Wiatr już nie hula, lecz wciąż jest zimno. Robert przekłada drżącą sukę z jednej ręki na drugą, a ona liże go po dłoniach. Kamila

w krótkim koniakowym płaszczu z grubej wełny i kozakach czeka u podnóża schodów wiodących w dół, na bulwar. Plecy i ugiętą nogę opiera o ceglany mur nadrzecznego fortu. Nie zdążyła założyć pończoch. Włosy ma rozpuszczone i wilgotne. Wielkie ciemne okulary na nosie zastępują makijaż. Ktoś mógłby pomyśleć, że przyszła tu opalać kolana. Mruczą przejeżdżające wolno samochody, ani jednego przechodnia w pobliżu. Tak samo jak wtedy, gdy się tu spięli o świcie przeszło piętnaście lat temu.

– Dzień dobry. Wyglądasz kwitnąco.

– A ty jak kloszard. I ten pies też strasznie brzydki. Twoja koleżanka Weronika dzwoniła.

– Do ciebie?

– Znalazła nasz domowy. Prosiła przekazać, że – cytuję – Szymon Galper wylądował na Okęciu i wszystko będzie dobrze. Dostaniecie dofinansowanie. Czekają na ciebie w redakcji. Koniec cytatu.

– Poradzą sobie beze mnie. Wracam do Torunia.

– Nie do aresztu?

– Wracam tutaj na stałe. Jak już odsiedzę swoje.

– A ukochany „Rynek Sztuki”? Twoi wierni pracownicy?

– To nie są moi pracownicy, tylko Galpera. Skoro wszystko jest dobrze, Wera przejmie interes. Należy jej się. I mnie też. Nie mam już siły. Muszę odpocząć. Mamy kasę.

– „My”, czyli kto?

– „My”, czyli my.

– Myślałam, że zostaniesz ze swoją muzą.

– Zostanę... z kim?

– Nie jesteście parą z panną konsulanką?

– Konsuliną, jeżeli już. Kamcia... ona jest dziesięć lat starsza od Krzysia.

– To chyba dobrze dla ciebie?

– Dobre jest to, co się dobrze kończy, prawda?

– I co ty tu będziesz robił? Emerytem chcesz zostać?

– Dzieci będę z tobą wychowywał. I odpoczywał. O zdrowie dbał. Do fryzjera chodził. I na spacer.

– Nie, nooo... nie wierzę. – Usta Kamili jeszcze zachowują powagę, lecz kąciki ich poziomej linii już drgają.

– Zacznę chodzić z kijkami. Zrzucę parę kilo. Zabiorę cię do teatru albo na wystawę czegoś niezrozumiałego, gdzie wszyscy mają brody. Kupię sobie elektronicznego papierosa i porządne ciuchy. Marynarkę na przykład. I krawat na wernisaże. I coś dla ciebie, bo widzę, że też ci brakuje konfekcji.

Ona wreszcie się śmieje, a potem wypina pierś do przodu i rozchyla dekolt płaszcza. Pod wełną w kolorze burgunda ma tylko biustonosz w różyczki. On kuca – ostrożnie, żeby się nie wywrócić na plecy – i puszcza Kamerę na lodowaty chodnik.

– Może coś powtórzymy?

– Musisz się wpierw ogolić, bo mnie podrapiesz. – Ona gwałtownie poważnieje. Przykrywa usta dwoma palcami. Schyla głowę. – Policja. Nie odwracaj się.

Nieoznakowany ford w kolorze khaki z dwoma ponurymi dżentelmenami w środku staje pięć metrów za plecami Roberta. Mężczyźni nie mają na sobie mundurów, lecz ustawiona pod przednią szybą niebieska szklanka, choć niewłączona, mówi Kamili wszystko.

– Nie odchodź. – Odrywa plecy od muru i bierze byłego męża za rękę, a on, usiłując się nie chwiać przy wstawaniu z kucek, wsuwa jej w chłodną dłoń zmięty kwit z fundacji Światłość Wiekuista.

– Co to? Co tobie grozi?

– Nic wielkiego. Drobiazgów się nazbierało. Złamanie zakazu publikacji, użycie broni bez zezwolenia, nieumyślne uszkodzenie nogi obcokrajowca i ręki tubylca... ale to chuje są podłe, więc się nie liczy. Jeszcze wtargnięcie na teren prywatny, samowolne oddalenie się z miejsca, którego nie powinienem był opuszczać... takie tam bzdety. Będzie potrzebny adwokat. Majka ci wyda pieniądze w gotówce. Na papugę, na kaucję, na wszystko. Niech ci niczego nie przelewa, tylko keszem. I nie dzwoń do niej. Na kwicie spisany masz adres w Piasecznie. Jedź tam. Weźmiesz co najmniej siedemdziesiąt tysięcy. Myślę, że więcej. Wpłacisz wszystko od razu na całkiem nowe konto. Założysz je sobie w jakimś banku spółdzielczym po drodze – w Płocku czy gdziekolwiek. To jest najważniejsze w tej chwili. Żeby ochronić kasę. Później ci powiem dlaczego. I zadzwoń do mojej mamuśki, by się z radia nie dowiedziała, że siedzę na dołku. Uspokój ją. I do Weroniki zadzwoń, telefon masz w stopce „Rynku". Powiedz, że do niej zadzwonię, jak wyjdę. Oni mnie wypuszczą... zobaczysz... jutro, góra pojutrze. Weźmiesz sukę? Chłopcy się ucieszą. Ma ładne imię, Kamera.

– Daj ją.

Warująca przy nodze Roberta psina nie chce przejść w damskie objęcia. Cofa się i popiskuje, żałośnie patrząc na swego pana.

– Chwyć mocniej, nie gryzie.

Jeden z policjantów – człowiek w wygniecionym prochowcu i pod krawatem – otwiera szybę forda, a potem włącza błękitny migacz, nie uruchamiając dźwięku. Błyskającą kopułkę wystawia na dach i ten komunikat jest aż nadto oczywisty: czekamy tu już parę minut i starczy. Każdy ma swoje terminy. Zrobimy, co trzeba, w miarę cicho, ale zrobimy.

Drugi policjant – w lepszym od partnera palcie – wysiada i przekracza najpierw niewysoką zaspę na skraju jezdni, a potem ładnie odśnieżony chodnik. Robert nadal się nie odwraca, więc tamten podchodzi bliżej, niż nakazuje regulamin zatrzymań i kontroli.

– Pan Robert Pruski, prawda? – pyta cicho. – Mamy kilka pytań. Ale wyłącznie do pana. Proponuję porozmawiać u nas. Będzie wygodnie.

Kamera w końcu pozwala Kamili wziąć się na ręce. Policjant robi dworski gest dłonią połączony z ukłonem. Bardzo prosimy szanownego bohatera do naszej karety.

Pożegnalny pocałunek byłej żony jest chłodny jak ten poranek i generalnie taki... dostosowany do okoliczności.

* * *

Pozwoliłem sobie wykorzystać artykuł z „Rzeczpospolitej" autorstwa Cezarego Gmyza o agencie PRL-owskiego wywiadu Andrzeju Madejczyku, ps. „Lakar", i jego tajnym współpracowniku ojcu Konradzie Hejmo. Prawie wszystko poza tym jest wymyślone.

Autor

Przeczytaj także

Umarli tańczą ♦ Piotr Głuchowski

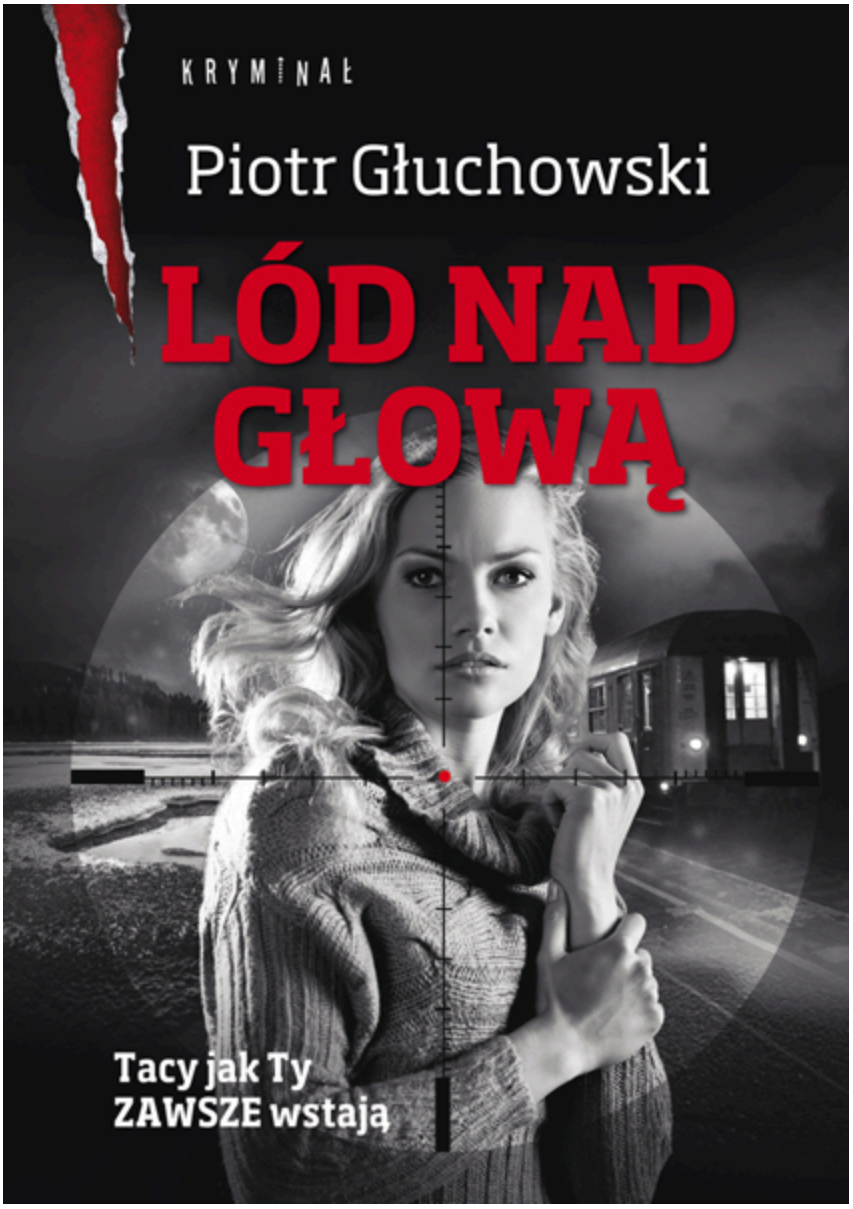

Lód nad głową ♦ Piotr Głuchowski